



MOJA ZDZIŚŁAW URBANIAK WIELKOPOLSKA



WARSZAWA 2010



ZDZISŁAW URBANIAK

MOJA WIELKOPOLSKA



WARSZAWA 2010

Seria „Biblioteka Biuletynu IPN”, tom 3

Projekt graficzny
Krzysztof Findziński

Redakcja
Barbara Polak

Korekta
Magdalena Baj

Redakcja techniczna
Andrzej Broniak

Skład i łamanie
Wojciech Czaplicki

Copyright by Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2010

ISBN 978-83-8459-046-1

Zapraszamy
ipn.gov.pl
ksiegarniaipn.pl

WSTĘP

Zakres chronologiczny i terytorialny wspomnień. Tło historyczne

Zdzisław Urbaniak urodził się w 1927 r. w rodzinie chłopskiej w Brzostowie (powiat wyrzyski) niedaleko Nakła nad Notecią. Przed wojną miejscowość ta znajdowała się na pograniczu województw – pomorskiego i wielkopolskiego, 15 km od ówczesnej granicy polsko-niemieckiej. Jest to północna część Wielkopolski, historycy nazywają ten obszar „ziemią nadnotecką” lub „regionem nadnoteckim”¹.

Wspomnienia z okresu dzieciństwa i młodości zostały zapisane przez Zdzisława Urbaniaka w latach 1997–2007. Powstały po upływie siedemdziesięciu lat od opisywanych wydarzeń, dotyczących lat 1933–1955 i mimo to zadziwiają wyrazistością i precyzją. Dzieciństwo i młodość autora przypadła na czas przedwojnia, okupacji niemieckiej oraz „budowania zrębów i utrwalania” nowej, „ludowej” władzy.

Na mocy traktatu wersalskiego Piła, powiat walecki i część powiatu złotowskiego pozostały w granicach Rzeszy², natomiast powiat wyrzyski został włączony do II Rzeczypospolitej. Przez niemal całe dwudziestolecie międzywojenne ten przygraniczny powiat należał do województwa poznańskiego. W 1938 r., na skutek reformy administracyjnej, został włączony do województwa pomorskiego³.

¹ S. Żelaźniewicz, *Powstanie władzy ludowej na ziemi nadnoteckiej*, „Rocznik Nadnotecki” 1986/1987, t. 17–18, s. 31.

² Z. Romanow, *Relacje między ludnością rodzimą a napływową w powiecie złotowskim po drugiej wojnie światowej* [w:] *Złotów nasz i wasz. Losy autochtonów, repatriantów, przesiedleńców po II wojnie światowej na Ziemi Złotowskiej*, Złotów 2006, s. 9–16.

³ Ustawa o zmianie granic województwa poznańskiego, pomorskiego, łódzkiego i warszawskiego (Dziennik Ustaw 1937, nr 46 poz. 350, s. 880–890) weszła w życie 1 IV 1938 r. Z województwa poznańskiego zostały wyłączone powiaty: bydgoski miejski, inowrocławski miejski, szubiński, wyrzyski, gminy Chelmce i Kruszwica z powiatu mogileńskiego; włączone zaś zostały powiaty: kaliski, kolski, koniński

Po agresji niemieckiej już w październiku 1939 r. tereny okupowane przez Niemców zostały podzielone na dwie części. Ponad 25 proc. terytorium przedwojennej Polski wcielono do Rzeszy, a z około 25 proc. utworzono Generalne Gubernatorstwo. Na podstawie dekretu Adolfa Hitlera 8 października 1939 r. na ziemiach wcielonych Niemcy utworzyli nowe jednostki administracyjne: dwa okręgi – Okręg Gdańsk-Prusy Zachodnie (*Gau-Danzig-Westpreussen*), Okręg Rzeszy-Poznań (*Reichsgau Posen*) oraz dwie rejencje – katowicką i ciechanowską. Nazwę *Reichsgau Posen* zmieniono w styczniu 1940 r. na *Reichsgau Wartheland* (Okręg Kraj Warty). Najwyższe stanowisko we władzach cywilnych Kraju Warty – namiestnika Rzeszy (*Reichsstatthalter im Wartheland*) – otrzymał Arthur Greiser. Namiestnikiem okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie został Albert Forster. Z pozostałych obszarów centralnej Polski utworzono Generalne Gubernatorstwo (*Generalgouvernement*), które było terytorium całkowicie podporządkowanym III Rzeszy

Obszar powiatu wyrzyskiego, który otrzymał niemiecką nazwę *Landkreis Wirsitz*, znalazł się w ramach jednostki administracyjnej rejencji bydgoskiej (*Regierungsbezirk Bromberg*) Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie, która swoimi granicami objęła południowo-zachodnie tereny przedwojennego województwa pomorskiego⁴.

Niemieckie plany wobec okupowanych w czasie II wojny światowej ziem polskich zakładały zdobycie na wschodzie tzw. przestrzeni życiowej (*Lebensraum*) – czyli ziemi wolnej od jej dotychczasowych mieszkańców – i zgermanizowanie jej metodą kolonizacji. Plany te wynikały z narodowego programu nazistowskiego, który nie godził się na germanizację ludzi obcych etnicznie

i turecki. Za: A. Czubiński, *Wielkopolska w latach 1918–1939*, Poznań 2000, s. 167–168. Podziały administracyjne Wielkopolski zostały przedstawione na mapie zob. *Historyczne podziały administracyjne (do 1975 r.)*. Mapa nr 3. [w:] *Przestrzeń historyczno-kulturowa Wielkopolski i Środkowego Nadodrza*, red. D. Matyaszczyk, Poznań 1994.

⁴ E. Duraczyński, *Wojna i okupacja, wrzesień 1939–kwiecień 1943*, Warszawa 1974, s. 39; Cz. Madajczyk, *Faszyzm i okupacje. Wykonywanie okupacji przez państwa Osi w Europie. Ukształtowanie się rządów okupacyjnych*, t. 1, Poznań 1983, s. 138–152; Cz. Madajczyk, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. 1., Warszawa 1970, s. 69–71, 102; E. Jędrzejewski, *Hitlerowska koncepcja administracji państwowej 1933–1945. Studium polityczno-prawne*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1975, s. 191–194.

i rasowo, wysuwał natomiast postulat „germanizacji ziemi”. Jednym z najpilniejszych zadań związanym z realizacją przyjętych planów było zatem usunięcie ludności polskiej z ziem wcielonych do Rzeszy i zasiedlanie ich Niemcami⁵. W wyniku prowadzonej działalności wywłaszczeniowej władze okupacyjne na ziemiach wcielonych przejęły na własność III Rzeszy całe mienie państwa polskiego, samorządu, organizacji politycznych i społecznych oraz większość majątku związków wyznaniowych, a także wszystkie prywatne (polskie i żydowskie) przedsiębiorstwa rolne, przemysłowe, kredytowe i transportowe. Przejęły również ponad 90 proc. budynków mieszkalnych, placówek handlowych i rzemieślniczych oraz 500 tys. całkowitych wyposażań mieszkań. Polacy zostali wywłaszczeni z obszarów rolniczych. Większość z nich wywieziono do GG lub deportowano do pracy przymusowej w Rzeszy. Pozostawionych na miejscu chłopów i ich rodziny pozbawiono własności, a następnie zmuszano do pracy najemnej w niemieckich przedsiębiorstwach rolnych. Około 20 proc. z nich pracowało na własnych gospodarstwach na rachunek Towarzystwa Rzeszy dla Gospodarowania Ziemią (*Ostland*). W rezultacie w niemieckim posiadaniu znalazło się 99 proc. majątku z tych terenów. A zatem niemal w pełni przeprowadzono zaplanowaną germanizację mienia. Istotne zmiany zaszły w rolnictwie. Niemcy dokonali jego przebudowy pod kątem tworzenia wielkoobszarowych gospodarstw rolnych (w których Polacy byli parobkami), przy utrzymaniu niemieckiej wielkiej własności – na terenach wcielonych wprowadzono bowiem organizację własności chłopskiej i rolnictwa na wzór Rzeszy⁶.

W pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej terror na Pomorzu przybrał wyjątkowo brutalną formę. Niemcy podjęli wiele akcji zmierzających do likwidacji „polskiej warstwy przywódczej”, Żydów, pacjentów szpitali psychiatrycznych i wszystkich innych osób uznanych za „niepożądane”. Polscy historycy oceniają, że od września 1939 r. do wiosny 1940 r. w Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie zamordowano od 36 do 50 tys. ludzi. Główną rolę w akcji

⁵ M. Rutowska, *Wysiedlenia ludności polskiej z Kraju Warty do Generalnego Gubernatorstwa 1939–1941*, Poznań 2003, s. 21.

⁶ Cz. Łuczak, *Polska i Polacy w drugiej wojnie światowej*, Poznań 1993, s. 205, 207, 337; *Raporty z ziem wcielonych do III Rzeszy (1942–1944)*, red. Z. Mazur, A. Pietrowicz, M. Rutowska, Raport o sytuacji na Ziemiach Zachodnich, nr 8 (do 31 X 1943), s. 362–363; Cz. Madajczyk, *Faszyzm i okupacje...*, t. 1, s. 187, 193.

eksterminacyjnej odegrały paramilitarne formacje *Selbstschutzu* złożone z miejscowych Niemców – obywateli Rzeczypospolitej – oraz grupy operacyjne policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa (*Einsatzgruppe der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienstes*), szczególnie *Einsatzkommando 16*. Równolegle do eksterminacji polskich elit trwały masowe wysiedlenia. Historycy oceniają, że w latach 1939–1943 z Pomorza wypędzono od 120 do 170 tys. Polaków. W tym samym czasie z różnych stron Europy przybyło na Pomorze około 130 tys. Niemców, w tym 57 tys. z Europy Wschodniej⁷.

Tereny ziemi nadnoteckiej zostały wyzwolone spod okupacji niemieckiej w styczniu i lutym 1945 r. przez wojska I Frontu Białoruskiego. W wyniku działań wojennych obszar ten uległ poważnym zniszczeniom, straty poniosło przede wszystkim rolnictwo. W roku gospodarczym 1944/1945 uprawiono i obsiano niewiele ponad 50 proc. gruntów ornych, które znalazły się bezpośrednio w obszarze działań wojennych. Została zdewastowana co trzecia, czwarta zagroda; większość z nich była bez gospodarki. Cofające się oddziały niemieckie niszczyły urządzenia melioracyjne, zatapiały pola uprawne i łąki. Zrujnowane były również miasta – zwłaszcza budynki mieszkalne, zakłady przemysłowe, urządzenia gospodarki komunalnej (wodociągi, kanalizacja, gazownie, elektrownie) i budynki użyteczności publicznej (szkoły, szpitale, poczty, placówki handlowe i usługowe). Część majątku ruchomego padła ofiarą szabrowników⁸. Mieszkańcy ziemi nadnoteckiej przystąpili do zabezpieczania pozostałego majątku trwałego oraz do organizowania urzędów państwowych i samorządowych.

W latach 1945–1950 powiat wyrzyski należał do województwa pomorskiego, a w latach 1950–1975 do województwa bydgoskiego⁹.

⁷ P. Semków, *Martyrologia Polaków z Pomorza Gdańskiego w latach II wojny światowej*, „Biuletyn IPN” 2006, nr 8–9 (67–68), s. 42–50; B. Chrzanowski, *Wypędzenia z Pomorza*, „Biuletyn IPN” 2004, nr 5, s. 34–48; O eksterminacji polskich elit zobacz też: D. Schenk, *Albert Forster gdański namiestnik Hitlera. Zbrodnie hitlerowskie w Gdańsku i Prusach Zachodnich*, Gdańsk 2002.

⁸ S. Żelazniewicz, *Powstanie władzy ludowej...*, s. 31–32.

⁹ A. Kochański, *Polska 1944–1991. Informator historyczny*, t. 1. *Podział administracyjny, ważniejsze akty prawne, decyzje i enuncjacje państwowe (1944–1956)*, Warszawa 1996, s. 8.

Obejmował miasta: Wyrzysk, Nakło, Mrocza, Łobżenica, Wysoka, Miasteczko Krajeńskie oraz gminy: Białośliwie, Wysoka, Sadki, Łobżenica, Nakło, Mrocza. W Wyrzysku struktury administracji lokalnej organizowali: Tomasz Kaczmarek (późniejszy pierwszy burmistrz) oraz Roman Borowski (późniejszy pierwszy starosta powiatowy)¹⁰. Jednym z ważniejszych działań administracji na ziemi nadnoteckiej było przesiedlenie z tych terenów ludności niemieckiej i zasiedlenie ich ludnością polską.

Na terenach ziemi nadnoteckiej należących przed 1939 r. do III Rzeszy po „wyzwoleniu” nie było prawie wcale Polaków, którzy zajęliby się ochroną mienia oraz organizacją polskiej administracji. Przykładowo – do Piły przybyła 14 kwietnia 1945 r. stuczterdziestoosobowa centralna grupa operacyjna Pełnomocnika Rządu RP na Okręg Pomorze Zachodnie, której powierzono m.in. zadanie utworzenia administracji na tych terenach¹¹. Dodajmy, że po 1945 r. ludność Piły i okolic stanowili repatrianci i przesiedleńcy z Polski środkowej, Małopolski Wschodniej, Wołynia i Wileńszczyzny. Znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji, na którą złożyły się: brak zaplecza gospodarczego i środków transportu, czarny rynek zdominowany przez spekulantów, nadużycia urzędników Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego, Milicji Obywatelskiej i innych instytucji państwowych oraz powszechny bandytyzm. Wielkim problemem dla ludności i władz administracyjnych była Armia Czerwona, której żołnierze zachowywali się bardziej jak okupant niż sojusznik. W latach 1945–1947 urzędnicy państwowi w sprawozdaniach i raportach często informowali swoich zwierzchników w Warszawie i w Poznaniu o przestępstwach dokonywanych przez Sowietów¹².

Zawartość poszczególnych części książki

Wspomnienia Zdzisława Urbaniaka zostały podzielone na trzy części: *Moja Wielkopolska* (lata 1933–1942); *Niemiecki parobek* (lata 1942–1945); *Moja polska droga* (lata 1945–1955).

¹⁰ S. Żelaźniewicz, *Powstanie władzy ludowej...*, s. 33–35.

¹¹ *Ibidem*.

¹² D. Fechner, *Walka o władzę na terenie Piły i północnych powiatów województwa poznańskiego w latach 1945–1947 w świetle dokumentów Archiwum Państwowego w Poznaniu*, „Rocznik Nadnotecki” 1994, t. 25, s. 12–14.

Do przełomu lat 1939/1940 autor mieszkał w Brzostowie. Opisał życie codzienne, stosunki społeczne panujące wówczas w małej przygranicznej miejscowości, w tym relacje między ludnością polską i niemiecką, a także religijność mieszkańców wsi, edukację dzieci i młodzieży oraz nastroje panujące latem 1939 r. Wiele uwagi poświęcił pierwszym miesiącom wojny, gdy on i jego najbliżsi byli zmuszeni do ucieczki z Brzostowa (do którego w czasie wojny na niedługo zdołali wrócić). Poznajemy rozmaite oblicza okupacji niemieckiej: terror, egzekucje, wysiedlenia, zasiedlanie polskich gospodarstw przez Niemców przybyłych z terenów wschodnich, tułaczkę wysiedlonych Polaków, koszmar pobytu w obozie w Potulicach koło Nakła nad Notecią itd.

Druga część wspomnień, mimo że niezbyt obszerna, jest najbardziej wstrząsająca. Od 1942 r. do momentu wkroczenia Armii Czerwonej autor musiał pracować jako parobek u niemieckiego gospodarza Emila Dewnera w Zakrzewku. Z drobiazgową dokładnością opisuje warunki życia, pracy oraz liczne szykany, jakich doświadczył ze strony „swojego” niemieckiego gospodarza.

W ostatniej części Zdzisław Urbaniak opisuje powrót z pracy przymusowej do Brzostowa, gdzie stacjonowała Armia Czerwona, wyjazd w 1945 r. do Bydgoszczy w celu nauki zawodu, pobyt w Koszalinie, w szkole zawodowej, pracę elektryka w Złotowie w 1946 r. W tej części wspomnień znajdujemy też świadectwo uporczywego autora w pokonywaniu kolejnych etapów zdobywania wiedzy w Dwuletnim Uniwersyteckim Studium Przygotowawczym w Gdańsku-Oliwie i na Politechnice Warszawskiej. Jest tutaj też opis prób kolektywizacji Brzostowa, a także opis zasadniczej służby wojskowej w pułku artylerii lekkiej w Gdańsku-Wrzeszczu. Wysoką wartość poznawczą mają drobiazgowo opisy życia codziennego, zachowania żołnierzy Armii Czerwonej, ucieczki Niemców z ziem polskich w 1945 r., stosunków panujących w ludowym Wojsku Polskim, życia studentów w okresie stalinizmu.

Dotychczas opublikowane wspomnienia z czasu wojny i okresu stalinowskiego

Wspomnienia okupacyjne, zarówno dotyczące wysiedleń, pracy przymusowej, jak i życia codziennego, zaczęto publikować od lat sześćdziesiątych. Warto tutaj wymienić: *Przemoc, poniżenie, poniewierka. Wspomnienia z przymusowych robót rolnych 1939–*

-1945¹³, *Wysiedlenie i poniewierka 1939-1945*¹⁴ czy pięciotomowe wydawnictwo Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk *Wieś polska. Materiały konkursowe*¹⁵. Mankamentem tych publikacji jest to, że powstały one jako pokłosie konkursów ogłoszonych przez prasę (w 1948 r. przez Instytut Prasy „Czytelnik” i w 1970 r. przez „Głos Wielkopolski”) czy przez rozgłośnie Polskiego Radia. W konkursach zazwyczaj brali udział przedstawiciele aktywu społecznego wsi, chłoporobotników, młodzieży szkolnej oraz członkowie PZPR i innych organizacji politycznych. Ich wspomnienia były już podczas pisania poddawane autocenzurze, często zapisywane z użyciem języka propagandy. Brakowało w nich tematów drażliwych. W tych relacjach nie ma mowy np. o wykroczeniach Armii Czerwonej i władzy „ludowej” oraz o stopniowym zniewalaniu społeczeństwa.

W latach dziewięćdziesiątych opublikowano liczne źródła narracyjne, przede wszystkim osób pomijanych dotąd przez oficjalny nurt peerelowskiej historiografii – żołnierzy podziemia niepodległościowego, więźniów politycznych, osób deportowanych do ZSRS czy ziemianstwa. Od tego czasu wydano stosunkowo mało wspomnień (głównie w niewielkich wydawnictwach regionalnych), ukazujących biografię „zwykłych” ludzi i ich losów na tle przemian i dramatycznych wydarzeń zachodzących w Polsce po 1939 r.

W ostatnich latach znów rozpoczęto edycję wspomnień z czasów niemieckiej okupacji Wielkopolski¹⁶. Wydawcy dostrzegli potrzebę ponownego przedstawienia tej tematyki, z nowej perspektywy, wolnej od ograniczeń cenzuralnych okresu PRL. Prezentowanie i publikowanie tego typu wspomnień należy zaliczyć do współczesnego, coraz modniejszego nurtu w historiografii zwanego mikrohistorią.

Przez lata wielu historyków lekceważyło relacje i wspomnienia świadków historii, nie uznając ich za pełnowartościowe

¹³ *Przemoc, poniżenie, poniewierka. Wspomnienia z przymusowych robót rolnych 1939-1945*, wybrał, oprac. i wstępem opatrzył L. Staszyński, Warszawa 1967.

¹⁴ *Wysiedlenie i poniewierka 1939-1945*, wybór i oprac. R. Dyliński, M. Flejsierowicz, S. Kubiak, Poznań 1985.

¹⁵ *Wieś polska. Materiały konkursowe*, oprac. K. Kersten, T. Szarota, Warszawa 1967-1971.

¹⁶ W. Wasik, *Dzieciństwo w Kraju Warty*, Poznań 2008 oraz K. Kandziora, *Pamiętnik z wygnania*, Poznań 2007.

źródło historyczne. Podczas badań pomijano często ten rodzaj pamięci historycznej. Najsilniejszym hamulcem dla jej rozwoju był system polityczny państwa, które nie dbało o pielęgnowanie i dokumentowanie pamięci indywidualnej. Pilnowano, by nic nie przeszkadzało w wysiłkach odgórnego projektowania świadomości zbiorowej.

Dziś wielu badaczy zmienia podejście do źródeł narracyjnych¹⁷. Widać podejmowane w świecie nauki próby „rehabilitacji” historii mówionej (*oral history*, historii ustnej) oraz wspomnieniowej. Takie źródła mogą być analizowane z dwóch punktów widzenia. Pierwszy można nazwać w uproszczeniu – historycznym, drugi – socjologicznym. W tym drugim kładzie się nacisk na uzyskanie informacji o tym, co i jak jest przez rozmówców pamiętane i opowiadane, jak to oceniają i jaki sens przypisują przywoływanym doświadczeniom. Istotną rolę w tym typie źródeł odgrywają konwencje językowe, przekonania, oceny. Relacja – odbijając stan świadomości mówiącego czy wspominającego – odsłania jego tożsamość i pokazuje kontekst kulturowy, w którym porusza się ich autor. Głównym celem historii mówionej i wspomnieniowej jest zatem nie tylko odkrywanie nieznanych faktów, lecz przede wszystkim poznanie świadomości mówiącego. Pamięć nie jest bowiem depozytariuszem faktów, lecz aktywnym procesem nadawania znaczeń.

Wspomnienia Zdzisława Urbaniaka są interesującym przykładem indywidualnej pamięci o przeżyciach okresu wojny oraz okresu stalinizmu. Zestawienie jego opisów – najpierw okupacji niemieckiej, a następnie sowieckiej – pozwalają porównywać losy jednostki i przyjmowanych przez nią postaw w obliczu obu, jakże różnych, rodzajów zniewolenia.

Zaletą tych wspomnień są precyzyjne opisy i doskonała, szczegółowa pamięć autora, co czyni jego opowieść szczególnie wartościowym źródłem historycznym. Zawarte w książce refleksje dotyczące metod przetrwania jednostki w okresie stalinowskiego zniewolenia oraz doświadczenia z okresu okupacji niemieckiej są dość typowe dla pokolenia, którego dzieciństwo i młodość przypadły na lata 1939–1955 i można je odnaleźć w wielu źródłach hi-

¹⁷ *Wojna: doświadczenie i zapis: nowe źródła, problemy, metody badawcze*, red. S. Buryła, P. Rodak, Kraków 2006.

storycznych (wspomnieniach, relacjach, listach, ankietach). *Moja Wielkopolska* jest głosem całego pokolenia, uzupełniającym obrazem jego losów.

Agnieszka Łuczak

OD WYDAWCY

Wspomnienia Zdzisława Urbaniaka, które powstały w latach 1997–2007, stanowią pasjonującą lekturę. Dzięki fenomenalnej pamięci autora i jego wielkiej wrażliwości są historycznie rzetelne. Zawierają ciekawe opisy stosunków społecznych panujących na przedwojennej wielkopolskiej wsi, życia rodzinnego, codziennej pracy, ale także dziecięcych zabaw i fascynacji.

Autor ukazał także wydarzenia wojenne i życie pod okupacją niemiecką, z jego wielkopolsko-pomorską specyfiką. Są to przejmujące obrazy niemieckich prześladowań ludności cywilnej, pracy niewolniczej i codzienności okupacyjnej.

W ostatniej części wspomnień Zdzisław Urbaniak zawarł świadectwo nieustępliwości w realizacji zamierzonych celów. Był chłop-skim dzieckiem, nie pociągało go jednak gospodarzenie. Chciał zostać rzemieślnikiem. Pasjonowały go urządzenia techniczne (ich szczegółowe opisy zdecydowaliśmy się pozostawić ze względu na to, że dziś te maszyny już nie są używane i nie są znane). Wojna i konieczność zarabiania na życie przerwały jego edukację. W kolejnych latach gorączkowo nadrabiał zaległości, ucząc się zaocznie. Ta część książki zawiera interesujące opisy realiów pierwszych powojennych lat – począwszy od sposobów podróżowania, poprzez stosunki panujące w wojsku, skończywszy na rejestracji przejawów terroru stalinowskiego.

OD AUTORA

Od wielu lat nosiłem się z zamiarem napisania o czasach, w których przyszło mi żyć. Od zapomnienia chciałem ocalić przede wszystkim obraz moich lat dziecinnych, młodości i dojrzewania, z których część przypadła na lata okupacji. Doświadczenia okupacyjne, a szczególnie dwa i pół roku ciężkiej pracy u niemieckiego gospodarza, u którego byłem parobkiem, wycisnęły na mojej osobowości głębokie piętno i ukształtowały poglądy na życie.

Nie bardzo wiedziałem, jaką formę nadać swojemu zamiarowi, nie byłem przygotowany do pracy pisarskiej, ponieważ mam wykształcenie techniczne. Praca zawodowa inżyniera, w tym również naukowa, zdominowały moje życie, wciąż brakowało mi czasu.

Podsumowaniem mojej działalności naukowo-technicznej była książka *Zgrzewanie tworzyw sztucznych – zgrzewarki i generatory w.cz.*, którą wydało Wydawnictwo Naukowo-Techniczne w 1977 r. Po jej napisaniu poczułem, że jestem już w stanie podjąć pracę nad wspomnieniami.

Jestem serdecznie zobowiązany za ukierunkowanie pracy nad książką nieżyjącemu już prof. Czesławowi Łuczakowi z Poznania. Bardzo dziękuję również memu koledze, inż. Ryszardowi Gutowskiemu z Warszawy – za rady i bezinteresowną pomoc, jakich udzielał mi, gdy pisałem te wspomnienia.

Zdzisław Urbaniak

CZĘŚĆ I – RODZINNY KRAJ
LATA 1933–1942

POŻAR

Obudziło mnie jakieś szarpanie, które przypominało jazdę po grudzie wozem na żelaznych obręczach. Matka ubierała mnie pośpiesznie. Z fragmentów rozmowy prowadzonej między nią i babką zrozumiałem, że u Zawistowskiego się pali. To mnie postawiło na nogi. Lubilem ogniska. Uznałem, że zapowiada się obiecujące widowisko – ognisko zostało rozpalone w nocy i w dodatku na dachu. Opisywane wydarzenia miały miejsce w maju 1933 r. Miałem wtedy pięć lat i osiem miesięcy (piszę na podstawie tego, co zapamiętałem i czego dowiedziałem się od ludzi).

Było już po pierwszej w nocy. Matka wyprowadziła nas – mnie i o rok młodszą siostrę Stasię – i zostawiła w zacisznym miejscu. Staliśmy przy płocie okalającym ogródek, który przylegał do szczytu domu mieszkalnego. Matka kazała nam się trzymać siatki ogrodzeniowej i nie ruszać się stamtąd. Teraz dopiero zrozumiałem, że to nie jest ognisko rozpalone na dachu dla zabawy, a prawdziwy wielki pożar, który zagraża również naszym zabudowaniom. Ogień objął już znaczną powierzchnię dachu. Nie było czasu, żeby odprowadzić nas do sąsiadów, w bezpieczniejsze miejsce. Matka ratowała dobytek – ważna była każda sekunda – ale zaglądała do nas co chwilę i dodawała nam otuchy.

Ogień zauważyła babka – przebudziła się i dostrzegła na suficie czerwoną poświatę. Pożar rozprzestrzenił się bardzo szybko, ponieważ paliła się wypełniona słomą stodoła, niegdyś należąca do majątku. Miała dwuspadowy dach z podwójnej dachówki. Przy jej budowie zastosowano dużo drewna wysokiej jakości – słupy i niektóre belki, obrabiane do kwadratu, miały boki około trzydziestocentymetrowe. Cała budowla miała około osiemdziesięciu metrów długości. Po przebudowie wnętrza mieściły się w niej pod jednym dachem wszystkie zabudowania gospodarcze wraz z domem mieszkalnym rodziny Zawistowskich, a także budynki gospodarcze Wróbla, którego dom stał oddzielnie. Były to budynki dwóch dwudziestohektarowych gospodarstw.

Przebywający wówczas u nas kuzyn matki – Stasiu Brzychcy z Grabienic koło Konina – pobiegł do Zawistowskich, żeby ich obudzić. Już nie spali. Ogień był zaledwie kilkanaście metrów od ich mieszkania i zbliżał się z każdą sekundą. Została podpalona stodoła Wróbla, która znajdowała się na początku tego długiego budynku. Nie można było powstrzymać szalejącego żywiołu. Całe podwórze Zawistowskich i palący się budynek były widoczne z okien naszego domu.

Stojąc pod płotem, widzieliśmy Zawistowskiego, który wybiegł na drogę; był boso, miał na sobie tylko spodnie i koszulę. Biegł w naszym kierunku i rozpaczliwie krzyczał: „– Pali się!”. Byłem przekonany, że w ciemnościach głos daleko się nie rozchodzi, więc wydawało mi się, że to bezcelowe, bo nikt go nie usłyszy, a zresztą po drugiej stronie drogi nie było zabudowań. Przebiegł obok, ale nie zauważył nas. Twarz miał zmienioną.

Stopniowo wzrastały się tumult i hałas. Coraz więcej ludzi przybiegało i podjeżdżało do pożaru, widocznego z odległości kilkunastu kilometrów. Przybywały też ekipy straży pożarnej. Krzyki ludzkie mieszały się z rykiem bydła, rżeniem koni i kwiczeniem świń, ale i tak nad wszystkim dominował huk pożaru – trzask palącego się drewna, pękających dachówek i wiele innych odgłosów.

Koło nas przebiegły dwa uciekające konie z wozem bez woźnicy. Po drodze ze skrzyni wozu pospadały deski. Na ostrym zakręcie konie wpadły na nieduży mostek. Tył wozu uderzył w słupek ogrodzenia i urwał się. Konie z przednią częścią wozu wpadły do sadu owocowego, gdzie zatrzymały je drzewa.

Z odległej miejscowości przyjechała straż pożarna. Sikawkę (tak wtedy nazywano pompy strażackie) ciągnęło pięć koni. Były spoczone, spadały z nich na ziemię płaty białej piany. Kilku strażaków przyjechało wierzchem. Wjechali na przewrócony drewniany płot. Gdy zaczęły łamać się jego sztachety, konie wpadły w popłoch. Kawalek złamanej sztachety skaleczył jednemu z nich brzuch. Zwierzę zakwiczało przeraźliwie i stanęło dęba, a siedzący na nim strażak spadł, ale nie stało mu się nic złego. Wszystko to wyglądało groźnie i zarazem imponująco za sprawą błyszczących w świetle ognia mosiężnych strażackich hełmów.

U nas działania prowadzono na trzech frontach. Matka z babką ratowały dobytek domowy. Wszystko, co mogły unieść, przenosiły do domowej piwnicy. Miała welbowany strop i zakładano, że ogień

tam nie dojdzie. Po pewnym czasie dołączyły do nich jakieś obce kobiety. Ojciec z kuzynem matki i moimi braćmi – starszym o pięć lat Stachem i o dwa lata starszym Ignacem – ratowali inwentarz żywy i martwy. Krowy, świnie i owce przepędzili do ogrodu znajdującego się po drugiej stronie głównej drogi, a drób rozpędzili, bo nic innego nie można było z nim zrobić. Zadaniem Ignaca było pilnować tego wszystkiego, choć przerastało to jego możliwości. Dostał bat i psa do pomocy. Najwięcej kłopotu sprawiały świnie, które dwa razy uciekały do chlewa. To są bardzo nerwowe i bojaźliwe zwierzęta, które najbezpieczniej czują się w swoim chlewie. Ojciec z pomocnikami wyciągali do ogrodu wozy, maszyny i inny sprzęt rolniczy. Na ratowanie wymłóconego zboża i innych, cennych w gospodarstwie rzeczy, nie było czasu.

Gdy ogień zbliżył się do naszych zabudowań, zaczęła się walka o budynki. Włączyli się do tego wszyscy domownicy i ludzie z zewnątrz. Strażacy polewali wodą dach na stodołę i domu, by dachówki nie nagrzały się i nie popękały, bo wówczas ogień dostałby się do środka i nie byłoby już co ratować. Najbardziej zagrożona była sień (tak nazywaliśmy budynek łączący stojący z boku dom mieszkalny z resztą zabudowań gospodarczych), ponieważ była kryta papą. Sień miała około ośmiu metrów długości i sześciu szerokości.

Tymczasem ogień nieuchronnie zbliżał się do naszych zabudowań. Ostatnim segmentem płonącego budynku była stodoła Zawistowskiego, która stała dwanaście metrów od naszej stodoły. Oddzielała je droga (nazywaliśmy ją drogą „koło gorzelni” albo „za naszymi oknami”), biegnąca wzdłuż naszego domu, prostopadła do głównej drogi, za którą znajdował się ogród – tam właśnie wypędzono inwentarz. Obie stodoły – nasza i Zawistowskiego – stały w linii prostej.

Pożar osiągnął apogeum, gdy przechodził nad klepiskiem stodoły Zawistowskiego. Nad klepiskiem na drągach leżała słoma, która bardzo intensywnie się paliła, ponieważ z dołu był dostęp powietrza. Potęgowany ogniem ciąg powietrza w górę był tak duży, że wyrwał i unosił ze sobą wiechcie palącej się słomy. Wyglądało to bardzo groźnie. Ten widok zapamiętało wielu ludzi. Wraz z siostrą płakaliśmy i krzyczeliśmy wniebogłosy: „– Teraz my, teraz my!” (co znaczyło, że teraz kolej na nasze zabudowania). Matka wspominała później, że wtedy straciła już nadzieję na ratunek. Żar, płomienie i opadająca paląca się słoma sprawiały wrażenie, że płoną już nasze zabudowania.

Po przejściu przez klepisko stodoły ogień nieco zmalął. Kończył się budynek, zmniejszał się dostęp powietrza, bo cały szczyt stodoły był murowany. Matka w tym czasie weszła do sypialni i z przerażeniem zauważyła, że na ścianach nadal wiszą święte obrazy. Niezwłocznie wyniosła je do piwnicy, przy czym wydawało jej się, że są niezmiernie ciężkie. Wstąpiły w nią jednak nowe siły i powróciła nadzieja, że się uratujemy. Potem zawsze wyrażała przekonanie, że ocalenie zawdzięczamy obrazom wyniesionym w bezpieczne miejsce.

W krytycznym momencie pożaru zaczęła się palić papa nad sienią. Poukładano na niej szmaty i polewano je wodą, również z wodociągu. Wodociągi w Brzostowie i Miasteczku czerpały wodę z naturalnych źródeł, które znajdowały się „w górach”. We wsi są trzy stawy. Pod koniec pożaru w tych najbliższych zaczynało już brakować wody.

POGORZELISKO

Gdy budynki były już bezpieczne, matka zabrała nas do domu. Radości nie było końca, choć mieszała się ona jednak ze smutkiem. Spaliły się zabudowania sąsiadów, z którymi bardzo dobrze żyliśmy. Zawistowscy stracili dosłownie wszystko, łącznie z rzeczami osobistymi. W końcu matka przyniosła z piwnicy pościel i położyła nas spać.

Rano poszedłem z kimś ze starszych na podwórze do Zawistowskiego. Było tam sporo ludzi. Część z nich przyszła z ciekawości poglądać skutki pożaru, inni dogaszali ogień. Wodę pompowały dwie ręczne pompy, obsługiwane przez kilku mężczyzn, umocowane na środku specjalnego wozu. Każda z nich miała dwie dźwignie – od pompy do przodu i do tyłu wozu – sprzężone tworzyły jedną linię. Pompowanie polegało na wahadłowym poruszaniu tymi dźwigniami, wtedy jedna szła do góry, druga do dołu. Każda z nich na końcu miała poprzeczny drążek, więc jednocześnie mogło pompować kilka osób. Były to pompy ssąco-tłoczące, co umożliwiało czerpanie wody ze zbiornika i wylewanie jej pod ciśnieniem. Brzostowska sikawka nie pobierała samodzielnie wody, było to bardzo stare urządzenie ze skruszałymi węzami, które popękały pod naporem wody. Te, których używano, były dziurawe i strużki wody wytryskiwały z nich na wszystkie strony, co nas, najmłodszych, bardzo bawiło.

Z chlewa wyciągnięto kilka spalonych świń. Wszystkie były czarne. Niektóre z nich były tak zwęglone, że trudno było poznać, że to są świnię. Ktoś z obecnych zażartował sobie, że mam przynieść nóż i widelec – świnię są upieczone i można je jeść. Słowa te uznałem

na swój dziecięcy sposób za bluźnierstwo. Temat śmierci wzbudzał we mnie lęk i szacunek.

Od rana aktywna była policja. Prowadzono śledztwo w związku z podpaleniem, bo nikt nie miał wątpliwości co do przyczyny pożaru. Podejrzanie padło na służącego, który pracował u Wróbla i na chłopaka, który pracował u nas. Byli dobrymi kolegami, jednocześnie wymówili służbę i jednocześnie odeszli. Policja zatrzymała ich w Białośliwiu, siedem kilometrów od Brzostowa. Do stodoły dostali się po desce, odginając górną część wrót (czyli drzwi do stodoły). Włożyli świeczkę w powrósło snopka słomy, obstawili go innymi snopkami, żeby płomień świeczki nie był widoczny z zewnątrz. Reszta zrobiła się sama.

Złoczyńcy poszli do lasu, by oglądać pożar z odległości pół kilometra. Nie obejrzel go, bo posnęli i obudzili się, gdy było już jasno. Widok pogorzeliska przeraził ich, zaczęli uciekać. Kilka kilometrów od miejsca przestępstwa zostali zatrzymani przez policję i bardzo szybko przyznali się do podpalenia. Było ono aktem zemsty. Służący Wróbla zgubił łańcuchy od końskiej uprzęży (te, które łączą naszyjniki z dyszlem wozu). Wróbel uznał to za niedbalstwo i wartość tych łańcuchów potrącił mu z poborów, co wywołało u służącego wielkie poczucie krzywdy i popchnęło do zemsty. Podpalenie spowodowało wielkie straty materialne i zagrożenie życia całej rodziny Zawistowskich, choć nie mieli oni nic wspólnego z tymi nieszczęsnymi łańcuchami.

Rozwazałem potem tę sprawę. Z jednej strony występuje w niej młody, niedbały człowiek, który cały miesiąc pracuje za kilka złotych. Z tymi pieniędzmi często łączy wielkie plany, które biorą w łeb, ponieważ gubi łańcuchy i pieniądze, przynajmniej chwilowo, nie otrzymuje. Z drugiej strony mamy właściciela dwudziestohektarowego gospodarstwa i ojca wielodzietnej rodziny. Gospodarz jest na dorobku i każda rzecz ma dla niego wartość. Z winy niedbałego sługi giną mu łańcuchy, więc musi je kupić. Jego irytacja, jak również decyzja o potrąceniu chłopakowi z poborów są zrozumiałe. A jednak wartość względna tych feralnych łańcuchów była inna dla chłopaka, który cały miesiąc pracował za kilka złotych, a inna dla gospodarza, który był bogatszy. Wydaje mi się, że Wróbel nie powinien potrącać chłopakowi pieniędzy w ten sposób. Mógł wstrzymać mu na jakiś czas podwyżkę, ewentualnie potrącać mniejszą kwotę, rozłożyć na raty, czy też w ogóle nie potrącać.

Z własnego doświadczenia wiem, że ten ostatni wariant przynosi w życiu najlepsze rezultaty.

Na podwórzu u Zawistowskiego pojawili się mężczyźni z długimi drągami i drabinami. Weszli na mury wypalonego budynku, żeby przewrócić górną, trójkątną część murów na szczytach budynku. Przy silnym wietrze mogły one stanowić zagrożenie, a ich brak podwyższał straty, co było istotne przy wycenie. Tym bardziej, że Zawistowski nie zamierzał odbudowywać spalonego budynku. Stare budynki były ciasne i mało funkcjonalne.

Pojawił się jednak problem – Zawistowscy nie opłacili w porę raty ubezpieczeniowej. Byłem świadkiem tego, jak przyszedł poborca, a Zawistowski był bez pieniędzy i prosił o zwłokę, ale jej nie uzyskał, ponieważ był to już termin ostateczny. Otrzymał bardzo małe, wręcz symboliczne odszkodowanie. Wróbel dostał całe odszkodowanie. Stodołę odbudował w tym samym miejscu, a w innym miejscu postawił pod jednym dachem chlew, stajnię i oborę. Pieniądzy wystarczyło mu jeszcze na nowocześniejsze maszyny.

Zawistowscy stanowili bardzo dużą, zgodną i pracowitą rodzinę. Mieli sześcioro dzieci – trzy córki i trzech dorosłych synów, najstarsi odsłużyli już wojsko. (W tym czasie wojsko cieszyło się wielkim szacunkiem. Największa ofiara ze wsi, gdy poszła do wojska i przyjeżdżała na urlop, była traktowana z szacunkiem należnym żołnierzowi. Ludzie pamiętali o niedawnych wielkich sukcesach – wojnie bolszewickiej, Powstaniu Wielkopolskim i Powstaniach Śląskich. Uczestnicy tych walk mieszkali wśród nas). Do pracy przy budowie najęli tylko cieśle i murarzy.

Podobnie jak my, każdy z pogorzalców miał po drugiej stronie głównej drogi ogród. Zgodnie postanowiono dokonać zamiany gruntów. Zawistowski wszedł w posiadanie obu ogrodów za drogą i tam podjął budowę, natomiast Wróbel otrzymał miejsce po spalonym budynku Zawistowskiego i dwa podwórza, które do tego budynku należały. Zawistowski rozbierał spalony budynek łącznie z fundamentami, a uzyskany materiał wykorzystał do budowy. W ogrodzie Wróbla stała stara kuźnia (pozostałość po majątku), więc wszystkie roboty kowalskie związane z budową Zawistowscy wykonywali sami, bo najstarszy syn Marian był ślusarzem.

Stasiek i Franek Zawistowscy wraz z młodszymi braćmi przygotowywali w lesie budulec. Dziewczyny oczyszczały cegłę z zepchniętych szczytów i porządkowały pogorzeliśko. Marian

przygotowywał do przewrócenia mury spalonego budynku, co było niebezpieczną pracą – podcinał je do pewnej głębokości przy samych fundamentach (nazywano to „podrabianiem murów”). Następnie należało odłączyć gruby na dwie i pół cegły mur od wszelkich przystawek – ścian działowych i narożników murów szczytowych. Po wykonaniu tych prac mężczyźni z drągami przewracali mur. Przewrócenie dwudziestometrowego muru spowodowało silne tąpnięcie, ale stojące po sąsiedzku budynki nie zostały uszkodzone.

Dalszą rozbiórkę wykonywały dziewczyny – w przewróconym murze pękło bardzo niewiele cegieł, a prace ułatwiła pokruszona zaprawa wapienna. Cegłę oczyszczano z zaprawy przy pomocy toporków, tasaków i innych narzędzi, i na „smykach” (ciągniętych przez konie dwóch płozach z poprzecznie przybitymi deskami) przeciągano na plac budowy.

KAMIENIE

Fundamenty były wykonane z różnej wielkości kamieni, pochodzących z wielkich głazów narzutowych, znajdujących w polu podczas orki. Wiele z nich nosiło ślady rozstrzelania. Dla chłopców (i nie tylko dla chłopców) stanowiło to nie lada atrakcję – mierzyli otwory strzelnicze, ich głębokość i średnicę, dyskutowali przy tym, na ile części pękł kamień.

Rozstrzeliwanie głazu odbywało się w ten sposób, że najpierw był wybijany w nim otwór głębokości ok. trzydziestu centymetrów i średnicy 10–12 mm. Była to bardzo żmudna praca – otwór robiono twardej wybijakiem tłuczonym młotkiem. Urobek był usuwany na sucho bądź wypłukiwany wodą. Do otworu wsypywano odpowiednią ilość czarnego gruboziarnistego prochu i wprowadzano lont, który obsypywano drobnym kruszywem bądź urobkiem i ubijano. Lont musiał mieć odpowiednią długość, żeby kamieniarz, po zapaleniu go, zdążył uciec w bezpieczne miejsce. Wybuch nie przypominał wystrzału; raczej coś w rodzaju potężnego stęknienia. Powstałe części miały niewielki rozrzut i pozostawały w dole, w którym leżał głaz. Rozstrzelanie kamienia było czynnością pracochłonną, ale często nie było innej możliwości rozbicia go – jeżeli kamień był bardzo duży albo bardzo twardy – bo mniejsze można było roztłuc młotem czy połupać przy pomocy klinów. Ojciec wyorał kiedyś na polu duży kamień, który musiał być rozstrzelany. Zrobił to Miedzianowski, kamieniarz z Brzostowa.

BUDOWANIE

Nie lada atrakcją, przynajmniej dla mnie, było zwożenie drzewa na budowę. Zawistowski miał ziemię górzystą i gliniastą. Były to grunty morenowe. W związku z tym, że ziemia była ciężka do obróbki, trzymał trzy mocne konie – ogiera i dwa wałachy. Na wóz ładował około trzech kubików. Wozy w tym czasie miały drewniane koła okute stalowymi obręczami (potocznie mówiło się – żelaznymi).

Droga na plac budowy prowadziła koło gorzelni, między spaloną stodołą Zawistowskiego i naszą, wzdłuż naszego domu. Prostopadle przecinała drogę główną i wiodła do ogrodu Zawistowskiego. Najślabszym punktem był zrobiony z okraglaków mostek nad rowem przy głównej drodze. Nie obejmował on miękkiej, nieujędzonej części drogi poprzecznej, tej przy rowie.

Ktoregoś razu Zawistowski jechał wozem naładowanym budulcem. By konie żwawiej przeszły przez mostek, krzyknął i podciął je batem. Rozpędzony, ciężki wóz z łatwością przejechał przez twardą część drogi poprzecznej, ale na poboczu koła zaczęły się zapadać, a następnie uderzyły z boku w pierwsze okraglaki mostka i zapadły się w ziemię po barany. Ciężki wóz zatrzymał się nagle, a konie całym impetem parły do przodu, uderzając w uprząż. Konsekwencją tego był złamany orczyk, pozrywane łańcuchy i pasy uprząży. Złamał się również dyszel. Gdzieś z głębi końskich trzewi wydobyło się jakieś niesamowite jęknięcie – mogły przecież pozrywać sobie ścięgna, uszkodzić kręgosłup. Wyglądało to tak, jak gdyby konie nagle urwały się od wozu. Na szczęście Zawistowski panował nad sytuacją. Przeskoczył przez rów i nie puścił lejc. Zszokowane konie wpadły na miękką część ogrodu. Ogier zaczął wierzgać zadnimi nogami, jeden z wałachów upadł. Na pomoc pospieszyli mężczyźni obserwujący wydarzenie, uchwycili i uspokoili szalejące konie. Wszystko zakończyło się szczęśliwie. Wóz został rozładowany, a poszczególne kłoce przeciągano przez rów na plac budowy na długich łańcuchach. Po tym incydencie zrobiono solidny mostek z obrobianych kłoców, z wjazdem i zjazdem również z bali.

Zawistowscy rozpoczęli od budowy pomieszczeń dla inwentarza. W budynku gospodarczym znalazły się stajnia, obora i chlew. Bardzo istotnym elementem tego budynku był spichlerz oraz pomieszczenia, gdzie przygotowywano pożywienie dla świń. Pomieszczenia te były stosunkowo duże i przejściowo służyły jako mieszkalne.

Budowa miała być ukończona do zimy. Było to przedsięwzięcie bardzo ambitne, ale możliwe do zrealizowania w przypadku tylu rąk chętnych do pracy. Równocześnie z budową musiały być kontynuowane prace rolne, które stanowiły podstawę egzystencji tych ludzi. Był to urodzajny rok. Szczególnie duże były zbiory siana. Trawę koszone trzy razy w roku. Zawistowski miał sporo dobrej łąki, a ponieważ ograniczył liczbę bydła, siana miał pod dostatkiem. Można je było sprzedać w każdej ilości, kupowało je dla koni wojsko. Dla Zawistowskiego był to los wygrany na loterii – pieniądze ze sprzedaży umożliwiały kontynuowanie budowy.

Prace prowadzono na wszystkich możliwych odcinkach jednocześnie. Na początek wykopano dół na gaszone wapno, niezbędne przy budowie. Następnie wykopano doły na piwnicę i rowy pod fundamenty, które zaczęto robić jeszcze w czasie kopania i niezwłocznie przystąpiono do wznoszenia murów. Nieopodal obrabiano drzewo przeznaczone na budowę. Kłocce do obróbki przytwierdzane były metalowymi klamrami do dwóch grubych bali, spoczywających na ceglanych blokach. Wstępną obróbkę siekierami wykonywali Stasiek (który był saperem, a ponieważ w tym czasie wojsko budowało dużo drewnianych mostów, więc znał się nieźle na obróbce drewna) i Franek Zawistowscy, a jej korektę toporem robił cieśla Tramowski z Arentowa. Było to zwaliste chłopisko o nieco przymrużonych oczach, lekko pochylone do przodu. Mimo pozornej szorstkości był dobrze ułożonym człowiekiem i bardzo taktownie odnosił się do współpracowników. Zawsze chodził w koszuli z rękawami podwiniętymi poniżej łokci swoich żyłastych rąk. Przy każdym uderzeniu toporem wydawał lekkie stęknięcie. Zapamiętałem go jako człowieka bardzo łagodnego i dobrze usposobionego do dzieci.

Wszystko, co działo się na budowie, obserwowałem z odległości kilkunastu metrów. Swój punkt obserwacyjny miałem kilka metrów od rowka oddzielającego nasz i Zawistowskiego ogród, między malinami i krzaczkiem agrestu. Siadywałem na kawałku deski położonej na ceglach. Jeżeli działo się coś bardzo ciekawego, podchodziłem bliżej rowka. Samego rowka (w którym czasami była woda) nie wolno mi było przekroczyć pod żadnym pozorem. Na budowę chodziłem tylko ze starszymi. Ta część ogrodu, w której przebywałem, nie była uprawiana, kopcowano tu ziemniaki.

Na placu obróbki drewna palił się ogień, a ja bardzo lubiłem ogniska. W ogniu opalano kawałki drewna kilkucentymetrowej gru-

bości, potem gaszono na nich płomień i nazywano główniami. Ich zewnętrzną częścią, pokrytą węglem drzewnym, czerniono sznurki do odbijania śladów na obrabianych kłocach.

Z nastaniem chłódów i słońc jesiennych moja aktywność obserwacyjna zmalała, ale nie zmalała, a wręcz wzrosło tempo prac prowadzonych przy budowie. Do mrozów Zawistowscy wprowadzili się do nowego budynku. Rodzice, młodzież żeńska i dzieci spali w części spichlerzowo-kuchennej, część męska – na strychu w sianie. Dochodziły mnie wieści, że marznie im pościel i często przez nieszczelności w dachu prószą na nich śnieg, co mi bardzo imponowało. Nikomu o tym nie mówiłem, ale marzyłem o tym, żeby spać w takich warunkach. Musiałem jednak spać w ogrzewanym pomieszczeniu, pod suchą i niezlodowaciałą pościelą.

Zimą, kiedy prace budowlane stanęły całkowicie, Zawistowscy pojechali na zarobek do lasu. Na podwójnych saniach wywozili budulec (długie drzewa) na stację kolejową w Miasteczku. Na środku każdych saní umiejscowiony był tzw. rycząg, w którym tkwiły kłonice. Rycząg z saniami połączony był obrotowo sworzniem. Umożliwiało to włożenie na te zespolone sanie skrzyni wozu. W tym przypadku obie pary saní były ze sobą połączone krzyżującymi się łańcuchami. Powodowało to, że w czasie jazdy, kiedy przednie sanie kierowano w lewo, tylne nadchodziły w prawo, co ułatwiło skręcanie. Po załadowaniu długiego drewna, łącznikiem pomiędzy saniami był drewniany kłoc przymocowany do nich łańcuchami.

W drugiej kolejności Zawistowscy zbudowali stodołę, a następnie dom. Dom był drewniany, czego po otynkowaniu nie było widać. Potem przysła kolej na obiekty pomocnicze, szopę ogólnego przeznaczenia, płoty itp. Płoty zrobione były z drągowiny, pochodzącej z przecinki młodników.

Zawistowscy jako pierwsi w Brzostowie i okolicy zastosowali na szerszą skalę do wzdłużnego przecinania okrągłaków piłę tarczową, która w tamtym czasie była nowością. Piłę przywiózł z Francji brat mojego ojca – Walenty. Wyjechał do Francji po I wojnie światowej i pracował tam jako stolarz budowlany, również w kopalni. Pierwsze próby cięcia drzewa tarczówką przeprowadził ojciec ze stryjem w naszej stodołę, ponieważ tam był napęd (oczywiście konny, energię elektryczną w Brzostowie miała tylko resztówka i gorzelnia). Dla podwyższenia obrotów wykorzystali młockarnię

szerokomłotną, w której na dolny wał założyli duże drewniane koło, z niego pasem była napędzana piła.

Całe to urządzenie funkcjonowało znakomicie, było jednak skomplikowane ze względu na pośrednictwo młockarni. Zawistowscy to zobaczyli, kupili pilę z wałkiem mocującym i zamiast młockarni do podwyższenia obrotów zastosowali koło zębate od sieczkarni, osadzone bezpośrednio na konstrukcji podtrzymującej wałek piły. Obroty były mniejsze, ale urządzenie pracowało bardzo dobrze i oddało im duże usługi przy pracach wykończeniowych.

Dla Walentego w Brzostowie nie było pracy. Kupił gospodarstwo rolne z parcelacji w Kosztowie, odległym od Brzostowa o około 12 km. Zagospodarował się, ale nie mógł żyć bez stolarki. Oprócz piły tarczowej miał dużą pilę taśmową (60 mm szerokości), frezarkę, dłutownicę i inne urządzenia stolarskie. Gospodarze obrabiali mu ziemię, a on wykonywał dla nich usługi budowlano-stolarskie. Nawet gdy był w podeszłym wieku, przywożono go na budowę. Często wydawał polecenia na siedząco, bo bolały go nogi.

Stryjostwo starość spędzali sami. Mieli dwóch synów. Jeden służył w kawalerii i w 1939 r. dostał się do niewoli. Zginął w Niemczech podczas bombardowania. Drugi z synów po wojnie wrócił do Kosztowa, nie widział jednak tam dla siebie miejsca, jakoś przedostał się do Francji, gdzie założył rodzinę i pozostał na stałe.

JESIENNE ZAJĘCIA

Dla mnie nadszedł trudny okres jesienno-zimowy. Po fantastycznych przeżyciach, jakich doznałem podczas obserwowania budowy, nastąpiła bezmierna nuda. Wynajdowałem sobie najrozmaitsze zajęcia. Głównie sprowadzało się to do strugania nożem drewna, obrabiania go toporkiem i rąbania drewna na opał. Swoją działalność prowadziłem w sieni na dole. Określenie „na dole” bierze się stąd, że między kuchnią a sienią było kilka stopni schodów. Matka tolerowała moje wyczyny, ale często interweniowała. Nie podobało jej się, że niszczę odzież, ponieważ często w czasie strugania opierałem drewno o brzuch. Brałem noże kuchenne, które tępiłem i wyszczerbiałem. Często pomagałem sobie, wałąc w nóż młotkiem, więc bywało, że nóż się łamał. Matka patrzyła też z niepokojem na moje ciągle pokaleczone ręce. Wciąż jednak miałem nowe pomysły. Moje wyroby były marne, nieefektywne i nieprzydatne nawet do zabawy. Najczęściej kończyły swój żywot w piecu.

W kuchni stał duży stół, a za nim, przy ścianie, solidna ława z oparciem. Nogi ławy zrobione były z szerokich, podciętych od dołu na półokrągło desek. To miejsce, odległe od środka mieszkania, wydawało mi się bezpieczne. Przy nogach ławy chowałem bardzo często swoje „cenne” rzeczy – kawałek drewna, sznurek, pasek, gwóźdź, jakąś sprzączkę. Babka lub matka, zamiatając kuchnię, znajdowały te rzeczy. Nie zawsze miały świadomość, jaką wielką miały one dla mnie wartość – niektóre rzeczy wyrzucały, inne odkładały. Bolałem nad każdą utraconą rzeczą. Rodziło się we mnie poczucie krzywdy i bezsilności.

Zacząłem coraz częściej myślami uciekać od rzeczywistości do świata marzeń, gdzie wszystko było możliwe i łatwiej było żyć. Imaginowałem sobie najrozmaitsze sytuacje. W świecie marzeń moje poczynania były doskonałe, wszystko mi wychodziło, miałem uznanie otoczenia i nikt nie wyrzucał moich rzeczy, które też były doskonałe i ładne.

GORZELNIA

Jesienią ruszyła gorzelnia. Teraz ona wzbudziła moje wielkie zainteresowanie. Od budynku gorzelni do naszych zabudowań było około pięćdziesięciu metrów. Bacznie obserwowałem wszystko, co się tam działo. Ciekawiły mnie dobywające się z gorzelni odgłosy, a było ich sporo.

Jak wielu rolników, woziliśmy do gorzelni ziemniaki. Najpierw były ważone na wadze dla wozów. Potem wieziono je na drugą stronę gorzelni i zrzucono do piwnicy, gdzie była płuczka. Wóz jeszcze raz ważono, by odliczyć jego ciężar od ciężaru całości. Moją ciekawość budziła płuczka. Było to kilkumetrowej długości półokrągłe koryto (o średnicy około półtora metra) z małymi otworami dla odpływu wody. Znajdowało się ono w drugim korycie, już bez otworów. Nad korytem, w jego średnicy umieszczony był wał z prostopadłe zamontowanymi mieszađłami w postaci krótkich wiosel. Mieszađła, skręcone pod pewnym kątem względem wału, również miały na swojej powierzchni otwory. Na końcu koryta znajdował się transporter, który zabierał wyplukane ziemniaki i przenosił je w górę do parowania. Transporter stanowił pewnego rodzaju łańcuch, do którego były umocowane czerpaki, każdy z nich mógł zabierać kilka kilogramów ziemniaków.

Płukanie odbywało się w ten sposób, że z jednego końca do koryta (do którego ciągle leciała woda) wsypywano ziemniaki. Były

mieszane przez skretnie ustawione mieszadła, które powodowały przemieszczanie ziemniaków w kierunku drugiego końca koryta, skąd zabierał je transporter. W pomieszczeniu tym ciągle było zimno i mokro, więc nie lubiłem tego miejsca.

Do gorzelni bardzo często jeździłem z kimś ze starszych po wywar, produkt pofermentacyjny, składający się z rozgotowanych ziemniaków i wody. Chętnie piły go krowy, podawało się go również z inną paszą.

Te powierzchowne kontakty z gorzelnią nie satysfakcjonowały mnie. Chciałem wiedzieć, co jest w środku i co się tam robi. Wyobraźnię moją pobudzał czarny dym z komina, syk pary, „gdakanie” pompy głębinowej i odgłosy przelewanej wody do studni. Imponująco wyglądały wielkie okna głównej hali produkcyjnej, szczególnie wieczorem, kiedy były oświetlone.

Wyobrażałem sobie, że w tak dużym budynku, który ma tak wielki komin, pracują ludzie ogromnego wzrostu. Ludzie, których tam widywałem, nie byli tacy. Wreszcie spytałem ojca: „– Gdzie są te wielkoludy?”. W pierwszej chwili nie bardzo wiedział, o co chodzi, a gdy sprawa się wyjaśniła, zdecydował się zabrać mnie do gorzelni.

Ciekawiło mnie wiele rzeczy, ale głównie maszyna parowa. Lubiałem zabawy, w których można było obracać jakieś koła i wydając odpowiednie dźwięki, udawać samochód. To, co zobaczyłem, przeszło wszelkie dziecięce wyobrażenia. Wielkie koło obracało się samo i jeszcze poruszało inne koła. Prawie połowa wielkiego koła maszyny była wpuszczona w posadzkę, co jakby zbliżało całą maszynę do obserwatora. Mówiono mi, że koło napędza para, ale ja jej nie widziałem. Widziałem natomiast mosiężne prowadnice tłoka pokryte warstwą oleju. Po każdym przejściu suwaka olej był spychany i pokazywał się żółty metal – po kolejnym przejściu ponownie pokrywany olejem. Żółtość metalu stopniowo ginęła pod olejem, co stanowiło przepiękny widok. Mogłem na to patrzeć godzinami. Maszyna wręcz mnie zahipnotyzowała. Nie docierały do mnie słowa ojca – kiedy chciał wyjść, musiał mnie wynieść na rękach. Potem długo jeszcze słyszałem syk pasa, który napędzał transmisję.

Po wizycie w gorzelni myślałem tylko o maszynie parowej. Nie mogłem pojąć, jak to się dzieje, że para, którą tak często obserwowałem wydobywającą się z garnków i z dzióbka czajnika podczas gotowania, porusza tak wielkie koło. Maszynę miałem przed oczami w dzień, w nocy widziałem ją w snach. Miałem piękne sny. Naj-

częściej śniło mi się, że jestem maszynistą i jeżdżę na pasie transmisyjnym, a wokół latają jaskółki. Rozmawiają ze mną ludzkim głosem i podziwiają mnie.

Jaskółki gniazdowały w naszej oborze. Te małe, śliczne ptaszki przez wszystkich były darzone sympatią, nikomu nie przeszkadzały. A w dodatku tępiły muchy, które są zmorą każdego gospodarstwa. Jaskółki miały dwa, a czasem trzy gniazda. Gdy wylęgły się małe, w każdym gnieździe było widać rząderek żółtych dziobków. Kiedy przylatywali rodzice z pokarmem, z dziobków wydobywał się niesamowity jazgot. Pokarmem były chwytywane w locie muchy. Jaskółki są doskonałymi lotnikami. Zbliżywszy skrzydełka, potrafią przelecieć przez mały otwór wybity w szybie. Zdarzało się to wtedy, kiedy drzwi do obory były pozamykane.

Kiedy młode jaskółki wylatywały z gniazd, czatowały na nie koty. Nieudany lot – kiedy jaskółka uderzała w ścianę, czy też w inny przedmiot i spadała na ziemię – kończył się w pysku kota. Moim zadaniem w tym czasie, które sam sobie wyznaczyłem, było przepędzanie kotów z obory.

Kampanię w gorzelni kończono pod koniec zimy. Przeprowadzano konieczne remonty i zapanował w niej względny spokój. Nie nastąpił on jednak w mojej głowie – ciągle byłem zaabsorbowany tym obiektem, a moje myśli koncentrowały się wokół różnych miejsc, które mnie szczególnie interesowały. W pewnym momencie była to np. waga do ważenia wozów. Jej platforma, na którą wjeżdżał wóz, znajdowała się na poziomie ziemi, ale jednocześnie nigdzie nie dotykała jej swoimi brzegami. Do wagi należał drewniany budynek, przylegający jednym bokiem do muru gorzelni, skąd było do niego wejście. Miał panoramiczne okna, przez które wagowy obserwował ważony obiekt i porozumiewał się z interesantem. Ciężar obiektu był wydrukowany na kartoniku.

Wydawało się, że nie ma tu nic ciekawego. Ja jednak dopatrzyłem się, że do dolnej części drewnianego budynku wagi jest wejście, do którego można się było dostać, wsuwając się między jego drewnianą ścianę, a szyby okna gorzelni. Gdy znalazłem się w tym przejściu, wymacałem nogami grunt i wszedłem do środka. W pierwszej chwili ogarnęła mnie ciemność. Gdy oczy przyzwyczaiły się do mroku, mogłem rozróżnić przedmioty. Nie było tam nic specjalnego do oglądania z wyjątkiem ciężkiej wagi, które prowadziły do góry, do kabiny wagowego. Można było do niej wejść z dołu,

odchylając klapę zasłaniającą otwór. Nie chciałem zdradzać swojej obecności i nie wchodziłem tam. Cięgła były gładkie, kanciaste i zimne, co kontrastowało z temperaturą na zewnątrz. Dotykałem ich rękami z rozkoszą, ponieważ nigdzie nic podobnego nie spotykałem. Dotykałem też uchem, bo myślałem, że usłyszę, co dzieje się w gorzelni. Nic jednak nie usłyszałem.

W dół ciągła prowadziły do kanału, gdzie były połączone z dźwigami biegnącymi spod platformy wagi. Kanałem przechodziłem pod platformę i oglądałem wszystko, co tam można było obejrzeć. Po takiej wycieczce przychodziłem brudny i wysmarowany. Pewnego razu wybrałem się na myszkowanie do wagi i pech chciał, że przyjechał ktoś ważyć wóz. Byłem akurat w niszy pod platformą i pomyślałem, że może mnie przygnieść jakaś dźwignia. Bałem się też, że może pęknąć deska platformy i koń nadeptnie mi na głowę. Strach i wielki hałas spowodowały, że ukląknę i oparłem się łokciami o posadzkę. Wtedy zobaczyłem, że kilkanaście centymetrów od mojego nosa leżą zdechły szczur i wielka ropucha. Wyszedłem przerażony, ale szczęśliwy, że żyję i że nic mi się nie stało. Wróciłem do domu brudny i wysmarowany jak nigdy. Dobrały się do mnie babka i matka. Nie ob było się bez razów. Koniecznie chciały wiedzieć, skąd wracam taki brudny. Nie zdradziłem im jednak swojej tajemnicy.

Po latach zgłębiłem wszystkie tajemnice gorzelni. Była to klasyczna dziewiętnastowieczna fabryka, ale nikt tego określenia nie używał. Mówiło się po prostu – gorzelnia. Był w niej fabryczny kocioł z paleniskiem do wytwarzania pary, pod którym palono węglem. Dla podwyższenia wydajności spalania wybudowano fabryczny komin. Pary używano do celów technologiczno-produkcyjnych i do napędu maszyny.

Technologia nie była skomplikowana. Wyplukane ziemniaki rozgotowywano parą i studzono. Po dodaniu jęczmiennego sło-du w odpowiedniej proporcji z wodą, wszystko to poddawano fermentacji, tak powstawał zacier. Przefermentowany zacier był gotowany również parą.

Część pary napędzała maszynę, a ta – transmisję, którą stanowił łożyskowy wał umocowany do jednej ściany. Na wale, w miejscu gdzie znajdował się odbiornik energii, umiejscowiono dwa koła pasowe – jedno sprzężone z nim na stałe, drugie obracające się swobodnie. Chcąc uzyskać napęd na dany odbiornik, należało przepchnąć pas na koło, na stałe połączone z wałem. Gdy pas

był przesunięty na wolne koło, odbiornik nie był napędzany. Pas przesuwano się widełkami odpowiednią dźwignią. Odbiornikami energii napędzanymi z transmisji były: płuczka, pompa głębinowa, śrutownik i inne mniejsze urządzenia. Pompa głębinowa była w pomieszczeniu obok gorzelni. Na wysokości kilku metrów nad ziemią był umieszczony prowadzący do niej pas transmisyjny. Pas biegnący w jedną stronę był znacznie oddalony od pasa biegnącego w drugą stronę. Miały one dwie prostokątne osłony, wyglądające z dołu jak belki podpierające gorzelnię.

OBOWIĄZKI

W Brzostowie dzieci wcześniej wdrażano do obowiązków gospodarskich. Nie stanowiłem wyjątku. Zostałem pomocnikiem pasterza, a nawet jego zastępcą. Moje debiuty pasterskie wypadły fatalnie. Pierwsze zlecenie dostałem od matki. Właśnie spod dwóch gęsi wylęgły się gęsięta i matka wynosiła je w koszyku od ziemniaków do ogrodu, a ja przy tym asystowałem. Gęsięta, jak wiele innych piskląt, są pokryte żółtym puszkciem. Całe dno dużego koszyka było pokryte puszkciem, z którego wystawały małe główki z oczkami i ślicznymi małymi, również żółtymi, niezamykającymi się dziobkami. Z koszyka wydobywały się piskliwe głosiki. W drodze towarzyszyły nam obie gęsi, mocno niezadowolony gąsior i pies Naton.

W ogrodzie matka wysypała małe stworzonka na trawę. Trawa była niewysoka i nie utrudniała maluchom poruszania się. To był piękny widok – na tle świeżej trawy gęsięta wyglądały jak żółte, poruszające się kwiaty. Matka dała mi kij, którym miałem się bronić przed gąsiorem i przepędzać wrony, które przylatywały z odległego o pół kilometra lasu i kradły pisklęta, unosząc je w szponach. Matka musiała wrócić po coś do domu i szczególnie uczuliła mnie na wrony. Wziąłem to sobie głęboko do serca. Postanowiłem wronę złapać. Schowałem się za coś i czekałem. Gdyby nadleciała, miałem nagle wyskoczyć z kryjówki i złapać ją. Zaszyłem się tak skutecznie, że nie zauważyłem wrony, a po powrocie matka nie mogła mnie znaleźć. Przeliczyliśmy maluchy – jednego brakowało. Został porwany.

Matka zrobiła mi długi wykład. Dowiedziałem się, że wrony mają gniazda w lesie na wysokich drzewach i że są drapieżne. Co znaczy, że kradną dla swoich młodych małe gęsięta i inne pisklęta. I że człowiek, a tym bardziej takie dziecko jak ja, porusza się zbyt

wolno, by je złapać. Można zapobiec kradzieży gęsiąt, jeżeli się przy nich stoi i wrona to widzi, bo wtedy nie odważy się podlecieć tak blisko człowieka.

Bardzo przestrzegałem tych wytycznych i gdy matka znów się oddaliła, przebywałem blisko gęsiąt. Okazało się, że wręcz za blisko, co nie spodobało się gąsiorowi i w pewnym momencie ruszył do ataku. Wyciągnął w moim kierunku szyję i zaczął przeraźliwie syczeć, zbliżając się do mnie. Gąsiory są bardzo agresywne i nieustępliwe. Powinienem się bronić, tłukąc go kijem po szyi i głowie. Nie umiałem tego robić, a na dodatek popełniłem fatalny błąd, bo odwróciłem się i zacząłem uciekać. Gąsior tylko na to czekał – ruszył w pogoń z rozpostartymi skrzydłami. Skoczył mi na plecy, uderzając całym swoim ciężarem przewrócił mnie, tłukł skrzydłami i szczypał dziobem. Wszystko to było bardzo bolesne (gąsior tłucze kośćmi skrzydeł) i mogło się dla mnie źle skończyć. Z pomocą przyszedł mi Naton. Pies poszarpał ptaszysko i w końcu je odpędził. Kilka dni chodziłem z siniakami i miałem pokaleczone dziobem szyję i uszy. Od tego czasu gąsior był zamykany w klatce bez dna, żeby mógł szczypać trawę. Często śniło mi się, że atakuje mnie gąsior. I zawsze ratował mnie Naton.

Podobny incydent u Zawistowskich miał bardziej dramatyczny przebieg. Dzieci bawiły się na podwórzu. W pewnym momencie któreś z nich wpadło do kuchni z krzykiem: „– Biję go!”. Zawistowska była zajęta swoimi sprawami i myślała, że dzieci szarpią się między sobą i odpowiedziała: „– A niech go tam bije”. Za chwilę, któreś z dzieci przybiegło ponownie z okrzykiem: „– Biję go!”. Matka odpowiedziała jak poprzednio. Kolejny komunikat brzmiał: „– Już go zabił!”. Zawistowska wyjrzała na podwórze. Jedno z dzieci leżało bez ruchu na ziemi, a na nim siedział gąsior. Gdy delikwent się poruszył, dostawał łomot skrzydłami. Był już półprzytomny, pokaleczony i dotkliwie potłuczony.

Kolejny mój debiut miał miejsce na polu przy krowach. Ignac i Stachu poszli do szkoły i nie miał kto przypilnować krów. Ojciec wziął mnie na wóz, a pies pędził krowy na pole. Krowy pasły się w słodkim łubinie. Był duży i wypasało się go kawałkami. Gdyby krowy zostały wpuszczone od razu w całość, przydeptałyby go i nie zostałyby wyjedzone. W łubinie została więc przedeptana ścieżka, do której mogły dochodzić krowy. Jeżeli chciały wejść dalej, to pasterz i pies je zawracali. Ojciec orał obok, wszystko kontrolował i podtrzymywał mnie na duchu. Początkowo wszystko szło zgodnie

z planem. Po pewnym czasie zmęczyłem się i moja aktywność zmalała. Należy tu podkreślić, że łubin sięgał mi do piersi, a nawet do szyi i poruszanie się w nim sprawiało mi trudności. Przyczyną niepowodzeń był jednak pies – zignorował pasterza i uciekł do domu. Nie miałem autorytetu u mojego psa. Nie umiałem z nim nawiązać kontaktu. Przestał reagować na moje polecenia i całkowicie mnie zlekceważył. Do pilnowania było ponad dziesięć sztuk bydła, było więc co robić. Bez psa nie mogłem sobie poradzić. Zmęczony zaplątałem się w łubin, usiadłem i usnąłem, a krowy „poszły na całość”. Ojciec zdyskwalifikował mnie jako pasterza. Przynajmniej tego dnia.

BRZOSTOWO

Brzostowo stanowią dwie wsie. Jedna nazywa się Brzostowo Nowe, a druga Brzostowo Stare. Są odległe od siebie o kilometr i mają wspólnego sołtysa. Brzostowo powstało w wyniku parcelacji majątku ziemskiego, którego zabudowania znajdowały się w Brzostowie Starym. Brzostowo Nowe wybudowano wzdłuż drogi łączącej Miasteczko Krajeńskie z Grabównem i drogi prowadzącej od krzyżówki przy szkole na zachód do lasu. Brzostowo Stare powstało w wyniku przebudowy zabudowań majątkowych.

Za punkt odniesienia w Brzostowie Starym można przyjąć pałac znajdujący się w trzyhektarowym parku, w którym przewagę miały kasztanowce. Dawniej pałac był zamieszkiwany przez właścicieli majątku. Pałac jest zwrócony frontem na wschód. I właśnie w tym kierunku około czterystu metrów od pałacu stał kościół ewangelicki. Nazywaliśmy go niemieckim, bo ewangelikami była mniejszość niemiecka. Wejście główne do kościoła było od strony pałacu.

Kościół miał jedną wieżę, na jej szczycie znajdował się krzyż, a pod nim kula. W świetle słońca, przed jego zachodem, świeciła się jaskrawym światłem kula albo jaśniał krzyż. Nigdy nie świeciły się razem. Mieszkańcy Brzostowa i okolicy twierdzili, że na pogodę świeci krzyż, na deszcz kula. Nie zawsze miało to potwierdzenie w rzeczywistości.

Kościół był zbudowany z czerwonej, polewanej cegły klinkierowej. Wysoko osadzone okna o wydłużonym kształcie miały metalowe ramy. W dużych ramach umieszczone były cienkie metalowe ramki, w których osadzono trójkątne szybki. Wszystko to powodowało, że przepuszczalność światła była duża. Ściany boczne kościoła wzmocniono równoległymi zastrzałami z zewnątrz. Dach był

wykonany z bardzo cienkiej, gładkiej, podwójnie ułożonej dachówki. W kościele były chór, organy i kazalnica. Za kościołem znajdował się cmentarz, z dwóch stron otoczony lasem. Tylne części cmentarza grzebalnego była dla wszystkich, a miejsce bezpośrednio za kościołem przeznaczone było dla dziedziców. Wybudowano tu kilka grobowców naziemnych o wygładzie i charakterze kaplic (największa miała około trzydziestu metrów powierzchni), w których ustawione były trumny. Przypominam sobie, że w jednym z grobowców wysoko umieszczono okrągłe okno, mniej więcej metrowej średnicy. Szkło miało niebieskawe zabarwienie, a brzegi poszczególnych szklanych płytek były skośnie szlifowane i osadzone w cienkich metalowych ramkach. Pod niektórymi grobowcami były głębokie przestronne piwnice, w których można było zmieścić kilka trumien. Do piwnic wchodziło się bezpośrednio z górnej kondygnacji, a wejście było zasłonięte marmurowymi płytami. Trumny były podwójne – dębowa z zewnątrz, z blachy cynkowej wewnątrz. Największa z nich miała około metra wysokości i około dwóch i pół metra długości. Trumna dwuletniego dziecka miała w części blaszanej wizjer z przezroczystego białego szkła.

Idąc od kościoła do pałacu, a więc w kierunku zachodnim, zaraz za płotem okalającym kościół napotyka się wiodącą w lewo drogę do lasu. Około pięćdziesiąt metrów za szkołą droga w prawo prowadzi na pola i do trzech wsi – Arentowa, Grabionny i Wolska. Dalej przez wieś prowadzi droga główna aż do skrzyżowania, które znajduje się mniej więcej w połowie drogi między kościołem a pałacem. Na pola i do Nowego Brzostowa skręca się w prawo, a w lewo (nieco z górki) także w pola i do Miasteczka. Po lewej stronie drogi biegnącej od skrzyżowania w prawo znajdowały się spalone zabudowania Wróbla i Zawistowskiego, a także nasze zabudowania.

Droga prowadząca do Miasteczka odległego o jeden kilometr rozgałęzia się na trzy drogi i ścieżkę, prowadzącą przez góry na południe. Jedną z dróg można uznać za główną. Prowadzi do stacji kolejowej i na łąki. Z tej drogi korzystają przede wszystkim mieszkańcy Brzostowa i Arentowa. Z Arentowa na łąki można jechać również przez las krótszą drogą. Ze względu na stromość tej drogi jeździ się nią przeważnie tylko w jedną stronę, na łąki. Droga powrotna wiedzie przez Brzostowo. Wozami konnymi jeździło się nią na tzw. łyżwie, którą stanowi nieco wygięty do góry płaskownik, około półmetrowej długości i kilku, czy też kilkunastu centymetrów

szerokości. „Łyżwę” na łańcuchu mocuje się do przedniej części wozu w ten sposób, by mogło na nią najechać tylne koło wozu i stać na niej w czasie jazdy. Ma ona z boków ograniczniki, by koło nie zsunęło się z niej w czasie jazdy. Koło na „łyżwie” nie obraca się, a ona trze o ziemię i w ten sposób uzyskuje się ostre hamowanie.

Zjazd tą drogą konnym wozem był niebezpieczny ze względu na jej wyboistość i bardzo strome odcinki, a jeżeli wóz był obciążony, mogło dojść do tzw. zaciągnięcia, co polegało na tym, że w czasie jazdy z góry pas piersi puszorka podchodził koniowi pod gardło. Koń się wtedy dusił – bywały wypadki, że zwierzę przewracało się z braku powietrza. Podobnie trudna jednokierunkowa droga wiodła za „pańskich” czasów z Brzostowa przez góry na stację kolejową do Miasteczka i przez przejazd kolejowy na łąki. Z czasem zaczęła ona służyć tylko do przepędzania bydła na rampę kolejową, a po dokonanej przez władze niemieckie parcelacji majątku przestała być używana. Woda wyźłobiła na jej miejscu rów i powstał kilkumetrowej głębokości wąwóz zarośnięty ciernistymi krzakami tarniny. Boki wąwozu prowadziła ścieżka, która była skrótem na stację kolejową.

Jest to jeden z najpiękniejszych zakątków w okolicy. Szczególnie wiosną i latem, kiedy zakwitną tarniny, a potem miliony innych kwiatów. Morenowe wzgórza pokryte są zielenią, kwitnącym rzepakiem, łubinem lub koniczyną. Nad polami rozlega się brzęczenie i buczenie owadów, fruwać kolorowe i białe (tych jest najwięcej) motyle, śpiewają ptaki. W oddali słychać kukulkę i stukanie dzieci.

Za parkiem droga wiodąca do Miasteczka skręca w lewo, w prawo odchodzi od niej droga do kościoła. Po stu metrach droga ta skręca pod kątem prostym w lewo. Wzdłuż niej, z lewej strony jest rów, którym płynie woda z parku.

Na północ i na północny wschód od pałacu, mniej więcej w kwadracie o boku dwustu pięćdziesięciu metrów, rozciągało się dworskie podwórze, ogrodzone budynkami gospodarczymi, z trzema lub czterema bramami wjazdowymi. Nasza stodoła i sąsiednie zabudowania, oraz spalony budynek Zawistowskiego i Wróbla stanowiły jego rubież wschodnią. To wielkie podwórze było podzielone murowaną stodołą i chlewniami na dwie części. W części wschodniej podwórza mieściła się gorzelnia, dom rządcy i spichlerz. Po parcelacji ocalała zachodnia część podwórza i służyła resztówce,

budynki wschodniej części podwórza zostały przerobione i służyły indywidualnym gospodarzom.

Budynki mieszkalne pracowników majątku znajdowały się po obu stronach drogi od krzyżówki do kościoła. Na końcu, po prawej stronie, w nieco okazalszym budynku mieścił się sklep i sala taneczna. Duży, piętrowy czworak znajdował się również za rubieżami zachodnimi folwarku. Nazywano go kazerną (od niemieckiego Kaserne – koszary). W majątku pracowali przeważnie Polacy.

MIESZKAŃCY

Brzostowska społeczność dzieliła się na tych, którzy posiadali ziemię i na bezrolnych. Po parcelacji majątku ziemia trafiła tylko w ręce niemieckie. Czuwała nad tym HAKATA¹. Po pierwszej wojnie światowej wszyscy niemieccy osadnicy z Brzostowa, którzy prawdopodobnie do niej należeli, optowali za Rzeszą i wyjechali do Niemiec. Część gospodarstw po nich otrzymali ludzie, którzy walczyli z bolszewikami w 1920 r. Nowi właściciele nie wszyscy byli rolnikami i nie bardzo wiedzieli, co z tym robić. Niektórzy sprzedali je od ręki za nieduże pieniądze, inni dzierżawili bądź ustalali plenipotencję. W Brzostowie Starym utrzymał się tylko jeden dzierżawca. Właściciel mieszkał w Warszawie. Nie każdy sobie zdawał sprawę, jakie są realia gospodarowania, szczególnie na początku – jak trudno jest o pieniądze i jak ciężko trzeba pracować. Ojciec mój odkupił gospodarstwo w 1922 r. z drugich, czy też trzecich rąk.

Ludzie bezrolni mieszkali w domach gminnych i w wynajętych mieszkaniach. Pracowali przeważnie u miejscowych rolników. Domy gminne w większości były dawnymi czworakami. Mieszkanie składało się z jednej izby, komory i wspólnej sieni.

Brzostowo zamieszkiwała ludność polska. Były też dwie rodziny niemieckie – kościelne i jeszcze jedna, w której – z wyjąt-

¹ W 1894 r. z inicjatywy Ferdinanda Hausemanna, Hermana Kennemanna, Heinricha Tiedemanna powstało Niemieckie Towarzystwo Marchii Wschodniej (Deutscher Ostmarkenverein), HAKATA (skrót od pierwszych liter nazwisk założycieli organizacji), niemiecka organizacja nacjonalistyczna, która wpływała na władze, aby utrzymywały kurs antypolski, dążąc do ostatecznej germanizacji ziem polskich w zaborze pruskim. Działalność Hakaty polegała m.in. na intensywnych antypolskich działaniach propagandowych oraz zachęcaniu Niemców do wykupywania nieruchomości od Polaków.

kiem głowy rodziny – matka i dzieci mówiły bardzo dobrze po polsku.

Według krążącej po wsi opowieści, majątek w Brzostowie bardzo dobrze prosperował do czasu, gdy gospodarzył ojciec (miał nawet powiedzieć, że prędzej zabraknie wody w Noteci niż pieniędzy u niego). Gdy zaczął gospodarzyć syn, który był namiętym karciarzem i lubił się bawić, pieniądze zaczęło brakować. Rzadko bywał na miejscu i w końcu przefrymarczył cały majątek. To wszystko musiało wydarzyć się w stosunkowo krótkim czasie, bo budynki w okresie parcelacji były w bardzo dobrym stanie. Dobrze też były utrzymane łąki, drogi na łąkach, rowy odwadniające i system melioracji na polach.

Opowiadano też legendy o duchach. Ludzie podobno widywali różne straszysła, których siedliskiem był cmentarz. Najczęściej widywano wysokiego mężczyznę w czarnym płaszczu i kapeluszu. Palił cygaro i na łańcuchu prowadził dużego, czarnego, kudłatego psa. Na jego widok oblatywał człowieka wielki strach i nie mógł zrobić kroku, a jeśli towarzyszył mu pies, to kulił się on przerażony przy nogach właściciela. Mężczyzną w czerni miał być pokutujący stróż, który za żywota nie wypełniał solidnie swoich obowiązków i naraził swego pana na duże straty. Pierwsi widzieli go trzej rabusi, którzy chcieli splądrować trumny i zakradli się do grobowca. Przymknęli za sobą drzwi, ale gdy zaczęli dobierać się do trumien, drzwi bezszelestnie się uchyliły. Stał przy nich stróż z cygarem w zębach i ze swoim kudłatym psem, który położył się przy jego nogach. Rabusiów obleciał wielki strach – dwóch z nich zmarło natychmiast, a trzeciego wpółobłąkanego znalazł rano kościelny. Od tego czasu widywano stróża podczas wędrówek po wsi.

PRACA

W Brzostowie (i nie tylko tam) ludzie pracowali bardzo ciężko. Wynikało to przede wszystkim z braku maszyn. W większych gospodarstwach, piętnasto-, dwudziestohektarowych, najmowano na stałe siłę roboczą (służących). W czasie większych prac angażowano dodatkowych ludzi. By ludzie nie opadli z sił, dostawali pięć posiłków dziennie (w tym drugie śniadanie i podwieczorek), niezależnie od tego, czy pracowali w polu, czy też na terenie zabudowań.

Ciężko pracowały również konie, maksymalnie wykorzystywane do robót w polu i młócenia w stodole. Bywało, że załadowany

wóz przejeżdżał przez podmokły albo piaszczysty grunt i jego koła zapadały się w ziemię. Jeśli ugrzęzły, trzeba było rozładowywać wóz. By tego uniknąć, biciem zmuszano konie do maksymalnego wysiłku. Ludzie nie oszczędzali ani siebie, ani zwierząt, które bywały wręcz katowane.

Umiejętność jazdy w trzy konie jest nie lada sztuką, którą opanowuje się latami. Powożący musi dobrze znać swoje konie i wiedzieć, od którego (i jak) w ciężkich warunkach można wyegzekwować większy wysiłek. Jeśli trzy konie są zaprzężone równolegle na wspólnych barkach, należy zabiegać o to, żeby wszystkie trzy ruszyły jednocześnie. Jeśli jeden z koni jest bardziej leniwy, to bardziej rączego należy „przytrzymać” w lejcach, a tego powolniejszego podciąć batem lub głosem (krzyknąć jego imię). Zasada jednoczesnego poderwania koni dotyczy także jazdy w dwa czy cztery konie.

W cztery konie jeżdżono w Brzostowie na resztówce (wymaga to znacznych umiejętności). Były dwie albo trzy fornalki (tak nazywa się czterokonny zaprzęg). Taki zaprzęg wygląda imponująco. Konie zaprzężone są parami – lżejsze z reguły z przodu, cięższe z tyłu przy dyszlu. W czasie jazdy przednia para ciągnie za dyszel, który na końcu ma hak – za niego zaczepiony jest bark przedniej pary koni. Lejce przedniej pary przewleczone są przez specjalnie wydłużone kółka umocowane do górnej części uździeniowej pary koni i dalej spięte z lejcami tej pary, woźnica więc trzyma tylko dwie lejce. Ich długość dobrana jest tak, że najpierw ściągana jest przednia para. Bat jest długi, by woźnica mógł sięgnąć nim również przednie konie. Podczas skręcania przednia para wykonuje większy okrąg i podczas jazdy klusem te konie muszą solidnie wyciągać nogi, żeby nadążyć bieć po tym większym okręgu.

Jazdę klusem jednej fornalki dobrze zapamiętałem. Stałem za zakrętem, przy rowie na skraju drogi. Przednie konie w tym miejscu wykonywały większy okrąg i biegly właśnie przy rowie prosto na mnie. Przerażony cofnąłem się do płytkiego w tym miejscu rowu i klapnąłem na siedzenie w błoto. Było gęste, tłuste i dokładnie oblepiło moje cztery litery. Wróciłem do domu z wielkim płaczem. Twierdziłem, że Marcin chciał mnie przejechać końmi. Tymczasem on po prostu mnie nie zauważył, bo konie zasłoniły mu widoczność. Marcin Ludka był sympatycznym człowiekiem, bardzo lubianym przez nas, dzieci. Gdy przejeżdżał, zawsze do nas zagadywał

i popisывał się strzelaniem ze swojego długiego bata. Nikt z domowników nie brał na serio mojego oskarżenia.

W Brzostowie ciężko pracowały również dzieci, które były niepłatnymi najemnikami. Najciężej z rodzeństwa mieli najstarsi. Gdy synowie wracali ze szkoły, czekały na nich lejce i bat, no i praca na polu do zmroku (bywało, że gdy w domu nie było chłopców, „w konie” pracowały dziewczynki). Lekcje były odrabiane wieczorem przy lampie naftowej. Jeżeli zadania nie przekraczały możliwości ucznia, to odrabiał je i szedł spać. Gorzej było, gdy czegoś nie rozumiał i nikt w domu nie mógł mu pomóc. Największą trudność sprawiało nauczenie się wiersza, szczególnie o niezrozumiałej treści. Jeżeli nawet nauczycielka w szkole tłumaczyła, co znaczą poszczególne zwroty i słowa, to przy koniach zapominało się o tym. Kto to ci cymbaliści, kto to Jankiel? Delikwent przypominał sobie kolegów, na których mówiono – „Ty cymbale”. Ale Jankiel nie kojarzył mu się z niczym. W domu najczęściej też nikt nie wiedział, co znaczą te dziwne słowa. Więc delikwent z płaczem szedł spać, a bywało, że oberwał za swoją „głupotę”.

Dzieci w Brzostowie nie protestowały z tego powodu, że muszą pracować, i to nieraz ciężko. Nikt ich zresztą o zdanie nie pytał. Rozumiały jednak, że jest to walka o przetrwanie i że w przyszłości będzie lepiej. Jeżeli pieniądze wyda się na obcą robociznę, to nie będzie na podatek i rentę, więc zagrozi komornik i bankructwo. Rentą nazywano stałe koszty, którymi było obciążone dane gospodarstwo – koszty ziemi, budynków i parcelacji, rozłożone na raty.

U nas z rodzeństwa najstarszy był Stachu i to on przejął od ojca lejce i bat. Tak się szczęśliwie składało, że był urodzonym rolnikiem i w gospodarstwie pracował z prawdziwą przyjemnością. Ja z Ignacem pracowaliśmy z obowiązku. Ignac od dziecka miał zadatki na intelektualistę, a ja na rzemieślnika. Najmłodsza z nas Stasia była pod opieką matki.

BYT

W wielu gospodarstwach oszczędzano na jedzeniu, przede wszystkim na mleku i mięsie. Mleko odstawiano do mleczarni. Można go było sprzedać każdą ilość i dzięki temu były pieniądze na bieżące wydatki. Dzieci musiały doić krowy, ale nie mogły się napić mleka, albo nie tyle, ile chciały.

W biednych domach często brakowało na chleb i artykuły codziennego użytku. Dzieci chodziły do szkoły głodne. Byli tacy,

którzy woleli cierpieć niedostatek, ale do bambra (gospodarza) nie poszli pracować. Czekali na prace gminne, których było mało, wiele takich prac wykonywano w ramach szarwarków (czyli pracy świadczonej na rzecz całej wsi). Najtrudniej było w rodzinach wielodzietnych. Rodzina Jana Grabowskiego mieszkała w czworaku – nie mieli ziemi, ale pracowały dwie, czy nawet trzy osoby, a w rodzinie było tylko jedno dziecko. Stać ich było na kupno maszyny do szycia i roweru, co było dużym osiągnięciem w tamtym czasie. Był to drugi rower w Brzostowie, pierwszy należał do rządcy z resztówki. Grabowski był człowiekiem bardzo pracowitym, hodował też trzy kozy i świnię. Często pracował u mojego ojca. Lubiałem słuchać, jak się rozliczali. Rozmowa była rzeczowa, obaj nie byli małostkowi. Grabowski mówił: „– Wziąłem od ciebie piętnaście snopków słomy. – Słomy nie będę ci liczył. Byłeś przy wywózce gnoju cztery dni. – Będziemy liczyć trzy, bo ten jeden dzień to były tylko cztery godziny, pracę przerwał deszcz”. Ich rozliczenia składały się z wielu takich życzliwych kompromisów. Grabowski był człowiekiem sympatycznym i bardzo lubianym w naszym domu.

Wielu ludzi żyło w nędzy i chodziło po prośbie. Niektórzy z nich, chodząc „po domach”, grali, śpiewali. Bywało, że łączyli się w małe zespoły muzyczne. W naszym domu bardzo przestrzegano tego, by proszący nie odszedł z kwitkiem. Kiedy proszący pojawił się w czasie posiłku, był zapraszany do stołu. Pamiętam taką sytuację – przyszedł któregoś dnia człowiek po prośbie i matka jęknęła: „– O Boże, już dzisiaj dziesiąty”. Babka znacząco chrząknęła. Oznaczało to, że matka ma temu człowiekowi coś dać, więc spytała: „– Co bierzecie? – Wszystko” (to znaczy, że bierze mąkę, chleb, ziemniaki). Otrzymał miseczkę mąki. W tym czasie przez „wy” zwracano się do wielu ludzi, nie tylko do biednych. Była to forma ogólnie uznana i bardzo wygodna, używano jej przede wszystkim w stosunku do ludzi starszych.

„Chodzili” też młodzi ludzie, którzy brali tylko pieniądze. Gdy proponowało się im pracę, szybko odchodzili. Bywali też specjaliści, którzy oferowali różne maści i ekspelery (w gwarze wielkopolskiej preparat, pierwotnie nalewka ziołowa „na wszystko”) na odciśki, reumatyzm, bóle brzucha, głowy i inne dolegliwości.

Oddzielną grupę stanowili uczciwi domokrażni handlarze. Sprzedawali spinki, grzebienie, grzebienie do wkładania we włosy, agrałki, igły, nici, wstążki, małe laleczki i mnóstwo innych rzeczy. Jak to bogactwo zobaczyły dzieci, to trudno było się im oprzeć,

żeby czegoś nie kupić. Kolejną grupą byli ludzie, którzy lutowali garnki i wstawiali dna do misek. Oni interesowali mnie najbardziej, podziwiałem ich wprawę. Wycinali krążek z cynkowanej blachy i zaginali jego obrzeże na całym obwodzie. Podobnie zaginali wewnętrzną krawędź obrzeża miski. Nakładali jedno na drugie i na główce pięciokilogramowego odważnika zaklepywali młotkiem. Naprawiona miska służyła jeszcze kilka lat.

Wszyscy ci wędrowcy musieli gdzieś nocować. Na bezpłatne noclegi kierował sołtys Maćkowiak, dając odpowiednią karteczkę. Maćkowiak był z moim ojcem bardzo zaprzyjaźniony. W naszym domu, jeżeli ktoś był zadbany, spał w mieszkaniu, nawet w pościeli. Jeżeli czystość danej osoby budziła zastrzeżenia, to latem spała ona w stodole, a zimą w stajni. Ze względu na możliwość spowodowania pożaru, przed snem ojciec prosił gości o oddanie zapalek i papierosów. Maćkowiak najczęściej kierował do nas muzykantów. Sam przychodził wieczorem, by posłuchać muzyki. Po wspólnej kolacji muzykanci dawali swoje koncerty. Grali, jak umieli. Radio było rzadkością, więc chętnie słuchano każdej muzyki.

NAUCZYCIELE

Mój brat Ignac miał zadatki na intelektualistę. Czytał dużo książek, gazet i interesował się sportem. (Do dzisiaj pamiętam wynik kanadyjskiego biegacza Wiliamsa, który w latach trzydziestych przebiegł sto metrów w 10,3 sekundy. Pamiętam też, że Murzyn Joe Louis, zawodowy bokser amerykański, złamał w czasie walki Niemcowi Maxowi Schmelingowi dwa albo trzy zębra). Ignac czytał w każdej wolnej chwili, także w trakcie jedzenia. Dzięki niemu poznawałem świat. Był moim pierwszym niemianowanym nauczycielem. Byliśmy nie tylko braćmi, ale i serdecznymi przyjaciółmi, choć byłem jego przeciwnieństwem. Wołałem porąbać stos drewna niż przeczytać stronę książki. Jednak to, co przekazywał mi Ignac, bardzo mnie interesowało. Ojciec abonował trzy gazety. „Gazetę Grudziądzką” (albo „Wielkopolanina”), „Przegląd Katolicki” i „Gazetę Rolniczą”. Drugim źródłem wiedzy była dla mnie babka Michalakowa, matka matki. Była osobą bardzo aktywną. Wstawała wcześniej i bardzo dużo pracowała w polu, domem zajmowała się matka. Od babki dowiedziałem się wiele o leśnych zwierzętach i o życiu w wodzie – dlaczego ryby mogą żyć pod lodem, a woda nie zamarza od dna; dowiedziałem się, że żaby

zimują w szlamie i po wyjściu z niego na wiosnę bardzo dużo z nich ginie z wycieńczenia; że borsuki część zimy przesypiają w głębokich norach. I o tym, które ptaki na zimę od nas odlatują, a które przylatują. Babka знаła i zbierała zioła, wiedziała, jakie schorzenia można nimi leczyć. Zabierała mnie, gdy byłem jeszcze małym chłopcem, na jagody, grzyby i na inne eskapady. Bywało, że zmęczonego brała mnie na plecy i niosła do domu.

Zadawałem jej setki pytań. Gdy w drodze do lasu przechodziлиśmy koło cmentarza, odczuwałem pewien lęk i mocno trzymałem się babczynej ręki. Pytałem, czy duchy z grobowca wychodzą tym okrągłym oknem, czy też drzwiami. Pytałem, czy babka widziała strachy i diabła: „– Czy diabeł jest duży czy mały?”. Według babki mógł być duży, mógł też być mały. Dociekałem dalej: „– Czy taki jak mały pies, czy taki jak koń?”. Bywało, że babka rugała mnie za takie cudaczne pytania. Kiedyś mnie bardzo osztorcowała i nazwała grzesznikiem. Wymyśliłem zmianę w pacierzu. Zamiast prosić o „chleb nasz”, zaproponowałem, by prosić o kielbasę.

CODZIENNE TROSKI

Prace w gospodarstwie rolnym są bardzo różnorodne. Można je lubić lub nie, ale wszystkie muszą być wykonane. Ja najbardziej nie lubiłem tych prac, podczas których ręce były oblepione świeżą ziemią, np. podczas zbierania ziemniaków. Miałem na to nawet pewnego rodzaju uczulenie – gdy świeża ziemia obeschła już na palcach, przy ponownym dotknięciu ziemniaków czułem, jak przebiegają po mnie dreszcze. Nikomu o tym nie mówiłem, bo bałem się ośmieszenia. Bez żadnych problemów pracowałem narzędziami z drewnianymi trzonkami – łopatą, widłami, grabiami itp. Bardzo lubiliśmy pracować na łące przy sianie. Najbardziej bezmyślną pracą było poganianie koni w maneżu (w innych regionach nazywanym kieratem) i pasanie krów.

Maneż jest to stosunkowo prosta maszyna, służąca do napędzania innych maszyn rolniczych za pomocą koni. Można nim napędzać młockarnię, sieczkarnię, śrutownik, pilę tarczową itp. Ma dwie przekładnie podwyższające obroty. Napęd jest przekazywany do stodoły za pomocą obracającego się stalowego drąga o średnicy około 30 mm. Maneż jest wyposażony w grube drewniane dyszle z odciągami ze stalowych prętów. Konie chodzą w nim po okręgu o średnicy około 7–8 metrów i muszą być popędzane przez czło-

wieka, bo same, przy większym obciążeniu zatrzymują się. Chodzenie za końmi w maneżu źle wpływało na moje samopoczucie. Podobnie było z pasaniem krów.

Bezczynność skłaniała mnie do ucieczki od rzeczywistości, wyzwalala najrozmaitsze myśli i budziła świat fantazji, w którym można być kimś innym, posiadać wszystko. Miałem więc maszyny jeżdżące, latające i pływające. Wszystko to funkcjonowało i poruszało się wbrew zasadom fizyki. Z czasem świat fantazji zawładnął mną do tego stopnia, że stało się to pewnym problemem. Pograżałem się w nim w najmniej oczekiwanych okolicznościach, np. gdy siedziałem wśród rodziny przy stole. Myślamy byłem gdzie indziej, co zauważał ojciec i zwracał mi uwagę. Ojciec, jak zresztą całe moje otoczenie, nie znał przyczyny mojego rozkojarzenia.

Miałem coś w rodzaju wyrzutów sumienia, że nie mam zamiłowania do gospodarki, jak mój ojciec. Obserwowałem jego poczynania, talent do gospodarowania i wielką zaradność. Zawodu rolnika należy się uczyć długo i wytrwale. Oczywiście dużo łatwiej jest, jeżeli ma się przygotowanie teoretyczne. W Brzostowie wśród rówieśników ojca nikt nie miał takiego przygotowania, każdy uczył się od swojego ojca i – oczywiście – na własnych błędach. Uczono się też od siebie nawzajem. Do Brzostowa przyjechali ludzie z całej Polski, więc gospodarzyli różnie. Na początku nawet były tarcia na tle dzielnicowym, z czasem jednak zanikły i stosunki sąsiedzkie nieźle się układały. Ojciec dobrze żył ze wszystkimi sąsiadami z wyjątkiem dwóch, których podwórza, a w jednym przypadku zabudowania, bezpośrednio przylegały do naszych. Ciągłe dochodziło z nimi do jakichś nieporozumień – o psa (któremu wybili oko), że na nich szczeka, to o kota (którego w końcu zakatowali i przerzucili na nasze podwórze), że do nich przychodzi. Robili w płocie dziury, przez które przechodziły kury i inne ptactwo (bardzo często już nie wracało). Jeden z tych sąsiadów był mistrzem w zabijaniu obcych gołębi batem (na jego końcu była przywiązana śruba). Wabił je odpowiednim gwizdaniem. Kilka razy pytałem ojca, o co w tym wszystkim chodzi. Odpowiedź była jedna – to pretensja do garbatego, że ma proste dzieci, czy też do ślepego, że jego dzieci widzą. Były też pretensje o to, że choć ziemia ojca graniczyła z ziemią jednego z sąsiadów przez miedzę, to u ojca były lepsze urodzaje. Na przednówku sąsiad przychodził pożyczać od ojca zboże. Z oddawaniem co roku były kłopoty.

POŻYCZKI

Któregoś roku sąsiedzi młócili u ojca w stodole swoje zboże, korzystając z maszyny szerokomłotnej i wiejnia. Gotowe, oczyszczone zboże przenosili do siebie. Ojciec dwa razy mówił, żeby odważyli tyle, ile przedtem pożyczili. W końcu otrzymał wulgarną odpowiedź, a w stodole zostało już mało zboża. Ojciec zamknął więc wrota stodoły i przerwał wynoszenie. Reakcja była natychmiastowa – złapali, co kto miał pod ręką: szufle, łopaty, widły i ruszyli na ojca. Przewidział to i już wcześniej upatrzył sobie wielką kłódkę, na którą „za pańskich czasów” zamykano stodołę. Sięgnął po to żelazo i stanął w narożniku wrót stodoły i przylegającej ściany. W ten sposób zabezpieczył się od tyłu, z przodu był do niego mniejszy dostęp, więc nie mogli go zaatakować wszyscy jednocześnie. Kiedy napastnicy ruszyli, a było ich trzech, był już przygotowany do przyjęcia ataku. Pierwszy uderzył go widłami, ojciec uderzenie przyjął na rękę i dzielił napastnika kłódką koło ucha, ten stracił przytomność, upadł. Podobny los spotkał drugiego. Trzeci już nie próbował. Ojciec otworzył wrota stodoły i wyrzucił całe towarzystwo. Okazało się, że pierwszy został najbardziej poszkodowany i kumple musieli mu pomóc w opuszczeniu stodoły. Na drugi dzień poszkodowany przyszedł przeproszać i proponować oddanie zboża.

Kilka lat później, na przednówku, brat Wojtka, Szymek, przyszedł pożyczyć zboże. Ojciec odmówił, bo gdy pożyczał, to zawsze były kłopoty z oddaniem. Po pewnym czasie Szymek przyszedł z żoną i ponowił prośbę. Zaklinali się na wszystkie świętości, ostatecznym argumentem było: „– Ignac, bój się Boga, poumierają nam z głodu dzieci!”. Ojciec zboże pożyczył. Na drugi dzień Szymek przyniósł zastaw – choć ojciec takiego warunku nie stawiał – kilkustrzałowy rewolwer, ale bez amunicji. Ojciec był pacyfistą, więc nawet go nie wziął do ręki i kazał Szymkowi zabrać broń. Szymek tego nie zrobił i spluwa została. Leżała w sypialni pod łóżkiem, w kartonie po butach. Dla nas, chłopców, była nie lada atrakcją. Rewolwer był wielki, ciężki, ze spustem tak twardym, że iglicę naciągaliśmy palcami wskazującymi obu rąk. Spluwa leżała u nas dosyć długo, więc w końcu emocje opadły.

Finał był nieoczekiwany. Pewnego ciepłego, słonecznego, letniego dnia, z samego rana na podwórzu pojawił się policjant. Był służbowo – pasek od czapki miał pod brodą. A powagi jego wizycie dodawał karabin (oprócz broni krótkiej) w uchwycie przy ramie roweru.

Rozmawiał z ojcem oficjalnie, mimo że znali się bardzo dobrze. Rozmowa była dętwa, o wszystkim i o niczym. Po niedługim czasie pojawił się drugi policjant, pokaźniejszej tuszy. Bardzo narzekał na upał, wycierał pot chusteczką z czoła i szyi. Rzeczywiście w tych granatowych mundurach musiało im być gorąco. W końcu ten drugi przyjął służbową pozę i powiedział do ojca, że wiadomo im jest, iż ojciec ma broń, więc ma ją dobrowolnie oddać. Ojciec zaprzeczył, ponieważ broń nie była jego. Wobec tego, oświadczył drugi policjant, zarządzamy rewizję, a pana prosimy o towarzyszenie nam.

Przeprowadzić rewizję w zabudowaniach gospodarstwa rolnego nie jest sprawą łatwą. Można powiedzieć, że było to przeglądnięcie kątown. Zajrzeli też do tego kartonu pod łóżkiem, ale (ku wielkiemu zdziwieniu ojca) spluwy tam nie było. Pochodzili powąchali i odjechali. W domu w tym czasie był drugi rewolwer naładowany ostrą amunicją. Właścicielem tej drugiej spluwy był Władek Lis, pracownik ojca. Trzymał ją w wiklinowej walizce pod swoim łóżkiem, ale tam policja nie szukała. Na Władka ojciec nalegał już wcześniej, że ma się tego pozbyć, bo mogą być kłopoty.

Rewolwer z kartonu pod łóżkiem usunęła matka, która przysłuchiwała się z ukrycia rozmowie ojca z policjantami. Gdy usłyszała, że chodzi o broń, złapała rewolwer, wsunęła za stanik, zniosła do piwnicy i schowała do przewodu kominowego, gdzie nikt go nie szukał. Denuncjatorem była pewna kobieta ze strony Wojtka, która doniosła na policję, że u nas w domu znajduje się rewolwer. Prawdopodobnie oskarżyła jednocześnie Szymka o posiadanie broni.

Szymek z Wojtkiem byli przeważnie skłócen i gospodarzyli w Brzostowie na przemian, po parę lat. Mieli w Miasteczku mieszkanie, mieszkał tam ten z nich, który aktualnie nie był gospodarzem w Brzostowie. O pracy na roli mieli niewielkie pojęcie.

Drugą bijatykę z ojcem wywołał sąsiad, którego posiadłość graniczyła z naszym podwórzem za stodołą. Obie posiadłości oddzielał płot z siatki. Na tego sąsiada we wsi mówiono Kulawy, bo miał amputowaną nogę powyżej kolana. Stracił ją we Francji na wojnie i z tego tytułu otrzymywał rentę. Uważał się za bardzo zasobnego, aczkolwiek po jego gospodarce nie było tego widać. Lubił popijać. O wszystkich mówił „dziady”.

Spór dotyczył widel. Kulawy, czy też jego służący Stefan, pożyczyl od ojca widly i nie oddal ich. Widly mialy ugięte widlisko, dobrze dopasowane do rąk i bardzo wygodnie się nimi pracowało, nic

też dziwnego, że chcieli je sobie przywłaszczyć. Ojciec monitował kilka razy, ale bez skutku. Wreszcie postanowili sprawę załatwić po swojemu. W porze obiadowej przyszli całą rodziną – Kulawy z żoną i synem Czechem, służącym Stefanem i służącą Marynią – by ojca porządnie zlać. My tego dnia młóciliśmy, siedziałem na stogu słomy. Przeszli przez siatkę, zapytali mnie o ojca i poszli do stodoły.

Gdy ojciec wrócił z obiadu do stodoły, podszedł do niego Kulawy z widłami i zapytał, czy to są nasze widły. Otrzymał odpowiedź przeczącą. W tym czasie za plecami ojca stanął Stefan i zamierzał się drugimi widłami, by z całym rozmachem z góry uderzyć nimi ojca w głowę. Byłby to prawdopodobnie cios śmiertelny. Na szczęście w tym czasie weszła do stodoły babka i przytrzymała Stefanowi widły z tyłu. Stefan uderzył ojca, ale nie było to tak silne uderzenie, i nie w środek, lecz z boku głowy. Ojciec nie stracił przytomności. Odebrał widły Stefanowi i dał mu łomot pięściami, a pięści miał solidne, znany był z mocnego uścisku dłoni. Stefan zalał się krwią i został wyeliminowany z gry. Główne niebezpieczeństwo minęło. Kulawy przewrócił się, odpadła mu proteza nogi i nie mógł wygrzebać się z kupy wymłóconego zboża. Kobiety w strzępy porwały na ojcu koszulę, w końcu babka z matką wypchnęły je ze stodoły. Czechu przez cały czas bijatyki soczyście przeklinał i zagrzewał do walki.

Sprawa trafiła na wokandę Sądu Powiatowego w Wyrzysku. Rozmydlili ją adwokaci – nie chodziło o to, by stało się zadość sprawiedliwości i wygrał pokrzywdzony, lecz o to, by chłopci się sądzili – a oni wyciągnęli od nich pieniądze. A przecież sprawa była prosta – było najście na obcy dom i wywołanie bójk, a nawet zamiar pozabawienia życia. Kulawy powinien być przynajmniej ukarany z zawieszeniem, a Stefan potraktowany surowiej.

Po tych incydentach nienawiść sąsiadów do ojca jeszcze wzrosła. Być może puściliby go z dymem, ale to zagrażało również ich zabudowaniom. Ciągłe chodziło o to, że ma więcej od nich, a z nimi się nie dzieli. Przezywali go „bogaty” i opowiadali, że umrze w butach, bo za dużo pracuje. Czekali na jego bankructwo i na to, że „pójdzie z torbami”. Nienawidzili go również za to, że pochodził z Kongresówki. Nazywali go „chaziajem”.

Ojciec istotnie miał od nich więcej, ale nie było to jakieś mityczne bogactwo. Ojciec z matką, babką i dziećmi po prostu pracowali więcej od nich. Miał lepsze urodzaje, bo lepiej uprawiał ziemię i był lepszym gospodarzem. Dbał o inwentarz – gdy miała ocielić się kro-

wa, całą noc siedział w oborze, a rano szedł pracować. Podobnie było, gdy miała oprosić się świnia – chodziło o to, by maciora nie pożarła prosiąt lub ich nie przygniotła.

WŁADEK LIS

Władek Lis pracował u ojca wiele lat, i przed wybuchem wojny w 1939 r., i po wojnie. Traktowany był jak członek rodziny. Mieszkał w małym pokoju przylegającym do kuchni. Utykał na jedną nogę. Mawiał, że to konsekwencja grzechów młodości – kiedyś chciał złapać kunę i spadł z drzewa. Doznał urazu stawu biodrowego i nie był odpowiednio leczony.

Z ojcem zgadzali się bardzo dobrze, ale z babką dochodziło nieraz do dyskusji. Tak się składało, że przed drugim śniadaniem listonosz przynosił gazety, które w tamtym czasie były jedynym źródłem informacji o kraju i świecie. Prasówka i dyskusja przedłużały się nieraz, a to nie podobało się babce: „– Kto to słyszał, żeby zdrowe chłopy w czasie roboczego dnia siedziały przy stole i rozmawiały o polityce!”. Wyznaczała jednemu i drugiemu jakieś zajęcia, nie przejmując się tym, że są pilniejsze rzeczy do zrobienia i jej polecenia nie będą wykonane. Chodziło o to, by przerwać im czytanie i dyskusję, i by ruszyli się od stołu. Babka była bardzo pracowita i wymagała tego od wszystkich. Wszędzie musiało być czysto i każda rzecz miała znajdować się na swoim miejscu.

Nie ze wszystkim, co mówił Władek, się zgadzałem. Uważałem go jednak za równego gościa. Podobał mi się jego rewolwer. Był mniejszy od spluwy Szymka i miał lżejszy spust, co umożliwiała nam (czyli Ignacowi i mnie, bo Stacha takie rzeczy nie interesowały) naciąganie iglicy jednym palcem. Respekt budziło to, że był naładowany ostrą amunicją, z boku widoczne były żółte łuski naboju, w bębenku brakowało ich dwóch. Mówiliśmy, że są dwie wolne dziury. Można było dwa razy „prztyknąć”, pociągając za każdym razem za spust. Po tych „prztyknięciach” należało ręcznie cofnąć bębenek o dwa gniazda.

Któregoś dnia zapalałem miłością do tej broni. Tak się składało, że nikogo nie było w domu, nic zatem nie stało na przeszkodzie, by z Władka walizki wyjąć rewolwer i „poprztykać” sobie. Rozpalaony tym, że mam broń w rękach, zamiast dwóch, „prztyknąłem” trzy razy i rewolwer wypalił. Huk w zamkniętym pomieszczeniu był wielki – wydawało mi się, że zwałił mi się na głowę sufit. Rzuciłem rewolwer do walizki byle jak, wsunąłem ją pod łóżko i wyszedłem

z pokoju. Upewniłem się, że w dalszym ciągu w domu nikogo nie ma i że nikt wystrzału nie słyszał, więc wróciłem i właściwie ułożyłem broń. Za taki wyczyn czekało mnie tęgie lanie. Na razie szczęście mi sprzyjało – nikt wystrzału nie słyszał, nic sobie nie przestrelilem, ani też w nic znaczącego nie trafiłem, bo kula poszła w podłogę. Władek też nic nie zauważył.

Finał nastąpił nieoczekiwanie i był nad wyraz dla mnie pomyślny. Poszliśmy z babką na grzyby. Grzybobranie się udało, ale w drodze powrotnej zmokliśmy tak, że nie zostało na nas suchej nitki. Po powrocie babka wpakowała mnie do łóżka pod pierzynę, gdzie miałem się rozgrzać. Łóżko stało wtedy w sieni na dole, ponieważ sypialnia była odnawiana. W pewnym momencie wyszedł z kuchni Władek, stanął na schodach i rzekł do ojca: „–Gospodarzu czy widzicie, co ja mam w palcach?”. Na schodach panował półmrok, ojciec nie rozpoznał tego przedmiotu: „– Co to jest? – Łuska po wystrzelonym pocisku”. Władek zapytał, czy ojciec strzelał: „– Nie. – A może któryś z chłopaków? – Nie” – odpowiedział ojciec i dodał, że wcześniej już ostrzegał, że trzymanie broni w domu może mieć przykre konsekwencje i nakazał broń z domu wynieść. Władek uznał rozmowę za skończoną i do tego tematu nigdy już nie wrócił. Nauczony doświadczeniem ja również już nigdy do walizki Władka nie zaglądałem i nie wiem, jakie były losy jego rewolweru. Do dzisiaj natomiast pamiętam łomotanie własnego serca, jak usłyszałem, o co Władek pyta ojca. Schowałem się pod pierzynę i podstawiłem pod nią łokieć, żeby na zewnątrz pierzyny nie było widać, jak wali mi serce. W ten sposób zasłoniłem również twarz, żeby nie zdradziła mojego zaniepokojenia ich dialogiem.

KŁOPOTY MAŁE I DUŻE

Ktoregoś razu jedną z naszych krów wzdęło. Działo się to na polu, nie miał jej kto w odpowiednim czasie przebić i wypuścić z niej gazy. Krowa pękła i została dobita. Nie pamiętam tego wydarzenia, byłem wtedy zbyt mały, znam je z opowiadania. Wielokrotnie pytałem, w którym miejscu przebija się krowę i jak się poznaje, że krowa się wzdęła. Nie mniej ciekawiło mnie, w którym miejscu krowa pęka i czy dzieje się to głośno. Dowiedziałem się, że krowę przebija się u góry w dołku w pobliżu żeber, bodajże z lewej strony i że krowa nie pęka na zewnątrz, lecz że pękają jej wewnętrzne organy i tego nie słychać.

Strata krowy stanowiła znaczny uszczerbek w budżecie gospodarstwa. Do tego jeszcze dochodziły kwestie uczuciowe. Ludzie przyzwyczajali się do zwierząt do tego stopnia, że po ich utracie często płakali. Ubytek każdego zwierzęcia był boleśnie odczuwany przez całą rodzinę. U ludzi biednych, u których jedynym dobytkiem były kozy, ewentualnie świnie, utratę kozy szczególnie odczuwały dzieci – brakowało im mleka.

Dobrze zapamiętałem wydarzenie z jałówką. Krowy są łakome na ziemniaki. Można je im dawać przekręcone w maszynie bądź rozdrobnione w inny sposób, żeby się nie udławiły. Pech chciał, że jałówka odłączyła się od reszty bydła, wpadła do kopca z ziemniakami, złapała ich kilka, a jeden stanął jej w przełyku. Zadanie wyciągnięcia ziemniaka powierzono Ignacowi, ponieważ miał małą dłoń. Dwóch mężczyzn trzymało jałówkę. Zadem oparto ją w kącie, gdzie zbiegały się dwie ściany, więc nie mogła się cofać. Ignac miał włożyć rękę do krowiego pyska i ziemniak wydobyć albo wepchnąć go dalej. Bydlak się bronił, zgniatał mu rękę. Jałowce włożono więc do pyska stalowy pierścień, ale Ignac nadal nie mógł sobie poradzić – ziemniak nie chciał się ruszyć, ani w jedną, ani w drugą stronę. Zdecydowano się przepchnąć go do środka grubym kijem. Aby nie uszkodzić przełyku i trafić kijem w ziemniak, należało do pyska jałówki włożyć dopasowany kawałek rury, doprowadzić aż do ziemniaka i przez tę rurę pchać go kijem. Na znalezienie kija i odpowiedniego kawałka rury trzeba było trochę czasu. Ignac spróbował jeszcze raz i ziemniak ruszył, poszedł w głąb przełyku. Ucieszyli się wszyscy, a najbardziej ojciec, ponieważ jałówka miała bardzo dobry rodowód i przedstawiała sporą wartość.

Często nawet mała nieostrożność prowadziła do wypadku. Któregoś dnia ojciec prowadził siewnik i jechał w konie, matka natomiast chodziła za siewnikiem i kontrolowała, czy w rurkach przy wylocie do ziemi nie powstają zatory ziarna. Pod koniec w zbiorniku siewnika zboże ułożyło się nierównomiernie i należało je przegarnąć. Matka chciała to zrobić ręką; nie zachowała przy tym ostrożności i wtedy jeden z kołców poruszających ziarno wbił się jej w dłoń. Sytuacja była dramatyczna, bo siewnik nie ma dyszla i konie nie mogą go cofnąć. Należało ręcznie cofnąć koła, trzymając je za szprychy. Cofnięcie koła powoduje obrót w przeciwną stronę wałka, w którym są osadzone kolce poruszające ziarno. Do tego siewnik należało nieco podnieść. Ziemia była miękka i koła siewnika

zapadały się w nią. To wszystko zajęło ojcu sporo czasu, a matka wciąż miała rękę uwięzioną i syczała z bólu. Po powrocie do domu ranę oczyszczono i zabandażowano. Na szczęście kości nie zostały naruszone i nie wdała się infekcja.

Wielkim przeżyciem była dla nas choroba matki. Matka miała dwa razy atak ślepej kiszki, ale pomogły jej kompresy. Tak się złożyło, że w Miasteczku w tym czasie nie było lekarza. Lekarz był w Białosłiwu, odległym o siedem kilometrów. Trzeci atak nastąpił w nocy i wszystko wskazywało na to, że poprawa nie nastąpi. Ojciec zdecydował się niezwłocznie zawieść matkę wozem do szpitala w Wyrzysku, odległym o dwadzieścia kilometrów. Byliśmy małymi dziećmi i bardzo płakaliśmy, żegnając się z matką. Wydawało nam się, że już jej nie zobaczymy. Babka pojechała z ojcem, a my resztę nocy spędziliśmy z Grabowską. Operacja się udała i w niedzielę ojciec zawiózł nas wozem do matki. Byliśmy najszcześniejszymi dziećmi pod słońcem. Szpital był radiofonizowany. Ze wszystkich stron dobiegała cicha muzyka. Mnie się wydawało, że grają ściany. Muzykę tych grających ścian słyszałem jeszcze przez wiele dni.

WYPADKI

Noteć przybrała po obfitych deszczach i zaczęła występować z koryta. Nasza łąka dochodziła do samej rzeki. Na łące zostało jeszcze kilka kupek siana i ojciec chciał je wywieźć, żeby nie zalała ich woda. łąka była już nasiąknięta wodą i konie mogły z łatwością przebić darń i ugrzęznąć kopytami w rozmiękłym podłożu, więc ojciec założył koniom na kopyta coś w rodzaju butów. Były to drewniaki kształtem przypominające końskie kopyta, ale średnicę miały co najmniej dwa razy większą od nich. W górnej części tych drewniaków było wydłubane miejsce na kopyto. Drewniak był przymocowany do końskiej nogi pasami. Inny sposób mocowania polegał na tym, że drewniak był symetrycznie rozcięty i skrecony dwoma śrubami, które znajdowały się w drewniakach pod kopytem.

Duża powierzchnia drewniaków umożliwiała chodzenie koniom nawet po miękkiej łące. Problem polegał jednak na tym, że nie każdy koń umiał w tych drewniakach chodzić. Były one zakładane na tylne nogi, grzęznące na ogół szybciej. Ojciec miał w tym czasie dwa konie, klacz kasztanę i karego wałacha. Po założeniu drewniaków kasztana chodziła jak panna w tańcu; a kary zaczął szaleć, wierząc nogami. Jeden drewniak mu spadł, a drugim

stanął na czubku, przebił darń, wszystkimi czterema nogami ugrzązł w łące i na dodatek się przewrócił. Mógł sobie połamać nogi, należało go jak najszybciej wyprząc z wozu. Ojciec wyprzągnął kasztanę i chciał odpiąć karemu łańcuch naszyjnika, żeby wyciągnąć dyszel. W tym czasie kary wyszarpnął nogę z darni i trafił kopytem ojca w czoło. Ojciec na chwilę stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, nic nie widział, bo krew zalewała mu oczy. Wreszcie wyprzągnął karego i uporządkował uprząż. Kasztana wyciągnęła wóz na drogę, gdzie zaprzągnął oba konie, obmył twarz w rowie i wrócił do domu. Siano zabrała woda.

W tym wypadku było dużo szczęścia, bo kary był boso, ale gdyby miał podkowę, ojciec mógłby stracić życie. Kary został kupiony w wieku ośmiu lat. Wszystko wskazywało na to, że poprzedni właściciel niezbyt dobrze obchodził się z koniem – na grzbiecie, w okolicy gdzie leży poduszka puszorka, miał kępki siwych włosów, więc musiał mieć w tych miejscach głębokie i dosyć rozległe otarcia. Koń był mocny i nigdy nie odmówił posłuszeństwa. Miał jednak bardzo wrażliwy grzbiet. Uczulenie, które pozostało po otarciu dawało o sobie znać podczas czyszczenia, nawet samą szczotką, podczas zakładania puszorka, a nieraz nawet, jak się obok niego przechodziło. Kiedyś złapał zębami za głowę przechodzącego obok Stacha i wyrwał mu garść włosów. Biedny Stachu – z bólu i ze strachu uciekł na podwórze i schował się pod wozem. Ojciec w pierwszej chwili nie mógł go znaleźć. Koń zrzucił też z siebie jeźdźców. Respekt miał jedynie przed ojcem, w którego obecności nie pozwalał sobie na żadne ekscesy. Kary żył ponad trzydzieści lat. Zabrali go Niemcy uciekający w 1945 r.

Groźniejszy wypadek miał miejsce w Brzostowie u dalszego sąsiada Grzywy. Połączenie kardana dwóch stalowych drągów napędzających z maneża sieczkarnię było wykonane byle jak. Zamiast dzielonej zawlecзки do sworznia włożono i zagięto zwykły długi gwóźdź, który majtał się w czasie obracania drągów. Miejsce to powinno być przykryte. O ten gwóźdź zahaczył nogawką spodni najstarszy syn Grzywy – Adolf, co spowodowało otwarte złamanie nogi. Adolek miał bardzo brudne spodnie, ponieważ wcześniej woził węgiel i rana uległa zakażeniu. Trzeba było amputować nogę powyżej stopy. Wieść o wypadku rozeszła się po okolicy i wzbudziła głębokie współczucie, również mieszkańców pałacu. W tamtym czasie mieszkali w nim państwo Popielowie, właściciele

resztówki w Brzostowie. Pani Popiel przejęta nieszczęściem młodego człowieka podarowała mu skrzypce. Prezent okazał się nadzwyczaj trafny, ponieważ Adolek miał słuch muzyczny, podobnie jak inni członkowie jego rodziny. Grzywowie dokupili instrumentów i stworzyli rodzinny zespół. (To była utalentowana rodzina. Senior Grzywa zbudował maszynę do produkcji kaszy jaglanej, gryczanej i prasę do wyciskania oleju).

Gdy Adolek okrzepł jako muzyk, moi rodzice kupili Ignacowi skrzypce. Niezmiernie nas to wszystkich ucieszyło. Każda rzecz, która powiększała stan posiadania rodziny, cieszyła, niezależnie od tego, czy służyła całej rodzinie, czy też poszczególnym jej członkom. Oczywiście, że najbardziej cieszył się Ignac. Wziął skrzypce i pobiegł do Grzywów, do Adolka. Wrócił bardzo smutny. Grzywy już przez okno widzieli, że skrzypce są pozbijane gwoździami. Powiedzieli także, że sposób pomalowania skrzypiec ma wpływ na jakość ich brzmienia.

Grzywowie potraktowali Ignaca jak potencjalnego przyszłego konkurenta. Skrzypce były wykonane przez bezimiennego lutnika. Pomalowane były rzeczywiście marnie. Co do gwoździ – miały trzy maleńkie drewniane kołeczki w miejscu, gdzie łączy się szyjka z dolną kształtką pudła rezonansowego. Prawdopodobnie wykonawca skrzypiec nie opanował właściwej technologii, może nie miał dostatecznie mocnego kleju i wspomógł się tymi kołeczkami. Nie miało to, moim zdaniem, istotnego wpływu na brzmienie skrzypiec. Ignac bardzo pilnie uczył się gry na instrumencie. Uczęszczał też na lekcje, ale nie pamiętam do kogo. Pamiętam natomiast „krzyżyki” i „bemole”, oczywiście z rozmowy, bo o muzyce i nutach nie miałem pojęcia. Ignac nauczył się grać na kilku instrumentach.

PRZEDWIOŚNIE

Przedwiośnie i wiosnę w Brzostowie zwiastowały między innymi gawrony i kawki, które z opłotków wynosiły się na pola. Przypuszczam, że część z nich odlatywała na północny-wschód. To czarne ptactwo nazywaliśmy gapami.

Wiosną ludzie stawali się weselsi, rozmowniejsi i często puszczali w niepamięć sąsiedzkie swary. Rozmawiano przy każdej okazji, np. w czasie jazdy na pole, przy mijaniu się zatrzymywano konie i omawiano różne sprawy – jak przezimowały w kopcach ziemniaki, oziminy na polach, jakie szkody wyrządziła wichura. Rozmawiano o rodzinie, zdrowiu i wielu innych sprawach.

Często ludzie radzili się jeden drugiego, gdzie będzie lepiej co zasiać albo zasadzić. W niedzielę po wyjściu z kościoła, gdy była możliwość spotkania znajomych z sąsiednich wiosek, dyskutowano na wiele tematów. Ale przede wszystkim zastanawiano się nad tym, jaki będzie ten rok pod względem urodzaju. Zależało to od tego, czy będzie dostatecznie dużo deszczu i odpowiednia temperatura. Każdy miał cichą nadzieję, że będzie ciepło i deszczu nie zabraknie.

W pole do pracy można było wyjechać dopiero po tym, jak ziemia dostatecznie głęboko odtajała i obeschła po zimowych śniegach. Póki co ludzie kręcili się przy zabudowaniach, robili porządki i wykonywali różne niezbędne prace. Ojciec odkrywał kopce z ziemniakami, przykryte łętami ziemniaczanymi, ziemią i słomą. Naprawiał płoty okalające obejścia. Usuwał suche drzewa z ogrodu. Sadził małe drzewka i szczepił wcześniej już zasadzone. Wycinał zbędne gałęzie drzew. Wszystko to było robione w wolnym czasie, bo te prace nie mogły kolidować z podstawowymi pracami polowymi.

Gdy tylko dostatecznie obeschła ziemia, matka z babką rozpocząły prace w ogródkach przydomowych i w ogrodzie. Ogródki nie były duże, były jednak wizytówką gospodyń. Na środku jednego z nich rosła grusza, w drugim drzewko brzoskwiniowe. Matka z babką sadziły dużo kwiatów, które były tak dobierane, by zakwitwały kolejno od wiosny do późnej jesieni. Ja oczywiście im pomagałem.

MASZYNA PAROWA

Z Józefem Zawistowskim snuliśmy plany budowy maszyny parowej. W pierwszej fazie naszych poczynań staraliśmy się poznać zasadę jej działania. Plany nasze realizowaliśmy dyskretnie, żeby nie ośmieszyć się przed otoczeniem i dlatego niezbędna była pewna tajemnica, o którą trudno było zimą, ponieważ w pomieszczeniach domowych nigdy nie byliśmy sami. Na wiosnę, gdy zaczęło przygrzewać słońce, południowe ściany budynków nieco się nagrzewały i w niektórych zaułkach osłoniętych od wiatru było trochę cieplej. Tam dyskutowaliśmy na interesujące nas tematy bez niepotrzebnych słuchaczy.

Maszyny parowe interesowały nas dlatego, że były one w tym czasie rozpowszechnione, a zasada ich działania stosunkowo prosta i mogliśmy ją zrozumieć. Do uzyskania pary były potrzebna woda i opał, a to było w naszym zasięgu. Cała atrakcyjność naszych planów budowy zawierała się w idei samojeźdźności wymarzonego

urządzenia. W tamtym czasie stosowano już silniki spalinowe, ale my ich nie znaleźliśmy, w Brzostowie takich silników po prostu nie było. Wiedzę teoretyczną Józef czerpał od swojego najstarszego brata Mariana, który był ślusarzem i remontował między innymi maszyny parowe. Józef był ode mnie o dwa lata starszy i miał wielką wolę przekazywania mi swojej wiedzy.

Zdobytą wiedzę weryfikowaliśmy na trzech typach maszyn. Najbardziej zrozumiała była maszyna parowa w gorzelni. Działanie tego urządzenia było bardzo czytelne, miało ono wprawdzie rozbudowaną konstrukcję, ale wyraźnie było widać, jak współpracują zawory z tłokiem. Drugą maszyną była tzw. parówka używana do napędzania wielkiej młockarni na resztówce. Urządzenie to było bardziej zwarte niż maszyna w gorzelni i mniej szczegółów można było zobaczyć z zewnątrz. Kocioł i wiele innych elementów, ze względu na sprawność energetyczną, musiały być zasłonięte i mieć izolację termiczną, ponieważ maszyna ta pracowała również w czasie mrozów i zawsze na dworze. Miała piec i składany komin kilkumetrowej wysokości. W piecu można było palić węglem, torfem i drzewem. Ze względu na bezpieczeństwo młockarnia stała około dwunastu metrów, a może i więcej, od maszyny parowej i była napędzana za pomocą długiego pasa. Koło pasowe maszyny parowej miało średnicę około jednego metra, natomiast koło pasowe młockarni było kilka razy mniejsze.

Niezwykle widowisko tworzył regulator obrotów, tzw. regulator Watta. Był to pionowo osadzony w łożyskach wałek, sprzężony z mechanizmami obrotowymi maszyny. Na końcu tego wałka, u góry, były wahliwie osadzone dwie zwisające dźwignie. Na każdej z nich umieszczono masę metalową w postaci kuli. W czasie wzrostu obrotów pionowego wałka, osadzone na dźwigniach kule na skutek siły odśrodkowej oddalały się od obracającego wałka i odpowiednimi mechanizmami przymykały przepustnicę pary. Gdy obroty spadały, kule zbliżały się do obracającego wałka i powodowały otwieranie się przepustnicy pary. W wyniku sprzężenia zwrotnego uzyskiwano stałość obrotów, niezależnie od ciśnienia pary w kotle i od obciążenia. Gdy do młockarni wpuszczono nieco więcej zboża, była ona bardziej obciążona i zmniejszała obroty, zmniejszały się również obroty maszyny parowej, na co niezwłocznie reagował regulator obrotów. Kule zbliżały się do obrotowego wałka, a przepustnica pary bardziej się otwierała i obroty maszyny ponownie rosły.

Wszystko to odbijało się na pasie trakcyjnym. Jeżeli górna część pasa ciągnęła, to dolna się wydłużała i zwisała łukiem w dół, jeżeli natomiast dolna część pasa ciągnęła, to górna się do niego zbliżała i w charakterystyczny sposób falowała. My nazywaliśmy to „trzepaniem” pasa. Można się temu było przyglądać godzinami, bo tworzyło to wspaniałe widowisko. Na zwiększone obciążenie reagował natychmiast pas i regulator obrotów, co było wyraźnie widoczne. Regulator obrotów zwiększał moc maszyny, dodając pary, i przywracał poprzednie obroty.

Kolejnymi obiektami naszych obserwacji były lokomotywy, które obserwowaliśmy na stacji kolejowej w Miasteczku, gdy pędziliśmy krowy na łąkę. Droga wiodła wzdłuż stacji towarowej, na której lokomotywy codziennie przetaczały wagony. Mieliliśmy do nich niemalże bezpośredni dostęp, szczególnie gdy zamykano zapory drogowe. Podchodziliśmy do zapór i czuliśmy na twarzy ciepło tych zaoliwionych kolosów.

Lokomotywy są również zabudowane i izolowane termicznie. To jednak, co nas interesowało, było widoczne. Izolowane, ale wyraźnie widoczne były cylindry i wychodzące z nich lśniące tłoczyska wiodące do prowadnic. Z prowadnic do czopów na kołach szły potężne golenie, które bezpośrednio oddziaływały na koła, obracając je. Wszystko to mogło funkcjonować dzięki przemysłnym rozwiązaniom suwaków zaworów.

Moje spotkania z Józefem miały niezwykle emocjonujący przebieg, szczególnie na wiosnę – zawsze niosły nowy ładunek wiedzy, a my byliśmy stęsknieni dyskusji. Już podczas szukania odpowiedniego miejsca na dyskusję mój żołądek doznawał sensacji podobnych do tych, których doznaje się w stanie nieważkości. Czulem to, gdy w stodole dla zabawy z kilkumetrowej wysokości skakaliśmy z belek w słomę. W czasie spadania żołądek podchodził do gardła. Przynajmniej takie odnosiło się wrażenie.

Od Józefa dowiedziałem się, że w dętce i oponie koła rowerowego powietrze jest sprężone i podobnie można sprężać parę wodną. My mówiliśmy, że powietrze jest ściśnięte. To zagadnienie dyskutowaliśmy i demonstrowaliśmy je sobie, używając pompy rowerowej, która służyła nam również jako namiastka cylindra maszyny parowej. W tym wypadku dmuchaliśmy do niej powietrze, aby poruszało tłok i tłoczysko. W maszynie parowej dmuchane powietrze zastępowała para wodna, którą można wytwarzać w sposób ciągły

przez gotowanie wody. To zagadnienie zrozumieliśmy bardzo dobrze i stało się ono punktem wyjściowym naszych dalszych rozważań. Najtrudniej było pojąć istotę zaworów i zasadę ich współdziałania z tłokiem.

Józef znalazł na złomowisku mały, około dwudziestolitrowy zbiornik wodny, który miał dwa wyjścia na rury. Zaciągnął go na łąki, gdzie na pastwisku zrobiliśmy dla niego palenisko i mieliśmy już kocioł parowy. Jeden otwór zabiliśmy drewnianym kołkiem, a do drugiego założyliśmy gwizdek. Woda się gotowała, gwizdek gwizdał, a my pialiśmy z zachwytu. Gwizdek funkcjonował marnie, ale nie o gwizdanie tu chodziło.

Nasze fascynacje maszyną parową trwały ze trzy lata, a może i więcej, ale w końcu zrozumieliśmy, że nie jesteśmy w stanie jej zbudować. Pozostały nam jednak pewna wiedza i doświadczenie. Z wielkim żalem pożegnaliśmy nasze rozkoszne wizje i zajęliśmy się nowymi tematami.

BERNARD

Drugim bardzo serdecznym moim kolegą, od lat dziecięcych, był Bernard Kośmider. Nie miał takiego zmysłu technicznego jak Józef, ale miał inne zalety. Było w nim coś urzekającego. Miał optymistyczne nastawienie do życia. Umiał z codziennych sytuacji wyłowić pierwiastki humorystyczne. Był człowiekiem szczerym, obca mu była obłuda. Nasza przyjaźń przetrwała dziesiątki lat i różne życiowe burze.

Bernard nie miał ojca. Od czwartego roku życia matka wychowywała go sama, żyjąc z renty po mężu. Ojciec Bernarda pracował w Korpusie Bezpieczeństwa Pogranicza (KOP), ale nabawił się jakiejś choroby i przedwcześnie zmarł. Matka Bernarda, tak jak wszyscy bezrolni w Brzostowie, trzymała kozy i do obowiązków syna należało je paść. Bernard prowadził kozy na „bezpłatne pastwiska” – do lasu, na pobocza dróg, do rowów i na inne nieużytki. Stanowiliśmy prawie nierozłączną parę, co miało różne następstwa – pozytywne i negatywne. Te ostatnie były najczęściej niezamierzone, więc uważaliśmy, że to nie nasza wina, lecz feralny rozwój wypadków.

Któregoś razu ojciec wysłał mnie do Nowego Brzostowa po kilka kilogramów jakichś nasion. Poszedłem oczywiście z Bernardem. Człowieka, od którego miałem wziąć nasiona, nie było w domu, więc sprawę nie załatwiłem. W drodze powrotnej zauważyliśmy, że

po prawej stronie drogi, za szkołą, na czereśniowym drzewku jest kilka owoców. Wzbudziło to naszą ciekawość, ponieważ wydawało nam się, że na owocowanie jest dużo za wcześnie. Bernard nawet zażartował, że to są owoce zeszłoroczne. Postanowiliśmy zerwać chociaż dwa, żeby poczuć, jak smakują tak wczesne czereśnie. Rosły one dość wysoko i trzeba je było strącić patykiem. Zaczęliśmy w nie rzucać, ale owoców nie udało się strącić.

Na dodatek Bernard zauważył, że ktoś pędzi na rowerze w naszym kierunku. Był to dzierżawca tych czereśni, więc Bernard krzyknął: „– Wiejemy!”. (Dzierżawca budził postrach, bo gdy złapał szkodnika, bił go). Przebiegaliśmy przez drogę i za opłotkami popędziliśmy miedzą w pola, skoczyliśmy w prawo w rosnący łubin i padliśmy. Łubin był wysoki, więc gdy leżeliśmy, nie było nas widać. Słabością naszej kryjówki była stosunkowo mała odległość od skraju pola i przedemptany w łubinie ślad. Dzierżawca ruszył miedzą w naszym kierunku, szedł wolno i bacznie się rozglądał, my też go obserwowaliśmy spomiędzy łubinu. Kiedy doszedł już niemal na wysokość pozostawionych przez nas śladów, nie wytrzymał nerwowo, poderwali się i przebiegając przez łubin, daliśmy nura w rosnące żyto. Byliśmy w nim niewidoczni, i to był plus, minusem było to, że i my nic nie widzieliśmy. Lepiej byłoby, gdybyśmy zatrzymali się w środku pola, ale my przebiegliśmy cały łąn zboża, i zatrzymaliśmy się na jego skraju, przy wąskiej dróżce. Bernard ostrożnie wyjrzał z żyta. Okazało się, że nasz prześladowca stoi dwadzieścia metrów od nas. Cofnęliśmy się w głąb łąnu zboża i czekaliśmy.

Po drugiej stronie dróżki fornale z resztówki radlili ziemniaki. Jeden z nich zauważył w życie ślady pozostawione przez nas. Zorientowali się, że ślady są świeże i uznali, że pozostawiły je dziki. Postanowili zwierzęta wypłoszyć – zaczęli rzucać kamieniami w zboże. Mogli nas trafić, bo my w tym wysokim zbożu nie mogliśmy śledzić lecących kamieni.

Wreszcie wszystko się uspokoiło i ponownie wyjrzelśmy ze zboża. Naszego prześladowcy nie było widać, prawdopodobnie wypatrywał nas w innym miejscu, a fornale odjechali w głąb pola. Wy-skoczyliśmy z naszej kryjówki i pobiegliśmy na skos przez rosnące ziemniaki, oddalając się od drogi, po której z łatwością mógł się poruszać na rowerze ścigający nas dzierżawca alei (tak nazywano drogi obsadzone drzewami owocowymi). Na otwartym polu jego szanse, by nas dogonić, zmalały.

W naszym domu Bernard był lubiany. Jedynie babka zgłaszała pod jego adresem zastrzeżenia. Babka twierdziła, że z niego gałgan, lada-co pierwszej wody, że ma zły wpływ na mnie, a jak tylko przyjdzie, to ona przepędzi go „zafajdaną miotłą”. Bernard przychodził, a babka nie wprowadzała swojej groźby w czyn. Wszystko było po staremu.

Walczyłem, jak tylko mogłem i umiałem, o poprawienie reputacji kolegi w oczach babki. Wychwalałem jego zalety i umiejętności (nie było ich jednak dużo i nie bardzo umiałem to robić). Argumenty babki wydawały się mocniejsze. Babka nazywała nas bisurmanami, którzy chodzą „jak psy bez budy”. Najbardziej bałem się tego momentu, kiedy ze swoją „zafajdaną miotłą” będzie gonić Bernarda przez wieś.

Postanowiłem nie ustępować. Babka twierdziła, że z winy kolegi zapomniałem napełnić parownik ziemniakami. Ja ripostowałem – zapomniałem, ale nie z winy kolegi i, co prawda z opóźnieniem, ale ten kocioł w końcu napełniłem. Innym razem zapomniałem przynieść na opał drzewa i torfu. Babka uznała, że nastąpiło to znowu przez Bernarda. Zaprzeczyłem. Poza tym bez przypominania pozamiataliśmy ganek u krów przy korycie i kawałek podwórza przed domem. Babka nacierała dalej – opuściłem się w nauce i jestem pyśkaty. Zaproponowałem, żeby babka sama poszła do szkoły, to się przekona, że uczyć się wcale nie jest tak łatwo. To ją mocno zdenerwowało i oznajmiła, że gdy ojciec wróci z pola, naskarzy na mnie. Początkowo ignorowałem tę groźbę, ale w miarę upływu czasu stawałem się coraz potulniejszy i bez pomrukiwania wykonywałem polecenia babki. Pod wieczór babka powiedziała, że wcale nie jestem taki zły i jak mi się tylko chce, to potrafię wszystko zrobić.

BABKA

Po tych zgrzytach zapanowała sielanka, zgoda i miłość. Bernard przychodził, pomagał mi robić to i tamto, a babka nas chwaliła. Byliśmy przykładnymi chłopcami. Chodziliśmy z babką na pole wyrwać chwasty. Chodziliśmy na łąkę przestawiać torf. Chodziliśmy też na grzyby, ale to już bez Bernarda. Babka lubiła dalekie wędrowki i potrzebowała do tego kompana, a ja się do tego doskonale nadawałem. W czasie drogi zasypywałem babkę najróżniejszymi pytaniami.

Babka traktowała mnie w dwojaki sposób. Jak było jej wygodnie – byłem mały. Jak chciała, żebym coś zrobił lub wykazał się jakąś wiedzą – byłem duży. Któregoś razu znów podpadłem. Powiedziała, że z braci jestem najmniejszy i najgorszy. Odpowiedziałem,

że skoro jestem najmłodszy, to nie mogę być największy itd. Mowa się wiązała i wreszcie dostałem ostrzeżenie, że mam się wynosić, bo mnie „co doleci”. Uśmiechnąłem się. Pofilozofowałem jeszcze, że najpierw trzeba wychować, a potem bić. Wreszcie stało się – dostałem niespodziewanie mokrym ręcznikiem. Koniec szmaty trafił mnie w ucho, co bardzo bolało. Nie wypadało mi jednak płakać, byłem przecież takim bohaterem, tak się mądrzyłem. Przez łzy dostrzegłem jednak, że babka szykuje się do następnego razu. Zrozumiałem, że to nie przelewki. Odepchnąłem babkę i uciekłem.

Babka uznała to za wielką niewdzięczność z mojej strony i teraz ona się rozpląkała. Zrobiło mi się niezmiernie przykro i bardzo mi jej było żal. Byłem przygnębiony, miałem wyrzuty sumienia i moralnego kaca.

Postanowiłem się poprawić. Nie dochodziło już do drastycznych scysji. Zauważyłem również, że i babka stała się bardziej tolerancyjna i wyrozumiała. Pogłębiły się między nami wzajemne zrozumienie i miłość. Spory odeszły w niepamięć.

ANTEK

Miałem wielu kolegów, poznanych w szkole, podczas zabawy i w innych okolicznościach. Najważniejszymi jednak byli Józef i Bernard. W Brzostowie dzieci, a przede wszystkim chłopcy, podzieleni byli na tych, którzy pracują „w konie”, którzy pasą krowy i tych, którzy pasą kozy. Wśród tych, którzy pasli krowy, prym wodził Antek Wróbla. Poza szkołą, w życiu codziennym używało się właśnie takiej formy – imię i przynależność do rodziny: Antek Wróbla, Józef Zawistowskiego, Bernard Kośmidrowej itd.

Antek Wróbla, to była pewna osobowość – mówiono o nim źle i dobrze, jedni go chwalili i podziwiali, inni ganili i potępiali. Powodem tego były jego wyczyny i to, że nie respektował ogólnie przyjętych norm, zakazów i nakazów. Ojciec Antka często wpadał w rozpacz, lamentując: „– Co z niego wyrośnie!”.

W podziale zabudowań należących do majątku Wróblowi przypadł spichrz, okazała dwupiętrowa budowla. Na poziomie strychu w dachu spichlerza była przybudówka, w której za „pańskich czasów” mieścił się zegar. Jeżeli w tej przybudówce coś się działo, to mówiono, że wydarzenie ma miejsce „w zegarze”. Tam właśnie któregoś dnia Antek grał w karty, gdy ojciec go poszukiwał. Wróbel wpadł we wściekłość, ponieważ dziesiątki razy tego zakazywał, popędził

więc, żeby dać synowi odpowiednią nauczkę. Ktoś zdążył krzyknąć: „– Antek, uciekaj, ojciec!”. Chłopak jednak nie miał dokąd uciec, bo do spichrza prowadziły tylko jedne schody, a na nich był już ojciec. Ku swemu zdziwieniu Wróbel, gdy wbiegł na ostatnią kondygnację, nie znalazł tam Antka. Usłyszał natomiast głośne rozmowy na dole przed spichrzem. Ogarnęło go przerażenie, że Antkowi coś się stało. Zbiegł po schodach i dowiedział się, że Antek zjechał po ścianie spichlerza na snopku słomy i uciekł do stodoły. Wróbel obszukał w stodole wszystkie zakamarki, ale syna nie znalazł. W końcu zaczął głośno prosić Antka, żeby się ujawnił, obiecując, że nie zostanie ukarany. Po dłuższej chwili Antek się odezwał. Okazało się, że leży wysoko na belce, na którą wszedł po słupie. Wróbel nie przypuszczał, że w tak krótkim czasie, można było tego dokonać.

Wersja, że Antek zjechał na snopku słomy po ścianie spichrza, była nierealna. Nikt się nad tym jednak nie zastanawiał i nie poddawał tego w wątpliwość. Świadkowie potwierdzają fakt, że Antek znalazł się ze snopkiem słomy na dole obok spichrza cały i zdrowy. Prawdopodobnie chłopak, wiedząc, że nie ma drogi odwrotu, a czasu mało, złapał snopek słomy i skoczył z nim na rosnące obok drzewo owocowe. Gałęzie go odbiły i wraz ze snopkiem, który chronił przed urazami, spadł na ziemię.

Niemalą sensację wywołał Antek swoim wejściem w komin gorzelni, który miał z sześćdziesiąt metrów wysokości. Wchodziło się na niego od środka, po klamrach, które osadził Marian Zawistowski. Dwie z nich podobno były obluzowane i należało zachować dużą ostrożność. Antek wykorzystał moment, kiedy czyszczono przewód dymny prowadzący od kotła do komina, bo wtedy był wybijany otwór w ścianie zewnętrznej u podstawy komina, którym można było wejść do środka.

Antek z komina nawoływał chłopaków, obwieszczał, że jest na górze. Kiedy się dowiedział o tym Wróbel, chciał biec na miejsce zdarzenia. Mężczyźni jednak zatrzymali go, żeby nie doszło do tragedii i ostrzegli Antka, żeby miał czas na zejście.

W spichrzu u Wróbla Maćkowiakowie przechowywali kielbasy – wisiały na drążkach w zamkniętym pomieszczeniu. Intensywny zapach tych wędlin przedostawał się na zewnątrz, co nie dawało spokoju Antkowi. Dokooptował sobie Bernarda i zaczęli dobierać się do kielbas – oderwali w suficie tego pomieszczenia deskę i haczykiem z drutu wyciągali poszczególne pęta. Ucztowali na łąkach, na które

w niedzielę jeździli wierzchem paść konie. W Brzostowie dotąd nie było tradycji pasania koni, a tym bardziej na łąkach, gdzie mogły się utopić w dołach po wykopanym torfie (zwanych torfowiskami) albo w głębokich rowach. Oni przekonali jednak Wróbla, że takiego niebezpieczeństwa na ich łące nie ma. Zyskali sobie przy tym opinię dobrych chłopców, którzy w niedzielę chcą paść konie.

Kielbasę wkładali za wpuszczoną w spodnie i obciśniętą paskiem koszulę. Któregoś dnia niefortunnie schowali swój łup w szopie. Wywęszył to pies Jędrosa i zabrał się do znaleziska. W porę pojawili się jednak poprzedni właściciele kielbasy i osaczyli psa. Odzyskali część łupu, ale pies ugryzł Antka w kolano. Poplamioną kielbasą koszulę Antek „prał” w torfowisku, a jako mydła użył torfu. W rezultacie tego prania koszula stała się brunatną szmatą. Chłopcy powiedzieli matce, że Antek wpadł do torfowiska i z trudem się z niego wydostał. Matka przyjęła to ze współczuciem.

Antek i Bernard ucztowali na łąkach dwie kolejne niedziele, podjadając co nieco również w tygodniu. W końcu bomba pękła – Maćkowiakowie dopatrzyli się kielbasianych ubytków. Winowajców nie trzeba było daleko szukać, byli na miejscu. Antek dostał tęgą lanie. Matka Bernarda zaprowadziła go do Wróbla, który miał mu „dopukać” na goły tyłek, na leżaco, na stołku. Bernard nie chciał ściągnąć spodni. W końcu udało się położyć go (w spodniach) na stołku. Wróbel miał zlać go pydą, czyli batogiem z kilku rzemieśni. Mężczyzna zamierzył się i czekał z uderzeniem. W końcu uderzył się po nogawce własnych spodni. Biedny Bernard przeraźliwie wrzasnął i uciekł, zostawiając w rękach swoich „oprawców” marynarkę. Twierdził potem, że Wróbel go potężnie uderzył i że to bardzo bolało. Wróbel natomiast powiedział, że nie będzie bił cudzych dzieci, które i tak potem będzie biło życie.

Finał afery kielbasianej odbył się w pojednawczej atmosferze – resztę kielbasy zapakowano do kosza na bieliznę. Antek z Bernardem mieli to odnieść, przeprosić Maćkowiaków, całując przy tym panią Maćkowiakową w rękę (w tamtym czasie nie był to częsty zwyczaj). Odległość od jednego domu do drugiego wynosiła około dwieście metrów. Delikwenci szli bardzo wolno i wciąż się oglądali. Ze schodów domu obserwowali ich ojciec Antka i matka Bernarda. Każde obejrzenie się chłopców było kwitowane wygrazaniem ręką, co znaczyło, że nie ma z tej drogi odwrotu. W ogrodzie Maćkowiaków rosły duże krzewy porzeczek, spoza których

nie byli już widoczni z domu Wróbla, schowali się więc ze swoim koszem w porzeczkach. Maćkowiakowie tego dnia młócili. Byli akurat na obiedzie. Była to najstosowniejsza chwila na przekazanie kosza z resztkami kielbasy i przeprosiny. Złoczyńcy tego jednak nie uczynili. Poczekali aż wszyscy wrócą do stodoły, w domu pozostała tylko matka gospodyni. Wpadli do kuchni, oświadczyli – tu jest kielbasa – i zaraz wyszli. Po powrocie zapewniali, że i przepraszali, i całowali w rękę.

Antek ze swoim asystentem mieli znacznie więcej wyczynów, wspomnę jeszcze tylko o jednym. Przy drodze prowadzącej do kościoła w Miasteczku był rów, którym płynęła woda z parku. Od strony drogi rów miał wysoką skarpe, w której gnieździły się osy atakujące ludzi, konie i bydło. Chłopcy postanowili zlikwidować gniazdo os, ale nie tradycyjnym sposobem przez wypalenie. Chcieli wykopać je motyką do kopania ziemniaków (nazywano ją haką). Wciągnęli na głowy worki, wzięli haki i ruszyli na wyprawę. Pierwszy do akcji przystąpił Antek. Podrażnione w gnieździe osy dostały się od dołu pod worek i zaczęły go gryźć po twarzy. Antek wrzeszczał wniebogłosy. Jakiś przypadkowy przechodzień, który oglądał całe wydarzenie z bezpiecznej odległości, krzyknął, żeby uciekali do wody. Biedacy pobiegli do odległego o około siedemdziesiąt metrów stawu i zanurzyli się w wodzie. Część drogi przebiegli z workami na głowach.

KOZY I BOLEK

W Brzostowie hodowano sporo kóz. Trzymali je biedni ludzie, którzy mieszkali przeważnie w gminnych domach, czyli dawnych dworskich czworakach. Kozim mlekiem wykarmiono wiele dzieci, które powyrastały na dorodną młodzież.

Kozy można było paść w wielu miejscach, ale pastuszki czy też „koziarki”, jak ich tu nazywano, najchętniej gnali je do lasu. Tam nie trzeba było pilnować kóz. Często pasły je małe dzieci. Pasterze łączyli się w grupy i było im rażniej. Bywało, że leśniczy robił na nich naloły – przepędzał to kozie towarzystwo z wielkim krzykiem, strzelając w powietrze. Dzieci uciekały z płaczem, gubiąc drewniaki i skromny dobytek, jaki ze sobą miały. Leśniczy twierdził, że kozy ogryzają młode pędy. To samo robiły sarny, ale im leśniczy tego nie zabraniał. Poza tym las był już stary, a grubych sosen zwierzęta nie podgryzały, ogryzały krzewy, które rosły między drzewami i jadły trawę.

Kozy są bardzo mądre i przywiązują się do swoich opiekunów, których bezbłędnie rozpoznają w każdych okolicznościach. Kiedy leśniczy ich przepędzał, dzieci uciekały przodem, a kozy za nimi, wyczuwając niebezpieczeństwo. „Kozia brygada” stanowiła prawdziwe przedszkole – starszy brat czy siostra opiekowali się młodszym rodzeństwem. No, i oczywiście kozami.

Bolek Mikołaja, mając kilka lat, gdy siedł do lasu brał pod opiekę dwie młodsze siostry – Agnieszkę i młodszą od niej dziewczynkę, której imienia nie pamiętam – i trzy albo cztery kozy. Młodsze dzieci prawie zawsze były usmarkane do pasa, a nierzadko obsikane, czy jeszcze gorzej. Bolek był dobrym opiekunem. I biedny był ten, kto obraził siostry, czy też powiedział coś pod adresem jego kóz. Bolek stawał do walki, niezależnie od tego, ile miał lat jego przeciwnik i jaki był duży. Zanim doszło do oziębnego starcia, najpierw miały miejsce swego rodzaju harce. Bolek stawał blisko przeciwnika i złorzeczył mu. Asortyment obelg i przekleństw miał duży i niewybredny. Robił przy tym groźne miny, wywijał kijem i wielokrotnie zamierzał się na przeciwnika, ale rzadko zadawał razy. Najczęściej przeciwnik nie wytrzymał nerwowo i uciekał z pola walki.

Swoją waleczność Bolek odziedziczył po matce, która często rozprawiała się z sąsiadkami, co było słyhać w całej wsi. Ojciec Boleka był bardzo spokojnym człowiekiem i dosłownie nie wadził nikomu. Nazywał się Kozik, na imię miał Mikołaj i tak wszyscy na niego mówili. Był niskiego wzrostu (Bolek pod tym względem wdał się w ojca). Mikołaj wyplatał kosze z wikliny, bardzo często robił to na dworze, ponieważ w jednej izbie było ciasno. Mnie jego praca bardzo się podobała. Czworak, w którym mieszkał, nie był ogrodzony, więc gdy przechodziłem, a on pracował, zawsze się zatrzymywałem, żeby popatrzeć. Wyplatał duże okrągłe kosze gospodarcze, tzw. kipy, z dwoma uchami, jak również jednoręczne kosze różnych wielkości. Mikołaj bardzo chętnie wynajmował się do pracy u miejscowych gospodarzy, również u mojego ojca.

ZABAWY

Droga przez wieś nie była utwardzona – pod spodem była ubita ziemia, a na wierzchu warstwa piachu nijakiego koloru, wymieszanego z różnymi odpadkami, utartego obręczami kół, racicami i kopytami zwierząt. Jego konsystencja przypominała raczej delikatny pył niż ziemię, którą wykopuje się łopatą. Po przejściu zwierząt czy

przejechaniu wozu ten pył unosił się w powietrzu w postaci kurzu. Kurz osiadał wszędzie, wciskał się w ubrania i do domów. Piach na drodze miał tę zaletę, że był delikatny i przyjemny w dotyku dla bosych stóp (w tym czasie dzieci wiosną i latem chodziły boso, osoby dorosłe na ogół chodziły w obuwiu).

Droga była częstym miejscem zabaw. Graliśmy w palanta, kwa-dranta, kaizerbal, dwa ognie (walkę narodów), klipę, boka i inne. Kwadrant różnił się tym od palanta, że mety, do których się biegalo, ustawione były w poprzek w kwadracie. W dwa ognie graliśmy niedużymi gumowymi piłkami. Dużej piłki w skórzanym płaszczu nikt w Brzostowie nie miał, nie było takiej nawet w szkole. Kaizerbal była to też odmiana palanta, z tym, że wybijającemu (kaizero-wi) podawała piłeczkę druga osoba. Wiadomo – cesarzowi piłeczkę trzeba podać. Grały w to przeważnie mniejsze dzieci. Piłeczkę często wybijano swego rodzaju rakieta wyciosaną z deski. Bok po niemiecku znaczy kozioł. Kozłem był kij wstawiony pionowo w ziemię, pilnowany przez jedno dziecko. Nazywano to „pasieniem kozła”. Pozostałe dzieci, od nakreślonej w pewnej odległości linii rzucały kijami tak, żeby przewrócić kozła. Gdy to się udało, biegły po swoje kije i wracały za linię. Zadaniem pastucha było ponowne wstawienie kozła w ziemię, dotknięcie jednego dziecka i przewrócenie kozła swoim kijem. Musiał zdążyć to zrobić, zanim to dziecko dobiegło do linii, skąd rzucane były kije. Jeżeli dotknięte dziecko nie zdążyło dobiec do tej linii, a pastuch w tym czasie przewrócił kozła, stawało się nowym pasterzem. W tym czasie kto inny mógł przewrócić kijem kozła. Wtedy pastuch nadal pozostawał w swojej roli i gra toczyła się od początku. Pasterz miał więcej czasu, gdy w zabawie nie udało się przewrócić kozła, nie musiał go wstawiać w ziemię, kiedy wszyscy biegli po swoje kije.

Zabawy na drodze były bezpieczne, nie było jeszcze pojazdów mechanicznych, a przed konnymi dzieci zawsze zdążyły umknąć. Woźnice zresztą uważali na dzieci.

Kolejną zabawą była kąpiel w stawie. Niepisany regulamin stanowił, że kąpaliliśmy się nago. Jeśli ktoś chciał zażyć kąpieli w spodenkach, które nazywano tu z niemiecka badejkami, to mu je ściągano. Kąpali się wyłącznie chłopcy. Pływaliśmy, jak kto umiał – najczęściej „pieskiem”. Sprawdzianem umiejętności pływania była kąpiel w Noteci. Rzeka w okolicy Brzostowa płynie spokojnie, bez wirów, przez równinne łąki.

Nadeszła i nasza kolej na sprawdzenie umiejętności pływania. Przeplłynęliśmy Noteć z Bernardem i jeszcze jednym kolegą. Wyszliśmy na belki wzmacniające brzeg po przeciwnej stronie rzeki. Z tryumfem spoglądaliśmy na „naszą” stronę, na kąpiących się przy brzegu. Niespodziewanie zaczął wiać wiatr, na rzece tworzyły się fale, co dla takich pływaków jak my stanowiło dużą przeszkodę. Musieliśmy jednak płynąć z powrotem. Prąd wody zniósł nas kilkanaście metrów w dół rzeki.

W Starym Brzostowie były trzy stawy zlewowe, ale żaden nie nadawał się do kąpeli. Woda w nich była stojąca i brudna. Ten, w którym się kąpaliśmy, służył również do pojenia krów i koni. Zwierzęta wchodziły do niego i pozostawiały po sobie w wodzie to i owo. Koczowało też na nim mnóstwo kaczek i gęsi. Nie było jednak silnego, który by nam zabronił kąpeli w tym stawie. Gdy wchodziło do niego kilkunastu chłopców, wydawało się, że woda wystąpi z brzegów. Woda stawała się jakby gęstsza od szlamu, który podnosił się z dna. Staw nie był głęboki i przez lata nikt w nim nie utonął, ani nikt się nie rozchorował, choć byli tacy, którzy kąpali się siedem razy dziennie. U nas obowiązywała dyscyplina – kąpaliśmy się raz dziennie. Przechodząc koło stawu wieczorem, odnosiłem wrażenie, że spracowana woda odpoczywa. Nad jej nieruchomym lustrem nisko wisiała mgła. Wyglądało to tak, jakby woda została przykryta białym puchem i zbierała siły na następny dzień.

Inaczej oczywiście bawiła się tzw. kawalerka, czyli dorosła młodzież. Przede wszystkim oni pracowali i w ciągu tygodnia na kontakty towarzyskie, szczególnie latem pozostawało czasu niewiele albo i wcale. W niektóre niedziele odbywały się potańcówki, a z soboty na niedzielę bywały zabawy całonocne. Grał przeważnie Kołakowski z Grabionny na dwurzędowej rozciąganej harmonii. Na opłacenie harmonisty składali się wszyscy. Na wiosnę odbywały się majówki w lesie, również przy muzyce.

ŻYCIE RODZINNE

Życie młodych ludzi, szczególnie z biednych rodzin, nie było łatwe. Często w jednej izbie mieszkali trzy pokolenia, w tym młode małżeństwo. Znany był dramat pewnej rodziny mieszkającej w czworakach. Byli to mąż z żoną i jej przedślubną córką oraz siostra żony z nieślubnym synem. Dopóki dzieci były małe, wszystko układało się dobrze. Gdy pasierbica stawała się panną, ojczym

zaczął spoglądać na nią z pożądliwością, bez wzajemności jednak, a w obronie córki stanęła również matka. Niefortunny amant wpadał we wściekłość i potwornie bił obie – matkę i córkę. Bił paskiem ze sprzączką, gdzie popadnie, ślady po sprzączce kobiety miały na całym ciele, nie wyłączając twarzy i głowy. Nieszczęsne niewiasty w różnych godzinach nocy uciekały z domu w bieliznie, niezależnie od pory roku. Chroniły się u nas w domu. Ojciec dobrze znał tego człowieka i przeprowadzał z nim wielogodzinne rozmowy. Perswazje ojca nie przynosiły jednak rezultatów.

Pasierbica była piękną dziewczyną. Pewien młodzieniec z Bydgoszczy zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Po kilku wizytach w Brzostowie zabrał ją do siebie. Nie wiem, jak była tam traktowana – czy jako służąca, czy jako narzeczona, czy też jako kochanka. A może wszystko naraz. Po pewnym czasie zaszła w ciążę. Na skutek niefachowo przeprowadzonego zabiegu pozbycia się płodu dziewczyna umarła.

Marny los spotykał również wiele innych dziewczyn, które szły ze wsi do miasta jako służące. Bardzo rzadko wychodziły za mąż. Najczęściej stawały się kochankami panów domu albo ich synów. Jeżeli dziewczyna nie była uległa, pan nalegał, żeby ją oddać. Jeżeli pani wyczuła intymny związek służącej z mężem, z wielkim hałasem wyrzucała dziewczynę na ulicę. Bardzo często taka dziewczyna wracała na wieś w ciąży i rodziła dziecko. Na wsi stawiała się pośmiewiskiem, a dziecko nazywano bękartem. Często nie było wyjścia i dziewczyna szła ponownie służyć za marny grosz, a dziecko wychowywała matka albo ktoś z rodziny.

Bywały małżeństwa mieszane, gdy żenili się Polacy z Niemkami i na odwrót. W Brzostowie był taki przypadek – on pochodził z rdzennie polskiej rodziny, ona była Niemką, ale lepiej mówiła po polsku, niż po niemiecku, ponieważ wychowywała się i przebywała w środowisku polskim. Rodzina narzeczonego uznała ten związek za mezalians. Jeden z młodszych braci w publicznym miejscu wyraził się o związku negatywnie. Między braćmi doszło do awantury, która mogła zakończyć się tragicznie – narzeczony był uzbrojony w grubą sztachtetę, dopiero co wyrwaną z płotu, nabitą gwoździami. Zamierzył się na młodszego, ale w końcu go nie uderzył, bo młodszy wyraźnie poczuwał się do winy. Cały incydent obserwowałem z odległości kilkunastu kroków. Polsko-niemieckie małżeństwo było bardzo udane, dzięki dozgonnej miłości dwojga ludzi,

kóra przetrwała próbę czasu. W czasie okupacji Niemcy ich nachodzili, żeby podpisali folkslistę. Któregoś razu żona oświadczyła im, że jest Polką, więc nie mają po co przychodzić. I dziwna rzecz – Niemcy zostawili ich w spokoju.

Również w Miasteczku był przypadek ożenku Polaka z Niemką, o względy której wcześniej równolegle konkurował także Niemiec. Wybrała Polaka, Urbańskiego, który był nauczycielem, uczył również mnie. Niemiec nazywał się Herberth Vorkeper. W 1939 r., po przyjsciu Niemców, Vorkeper zastrzelił Urbańskiego w lesie pod Białośliwiem. Wdowa po nauczycielu nie wyszła za mordercę.

ŻYCIE TOWARZYSKIE

Na wsi kwitło życie towarzyskie. Ludzie bywali u siebie przy różnych okazjach albo i bez okazji. Bardzo duże zainteresowanie budziła wojna domowa w Hiszpanii. Pisano na ten temat w gazetach, publikowano aktualne mapki z terenów walk. Ludzie dyskutowali, dzielili się przy tym na zwolenników gen. Franco i czerwonych. W czasie politykowania padały nazwy Madryt, Barcelona i nazwy innych miast, które w toku walk przechodziły z rąk do rąk. Zwolennicy czerwonych nie krzyczeli zbyt głośno, komunizm był zakazany, pamiętano niedawną wojnę z bolszewikami w 1920 r. Ludzie sporo wiedzieli na temat zaangażowania się w tę wojnę Niemców – z jednej strony i Rosji Sowieckiej – z drugiej. Wiadomo też było o Brygadach Międzynarodowych, które walczyły po stronie czerwonych. Z Brzostowa do Hiszpanii na wojnę nikt się jednak nie wybierał.

Gazety publikowały w odcinkach powieści *Tředowata*, *Profesor Wilczur*, *Znak Zorro* (innych tytułów nie pamiętam). Cieszyły się one dużym zainteresowaniem, głównie wśród kobiet. Wyczekiwało listonosza, który przynosił gazetę z ulubioną powieścią. O losach bohaterów dyskutowano w czasie spotkań sąsiedzkich.

Na takich spotkaniach opowiadano także różne inne historie. Niektóre z nich słyszałem wielokrotnie. Jedne były realne i dotyczyły spraw życiowych, inne niedorzeczne. Byli tacy ludzie, których opowiadań chętnie się słuchało, mieli talent narracyjny. Potrafili mówić ciekawie nawet o banalnych sprawach. Nasz dom był gościnny, odwiedzany przez różnych ludzi. Mówiono o nowościach politycznych, gospodarczych, służbie w wojsku, o bohaterach narodowych, przeżyciach wojennych oraz wielu innych sprawach i niezwykłościach.

Lubiliśmy słuchać opowiadań Grabowskich. Było ich dwóch, ojciec i syn, każdy miał na imię Jan i byli doskonałymi gawędziarzami. Opowiadali o ludziach, którzy widzieli rozmaite straszdyła w różnych miejscach i sytuacjach, przeżywając przy tym wielki strach. Szczególny talent gawędziarski miał ojciec Grabowski. Umiał podsycać ciekawość. Gdy był u nas, wyczekiwał momentu, kiedy wszyscy już byli w mieszkaniu, siadał sobie wygodnie blisko pieca, zapalał fajkę i zaczynał mówić. Fajka co chwila mu gasła, więc zapalał ją ponownie. Wreszcie zaczynał ją czyścić, ale wtedy przerywał gawędzenie, a my dopytywaliśmy się, co było dalej, ciekawość rosła. Czyszczenie fajki było swego rodzaju ceremoniałem. Najpierw była czyszczona zasadnicza część fajki – ta, w której był spalany tytoń, potem cybuch – ta część, którą trzymał w ustach. Cybuch był kilka razy przepychany i przedmuchiwany. Za każdym razem coś w nim skwierczało i wychodziły resztki smoły. W końcu Grabowski spluwał dwa, trzy razy do popiołu i kontynuował opowieść. Babka patrzyła na ten ceremoniał z obrzydzeniem, ale nic nie mówiła. Graboś (tak często nazywał go ojciec) cieszył się w naszym domu specjalnymi przywilejami i uznaniem. Za młodu pracował „na pańskim” w oborze i znał się doskonale na chorobach zwierząt. Umiał odjąć krowie łożysko, kiedy po ocieleniu nie mogła się sama oczyścić. Dokonywał operacji na małych wieprzkach. Znał się na chorobach koni i innych zwierząt. Był człowiekiem bardzo uczynnym i przydatnym w gospodarstwie.

DUCHY

Wraz z rozwojem akcji opowieści, atmosfera w kuchni gęstniała. Siedziałem na ławie za stołem, więc odsuwałem się od okna w obawie, żeby mnie jaka kosmata łapa nie złapała za czuprynę i nie wyciągnęła za okno. Ignac podśmiewał się ze mnie, że się boję, choć przed chwilą sam przeżywał to samo. W pomieszczeniu było słychać tylko głos Grabowskiego, pykanie fajki i trzaskanie ognia w piecu, a wokół w różnych postaciach snuły się duchy.

Matka chciała dołożyć do pieca, ale okazało się, że nie ma już torfu: „– Nie miałeś czasu przynieść za dnia, to idź teraz” – mówił do mnie ojciec. Było to najgorsze, co mogło mnie spotkać. Nie tylko traciłem część opowiadania, przerażenie wzbudzało we mnie to, że po ten nieszczęsny torf musiałem po ciemku iść do stodoły. Bałem się. Należało przejść przez sień na dole, część obory i na skos przez

całe klepisko stodoły, pozastawiane maszynami, zasłane sianem lub słomą. Wydawało mi się, że ruszą za mną te wszystkie duchy, o których opowiadał Grabowski. Jeżeli była kupiona bateria do latarki kieszonkowej, to było mi nieco rażniej – w stodole świeciłem po belkach i różnych zakamarkach, wypatrując strachów. Stodoła była wielka, zbudowana za „pańskich” czasów. Strachów nie było widać, ale raz wysoko na belce coś błysnęło i ujrzałem jakiegoś potworka – miał skrzydła i ruszył w moim kierunku, jak mi się wydawało. Zgasilem latarkę i zamarłem w bezruchu z przerażenia. Lotu potworka nie było słychać. Kiedy zapaliłem ponownie latarkę, siedział na innej belce i świeciły mu się oczy. Był podobny do siedzącego na zadzie kota i miał bardzo dużą głowę. Przypomniało mi się, jak ktoś z domowników mówił, że do stodoły na myszy przylatuje sowa, ponieważ dobrze widzi w nocy i nie słychać jej lotu, bo ma bardzo miękkie lotki. Nie wiedziałem jednak, że sowa ma taką dużą głowę i że w świetle latarki tak błyszczą jej oczy. Tajemnicą pozostawało również, którędy do stodoły dostaje się tak duże ptaszysko. Wprawdzie były dziury, którymi mogła się przedostać, ale stosunkowo nisko, a nie tam, gdzie ona latała.

Gorzej bywało bez latarki. Przywoływałem wtedy psa i jedną ręką trzymałem go za kudły, a w drugiej niosłem kosz na torf. Z psem było mi rażniej. W drodze powrotnej psa puszczałem – szlak był już przetarty i bałem się mniej. Otoczenie również wydawało mi się nieco bardziej przyjazne, mniej nasycone duchami. Wydarzenia, o których opowiadali Grabowscy, zawsze rozgrywały się w ciemnościach. Stąd nasze – dzieci – przeświadczenie, że ciemności sprzyjają duchom.

Jako osoba już dorosła chodziłem koło kościoła i cmentarza o każdej porze dnia i nocy, ale nie widziałem niczego, co by przypominało zjawy z opowiadań Grabowskich.

W DOMU

Przypominam sobie takie momenty jesienią, gdy zmrok zapadał wcześniej i nikogo jeszcze nie było w domu, każdy był przy swoich zajęciach. Siedziałem na stopniu schodów wiodących z kuchni do sieni na dole. Żeby dodać sobie odwagi brałem na kolana kota. Kot mruczał, czułem jego ciepło i nie byłem osamotniony. Ciepło czułem również przy prawym boku, od strony letniej kuchni, na której matka o tej porze wciąż gotowała. Wsłuchiwałem się w odgłosy

wydawane przez różne przedmioty, nagrzane w czasie dnia, a teraz stygnące. W kuchni bardzo głośno chodził budzik, a jego miarowe tykanie działało uspokajająco. Czułem się niezmiernie zmęczony po całodziennych zajęciach i chciało mi się spać. Miałem jednak dwa zmartwienia – jak uniknąć mycia nóg i mówienia pacierza.

Po całodziennym chodzeniu boso, również po ściernisku, na nogach mieliśmy setki zadrapań i skaleczeń. Te miejsca w czasie mycia bardzo szczypały. Ciepła woda wręcz zwiększała tę dolegliwość. Próbowałem przekonać matkę lub babkę, że wystarczy, gdy nogi mocno wytrę ścierką. Proponowałem, że założę pończochy i w ten sposób nie pobrudzę pościeli. Nic nie pomagało, przed pójściem spać nogi trzeba było umyć.

Również pacierz musiał być odmówiony i to bez żadnych uchybień. Pacierz był bardzo długi, mówiliśmy go głośno, a bezbłędne jego odmówienie kontrolowała babka albo matka, a nawet robił to ojciec, jeśli był w tym czasie w mieszkaniu. Pacierz odmawialiśmy w następującej kolejności: Ojcze Nasz, Zdrowaś Mario, Wierzę w Boga, Dziesięcioro Przykazań Bożych, Przyrzeczenie Boże i Ofiarowanie, Prośba o zmiłowanie Boże, część dziękczynna i na zakończenie Aniele Boży. Pacierz był odmawiany rano i wieczorem, bez taryf ulgowych. W wyjątkowych przypadkach, np. wielkiego zmęczenia delikwenta, matka trochę skracała pacierz – już w łóżku do poduszki odmawialiśmy modlitwę.

Któregoś roku w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia przyszli do rodziców Maćkowiakowie. Z reguły bywało tak, że jeżeli rodzice spotykali się w jednym domu, to dzieci w drugim. Tak było i tym razem. Ja z Ignacem wybraliśmy się do Maćkowiaków. Gdy podeszliśmy pod okno usłyszeliśmy, że chłopcy grają w karty. Obaj nie lubiliśmy gry w karty. Postanowiliśmy ich wystraszyć – wejść na strych obory i tam pohłasować. Obora przylegała bezpośrednio do domu mieszkalnego. Na strych obory wchodziło się po drabinie, która stała na zewnątrz budynku, przystawiona bokiem do muru. Prowadziła na platformę wykonaną ze stalowej ryflowanej płyty, o wymiarach dwa na cztery metry. Z platformy można było wejść na strych dwojgiem drzwi. Plan nasz był ryzykowny – mogliśmy stamtąd spaść, ponieważ w ceglanym stropie obory była wybita dziura na zrzucanie siana, a my nie wiedzieliśmy, gdzie ona jest.

Po drabinie weszliśmy na platformę. Przed przekroczeniem progu pierwszych drzwi mocno złapaliśmy się za ręce, jeden z nas siedł

przodem, macając nogami przed zrobieniem każdego kroku. Dziury nie było. W tej części strychu nie było również siana. Podeszliśmy aż pod ścianę, za którą, o jedną kondygnację niżej, byli karciarze. Zaczęliśmy łomotać w ścianę i strop. Klótnie karciane ucichły. Powtórzyliśmy łomotanie. Chłopcy pobiegli do stajni i przyłożyli parę batów koniom, podejrzewali, że to one hałasują. W tym czasie powtórzyliśmy walenie. Chłopcy zaczęli uciekać. Na wszelki wypadek, najstarszy – Edmund – dał jeszcze koniom po bacie i również się wycofał. Wycofaliśmy się i my. W drodze powrotnej zachowaliśmy maksymalną ostrożność i zdołaliśmy zauważyć dziurę do zrzucania siana, która znajdowała się przy samym progu drugich drzwi prowadzących z platformy.

Kiedy po zejściu ze strychu podeszliśmy pod okno mieszkania, chłopcy już śpiewali kolędy. Skłoniła ich do tego babcia, twierdząc, że ten hałas to była przestroga. Że Pan Bóg się na nich pogniewał za grę w karty w takie wielkie święto. Po paru dniach przyznaliśmy się do tego niecnego czynu.

Bardzo częstym gościem w naszym domu był kowal Kledzik. Zżyłość z nim przybrała takie rozmiary, że był traktowany jak domownik. Kledzik kuźnię miał w Arentowie, około kilometr od nas. Nasz dom znajdował się w połowie drogi między kuźnią a Miasteczkiem. Kledzik wstępował do nas zawsze, ilekroć koło nas przechodził. Regularnie bywał w niedzielę i święta, w drodze z kościoła. Był człowiekiem bardzo sympatycznym, komunikatywnym i dowcipnym. Miał kilka morgów ziemi, którą obrabialiśmy mu końmi. Nie było przy tym żadnych obrachunków. Raz na zawsze zostało przez niego i mojego najstarszego brata Stacha ustalone, że my mu obrabiamy ziemię, a on świadczy na naszą rzecz usługi kowalskie.

KUŹNIA

Przed wojną u Kledzika pracował Leon Bartosz z Brzostowa, który najpierw był uczniem, a następnie czeladnikiem. Obaj nie byli atletycznej budowy i nie mieli wielkich bicepsów, ale młoty w ich rękach chodziły jak należy, nawet te największe. Pracowali bardzo szybko, porozumiewali się między sobą półsłówkami. W czasie kucia mistrz był prowadzącym – jedną ręką trzymał w szczypcach rozpalony do czerwoności przedmiot, a drugą uderzał mniejszym młotem w te miejsca, w które następnie walił dużym młotem czeladnik. Wokół sypały się snopy iskier z odpadającej zendry, czyli tlenków żelaza.

Przerwę w biciu dużym młotem sygnalizowało lekkie uderzenie mistrza, czy nawet kilka słabych uderzeń – jedno po drugim – w kowadło, zamiast w rozpalone żelazo. Po każdym jałowym uderzeniu mistrza, kowadło wydawało wysoki ton. Potem następowała chwila przerwy. Czeladnik trzymał w obu rękach młot oparty na ramieniu, gotowy do uderzenia w każdej chwili. Był to czas niezbędny na obejrzenie rezultatów dotychczasowego kucia. Po tej krótkiej chwili namysłu, następowało dalsze kucie albo kuty przedmiot był wkładany do ognia dla ponownego nagrzania, lub też następowała przerwa, bo przedmiot był już gotowy.

Chodzenie do kuźni sprawiało mi wielką radość. Kiedy ojciec wracał z pola na obiad, odkręcał od pługa lemiesz, a ja szedłem z nim do kuźni, żeby go wyklepać, względnie wyprostować, o ile zahaczył za kamień. Bywałem też z siekierą czy innymi przedmiotami.

Podchodząc pod kuźnię, słyszałem walenie młotów i charakterystyczne wysokie tony kowadła. Kledzik witał mnie zawsze z zadowoleniem, a to, co przynosiłem, robił na ogół od ręki. Na rozmowy było mało czasu. Najpierw była szlakowana kotlina – czyli oczyszczanie paleniska ze szlaki, która powstawała w wysokiej temperaturze przy spalaniu koksu. Potem do kotliny wkładany był przedmiot przeznaczony do nagrzania. Dokładano świeżego koksu i obficie zraszano go z zewnątrz wodą przy pomocy maczanej w wodzie szmaty umocowanej na metalowym pręcie. Przez cały czas na dnie kotliny znajdował się rozżarzony koks. Po tych czynnościach następowało dymanie, czyli wtłaczanie od dołu do kotliny powietrza. Tlen zawarty w powietrzu powodował przyśpieszone spalanie koksu i wytwarzała się wysoka temperatura, w której topiła się stal. Podczas dymania następowało odprężenie i czas na rozmowę. Odprężenie było wyraźnie widoczne na twarzy mistrza – zwiłżał wargi językiem, rzucał jakiś dowcip, pytanie o szkołę, dom, rodzinę itp. Kiedyś powiedział: „– To mówisz, Zdzichu, że wasz pies ma siedem ogonów”. Wyjaśniłem, że to powiedział Ignac, gdy chodził do pierwszej klasy. Mieliśmy wtedy bardzo kudłatego psa Natona, któremu na ogonie kudły się rozdzielały i Ignac naliczył kilka tych przedziałek. Uznał, że pies ma siedem ogonów i był dumny z takiego wieloogonowego psa.

Czas na dyskusję trwał tak długo, jak długo nagrzewało się żelazo. Po tym czasie mistrz mówił coś, czego nie rozumiałem. Leon niezwłocznie zostawiał dotychczas wykonywaną pracę, brał do rąk

młot i rozpoczynało się kucie. Pierwszy uderzał mistrz. Przez kilka lat zastanawiałem się, co też mistrz mówi do czeladnika, żeby chwycił za młot. Wreszcie doszedłem, że mówi do niego: „– Uderz!”. Dla postronnego słuchacza było to niezrozumiałe mruknięcie.

Kucie koni należało do stałych zajęć kowala. Na ogół konie zachowywały się w czasie podkuwania spokojnie, nawet te uchodzące za narowiste, bo czuły respekt przed kowalem. Najpierw trzeba było odpowiednio ukształtować kopyto. Z zewnątrz jego nadmiar był obcinany grubym nożem, w który kowal uderzał drewnianą pałką. Kopyto podczas tej czynności leżało na wierzchołku specjalnego metalowego trójnoga. Od spodu również wycinano nadmiar miękkich części kopyta. Te czynności Kledzik nazywał werkowaniem. Podkova była kuta na wymiar do ukształtowanego kopyta. Po dopasowaniu kowal nieco ją nagrzewał i przypalał nią kopyto (nadmierne przypalenie mogło spowodować próchnicę kopyta). Przypaloną warstwę ścinał ostrym nożem przed przybiciem podkowy. Chodziło o to, by podkova przylegała do kopyta jak największą powierzchnią. Podkowę przybijano specjalnymi gwoździami – hufnalami, które były prostokątne i nieco spłaszczone, a w kierunku łba coraz grubsze, na czubku niedostrzegalnie krzywe. Przy wbijaniu gwoździa chodziło o to, żeby nie poszedł zbyt głęboko w kopyto. Jeżeli zdarzyło się, że gwoździe źle wszedł w kopyto, koń kulał. Mówiło się, że został „zakuty”, czy też „zagwoźdzony”, wokół gwoździa kopyto było gorące. Należało go rozkuć, czyli oderwać podkowę, względnie wyciągnąć gwoździe, by noga musiała się zagoić. Zdarzało się tak niezmiernie rzadko i ja takiego przypadku nie pamiętam. Prawidłowo wbite gwoździe wychodziły na zewnątrz, na obwodzie kopyta. Kowal je odcinał, a pod nimi podcinał nieco kopyto i w to wycięte miejsce gwoździe zaginał, żeby podkova się lepiej trzymała. Po przybiciu podkowy, wystający poza nią nadmiar kopyta był „raszplowany”.

Bardzo rzadko zdarzało się, że koń po podniesieniu mu nogi do podkucia chciał się położyć. Taki koń był wprowadzany do specjalnego, małego ogrodzenia, które stanowiły cztery słupy wkopane w ziemię, połączone dookoła drągami, był to rodzaj mocnej klatki. Jeżeli w dalszym ciągu chciał się kłaść, przeciągano mu pod brzuchem pasy, które były przymocowane do okalających drągów, więc zawisał na pasach.

Tajemnicę kowalstwa stanowiło dla mnie hartowanie. Najpierw przedmiot, np. siekiera, była nagrzewana (ale nie do czerwoności),

a następnie pocierana o piach zalegający cienką warstwą na drewnianym podłożu. Mistrz uważnie przyglądał się temu potartemu miejscu, a następnie, jeśli uznał za stosowne, wkładał siekierę do wody, wyciągał i przerywał chłodzenie jeszcze raz albo dwa. Hartowanie było i jest sztuką. Kiedy mistrz pocierał siekierą o piach, chodziło o oczyszczenie metalu z zendry, żeby dostrzec kolory, które przybiera stal. Kolory związane są z temperaturą stali. Kiedy nalot na siekierze przybierał ściśle określony kolor, można ją już było hartować. Była to stal węglowa.

Hartowanie siekiery przy zbyt wysokiej temperaturze powodowało mocne zahartowanie, ostrze stawało się zbyt twarde i wykruszyło się w czasie rąbania drzewa. Zahartowanie przy zbyt niskiej temperaturze powodowało, że ostrze było zbyt miękkie, siekiera zbyt szybko się tępiła, a ostrze wywijало, szczególnie przy rąbaniu twardego drzewa.

W ciągu kilku lat, kiedy chodziłem do kuźni, widziałem wiele ciekawych rzeczy, które robił kowal. Każda praca wymagała odpowiedniego podejścia do niej, określonej wiedzy i inwencji, żeby była wykonalna w danych warunkach. Nie lada wiedzą i pomysłowością należało się wykazać przy ponownym łączeniu złamanej osi do wozu. Nazywano to szwajsowaniem przez kucie. Oba kawałki pękniętej osi nagrzewane były do białości i mocno kute w łączonym miejscu. Przed kuciem finalnym wykonywano na nich odpowiednie skosy. Najlepiej było wykonywać to we trójkę – kowal i dwóch pomocników. W pełni adekwatne było tu powiedzenie – kuć żelazo póki gorące. Można było je dodatkowo nagrzać i tak też czyniono, ale decydującą rolę w połączeniu miało kucie po pierwszym nagrzanu. Było to niepowtarzalne widowisko – koncert na trzy młoty. Pomocnicy walili największymi młotami.

Dużo pracy miał kowal latem, kiedy rozsychały się drewniane koła od wozów i spadały obręcze. Należało obręcz skrócić i ponownie nałożyć. Do skracania obręcz nie była rozcinana; wyginało się ją na gorąco na bardzo krótkim odcinku, co nazywano wyoblowaniem. W wygiętym miejscu była ponownie nagrzewana i na grubej płycie stalowej po obu stronach nagrzanego miejsca klinowana, żeby uniemożliwić jakiegokolwiek jej ruchy. Po zaklinowaniu wygięcie na gorąco było przez kucie wtłaczane w linię obręczy. Nazywano to „sztachnięciem na gorąco”. Obręcz nagrzewano na całym obwodzie i ponownie zakładano na gorąco na koło. Towarzyszyło temu palenie się drewna, dlatego czynność tę wykonywano

bardzo szybko, po czym chłodzono obręcz wodą. Skurcz materiału był znaczny, co powodowało, że po ponownym założeniu obręczy, szprychy kola odchylały się nieco na zewnątrz wozu. Obręcz w „sztachniętym” miejscu stawiała się grubsza, ale to w czasie jazdy nie miało istotnego znaczenia.

SZKOŁA

Kiedy zacząłem się uczyć, tylko w Nowym Brzostowie była szkoła, ponieważ była tylko jedna nauczycielka. Po roku albo dwóch, doszedł nauczyciel i nauka odbywała się również w Starym Brzostowie. Pedagodzy pobrali się i zamieszkali w budynku szkolnym w Nowym Brzostowie. Pani Kalkówna zamieniła nazwisko na Siwek.

Szkoła w Brzostowie była czteroklasowa. Do I i do II klasy uczeń chodził rok, do III dwa lata, a do IV trzy. Nauczyciele w miarę swoich możliwości różnicowali nieco program. Zadania i prace domowe były nieco trudniejsze dla dzieci, które chodziły drugi, albo trzeci rok do tego samego oddziału. W Miasteczku była szkoła sześcioklasowa, do VI klasy uczeń chodził dwa lata. Jeżeli ktoś chciał skończyć siedem klas, to musiał uczęszczać do Białośliwia, siedem kilometrów od Brzostowa. W Miasteczku i Białośliwiu należało płacić czesne. Nie były to duże pieniądze, ale biednych ludzi nie było na to stać.

Ojciec był ambitnym człowiekiem i doceniał wiedzę zdobywaną w szkole. Posyłał nas do szkoły w Miasteczku, a Ignac chodził również do VII klasy w Białośliwiu, co dla trzynasto-, czternastolatka nie było sprawą łatwą. Ranny pociąg jechał około szóstej, po kilku minutach był w Białośliwiu i do ósmej należało czekać na rozpoczęcie lekcji. Powrotny pociąg odjeżdżał po szesnastej, czy nawet później, więc i na niego trzeba było czekać. Dzieci w tym czasie w miarę możliwości odrabiały lekcje. Latem Ignac jeździł rowerem utwardzonymi ścieżkami wzdłuż torów kolejowych. Kilka razy mi się przyznał, że brakuje mu siły na dopchanie tego roweru z Miasteczka do Brzostowa. Był to kilkusetmetrowy odcinek pod górę. Brat miał chroniczny kaszel oskrzelowy, co zmniejszało jego sprawność fizyczną.

Ignac bardzo dobrze się uczył i ojciec zdecydował, że pójdzie do gimnazjum w Nakle nad Notecią, które przed II wojną światową miało wysoki poziom nauczania – wszyscy jego absolwenci, zdający egzaminy na wyższe uczelnie, byli na nie przyjmowani. Ignac zdawał egzamin do tego gimnazjum w 1939 r., co przeżywała cała

rodzina. Wielokrotnie opowiadał o nim z detalami, a wszyscy słuchali w skupieniu.

Tego dnia była ładna pogoda i wszyscy zdający stali w grupkach na placu przed szkołą. Ignac dołączył do jednej. Nerwowo rozmawiano o zbliżającym się egzaminie. W tym czasie pod szkołę podjechała elegancka powózka na gumowych kołach, co wówczas było rzadkością. Równie dobrze jak powózka prezentowała się para koni w lśniących czarnych szorach przeszywanych żółtymi rzemieniami. Powoził nienagannie ubrany kuczer w białych rękawiczkach. Z powózki wysiadł chłopiec ubrany w elegancki ciemny garniturek z niebieskawym odcieniem. Stał na uboczu i nie łączył się z żadną grupą oczekujących chłopców, którzy z ciekawością mu się przyglądali.

Po kilku dniach Ignac pojechał sprawdzić, czy został przyjęty. Na placu przed szkołą stała ta sama powózka, a na niej oczekujący kuczer. Na korytarzu przed tablicą informacyjną był tłok. Dopchał się i osłupiał z wrażenia – figurował na liście przyjętych! Obie listy – przyjętych i odrzuconych – czytał kilka razy, by się nie pomylić. Wreszcie ochłonął i odszedł od tablicy. Na końcu korytarza zauważył płaczącego chłopca w niebieskawym garniturku. Zrobiło mu się go szczerze żal. Taka to była jednak szkoła – liczyła się wiedza i według niej oceniano ucznia, inne względy nie grały roli. Chłopiec był prawdopodobnie synem jakiegoś właściciela ziemskiego, w tych okolicach było kilka dużych majątków. Jego ojciec zapewne mógłby kupić całe to gimnazjum, ale chłopiec nie zdał egzaminu i do szkoły nie został przyjęty.

Ignac do gimnazjum nie poszedł – wybuchła II wojna światowa. Na pamiątkę pozostał granatowy mundurek z błyszczącymi guzikami. Po pewnym czasie, lśniące guziki zastąpiono normalnymi i mundurek był noszony jako zwykłe ubranie.

WYCHOWANIE

Osiągnięcie Ignaca poprzedzone było wieloletnią mozolną pracą, jego i nauczycieli. Niemale znaczenie miał klimat panujący w naszym domu. Osobowość dzieci była kształtowana w realiach naszego życia. Człowiek był oceniany przez pryzmat wartości jego czynów. Byliśmy wychowywani przez solidną pracę. W praktyce nie było to takie proste. Oprócz nauki mieliśmy inne obowiązki, każdy miał przydzieloną pracę na miarę swoich sił. Z upływem lat przybywało nam sił, i zadań, rosła też wartość wykonywanej

pracy. Mając dziesięć lat, poznałem smak własnego potu. We trzech ze Stachem i Ignacem w czasie żniw wiązaliśmy żyto za jednym kosiarzem. W następnych latach wiązałem już tylko z Ignacem, Stachu, mając szesnaście lat, chwycił za kosę. Wykonywaliśmy wiele innych prac gospodarczych, nie wyłączając wyrzucania gnoju z obory i rozrzuca go na polu. Były to ciężkie prace, ale cieszyła nas harmonia, szczęście i miłość panujące w rodzinie i to, że z każdym rokiem stawaliśmy się zamożniejsi. Zamożność nasza rosła właśnie dzięki tej zgodnej i mrówczej codziennej pracy. Życie w naszym domu było podobne do życia w innych domach. Wszędzie ludzie mozolnie pracowali, dzieci się uczyły i każdy liczył na lepsze jutro.

Kiedy nadciągały długie jesienne wieczory, w kuchni przy lampie naftowej odrabialiśmy lekcje. Na środku dużego stołu, na garnku odwróconym dnem do góry, stała lampa. Z podwyższenia lampa oświetlała lepiej dalsze strefy stołu i mieszkania. Do odrabiania lekcji obsiadaliśmy stół, gdzie kto mógł i jak mu było wygodnie. Kilka razy wziąłem swoje zeszyty w tornister i lekcje odrabiałem przy krowach na polu – nie było to wygodne, a pismo wyglądało karykaturalnie. Zaprzestałem tych praktyk, gdy w tornistrze wylał mi się atrament.

Gdy my odrabialiśmy przy stole lekcje, matka cerowała bieliznę, pończochy i wszystko to, co zdążyliśmy podrzeć. Ojciec z babką przędli na kołowrotkach len. Z przędzy wyrabiano płótno. Chłopcy w tym czasie nosili krótkie spodnie i pończochy powyżej kolan. Te długie pończochy były prawdziwym utrapieniem, ponieważ bardzo się darły. Był to niefortunny ubiór, zimą w krótkich spodniach było po prostu zimno.

W szkole nie byłem orłem. Źle się w niej czułem, nauka szła mi ciężko. Miałem kłopoty z koncentracją, moje myśli uciekały poza szkolne mury. Mimo że nie lubiłem szkoły, bardzo często przypominała mi się ona w późniejszym życiu. Choć była to mała wiejska szkoła, to jednak w niej udzielono mi pierwszej lekcji wielkiego patriotyzmu. Nauczono mnie kochać Polskę, szanować ludzi i ich wartości. Uczono nas również dobrych manier – jak się zachować w obecności starszych, koleżanek, kolegów i w różnych sytuacjach życiowych.

Przed pierwszą lekcją, po porannej modlitwie siedzący w ostatniej ławce, najwyższy w klasie chłopiec – Florek Bąk – robił krok w prawo i mówił donośnym głosem: „– Baczość, orłowi polskiemu cześć!”. Wszyscy jednocześnie odpowiadali: „– Cześć!”. Ten

moment ze wzruszeniem przypominałem sobie w ciężkich chwilach w czasie niemieckiej okupacji.

ZIMA W BRZOSTOWIE

Zimą życie w Brzostowie toczyło się na zwolnionych obrotach. Można by rzec, że ludzie konsumowali to, co zebrali latem i jesienią. Tak w istocie było, ale pracy nie brakowało, bo dzień był krótki. Praca rolnika stanowi pewną ciągłość i nie ma takiej możliwości, by mógł on swój warsztat pracy zamknąć na kłódkę.

Dużo czasu pochłaniało młócenie zboża, które przebiegało w dwóch, a w przypadku jęczmienia, w trzech etapach. Młócono maszynami napędzanymi siłą koni, za pomocą maneży. Zboże trzeba było następnie oczyścić w wiejni. Było to stosunkowo proste urządzenie, ale bardzo pomysłowe, napędzane korbą. W wiejni wirujące kłapy wytwarzały strumień powietrza, przepływający między poziomymi usytuowanymi sitami, które poruszały się na boki w jednej płaszczyźnie, dość szybko. Nieoczyszczone zboże było sypane od góry do płaskiej rynny poruszającej się podobnie jak sita i spadało na nie. Górne sito było bardzo rzadkie i na nim zatrzymywały się kłosa i kawałki słomy, które były wydmuchiwane przez strumień powietrza. Drugie przepuszczało ziarno, zatrzymując grubsze zanieczyszczenia, które były również zabierane przez strumień powietrza. Trzecie sito było nachylone do przodu, nie przepuszczało ziarna, które zsypywało się jako oczyszczone. Na nim odsiewany był piach i bardzo drobne kamyczki. Strumień powietrza między sitami zabierał plewy.

Zimą sporo czasu zajmowało przygotowanie paszy i karmienie inwentarza. Trzeba było odkrywać kopce, by sięgnąć po ziemniaki i buraki, czy też po kwaszone liście, bądź wytloki z buraków cukrowych. Często ziemia była zamarznięta i trzeba ją było rąbać kilofami. Najmniejszą trudność stanowiło przywożenie wywaru z gorzelnii. Oprócz typowych prac, które wykonywano we wszystkich gospodarstwach, w poszczególnych domach prowadzono różne prace, które nie były związane z bieżącymi potrzebami gospodarczymi.

Korzystając z tego, że ziemia była zamarznięta, ojciec wywoził na łąkę kompost. Szczególnie w te miejsca, gdzie o innej porze roku, z powodu grząskości gruntu były trudności z wjechaniem konnym wozem. Ojciec miał stół stolarski i doskonale umiał posługiwać się narzędziami stolarskimi, a nawet je wykonać. Robił gięte widliska, ręczne grabie, toporzyska, orczyki, barki i wiele innych rzeczy. Spo-

ro czasu spędzał przy cięciu wzdłuż okraglaków na sztachety do płotów, robił to ręczną piłą ramową. W wolnych chwilach siadał do kółowrotka i przadł – lniane nici, a także wełnę, nawet tę najkrótszą.

ZIMOWE ZABAWY

Zimą dzieci były mniej angażowane do pracy. Chodziliśmy na lód na łyżwy. Jeździli na nich wyłącznie chłopcy. Łyżwy były przykręcane do trzewików, przypinane paskami, bądź przywiązywane sznurkami. Często były nie do pary. Bywało nawet, że jeździło się na jednej łyżwie, podpierając się drugą nogą (na takiego łyżwiarza mówiono „zając”). Zmora naszych łyżew było to, że były tępe, a nie mieliśmy sposobu, by je naostrzyć. Najlepiej nam się jeździło na lodzie lekko przyprószonym śniegiem.

Ślizgano się również na drutach o grubości trzech milimetrów. Drut był zagięty z tyłu po kątem prostym i obejmował piętę, natomiast z przodu zaginano go w ten sposób, że obejmował cały czub drewniaka. W poruszaniu się pomagały kije zaopatrzone na dole w szpikulce. Ślizgaliśmy się też na małych saneczkach zbitych z desek, które nazywano „rodelkami” – miały wymiary trzydzieści na trzydzieści centymetrów, a może nieco więcej i miały wysokość kilku centymetrów. Pod płozami miały druty. Stawano na tym nogami i odpychano się kijami. Można było też rozpedzić się na brzegu stawu i już na lodzie rzucić się płasko na swoje saneczki, biorąc je pod piersi i brzuch. Taki „śledź” prześlizgiwał się z pięćdziesiąt, a nawet więcej metrów. W dogodnym miejscu skarpa stawu była polewana wodą, a kiedy zamarzała w ślizgawkę, służyła do rozpędzania się przy wjeździe na taflę lodową. Zjeżdżano tam na tradycyjnych saneczkach, jak również na wszystkim innym, co nadawało się do ślizgania, nie wyłączając zwykłych drewniaków, drewniaków z drutami pod spodem i „rodelków”.

Chyba w 1937 r. Brzostowo opanował istny szal jazdy na nartach. Pierwsze narty kupił gdzieś Ignac. Były wykonane przez domorostego specjalistę, który prawdopodobnie nigdy nie widział prawdziwych nart. Miały mnóstwo wad, ale też i tę wielką zaletę, że można było na nich jeździć. Gdy przekonano się, że na deskach można się ślizgać po śniegu, kto żyw, rzucał się do ich robienia. Podobno najlepsze narty były z drewna jesionowego. Przy jego braku narty robiono ze wszystkiego, włączając w to klepki z rozeschniętych beczek. Były cienkie i grubsze, długie i krótkie, mniej lub bardziej podgięte. Przeważnie były szersze z przodu, a węższe z tyłu. Czubki

desek przeznaczone do zagięcia wkładało się do kotła z ziemniakami i trzymało w nim aż do ich ugotowania. Bezpośrednio po wyjęciu były zaginane i trzeba było poczekać do ostygnięcia drewna. Po uwolnieniu desek z zacisków, trochę się odginały, ale dalsze zagięcie było trwale. Przed zaginaniem nie można było ścinać czubów desek, bo w czasie gięcia rozszczepiały się na bokach.

Ja zrobiłem sobie narty dębowe z rozłupanego kłoca. Nadmiar drewna obrabiałem siekierą. Miały dobrze zagięte czuby, dobry ślizg, były jednak trochę za ciężkie i z powodu dużej twardości drewna trudno było w nich umocować okucia do wiązań. Józef, kolega od maszyny parowej, zrobił sobie narty z desek sosnowych. Do kompletu dorobiliśmy jeszcze kije ze szpikulcami i paskami na ręce.

NARCIARZE

Wyposażeni w taki sprzęt ruszyliśmy na podbój ośnieżonych stoków. Jazdy nikt nas nie uczył. Szybko jednak zdobyliśmy doświadczenie, z którego wynikało, że sylwetka narciarza (widywaliśmy ją w gazetach), to nie jest jakiś wydumany fason lecz konieczność, żeby utrzymać się na nartach i nie klapnąć na pośladki. Opór powietrza rośnie w miarę wzrostu prędkości jazdy i należy się coraz bardziej pochylać do przodu, uginając przy tym nogi w kolanach. Nazywaliśmy to „kładzeniem się na powietrze”. Zauważyliśmy też, że po zjechaniu ze stromego stoku na równinę, czy też na przeciwny stok, narciarz jest przyciskany do ziemi i musi się temu przeciwstawiać, by „nie dziabnąć nosem w czuby nart”, jak mawiał Józef. Nasze narty nie były sterowne, więc skręcać można było tylko łagodnymi lukami. Nasze umiejętności nie pozwalały na większe wyczyny.

Początkowo zjeżdżaliśmy z mniejszych wzniesień, ale w miarę jedzenia apetyt rośnie. Naszą ambicją było zjechać z każdej góry. Przyszła kolej na „łysą górę” – tak Zawistowski nazywał największe wzniesienie (około trzydziestometrowej wysokości) na swoim polu. Jego stromości nie potrafię obecnie ocenić. Śnieg miał około trzydziestu centymetrów grubości i żadne bruzdy po orce nam nie przeszkadzały. Z „łysej góry” zjeżdżaliśmy wielokrotnie, po jej największej stromiznie, także od mniej stromej strony, gdzie zjazd był dłuższy.

Wreszcie postanowiliśmy zjechać z największej góry, „góry Binkowskiego” (od nazwiska jej właściciela) koło stacji kolejowej w Miasteczku. Wzniesienie było nieco wyższe niż „łysa góra”, trasa zjazdu miała około sześćdziesięciu metrów, a stromość w dolnym odcinku

dochodziła do czterdziestu pięciu stopni. Najgorsze było jednak to, że na dole, w poprzek naszej trasy była przedeptana ścieżka, a za nią półmetrowej, a może większej wysokości uskok, nieco zniwelowany przez śnieg, ale mimo to różnica wysokości była wyraźna. Weszliśmy na górę razem z Józefem i razem postanowiliśmy ruszyć. Serce waliło jak młotem, jednak nie wypadało się wycofać. Prowadziliśmy drętwą rozmowę, żeby nieco odwlec start. W końcu ruszyliśmy – Józef jechał z lewej strony, stopniowo się oddalaliśmy, by nie wpaść na siebie. Choć już w chwili startu żałowałem tej decyzji, nie miałem sposobu, by się zatrzymać; przewrócenie się nie wchodziło w rachubę. Niepokój potęgowało to, że trasa nie była widoczna – góra miała wypukłość, która zasłaniała tę stromą część. Wpadłem na ten najbardziej stromy odcinek. Pamiętam jeszcze moment, kiedy dojeżdżałem do uskoku na dole. Wszystko działo się błyskawicznie. Ocknąłem się, gdy zacząłem dusić się z powodu braku powietrza. Leżałem twarzą w śniegu, którym miałem zapchane także usta. Wyplułem śnieg, zacząłem oddychać, ale nie mogłem się podnieść. Bolały mnie nogi, kręgosłup, wszystko. Wreszcie jakoś się pozbierałem.

Ten mały uskok na dole wybił mnie i leciałem kilka metrów w powietrzu. Wylądowałem na czubkach nart, które zaryły się w śniegu i upadłem na głowę i tułów. Od połamania uratowało mnie to, że urwały się okucia z wiązaniami i to, że w tym miejscu leżało dużo śniegu.

Józef wylądował podobnie jak ja, ale złamał nartę. Szybciej się pozbierał, podeszedł do mnie i chciał mi pomóc wstać. Nie wiedzieliśmy, że mamy widownię. Dzieci dowiedziały się, że planujemy zjazd z tej góry i przyszły popatrzeć. Żeby nie brnąć przez głęboki śnieg, przybyły okrężną drogą. W momencie, gdy lądowaliśmy tak niefortunnie, jedno z nich krzyknęło: „– O Jezu, zabili się!“. Kiedy Józef się podniósł, gromadka poweselała. A kiedy ja się pozbierałem, któreś krzyknęło: „– Żyje! O, patrzcie, wstaje!“. Dla tych dzieci byliśmy bohaterami. Po kilku dniach spotkałem się z Józefem i z przykrością musieliśmy uznać, że góra nas pokonała – jeszcze nas bolało to i tamto po upadku. Już nie planowaliśmy zjeżdżania z niej, przynajmniej tej zimy. Nigdy potem nie mieliśmy już takiej okazji.

LÓD

Co roku zimą w Brzostowie wydobywano ze stawu lód dla potrzeb mleczarni w Miasteczku, chłodzono nim produkty mleczarskie. Był przechowywany w parku i sukcesywnie dostarczany do

mleczarni. Wydobywanie lodu było ciekawą i nietypową pracą. Radość przy tym mieli chłopcy, którzy zapragnęli pływać na krach. Zabawa taka mogła się skończyć tragicznie, najczęściej kończyła się tylko kąpielą w lodowatej wodzie.

Najpierw siekierą wyrąbiano w lodzie otwory. Potem piłą wycinano taflę, tnąc od jednego otworu do drugiego. Piłą ciągnęła jedna osoba, stojąc na lodzie, drugi koniec piły znajdował się w wodzie pod lodem. Wyciętą taflę rąbano siekierami na mniejsze bryły i wyciągano hakami na stały lód – naciskano hakiem na przeciwny brzeg pływającego kawałka lodu i kiedy on się zanurzał, wynurzał ten bliższy brzeg i zaczynał nachodzić na stały lód. Wystarczyło go zahaczyć od dołu i wyciągnąć. Żeby się nie poślizgnąć i nie wpaść do wody, należało mieć na nogach drewniaki z nabitymi, wystającymi gwoździakami.

Wyciągnięte kawały lodu przepychano ślizgiem do brzegu stawu, tu rozbijano je na mniejsze kawałki i ładowano na wozy. Wypełniany lodem dół w parku miał w przybliżeniu wymiary sześć na sześć metrów i około dwóch metrów głębokości. Lód był nakrywany słomą, obsypywany plewami i przykrywany warstwą ziemi. Wokół tego kopca rosły gęsto kasztanowce, niedopuszczające promieni słońca, nawet w bardzo słoneczne dni. Lód codziennie zabierał mleczarz z resztówki i wraz ze swoim mlekiem dostarczał do mleczarni.

Pływanie na krach zaczęło się przypadkowo. Kilku gapiów, wracając ze szkoły, weszło na taflę lodu obciążoną piłą prawie dookoła. Odłamała się ona od reszty i chłopcy zaczęli na niej pływać, co im się bardzo spodobało. Pływali, na co raz mniejszych krach, przechoodzili i przeskakowali z jednej na drugą, co w rezultacie kończyło się zimną kąpielą. Antkowi Wróbla przydarzyło się to kilka razy.

WYCIECZKI

Gdy stopniał śnieg i ziemia nieco obeschła, chodziliśmy na niedzielne wycieczki – dwu-, a najwyżej czteroosobowe. Wielokrotnie zastanawiałem się, co nas ciągnęło na wielokilometrowe i wielogodzinne wyprawy. Przyczyn było kilka. Przede wszystkim bezgraniczna swoboda. Nic nas nie krępowało, nie mieliśmy żadnych obowiązków, doznawaliśmy luksusu beztroski. Świat przez to wydawał się piękniejszy, miał inne barwy.

Lubiliśmy chodzić do lasu. Las w Brzostowie Starym był mały, ale bardzo atrakcyjny. Miał kilkadziesiąt hektarów, przy jego sadzaniu kie-

rowano się jakością ziemi, która miała odpowiadać poszczególnym gatunkom drzew. Został zasadzony na nieużytkach stromych wzgórz morenowych, pod które podchodziliśmy z wielkim trudem, albo je omijaliśmy. U podnóża tych wzniesień było źródło krystalicznie czystej wody – zimnej w największe upały, bo nie dochodziły tu promienie słoneczne. Źródło było otoczone gęstymi krzewami i bardzo bujną roślinnością, co utrudniało dostęp niewtajemniczonym. W lesie przewały sosny, ale były też takie partie lasu, w których rosły przepiękne brzozy, graby, niebotyczne świerki, pod którymi panował ciągły mrok. Rozproszone po całym lesie rosły też drzewa innych gatunków.

Wśród nich było kilka dzikich czereśni i grusz ulęgałek. Gruszki były małe, twarde, cierpkie, więc świeżo zerwane nie nadawały się do jedzenia. Musiały jakiś czas poleżeć, wtedy dojrzewały i w środku stawały się zupełnie miękkie. Należało je niezwłocznie zjeść, bo szybko gniły. Zjadało się cały owoc, pozostawał tylko ogonek. Powiedzenie „przebierać jak w ulęgalkach” wzięło się stąd, że należało w nich ciągle grzebać i wyszukiwać tych dojrziałych.

Owoce czereśni nie były duże ani smaczne, ale można je było jeść. Trzy drzewa miały nieco lepsze owoce. Swoją wielkością dorównywały sosnom i strach było na nie wchodzić. Były takie duże, bo musiały konkurować z otaczającymi je innymi drzewami o dostęp do promieni słonecznych. Drzewa te pozostawiano w spokoju, dopóki ktoś nie wpadł na łatwiejszy sposób pozyskiwania owocu – po prostu obcinano nożem gałęzie z owocami i zrzucano na ziemię. W tym dziwnym owocobranu uczestniczyła przede wszystkim „kozia brygada”, ale nie tylko. Chłopcy wchodzili na drzewa, nie bacząc, że pod nimi jest te dwadzieścia metrów, a nawet więcej, jeżeli drzewo rośnie na skarpie jakiegoś uskoku. Na szczęście nie doszło do żadnego groźnego w skutkach wypadku.

W tej karkołomnej wspinaczce na drzewa brał udział również Bolek Mikołaja. Ten mały chłopiec nie znał pojęcia strachu. Musiał dorównać innym. Na zrzucane przez niego gałęzie z owocami czatowały siostry, małe dziewczynki, nie zawsze radzące sobie z konkurencją, która również czyhała pod drzewem. Dziewczynki nie były też w stanie upilnować wcześniej zrzuconych gałęzi. Ze „złodziejami” Bolek rozprawiał się po zejściu z drzewa.

Dla wielu tych biednych dzieci były to jedyne dostępne owoce. Obcinając gałęzie drzew, nie zdawały sobie sprawy z tego, że niszczą je bezpowrotnie. Po kilku latach te drzewa marniały.

Kolejnym terenem dla naszych wycieczek były wielkie łąki nadnoteckie, rozległe, ciągnące się po obu stronach rzeki pasami szerokimi na trzy kilometry. Łąki były podmokłe, pocięte rowami, którymi spływała woda. Prostopadłe do rzeki prowadziły drogi, którymi jeżdżono konnymi wozami. Z każdej strony drogi były rowy odwadniające. Na poszczególne łąki wjeżdżało się przez mostki z cementowych rur, które miały otwory przelotowe o średnicy około sześćdziesięciu centymetrów. Rury połączono wpustami, leżały spłaszczoną częścią na grubym balu, żeby nie zapadły się w miękkim podłożu torfowym. Oczywiście w rowach bliżej Noteci znajdowało się więcej wody i były one coraz szersze. W czasie naszych wędrówek wielokrotnie przekakiwaliśmy przez te rowy.

Byliśmy pod urokiem niepowtarzalnego piękna łąk z ich czystą wodą i równie czystym powietrzem. Była to wielka równina, ale pozbawiona monotonii. Ta ogromna przestrzeń wyzwalała w nas marzenia i inspirowała rozmowy o nieograniczonych możliwościach i dokonaniach. Mówiliśmy o rzeczach banalnych, ale też o tych dyskretnych i tajemniczych, bo nikt nas nie podsłuchiwał, w niedzielę, jak okiem sięgnąć, na łąkach nie było nikogo oprócz nas.

Nie jestem w stanie opisać piękna łąk na wiosnę, kiedy już zazieleśniły się drzewa, krzewy i rozkwitło mnóstwo kwiatów, które tończyły w otchłani soczystej zieleni traw, nieporażonych jeszcze promieniami słońca. Nad tym bezmiarem zieleni i kwiatów unosiło się mnóstwo brzęczących i buczących owadów i niezliczona ilość różnobarwnych i białych motyli. Tu i tam słychać było przytłumione kumkanie żab, jakby się wstydziły głośniej odezwać. Z torfowisk dochodził głośny rechot nadętej żaby. Taka żaba leży na wodzie, z boków głowy widoczne są balony powietrza, a ona „daje z siebie wszystko”. Prawdziwą żabią kakofonię można było usłyszeć dopiero wieczorem, po zachodzie słońca.

Ozdobą łąk były bociany. Piękne ptaki kroczyły majestatycznie, bardzo powoli i poszukiwały żab. Gdy żaba dostrzegła swojego wroga, instynktownie nieruchomiała, przyczała się, przestawała być widoczna. Dlatego bociany chętnie żerowały wśród pasących się krów, które, poruszając się, wypłaszały żaby i to od razu na większym obszarze.

Nasze dyskusje zależały od składu osobowego wycieczki. Jeżeli byłem tylko z Józefem, tematem koronnym była maszyna parowa i inne zagadnienia techniczne, np. dużo uwagi poświęciliśmy na-

szemu projektowi zjeżdżalni linowej nad torami kolejowymi. Gdy jedzie się pociągami na zachód, w kierunku Piły, z prawej strony torów mija się strome wzniesienia około trzydziestometrowej wysokości. Na jednym z tych wniesień było pole Zawistowskiego i tam właśnie miał być wkopany słup do zahaczenia liny. Drugi jej koniec miał być zahaczony do słupa wykopanego na łące Zawistowskiego, już po drugiej stronie torów. Różnica poziomów wynosiła około czterdziestu metrów, odległość około dwustu, a więc zjazd – według naszej oceny – był pewny i szybki. Kto chciałby zjechać, powinien tylko zahaczyć rolkę na linę, usiąść na orczyku i jazda! Łatwiej jest zejść na dół, niż podejść pod górę. Ten właśnie problem mieliśmy rozwiązać, a ponieważ nie znaleźliśmy na niego recepty – koncepcja zjeżdżalni upadła.

Jeżeli byliśmy w szerszym gronie i był z nami Ignac, to on wiódł prym i w dużym stopniu narzucał temat rozmowy. Ignac był czytany i poruszał sprawy, o których my nie mieliśmy pojęcia, więc chętnie go słuchaliśmy i rozwijaliśmy dyskusję.

Pewnego razu wybraliśmy się buszować po łąkach we czwórkę – Ignac, Józef, Bernad i ja. Jak zawsze, tematy rozmowy były różne. Męczyło nas pragnienie, a w rowach pełno było czystej wody. Baliśmy się jednak ją pić, ponieważ mogła zawierać jaja czy larwy pasożytów i najróżniejsze bakterie, niewidoczne gołym okiem. Dyskutowaliśmy, jak to może być, że coś może być niewidoczne, a takie szkodliwe. Zdania były podzielone, jedni twierdzili, że z tymi bakteriami to jest z pewnością przesada, ponieważ ludzie czerpią wodę z różnych źródeł, rowów i strumieni i żyją. Drudzy ripostowali, że woda ze źródła to nie to samo, co woda z rowu na łące. W końcu palące pragnienie wzięło górę – napiliśmy się wody, ale przez chusteczki od nosa.

Po pewnym czasie jednego z nas zaczął poboлеwać brzuch. Po jakimś czasie – drugiego. Uznaliśmy, że to od tej wody z rowu i że niebawem zachorujemy wszyscy. Wpadliśmy w panikę. A na dodatek mieliśmy świadomość, że gdy my będziemy się wic z bólu na łące, nikt nie powiadomi naszych rodzin. Staraliśmy się też ustalić, jaka to może być choroba. Padały nazwy najgroźniejszych chorób, o jakich słyszeliśmy, i o których Ignac czytał w książkach – między innymi tyfus, cholera, dżuma i wiele innych. Nie bardzo wiedzieliśmy, jakie są ich objawy. Przewidywaliśmy również, że możemy być poddani kwarantannie. Snucie najczarniejszych scenariuszy

skończyło się, gdy najpierw jeden, a potem drugi poszedł w krzaki. Wrócili zdrowi i uśmiechnięci. Jednak potem staraliśmy się już nie pić wody z rowów na łące.

Za każdym razem, kiedy wybierałem się na niedzielną wędrowkę, matka namawiała mnie, żebym wziął coś do jedzenia i picia. Nie było to jednak wygodne, bo nie wypadało iść z balastem. Dla pewności napijałem się jeszcze na drogę, ale to nie było to samo, co picie na miejscu. Człowiek nie wielbłąd.

Ktoregoś razu bardzo zmęczeni i głodni wracaliśmy z Bernardem, z niedzielnej łączki. Szliśmy na przełaj przez łąki, by jak najprędzej wrócić do domu i dobrać się do jedzenia. Nieoczekiwanie natknęliśmy się na zagon rzodkiewki.

Rzuciliśmy się bez namysłu na ten dar niebios. W chwilę potem, kilkanaście metrów od nas, pojawił się człowiek w mundurze kolejarskim: „– Chodźcie tu do mnie. Kto wam pozwolił na wyrwanie rzodkiewek?”. Stanęliśmy jak wryci. Pojawienie się tego człowieka i wiadomość, że rzodkiewki mają właściciela, stanowiły dla nas kompletne zaskoczenie. Zapomnieliśmy języka w gębie, wreszcie któryś wybełkotał: „– Nie wiedzieliśmy, że to jest pana. – Moje, czy kogoś innego... Chodźcie do mnie”. Bernard wyszeptał, że człowiek za plecami trzyma kij w ręce: „– Wiejemy!”. Jak na komendę odwróciliśmy się jednocześnie i daliśmy dyla. Pędziliśmy pełnym gazem ze trzysta metrów. Gdy się obejrzelśmy okazało się, że Karpiński (tak nazywał się ów kolejarz) nie dał nawet jednego kroku w naszym kierunku. Poczuliśmy się bezpieczni i drogą okrężną wróciliśmy do domu. Myślę, że właścicielowi rzodkiewek mogło dać pewną satysfakcję to, że tak przed nim uciekaliśmy, bo szkoda, którą wyrządziliśmy była znikoma. Grunt, na którym rosły rzodkiewki należał do kolei, użytkował go pan Karpiński. Widocznie obserwował nas wcześniej, przewidział bieg wypadków i wyszedł nam na spotkanie. Rzodkiewki były nieogrodzone, mocno zarośnięte trawą i dlatego uznaliśmy, że rosną dziko na łące.

WYSYPISKO

Pas około dziesięciometrowej szerokości uprawnej łąki, na której rosły rzodkiewki, leżał wzdłuż nasypu kolejowego, naprzeciw budynków stacyjnych w Miasteczku. Miejsce to było stopniowo zasypywane śmieciami przemysłowymi, które przywożono wagonami kolejowymi z Bydgoszczy, a może z innych miast. Ze śmieci po-

wstała kilkumetrowa warstwa, po której przeprowadzono drogę, powiększono przestrzeń dworcową i wybudowano duży budynek ekspedycji towarowej. Ekspedycja towarowa była potrzebna, ponieważ Miasteczko po I wojnie światowej stało się stacją przygraniczną, gdzie odbywała się kontrola celna towarów przewożonych przez granicę z Niemcami. Przy stacji kolejowej mieścił się duży posterunek policji, co również wiązało się z granicą, odległą o piętnaście kilometrów.

Wysypisko śmieci bardzo nas interesowało. Śmieci po zrzuconiu z wagonów zsuwały się stopniowo na łąkę i od strony południowej tworzyły płaszczyznę około piętnastometrowej szerokości. Prostopadle padające na nią promienie słoneczne powodowały znaczny wzrost temperatury, dochodziło nawet czasem do samozapłonów. W razie pożaru przyjeżdżała pompa strażacka umieszczona na wagonie kolejowym, wylewała tysiące litrów wody i gasiła ogień.

W związku z nagrzewaniem się wysypiska wylęgały się na nim tysiące jaszczurek. Spod nóg wyskakiwało ich tyle, że nie można ich było zliczyć. Odkryliśmy tu zadziwiające zjawisko. Jeżeli, nawet żdźbłem trawy, dotknęło się jaszczurczego ogona, to odpadał jego kawałek, a ona biegła dalej. Jest to prawdopodobnie rodzaj samoobrony – lepiej stracić ogon, który i tak odrośnie, niż zginąć w szponach wroga.

Na wysypisku znajdowało się przeróżne rzeczy, choć najwięcej było żużla z lokomotyw. Józef wybierał kawały papy, linoleum, blachy, części metalowe i wiele innych rzeczy. Zrobił z tego na łące budę, która miała chronić przed deszczem. Tak naprawdę, to chroniła ona tylko przed małym deszczem. Jak przyszła duża nawałnica, buda rozpadła się na strzępy, które rozniósł wiatr.

BURZA

Raz przeżyliśmy z Ignacem i Józefem burzę, którą zapamiętałem na całe życie. Przypędziliśmy na łąkę krowy, było ciepło i nic nie zwiastowało nadejścia burzy. Dzień był senny, chmury sięgały do ziemi i nie było wiatru. W pewnym momencie zaczęło padać. Początkowo słabo, ale w miarę upływu czasu deszcz się nasilał. Wreszcie zaczęło grzmieć i zaczęły się wyładowania elektryczne. Pioruny gęstniały, gęstniał również deszcz. Zaczęliśmy śpiewać *Choć burza hu-czy wkoło nas...* Ciężkie grzmoty waliły jeden po drugim, błyskawice nie gasły. Wokół nas wyrosły ściany deszczu, widać było zaledwie na

trzy metry. Przestaliśmy śpiewać, ogarnęło nas przerażenie, ale nie upadaliśmy na duchu. Kryzys nastąpił dopiero wtedy, kiedy zaczęło ryczeć bydło. Krowy stanęły ciasno obok siebie i niektóre z nich ryczały, prawdopodobnie ze strachu. Najwyraźniej oczekiwały od nas pomocy, bo gdy znaleźliśmy się przy nich, ryczenie ustało. Nie ustały natomiast (a nawet się nasiliły) grzmoty i deszcz. Któryś z nas powiedział: „– Koniec świata, potop”. Ogarnęła nas panika. Ukłękliśmy i zaczęliśmy się modlić. Kolana wgniotły się nieco w łąkę, woda sięgała nam niemal do pośladków. Przerażony pies przyciskał się do nas. Chcieliśmy śpiewać pieśni religijne, ale okazało się, że nikt z nas nie pamięta ani słów, ani melodii. W kościele śpiewaliśmy razem ze wszystkimi, teraz nam nie wychodziło. Poprzestaliśmy na odmawianiu pacierza i przyrzekaniu poprawy. Burza trwała z niezmiennym natężeniem. Straciliśmy orientację, jak długo.

W pewnym momencie nawałnica straciła impet. Zmniejszyła się częstotliwość wyładowań elektrycznych, deszcz nie był już taki gęsty, stopniowo zwiększała się widoczność. Naszym oczom ukazał się niezwykle widok – łąki zostały zalane wodą. Powstało wielkie jezioro, widać było tylko kępki trawy. Krowy już tak gęsto nie stały jedna przy drugiej, zdecydowaliśmy pędzić je do domu.

Powrót był niebezpieczny – wystarczyło, by bydlak zszedł na pobocze, bliżej rowu, gdzie grunt był miękki – i mógł ugrzęznąć na dobre, a nawet się utopić. Na szczęście zwierzęta to czuły i słzy środkiem drogi. W dwóch miejscach woda przerwała drogę i powstały poprzeczne rowy, ale i je szczęśliwie bydło przeszło, a my nieomal pływaliliśmy. Deszcz przestał padać. Droga z Miasteczka do Brzostowa była przerwana. Woda zrobiła w niej wyrwę dwumetrowej głębokości, którą bydło przeszło bokiem. Naprzeciw nam wyszedł Stachu z suchym odzieniem.

Na łąkach zdarzały się kłopoty z bydłem. Najczęściej przy pojeźniu wodą z rowu, gdy zwierzęta musiały czekać na swoją kolej. Bywało, że jedno bydło wepchnęło rogami drugie do rowu. Między poszczególnymi osobnikami dawało się zauważyć pewnego rodzaju animozje i często między nimi dochodziło do walki na rogi. W rowie grunt był grząski; krowa zapadała się w nim po brzuch i nie mogła wyjść z niego o własnych siłach. Zrozpaczony pastuch szukał pomocy u ludzi znajdujących się w pobliżu, często z wielkim płaczem. Również i mnie spotkało to kilka razy. Krowę z rowu wyciągano na różne sposoby, najczęściej ciągnięto za głowę, ale

było to niebezpieczne, bo można było przerwać w szyi rdzeń kręgowy.

Byłem raz świadkiem dramatycznej walki o życie krowy, która wpadła do torfowiska. Było ono dosyć rozległe i zawierało sporo wody. W pierwszej chwili nie było koncepcji, jak bydlakowi pomóc. Zwierzę pograżało się coraz głębiej. Wreszcie ktoś wpadł na prosty pomysł, by „z torfowiska wylać wodę”. Z pomocą przyszli ludzie, którzy nieopodal kopali torf – przynieśli dwie szufle do „wychlasywania” wody i dwa wiadra. Wodę wylewano na zmianę do naprędcie wykopanego rowka, który prowadził do głównego rowu przy drodze. W krytycznym momencie, krowie z wody wystawały tylko nozdrza, liczyły się już minuty. Gdy w torfowisku ubyło wody, założono bydlęciu koński puszorek pod zad, rozkopano stromy brzeg torfowiska i konie wyciągnęły bydlaka na łąkę. Krowa została uratowana w ostatniej chwili. Przez dłuższy czas ją masowano, pocierając wiechciami siana, ponieważ zeszytywniała i bez ludzkiej pomocy nie mogła wstać.

ŻNIWA

Po latach wyrzeczeń i mozolnej pracy całych rodzin, sytuacja ludzi na wsi zaczęła się poprawiać. Ludzie stali się zamożniejsi i mogli poczynić pewne inwestycje. W kilku gospodarstwach w Brzostowie, również i u nas w domu, założono światło elektryczne, czego gorącym orędownikiem był Ignac. Nie wystarczyłyby jednak najszersze chęci, gdyby nie było możliwości finansowych. Miedziński, Maćkowiak i Wróbel kupili wspólnie zwykłą maszynę do koszenia zboża. Snopowiązałki w tym czasie nie były tu jeszcze znane. Ojciec kupił dwa mocne czteroletnie konie, klacz i wałacha, nową uprząż i nowy wóz. Zaczęto stosować nawozy sztuczne, na małą wprawdzie skalę, ponieważ były drogie. Dosyć powszechnie wapnowano ziemię. Wymieniano zboże do siewu, przy czym starannie je czyszczono i selekcjonowano ziarno.

W 1939 r. urodzaje były dobre. Ojciec wynajął ludzi i poszliśmy kosić żyto. Było pięciu kosiarzy i osoby podbierające, czyli wiążące skoszone żyto w małe snopki. Robiły to przeważnie kobiety, wyjątkiem byliśmy ja i Ignac, we dwóch podbieraliśmy za ojcem. Na ogół było tak, że kosił mąż, a wiązała za nim żona. Przyszliśmy na pole, a nasze zboże jest koszone! Pracowało na nim dwóch kosiarzy i dwie podbieraczki. Dowiedzieli się pocztą pantoflową, że rozpoczynamy

żniwa i przyszli. Za nami przyszły jeszcze trzy pary. Było więc dzieściu kosiarzy. Pięciu planowanych i pięciu, którzy przyszli z własnej inicjatywy. Ojciec wysłał mnie do domu, żebym zawiadomił matkę – należało dla wszystkich przygotować i przynieść na pole drugie śniadanie. Trzeba było również pomyśleć o obiedzie, podwieczorku i kolacji. Matka przywołała do pomocy jakąś kobietę ze wsi. Mnie, żebym nie szedł próżno na pole, obarczyła dużą kanką z kawą (spora ilość napojów żniwiarze brali ze sobą rano). Dla poprawienia smaku i dodania aromatu matka dodawała do kawy z cykorią nieco kawy prawdziwej. Kolejnym wysłannikiem z pola był Ignac. Pomógł matce przynieść śniadanie.

Dziwne może się wydawać to, że ludzie samowolnie przychodzili do ojca pracować przy żniwach. To byli ludzie, którzy oczywiście znali dobrze ojca i wiedzieli, że im zapłaci. Prawdziwym jednak magnesem, który przyciągał ludzi do pracy u nas, było wyżywienie. Matka piekła bardzo smaczny chleb. Często nie mogła się wymówić chętnym, którzy chcieli ten chleb od niej kupować. Podawany na polu podczas drugiego śniadania i podwieczorku chleb był obłożony wędliną. Obiad składał się z kilku dań. Było mięso pieczone z sosem, ziemniakami i dodatkami. Było mięso gotowane i rosół z makaronem. Często dodatkowo matka podawała zupę grzybową, bądź grzyby marynowane. Pod dostatkiem było również kompotu owocowego z wiśni i porzeczek. Często matka gotowała piwo. Dla amatorów były nawet maślanka i kwaśne mleko. Matka wychodziła z założenia, że przy ciężkiej pracy należy się dobrze odżywiać.

Koszenie szło bardzo składnie – w ciągu jednego dnia zostało skoszone, związane i zestawione w kupy wszystko żyto. Na zakończenie, jeszcze na polu, ojciec podziękował wszystkim za pracę i dodał kilka zdań na temat ogólnej sytuacji. Wyraźnie już się wyczuwało, że nieuchronnie nadchodzi wojna, więc ojciec życzył wszystkim, by ją przeżyli. Jego proste i poważne słowa wywołały zadumę – ludzie zamilkli i jeszcze jakiś czas stali w bezruchu. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z tego, że słowem można tak mocno oddziaływać na ludzi, że jest do tego zdolny mój ojciec i to na dodatek na polu w czasie pracy.

Nastroj powagi trwał nawet podczas kolacji. Atmosfera nieco się rozluźniła, kiedy matka postawiła na stół wino własnej produkcji. Było też coś mocniejszego. Nikt już nie wracał do słów ojca wypowiedzianych na polu, ale było widać, że zrobili na ludziach wraże-

nie. Ojciec był dobrze przygotowany do żniw i wszystkim robotnikom wypłacił należności od ręki.

PRZYGOTOWANIA

Nastroje ulegały radykalizacji. Barometrem sytuacji była mniejszość niemiecka, zamieszkująca polskie tereny przygraniczne. Ludzie ci byli sterowani przez odpowiednie ośrodki polityczno-dywersyjne, znajdujące się w Niemczech. Granica nie była szczelna, zainteresowani przenikali przez nią w jedną i drugą stronę bez większych problemów. Młodzi Niemcy z Polski przechodzili przeszkolenie wojskowo-dywersyjne w Rzeszy, ale również w Polsce uczyli się strzelać. W Grabównie, trzy kilometry od Brzostowa z tej przyczyny zapaliła się stodoła, a straż pożarna musiała na jakiś czas przerwać gaszenie pożaru z powodu wybuchów granatów.

Przez granicę do Polski masowo była przemycana broń. Przemycano nawet działa. Jeden z obszarników niemieckich, którego ziemia przylegała do granicy, miał taki kaprys, że przemycił samolot w częściach. Samolot na miejscu został zmontowany i gdy do Polski wkroczył Wehrmacht, Niemiec sprezentował go Luftwaffe.

Niemcy, zarówno po jednej stronie granicy, jak i po drugiej, zachowywali się coraz agresywniej. Na Ziemi Złotowskiej, która należała do Niemiec, w polskich szkołach powybijano szyby i porąbano ławki, a nauczycieli wcielono do wojska, bądź wywieziono do obozów. Pewnego razu obserwowałem, jak do Miasteczka przyjechało na rowerach dwóch niemieckich rosłych chłopaków z Grabówna. Mogli mieć po szesnaście, siedemnaście lat. Po skończonej nauce religii z kościoła właśnie wyszły dzieci. Niemiaszki wszczęły awanturę. Powodem było to, że podobno dzieci im się przyglądały. Na placu przed szkołą stał pomnik przedstawiający orła z rozpostartymi do lotu skrzydłami. Wokół pomnika rosły kwiaty, obstawione kamieniami różnej wielkości. Niemcy wyrywali te kamienie i po ziemi toczyli w kierunku dzieci. Dzieci podskakiwały jak zające, aby uniknąć uderzenia. Kilka mniejszych kamieni poszybowało górą i trafiło w okna niemieckiej szkoły. Prawdopodobnie to było celem tej awantury, ponieważ niebawem ukazały się w Niemczech artykuły w gazetach o tym, że w Polsce niszczy się niemieckie szkoły.

W Miasteczku zorganizowano wiec. Po przemówieniach miejscowych notabli uformował się pochód. Ludzie z pochodu wybijali Niemcom szyby, także te wielkie, w oknach wystawowych.

W wiecu i pochodzie uczestniczył również ojciec. Po powrocie był bardzo zdenerwowany i powiedział, że ta wojna będzie okrutniejsza od poprzedniej. Był przeciwny wybijaniu Niemcom szyb w oknach, bo uważał, że to nie jest rozwiązanie. Jeżeli Niemcy są barbarzyńcami, to nie muszą nimi być również Polacy.

Po dojściu Hitlera do władzy Niemcy z Polski wszelkimi sposobami go wspomagali. Najprostszym sposobem było przekazywanie polskich pieniędzy, które były wymienialne i przyjmowane do obrotu międzynarodowego. Przemycano je w różnych skrytkach samochodowych, poczynawszy od tej najprostszej, jaką jest koło zapasowe. Przenosili je również piesi przemysłnicy.

Propaganda niemiecka wykorzystywała każdy pretekst do oczerzniania Polski przed światem. Jeden ze sposobów polegał na tym, że niemieccy rolnicy, którzy mieli ziemię przy granicy, a mieli słabe gospodarstwa i marne zabudowania – palili je i uciekali do Rzeszy. Oczywiście otrzymywali rekompensaty. Resztą zajmowała się niemiecka propaganda. Goebbels, minister propagandy, trąbił na cały świat o krzywdzie, która dzieje się mniejszości niemieckiej w Polsce – Niemcy są prześladowani do tego stopnia, że pali im się zabudowania gospodarcze, a oni w ostatniej chwili, ratując życie, uciekają do Rzeszy. Goebbels przestrzegał – to się musi skończyć, Rzesza stanie w obronie swoich braci. Oznaczało to, że dojdzie do wojny. Niemcy w tym czasie byli jeszcze „subtelnii” i tłumaczyli się przed opinią publiczną świata, że jak dojdzie do wojny, to nie z ich winy, a z winy niegodziwych Polaków, którzy prześladowają ich rodaków. Podobnie było w Czechosłowacji – tam też mniejszości niemieckiej nagle zaczęła dziać się wielka krzywda.

Samoloty niemieckie stale naruszały obszar powietrzny Polski. W Boże Ciało w 1939 r. pasłem na łące krowy. Pies zachowywał się bardzo niespokojnie. Zwykle uganiał się za nornicami, łasicami, czy też bawił się żabami. Tym razem podchodził i ocierał się o mnie, potem odchodził i kładł się na brzuchu, wyciągając przy tym łapy do przodu i tyłu, przyciskał jednocześnie do ziemi łeb. Strzygł uszami, spoglądając na mnie, cicho poszczekiwał od czasu do czasu. W oczach tego mądrego psa spostrzegłem coś w rodzaju wyrzutu pod moim adresem, że go ignoruję. W tym czasie doszło do moich uszu ciche brzęczenie, podobne do brzęczenia komara. Ten dźwięk denerwował psa, bo nie był mu znany. Był to warkot małego samolotu, który latał w znacznej odległości i na znacznej wysokości. Wi-

doczny był jako mały ciemny punkt, który przemieszczał się w różne strony. Był to prawdopodobnie samolot rozpoznawczy, który robił zdjęcia określonego terenu. Samolot było słycać raz wyraźniej, raz słabiej, a czasami warkot silnika zupełnie zanikał. Tymczasem zaczęły dochodzić do mnie odgłosy śpiewów towarzyszących procesji Bożego Ciała, która odbywała się w Miasteczku. Również i śpiew dochodził ze zmiennym natężeniem, zależało to od powiewów wiatru. Odległość od Miasteczka w linii prostej wynosiła ponad dwa kilometry. Odnosiłem wrażenie, że oba odgłosy, warkot samolotu i śpiewy, wzajemnie się zwalczają, bo raz było lepiej słycać jedno, a za chwilę drugie. W pewnym momencie w sukurs pierwszemu samolotowi przyleciał drugi. Ich wspólny warkot zdecydowanie dominował nad śpiewem procesji. Wreszcie w ten konflikt włączyły się niebiosa – nagle pojawiła się chmura i nad Miasteczkiem przetoczyła się burza, co zmusiło samoloty do odlotu. Po burzy śpiew było słycać wyraźniej, nie był już niczym zakłócany. Wielu ludzi nie zdawało sobie sprawy z tego, że jest to ostatnia procesja w ich życiu.

Samoloty niemieckie bardzo często przekraczały bezkarnie granicę. Nasze samoloty nie miały szans, żeby je zmusić do lądowania po polskiej stronie – były znacznie wolniejsze. Ale przede wszystkim – nie było ich tu, na miejscu.

NIEMCY

Niemcy w Polsce korzystali z wielu swobód. Byli równorzędnymi obywatelami RP, co wynikało z konstytucji. Mieli również dodatkowe przywileje, co było zagwarantowane przez Traktat Wersalski zawarty po I wojnie światowej w 1919 r. Jeżeli Niemcy np. organizowali zebranie, władze polskie musiały im zapewnić ochronę. Sprowadzało się to do tego, że przychodził policjant i nie wpuszczał niepożądanych gości, tzn. Polaków. Zebrania najczęściej odbywały się w Miasteczku, w lokalu należącym do Niemca.

Oczywiste było, że zebranie ma dwa wątki – ten oficjalny, który był podawany w dokumentach i ten tajny, o którym w dokumentach nie było wzmianki. W kościołach po nabożeństwach również odbywały się zebrania. Ponieważ wszyscy się znali, nikt ze strony polskiej nie miał tam dostępu. W kościołach i grobowcach Niemcy przechowywali broń i amunicję. Kościół ewangelicki w Brzostowie był również jednym z punktów informacyjnych i organizacyjnych

- informacje przekazywano między innymi przez dzwonienie w określonych, bardzo różnych godzinach, bywało, że wielokrotnie podczas jednego dnia. Ludzie we wsi nie wytrzymywali tego nerwowo. Wreszcie jeden z mieszkańców wybrał się z interwencją do kościelnego. Nie przyniosła ona żadnego rezultatu, a on, gdy tylko Niemcy weszli do Polski, został aresztowany, ciężko pobity i wysłany do obozu, gdzie po kilku miesiącach zmarł. Życiem zapłacili także ci, którzy usiłowali rozpędzać niemieckie zebrania w Miasteczku. Tymczasem jednak Niemcy stawali się coraz bezczelniejsi i kpili sobie z bezsilności polskiego społeczeństwa i z jego biedy.

Niemcom powodziło się lepiej. Mieli gospodarstwa stare, które przejmowali po przodkach, nie były więc, tak jak nasze, obciążone spłatami na rzecz państwa. W drodze do szkoły w Miasteczku przejeżdżali przez Brzostowo na eleganckich rowerach, nawet ci najmłodsi.

Na ogół między młodzieżą niemiecką a nami nie dochodziło do zwad. Oni mówili nieźle po polsku, razem chodziliśmy do szkoły i nie wchodziliśmy sobie w drogę. Niemcy podśmiewali się z polskiej biedy, której synonimem była koza i ukuli takie powiedzonko, „no i co, nie chce koza iść, to ryn z nią do rzeźnika i przestanie żyć”. Polacy podśmiewali się z ich ułomności językowych, które prowadziły do komicznych dziwołagów. Np. „hastu go widział, di klaine prosiatko, di bez pole gelaufen zynt”, co miało znaczyć „czy widziałeś prosięta biegnące przez pole”.

Pole ojca graniczyło przez jednośladową dróżkę z polem gospodarza niemieckiego. Nawet nie wiem, czy się sobie kłaniali. Nie zależało to zresztą od ojca. Ojciec nie umiał ani słowa po niemiecku i to samo cechowało Niemca, który nie znał polskiego. Któregoś razu jakieś okoliczności skłoniły ojca do udania się do tego Niemca. Podchodząc do zabudowań, usłyszał głośny śpiew. Przy oporządku bydła śpiewał syn gospodarza. Chłopak śpiewał po polsku. Najbardziej szokujące było jednak to, że śpiewał *Rotę* Marii Konopnickiej. Pikanterii dodawał fakt, że Niemiec nie pominął słów „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. Wynikało z tego, że chłopak nauczył się pieśni w szkole, nie bardzo ją rozumiał, ale mu się podobała i śpiewał. W domu też jej nikt nie rozumiał.

Na granicy iskrzyło coraz bardziej. Coraz częściej Niemcy nielegalnie przekraczali granicę, rósł przemysł. Niemcy byli coraz bezczelniejsi, przy każdej okazji grozili Polakom. Wśród ludzi ożywały

wspomnienia wojenne, przypominano sobie o życiu w czasie rozbiorów. Ludzie wypatrywali znaków na niebie, które miały zwiastować nadejście wojny.

Wreszcie władze zdecydowały o ogłoszeniu powszechnej mobilizacji. Odwołano ją pod naciskiem Anglii. Podobno chodziło o to, żeby nie drażnić Hitlera, Anglicy łudzili się, że wojny da się uniknąć. Ostatecznie powszechną mobilizację ogłoszono 27 sierpnia, było to stanowczo za późno. Naiwność Anglików drogo kosztowała Polskę. Część ludzi nie dotarła do macierzystych jednostek. Część nie została umundurowana i uzbrojona. Armia polska poniosła wielkie straty, ponieważ było za późno, aby rozdysponować i właściwie wykorzystać tajną broń przeciwpancerną. Były to karabiny przeciwpancerne, które przebijały pancerze wszystkich ówczesnych niemieckich czołgów. Karabiny znajdowały się w skrzyniach ze znakiem czerwonego krzyża i napisem „otworzyć w czasie mobilizacji”. Należało je rozdysponować do jednostek, przeszkolić ludzi w ich obsłudze i ustalić taktykę ich wykorzystania. Na to wszystko zabrakło czasu.

Powszechna mobilizacja oznaczała, że do wojska powołuje się kilka roczników rezerwy. U Zawistowskiego mobilizacji podlegało trzech synów: Marian, Stasiek i Franek. Przypominam sobie, jak odświętnie ubrani nie mogli doczekać się na sygnał o mobilizacji. Zapewniali przy tym, że będą walczyć do ostatniej kropli krwi, do przedostatniego naboju, bo ten ostatni zachowają dla siebie. Do niemieckiej niewoli nie pójda.

Wyprzedzę nieco wydarzenia – Stasiek i Franek z wojny nie wrócili. Z pewnością zginęli. Marian uciekł z niewoli, zanim znalazł się w obozie. Marian był żonaty.

NAPAŚĆ

Niemcy weszli do Polski 1 września 1939 r. o świcie, bez wypowiedzenia wojny. Można powiedzieć, że Polska została zaatakowana z trzech stron – z południa, zachodu i północy. Atakowano z lądu, powietrza i z morza. Przewaga wroga była liczebna, techniczna i taktyczna. Nie mieliśmy szans obrony. Polska nie miała sojuszników, którzy mogliby i chcieli udzielić pomocy. Bardzo reklamowanymi przed wojną sojusznikami były Anglia i Francja, ale one nie miały zamiaru udzielić nam żadnej pomocy. Same zresztą, po kilku miesiącach jej potrzebowały, były bezradne wobec nawały wojsk niemieckich. Anglię uratowało tylko to, że Niemcy nie mieli

z nią kontaktu lądowego. Zdumiewające jest to, że w Europie nie wiadano, kim naprawdę są Niemcy – co się u nich dzieje, jaką siłą dysponują, dokąd zmierzają i do czego są zdolni.

Niemcy pogwałcili wszelkie traktaty i umowy międzynarodowe. Kiedy Hitler doszedł do władzy w 1933 r., zaczęli się jawnie zbroić i wiadomo było, że dojdzie do wojny. Nie wiedzieli o tym tylko ci, którzy nie chcieli wiedzieć. A może wydawało się im, że kosztem Czechosłowacji utrzymają w Europie pokój.

Normalnie rozumujący ludzie, nieznający realiów niemieckich, nie mogli pojąć, co się u nich stało. Nie rozumieli, jak mogło dojść w tak krótkim czasie – w cywilizowanym, praworządnym państwie o znaczących tradycjach demokratycznych i kulturowych – do złamania prawa wszędzie tam, gdzie było to wygodne dla nowo powstającego bandyckiego reżimu. Państwo niemieckie stało się imperium zła, w którym sankcjonowano wszystko, co służyło niszczeniu przeciwników politycznych i podbojowi Europy. Jedyną karą, jaką uznawano, była kara śmierci. Wyroki wykonywano natychmiast albo wsadzano ludzi do obozów, co było prawie jednoznaczne z karą śmierci – w obozach człowiek umierał jednak powoli, najczęściej w wielkich męczarniach.

Wbrew pozorom, imperium zła w Niemczech nie powstało w ciągu zaledwie kilku lat. Na jego powstaniełożyła się działalność całych pokoleń. Od wieków ważne było hasło „parcie na wschód”. Przez wiele lat wpajano ludziom, a szczególnie młodzieży, wyższość nad innymi narodami i to, że Niemcom należy się więcej przestrzeni życiowej, oczywiście kosztem innych nacji. Sto dwadzieścia trzy lata byli jednym z trzech zaborców Polski. W końcu utwierdzili się w przekonaniu, że te ziemie im się należą.

Po dojściu Hitlera do władzy całe zło zostało usankcjonowane i nadano mu nowe formy prawne. Wzmagał się brunatny reżim. Ludzi, którzy byli temu przeciwni likwidowano, bądź osadzano w obozach. Rozpowszechniło się donosicielstwo. Syn donosił na ojca, ojciec na syna. Szalał niespotykany terror policyjny. Wciąż rozrastała się i tak wszechobecna tajna policja – gestapo.

UCIECZKA

My o wybuchu wojny dowiedzieliśmy się o szóstej rano. Wcześniej wiele się mówiło o tym, że przed wojskami niemieckimi należy uciekać. Jak taka ucieczka miałaby wyglądać i dokąd mieliśmy ucie-

kać, nikt tego dokładnie nie wiedział. Wiedzieliśmy tylko, że uciekać należy w głąb kraju, na wschód.

Ucieczka była dla ludzi wielką tragedią. Dotychczasowy porządek rzeczy legł w gruzach. Zostawiano dorobek całego życia. Można było zabrać tylko to, co mieściło się na wozach i krowy, które szły o własnych siłach. Świnie zostały powypuszczane z chlewów, a karma dla nich zostawiona w surowej postaci. Podobnie było z innym dobytkiem.

Droga naszej ucieczki prowadziła wzdłuż torów kolejowych do Białosłiwia i dalej. Ja z Ignacem połączyliśmy nasze krowy ze stadem Zawistowskiego, które pędził Hieronim, na którego mówiliśmy Heromek. Krowy popędziliśmy naprzód. Reszta rodziny miała jechać za nami dwoma wozami. Jeden wóz był ciągnięty przez wałacha, drugi przez klacz i żrebaka. Krowy dopędziliśmy do Osiecka, gdzie skierowano nas na południowy-wschód, w kierunku Inowrocławia. Tam prowadził główny kierunek ucieczki z tego regionu. Droga wiodła przez łąki. Była stosunkowo wąska, ograniczona z obu stron głębokimi rowami wypełnionymi wodą. Środkową częścią drogi jeden za drugim sunęły wozy uciekinierów, bokiem szli ludzie, dla bydła nie było miejsca. Spotkani sąsiedzi z Brzostowa skłonili nas do tego, byśmy wpędzili krowy na łąkę i wsiedli do nich na wóz. Była to trudna decyzja, ale podjęliśmy ją. Zmusiła nas do tego sytuacja. Na łąkach w tym czasie znajdowały się już wielkie stada bydła, pozostawionego przez uciekinierów. Widziałem też krowy, które wpadły do rowów z wodą, ale nikt ich nie ratował.

Wszyscy uciekali popędzani przez wojsko. Nasze psy, Bobik i Reksio, biegły obok wozu, na którym jechaliśmy. W pewnym momencie podjechało kilkunastu kawalerzystów, którzy wracali z patrolu. Żołnierze jechali bokiem drogi, przy samym rowie, nie było więc miejsca dla psów. Uciekając przed końmi wpadły do wody, po czym wyszły na łąkę, na drugą stronę rowu i w ten sposób straciłszy z nimi kontakt. Tego już nie wytrzymałem – po utracie bydła traciłszy psy, do których byłem bardzo przywiązany – z moich oczu obficie połyły się łzy.

Na wozie przekroczyliśmy Noteć. Most na rzece był podminowany, strzegli go żołnierze. Za rzeką, ze dwa kilometry w głąb, a może i więcej, ciągnęły się łąki. Za nimi był już twardy grunt porośnięty lasem, lekko wznoszący się nad łąkami. Skrajem lasu biegły obsadzone przez wojsko okopy, które dochodziły aż do szosy. Dla

pokrzepienia serc uciekających, na skraju drogi ustawiono karabiny maszynowe z taśmami. My, chłopcy, liczyliśmy pośpieszenie, ile jest w taśmach naboju, żeby wiedzieć, ilu Niemców od nich zginie.

Dalej jazda wozów, sunących jeden za drugim, odbywała się bez większych sensacji. Pewne poruszenie wywołał incydent z dezertorem. Był to Niemiec, który uchylił się od pójścia do Wojska Polskiego (Rzesza nawoływała do dezercji mniejszość niemiecką zamieszkującą tereny polskie). Prowadził go nieuzbrojony cywil z rowerem, żeby oddać go władzom wojskowym. Zastanawiające było to, jak ten człowiek wymusił posłuszeństwo na dezertersze, być może miał w ubraniu ukrytą krótką broń. Nagle powietrzem targnął daleki wybuch, co znaczyło, że wysadzono most i że Niemcy doszli już do Noteci od północnej strony. Zastanawialiśmy się, czy rodzice zdążyli przejechać rzekę.

Siedzieliśmy na wozie bardzo zmęczeni fizycznie i psychicznie. Mieliśmy za sobą dwadzieścia kilka kilometrów uganiania się za krowami i wiele innych przeżyć. Zasypialiśmy płytkim snem, budząc się co chwilę. Majaczyło mi się, że dwie nasze krowy wpadły do rowu z wodą, a mówił mi o tym ludzkim głosem Bobik. Robił mi przy tym wyrzuty, że wszystkich zostawiłem i uciekłem. Te psie słowa wypowiedziane ludzkim głosem, zrobiły na mnie głębokie wrażenie. Przez sen chciałem w biegu zejść z wozu i biec na ratunek bydłakom. Zapobiegł temu Ignac, który akurat nie spał.

W Inowrocławiu nasi dobroczyńcy, którzy przygarnęli nas na wóz, zaczęli się dopytywać o schronisko dla dzieci zaginionych. Najpierw w tajemnicy przed nami, a w końcu jawnie. Wiadomo już było, że nasi rodzice Noteci nie przekroczyli. Byliśmy więc kłopotliwym bagażem. W końcu taka instytucja się znalazła, a nazywała się „ochronka dla dzieci zaginionych” lub jakoś podobnie. Mieściła się w internacie. Trafiliśmy tam z Ignacem i Heromkiem Zawistowskim, towarzyszem od pędzenia krów. Opiekowano się nami bardzo serdecznie. Uprzejmość i opiekuńczość pracujących tam ludzi była nadzwyczajna. Pamiętam pierwszy posiłek, jaki otrzymaliśmy – był to ryż ze śmietaną i cukrem. Czuliśmy się jednak źle. Dręczył nas brak wiadomości o rodzinie. Baliśmy się też bombardowania miasta. O nalotach przypominały nam ciągle pasy papieru poprzyklejane na krzyż do okiennych szyb. Pasy te miały zabezpieczać szyby przed wypadnięciem w przypadku ich popękania. Ciągłe też mówiono, że Niemcy użyją gazu, a my nie mieliśmy masek przeciw-

gazowych. Wydawało nam się, że pobyt w piwnicy podczas nalo-tów trwa wieczność. Można powiedzieć, że byliśmy dziećmi natu-ry i wolnej przestrzeni, przebywanie w piwnicy wywoływało w nas przerażenie. Prześladowała nas myśl, że piwnica po zbombardowa-niu domu zawali się albo – że bomba przebije dom i rozerwie się w piwnicy. Postanowiliśmy uciekać z miasta.

WĘDRÓWKA

W czasie jednego z bombardowań wyskoczyliśmy na pustą ulicę i popędziliśmy pełnym gazem przed siebie. Po odwołaniu alarmu byliśmy już za miastem, na jego południowych rubieżach. Szliśmy na południe. Po przejściu około dziesięciu kilometrów poculiśmy głód, należało również pomyśleć o noclegu. Zaszliśmy do jakiegoś gospodarza, gdzie nas solidnie nakarmiono i tam też przenocowali-śmy. Rano zaproponowano nam pasanie bydła. Propozycję przyję-liśmy. Krów było około trzydziestu, a więc spora gromadka – nieco więcej niż naszych i Zawistowskiego razem wziętych. Do pomo-cy przydzielono nam dwa psy, dla których byliśmy obcy, więc nie chciały nas słuchać. W końcu jeden uległ i podporządkował się, a drugi uciekł do domu. Z obowiązku wywiązywaliśmy się dobrze. Pilnowaliśmy, by krowy nie czyniły szkody i nie szły w buraki cu-krowe, które je bardzo nęciły.

Z daleka obserwowaliśmy, jak Niemcy bombardują Inowrocław. Wtedy uznaliśmy, że pasanie krów nie rozwiązuje naszego proble-mu. Mieliśmy ze sobą szkolną mapę Polski. Wynikało z niej, że z Ino-wrocławia do Konina nie jest daleko, a pod Koninem mieszkała rodzina matki i ojca. Zdecydowaliśmy się tam pójść pieszo, i to nie-zwłocznie. W porze obiadowej zapędziliśmy krowy do domu, infor-mując naszych gospodarzy, że wędrujemy dalej. Zjedliśmy obiad, dano nam pół bochenka wiejskiego chleba, który mieścił się w na-szym szkolnym tornistrze, trochę masła i jakąś wędlinę, no i w dro-gę. Gospodarze wyprowadzili nas na szosę i serdecznie pożegnali. Ruszyliśmy wzdłuż jeziora Gopło, na południe.

Jeszcze tego dnia uszliśmy kawał drogi. Wędrówka odbywała się pod ostrzałem i bombami niemieckich samolotów. Niemcy strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Kiedy nadlatywały samoloty, ludzie uciekali w buraki i inne uprawy i kładli się na ziemi. Jeżeli nie było naturalnej osłony, kładziono się po prostu na polu, z reguły w ja-kichś zagłębieniach, bruzdach itp. Robiliśmy to, co inni. Samoloty

latały podobno na wysokości od ośmiuset metrów do jednego kilometra i co chwilę oddawały serie z karabinów maszynowych, co z ziemi było słyszalne tak, jak krakanie gawrona. Ignac twierdził, że obok niego taka seria poszła w ziemię. Samoloty myśliwskie opuszczały się i strzelały do wozów uciekinierów, do gospodarskich wozów z końmi, a nawet do bydła pasącego się na polu. Rycerze spod znaku czarnego krzyża siali śmierć, zniszczenie, strach i popłoch w każdym miejscu. Uznali, że jest to sposób na wymuszenie posłuszeństwa i szacunku. „Podludzie” mieli się ich bać i czuć przed nimi respekt. Każdy miał zrozumieć, co oznacza słowo „Niemiec”.

Byliśmy bardzo zmęczeni i głodni. Na dworze już szarzało. Dochodziliśmy do wsi. Pierwsze zabudowania były trochę na uboczu, a domownicy stali przy płocie i spoglądali w naszą stronę. Pierwsze pytania padły już z pewnej odległości – kim jesteśmy i dokąd idziemy? Usłyszawszy odpowiedź, ludzie ci przyjęli nas bardzo serdecznie. Pytań nie było końca. Nie wiedzieliśmy, gdzie są Niemcy i jak przebiega front, ponieważ nie znaleźliśmy aktualnej sytuacji. Wiedzieliśmy już coś niecoś o tym, jak się Niemcy zachowują i co wyrabiają. Spotkaliśmy po drodze uciekiniera na rowerze, który mieszkał kilka kilometrów od granicy. Jego matka 1 września rano szykowała się do rozpalenia w piecu. Usłyszała warkot motorów i wybiegła przed dom, by zobaczyć, co się dzieje. Były to niemieckie motocykle szturmowe z przyczepami. Jeden z Niemców oddał do niej serię z karabinu maszynowego i zabił ją. Leżała twarzą do ziemi, a obok niej zakrwawione pudełko zapalek. Miał świadomość, że czeka go to samo co matkę, ponieważ źle żył z miejscowymi Niemcami. W pośpiechu pochował matkę w ogrodzie, wypuścił zwierzęta, wsiał na rower i uciekł bocznymi drogami. Wiedział, że nie może już tam wrócić. Powiedzieliśmy tym ludziom, jak niemieccy lotnicy bombardują, strzelają do ludzi i zwierząt – siejąc śmierć, strach i zamieszanie.

Rano zjedliśmy śniadanie, zostaliśmy wyekwipowani podobnie jak poprzedniego dnia i ruszyliśmy w drogę. Okazało się, że mamy trudności z chodzeniem – ponieważ poprzedniego dnia szliśmy boso po żwirowej drodze, pozdzierał nam się naskórek pod stopami. Należało założyć buty, ale buty zdatne do chodzenia miał tylko Ignac – moje były za małe i poodciskały mi paznokcie i pięty. Heromek butów nie miał w ogóle. Szliśmy więc piaszczystym poboczem szosy. Ta część drogi nazywała się latówką. Niemieckie samoloty,

podobnie jak poprzedniego dnia, strzelały i rzucały bomby, ludzie ginęli, ale nam szczęście sprzyjało. Dotarliśmy cali i zdrowi do wsi pod Koninem, gdzie zaopiekowali się nami stacjonujący tam żołnierze. Wojacy nakarmili nas i obficie zaopatrzyli w suchary. Spaliśmy z nimi na słomie w stodole. Przygarnęli nas do siebie, pod swoje płaszcze i koce. Przy okazji wspominali swoje dzieci pozostawione w domu. Czuliśmy się dobrze i było nam ciepło. Gorzej było nad ranem, ponieważ do dnia żołnierze opuścili kwaterę. W samej słomie zrobiło się zimno, a Heromek miał przykrą przygodę. Do stodoły weszła świnia i podnosząc ryjem słomę wchodziła coraz dalej, zbierając z klepiska ziarno. Razem ze słomą podniosła Heromka i odrzuciła na bok. Zaspany zaczął krzyczeć, bo wydawało mu się, że przyszedł po niego diabeł. Musieliśmy go uspokajać, że to nie diabeł, a zwykła świnia, która jest głodna. W stodole było trochę siana. Znaleźliśmy również jakieś stare szmaty. Zagrzebaliśmy się w siano, przykryliśmy się trochę tymi szmatami i przeleżeliśmy tak do rana.

Celem naszej podróży były miejscowości Królików i Grabienice, w nich mieszkała nasza rodzina. Obie wsie leżały po drugiej stronie Warty. Niemcy swoimi bombardowaniami uszkodzili most na Warcie i nie było przeprawy. Rybacy też nie kwapili się do przewiezienia nas łodzią, ponieważ poprzedniego dnia jedną z nich ostrzelał niemiecki myśliwiec, została podziurawiona i zatонуła. Jej właściciel uszedł z życiem, bo wyskoczył do wody i kule go nie dosięgły. Chcieliśmy przepłynąć rzekę wpław, ale gdy znaleźliśmy się na brzegu i zobaczyliśmy jej wartki nurt i wiry, przeszła nam chęć do pływania. Heromek zresztą nie umiał pływać. Miał wtedy dziewięć lat, ja dwanaście, a Ignac czternaście. Moje i Ignaca umiejętności pływackie też nie były na miarę takiej rzeki. Uznaliśmy, że należy zbudować tratwę, umieścić na niej Heromka i ubrania, i popłynąć przy niej, popychając ją na drugi brzeg rzeki. Zaczęliśmy nawet rozglądać się za odpowiednim materiałem. Dostrzegliśmy stos drewnianych podkładów kolejowych. Naszym dyskusjom i poczynaniom z pewnej odległości przyglądał się i przysłuchiwał jakiś mężczyzna. Wreszcie podszedł do nas i zapytał, jakie mamy kłopoty. Kiedy go wtajemniczyliśmy w nasz plan, zaprowadził nas do rybaka, który miał łódź i zgodził się przeprowadzić nas na drugą stronę rzeki. Przed wejściem do łodzi rozglądał się po niebie, czy nie nadlatują samoloty, potem sprawnie przewiózł nas na drugi brzeg i życzył

szczęśliwego zakończenia wędrówki. Serdecznie mu podziękowaliśmy, pożegnaliśmy się i poszliśmy dalej.

DZIADEK

Do Grabienic dobrnęliśmy po południu. Nasze pojawienie się wzbudziło sensację. Ja z Heromkiem pozostaliśmy w Grabienicach u wuja, Stefana Wróblewskiego, kuzyna matki. Ignac po kilku dniach powędrował do Królikowa do Urbaniaka, który był naszym dziadkiem. W ten sposób nie obciążaliśmy jednego domu. Trzeba tu wyjaśnić, że Królików należał kiedyś do zaboru rosyjskiego. Leżał przy granicy zaborów. Dziadek był człowiekiem mądrym, praktycznym i miał duże doświadczenie życiowe. Jak zobaczył Ignaca, ucieszył się, że jest cały i zdrowy. Zmartwiło go to, że nie mamy wiadomości o rodzicach, ale pocieszył Ignaca, że wszystko się dobrze skończy: „– Niemcy jak przyszli, tak pójdą, jak w I wojnę światową. Należy tylko uważać, żeby nie stracić życia, Niemcy teraz są bardziej agresywni i tym samym niebezpieczniejsi. W I wojnę światową Niemcy zabrali mi konie i teraz też, ale ja sobie kupię drugie, a na razie będę pracował w krowy. Ważne, by nie wpaść w rozpacz, bo to człowieka niszczy i demobilizuje”.

Dziadek umiał czytać i pisać, co pod zaborem carskim było rzadkością. W Królikowie został wójtem. Ludzie byli bardzo zadowoleni z jego wójtowania. Utrzymywał poprawne stosunki z carskimi żandarmami. Żandarmeria stacjonowała w odległym o dwadzieścia kilka kilometrów Koninie. Do dziadka przyjeżdżali wierzchem, a z powrotem odwoził ich wozem, własnymi końmi. Leżeli nieprzytomni na słomie w skrzyni wozu, pałasze obok, a ich konie sły uwiązane za wozem. Dostawali wódki, ile chcieli. Podczas takiej pijatyki dziadek dowiadywał się od nich mnóstwa rzeczy. Mówili o najsekretniejszych sprawach. Dziadek wyciągał od nich przede wszystkim to, co dotyczyło Królikowa i okolicy. Wiedział, o co kogo podejrzewają i w porę ostrzegał. Wiedział też, kiedy będzie rekwizycja bydła. W tym przypadku ludzie uciekali z bydłem do lasu nawet na kilka dni. Jeżeli u kogoś znaleźli bydło, zabierali wszystko. Niemcy mieli inną zasadę – jeżeli były dwie krowy, zabierali jedną, żeby gospodarstwo mogło funkcjonować.

Dziadek prowadził też działalność polityczną. Po sumie w kościele spotykali się u niego ludzie – czytał im gazety i odpowiednio interpretował. Przekazywał też informacje, które dotarły do niego

innymi drogami. Gazety były legalne i nielegalne. Któregoś razu jeden z gości przyniósł gazetę – była obszerna i wszyscy uczestnicy spotkania liczyli na dużo informacji. Dziadek gazetę obejrzał, przekartkował, złożył i oddał właścicielowi. Gdy go pytano, dlaczego jej nie czyta, odparł: „– Dlatego, że to jest gazeta komunistyczna. – Co to jest komunizm?”. Dziadek powiedział na ten temat, co wiedział i stwierdził krótko, że tam, gdzie dojdzie do władzy komunizm, będzie prawdziwa bieda. A było to jeszcze przed rewolucją w Rosji.

Ludzie w Królikowie i okolicy stanowili hermetyczną i monolityczną społeczność, która kierowała się własnymi niepisanymi zasadami. Jeżeli kogoś spotkało jakieś nieszczęście, wszyscy starali się mu pomóc. W razie pożaru ludzie uczestniczyli w odbudowie i służyli pogorzelcom wszelką inną pomocą. Kwestie sporne starali się załatwić we własnym zakresie. Przez wiele lat nie było przypadku donosicielstwa do władzy ani kolaboracji z nią pod żadną postacią. Jeśli komuś groziło carskie więzienie, to najczęściej uciekał do Ameryki. Na kartę okrętową składała się cała wieś, a nawet okolica.

Wracając do roku 1939 – należy przypomnieć, że zabrane przez Niemców konie zostały zastąpione przez krowy, co prawda powolniejsze, ale innego wyjścia nie było. Zasadniczą siłę pociągową stanowiły dwie sztuki. Jedną z nich dziadek wymienił na wołu, który miał większą siłę, druga – jako mniej mleczna – brała udział bezpośrednio w ciągnięciu. Dla tych dwóch bydlaków dziadek wykonał drewniane jarzma do ciągnięcia i do kompletu ukręcił powrozy, przy czym pomagał mu Ignac. Były wykonane z włókna konopnego. Każdy powróż składał się z dziewięciu skrętek robionych na pojedynczym kołowrotku, następnie skręcanych ze sobą na kołowrotku potrójnym i pojedynczym. Potrójny kręcił się w jedną stronę, pojedynczy w drugą, na drugim końcu liny. Po wykonaniu trzech takich potrójnych skrętek, przez ich skręcenie na potrójnym i pojedynczym kołowrotku – powróż był gotowy. Nie był gruby, miał średnicę dwunastu milimetrów, ale za dwa takie powrozy wół ciągnął wóz.

Dziwna to była uprząż, drewniano-powrozowa, czy też, jak kto woli, drewniano-linowa, ale zdawała egzamin, co widziałem na własne oczy. Jej wielką zaletą było to, że była własna, tania, a dziadek ją wykonał w ciągu czterech tygodni. Po czterech tygodniach od zabrania koni przez zniechęconego wroga, dziadek znowu jeździł i obrabiał ziemię. Jest to przykład niezłomności polskiego chłopą, który wielokrotnie stawiał czoło przeciwnościom losu.

Dziadek miał też doskonały zmysł konstrukcyjny. Własnoręcznie wykonał z drewna manież, który parę lat służył do napędzania sieczkarni i kaszaka. Urządzenie to kilkakrotnie przerabiał i udoskonaliał, nie było jednak trwałe i często się psuło. Ja z tej drewnianej konstrukcji widziałem dwa koła. Większe miało na obwodzie promieniście sterczące płaskie „palce” kilkucentymetrowej szerokości i grubości. Te właśnie „palce” zazębiały się z drugim mniejszym kołem, które miało na obwodzie, pomiędzy dwoma drewnianymi tarczami, poprzecznie ustawione kołki o grubości nieco ponad trzy centymetry. Wszystko to było wykonane z mocnego drewna, dobranego z dużą znajomością rzeczy.

U WUJKA

My z Heromkiem w Grabienicach walczyliśmy z szarą rzeczywistością i tęsknotą do swoich rodzin. Byliśmy traktowani tak jak nasi rówieśnicy – dzieci wujostwa. Razem z nimi wykonywaliśmy różne prace w polu i zabudowaniach. Nadeszły wykopki, kopaliśmy więc motykami ziemniaki. Przy kopcowaniu ziemniaków potrzebna była do ich przykrycia słoma. Należało zatem wymłócić żyto. Młócono cepami. Stanowiło to dla mnie nowość, podobnie jak sposób wykonania samych cepów. Do młócenia nie rozpoczęliśmy żyta zbyt grubo, jak dorosłe osoby, ponieważ należało „dobić” cepami, żeby ziarenka wykruszyły się z kłosów, również i w knowiu, czyli w grubej części słomy. Do wstępnego przykrywania ziemniaków, względnie przed przymrozkami, wujek używał plandek własnoręcznie wykonanych domowym sposobem – z lnianego płótna, przez impregnowanie go pokostem z oleju lnianego.

Wujek miał stół stolarski i podstawowe narzędzia. Nie zabraniał mi majsterkować, pod warunkiem, że nic nie popsuję. Udało mi się ten warunek spełniać. Wujek był nawet z mojego grzebania zadowolony, ponieważ jego synowie się do tego nie garnęli. Sam wykonywał rzeczy potrzebne w gospodarstwie – różnego rodzaju stołki, stołeczki – ale także drewniane zabawki, ptaki, zwierzęta, płaskorzeźby itp. Miał taką wewnętrzną potrzebę.

Właściwie nie wiem, jaki był jego zawód. Prowadził gospodarstwo rolne, był rzeźnikiem, prowadził ubój i robił wędliny, które sprzedawał we własnym sklepie kolonialno-rzeźniczym. Trudnił się nawet fotografowaniem. Mnie często angażował do kręcenia ma-

szynki do mięsa. Nadarzała się wtedy okazja, by coś przegryźć. Najczęściej była to kaszanka, która popękała w czasie gotowania.

Dwa razy odwiedziłem Ignaca w Królikowie. Za trzecim razem zaproponowałem, byśmy pieszo wracali do Brzostowa. Ignacowi moja propozycja odpowiadała. Dobrze przyglądaliśmy się naszej mapie. Nie przerażała nas odległość. Umieliśmy podróżować, starać się o żywność i noclegi. Mówiono, że drogami jest to około stu siedemdziesięciu kilometrów. Pierwszą przeszkodą była sprawa obuwia – był już październik i poranki były zimne. Drugą przeszkodę stanowili Niemcy, ponieważ kontrolowali drogi. Na podróżowanie należało mieć zezwolenie od władz niemieckich.

ROWERZYŚCI

Na nasz pieszy powrót do Brzostowa nie zgadzała się rodzina. Stanowczo zaprotestował najmłodszy brat ojca, Kazimierz. Wysunął własny plan – najpierw we dwóch z Ignacem pojadą rowerami rozpoznać sytuację. Ignacowi trzeba było kupić rower, stryjek miał dobry półwyścigowy, na którym mógł pokonywać dziennie dwieście kilometrów.

Po jakimś czasie stryjek zdobył rower dla Ignaca i pojechali. Po dziesięciu dniach przyjechał po nas na rowerze mój ojciec. Na miejscu kupił dla mnie rower i wybraliśmy się w drogę powrotną. Heromka ojciec wziął na ramę roweru, którą owinął kocem. Ja byłem jeszcze za mały, żeby jechać siedząc na siodełku, jechałem „na ramię”, czyli pedałowalem na stojąco. Nie było w tym czasie rowerów dziecięcych ani młodzieżowych. Jeszcze mniejsze dzieci jeździły na tych rowerach dla dorosłych w ten sposób, że stały również na pedałach, ale biodra miały pod ramą. Taki rowerzysta był mocno wygięty (wyglądał jak połamaniec), a rower nieco przechylony – ale drogę przebywało się jednak szybciej niż pieszo.

Ojciec kupił mi ślepaką (tak nazywaliśmy rowery, które były napędzane tradycyjnie pedałami, ale które nie miały hamowania przy pomocy torpeda, lecz za sprawą hamulca ręcznego). Jeździło się na nim lekko. W czasie jazdy bez deptania pedałów, czyli na luzie, słychać było ciche „cykanie” małej zapadki o kółko zębate. Podczas napędzania koła obie części zazębiały się i „cykanie” ustępowało.

Jechało mi się bardzo dobrze, nie odczuwałem trudów podróży, ale ojcu jechało się ciężko. Nasza podróż trwała niecałe trzy dni. Pierwszego noclegu nie zapamiętałem, natomiast drugi pozostał

mi w pamięci na całe życie. Ojciec był już wyraźnie zmęczony. Chcieliśmy znaleźć nocleg na peryferiach Wągrowca. Podeszliśmy do pierwszych zabudowań i zapukaliśmy, ale nikt nam nie otworzył. To samo spotkało nas przy drugich i trzecich. Nawet psy jakos dziwnie mało ujadły. Dopiero gdy byliśmy przy czwartych zabudowaniach, w oknie za firanką mignęła ludzka twarz. Ojciec, nie czekając na otwarcie drzwi, zaczął głośno mówić, że już drugi dzień podróżujemy i szukamy noclegu. Po chwili otworzyła nam drzwi kobieta i wyjaśniła, że tu wszyscy żyją w wielkim strachu, ponieważ wczoraj pod murem cmentarnym Niemcy, na oczach wszystkich, rozstrzelali kilku księży. Pokazała nam również miejsce zdarzenia, które było widoczne z okien jej domu. Na murze zostały ślady po kulach. Zamordowani leżeli pod murem kilka godzin – Niemcy nie pozwolili ich od razu pogrzebać. Następnego dnia znów dobrze nam się jechało, ale ojciec był bardzo przygnębiony zamordowaniem księży. Przez cały czas podróży mieliśmy bardzo ładną pogodę.

Siedem kilometrów od domu nie mogłem już wytrzymać i pojechałem do przodu. W domu popłynęły mi łzy wzruszenia. Matka mnie przytulała i cicho płakała. Dala mi jeść, usiadła przy stole i przyglądała mi się. Potem wypytywała o różne sprawy i uciechy nie było końca. Heromek opuścił ojca kilometr od domu – przed dwoma wzniesieniami, pod które ojciec nie mógł podjechać i musiał prowadzić rower – i biegiem puścił się do domu.

BOBIK

Po pewnym czasie do domu przyjechał ojciec, reszta rodziny była na polu. Matka płakała, rozmowa się rwała. Często zmienialiśmy temat. Wreszcie nastąpił przełom – do mieszkania wpadł Bobik, który wrócił z krowami z pola i wyczuł moją obecność. Pies bezceremonialnie skoczył mi na kolana i liznął po twarzy. Rozrzewnił mnie swoim zachowaniem, więc niemal i ja go pocałowałem. Można powiedzieć, że było to spotkanie dwóch przyjaciół, którzy rozstali się w dramatycznych okolicznościach.

Bobik był to trójkolorowy kundel, niezbyt wysoki, o średniej długości sierści. Miał krępy, nieco wydłużony tors osadzony na krótkich, grubych, krzywych łapach i gruby, gładki ogon. Kiedy nim machał, nieco poruszał mu się zad. Pies miał średniej wielkości, lekko zwisające uszy i bardzo mądre spojrzenie. Był to typowy pies pa-

sterski, który sam nawracał krowy. Polecenia pasterza wykonywał bezbłędnie i odnosiło się wrażenie, że rozumie ludzką mowę.

Należy tu wyjaśnić, że pies na wsi jest traktowany inaczej niż pies w mieście, który najczęściej jest maskotką do zabawy bądź towarzysztwa. Pies na wsi pełni dwie podstawowe funkcje – pilnowanie podwórza i pomaganie pasterzowi podczas pasienia krów. Upilnowanie i przywołanie do porządku kilku sztuk bydła pasionego luzem nie było możliwe bez psa. Krowy ignorują pasterza bez psa i idą tam, gdzie są smaczniejsze kęsy – np. w ziemniaki, buraki i inne ziemniopłydy. Krowy są szybsze od człowieka i potrafią umknąć przed jego kijem czy batem. Pies zawsze je dogoni i jest w stanie poradzić sobie z trzydziestoma sztukami.

Dobry pies gryzie krowy nisko po tylnych nogach. Jeżeli gryzie zbyt wysoko, to krowa może go z łatwością kopnąć. By uniknąć kopniaka, pies po ugryzieniu kładzie się płasko na ziemi i krowia racica przechodzi nad jego głową. Bywa, że pies po kilku kopniakach, maniuje się i zbiega krowę od przodu, od głowy. Często z tego powodu przestaje być psem pasterskim. Nie wszystkie krowy kopią i psy o tym wiedzą.

Bobika miałem od szczeniaka i biegałem z nim za krowami, a on gryzł je nisko po nogach. Sam nauczył się unikać krowich kopniaków.

Prawdziwe powitanie zgotował mi Bobik, gdy wyszedłem z nim do ogrodu. Biegał w koło, czołgał się, przewracał na grzbiet, tarzał i co jakiś czas przybiegał do mnie, żeby ocierać się o moje nogi. Stawał i chodził na tylnych łapach. Bardzo mnie to dziwiło, gdy wcześniej usiłowałem go tego nauczyć, ignorował mnie i nie wykonywał poleceń.

Wydawało mi się, że nie tylko Bobik, ale że wita mnie całe otoczenie – narożny słupek w płocie, drzewa w ogrodzie, na które wielokrotnie wchodziłem po owoce, kamień leżący przy rowie. Wszystko to wydawało mi się ładniejsze i bardziej przyjazne niż kiedyś. Chętnie bym z tymi przedmiotami rozmawiał, dotykał ich i cieszył się nimi. Przeżywałem nieopisaną radość. Wszystko to wynikało z wielkiej tęsknoty, jaką przeżywałem podczas pobytu w Grabieniach, chociaż nie miałem tam źle.

Rodzice nie zdążyli przejechać mostu na Noteci przed jego wysadzeniem i wrócili do domu tego samego dnia. Na miejscu przeżyli wielki dramat – niemieckie wojsko zabrało im dwa młode mocne

konie, które były dumą rodziny, wraz z nową uprzężą i również nowym wozem. O nas rodzice nie mieli żadnych informacji.

Psy wróciły w nocy. Rano, gdy matka wyszła na podwórze, powitały ją radośnie. Każdy leżał przy swojej budzie. Były bardzo zmęczone i głodne. Matka się rozplakała, ponieważ były to ostatnie żywe istoty, które miały z nami kontakt. Nas ciągle brakowało w domu i nie było wiadomo, co się z nami dzieje. Niemalym wyczynem psów było przepłynięcie Noteci, która płynie przez łąki, ma poszarpane torfowe brzegi – w wielu miejscach strome, a w innych ukształtowane w nawisy. Psy musiały płynąć z prądem i przebyć znaczną odległość, by znaleźć dogodne miejsce do wyjścia na brzeg.

TERROR

Mniejszość niemiecka rozpętała niesamowity terror. Niemcy chodzili po wsi i zaglądali w okna – gdy kogoś zauważyli, wpadali do mieszkania i bili bez opamiętania. Pewien mieszkający po drugiej stronie rzeki Niemiec tak się rozzuchwiał, że postawił Wróbla pod ścianą, wziął od żołnierza karabin, wprowadził nabój do lufy i chciał go zastrzelić. Wróbla uratowało to, że żołnierz w porę odebrał szaleńcowi karabin. Po kilku dniach doszły do Brzostowa wieści, że ten właśnie Niemiec po powrocie za Notecą na swoje gospodarstwo wpadł w ręce żołnierzy Wojska Polskiego i został rozstrzelany, ponieważ był dezertorem.

Z Brzostowa zabrano Wojciecha Winieckiego i wysłano do obozu koncentracyjnego, gdzie po kilku miesiącach zmarł. Ten sam los spotkał Dziadosza z Miasteczka. Wcześniej Winiecki został ciężko pobity przez miejscowych Niemców. W Grabówni miejscowi Niemcy zgonili Polaków do jednej ze swoich stodół, a tam kazano im położyć się brzuchem na snopku słomy. Na łydki kładziono ofiarom ciężkie drąg. Nieszczęśnika trzymano za ręce i głowę, i bito po pośladkach i plecach dębowymi kijami. Ciężko pobitych zabrali rodziny. Leczyli się tygodniami. Niektórzy z nich już nigdy nie wrócili do zdrowia.

Każdy Niemiec mógł bezkarnie zamordować każdego Polaka, a ci, którzy o tym mówili, również ginęli. W praktyce odbywało się to tak – kilku Niemców zakładało sobie opaski ze swastyką i przychodziło po upatrzoną ofiarę. Taki człowiek już nie wracał do domu. Ofiara przed zastrzeleniem musiała sobie wykopać grób.

Dawne województwa poznańskie i pomorskie pokryły się gęsto grobami indywidualnymi, kilkuosobowymi i masowymi².

Nie sposób wymienić tu wszystkich miejsc kaźni. Masowe groby odkryto po wojnie w Paterku koło Nakła nad Notecią i wielu innych miejscach. Wielka tragedia rozegrała się w Karolewie koło Więcborka. Zginęło tam dwa tysiące Polaków. Niemcy zorganizowali sobie prywatny obóz śmierci. Zwożone ofiary trzymano w oborze „na majątku”, gdzie były bite drewnianymi pałami. Egzekucji dokonywano w nocy. W dzień kopano nowe rowy-groby, a jednocześnie zasypywano zamordowanych poprzedniej nocy. Koniec tej masakry nastąpił nieoczekiwanie. Z opowiadań ludzi wynikało, że do rodziny w Polsce przyjechał oficer Wehrmachtu i chciał się zobaczyć ze swoim szwagrem, który był Polakiem (żony obydwu były Polkami). Oficer nie zastał szwagra w domu. Zastał natomiast płacz i wielki smutek w rodzinie. Szwagier kilka dni wcześniej był zabrany do Karolewa. Niemiec dowiedział się, że jego szwagier został minionej nocy rozstrzelany. Oficer zadzwonił do Berlina i narobił wokół tej sprawy wielkiego hałasu. Podobno z tego powodu egzekucje wstrzymano, a pozostałych ludzi, którzy czekali na zamordowanie, wypuszczono do domów. Znałem dwie osoby, które w ten sposób uszły z życiem – Bolesława Piątka z Wymysłowa pod Sypniewem Krajeńskim i Wiśniewskiego z Dorotowa, sąsiedniej wsi.

W pierwszych dniach wojny rozstrzelano w białośliwskim lesie trzy osoby z Miasteczka – tamtejszego proboszcza ks. Niedbała; naczelnika Komory Celnej – Pankąa i nauczyciela Urbańskiego. Również pod Grabównem po wojnie odkryto kilkuosobowy grób, ale nie pamiętam nazwisk pomordowanych, ani też ilu ich było. Należy przypuszczać, że wielu grobów nie znaleziono.

² Od początku okupacji ziem polskich celem działań podjętych przez III Rzeszę było całkowite wyniszczenie środowisk uznanych za „polski element przywódczy”. Grupy operacyjne policji bezpieczeństwa według przygotowanych imiennych list do końca 1939 r. wymordowały 40 tys. osób na ziemiach wcielonych do Rzeszy oraz około 5 tys. w Generalnym Gubernatorstwie. Była to planowo przeprowadzana (także w roku 1940) eksterminacja elit przywódczych – poprzez liczne, utajnione oraz publiczne egzekucje i mordy. Odrębną kategorię stanowią zbrodnie popełnione przez członków bojówek Selbstschutz, utworzonych w większości przez obywateli polskich narodowości niemieckiej, którzy we wrześniu 1939 r. ze szczególnym okrucieństwem mordowali Polaków – często własnych sąsiadów. W największym wymiarze zbrodnie tego typu miały miejsce w północnych powiatach województwa poznańskiego: obornickim, chodzieskim, wągrowieckim, czarnkowskim i poznańskim.

Powszechnie zapanowały głębokie przygnębienie i strach. Nikt nie był pewien dnia ani godziny. W każdej chwili mogli przyjść po niego Hunowie dwudziestego wieku, śmiertelnie go pobić, zabić, czy też wysłać do obozu na pewną śmierć. Świat stał się szary, smutny. Nawet chmury płynęły jakby niżej, miały złowrogi i przytłaczający wygląd. Ludzie bali się własnego cienia. Sąsiad do sąsiada przekradał się chyłkiem. Psy wyczuwały złowrogi nastrój i mało szczekały. Pojawienie się Niemców budziło lęk i przerażenie. Na szczęście nie mieszkali oni w Brzostowie.

Wracali uciekinierzy, w tym sąsiedzi, którzy nas zabrali w czasie ucieczki na wóz, więc ojciec poszedł do nich zapytać o nas. Sąsiadka z rozpaczą nie umiała wytłumaczyć, dlaczego zostawili nas w Inowrocławiu.

Po kilku dniach Niemcy dali ojcu cztery krowy, bo gospodarstwo nie może być bez bydła. Prawdopodobnie pochodziły ze stada znajdującego się na łąkach pod Osiekiem, gdzie i my pozostawiliśmy nasze krowy – siedem dojnych i kilka sztuk jałowizny. Ale dobre i to, bo mogliśmy przecież nic nie dostać. Dwie z otrzymanych krów miały popsute wymiona (doily się tylko na trzy strzyki), ponieważ nie były dojone.

Pewnego razu ojciec wysłał mnie w jakiejś sprawie na łąkę. Pojechałem na swoim ślepaku, który tak bardzo lubilem. W drodze powrotnej, w Miasteczku przy stacji kolejowej, za ekspedycją towarową, osaczyło mnie pięciu Niemców. Byli na rowerach. Znałem ich wszystkich ze szkoły. Nie było mowy o ucieczce. Zaczęło się od wyzwisk i obelg: „– Ty polska świnio! Ty polski harcerzu!”. Potem przeszli do czynów. Tłukli mnie pięściami, a gdy upadłem, kopali gdzie który trafił. Kłuli mnie po pośladkach nożami – nie głęboko, ale do krwi – mówiąc, że powinienem się dowiedzieć, jak ostre są niemieckie noże. Na zakończenie zapowiedzieli, że następnym razem wyprowadzą mnie do lasu i wyprują mi bebechy jak świni.

Nie chciałem martwić rodziny, więc starałem się ukryć to, co mnie spotkało w Miasteczku. Jednak byłem smutny i zamyślony (zastanawiałem się, jak powieszą mnie Niemczaki do wypuszczenia bebechów – za ręce, czy za nogi). Matka bacznie mi się przyglądała i zauważyła, że mam poprzecinane i zakrwawione spodnie. Musiałem wszystko opowiedzieć. Robiłem to z płaczem. Domowników ogarnęło przerażenie. Przez pewien czas nie opuszczałem domu i Brzostowa.

Nastała zima. Spadł duży śnieg, co zmniejszyło nieco aktywność Niemców, ponieważ przeważnie poruszali się na rowerach. Byli jednak nadal groźni. Niepokojące wieści docierały do nas z Poznania i województwa poznańskiego, które Niemcy postanowili zniemczyć w pierwszej kolejności. W Poznaniu już w pierwszych dniach okupacji wyrzucali ludzi z lepszych mieszkań. Kierowano ich do obozów wysiedleńczych i wywożono do Generalnego Gubernatorstwa. Ludzie jechali pociągami w nieogrzewanych bydłych wagonach, a mrozy dochodziły do dwudziestu paru stopni. Były ofiary śmiertelne, spowodowane zimnem. Na wsi najpierw wysiedlano ludzi z lepszych gospodarstw, które przejmowali miejscowi Niemcy (w mieście mieszkania zajmowali miejscowi Niemcy i Niemcy sprowadzani z Rzeszy). Samo wysiedlanie wszędzie przebiegało podobnie – przychodzili w nocy i walili w drzwi albo okna. Gdy uznali, że otwieranie trwało zbyt długo, walili w drzwi kolbami karabinów. „Podludzie” mieli się ich bać. Na ubranie się i spakowanie podręcznych bagaży przeznaczano pół godziny, czasami tylko piętnaście minut. Jeżeli Niemcy uznali bagaże za zbyt duże, kazali je przepakować, względnie pozostawić³.

³ Polityka III Rzeszy dążyła do szybkiej zmiany mapy etnicznej okupowanych terenów polskich. W tym celu podjęto masowe akcje wysiedleń i przesiedleń ludności. Jesienią 1939 r. rozpoczęto wypędzanie Polaków z terenów wcielonych do Rzeszy, głównie z Wielkopolski i Pomorza, połączone z konfiskatą ich mienia. W pierwszych transportach znalazły się rodziny osób rozstrzelanych w publicznych egzekucjach. Przy wyborze osób przeznaczonych do wysiedlenia kierowano się takimi kryteriami, jak: ich przeszłość polityczna, zdolności do odgrywania roli przywódców lub członków konspiracji niepodległościowej, przynależność do warstwy polskiej inteligencji, posiadany majątek (zwłaszcza nieruchomości) oraz niechęć miejscowych Niemców. Najważniejszym niemieckim terenem osiedleńczym stał się Kraj Warty, gdzie dokonano najbardziej masowych akcji wysiedleń i przesiedleń oraz związanych z tym wywłaszczeń ludności polskiej. Przygotowaniem „kontyngentów ewakuacyjnych” w poszczególnych powiatach i sporządzaniem list osób przeznaczonych do wysiedlenia zajmowały się placówki policji bezpieczeństwa, urzędy landratów oraz miejscowi folksdojce. Powierzenie przeprowadzenia akcji wysiedleńczych organom policyjnym oraz współpracującemu z nim aparatowi SS powodowało, że akcje te miały charakter wyjątkowo brutalny i były związane z utratą mienia oraz zagrożeniem życia i zdrowia ofiar. Apogeum akcji wysiedleńczej przypadło na zimę 1939/1940 r., ale kontynuowano ją również w następnych latach. W sumie objęła ona ponad 900 tys. osób. Do opróżnionych domów, gospodarstw i warsztatów wprowadzano Niemców etnicznych, pochodzących głównie z krajów bałtyckich, Ukrainy i Rumunii. Akcję wysiedleńczą i równoległe do niej prowadzoną akcję „osadniczą” kontynuowano aż do 1944 r.

Dumny naród niemiecki zabierał cudzą własność, nawet własność osobistą. Kładł się pod polską pościel, na polskie łóżka. Gotował w polskich garnkach, jadł z polskich talerzy, posługując się polskimi sztućcami. Chodził w polskich ubraniach i obuwiu.

W stosunkach międzyludzkich obowiązywały inne zasady. Jeżeli Niemiec miał stosunek cielesny z Polką, uchodziło mu to bezkarnie. Kobiety mogli wywieźć do obozu. Jeżeli Polak miał stosunek cielesny z Niemką, skazywano go na karę śmierci. W Poznaniu miały miejsce przypadki, że polskie dziewczyny za uśmiechnięcie się do jeńców francuskich lub angielskich były skazywane na obozy.

Wysiedlanie ludności polskiej Niemcy prowadzili przez całą wojnę nie tylko w Poznaniu i województwie poznańskim. Posuwając się na wschód, na podbijane tereny sprowadzali i osiedlali Niemców bałtyckich i z Besarabii. Szczególnie na wsi ci przybysze przysparzali więcej strat niż korzyści, ponieważ nie umieli gospodarzyć, a przy tym byli bardzo leniwi.

Zapamiętałem tragiczne zdarzenie z Poznania. Niemcy urządzili wieczorny marsz z pochodniami, którymi były kije z pojemnikami na jakiś palący się tłuszcz. Szli trójkami. W pewnym momencie przez jezdnię chciała przejść polska dziewczyna. Oblali ją palącą się zawartością tych naczyń. Kiedy zaczęła płonąć na niej odzież, nie ugasili jej, polewali ją jeszcze płonąca ciecżą. Dziewczyna upadła i w strasznych męczarniach umarła na ich oczach.

W Poznaniu od pierwszych dni okupacji w więzieniu na ul. Młyńskiej i w Forcie VII prawie codzienne tracono Polaków, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Kiedy zlikwidowano Związek Odwetu dr. Franciszka Witaszka, powieszono pięćdziesiąt osób⁴. Organizacja ta dała się Niemcom we znaki. Doktor dysponował bakteriami wywołującymi groźne choroby, takie jak tyfus. Groźne bakterie lub trucizny aplikowano szczególnie niebezpiecznym gestapowcom. Witaszkowcy dokonywali również wielu aktów dywersyjnych, np. umieszczali w wagonach kolejowych ukryte w słomie zapalniki.

⁴ Ppor. c.w. dr Franciszek Witaszek „Warta” kierował komórką studiów i produkcji środków walki sabotażowo-dywersyjnej. Komórka ta działała w ramach struktury konspiracyjnej Wielkopolskie Kierownictwo Związku Odwetu (1940–1942), stanowiącej pion sabotażowo-dywersyjny Okręgu Poznańskiego ZWZ-AK. Witaszek został aresztowany wraz z grupą współpracowników i stracony 8 I 1943 r. w Forcie VII w Poznaniu. Zob. *Polskie Państwo Podziemne w Wielkopolsce 1939–1945*, t. 1–4, Poznań 2006.

W czasie jazdy pociągu słoma się zapalała i wagony najczęściej płonęły doszczętnie.

Siatka została wykryta przypadkowo. Wywiad AK dał sygnał, że przez Poznań będzie przejeżdżać do Warszawy trzech ważnych gestapowców i należy ich zlikwidować. Powierzono to organizacji dr. Witaszka. Gdy Niemcy przybyli do kawiarni, kelner miał podać im zatrutą kawę. Okazało się jednak, że gestapowców jest pięciu. Nie było wiadomo, czy zatruta kawa dotrze do właściwych osób. Wrócił więc, wlał zatrutą kawę do dzbanka, by potem rozlać ją do pięciu filiżanek. Ten manewr zauważył właściciel kawiarni i zwrócił bardzo ostro uwagę kelnerowi, że w jego kawiarni podaje się kawę tylko w filiżankach. Kiedy gestapowcy poumierali, wdrożono wnikliwe śledztwo. Między innymi dzięki incydentowi w kawiarni rozszyfrowano Związek Odwetu. Z organizacji ocalał tylko kelner. Józef Witaszek został zamordowany przez Niemców w Forcie VII na początku 1943 r.

WIELKOPOLANIE

Kiedyś prowadziłem dyskusję z człowiekiem, który przekonywał mnie, że Wielkopolanie uczyli się gospodarzyć od Niemców. Musiałem użyć wielu argumentów by uzasadnić, że było odwrotnie – to Niemcy uczyli się wielkiej kultury rolnej (i nie tylko rolnej) od Wielkopolan. Poznaniacy podczas rozbiorów musieli bronić swoich ziem przed germanizacją. Umieli integrować się w realizowaniu określonego programu. Jego twórcami byli wielcy patrioci wielkopolscy, którzy przekonali do niego społeczeństwo. Program polegał na stworzeniu jednolitego, mocnego ekonomicznie i wspierającego swych członków społeczeństwa, zamkniętego przed Niemcami. Powstały kasy zapomogowo-pożyczkowe, banki, różnego rodzaju ośrodki szkoleniowe, propagujące wysoką kulturę rolną, nowoczesną uprawę ziemi (w tym sianie łubinu jako nawozu, sianie poplonów itp.). Używano nowoczesnych maszyn rolniczych budowanych w Poznaniu.

Te posunięcia dały dobre rezultaty, choć Niemcy za wszelką cenę chcieli zniemczyć te tereny. Na ten cel przeznaczyli duże pieniądze. Chcieli wykupić ziemię podupadłych gospodarstw. Okazało się, że takich nie ma i nie ma chętnych do sprzedaży ziemi Niemcom. Wobec tego wprowadzono drakońskie prawa zakazujące Polakom budowy pomieszczeń gospodarczych i mieszkalnych.

Ludzie radzili sobie w różny sposób – zamieszkivali u rodzin, znajomych, w domach na kołach, które mogli stawiać na swojej ziemi, ale musieli je codziennie przemieszczać, chociażby o jeden tylko metr. Stąd słynny wóz Drzymały. Drzymała po I wojnie światowej otrzymał gospodarstwo rolne w Grabownie, a jego grób znajduje się na cmentarzu w Miasteczku Krajeńskim, kilka metrów od grobu naszej rodziny. Przeciw germanizacji Wielkopolski protestowały nawet dzieci. Sławne były strajki szkolne we Wrześni, gdzie dzieci protestowały przeciw nauczaniu po niemiecku.

Poznaniacy nie dali się wciągnąć w żadne wcześniejsze zbrojne powstanie, ponieważ wiedzieli z góry, że będzie ono przegrane. Jedyne zbrojne powstanie, jakie wybuchło w Poznaniu i rozprzestrzeniło się w Wielkopolsce, było powstaniem zwycięskim – bardzo dobrze przygotowanym pod względem militarnym, i rozpoczętym w odpowiedniej chwili.

SZYKANY

Na wiosnę 1940 r. miejscowi Niemcy znów się uaktywnili i stali się bardziej niebezpieczni. Pewnego dnia mój szkolny kolega Roman poszedł z butami ojca do szewca w Miasteczku. Tam złapali go Niemczaki. Najpierw został przez nich skopany. Potem musiał do ojcowskich butów nakłaść rękami końskich odchodów i nałożyć buty na nogi. Zmusili go do maszerowania środkiem ulicy w jedną i w drugą stronę. Stali na chodniku i ryczeli ze śmiechu, że tak wygląda polski żołnierz.

Wiosną pasłem na łące nasze cztery krowy. Miałem jednak duży problem, o którym nic nie mówiłem w domu, żeby nie obarczać domowników kolejnym kłopotem, bo i tak było ich bez liku. W drodze na łąkę atakował mnie Feliks D. z Miasteczka, który pasł kozy. Znałem go ze szkoły jako Polaka. Przypuszczam, że nawet nie znał języka niemieckiego, a jednak poczuł się Niemcem. Atakował mnie i wyzywał od „polskiej świni”, od „głupiego polskiego harcerza” itp. Straszył mnie, że przyprowadzi Niemców, którzy się ze mną rozprawia. Zastępował mi drogę, wywijał nad głową kijem i kilka razy mnie uderzył. Bałem się mu oddać, ponieważ występował w imieniu Niemców i uderzenie go mogło mnie, czy też kogoś z rodziny drogo kosztować, np. wsadzeniem do obozu. Takie przypadki miały miejsce w Poznaniu, gdzie polscy rodzice za incydenty między dziećmi polskimi i niemieckimi szli do obozu. Za odepchnięcie

Niemca, który bił Polaka, ten ostatni szedł do obozu. Za uderzenie Niemca w swojej obronie karano śmiercią.

Incydenty z Feliksem powtarzały się kilka razy, aż wreszcie nadeszła nieoczekiwana pomoc – gdy Feliks przeklinał mnie i wygrażał kijem, skoczył do niego Bobik. Ze spokojnego pasterskiego psa przeistoczył się w groźne obronne psisko, wyszczerzył zęby. Nigdy nikogo wcześniej nie atakował, nie był groźny dla ludzi, ale zrozumiał, że dzieje mi się krzywda, że jestem zagrożony przez tego człowieka i wystartował do niego w mojej obronie. Nie ugryzł Feliksa, choć niewątpliwie by to uczynił, gdyby nie to, że wystraszony chłopak uskoczył w bok i wpadł do rowu z wodą. Rów w tym miejscu nie był głęboki, było wszystkiego ze czterdzieści centymetrów – wody wraz ze szlamem. Feliks z przerażenia przewrócił się w rowie i zmoczył się od stóp do głowy. Przez cały czas Bobik szczerzył na niego zęby, musiałem go odwoływać. Na drugi dzień wziąłem Bobika na łańcuch. Kiedy przechodziliśmy koło Feliksa, pies skoczył do niego z jeszcze większą zajądlnością i gdyby nie łańcuch, niewątpliwie by go poszarpał. Feliks odskoczył i znów wpadł do rowu tak niefortunnie, że cały się zmoczył. Trzeciego dnia nie było widać ani jego, ani jego kóz. Nie spotkałem go już nigdy w życiu.

Niektórzy pasterze specjalnie doprowadzali do psich walk. Bywało, że psy zaryły się do upadłego, a po walce niektóre z nich chodziły kilka dni na trzech łapach, były pokaleczone w wielu miejscach, miały postrzępione uszy. Czasami pasterz pomagał swojemu psu, tłukąc kijem jego przeciwnika, co oczywiście nie było obojętne jego właścicielowi i w końcu dochodziło do wymiany razów pomiędzy pasterzami. My z Bobikiem żyliśmy na przyjacielskiej stopie, otaczałem go szczególną troską, dzieliłem się z nim chlebem, za co był mi bardzo wdzięczny.

DYSKUSJE

Kłęska militarna poniesiona we wrześniu 1939 r. była powodem niekończących się dyskusji. Dyskutowała cała Polska, dyskutowano w Brzostowie, dyskutowano również u nas w domu. Razem z Ignacem byłem przed wojną na zlocie młodzieżowym w Toruniu, gdzie defilowała piechota, kawaleria, artyleria i lotnictwo. Naliczyliśmy sto dwadzieścia samolotów, które przeleciały jednocześnie. Wydawało nam się, że jest to siła nie do pokonania. W domowych dyskusjach brali udział ojciec, Ignac i ja, Stachu się tymi sprawami

mało interesował. Bywały oczywiście i szersze gremia. Cennymi dyskutantami byli ludzie, którzy brali udział w walkach i udało im się uniknąć niewoli. Mieliśmy takiego znajomego z Miasteczka, który już w trzecim dniu wojny był w domu. Po rozmowie z nim ojciec uznał, że tamten zdezerterował. Ojciec dezercję tego człowieka bardzo potępił i wielokrotnie o niej wspominał.

Nasi dyskutanci klęskę wrześniową tłumaczyli różnymi przyczynami. Jedni twierdzili, że było za mało artylerii, w tym artylerii przeciwpancernej i przeciwlotniczej, inni – że było za mało kawalerii, jeszcze inni – że mieliśmy za mało broni pancernej, maszynowej, a przede wszystkim lotnictwa, którego nie było widać na polu walki. Nie miał kto przepędzić niemieckich samolotów. Każdy z dyskutantów miał rację. Wszystkiego było za mało. Byliśmy po prostu za słabi i nie mieliśmy sojuszników, którzy by nas wsparli militarnie.

Ojciec dyskutował z nami poważnie. Po powrocie z ucieczki całkowicie zmienił się klimat w naszym domu. Ojciec odstąpił od surowego wychowywania na rzecz stosunków partnerskich. Pojawiły się nowe problemy związane z pytaniem – jak żyć, żeby przeżyć.

Niemcy swoją potęgę militarną budowali całe wieki. Militarne przegrali I wojnę światową, ale dysponowali potężnym przemysłem, kadrą naukowo-techniczną i rzeszami pracowników technicznych o różnym stopniu kwalifikacji. Niemcy jeszcze przed I wojną budowali potężne okręty wojenne, łodzie podwodne i wiele innych mniej lub bardziej skomplikowanych maszyn.

Niemiecka kadra oficerska umiała wyciągnąć wnioski zarówno z klęsk, jak i sukcesów podczas prowadzonych wojen. Jej wiedza została wykorzystana przy projektowaniu sprzętu bojowego i taktyki użycia tego sprzętu. A taktyka polegała na współdziałaniu na polu walki różnych rodzajów wojsk – jednocześnie atakowały piechota, broń pancerna i lotnictwo.

Mając wielki przemysł, kadrę naukowo-techniczną i doświadczenia wojenne, Niemcy stworzyli najnowocześniejszą armię świata, uzbrojoną w najnowocześniejszy sprzęt. Były to szybkie wojska nasycone sprzętem technicznym, zadające ciosy tam, gdzie przeciwnik się ich nie spodziewał. Piechota się wysypiała i na linię frontu była podwożona wozami pancernymi. Nasze wojska w nocy się wycofywały, a w dzień – zmęczone – walczyły.

Polska stawiała opór przez miesiąc, zadając wrogowi znaczne straty. Walki trwałyby jeszcze dłużej, gdyby nie haniebny atak Związku

Sowieckiego 17 września. Niemcy niemal bez walki rozpendzili angielski korpus ekspedycyjny we Francji (do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego pozwolili mu się ewakuować przez kanał La Manche do Anglii). Rzucili Francję na kolana, zanim jej wojska zdążyły wyjść z ufortyfikowanej Linii Maginota, która już w 1939 r. była przestarzała (pociśki ciężkiej artylerii łupały jak orzechy stalowe kopuły jej schronów). Istniały również samoloty nurkujące, które bardzo celnie zrzucały bomby. Podobnie było po uderzeniu Niemców na wschodzie. Żołnierze Armii Sowieckiej uciekali tak sprawnie, że Niemcy nie mogli ich dogonić. Z pomocą Sowietom przyszły surowy klimat, wielkie przestrzenie i amerykańskie dostawy.

W wojnie 1939 r. przede wszystkim decydowała technika. Zwyciężył ten, kto miał nowocześniejszy sprzęt, większą jego ilość i umiał go odpowiednio zastosować. Polska takiego sprzętu nie miała i dlatego wojnę przegrała.

W roku 1918 odzyskaliśmy wolność i chwała tym wszystkim ludziom, którzy się do tego przyczynili. Chwała również tym, którzy tę wolność obronili w roku 1920. Polska była jednak państwem słabym i nie miała liczącego się przemysłu. Kiedy inni budowali przemysł, Polska była pod zaborami i walczyła o wolność. Po I wojnie światowej uzyskaliśmy dostęp do morza, ale nie mieliśmy portu przeładunkowego. Gdańsk wprawdzie był dla nas dogodnym portem, ale decydujące słowo mieli w nim Niemcy, którzy dyktowali warunki dla nas nie do przyjęcia. Zbudowano wobec tego port w Gdyni (i również całe miasto).

W tym czasie na świecie panował duży popyt na węgiel kamienny. Mieliśmy go pod dostatkiem i mogliśmy go eksportować. W tym celu wybudowano linię kolejową ze Śląska do Gdyni. Budowali ją Francuzi i w zamian, przez kilka lat, mieli udział w jej eksploatacji. Później zgłaszali dalsze pretensje finansowe i sprawa oparła się o Trybunał Międzynarodowy w Hadze. Francuzi sprawę przegrali, a prowadził ją twórca polskiego przemysłu, Eugeniusz Kwiatkowski⁵.

⁵ Eugeniusz Kwiatkowski, wicepremier do spraw gospodarczych w rządzie Sławoja Składkowskiego, był autorem planów rozwoju Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego. Program gospodarczy rządu (ogłoszony w czerwcu 1936 r.) zakładał rozwój produkcji w kraju w ramach czteroletniego planu inwestycji państwowych. Jego istotą było utworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego, którego ośrodek stanowił „trójkąt bezpieczeństwa” w widłach Wisły i Sanu, w rejonie dużego przeludnienia kraju, a jednocześnie położonym blisko surowców. Realizacja programów rządowych

Polska zdawała sobie sprawę z tego, że na wschodzie i na zachodzie ma potężnych wrogów, i że musi się zbroić. Należało więc zbudować przemysł. Przyjęto taką zasadę, by – w miarę możliwości – jednocześnie się zbroić i budować przemysł. Przystąpiono do budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, zlokalizowanego na południu Polski, z dala od granicy z jednym i z drugim wrogiem.

Wiele emocji budziła ucieczka we wrześniu 1939 r. Na ten temat wiele dyskutowano. Zdania były podzielone. Jedni twierdzili, że ucieczka była potrzebna, inni, że nie, ponieważ przyniosła ludziom cierpienie, upokorzenie, straty materialne, nierzadko chorobę i śmierć. Zwolennicy ucieczki mieli jeden argument, ale za to bardzo mocny. Twierdzili, że wielu ludziom uratowała ona życie. I to była prawda. Ludzie, wracając z ucieczki, dowiadawali się, że Niemcy ich poszukują, a to oznaczało śmierć. Należało niezwłocznie uciekać i ukryć się. W ten sposób ocalał życie Gregulec z Nowego Brzostowa. Ukrywał się całą wojnę. Gregulec był powstańcem ze Śląska Opolskiego. Tam za jego głowę Niemcy wyznaczili sto tysięcy marek, więc uciekł do Polski. Wielu uczestników Powstania Wielkopolskiego nie wracało z ucieczki, bo na miejscu czekała ich niechybna śmierć. Szukali schronienia w głębi Polski.

Głośna była sprawa Józefa Kufla z Nowego Brzostowa, który strzelał z karabinu do wkraczających do Polski żołnierzy niemieckich. Niemcy zeskoczyli z motocykla i otworzyli do niego ogień z karabinu maszynowego. Trafili go w rękę. Bardzo krwawił, ale uciekł z miejsca ostrzału. Szokujące jednak było to, że gdy udał się do Polaka, ten rany mu nie opatrzył. Uczynił to dopiero znajomy Niemiec. Kufel ukrywał się całą wojnę. Jego wyczyn nie miał i nie mógł mieć militarnego znaczenia, ale dla lokalnej społeczności miał znaczenie psychologiczne. Krzepiono się tym, że są ludzie, którzy nie lękają się stawić czoła zniechędzonemu wrogowi. Dla nas, chłopców, było to szczególnie ważne.

stworzyła warunki do przyspieszenia gospodarczego. W okręgu warszawskim rozwinęły się zakłady elektrotechniczne, optyczne i samolotowe. W COP stworzono od podstaw wiele zakładów (m.in. elektrownię w Rożnowie, kombinat metalurgiczny w Stalowej Woli, fabryki zbrojeniowe w Radomiu i Sanoku, zakłady samolotowe w Mielcu i Rzeszowie oraz chemiczne w Dębicy i Niedomicach). Znaczącym osiągnięciem była rozbudowa portu Gdyni, który pod względem wielkości przeładunków w 1938 r. zajmował pierwsze miejsce wśród portów bałtyckich. W grudniu 1938 r. Kwiatkowski wystąpił z nowym projektem piętnastoletniego planu rozwoju gospodarczego Polski.

HISTORIA JÓZEFA NOWAKA

Józef Nowak z Grabionny, odległej nieco ponad dwa kilometry od Brzostowa, był jednym z tych, którzy przed wojną rozbijali Niemcom zebrania w Miasteczku, za co był przez nich szczególnie poszukiwany. Nowak z zawodu był kowalem, miał mocne dłonie. Nie poskapiła mu też Bozia odwagi. Uciekł przed Niemcami na odludzie, do zabudowań Piosika, gdzie w chlewiku, pod klatką na króliki, zrobił sobie legowisko. Do obrony miał wojskowy bagnet. Potem, dzięki leśniczemu „wzbogacił się” o jednolufową strzelbę myśliwską i osiemdziesiąt naboí.

Któregoś dnia w chlewiku, w którym ukrywał się Nowak, pojawił się Niemiec. Chciał kupić świnie i przyszedł ją obejrzeć. Nowak przyglądał mu się przez zwisającą z króliczej klatki słomę. Był zdecydowany zlikwidować Niemca, gdyby został wykryty. W spoconej ręce ścisnął rękojeść bagnetu. Nie doszło do tego, nie został wykryty.

Na wiosnę postanowił opuścić swoje dotychczasowe schronienie. Wykopał w lesie ziemiankę i przeniósł się do niej. Utrzymywał jednak kontakty z ludźmi ze względu na aprowizację. Ziemiankę wykopał na stoku, w gęstwinie drzew i dobrze ją zamaskował, a do klapy wejściowej umocował drzewko. Na zewnątrz miał wyprowadzoną rurę, którą pompował powietrze. Zimą z zagajnika wychodził na umocowanych do stóp specjalnych deskach, które od spodu miały kołki rozstawione na kształt śladów, jakie pozostawia po sobie biegnący po śniegu zając. Kiedy dochodził do uczęszczanej drogi, deski wieszał na drzewie i szedł gdzie zamierzał. Przeciw wężącym psom stosował prosty zabieg. Owijał nogi szmatami, a pod podeszwę wkładał resztki jakiejś ryby, czy też coś innego o mocnym zapachu. Zmieniał to kilka razy i nie było psa, który trafiłby jego śladem.

Z czasem do Nowaka dołączyły jeszcze dwie albo trzy ukrywające się osoby. Żyli z tego, co dostali od ludzi i z tego, co ukradli Niemcom. Ludzie opowiadali sobie o tym, że w lesie jest wielka partyzantka i o tym, że ze strachu przed nią Niemcy nie wchodzą do lasu. Podnosiło to morale polskiego społeczeństwa. Ambicją Niemców było schwytywanie partyzantów – do lasu chodziły uzbrojone wyprawy i to nie małe. Szukali ich bezskutecznie. Nowakowi i jego towarzyszom sprzyjało szczęście.

W czasie jednej z takich niemieckich wypraw, liczącej około tysiąca osób, „partyzanci” znaleźli się w kotle. Niemcy szli

w odległości piętnastu do dwudziestu metrów jeden od drugiego. Był wśród nich Niemiec, którego Nowak przypadkowo znał. „Partyzanci” ukryli się na jego drodze w paprociach. Gdy Niemiec się zbliżył, Nowak powiedział jego nazwisko. Niemiec stanął jak wryty w ziemię, zbladł, karabin wypadł mu z ręki. Nowak przyciszonym głosem nakazał mu, żeby szedł dalej. Niemiec podniósł karabin i posłusznie poszedł. O incydencie nie powiadomił swoich, nie było pościgu. W ten sposób „partyzanci” znaleźli się poza kotłem. Na wypadek dekonspiracji mieli wcześniej wykopane zapasowe ziemianki, do których mogli się przenosić.

Można się zastanawiać, dlaczego Nowak nie zorganizował partyzantki z prawdziwego zdarzenia, tylko ukrywał się jak kret w ziemi. Otóż partyzantka może istnieć, kiedy ma oparcie w społeczeństwie. Takich warunków tu nie było, bo tereny te w czasie wojny były w bardzo dużym stopniu nasycone ludnością niemiecką. Niemców stopniowo jeszcze przybywało, a polskiej ludności ubywało. Polacy byli wysiedlani ze swoich gospodarstw, w których partyzanci mogliby mieć oparcie. Polacy mogli być tylko pracownikami rolnymi i parobkami, co pozwalało mieć nad nimi kontrolę i ograniczać ich działalność.

Nowak ze swoimi towarzyszami ukrywali się po wyzwoleniu jeszcze przez kilka dni, bo nie mieli bieżącej informacji. W końcu wyszli z ukrycia zaczerpnąć powietrza i zaciekawili ich duży ruch na szosie Wyrzysk–Piła oraz rozmowy prowadzone po rosyjsku. W pierwszej chwili myśleli, że to przemieszczają się własowcy. Dostrzegli jednak na czapkach żołnierzy czerwone gwiazdy i wówczas zrozumieli sytuację. Byli już u kresu sił i coraz częściej nachodziły ich myśli samobójcze.

Po wojnie Nowak należał do poakowskiej konspiracji i wpadł w ręce UB. Został osadzony w więzieniu w Wyrzysku. Wkrótce gruchnęła tam wieść, że mają ich wywozić „na białe niedźwiedzie”. Nowak zorganizował zbiorową ucieczkę. Wczesnie rano, jeszcze przed pobudką, unieszkodliwił dozorcę, pootwieriał cele, ale na ucieczkę zdecydował się jeszcze tylko jeden współwięzień. Z okna ubikacji po noszach przeszli na mur. Tam dostrzegli ich wartownicy i zaczęli do nich strzelać. Szczęśliwie udało im się zeskoczyć na drugą stronę muru. Przeszli przez niedużą rzeczkę Łobzonkę i skryli się w okolicznych lasach. Była już jesień. Rano ludzie jechali do pracy przy sianie. Nowak z towarzyszem, by nie budzić podejrzeń,

że uciekli z więzienia, udawali obłąkanych. Robili to tak dobrze, że wywoływali uśmiechy politowania.

OFICERKOWIE

Niemcy w pałacu w Brzostowie zrobili koszary dla „służby pracy”, którą stanowili chłopcy w wieku przedpoborowym. Ich mundury kolorem przypominały polskie przedwojenne mundury żołnierskie. Chodzili, śpiewali, ćwiczyli musztrę (zamiast karabinów używali szpadli). Bardzo młodzi byli również ich przełożeni, mieli po dwadzieścia kilka lat. Ci oficerowie wyróżniali się nie tylko wiekiem.

Zimą brali od chłopów konie i urządzali saniami przejażdżki, na wiosnę natomiast jeździli powózką. Niemcy upodobali sobie nasze konie. Były to półtoraroczne żrebaki, które dla ich rozrywki musiały biegać dosłownie do upadłego. Kiedyś po takiej przejażdżce jeden z koników w stajni upadł, wyciągnął nogi, zaczął przeraźliwie charczeć, stękać. Prawdopodobnie zakończyłby swój żywot. W domu wybuchł lament, zawołaliśmy obu Grabowskich i zaczęto konia ratować, nie pamiętam dokładnie jak. Przede wszystkim rozcierano mu nogi wiechciami słomy. Po tym incydencie ojciec odmówił Niemcom koni. Było to bardzo ryzykowne, ponieważ oficerowie upodobali sobie te właśnie szybkiebiegi. Ich wysłannik pienił się, groził ojcu obozem, przeklinał, wreszcie poszedł do innego gospodarza i już więcej do nas nie przychodził.

Oficerkowie batem zmuszali konie do biegu. Batem też bili tych ludzi, którzy przed nimi nie zdejmowali czapek. Jeżeli ktoś przed batem skutecznie się zasłaniał, zeskakiwali z pojazdu, bili go pięściami i kopali. Ludzie, widząc ich z daleka, zawczasu zdejmowali nakrycia głowy i szli z gołymi głowami. To też im się nie podobało, bo chodziło o to, żeby „podczłowiek” zdjął czapkę bezpośrednio przed nimi. Kazali zatem czapkę nałożyć, potem dopiero zdjąć, kłaniając się przy tym.

Wracając którejś niedzieli z kościoła, byłem świadkiem, jak Niemcy bili jakiegoś mężczyznę. Zaczęli go bić batem, ale uznali to za mało skuteczne, ponieważ człowiek ten dobrze zasłaniał się przed razami. Jeden z nich zeskoczył z sań i zaczął kopać Polaka. Zepchnął go przy tym z dwumetrowej skarpy do rowu z wodą. Woda w rowie była zamrożona, ale lód kruchy, ponieważ pomiędzy wodą i lodem powstała wolna przestrzeń (co dzieje się wówczas, gdy płynąca woda pod lodem ma trochę podwyższoną

temperaturę, bądź gdy nieco opadnie jej poziom). Słaby lód zaczął się zarywać pod nogami nieszczęśnika, który ugrzązł powyżej kolan w szlamie i zakisłej wodzie. Odkrył przy tym całkowicie twarz, co wykorzystał napastnik i bezlitośnie ciął go po twarzy batem. Wreszcie oprawcy usatysfakcjonowani odjechali. Pomogłem pobitemu wyjść z rowu. Wyglądał okropnie. Był utyłany w śmierdzącym szlamie. Po pociętej twarzy ciekła krew zmieszana z czarnym szlamem. Najgorsze było jednak to, że nie widział na jedno oko. Wycierałem mu twarz moją małą chusteczką, co niewiele pomagało, bo ciągle napływała świeża krew. Wreszcie nadeszli jacyś ludzie, w tym znajoma pobitego, którzy się nim zajęli.

Co niedziela w kościele bezskutecznie wypatrywałem tego człowieka. Którejś niedzieli wydało mi się, że ktoś na mnie patrzy. Rozejrzałem się, nie spotkałem jednak niczyjego wzroku. Spojrzałem nieco w górę i ujrzałem na chorałwi kościelnej umęczoną i ukoronowaną koroną cierniową głowę Chrystusa. Po twarzy Chrystusa spływała krew.

MAŁE POCIESZENIA

Życie stało się beznadziejne. Ludzie z niepokojem oczekiwali następnego dnia. A kolejne dni przyniosły wiadomości o ludziach ginących w obozach, więzieniach, o nowych aresztowaniach, ciężkich pobicich ze skutkiem śmiertelnym, o wysiedleniach.

Byliśmy jednak przekonani, że Niemcy wojnę przegrają. Ludzie opowiadali sobie różne kawały na ten temat, krążyły rozmaite przepowiednie. Najpopularniejsze były przepowiednie Sybilli, pisane na tyle niezrozumiałym językiem, że można je było interpretować na wiele sposobów, więc ludzie wybierali te, które im odpowiadały. Przypuszczam, że byli również wieszczci, którzy podszywali się pod Sybillę, ale pisali jaśniej i bardziej aktualnie. Z tych przepowiedni wynikało, że Niemcy wojnę przegrają i to bardzo szybko, że powstanie Polska od morza do morza. Krążyły też różne satyryczne wierszyki o Niemcach i Hitlerze, na znane melodie śpiewano satyryczne piosenki. Ta twórczość często była bardzo prymitywna i opowiadała o nierealnych rzeczach, ale jej celem było to, by – chociaż na chwilę, na kilka godzin – przynieść ulgę umęczonym ludziom.

Jesienią niemiecka artyleria urządziła ostre strzelanie. Strzelali gdzieś z lasów za Nowym Brzostowem na łąki nadnoteckie. Pociski przelatywały niedaleko nas, słyszać było ich przelot, huk dział podczas

wystrzałów i wybuchy na łąkach. Palba była gęsta i głośna. Było to łatwe strzelanie, ponieważ punkty obserwacyjne prowadzących ogień znajdowały się na wysokich wzniesieniach. Nie chodzi tu jednak o ocenę niemieckiego strzelania, a o to, jak wykorzystali to Polacy.

Poszła fama, że to słychać działa wojsk francuskich i angielskich, które wylądowały w Gdyni. Nie wszyscy w to uwierzyli. Byli jednak tacy, którzy przez kilka godzin cieszyli się tą wiadomością, inni nawet przez kilka dni, aż nadeszło kolejne gorzkie rozczarowanie. W czasie tej strzelaniny zawołał mnie Józef Kolański, kuzyn matki, i wyjawiał, że to on powiedział „tym babom” o lądowaniu w Gdyni naszych sojuszników: „– Niech się cieszą”. Kolański wiedział, że nasi sojusznicy nigdy nie mieli chęci bić się za Polskę, ale gdyby się tu znaleźli, wojna wyglądałaby inaczej.

NIEZNAJOMY

Józef Kolański pracował zimą przy wyrębie lasu w Starym Brzostowie. Pewnego dnia przyłączył się do tej pracy zupełnie obcy, nikomu nie znany człowiek. Nikt go nie pytał, skąd przybył i jak sobie załatwił pracę. Był to młody, wysoki, wysportowany mężczyzna o manierach zawodowego wojskowego – wskazywała na to jego sylwetka i bardzo sprężyste ruchy.

Wszystko dobrze się układało, ale Kolańskiemu i nieznajomemu zachciało się piwa. Poszli więc do bufetu stacji kolejowej w Miasteczku, gdzie raczyli się tym trunkiem. Obsługiwała ich Niemka, żona naczelnika stacji, która zakochała się w przybyszu od pierwszego wejrzenia. Postanowiła go zdobyć. Dwa razy wybrała się do lasu w poszukiwaniu obiektu swojego pożądanego. Nie znalazła go, bo się ukrył, wzbudziła jego czujność. Był utalentowanym rysownikiem. Narysował więc Niemkę z jej puklami blond włosów, wywiesił podobiznę w ubikacji na stacji kolejowej w Miasteczku i pomalował ją tą „szminką”, której w tym miejscu było pod dostatkiem. Sam przeszedł przez tory kolejowe do części stacji towarowej, gdzie pracowali polscy robotnicy. Porozmawiał z nimi, a gdy nadjechał pociąg osobowy z Piły w kierunku Bydgoszczy, wszedł do niego z drugiej strony i odjechał w nieznaną.

Niemcy odkryli podobiznę damy i wpadli we wściekłość. Zaczęli szukać sprawcy po całej okolicy. Najpierw poszli do lasu, gdzie pracował Kolański. Wzywano go i przesłuchiowano w tej sprawie na posterunku policji. Niemcy poszukiwali zbiega jeszcze kilka dni.

Nie wpadli jednak na to, że mógł odjechać pociągiem. Przez kilka nocy Kolański nie puścił pary z ust, chociaż był wtajemniczony w całą sprawę.

Tajemniczy człowiek był zbiegiem z oficerskiego obozu jenieckiego. Miał nie tylko talent rysowniczy, umiał także podrabiać dokumenty i pieczętki. Przed ucieczką spreparował sobie dokumenty i zrobił plan. Znał dobrze język niemiecki w mowie i w piśmie. Poznał zwyczaje Polaków i Niemców, jakie panowały w tych okolicach. Ucieczkę podzielił na etapy, żeby łatwiej mu było się maskować. Jednym z etapów ucieczki było Brzostowo.

Ta historia podbudowała społeczność polską. Ludzie się cieszyli, że są tacy Polacy, którzy potrafią zakpić z Niemców. Spytałem Kolańskiego, czy nie lepiej byłoby siedzieć po cichu i przetrwać wojnę, ale on powiedział, że wcześniej czy później Niemcy wpadliby na ślad zbiega, ponieważ wyróżniał się spośród innych ludzi. Dodał, że ani on, ani zbiegły oficer „nie trzęsą się” przed Niemcami: „– Strzelaliśmy w ich łby i to z dobrym skutkiem”. Kolański opowiedział mi, jak zostali rozbici przez Niemców w Borach Tucholskich w 1939 r. Cofali się. Na leśnej przesiece zostało zabitych kilku żołnierzy polskich. Kolański nakazał ludziom, by się zatrzymali. Wzdłuż przesieki strzelał niemiecki ciężki karabin maszynowy. Kolański podczołgał się na skraj przesieki i odkrył niemiecki karabin maszynowy z dobrze zamaskowaną obsługą. Niemców zdradzały nieco jaśniejsze plamy ich twarzy widoczne w czasie strzelania. Po każdej serii kładli głowy na ziemię i wówczas byli niewidoczni. Po chwili podnosili je i znowu obserwowali teren. Oddał strzał do jednej jaśniejszej plamy, nie ukazała się więcej. Podobnie załatwił drugiego. Po piątym strzale musiał załadować karabin i wtedy trzeci Niemiec poderwał się i uciekł. Kolański popełnił niewybaczalny błąd i nie doładował karabinu wcześniej. Był strzelcem wyborowym w strzelaniu do ruchomych celów i Niemiec by mu nie uciekł. (Kolański po wojnie mieszkał w Pile).

ANGIELSCY JEŃCY

W 1940 r. do Miasteczka Niemcy przywieźli angielskich jeńców zagarniętych we Francji pod Dunkierką. Anglicy mieszkali w obozie utworzonym na terenie fabryki płatków ziemniaczanych w Miasteczku. Ich pojawienie się wywołało szok. Byli tacy, którzy twierdzili, że to są Niemcy przebrani w mundury angielskie, a zrobiono

to dla propagandy. Szybko jednak nadzieja prysła i wszyscy już wiedzieli, że są to Anglicy. Wielki smutek zapanował w społeczeństwie polskim, kiedy okazało się, że Niemcy naprawdę rzucili Francję na kolana, zajęli jej część i rozbili angielski korpus ekspedycyjny we Francji, a jego resztkom łaskawie pozwolili na ewakuację do Anglii przez kanał La Manche. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się również, że Francuzom nie chciało się walczyć. Część z nich kolaborowała z Niemcami przez całą wojnę, wydając na śmierć Żydów.

Najgorsze było jednak to, że niektórzy twierdzili, jakoby Anglia została zdobyta. To odbierało ludziom nadzieję na pokonanie Niemców. Na szczęście ta sprawa szybko się wyjaśniła. Z Anglikami można się było kontaktować, ponieważ kopali rowy na łąkach i również między budynkami. Przeszkodą w porozumieniu się była bariera językowa. Gdy jechaliśmy wozem na łąki wymienialiśmy spojrzenia, gesty, rzucaliśmy im na drogę chleb owinięty w papier, oni go potem podnosili.

Któregoś razu Ignac kupił ustne organki i wygrywał na nich w czasie jazdy. Po drugiej stronie przydrożnego rowu stał bardzo młody i bardzo smutny Anglik. Ignac gestem zapytał, czy chce te organki. Odpowiedź była twierdząca. Szybko włożył je do pudełka i rzucił na drogę. Anglik lekko się uśmiechnął i jak tylko przejechaliśmy, podniósł pudełko. Przy tym rzucaniu na drogę trzeba było zachować ostrożność. Któregoś razu, gdy ojciec jechał drogą kłusem, blisko nas padły dwa strzały karabinowe. Ojciec zatrzymał konie. Przed nami stał wartownik z karabinem w rękę, głośno szwargotał i wygrażał. Okazało się, że Niemiec zauważył, że z wozu jadącego przed nami rzucono chleb i zaprotestował, strzelając w powietrze (dobrze, że w powietrze, mógł przecież strzelać do ludzi na wozie). Protest Niemca zignorowaliśmy i ze trzysta metrów dalej rzuciliśmy nasz chleb innej grupie jeńców.

TORF

Na łąkę w tym roku jeździliśmy często. Związane to było z pracami przy sianie oraz kopaniem i suszeniem torfu, który służy do palenia w piecach. Pod względem kalorycznym torf jest na trzecim miejscu (za węglem kamiennym i brunatnym) ze znanych kopalin. Torf powstaje w bagnach – roślinność na nich rosnąca obumiera i opada na dno bagna. Proces ten powtarza się co roku i trwa przez wieki. Co roku warstwa torfu staje się grubsza.

Na naszych łąkach torf zalegał warstwą grubości od jednego do półtora metra i ze względów ekonomicznych kopało się go ręcznie. Na innych łąkach były grubsze pokłady. Na niektórych obszarach pod torfem zalegało wapno, które było również wydobywane i rozsiewane na polach. Torf na naszych łąkach był mocno przesiąknięty wodą i można go było z łatwością kroić. Po wysuszeniu torf tworzy porowate bryły. Im twardszy jest torf po wysuszeniu, tym więcej kalorii zawiera.

Ręczne kopanie torfu jest pracą bardzo ciężką. Na ogół robiły to zespoły zawodowych torfiarzy. Płacono im od tysiąca wykopanych cegiełek o wymiarach 9 na 9 na 20 cm. Jeżeli łąka nie była zbyt mokra, torfiarze potrafili wykopać 20 do 30 tys. cegiełek dziennie. Zespół kopaczy tworzyły cztery osoby. Jedna osoba kroili z góry torf w słupki. Do krojenia używano noża przyspawanego do długiego stalowego płaskownika. W dole druga osoba odkrawała z dwóch słupków jednocześnie dwie cegiełki i wyrzucała je do góry, gdzie były łapane w locie przez odwoźącego i kładzione na taczce bądź, wózku, który znajdował się na szynach. Odwoźących było dwóch. Do wyrzucania torfu z dołu służył drewniany szpadek ze stalowym ostrzem.

Tego roku, chcąc obniżyć koszty wydobycia torfu, postanowiliśmy kopać go własnymi siłami, wynajawszy tylko jednego człowieka. Tak się jednak ułożyło, że zachorował ojciec, nie przyszedł również wynajęty człowiek, ponieważ jemu z kolei zachorowała żona. Byliśmy tak rozochoceni do tej roboty, że pojechaliśmy we trójkę – Stachu, Ignac i ja. Stachu kroił torf z góry w słupki, Ignac odwoził urobek taczka, a ja wyrzucałem z dołu. Nikt mnie do tego nie zmuszał, ale taki nastąpił podział pracy. Praca na tym stanowisku imponowała mi. Pierwszego dnia ukopaliśmy cztery tysiące cegiełek. Niewiele. Usprawiedliwialiśmy się tym, że dużo czasu zajęło nam wkopywanie i że nasze cegiełki były przeważnie większe od cegiełek zawodowych kopaczy. Prawda była jednak taka, że co innego jest przyglądać się jak kopia inni i jak im to składnie idzie, a co innego kopać samego i uczyć się przy tym. Ja czułem się już mocno spracowany.

Następnego dnia ukopaliśmy dziewięć tysięcy cegiełek. Swoją pracę zacząłem od wylewania wiaderkiem wody z dołu wykopanego poprzedniego dnia. Przez noc naszło jej dużo – nieco ponad trzysta metrów od naszego stanowiska pracy płynęła Noteć, a rok był mokry i łąka nasiąkała. Nie miałem chwili odpoczynku. Kiedy Ignac odwoził urobek i ustawiał standardowe przyrządy po dwadzieś-

cia cegiełek w każdej i pięćdziesiąt pryzm w jednym rzędzie, ja musiałem wylewać wodę. Dzień był pogodny i słońce piekło z góry i z dołu (promieniami odbitymi od wody, w której stałem). W dole stało nieruchome powietrze, co wzmagало żar. Najbardziej paliły mnie łydki – przy wylewaniu wody zmieniał się jej poziom, więc były ciągle mokre i suszyło je słońce. Moją ambicją było przetrwać do wieczora, co mi się udało. Byłem jednak tak zmęczony, że o własnych siłach nie mogłem wyjść z dołu. Podczas jazdy do domu leżałem w skrzyni wozu na skoszonej trawie, w którą z boku wbita była kosa. Paliły mnie nogi i opalone plecy. Wyciągnąłem nieco kosę i oparłem się o najszersze miejsce brzeszczota, co przynosiło ulgę moim spieczonym plecom, bo kosa była zimna. Nawet nie zauważyłem, że pokaleczyłem sobie nią skórę – byłem półprzytomny i wydawało mi się że świat wiruje wokół mnie.

Na podwórzu zszedłem z wozu i jakoś doczłapałem do mieszkania. Kiedy matka zobaczyła krew na moich plecach, podniosła larum. Byłem rzeczywiście w opłakanym stanie i miałem podwyższoną temperaturę. Nikt nie był temu winien – to moją ambicją było wyrzucanie torfu z dołu (co było zbyt ciężką pracą dla trzynastolatka), a oparcie się o ostrą kosę było szczenięcą głupotą.

Następnego dnia dołączył do nas ojciec, który już wyzdrowiał, i wynajęty robotnik. Praca szła dobrze – Stachu wyrzucał torf z dołu, Ignac z robotnikiem odwozili taczkami urobek, ojciec kroił torf w słupki z góry. Pomagałem ojcu zrzucać z pokładu torfu próchnicę. Matka nalegała, żebym został w domu, ale ja się uparłem i pojechałem na łąkę, chciałem zachować twarz, żeby się nie naśmiewali ze mnie, że spuchłem.

WYSIEDLANIE

Niemcy zlikwidowali koszary w pałacu brzostowskim, a na ich miejsce powstał obóz przejściowy dla przesiedleńców z Besarabii. Niemcy z Besarabii przyjeżdżali całymi rodzinami i byli osiedlani na polskich gospodarstwach. Osiedlani przybysze wchodziłi w posiadanie całego polskiego dobytku, ponieważ Polacy musieli opuścić swoje domostwa w ciągu kilkunastu minut jedynie z tym, co mogli wziąć w ręce czy na plecy. Wysiedlani w pośpiechu pakowali swoje rzeczy do worków. Wysiedlanie odbywało się nocą – przychodzili Niemcy, łomotali do drzwi albo okien, kazali się zabierać i wynosić. Zaspani ludzie nie zawsze zabierali ze sobą to, co było dla nich

najważniejsze. Rano Niemcy przywozili swoich Besarabów i osadzali ich na określonym gospodarstwie.

Podobnie postępowali Sowieci na wschodzie, wywożąc Polaków na Syberię z ziem zagrabionych Polsce w 1939 r. Można się zastanawiać, kto był uczniem, a kto profesorem. Wydaje się, że profesorami byli ci ze wschodu, ponieważ mieli wieloletnie tradycje zsyłek Polaków na Syberię. Nie wykluczone jednak, że Niemcy jako twórcy wszelkiego zła i naród pomysłowy, niezależnie wpadli na ten szatański pomysł.

Ludzie w Brzostowie i okolicy żyli w ciągłym napięciu – kiedy przychodził transport Besarabów – czekali na swoje wysiedlenie. Niemcom było to na rękę. „Podludzie” powinni się bać, powinni wiedzieć, kto tu rządzi, kto jest panem. Tymczasem kolejne transporty Besarabów były rozwożone do gospodarstw, z których nocami wywożono Polaków.

Ludzie, którzy spodziewali się wyrzucenia, przenosili z domów wartościowe rzeczy do krewnych i znajomych, którzy nie byli zagrożeni wywózką. Zakopywano również różne rzeczy w ziemi. Jeżeli wysiedlenie nie nastąpiło – odkopywali te, które były potrzebne do codziennego użytku. Gdy znów pojawiały się pogłoski o wywóźce, ponownie rzeczy zakopywano. W rezultacie ludzie często gubili się w tym, co i gdzie zakopali, wielu rzeczy nie mogli odnaleźć. Należy przypuszczać, że niektóre przedmioty do dzisiaj czekają na odkopanie. Byli też tacy, którzy rozsiewali nieprawdziwe wieści o wysiedleniach, by przy tej okazji coś skorzystać. Na szczęście było ich niewiele i szybko poznano się na ich perfidnych kłamstwach.

Mieliśmy na Arentowie dwie zaprzyjaźnione rodziny, którym nie groziło usunięcie z ich posiadłości. Wywieźliśmy do nich dwa rowery, które nie były objęte spisem i wiele innych rzeczy, które po wysiedleniu nas, na tzw. wygnaniu, bardzo nam się przydały. Ktorejs niedzieli zaroilo się we wsi od ludzi w czarnych mundurach. Byli to esesmani, na każde gospodarstwo przypadało ich dwóch. Chodzili, przeglądali kąty i właściwie nie było wiadomo, czego szukali. Jasna sytuacja była tylko u nas. Przyszli po ojca i zabrali go do pomieszczenia sklepowego na końcu wsi, niedaleko kościoła, gdzie był także wyszynk dla Niemców. Tam mieli swoją bazę wypadową. Herberht Vorkeper, ten sam, który zamordował nauczyciela Urbańskiego i naczelnika komory celnej Pankafła w białosliwskim lesie, bez żadnego wstępu zaczął ojca bić. Wybił mu kilka zębów, a gdy

zaboląa go ręką, wziął kij. Dalsze bicie przerwał policjant, wahmajester, mówiąc, że on wyjaśni całą sprawę.

W trakcie bicia ojciec dowiedział się, że ma się przyznać do tego, iż powywoził wszystko z gospodarstwa. Na drugi dzień przyszło dwóch pomocników policjanta i przejrżeli kąty, ale przede wszystkim zainteresowali się, ile jest zboża. Było go sporo, już wymłóconego, jak również do młócenia. To uratowało ojca przed dalszymi represjami. Zabrano go i bito na skutek donosu. Denuncjator mieszkał w gorzelnii odległej o niecałe sto metrów od głównej drogi i z wysokości drugiego piętra śledził ruchy ojca. Za dzień dogodny na złożenie donosu wybrał ten, gdy ojciec jeździł wozem do Arentowa, aby wywieźć do zaprzyjaźnionych ludzi to i owo. Człowiek ten dążył do zguby ojca za to, że przeszkodził mu w złodziejstwie. Ojciec często zachodził do zabudowań Maćkowiaków, kiedy ci jeszcze nie wrócili z ucieczki. Pewnego dnia zauważył tam powiązane i gotowe do wyniesienia toboły z pościelą i bielizną, a przy nich pana z gorzelnii. Pościel i bielizna pozostała w ten sposób na miejscu, ale w złodzieju pozostała chęć zemsty.

Niemcy wieczorami podsluchiwali pod oknami Polaków. U nas było to łatwe, ponieważ mieliśmy pojedyncze okna i był do nich dostęp z ulicy. Na zimę zakładaliśmy dodatkowe okna i wówczas podsluch był utrudniony.

Często wieczorami ojciec z matką śpiewali pieśni religijne. My, młodzież, bezpośrednio w tym śpiewie nie uczestniczyliśmy. Ja się po cichu buntowałem. Uważałem, że Pan Bóg i tak nas nie wysłucha. Gdyby chciał, kiwnąłby małym palcem, zniszczył potęgę niemiecką i całe zło, które Niemcy czynią. Było w tym błagalnym śpiewie jednak coś bardzo przejmującego i wzruszającego, więc podświadomie uczestniczyła w nim cała rodzina. Do dzisiaj pamiętam różne pieśni, a szczególnie w pamięci utkwił mi fragment jednej z nich – „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud. Słuchaj, słuchaj, uczyni z nami cud”. Cudu na miarę mojej wyobraźni nie było, ale chyba te błagalne pieśni rodziców zostały wysłuchane, ponieważ cała rodzina przeżyła wojnę bez większych uszczerbków na zdrowiu.

Pewnego razu przyszli do nas Zawistowski i Czajka, i zostali jeszcze po godzinie policyjnej. Przy wyjściu handryczyli się o czapki, które były bardzo podobne. W czasie ich głośnej sprzeczki zapukali do okna Niemcy i rozkazali otworzyć drzwi. Nasi goście uciekli – jeden do stodoły, drugi do piwnicy pod domem. Niemcy zapytali,

kto był w mieszkaniu. Ojciec odparł, że nie było nikogo, a głośną rozmowę prowadził przy grze w karty z synem Stachem. Ojciec na kartach się nie znał, ale leżały one na stole. Niemcy nie uwierzyli i kazali się oprowadzić po domu, łącznie ze strychem. Do piwnicy i stodoły nie zaglądali. Od tego czasu rodzice śpiewali i prowadzili poważniejsze rozmowy w pokojach od podwórza, gdzie były spuszczone psy i skąd do okien nie było dostępu.

WYGNAŃCY

Wysiedlenie z własnej posiadłości jest bardzo dotkliwą formą represji. Traci się wszelkie dobra materialne i człowiek w ciągu kilkunastu minut staje wobec całkowicie nowej rzeczywistości i nowych problemów. Zerwane zostają wszelkie dotychczasowe więzi z ludźmi, wśród których łatwiej byłoby startować od zera. Jak dalej żyć? Losy człowieka wyrwanego z danego środowiska zależą od nowego otoczenia, w którym się znajdzie, od własnej inicjatywy i wielu innych okoliczności. Nie zawsze nowe środowisko jest mu przyjazne. Często też napotyka problemy, o których pracując na swoim, nie miał pojęcia.

Wreszcie dla naszej rodziny nadszedł „dzień zero”. Zostaliśmy uprzedzeni przez zaufanych ludzi, że tej nocy zostaniemy wysiedleni. My, młodzież, położyliśmy się spać normalnie, a ojciec, matka i babka położyli się na łóżkach częściowo ubrani. Niemcy przyszli po dwunastej w nocy i zaczęli walić do drzwi. Otworzył ojciec. Psy słabo czekały, ponieważ jeden był zamknięty w oborze, a drugi uwiązany na łańcuchu przy budzie. Niemców było dwóch. Policjant i miejscowy Niemiec w mundurze SS, który mówił dobrze po polsku. Ojciec znał esesmana. Policjant zapytał, czy ojciec wiedział, że oni przyjdą, ponieważ jest częściowo ubrany. Ojciec odparł że nie, ale źle się poczuł i razem z żoną wstawał po lekarstwo.

Niemcy na spakowanie się wyznaczili pół godziny. Ojciec, udając całkowicie zaskoczonego, poprosił o przedłużenie tego czasu, ponieważ są dzieci i spakowanie potrwa dłużej. W rzeczywistości wyszliśmy z domu po godzinie, ponieważ Niemcom nie zgadzało się coś w dokumentach i chcieli to wyjaśnić.

Niemcy obudzili kogoś z sąsiadów, kto odwiózł nas naszymi końmi i wozem do punktu zbornego w Grabównie, trzy kilometry od Starego Brzostowa. Tam okazało się, że wysiedlonych jest sześć rodzin – Kozika, Winieckiego i nasza ze Starego Brzostowa oraz Kufla, Lepki i Pękały z Nowego Brzostowa. W punkcie zbornym spot-

kali się wszyscy kamraci, którzy nas wysiedlali – ci z policji i ci z SS. Promienieli ze szczęścia jak gospodarze na dożynkach po udanych żniwach i dobrych zbiorach. Zamknęli nas w autobusach i poszli na wódkę do restauracji Wehnickiego, prowadzonej teraz przez jakiegoś Niemca. W autobusie, w którym nie dało się otworzyć okien, zabrakło w końcu tlenu i ludzie zaczęli mdleć. Ktoś zaproponował wybić szyby, ale nie było odważnego, który by to zrobił – mógł przecież wydać na siebie wyrok śmierci albo skazać się na pobyt w obozie zagłady. Przy tym mogli go skatować. Niemcy wrócili podpici i bardzo weseli. Kiedy autobusy ruszyły, nastąpiła wymiana powietrza i ludziom poprawiło się samopoczucie.

W czasie naszego pakowania się przyszedł do mieszkania Bobik, wyczuł, że dzieje się coś złego. Już nas nie opuszczał i biegł za wozem aż do Grabówna. Leżał przy autobusie w którym się znajdowaliśmy. Gdy autobus ruszył, pies ruszył za nami. Początkowo biegł obok autobusu poboczem drogi, a kiedy już nie mógł nadążyć, biegł za autobusem. Widziałem go w świetle reflektorów autobusu jadącego za nami. Nie mógł długo biec z taką prędkością, autobus na niego najeżdżał, więc uciekł na pobocze i zniknął mi z pola widzenia. Gdy tak żegnałem Bobika, z oczu obficie ciekły mi łzy. Ocierałem je dyskretnie, ale matka to zauważyła i pocieszała: „– Wojna się skończy, Niemcy przegrają, a my wrócimy do Brzostowa i znów będę się cieszył Bobikiem”.

Słowa matki sprawdziły się częściowo. Wojna się skończyła, Niemcy ją przegrali. Do Brzostowa wróciliśmy, ale wiernego Bobika już nie było. Odprowadził nas i po powrocie z Grabówna do domu, rzucił się na esesmana i ugryzł w nogę. Niemiec go zastrzelił.

Niemcy rabowali nasze gospodarstwo do rana. Najpierw przeważyli zboże i nadwyżki nieobjęte spisem zabrali. To samo uczynili z inwentarzem żywym. Przeliczyli nawet kury. Pozabierali narzędzia, starą uprząż i wiele innych rzeczy, które znajdują się w dobrze prowadzonym gospodarstwie.

OBÓZ

Nad ranem zostaliśmy przywiezieni do obozu w Potulicach koło Nakła nad Notecią⁶. Przywieziono też innych ludzi, ale już nie pamiętam

⁶ Obóz w Potulicach, woj. bydgoskie – obóz przejściowy dla wysiedlonych (*Sammerlager*) założony 1 lutego 1941 r. Od jesieni 1941 r. pełnił też funkcję „wychowawczego” obozu pracy (*Arbeitserziehungslager*). Zlikwidowany 20 stycznia 1945 r. Przebywali

skąd. Obóz nie był jeszcze zbudowany i urządzony. Można powiedzieć, że był w stadium początkowym. Był już jednak ogrodzony płotem z drutu kolczastego i działała administracja. Więźniów przywiezionych przed nami porozmieszczano w budynkach przypałacowych. Dla nas przygotowano salę w samym pałacu – jej podłoga była zasłana świeżą słomą, co było wielkim plusem, ponieważ nie było w niej robactwa. Wolny od słomy był tylko środek sali.

Niemcy, gdy nas przywieźli, jeszcze na placu podzielili ludzi na tych, którzy pozostają w obozie i na tych, którzy pojedą dalej do pracy w Niemczech. Ja, jako niepełny czternastolatek i o rok młodsza siostra pozostaliśmy z rodzicami i babką na miejscu, a Stachu i Ignac zostali przydzieleni do grupy ludzi wysyłanych do pracy. Podziału dokonywano sprawnie, wyjeżdżający stali już w oddzielnej grupie i nie wolno było kontaktować się z nimi. Niebawem podjechały samochody ciężarowe i załadowano do nich ludzi wraz z ich skromnymi bagażami. Rozległ się wielki płacz. Żegnali się ludzie, z których wielu rozstawało się z rodziną po raz pierwszy w życiu. Nie było wiadomo, dokąd jadą i co ich czeka. Była to dalsza część dramatu, który zaczął się kilka godzin wcześniej, kiedy to zagrabiono tym ludziom dorobek życia. Niemcy tryumfowali – patrzyli na nas z piedestału wyższej rasy. Zdawali się mówić – taki wasz los, przecież jesteście tylko Polakami.

Zostaliśmy ulokowani we wspólnej sali wystłanej słomą. Jedna rodzina od drugiej była oddzielona tobołami. Wezwano nas na ogólny spis personalny. W tym czasie esesmani przeprowadzili rewizję naszego dobytku, zabierali, co chcieli. Ponieważ w naszym bagażu znaleźli listy pisane z Berlina po niemiecku, wezwali ojca i indagowali o rodzinę w Niemczech. Listy pisał kuzyn matki, który od dziecka mieszkał w Berlinie. Niemcy zaproponowali ojcu podpisanie folkslisty⁷. Odmówił, ale z ciekawości zapytał, czy jeśli się zgodzi,

w nim wysiedleni z Pomorza Polacy, głównie ludność wiejska. Przez cały okres istnienia obozu przeszło przez niego 3039 osób. Obóz potulicki, mający charakter obozu pracy, był początkowo dysponentem siły roboczej dla zakładów przemysłowych i rolnictwa w Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie (zob. *Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939–1945*, Warszawa 1979, s. 398–399).

⁷ Instrumentem pomocnym w umacnianiu żywiołu niemieckiego na ziemiach polskich była niemiecka lista narodowa (*Deutsche Volksliste*). Na tzw. ziemiach wcielonych do Rzeszy wyodrębniono cztery grupy byłych obywateli polskich, których uznano w pewnym stopniu za Niemców. Do grupy pierwszej i drugiej zaliczono i wpisano prawie milion polskich obywateli, którzy przed wojną działali na rzecz Niemiec lub przyznawali się do pochodzenia niemieckiego – otrzymali oby-

to zwróć mu gospodarstwo: „– Nie, ale dostanie lepsze. – Czy po wysiedlonym Polaku? – Tak”. W sprawie folkslisty ojciec był wzywany jeszcze raz. Tym razem straszili go, że zostanie wysłany z rodziną do obozu zagłady, gdzie szanse na przeżycie są znikome, szczególnie dla dzieci. Rozmowy miały również charakter perswazyjny. Ojciec za każdym razem odmawiał, mówiąc, że on i cała rodzina liczą się z najgorszym.

Niemcy nie byli przygotowani na przyjęcie takiej liczby ludzi i nie bardzo wiedzieli, co z nimi robić. Na coś czekali. Któregoś dnia znajomy, który palił papierosy, poprosił matkę o zapalki. Zanim mu je, ponieważ w pomieszczeniu nie można było palić. Zapalki Niemcy pozabierali w czasie rewizji, ale widocznie tych nie zauważyli. Kiedy oddawałem je matce, zauważył to esesman i przywołał mnie do siebie. Musiałem zrobić porządek w jego kwaterze. Na pożegnanie przyłożył mi trzy razy bykowcem, żebym zapamiętał, że w obozie nie można mieć zapalek. Innym razem ten sam esesman złapał mnie na załatwianiu się w esesmańskiej ubikacji. Dostałem za to kilka kopniaków.

Z załatwieniem się w obozie miałem duże trudności. Szalet męski i kobiecy miał wspólny drag. Był odgradzony jeden od drugiego ścianą z desek, pomiędzy tymi deskami po ich wyschnięciu były szerokie szpary. To jednak „polskim świniom” nie powinno przeszkadzać w załatwianiu się. A ja w obecności innych nie mogłem się załatwić. Chodziłem do ubikacji przed snem albo w nocy. Esesman uznał, że jestem tam zbyt długo, kazał mi wyjść, a kiedy tego nie uczyniłem – wszedł, ściągnął mnie z drąga, uderzył czymś twardym w głowę, prawdopodobnie pistoletem, a kiedy upadłem,

watelstwo III Rzeszy. Do grupy trzeciej i czwartej DVL zaliczono osoby uznane za Niemców spolszczonych lub całkowicie spolonizowanych. Do grup tych zaliczono 1,9 miliona ludzi, w tym masowo Ślązaków, Kaszubów, osoby mające niemieckich przodków. Za pomocą DVL na terenach wcielonych do Rzeszy zmieniono „statystyczną” skład narodowościowy niektórych prowincji, zwłaszcza na Pomorzu (44 proc. wpisanych do III i IV grupy DVL) czy na Śląsku (do III i IV grupy DVL zaliczono 38 proc. ludności). Wpisywanie na dalsze kategorie DVL nie było dobrowolne, towarzyszył temu nacisk administracyjny i zagrożenie rozmaitymi represjami, w tym konfiskatą mienia. Wejście do III i IV grupy nie wiązało się z przyznaniem pełni praw obywatelskich, natomiast pociągało za sobą obowiązki służby wojskowej. Namiestnik Kraju Warty Arthur Greiser sprzeciwiał się masowemu wpisywaniu na DVL (uważając to za „brukanie” niemieckiej krwi), zatem osoby wpisane na DVL stanowiły jedynie 2 proc. ludności.

skopał mnie. Po powrocie matka zorientowała się, co mnie spotkało. Przytuliła mnie, popłakała się przy tym i było mi lżej. Następne dwa czy też trzy dni leżałem.

Któregoś dnia Niemcy urządzili sobie doskonałą (według nich) zabawę. Zaprzęgli do wozu, na którym stała beczka na fekalia, przedwojennych urzędników z Wyrzyska, miasta powiatowego, z jego starostą na czele. Mieli opróżnić szalet obozowy. Szalet był kilka metrów wyżej, a fekalia spuszczało się rynną wykonaną z drzewa. Kiedy urzędnicy podjechali wozem z beczką i otworzyli służę, zawartość nie chciała popłynąć. Pogrzebali drągiem i wszystko nagle ruszyło z impetem i załało tych, co byli na dole przy wozie. Fetor był potworny. A ludzie nie mieli się gdzie umyć i uprać zabrudzonych rzeczy. Wiadomość o tym rozeszła się po obozie lotem błyskawicy. Jedni się śmiali, inni współczuli. Urzędnicy powiatu kojarzyli się chłopom najczęściej z nadmiernymi podatkami, a więc niesprawiedliwością życiową.

Obserwowałem grupkę chłopów, którzy dyskutowali o wydaniu i byli bardzo ubawieni. Podszedł do nich Pękała z Nowego Brzostowa i z miejsca ich ostudził – „Płakać trzeba, a nie śmiać się! Niemcy zrobili sobie pośmiewisko z nas wszystkich, ponieważ ci ludzie byli wcześniej waszymi przedstawicielami. Niemcy dobrze wiedzieli, że oni nie znają się na tym, więc należało się spodziewać takiego zakończenia. To była robota dla każdego z was, a nie dla nich”. Chłopi nie oponowali, ponieważ wiedzieli, że ma rację. Po chwili gromadka się rozplynęła.

W czasie pobytu w Potulicach obserwowałem panią Kufel z Nowego Brzostowa. Była wciąż zapłakana i niezmiernie smutna, ponieważ nie miała informacji o swoim mężu. Nie wiedziała, czy on żyje, a jeśli tak – to jakie są jego losy i gdzie się znajduje. O człowieku tym pisałem wcześniej – że się odważył strzelać z ręcznego karabinu do wkraczających na teren Polski żołnierzy niemieckich. Do jego żony i jego rodziny odnosiłem się z wielkim szacunkiem, jakim należy darzyć ludzi szczególnych.

WYROBNICY

Niemcy postanowili wywieźć z obozu dzieci z matkami, a mężczyzn pozostawić. Ojciec został w Potulicach. Matka, siostra i ja zostaliśmy wpakowani do pociągu w Nakle i wysłani w nieznane, bo „podludzie” nie powinni wiedzieć, dokąd się ich wiezie. Nasza sied-

mioosobowa rodzina została rozbita na cztery części (babka została wcześniej zabrana z obozu przez znajomego). Na dworcu kolejowym w Więcborku czekali na nas ludzie z furmankami. Zostaliśmy zabrani przez gospodarza z Sypniewa Krajeńskiego. Gospodarz był Polakiem i na Wybudowaniu Sypniewskim miał wielohektarowe gospodarstwo rolne.

Trafiliśmy bardzo źle, więc częściej chodziliśmy głodni niż na jedzeni. Ulokowano nas w przejściowej sieni, w której wcześniej kury wysiadywały jaja. Matka z siostrą spały na starym skrzypiącym łóżku, ja na sienniku, który leżał na betonowej posadzce. Wokół chodziły różne robale, pozostałość po gniazdujących kurach. Staliśmy się sensacją dla dzieci gospodarza, było ich troje lub czworo. Kręciły się koło nas i przyglądały się, jak małpom w ogrodzie zoologicznym. Wciąż otwierały drzwi i powodowały przeciąg. Siedzieliśmy na naszych tobołach, ja leżałem, ponieważ byłem chory. Łóżko wstawiono nam dopiero wieczorem. Mnie od kilku dni bolał brzuch (był to skutek obozowego jedzenia). Gospodarz o tym wiedział, ponieważ całą drogę z Więcborka leżałem w skrzyni wozu na słomie. Dzieci po raz kolejny zawitały w naszym pomieszczeniu. Przy otwartych drzwiach gospodarz wesółym głosem dopytywał się, czy ja jeszcze żyję. Moja matka i siostra wybuchły płaczem, a dzieci zaraz przyszły to sprawdzić – zaglądały mi przy tym w oczy, odchylając palcami przymknięte powieki. Ten stosunek gospodarza i jego rodziny do nas wywołała plotka, że zostaliśmy przywiezieni po to, by przejąć po nich gospodarstwo.

Jedzenia dla nas nie było, ale robota znalazła się niezwłocznie. Ja pasłem na pastwisku owce, a matka z siostrą coś tam pielili. Owiec było około trzydziestu. Matka narzekała, że przy schylaniu się w oczach pojawiają się jej plamy. Spowodowane to było głodem. Wreszcie matka przełamała opór wewnętrzny i poszła do sąsiadów kupić chleb. Dostała go za darmo.

Dla mnie to był dramat. Nie mogłem znieść tego, że matka, która zrobiła tyle dla biednych ludzi, tyle rozdała jedzenia, teraz sama cierpi głód i chodzi prosić o chleb. A ja nie mogłem temu zaradzić. Przestałem wierzyć w jakąkolwiek sprawiedliwość. Martwił mnie również los ojca, który został w obozie.

W Brzostowie rozdawaliśmy potrzebującym ludziom nie tylko chleb. Ojciec rozdał tyle mięsa, że złożyłoby się ono na przynajmniej jedną wielką świnię. Obdarował nim w Miasteczku i okolicy

ludzi, którzy po wybuchu wojny znaleźli się w trudnej sytuacji. Były to przeważnie samotne kobiety z małymi dziećmi, których mężowie poszli na wojnę, względnie musieli opuścić rodziny z innych przyczyn.

Nielegalny ubój był surowo przez Niemców karany. Ojciec używał co jakiś czas zezwolenie i na jedno takie zezwolenie zabijał dwie, a nawet trzy świny. Chodziło o to, żeby prowadzony przez Niemców spis trzody się zgadzał, ale na to też były sposoby.

OŹGOWIE

W tym bezymiarze beznadziejności i smutku, jaki nas otaczał, znalazłem trochę pociechy i otuchy. Spotkałem się z kolegami z obozu – Ludwikiem Janiszewskim z Karolewa koło Wyrzynka i z Bronkiem Pękałą z Nowego Brzostowa. Chcieliśmy się przejść i pogawędzić. W drodze na łąkę spotkaliśmy gościa o kilka lat starszego od nas, który powiedział, że jego matka i starszy brat zapraszają nas do siebie. Poszliśmy. Państwo nazywali się Oźgowie. Ten, który nas zaprosił, miał na imię Janek, starszy brat był klerykiem i miał na imię Feliks. Studia w seminarium przerwała mu wojna. Nie jestem w stanie opisać serdeczności i gościnności tych ludzi. Oprócz matki kleryka była jeszcze jej siostra. Po obfitym poczęstunku zaczęła się dyskusja. Dotyczyła przede wszystkim aktualnych tematów – bytowych i innych. Byliśmy chłopcami ze wsi o niezbyt szerokich horyzontach i nie bardzo umieliśmy dyskutować na inne tematy. Wreszcie padła propozycja, żeby pośpiewać. Państwo Oźgowie mieli różne śpiewniki i było z czego wybierać. Śpiewaliśmy pieśni kościelne i patriotyczne. Wreszcie zaśpiewaliśmy najbardziej aktualną w tym czasie *Rotę* Marii Konopnickiej. Pieśń ta wywarła na mnie takie wrażenie, że zmienił mi się głos i podobno zmieniłem się na twarzy. Kiedy śpiewaliśmy „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz...”, ciarki przechodziły mi po plecach.

Którejś nocy miałem niesamowity sen. Śniło mi się, że w Miasteczku Maria Konopnicka jechała w osiemnaście koni. Były zaprzężone szóstkami jeden obok drugiego, a szóstki biegły jedna za drugą. Konie ciągnęły kilka drabiniastych wozów, które były powiązane w szereg. Mógł na nie (w biegu) wsiadać kto chciał. Jechaliśmy gdzieś, gdzie miało nie być Niemców. Konopnicka była okazałą kobietą, która stała na podwyższeniu na pierwszym wozie, miała podwinięte rękawy, trzymała lejce i potężny bat. Bat miał krę-

cone biczycho i był bardzo długi. Ulicą trójkami szli Niemcy ubrani w mundury SS, SA i HJ. Konopnicka wjechała w tę kolumnę. Konie tratowały Niemców. Do tych, co uciekali na boki, Konopnicka strzelała z bata – na jego końcu powstawała długa iskra, która śmiertelnie raziła uciekającego. Po tej nocy byłem półprzytomny. Podczas pasienia owiec zamykałem oczy, by zasnąć na kilka minut, chciałem, żeby powrócił do mnie ten piękny sen. Nie powracał.

Do państwa Ożgów chodziliśmy jeszcze kilka razy – zawsze byliśmy serdecznie przyjmowani, zawsze śpiewaliśmy wspaniałe polskie pieśni, krzepiące na duchu. Wówczas poznałem ich siłę. Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z tego, że pieśnią można tak mocno oddziaływać na człowieka. Po pobycie w ich domu na jakiś czas miało przynębie. Wydawało mi się, że z pleców wyrastają mi skrzydła husarskie. Takie pokrzepienie było mi bardzo potrzebne, ponieważ nasza sytuacja bytowa nie uległa zmianie. Żałowałem tylko, że nie było tam z nami matki i siostry.

SYPNIEWO

W dalszym ciągu chodziliśmy głodni i nie mieliśmy sposobu, by to zmienić. Wreszcie zaświeciła nam gwiazdka szczęścia. Niemcy wypuścili ojca z obozu. Widocznie plany, które mieli wobec zatrzymanych mężczyzn, zawiodły, a potrzebne było miejsce dla innych więźniów. Po wyjściu z Potulic ojciec najpierw poszukał mieszkania. Było niedaleko, u trzeciego sąsiada. Należało uzyskać zgodę na przeprowadzkę, ponieważ przez cały czas nadzór nad przybyszami z Potulic sprawował Niemiec Majer, który był rządcą w majątku w Sypniewie. Ojciec uzyskał taką zgodę i przeprowadziliśmy się. Nowy gospodarz miał mniejsze gospodarstwo i trzymał tylko jednego konia, mocnego i dobrze utrzymanego. Obszarowo gospodarstwo było duże, ale miało bardzo słabą ziemię. Ojciec przybył przed żniwami i przy zbiorze zboża u nowego gospodarza pracowaliśmy już wszyscy. Przestaliśmy głodować. Po żniwach pracowałem w polu w konia – orałem, bronowałem – i wykonywałem inne czynności gospodarskie.

Pewnego dnia do gospodarza przyszedł człowiek z Dorotowa, miejscowości odległej o około cztery kilometry i chciał kupić wiśnię. Zainteresowała go nasza obecność, doszło do rozmowy z ojcem. Okazało się, że znali się wcześniej. Pan Wiśniewski mieszkał kiedyś w Brzostowie i pracował w Korpusie Ochrony Pogranicza.

Był celnikiem. Do Dorotowa, które leżało niecały kilometr od przedwrześniowej granicy, został przeniesiony służbowo. Odnowienie znajomości zaowocowała serdecznymi stosunkami między naszymi rodzinami. Po pewnym czasie Wiśniewski załatwił ojcu dobrą pracę przy rżnięciu drzewa na lokalnych stacjach kolejowych. Okorowane drzewa o grubości około piętnastu centymetrów przywożono z okolicznych lasów. Ręcznymi piłami przycinano je do określonej długości (nazywały się wówczas kopalniakiem) i wysyłano koleją do kopalni węgla kamiennego. Praca nie była lekka, ale czysta i jej wielką zaletą była niezależność od widzimisie różnego rodzaju pracodawców.

„KOSZYKARZ”

Do pracy na roli nie miałem powołania. Pracowałem z obowiązku. Przeżycia u poprzedniego gospodarza uświadomiły mi, że aby nie być deptanym przez innych, muszę być kimś, z kim ludzie się liczą. Powinienem robić to, co jest przydatne i jednocześnie przynosi korzyści materialne. Głęboko współczułem rodzicom i postanowiłem im pomóc. Nauczyłem się wyplatania koszy na ziemniaki. Początkowo wyplatałem je z korzeni sosnowych i czerwonej wikliny, ale z tych surowców kosze były słabe. Widywałem kosze wyplatane z jałowca – to był solidny i mocny produkt. Było go tu pod dostatkiem, w okolicznych lasach rosły krzewy sięgające nawet kilku metrów wysokości. Na kosze nadawały się tylko proste pędy. Poszczególne pędy, w zależności od grubości łupałem na dwie, trzy, a nawet cztery części. Moje kosze z jałowca były mocne, trwałe i nadawały się do użytku. Kosze sprzedawała babka, która przyjechała do nas do Sypniewa. Stałem się kimś, wykonywałem coś, czego inni nie umieli i zarabiałem na tym.

Początkowo przynosiłem surowiec i kosze wyplatałem w domu. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że właściwie mogę je wyplatać w lesie. Tak wykonałem dwa albo trzy kosze. Co prawda dokuczała mi samotność, ale miałem dużo satysfakcji, przynosząc z lasu gotowy wyrób. W lesie zachowywałem ostrożność, żeby nie zdradzić swojej obecności. Zagrzebywałem w ziemi odpady i przebywałem w ukryciu, zawsze w innym miejscu. Poruszałem się wolno i wyrobiłem sobie spostrzegawczość, zauważyłem nawet małe ruchy gałęzi. Las był prywatny. Należał do niemieckiego majątku w Sypniewie. Byłem ostrzegany, że mogą mnie spotkać nieprzyjem-

ności. Mojej działalności nie dało się jednak ukryć całkowicie, chociażby z tego względu, że na krzewach pozostawały świeże ślady po obciętych pędach. To, co robiłem, nie przynosiła lasowi żadnej szkody, ponieważ jałowiec właściwie nie był używany do niczego.

Pewnego razu poszedłem do lasu, by skończyć koszt rozpoczęty poprzedniego dnia. Nie od razu przystąpiłem do pracy. Usiadłem na ziemi i oddałem się marzeniom. Myślałem o tym, jak będzie wyglądało życie po wojnie i co będę robił. Nikt z Polaków nie brał pod uwagę tego, że Niemcy wojnę wygrają. Marzenia pochłonięły mnie całkowicie, choć miejsce na marzenia wybrałem bardzo niefortunnie i nie zabezpieczyłem sobie tyłów. W pewnym momencie poczułem potworny ból w plecach i kątem oka z prawej strony dostrzegłem przez ułamek sekundy czerń oksydowanych luf dubeltówki, były skierowane w ziemię. Błyskawicznie oceniłem sytuację. Skoczyłem jak zwolniona z zaczepu sprężyna – w bok, w lewo, między dwa duże krzewy jałowca, którego gałęzie zwarły się za mną. Instynktownie padłem na ziemię (nawyk padania wyrobiłem sobie podczas gry w palanta – kiedy przeciwnik był blisko i rzucał piłeczką, należało niezwłocznie paść na ziemię – wtedy piłeczka najczęściej przelatowała górą). W tym momencie usłyszałem podwójny strzał. Zmieniłem kierunek ucieczki i znalazłem się w bagnistym terenie. Nie były to jednak jakieś przepastne bagna, a po prostu las olchowy na mokradłach. Pnie drzew były niemalże na wierzchu i tworzyły kępy, co dawało doskonałe schronienie. Pomiędzy kępami była woda, niegłęboka, najwyżej do kolan. Gdy uznałem, że jestem dostatecznie daleko od swojego prześladowcy, postanowiłem ukryć się na jakiś czas. Jedna z kęp tworzyła nawis z darni i korzeni. Wsunąłem się pod niego i czekałem. Wokół panowała zupełna cisza. Nie słyszałem mojego prześladowcy. Niemiec nie ruszył moim śladem – zresztą nie zostawiłem go – prawdopodobnie uznał, że „nadczłowiek” nie powinien ścigać polskiego szczeniaka po mokradłach. Co innego zastrzelić go na suchym terenie, nie mocząc obuwia – to tak jakby zastrzelił wałęsającego się psa. Póki co, szczęście mi sprzyjało.

Po dłuższym czasie ostrożnie wróciłem do domu. Nigdy się nie dowiedziałem, kim naprawdę był Niemiec, wiem tylko, że kilka dni później przepytawał o mnie dzieci pasące krowy na łące. I choć dałem się w lesie zaskoczyć, Niemiec źle rozegrał – zamiast mnie mocno złapać, zaczął od kopniaka, co mnie dodatkowo „uskrzydliło” do

ucieczki. Wiele razy zastanawiałem się nad reakcjami człowieka będącego w stanie zagrożenia życia, kiedy podejmuje decyzje błyskawicznie, np. na polu walki. W śmiertelnym niebezpieczeństwie na ogół te reakcje są właściwe, choć wszystko rozgrywa się w ułamkach sekund.

Nie przestałem wypłacać koszy, miałem już nawet swoją klientelę. Wypłatałem je w domu, a po surowiec chodziłem do innych lasów – przy wycinaniu, jak i podczas jego przenoszenia zachowywałem dużą ostrożność.

UPIORNA BABA

Już po żniwach zrobiliśmy gospodarzom kawał słomianego dachu na chlewie, z małych snopków, co nie było tu znane. Wreszcie ojciec uznał, że należy rozliczyć się z gospodynią za wykonane prace, również przy żniwach. Gospodyni zniecka wypaliła, że takim „baltendojczom” nie będzie płacić, co w odniesieniu do nas oznaczało, że nie ma zamiaru płacić przybłędom. Przyjęła wojowniczą postawę, znacząco spojrzała na nóż leżący na stole i kazała ojcu wyjść z mieszkania.

Kobieta od wielu lat terroryzowała swoją rodzinę. Gdy nie podołało jej się zachowanie męża, wpadała we wściekłość i wrzeszczała: „– Do budy, ty stary psie!”. Stary safandula od razu zrywał się i co sił w nogach znikał jej z oczu. Często mówił do mnie: „– Chodź, Szychu (nie umiał wymówić mojego imienia), bo matka jest zła”. Jeżeli nie znikał dostatecznie szybko, to baba łapała za nóż, który leżał przeważnie na stole i krzyczała, że zarżnie go jak wieprza. Tym nożem zabijała świnie, owce...

Któregoś dnia przyjechałem koniem z pola na obiad. Zaciekało mnie kwiczenie prosiąt w chlewie. Wszedłem tam i zobaczyłem jak safandula trzyma wieprzka, którego żona operuje dobrze mi znanym kuchennym nożem. Wieprzek szarpał się i kwiczał, a ona podniesionym, piskliwym głosem rugała męża, że źle trzyma zwierzę i groziła mu tym zakrwawionym nożem. Biedny człowiek kurczył się i pocił ze strachu, bo pogrożki rozwścieczonej baby nie były czcze. Wyglądała przy tym upiornie. Spod chustki wychodziły jej kosmyki bezbarwnych, brudnych włosów. Spojrzała na mnie wyraźnie zadowolona, że widzę ją w tej roli. Wtedy zauważyłem, że jej wyblakłe oczy wyrażają tylko złość – na męża i niezamężną córkę. Od sąsiadów dowiedzieliśmy się, że kobieta przez całe życie

znęcała się nad członkami swojej rodziny. Któregoś razu za jakieś nieposłuszeństwo uwiązała na łańcuchu swojego syna w stodole do młockarni. Łańcuch założyła mu na szyję, zapętała drutem, zakręcając go obcęgami. Chłopak leżał na gołym klepisku, przeziębził się, zachorował na gruźlicę i zmarł. Nikt z członków rodziny nie odważył się go uwolnić z tego łańcucha.

Część osób poznanych w tym krótkim czasie na Wybudowaniu Sypniewskim nie знаła pojęcia patriotyzmu, inni nie przejmowali się utratą przez Polskę niepodległości. Byli wyzuci z wszelkich uczuć i skrupułów. Sprawiali wrażenie nisko rozwiniętego społeczeństwa.

Po przeżyciach na Wybudowaniu Sypniewskim zamieszkaliśmy w Wymysłowie, cztery kilometry na południe od Sypniewa. Tam spotkaliśmy się już z normalnymi ludźmi, którzy i nas traktowali normalnie. Wymysłowo powstało w wyniku parcelacji części majątku w Sypniewie, a jego mieszkańcy pochodzili przeważnie z południowej Polski.

WYKOPKI

Jesienią poszliśmy z ojcem do majątku w Sypniewie do kopania ziemniaków. Poszliśmy dobrowolnie, by zarobić trochę pieniędzy. O pracę w tym czasie było tu trudno, nie było żadnego przemysłu. W majątku ziemniaki kopano dwoma sposobami – maszynowo i ręcznie. Maszyny miały tradycyjną konstrukcję – radlica podbierała grządkę z ziemią i ziemniakami, a wirujące gable na obwodzie poziomego wirnika wrzucały je wraz z ziemią do wielkiego cylindra wykonanego z grubych drutów. Ziemia przelatowała pomiędzy drutami cylindra, natomiast oddzielone ziemniaki przetaczały się wzdłuż jego osi i wysypywały po przeciwnej jego stronie. Cylinder był umocowany do maszyny i toczył się swobodnie po ziemi. Czynności ludzi sprowadzały się do zbierania wykopanych i usypanych w rzędy ziemniaków.

Wraz z ojcem dołączyłem do zespołu ludzi ręcznie kopiących ziemniaki. Ojciec kopał dużą motyką, którą tutaj nazywano z niemiecka haką, ja zbierałem, a jeśli nie nadążałem, to ojciec mi pomagał. Na ogół prawie wszyscy kopacze tworzyli takie dwójki. Praca była akordowa. Każdy się spieszył, by ukopać jak najwięcej, pracowano „na maksymalnych obrotach”. Obowiązywał standard wagowy akordu – należało odnieść dwa pełne kosze ziemniaków, czyli dwadzieścia pięć kilogramów, albo równowartość tego w okrągłym koszu z dwoma

uszami, czyli w tzw. kipie. Kipę nazywano tu z niemiecka kobrem. W dobrym stylu i zresztą bardzo wygodnie było nieść ten kober na ramieniu – dwie osoby brały go za uszy, energicznie podnosiły i wówczas jedna z osób obracała się szybko o dziewięćdziesiąt stopni i brała kosz na jedno ramię, nad głową trzymając go za ucho, drugą dłonią podpierając dno kosza. Po wysypaniu ziemniaków na kopiec otrzymywało się znaczek, który był wklejany na arkusz papieru do rozliczenia. Pieniądze wypłacano za te arkusze naklejonych znaczków.

Ta prosta praca nie była jednak ani lekka, ani łatwa. Przekonały się o tym dwie Niemki, służące u rządcy majątku, Majera, które również w ramach akcji przyszły na pole wybierać ziemniaki. Kiedy już miały pełną kipę, jedna z nich chciała, wzorując się na innych, odnieść kosz do kopca. Za którymś razem Niemkom udało się podnieść kosz na odpowiednią wysokość i wziąć na ramię, ale w tym momencie obie się przewróciły. Wyglądało to żałośnie, tym bardziej, że Niemki były postawne, prawie o głowę wyższe od polskich dziewczyn. Od tego czasu taszczyły kosz za uszy we dwie.

W naszej grupie pracowało ponad sto osób. Była to prawdziwa rewia pracy – popis zręczności i szybkości. Z prawdziwą przyjemnością przyglądałem się młodym dziewczynom, ich harmonijnej współpracy, żeby te dwadzieścia pięć kilogramów wywindować na odpowiednią wysokość i ustawić kosz na ramieniu. Bywało, że pracowały ze sobą siostry, starsza i młodsza. Ziemniaki odnosiła starsza – silniejsza. W naszej dwójce ja odnosiłem ziemniaki w dwóch koszach. Dziewczyny się do mnie uśmiechały. Na bezrybiu i rak rybą. Byłem przecież pół-kawalerem, a dla tych najmłodszych – całym (młodych chłopaków tu nie było). Te uśmiechy były mi bardzo potrzebne. Poczulem się kimś. Ze zgrozą wspominałem przeżyłcia sprzed kilku miesięcy – kiedy obolały leżałem na wozie, czy gdy dzieci uchylały mi powieki, żeby sprawdzić, czy żyję.

Majątek miał przejściowe kłopoty finansowe. Objawiało się to tym, że opóźniano ludziom wypłaty. Zaczęto już o tym mówić na polu. Pod koniec pracy, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, przyjechał wierzchem na pole Majer. Po drodze dla fasonu zastrzelił gawrona. Niemiec podjechał niedaleko nas. I wtedy podniósł się z klęczek (bo w takiej pozycji wybierał ziemniaki) mężczyzna i powiedział głośno: „– Zobaczmy, czy on mi nie wypłaci”. Było to zwaliste chłopisko. W plecach był szerszy od zadu konia rządcy. Majer go znał, ponieważ był to pracownik majątku, więc wymienił jego nazwisko, pyta-

jąc o co chodzi. Mężczyzna odpowiedział, że o pieniądze. Przyciszonymi głosami prowadzili rozmowę. Majer zaczął na niego najeżdżać koniem, ale on złapał konia przy pysku za wodze i stanął w rozkroku. W drugiej ręce trzymał hakę. Ludzie podnieśli się i wstrzymali oddech. Koń jak krowa opuścił łeb, ponieważ poczuł ciężar ręki, a rządcą jeszcze bardziej przyciszył głos. Całą tę scenę oświetlało z boku zachodzące słońce. Wreszcie dyskusja się skończyła, rządcą odjechał, a chłop po powrocie do domu miał już pieniądze na stole. Dla kogoś innego to zajście mogło się zakończyć znacznie gorzej.

Majer nie był aniołem, ale – jak na Niemca – nie był złym człowiekiem. My przeprowadzaliśmy się trzy razy, za każdym razem ojciec chodził do rządcy po zezwolenie na przeprowadzkę – nigdy nie odmówił i nie robił najmniejszych trudności. Pewnego razu, gdy ojciec był u niego w gabinecie, wtargnęła tam znienacka jego żona z żądaniem, by mąż ograniczył prowadzoną z ojcem po polsku rozmowę. Majer przeprosił ją i dokończył rozmowę.

MŁODZIEŻ

Moi bracia, Stachu i Ignac, oraz wielu innych młodych ludzi, zostali wywiezieni z Potulic do pracy na roli w Prusach Wschodnich. Pierwszą informację o miejscu swojego pobytu przysłali nam jeszcze do obozu. Znajdowali się w miejscowości Koci Nos koło Malborka, w niewielkim majątku ziemskim. Początkowo pracowali w polu, wykonując prace ręczne. Pracowali też w oborze przy krowach, jeździli w konie i wykonywali wiele innych robót.

Cała ta młodzież żyła bardzo zgodnie, zachowywała swoją tożsamość narodową, również od strony etyczno-moralnej nie budząc zastrzeżeń. Towarzystwo było mieszane. W gronie tym panował duch patriotyzmu. Część młodzieży należała do Armii Krajowej. Młodzi ludzie gotowi byli zginąć za ojczyznę, gdyby zaszła taka potrzeba. Dowódcą komórki AK był Ignac. Jego zwierzchnik był zakonspirowany w Malborku, pracował w zakładzie fryzjerskim. Ignac miał być wysłany na kurs podoficerski do centralnej Polski.

Majątek, w którym pracowali bracia, nie cierpiał w tym czasie na brak siły roboczej, zimą więc udzielono im urlopu. Przyjechali do nas, mieszkaliśmy w tym czasie w Wymysłowie. Byliśmy razem bardzo szczęśliwi, choć mieszkaliśmy wszyscy w jednym niedużym pokoju. Ojciec był dumny z synów, którzy bardzo wydorosli. Ignac zaznajomił się z kawalerką wymysłowską. Organizowano

potkańcówki, na których on grał im na swojej dwurzędowej harmonii. Ignac miał dużą łatwość w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, Stachu był domatorem.

Potkańcówki odbywały się przeważnie w domu Piątków. Była to wielodzietna rodzina, w tym było już trzech dorosłych chłopaków. Na tańce przyjeżdżały dwie dziewczyny z Buczka (mówiło się „z drugiej strony”, ponieważ Buczek leżał przed 1939 r. po drugiej stronie granicy, ale mieszkali tam Polacy). Były to Klara i Jadzia. Nam, męskim podlotkom bardzo się one podobały. W czasie tańca śpiewały po niemiecku, ale to nas nie raziło, bo nie było do tych melodii polskich słów.

Wymysłowo zamieszkiwali Polacy z południa Polski, przeważnie z krakowskiego. Niemcy zapuszczali się tu rzadko. Jeżeli się pojawili, to można ich było rozpoznać z daleka, ponieważ różnili się ubiorem i sposobem bycia – byli aroganccy, hałaśliwi, pewni siebie i mówili gardłowo.

DOROTOWO

Na wiosnę, a może latem, ojciec znalazł mieszkanie w czworakach w miejscowości Dorotowo, odległej o półtora kilometra od Wymysłowa. W tych czworakach mieszkali niegdyś pracownicy majątku. Mieszkanie było opuszczone i mocno zdewastowane. Ojciec naprawił dach, okno, drzwi i podłogę (była z gliny). Mieszkanie składało się z jednej izby i komory, tak jak we wszystkich czworakach należących do majątków. Po „zorganizowaniu” sprzętów domowych wprowadziliśmy się. Na podwórzu były ruiny chlewików należących do dawnych lokatorów. Przy kawałku ocalałego muru ojciec zbudował chlewik z drzewa i ocieplił go słomą. Umożliwiło to chowanie kilku, a nawet kilkunastu kur. Ojciec w tym czasie pracował na stacjach kolejowych przy rżnięciu drzewa na kopalniaki. Wielkim plusem tej pracy było to, że pracownicy otrzymywali odpady drzewne na opał, których część ojciec wykorzystał do budowy chlewika.

W Dorotowie po trochu wypłatałem kosze, chodziłem na ryby, ale sukcesów jako rybak nie zanotowałem. Wykonywałem też inne drobne prace. Zaprzyjaźniłem się z Józkiem Nagórnym, starszym ode mnie o ponad trzy lata. Józek był obarczony rodziną, a ściślej – rodzeństwem. Byli sierotami – matka umarła, a ojca Niemcy zamordowali w Karolewie. Było ich pięcioro lub sześcioro, Józek był najstarszy, miał osiemnaście lat. Mieli gospodarstwo rolne, ale nie pamiętam

jakiej wielkości. Józek ojcował wszystkim, a młodsza od niego siostra Zosia matkowała i całe rodzeństwo żyło w przykładowej zgodzie.

Ojciec Józka był kowalem. Z opowiadań Józka wynikało, że dobrym i pomyslowym kowalem. Do jego wyczynów można zaliczyć zrobienie we własnym zakresie miecha kowalskiego i wykonanie kowalskiego imadła. To ostanie zrobił razem z Łaskawcem z Wymysłowa, który był ślusarzem. Najpierw odkuli szczęki z ogonami do mocowania. Następnie wykonali naśrubnicę z kawałka rury, w której umieścili, sprężynę – jej skok był równy skokowi śruby przewidzianej do tego imadła. Sprężyna została zlutowana na mosiądz z rurą w kotlinie kowalskiej. Naśrubnicę oczyszczono z zendry i nadmiaru mosiądzu przez wkręcanie w nią starej śruby posypanej potłuczonym piaskowcem. Czyszczenie prowadzono tak długo, aż nowa śruba, przeznaczona do pracy, obracała się bez oporów. Z kuźni Nagórnego pozostały tylko szczątki. Byłem w niej kilka razy z Józkiem. Józek dziwił się, po co ja tam chodzę. Jemu wydawało się dziwne to, co dla mnie było tak oczywiste – wszystko to działało na moją wyobraźnię. W kuźni były ślady zendry, była zachowana obudowa kotliny, miejsce po miechu kowalskim, miejsce na kształtowe młotki i inne rzeczy. Przy kuźni stały resztki ogrodzenia, do którego wprowadzano odporne konie podczas ich kucia.

Wyobrażałem sobie ludzi pracujących przy wykonywaniu imadła i miecha kowalskiego. Wyobrażałem sobie, jak kują w pośpiechu konie – pośpiech zawsze towarzyszył tej czynności. Wyobrażałem sobie również, jak spęczniają obręcze, żeby były krótsze i na gorąco ponownie wciągają je na rozeschnięte sfatygowane drewniane koła wozów; klepią na gorąco siekiery, hartują je...

Sprowadziliśmy z Arentowa rowery, więc łatwiej mogliśmy się poruszać po okolicy. Przejeżdżając przez Sypniewo, z daleka zauważyłem oddziałek Niemczaków z Hitlerjugend ze sztandarem i werblami. Skręciłem w boczną, polną drogę, by uniknąć poniżającego zdejmowania czapki. Niemczaki mnie zauważyli, dogonili i sprawili niezły łomot. Zniszczyli przy tym rower, podeptali koła. Gdy doszedłem do siebie, trochę je wyprostowałem i do domu rower doprowadziłem na tylnym kole.

Któregoś dnia ojciec dostał wezwanie na policję do Miasteczka w sprawie mięsa, znalezionej w stodole w naszym gospodarstwie w Brzostowie. Mięso było zasolone i zakopane w beczce w ziemi. Przeznaczone było na gorsze czasy. Spoza rodziny wiedział o tym tylko jeden zaufany człowiek – rzeźnik. Jak się okazało, o jeden za

dużo. W jakimś towarzystwie, przy kielichu, rzeźnik powiedział: „- Teraz przydałoby się zakopane w stodole mięso”. Udzielił też obecnym bliższych informacji, w którym miejscu znajduje się beczka. To wystarczyło. Wprawdzie współbiesiadnicy bali się wykopać i zabrać mięso, było to zbyt ryzykowne, ale któryś z nich doniósł o wszystkim Besarabowi, który po nas gospodarzył. Widocznie liczył na ochłapy. Niemiec mięso wykopał i zaczął je jeść. Sprawa na tym się jednak nie skończyła. Fama niesła, że w beczce było mięso z dwóch świń. O znalezisku została powiadomiona policja. Na policji pytano ojca, co to za mięso i dlaczego było zakopane w stodole. Ojciec przedstawił dokumenty, że mięso pochodziło z legalnego uboju, a w ziemi była zakopane dlatego, że w ten sposób lepiej się przechowywało (co nie było zgodne z prawdą). Ojca uratowało to, że Niemiec, który przejął po nas gospodarstwo, potwierdził, że w beczce było mięso tylko z jednej świni. Gdyby ojciec nie miał dokumentów, wsadzili by go do obozu karnego. Nie przypuszczam, że pijany rzeźnik o tym pomyślał. Jest to przykład tego, do czego mogą doprowadzić wódka, ludzka bezmyślność i chamstwo.

W czasie okupacji wyrabiano ze srebrnych przedwojennych monet pierścionki, kolczyki, wisioriki. Bardzo się tymi wyrobami interesowałem i doszedłem do wniosku, że nie jest to robione mechanicznie przez wyklepanie, ale techniką przetapiania. Nie wiedziałem jednak, jak topi się srebro w domowych warunkach. Pytałem o to Łaskawca, ale nie udzielił mi odpowiedzi. Był to człowiek niedostępny i zarozumiały. Szczęście mi jednak dopisywało – zobaczyłem to na własne oczy u kogoś w Wymysławie (zdaje się, że u Barczyka, czy też u kogoś z jego krewnych lub znajomych).

Technika przetapiania małej ilości srebra w domowych warunkach jest bardzo prosta. Potrzebny jest płomień i tlen. Wystarczy płomień ze zwykłego kopciucha naftowego, jakim jest lampa naftowa bez cylindra. Przez płomień przedmucha się ustami powietrze za pomocą cienkiej rurki. Płomień kopciucha odkształca się, przyjmując kształt bardzo cienkiego ołówka i wydłuża w bok w kierunku, w którym jest dmuchane powietrze. Koniec tego płomienia kieruje się na topiony przedmiot. Dzięki obecności tlenu zawartego w wydychanym powietrzu temperatura płomienia w tym miejscu jest wystarczająco wysoka, by roztopić srebro. Płomień jest kierowany na mały tygielek, który znajduje się w otoczeniu węgla drzewnego, by roztopiona zawartość nie stygła.

CZĘŚĆ II – NIEMIECKI PAROBK
LATA 1942–1945

NIEMIECKI PAROBEK

Postanowiliśmy, że powinienem iść do pracy do kowala Wizy w Sypniewie, który miał też kilka morgów ziemi. Miałem zostać zarejestrowany w Urzędzie Pracy jako robotnik rolny i pracować na roli, a także w kuźni. Oficjalnie nie mogłem uczyć się rzemiosła, ponieważ byłem Polakiem i nie znałem języka niemieckiego. Ojciec uzgodnił już wszystko z kowalem. Tymczasem nieoczekiwanie zostałem wcześniej przez Urząd Pracy skierowany do Niemca w Zakrzewku jako parobek. Niemiec nazywał się Emil Dewner.

Zakrzewek znajduje się około sześciu kilometrów na zachód od Więcborka. W wyznaczonym dniu pojechaliśmy z ojcem do tej miejscowości pociągami. Była to duża wieś, ale mieszkało w niej tylko czterech polskich gospodarzy. Można powiedzieć, że była to enklawa niemieczyny. Gospodarstwa były różne – małe i duże. Największe liczyło około stu hektarów. Ziemia była też różna, ale przeważnie żytnio-ziemniaczana. Koło stacji kolejowej ojciec zapytał jakiegoś Polaka (ludzi wówczas można było rozpoznać przede wszystkim po ubiorze) o Dewnera. Człowiek wskazał nam drogę i powiedział do ojca, że syn bardzo źle trafił. Niemca określił jako polakożercę. Tak zresztą określało go tu wielu Polaków. Szliśmy, przeskakując kałuże, bo droga była bardzo błotnista, nawet jej pobocze. Wreszcie doszliśmy do drogi jednośladowej, która od strony południowej wiodła prosto do gospodarstwa, które było celem naszej podróży. Droga prowadziła przez płytką dolinkę i znajdujące się na niej spore kałuże musieliśmy obchodzić przez pole. Niedaleko, po lewej stronie drogi były kopcowiska, po których buszowały gawrony. I wtedy ukazał mi się niesamowity widok.

Jeden z gawronów siadał na słupku ogrodzenia. Słupek był okrągły i ścięty na skos. Z naszej strony ścięcia słupka tworzyło wyraźnie koło o jasnym tle i ciemnej obwódce. Pęknięcia słupka układały się w jakieś zygzaki. Gdy gawron usiadł na słupku z rozpostartymi skrzydłami, ja zobaczyłem następujący obraz – popękania ułożyły

się w hitlerowską swastykę otoczoną kołem, a gawron upodobił się w mojej wyobraźni do niemieckiego czarnego orla, który stoi z rozpostartymi skrzydłami na kole otaczającym swastykę. Obraz ten miałem przed oczami przez pewną chwilę. Rozmowę z ojcem przerwałem w pół słowa. Zauważył to i zaczął się dopytywać, co zobaczyłem. Nie bardzo wiedziałem, co mu odpowiedzieć i skierowałem rozmowę na inny temat. Uznałem to za zły znak. Ojciec po jakimś czasie wrócił jednak do swego pytania. Postaliśmy jeszcze chwilę, w końcu ojciec przerwał milczenie i powiedział, że musimy jednak tam iść: „– Taka jest dola narodu polskiego. Muszę cię tam zaprowadzić niezależnie od tego, jakie będą dalsze twoje losy. Staliśmy się niemieckimi parobkami. Musimy mieć jednak nadzieję, że to się zmieni, że Niemcy wojnę przegrają”.

Weszliśmy na podwórze. Psy były uwiązane, ale bardzo szczekały. Dewner był na podwórzu. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Ojciec powiedział „dzień dobry” po polsku, bo inaczej nie umiał. Niemiec nic nie odpowiedział i poszedł do domu. Staliśmy bezradnie, obszczekiwani przez psy. Wreszcie drzwi domu otworzyły się, ukazała się postawna kobieta (jak się później okazało, była to żona Dewnera). Ojciec ponownie powiedział „dzień dobry”. Niemka z nieukrywaną niechęcią odpowiedziała łamaną polszczyzną. Ojciec pokazał pismo z Urzędu Pracy. Niemka wzięła papierek i powiedziała, że miejsce parobka jest w chlewie, wskazała na drzwi. Otworzyliśmy je. Była tam stajnia, nie było w niej jednak koni, z wyjątkiem kilkumiesięcznego źrebaka. Było tam również łóżko. W stajni panował półmrok, było w niej tylko nieduże okienko. Usiedliśmy na łóżku i czekaliśmy. Rozmowa się nie układała. Bo i o czym tu właściwie było mówić?

Po godzinie albo dwóch psy znów zaczęły ujadać, z podwórza dochodziły strzępy rozmowy prowadzonej po niemiecku. W końcu w drzwiach stanął młody człowiek i przemówił do nas po polsku. Nastąpiło pewne odprężenie. Był to Heniu K., drugi parobek (choć w nomenklaturze oficjalnej to był on „pierwszym” parobkiem, a ja „drugim”). Mówiło się jeszcze „duży” parobek i „mały” parobek. Na drugiego parobka mówiono też „kuficel”, co znaczyło mniej więcej „krowiarek”, czyściciel krów. „Pierwszy” parobek jeździł i oparządzał konie. Heniu wprowadził konie, dał im obrok i trochę z nami porozmawiał o tym i owym. Niemiec zawołał go do siebie. Ojciec powiedział: „– Nic tu po mnie”. I odszedł z ciężkim sercem. Nasze po-

żegnanie było wyjątkowo czule. Zostałem z własnymi myślami i niepewnością, co mnie tutaj czeka. Zjawił się jeszcze jeden parobek. Chłopczyzna miał dziesięć, jedenaście lat i pasał krowy. Pochodził z Więcborka. Starał się mówić po niemiecku nawet wówczas, gdy nie musiał, kiedy nie było Niemca. Wyraźnie brakowało mu słów, ale zastępował je innymi i „nawijał” swoją niemczyzną jak umiał.

MOJE „SALONY”

Pomieszczenie, w którym przebywałem, miało ponad sześć metrów długości i ponad dwa metry szerokości. Z prawej strony była ściana, przy której znajdowały się drzwi wejściowe, z lewej był żłób oddzielający pomieszczenie dla koni. Przy ścianie, z lewej strony żłobu, było wąskie przejście, zamykane niskimi drzwiczkami. Żłób był solidny – stanowiło go kamienne koryto, omurowane i osadzone na podmurówce. Na końcu żłobu ściana z grubych desek odgradzała to pierwsze pomieszczenie od pomieszczenia z końmi. Były one przywiązane przy żłobie, głowami zwrócone w kierunku pierwszego pomieszczenia.

Za drewnianą ścianą, usytuowaną na przedłużeniu końskiego żłobu, znajdowały się jeszcze dwa pomieszczenia. Mogły mieć szerokość około trzech metrów. W mniejszym z nich spał „duży” parobek, w większym mieściła się tzw. futernia, w której przygotowywano karmę dla krów. Było tam małe okno z szybami w metalowych ramach, a także odgrodzona przestrzeń na buraki i ręczna maszyna do ich drobienia. Z futerni prowadziły drzwi do obory, do stajni i kłapa na strych, skąd zrzucano siano. Były też drzwiczki w ścianie do wrzucania brukwi.

W pierwszym pomieszczeniu, w odległości metra od drzwi wejściowych, przy ścianie stała na metalowym stojaku ocynkowana miska, w której się myliśmy, a za nią beczka na wodę dla koni. Woda do beczki była noszona wiadrem. Za beczką, również przy ścianie, stała duża skrzynia na sieczkę, a za nią moje łóżko, szczytem dosunięte do drewnianej ściany. W ścianę były wbite gwoździe, na których wieszałem odzież. Nie wystarczało miejsca na krzesło ani nawet na mały taboret. W drewnianej ścianie były drzwi do pomieszczenia „dużego” parobka. Znajdowało się w nim okienko, takie jak w futerni, stał mały, kulawy stolik i krzesło, a na ścianie wisiała szafka na przybory do golenia. Na szafę nie było miejsca, więc odzież także wisiała na gwoździach.

ŻYCIE NIEWOLNIKA

Ten dzień minął bez większych sensacji. Prawdziwe życie i chrzest „małego” parobka zaczęło się od samego rana następnego dnia. Rano przyszedł Niemiec z zapaloną przenośną latarnią naftową (gospodarstwo nie było zelektryfikowane), otworzył drzwi do „dużego” parobka i obudził go. Do mnie się nie odzywał. Heniu wyskoczył z łóżka i zapalił stajenną latarnię na stałe zawieszoną na drucie zwisającym z belki. Strop w stajni był welbowany. Wydawało mi się, że jest niezwykle jasno. Nie bardzo wiedziałem, co się dzieje, byłem półprzytomny. Oprzytomniałem, gdy Niemiec z przekleństwami zerwał ze mnie pierzynę i rzucił na posadzkę. W asyście jego przekleństw ubierałem się pospiesznie. Niemiec wyzywał mnie od „Polaka z kongresówki”, „polskiej świni” oraz zwykłymi przekleństwami, które przyszły mu do głowy. Nadal przeklinając, wydawał mi polecenia, także na migi. Nie wszystkie mogłem spełnić, ponieważ ich nie rozumiałem. Jeżeli w pobliżu był Heniu, tłumaczył mi, o co chodzi. Tłumaczyła mi także służąca Łuca. Niemiec powiedział Heniowi, co mam zrobić i poszedł do domu, przedtem jeszcze zdążył powiedzieć, że nie może na tego kongresowiaka (czyli na mnie) patrzeć.

W ciągu dnia na szczęście nie spotkałem Dewnera. Okrywaliśmy z Heniem kopce z ziemniakami. Współczuł mi i uczył mnie poszczególnych słówek po niemiecku.

Następnego dnia rano, z chwilą pojawienia się Niemca wyskoczyłem z łóżka i pospiesznie się ubrałem. Rozumiałem (nawet jeśli nie potrafiłem ich wymówić) już kilka niemieckich słówek, mogłem wykonywać niektóre polecenia wydawane po niemiecku. Tego dnia Niemiec na mnie nie ryczał i nie przeklinał. Nigdy jednak nie było wiadomo, co może mnie spotkać. Raz, kiedy zamiast sieczki przyniosłem ze stodoły plewy – dostałem kopniaka. Innym razem, kiedy mu odpowiedziałem po polsku, że nie rozumiem; przywalił mi pięścią w kark. Uderzenie było tak silne, że na moment straciłem przytomność i upadłem. Rzecz działa się w chlewie, w pomieszczeniu, gdzie przygotowywano karmę dla świń, więc żeby mnie ocucić Niemiec napompował mi wodę na głowę.

KARY I WYPADKI

Przez kilka tygodni był spokój. Rozumiałem już proste polecenia Niemca i jakoś koegzystowaliśmy. Wreszcie któregoś dnia powiedział do mnie coś, czego nie zrozumiałem. Powtórzył – i jeszcze

nie pojąłem. Powiedziałem po polsku, że nie rozumiem. Język polski wprowadzał go we wściekłość. Od tyłu uderzył mnie widłami w głowę. Widły nie były duże, można powiedzieć – jednoręczne. Było to jednak kawałek metalu. Wygarniało się tym gnój ze świńskiego koryta. Straciłem przytomność i upadłem. Gdy się ocknałem, Niemca nie było. O własnych siłach zawlokłem się na łóżko, było to zresztą po sąsiedzku, przez ścianę. Bolała mnie głowa i świat wirował wokół mnie. Po jakimś czasie przyszła służąca Łuca. Prawdopodobnie przysłał ją, by zobaczyła, czy jeszcze żyję. Poszła po wodę utlenioną, jodynę, bandaż i nożyczki. Powycinała mi włosy, przemyła ranę i zabandażowała, a bandaż zmieniła mi kilka razy. Tego dnia Niemiec dał mi spokój, ale następnego ranka obudził mnie do roboty. Kręciło mi się w głowie, jednak pracować musiałem. Zacząłem się obawiać, że Dewner może mnie zabić. Mógł to uczynić bezkarnie w każdej chwili. Od tej pory zacząłem go obserwować i uważać, żeby nie był za moimi plecami, niezależnie od tego, jaka panowała atmosfera. Jeżeli był za mną, to kątem oka starałem się obserwować, co robi.

Moje życie stało się posępne. Zacząłem tworzyć filozofię przetrwania. Każdy przeżyty dzień dawał nadzieję, że uda mi się przeżyć następny. Nikomu nie mówiłem o tym, że Niemiec uderzył mnie widłami, bałem się, że gdy to dotrze do niego, może szukać zemsty. Nie mówiłem o tym też w domu, by nie stwarzać psychozy, że jestem tak bardzo zagrożony.

Od pierwszych chwil, kiedy zostałem parobkiem, Emil Dewner oświadczył oficjalnie przy Heniu (co ten mi przetłumaczył), że na swoim podwórzu zakazuje mówić po polsku. Jak się okazało, konsekwentnie tego przestrzegał i uczył mnie niemieckiego za pomocą pięści i kopniaków. Tolerował polskie słowa jedynie wtedy, gdy Heniu albo Łuca tłumaczyli mi jego polecenia. Rozmawialiśmy między sobą po polsku, ale tylko szeptem. Polskie słowa działały na niego jak płachta na byka. Gdy je słyszał, w charakterystyczny sposób rozszerzały mu się usta, a ich kąciki wędrowały na boki. Oznaczało to, że jest wściekły i nie wiadomo, jakie mogą być tego konsekwencje. U innych Niemców polscy pracownicy mogli mówić po polsku.

W Zakrzewku wszyscy Polacy mówili po niemiecku tak, że nie rozróżniałem, kto jest Niemcem, a kto Polakiem. Polacy w obecności Niemców również między sobą rozmawiali po niemiecku.

W ten sposób Niemcy wywierali na społeczeństwie polskim ogromną presję, co miało wielkie znaczenie psychologiczne, szczególnie przy podpisywaniu folkslisty – ludzie byli zniewaleni, nie mieli moralnej ostoji – bali się odmówić jej podpisania. Niemcy za odmowę grozili obozem i często swoje groźby realizowali. Znane są przypadki, że ludziom w Potulicach, którzy wcześniej odmówili podpisania folkslisty, wieszano na szyjach tabliczki z informacją, że to są wrogowie narodu niemieckiego. Bywało, że wysyłano tych ludzi do obozów koncentracyjnych.

Wielu ludzi przeżywało prawdziwe tragedie w związku ze zmuszeniem ich do podpisywania folkslisty. Na znajomego ojca w Dorotowie, który miał kilkoro dorastających dzieci, wywierano tak wielką presję, że w końcu podpisał. Jego syna wzięli do Wehrmachtu. Po kilku miesiącach poległ w Grecji. Wielu ludzi, którzy po podpisaniu listy zostali przymusowo powołani do wojska niemieckiego, wojnę przeżyło. Niektórzy z nich dostali się do niewoli i zostali wcieleni do LWP, bądź też do WP na Zachodzie.

Byłem traktowany przez Niemca gorzej niż zwierzę. Gdy zwierzę dobrze pracuje, to się go nie bije. Dobrze pracowałem, a bito mnie (podstępnie, od tyłu) przy każdej okazji – za to, że mówię po polsku, że jestem Polakiem.

Trudno jest opisać uczucie człowieka, który jest bity i poniewierany za ojczyzną mowę i za to, że nie zna języka swojego wroga. Wzmagała się we mnie nostalgia za utraconą ojczyzną, rodziną, środowiskiem, za życiem pozbawionym przemocy. Z tęsknotą wspominałem ludzi, których znałem, również z Dorotowa, nawet tych najprymitywniejszych. Kiedy jechałem do Dorotowa, do rodziny, byłem gotów całować dzieci po ich umorusanych buziach i nie tylko po buziach. Dzieci bawiac się krzyczały po polsku. Mógłbym słuchać tych dziecięcych wrzasków całymi godzinami – bo były polskie, tak bliskie mojemu sercu.

Do Niemca przyszedłem z chwilą ukończenia piętnastego roku życia. Byłem mało odporny psychicznie. Odczuwałem potrzebę jakiejś moralnej podpory, pocieszenia, czy też zwykłego współczucia. Nie mogłem tego znaleźć w gronie parobków, których było tu sporo. Innych środowisk nie znałem. Gospodarstwo Dewnera leżało na uboczu. Z Heniem (a później z jego następcami) chodziłem do wsi, gdzie był taki zwyczaj, że parobcy gromadzili się na ulicy i niezbyt głośno rozmawiali po polsku. Mieszkającym tam Niem-

com te polskie rozmowy nie przeszkadzały. Rozmowy były banalne – o wszystkim i o niczym. Jako małolat byłem traktowany nieco z góry, często się ze mnie podśmiewano, ale nie pamiętam, co było tego powodem. Był tam taki zwyczaj, że gdy ktoś przechodził obok, to jeden z uczestników tego gremium wydawał dźwięk, który pochodził z drugiego końca przewodu pokarmowego. Wszyscy się głośno śmiali, włącznie z osobami przechodzącymi. W tym towarzystwie nie mogłem znaleźć bratniej duszy, a coraz bardziej było mi to potrzebne.

Rano kolejni gospodarze zabierali od pozostałych mleko i odwozili do mleczarni. Kiedy spodziewałem się przyjazdu po mleko starałem się wykonywać takie prace, żeby być na podwórzu. Łuca wynosiła mleko w bańkach i podawała woźnicy, który był z reguły Polakiem. Podczas tej czynności zamieniali kilka zdań po polsku i na ten właśnie moment czekałem, na tych kilka zdań wypowiedzianych w języku ojczystym.

Kiedys Emil sprzedawał dużą świnię, ważyła około stu pięćdziesięciu kilogramów. Przed sprzedażą świnia jest ważona, jej cenę oblicza się według wagi. Została wpędzona do klatki, stojącej na głównym ganku w świniaarni, na wprost ganku bocznego. Razem z Heniem podnieśliśmy klatkę ze świnią, a Emil miał podsunąć pod nią wagę i stawiać odważniki. Z chwilą, gdy podnieśliśmy klatkę, świnia zaczęła się rzucać. Spowodowało to, że jedna noga obsunęła mi się do ryszotku – zabolął mnie kręgosłup i opadłem z sił. Ważenia jednak dokończyliśmy. Po tym zdarzeniu źle się czułem, na dodatek byłem mocno przeziębiony. Kilka razy w ciągu dnia leciała mi z nosa krew. Emil widział, że nie ma ze mnie pożytku i zgodził się, żebym poszedł do lekarza, który stwierdził, że nabawiłem się dwustronnej przepukliny pachwinowej. Zapisał mi dwustronny pas sprężynowy. Stwierdził również, że mam nadwyreżony kręgosłup i powinienem na siebie uważać. W pasie poczułem się lepiej. Niemiec udawał, że się nic nie wydarzyło – miałem nie tylko dotychczasowe obowiązki, ale wręcz mi ich przybyło.

Wydawało mi się, że nie ma już dla mnie innej przyszłości, a moje zdrowie jest zrujnowane. Przyszłość rysowała się tak ponura i czarna, jak ten orzeł ze swastyką, który przedstawił mi się na płocie ogrodu, kiedy szliśmy z ojcem do Dewnera. Scenariusz, według którego wypadło mi żyć, tworzył pewną analogię z wizją piekła, którą swego czasu roztaczał z ambony ksiądz w Miasteczku.

Nauczyłem się wtedy, że pewne przykre sytuacje należy po prostu przetrzymać – po czasie stają się mniej dokuczliwe i nie takie straszne jak w pierwszej chwili. Z dnia na dzień przekonywałem się, że mogę egzystować. Musiałem jednak uważać – ciężkie rzeczy podnosić powoli i wciągać brzuch. Stopniowo przyzwyczailem się do tego. Pocieszające było to, że mi się nie pogarszało. Często myślami uciekałem do przeszłości.

WIGILIA

Po wieczerzy wigilijnej Heniu poszedł do domu, ponieważ mieszkał w Zakrzewku. Położyłem się na łóżku, przymknąłem oczy, ale nie spałem. Latarnia była przykręcona, a konie cofnęły się nieco od koryta i uciwały sobie drzemkę albo po prostu bardzo cicho stały. Od czasu do czasu słychać było piski szczurów, które w dużej ilości gnieździły się pod skrzynią na sieczkę i pod moim łóżkiem. W pewnych chwilach można było wyłowić taktę muzyki dochodzącej z radia w mieszkaniu Niemca. Ktoś z rodziny przywiózł mu je z Więcborka. Niemcy przytłumili trochę swoje tuby propagandowe. Nie ryczeli już tak głośno i nie podawali wciąż nazw nowych miejscowości, które zajmowali na wschodzie. Tam właśnie zostali uwikłani w ciężkie walki pozycyjne. Przyhamowały ich sroga zima i coraz twardszy opór przeciwnika.

Myślałem o wigiliach Bożego Narodzenia, które przeżywałem w Brzostowie. Wielką atrakcją dla dzieci w Wigilię był gwiazdor, czyli przebieraniec. Przynosił prezenty i napominał dzieci, żeby były grzeczne i słuchały rodziców. Najczęściej za gwiazdora przebierał się ojciec. Po czasie zaczęliśmy ojca rozpoznawać po ruchach, gestach i dłoniach. Pewnego razu rodzice użyli fortelu – w Wigilię ojciec zachorował. Było to częściowo zgodne z prawdą, bo wcześniej źle się czuł i był przeziębiony. Położył się do łóżka i matka zabroniła nam do niego wchodzić, żeby miał spokój. Matka pomogła mu się przebrać. Wyszedł frontowymi drzwiami i niby z zewnątrz, już jako gwiazdor przyszedł do kuchni, gdzie byliśmy zgromadzeni. Podstęp udał się w stu procentach i gwiazdor nie został rozpoznany – na twarzy miał maskę, a na rękach rękawiczki. Potem wyszedł tą samą drogą, przebrał się i już jako ojciec przyszedł do kuchni, cieszyć się razem z nami z prezentów. Ja z Ignacem otrzymaliśmy wieczne pióra. W tym czasie były one mało rozpowszechnione. Od pewnego czasu chodziłem z rękami ubrudzonymi atramentem, ponieważ chciałem zrobić sobie wieczne pióro

we własnym zakresie. Pióra sprawiały nam nieopisaną radość, było to spełnienie marzeń. Moje pióro miało pojemnik na atrament z miękkiej gumowej rurki, zaślepionej na końcu. Nappełniało się ją przez wciśnięcie przycisku, który napierał na płaską sprężynę, a ta z kolei z boku na gumową rurkę pojemnika. Po rozkręceniu pióra nie miałem sposobu na jego ponowne złożenie, zostało więc wymienione na inne, z tłokowym pojemnikiem na atrament. Musiałem jednak zajrzeć do środka jednego i drugiego, żeby zobaczyć, jak takie pióro działa.

Gdy tak wspominałem Wigilię w Brzostowie, wydało mi się, że ktoś na mnie patrzy. Spojrzałem w tym kierunku i w panującym półmroku, na korycie u żrebaka, niecałe półtora metra od mojej głowy, dostrzegłem siedzącego wielkiego szczura. Przyszła mi niedorzeczna myśl, że jest on moim gościem (na lepszego widocznie nie zasługuję) i nie powinienem go przepędzać. Stare szczury odchodzą od stada – jako zniedołężniałe i bardzo często chore nie są w stanie się obronić przed resztą osobników i są przez nie pożerane. Na ogół szczury cierpią na brak pożywienia i to głównie hamuje ich rozmnażanie.

W święta pojechałem na kilka godzin do rodziny, do Dorotowa. Z Zakrzewka do Dorotowa jest dwanaście kilometrów. Obie miejscowości leżą na linii kolejowej Więcbork–Złotów, między którymi pociąg jeździł wahadłowo. W domu było biednie, ale nadzwyczaj serdecznie i optymistycznie. Poczułem ciepło rodzinne, którego brak odczuwałem tak dotkliwie. Rodzina, a w szczególności matka, zasypała mnie różnymi wiadomościami o niemieckich niepowodzeniach na wschodzie. Tego rodzaju „rewelacje” nie robiły na mnie większego wrażenia, bo najczęściej były zbyt optymistyczne albo nieprawdziwe. Tym razem było jednak inaczej, o czym miałem się niebawem przekonać.

Wyjazd do Dorotowa był dla mnie dużym przeżyciem. Za każdym razem na ten wyjazd cieszyłem się jak małe dziecko – na kilka godzin, a nawet kilka dni naprzód. Do Dorotowa jechałem jak do kawałka Polski. Była to wieś niezbyt okazała, ale tu mówiło się, a nawet krzyczało na ulicy po polsku. Nie mieszkał tam ani jeden Niemiec, bo i ziemia, i budynki były słabe, a to ich nie przyciągało.

DZIEŃ ZA DNIEM

Ciężkie były każdorazowe pożegnania z rodziną. Szczególnie dokuczliwy smutek przeżywałem w każdą niedzielę wieczorem. Nigdy nie było wiadomo, co przyniesie nadchodzący tydzień. Zawsze

myślałem, żeby chociaż nie był gorszy od poprzedniego. Ale tym razem w drodze powrotnej z Dorotowa do Zakrzewka nawiedził mnie niezgłębiony smutek, co było spowodowane beznadziejnością mojego codziennego życia. W przedziale pociągu jechałem sam. Było zimno, zupełnie ciemno i śmierdziało biedą. Do głowy przychodziły mi absurdalne myśli. Rozwahałem, ile może być szczurów pod skrzynią na sieczkę i pod moim łóżkiem. Szczurów się nie bałem, ponieważ nie było przypadku zaatakowania człowieka przez te gryzonie, nie wchodziły też na pościel ani pod nią, najwyżej przebiegały po górnej krawędzi szczytu łóżka. Było ich jednak sporo, wskazywały na to upiorne piski, najczęściej po nocach, kiedy zagryzały się i pożerały. Była to samoregulacja ich liczebności. W stajni miały dobre warunki bytowania – posadzka była z gliny, drażyły w niej dowolne kanały. Niemiec dosypywał do sieczki dla koni ziarno żyta. Było to przez niemieckie władze zabronione i dlatego dosypywał tylko tyle, ile konie zjadały na bieżąco, ale i tak zawsze pozostawały resztki, którymi pożywiały się szczury. Wchodziły do sieczki, pozostawiały po sobie odchody, co nie szło na zdrowie koniom. Niemiec nie miał jednak sposobu na te gryzonie. Czasami udało mu się jakiegoś zatłuc, nam również, ale była to po prostu kropla w morzu.

Rewelacje, które mi przekazano w święta w Dorotowie potwierdziły się. Któregoś dnia późnym wieczorem Heniu wrócił od swojej rodziny, zapalił latarnię i obudził mnie, siadając na łóżku. Opowiedział mi, że Niemcy pod Stalingradem ponieśli klęskę. Stracili trzysetnastutysięczną armię. Wojska te częściowo zostały zniszczone, a reszta dostała się do niewoli. Do niewoli dostał się też dowódca szóstej armii – generał Friedrich Paulus, wraz ze swoim sztabem.

NIEMCZYŻNA

Aglomeracja utworzona przez wieś Zakrzewek i Zakrzewskie Wybudowania była dużym skupiskiem Niemców na terenie Polski przed 1939 r., mieszkało tam zaledwie kilku polskich gospodarzy. Jak układały się przed wojną stosunki Niemców z Polakami i władzami polskimi, trudno mi powiedzieć, mam za mało informacji, podobnie o innych skupiskach Niemców na terenie Polski. Przypuszczam, że tak jak w okolicach Brzostowa i Miasteczka, Niemcy w okresie międzywojennym mieli tutaj niczym nieograniczoną swobodę. Nie jest ważne, czy Niemcy na terenie Polski mieszkali w większych czy mniejszych skupiskach, ważne jest to, że byli wyjątkowo złymi ludźmi. Byli

wśród nich autentyczni polakożercy – ludzie, którzy po wybuchu wojny w 1939 r. mordowali Polaków. Na tych terenach miejscem największej kaźni było Karolewo, sześć kilometrów od Więcborka. Zamordowano tam dwa tysiące Polaków w prywatnym obozie śmierci, który urządzili sobie tamtejsi Niemcy. Niektórzy ludzie z Zakrzewka twierdzili, że Emil Dewner również brał udział w tych mordach. Stanowczo zaprzecza temu Feliks Przybyła z Zakrzewka, który twierdzi, że nienawiść Dewnera do Polaków wynikała z jakichś jego przedwojennych nieporozumień z władzami polskimi. Niektórzy Niemcy nienawiść do polskiego narodu wyssali dosłownie z mlekiem matek, a podsycало ją wiele organizacji niemieckich, zarówno przed wojną jak i w czasie jej trwania.

Niemcy niszczyli Polaków i polskość wszelkimi sposobami. Sądzę, że w tej eksterminacji posunęliby się znacznie dalej. Zrozumieli jednak, że jesteśmy im potrzebni do pracy, a także do wojska. Z niemiecką arogancją i bezczelnością zmuszali ludzi do podpisywania folkslisty i mężczyzn od razu wcielali do wojska. Było to szczególnie odczuwalne, gdy zaczęli ponosić na wschodzie coraz większe klęski i straty w ludziach. Od zimy do lata u Dewnera zmieniło się trzech „dużych” parobków. Najpierw został powołany do Wehrmachtu Heniu K. Jego miejsce zajął Jasiu D. Półtora miesiąca, może dwa później również Jasia wcielono do armii. Jego miejsce zajął Zygfryd Sz. – wcielony do marynarki wojennej. Cała trójka przeżyła i powróciła z wojny. Najbardziej poszkodowany był Zygfryd – stracił wszystkie zęby i zaczął ciężko chorować. Po kilku latach zmarł.

Po zabraniu tej trójki, mając niecałe szesnaście lat, zostałem „dużym” parobkiem. Wykonywałem wszystkie lekkie i ciężkie prace, jakie były do zrobienia w dwudziestotrzyhektarowym gospodarstwie, a przecież miałem dwustronną przepuklinę pachwinową i chodziłem w sprężynowym pasie.

Pomimo ponoszonych strat nienawiść Niemców do Polaków nie malała, a wręcz rosła. Pod Sępólnem Krajeńskim został zastrzelony Skowroński z Dorotowa. Był parobkiem u Niemca. Za jakąś niesubordynację przyszła go bić policja pomocnicza. Tłukli go kolbami karabinów gdzie popadło (zazwyczaj kończyło się to odbijaniem ciała i łamaniem kości). Skowroński tego nie wytrzymał i uciekł do sadzawki. Niemcy dali mu polecenie, żeby wyszedł, a gdy go nie wykonał, oddali do niego z karabinu strzał w nogi. Skowroński wskazał na serce i powiedział, że jeżeli go chcą zastrzelić, to niech celują w serce, a nie

w nogi. Następny strzał padł w serce. Sadtawka nie była duża i woda stała się czerwona od krwi zabitego człowieka. Wyciągnięto go hakiem. Policja pomocnicza często biła parobków, skutki bicia były różne – jedni je przeżyli, inni nie, a jeszcze inni zostali kalekami.

W Zakrzewku dominowało trzech gospodarzy – bracia Paul i August Gert oraz Emil Dewner. Paul miał prawie stuhektarowe gospodarstwo, August mniejsze i był burmistrzem, Dewner miał gospodarstwo najmniejsze i nosił miano przodującego gospodarza. Całe to towarzystwo łączyły poprawne stosunki. Czy z miana przodującego gospodarza wynikały jakieś funkcje, nie jestem pewien, ale nieraz przychodzili do niego jacyś ludzie i wyglądało, że załatwiają sprawy urzędowe. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że Dewner był dobrym gospodarzem i swoje gospodarstwo prowadził wzorowo. Musiał mieć też znaczące wpływy w swoim środowisku, skoro mógł zabierać parobków innym, również niemieckim gospodarzom, a nawet wdowie.

Wszystkie te sprawy mało mnie interesowały. Nie obchodziło mnie, ile który Niemiec ma hektarów i z kim jest skoligacony. Pewne fakty musiałem jednak znać, ponieważ dotyczyły mnie bezpośrednio. Pewnego razu Emil Dewner wysłał mnie do Paula Gerta, żebym pożyczył młot. Całą drogę powtarzałem niemiecką nazwę młota i końcu ją zapomniałem. Na moje nieszczęście na podwórzu nikogo nie było i musiałem wejść do mieszkania. Wszedłem do kuchni – było to obszerne pomieszczenie, w którym znajdowało co najmniej siedem osób. Rozmowy ucichły i wszyscy skierowali wzrok w moją stronę. Powiedziałem po niemiecku „dzień dobry” – tyle już umiałem – i dalej wypowiedziałem moje życzenie. Wszyscy wybuchli głośnym śmiechem. Nie śmiała się tylko jedna osoba, polska służąca, która szczerze mi współczuła. Czułem się, jakby mnie przypalano gorącym żelazem, nie wiedziałem, z czego się Niemcy śmieją. Wydawało mi się, że śmieją się z mojej polskości. Chciałem powiedzieć „ja chcę młot” a powiedziałem, „ja chcę owies”, te niemieckie słowa w brzmieniu były do siebie podobne – Hammer znaczy młot, a Hafer owies. Było to jeszcze jedno upokorzenie, których nie szczędził mi los. Następne spotkały mnie również w tym gospodarstwie, ale w innych okolicznościach.

BYCZE HISTORIE

Do moich obowiązków należało prowadzenie krów do stadnika u Paula Gerta. Początkowo asystowałem przy tych czynnościach, a wiodącym był „duży” parobek. Z chwilą, gdy stałem się jednocześnie

nie „dużym” i „małym” parobkiem, krowy prowadzałem sam, nie miał mi kto asystować. Zakładałem krowie na rogi powróż, dalej robiłem z niego pętlę i zakładałem ją na pysk, żeby mieć większą władzę nad bydłakiem i móc go utrzymać. Jak krowa nie chciała iść, „pomagałem” jej kijem. Raz wybrał się ze mną Emil. Chciał prawdopodobnie sprawdzić, jak się wywiązuję z tego obowiązku i jednocześnie pogadać sobie z oborowym, który wyprowadzał stadnika. Rozmowa płynęła wartko, była prowadzona w dialekcie i nic z niej nie rozumiałem. Wiedziałem jednak od Henia, czego ich rozmowa dotyczy. Oborowy wychwalał walory buhaja i jego moc płciową, która była podobno nieograniczona, nigdy się nie „skompromitował” przed żadną krową, niezależnie od tego, ile ich było danego dnia. Nie było wątpliwości, że byk był utożsamiany z nacją niemiecką, której męska część miała również nieograniczoną energię płciową. Emil był dumny, że należy do tego grona.

Prowadzenie krów do stadnika było dla mnie prawdziwą udręką, między innymi za sprawą oborowego. Nazywał się Mantaj i w stosunku do mnie był bardzo arogancki, złośliwy, wręcz nieznośny. Gdy widział mnie prowadzącego krowę, cieszył się wyraźnie, że będzie mógł poużywać sobie na polskim szczeniaku.

Trzeba był zmienić stadnika, bo ten wychwalany przez Mantaję był ciężki i niektóre słabsze krowy pod nim padały. Jego następca był wprawdzie lżejszy, ale nie tak doskonały. Miałem się o tym przekonać, kiedy poszedłem z krową pracownicy Dewnera. Mantaj wyprowadził buhaja, ale ten był zupełnie nieczuły na obecność płci odmiennej. Stał obok krowy, a Mantaj zachęcał go jak umiał, ale nic z tego nie wychodziło. Przemawiał do niego dialektem, przemawiał też czystą niemczyzną, ale byk nic nie rozumiał, nic nie pomagało. Najgorsze było jednak to, że byczysko kompromitowało Mantaję w mojej obecności. W obecności tego polskiego szczeniaka. Atmosfera gęstniała i nic dobrego nie mogło z tego wynikać. Wreszcie Mantaj zaczął mnie przeklinać i wyzywać od najgorszych, poczynawszy od polskiej świni i obwiniać o wszystko – że źle trzymam krowę, że źle przy tym stoję, że czymś byka zasugerowałem i że krowa nie podoba się bykowi. Być może coś w tym było – krowa była niezbyt okazała i była krową polską, ponieważ należała do Polki. Być może niemiecki byk to wyczuł i nie chciał się zadawać z polską krową. Nigdy tego nie zgłębiłem, czy była to bycza niemoc, czy też pobudki rasowe. Złość Mantaja doszła do zenitu. Przypomniiał sobie o kiju. Byłem

pewien, że mi przyłoi. Dostało się jednak bykowi. Oborowy zaczął go pukać w jedno miejsce. Na zwierzęciu to nie robiło wrażenia. Ale po kilku tam uderzeniach bykowi się sprzykrzyło, a może go zabolalo i wreszcie ruszył. Mantaj nie był na to przygotowany. Nie zdążył złapać drugą ręką za tyczkę, żeby buhaja przyhamować – w rezultacie jedną ręką trzymał za tyczkę zakończoną krótkim łańcuchem i sprężyną zaczepioną o kółko w nosie byka, a drugą ręką chwycił za grzbiet zwierzęcia. W ten sposób nie był jednak w stanie zatrzymać pędzącego zwierza, który nabierał coraz większej prędkości i pędził z dosyć stromego wzniesienia prosto do jeziora. Mantaj wydawał się dziwnie mały i pokraczny, wykonywał przy tym jakieś niesamowite podskoki. Jeden drewniak spadł mu z nogi, zatoczył w powietrzu łuk i spadł z tyłu, drugi jak z procy wyskoczył w bok. Niewątpliwie w czasie tego rozpaczliwego biegu, dała znać o sobie ułomność jego nóg. Mantaj miał obie stopy skręcone palcami do środka i jak szedł, całe jego ciało przy każdym kroku podnosiło się o kilka centymetrów i opadało. Byk zauważył poprzez nadbrzeżne szuwary wodę i nagle skręcił w prawo. Oborowy znajdował się z lewej strony zwierzęcia i nie przewidział tego manewru – z rozpędu wbiegł prosto do wody. Na moment zapadła cisza.

Groteskowe wydarzenie przybrało dramatyczny obrót. Przeraziłem się, że oborowy się utopi, a winę za to przypiszą mnie. Wreszcie usłyszałem pluskanie wody i przekleństwa Mantaja. Wyszedł z jeziora mokry, ale kij trzymał w ręce i już z daleka zaczął mi nim grozić. Zrozumiałem, że nic tu już po mnie, bo mogę tylko oberwać. Wziąłem krowę za powróż – i do domu. Byk, wlokąc tyczkę wiszącą mu na kółku u nosa, pobiegł na pole. Dwóch parobków wskoczyło na konie i popędziło za nim. Zwierzę było groźne i rzucało się na ludzi. Gdy były kłopoty ze złapaniem i ujarzmieniem rozjuszonego zwierzęcia, jadący wierzchem strzelał do niego z dubeltówki drobnym śrutem, który nie przebijał grubej skóry, ale wywoływał ból i zwierzę wracało na swoje miejsce w oborze, gdzie czuło się bezpieczne.

W drodze powrotnej krowa, ponieważ nie została pokryta, zaczęła stroić fochy. To nie chciała iść, to znowu biegła. Nie mogłem nad jej fanaberiami zapanować – ziemia była oblodzona, a na wierzchu zalegał mokry śnieg. Z niedużej góry krowa puściła się biegiem i pociągnęła mnie za powróż, więc ja już nie biegłem, lecz ślizgałem się. Krowa w biegu przeskoczyła przez kopcowy dół po ziemniakach i wtedy ja potknąłem się i upadłem. Uderzyłem piersiami o przeciw-

ny brzeg dołu. Zamroczyło mnie, do ust napłynęła mi słona ślina. Zorientowałem się, że leżę w wodzie, tylko mi głowa wystaje. Zdałem sobie sprawę z tego, że mogę się utopić. Resztkami sił wygrzebałem się z dołu i poszedłem do domu, czyli do stajni. Z góry zobaczyłem, że krowa jest już bezpieczna, na swoim podwórzu.

Za te bycze usługi świadczone na rzecz krów Dewnera, ja musiałem odrabiać u Paula Gerta. Jakby za mało pracy było w gospodarstwie. Zimą podczas młócenia wiązałem u niego słomę.

Na tym nie skończyły się nasze rodzinne przygody z bykami. Brat Stachu był oborowym w Prusach Wschodnich w miejscowości Kocinos (obecnie Kaczynos). Od właściciela dostał polecenie, by zaprowadzić dwa byki do Malborka, odległego o około trzynaście kilometrów. Byki nie były wielkie, ale prowadzenie ich drogą uczęszczaną również przez samochody i inne pojazdy mechaniczne było niebezpieczne.

Każdy z byków ważył około trzystu kilogramów. Były agresywniejsze i niebezpieczniejsze od krów, ponieważ wcześniej nie były nigdzie wyprowadzane, nie miały jeszcze kółek w nosie. Stachu założył bykom na rogi łańcuchy i z nich zrobione pętle na pyski. Łańcuchy obu byków połączył ze sobą. Prowadząc je, znajdował się między nimi. Gdy znaleźli się za bramą folwarcznego podwórza, buhaje ruszyły do przodu i brat nie był w stanie ich powstrzymać. Biegł więc pewien dystans, aż trafił prosto na betonowy słup podtrzymujący przewody energetyczne, w ostatniej chwili puścił łańcuch. Mógł stracić palce u rąk, gdyby byki tym łańcuchem przygniotły mu je do betonowego słupa. Pędzące zwierzęta zatrzymały się – jeden z jednej strony słupa, a drugi z drugiej. Brat zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie wymusi na tych zwierzętach posłuszeństwa, nie tylko nie doprowadzi ich do celu, ale i dla niego ta wyprawa może się źle skończyć. Zdany był na własną inwencję i własne siły (należy tu zaznaczyć, że był mocnym mężczyzną). Postanowił bykom sprawić takie lanie, by odechciało im się dzikich harców. Sytuacja była dogodna, bo były unieruchomione łańcuchem zapętanym wokół słupa. Stachu miał solidny dębowy kij, którym zaczął je okładać. Dostały tyle, że jeden z nich upadł na kolana i zaczął porykiwać. Po tym tęgim wytrząsku buhaje spokojnie dały się zaprowadzić do miejsca przeznaczenia – szły jak baranki i nie było z nimi żadnego kłopotu.

Całemu zająsciui przyglądał się z bramy podwórza właściciel gospodarstwa. Nie interweniował, wykrzyknął tylko: „– Mój Boże, on

je pozabija!". Wiedział dobrze, że popełnił błąd, ponieważ byki powinny być odwiezione pojazdem do przewożenia zwierząt.

Wielu czytelników zapewne potępi brata za takie niehumanitarne zachowanie. Proponuję zatem, by wzięli na łańcuchy dwa duże byki i poprowadzili je trzynaście kilometrów drogą uczęszczaną przez pojazdy mechaniczne. Metoda była drakońska, ale w tych warunkach jedyna i bardzo skuteczna.

Wydarzenia, o których teraz będę opowiadał, miały miejsce w Brzostowie w gospodarstwie ojca. W ciągu kilku powojennych lat ojciec dochował się dobrego bydła. Dopóki ojciec nie został kulakiem i wrogiem ludu pracującego, władze uznawały jego oborę za wzorową. Ojciec hodował też byka. Od pewnego momentu byk nie był już wyprowadzany, bo miał za dużą wagę, stał uwiązany w oborze. Żeby łańcuch nie wrastał mu w skórę, na karku miał specjalną obręcz, do której były dołączone dwa łańcuchy. Każdy z nich był wiązany do oddzielnego kółka zabetonowanego w podmurówce koryta. Kółka znajdowały się w pewnej odległości jedno od drugiego, co utrudniało zwierzęciu manewry.

Któregoś dnia byk zdemolował podmurówkę koryta, wyrwał z betonu oba kółka i uciekł z obory. Sytuacja była niebezpieczna, buhaj był groźny dla ludzi. Przerażony ojciec spuścił z łańcuchów dwa psy, złapał jakieś widły i ruszył w pogoń za bydlakiem, który na szczęście nie uciekł daleko, ponieważ dołączył do stada przechodzących krów. Został osaczony przez psy i udało się go odłączyć od bydła. Jeden z psów gryzł go po nogach, a on się przed nim opędzał. Drugi zalatywał go od strony łba, aż wreszcie skoczył i złapał go za ucho. Pies dostał szczękoscisku, zawisł bydlakowi na uchu. Zwierzę machało łbem, ale to nic nie pomagało. Musiało go to bardzo boleć, bo wreszcie zrezygnował ze swobody i pobiegł do obory na swoje miejsce, a łeb z wiszącym przy uchu psem położył na korycie. Żeby uwolnić bycze ucho, ojciec musiał rozwierać psu pysk klinem. (Pies był szczupły i nieduży, na cienkich nogach, ale miał bardzo silne szczęki. Któregoś razu zostały nim poszczute owce. Pies skoczył, złapał owcę za nogę i... odgryzł ją).

Bardzo groźne buhaje były prowadzane przez trzech mężczyzn – dwóch prowadziło za kółko (miało sześć do ośmiu milimetrów grubości) w nosie na dwóch tyczkach, a trzeci, za powróż uwiązany z tyłu do tego, co odróżnia byka od krowy.

Byk wyhodowany przez ojca warzył ponad tonę i po sprzedaniu został zastrzelony z karabinu, ponieważ rzeźnik bał się go zabijać inaczej w miejscu nieprzystosowanym do tego celu.

BYŁE PRZETRWAĆ

Pobyt u Niemca wpływał na mnie ogłupiająco. Najmocniej odczuwałem zakaz mówienia po polsku i brak kontaktów ze środowiskiem polskim. Wszystko wydawało mi się czarne, ponure i splugawione niemczyzną. Słupek w płocie, sztacheta, deska, a nawet całe wrota i stodoła w mojej wyobraźni nosiły znamiona niemieckie. Także lby i pyski zwierząt – w moim odczuciu w jakiś sposób były podobne do Niemców. Wszystko to było spowodowane ciężką niewolniczą pracą i beznadziejnością sytuacji, w jakiej się znalazłem. Martwiła mnie również przepuklina. Najczęściej spałem w pasie, ponieważ po wielogodzinnej pracy bez niego nie mogłem zasnąć. Wydawało mi się, że pęka mi brzuch. Miejsca, do których przylegał pas odparzały się, mocno swędziały i często w czasie snu drapałem je. Rezultat był taki, że miałem zakrwawioną koszulę i pościel. Nie miałem możliwości porządnego wymycia się – nie było ciepłej wody, mydło przypominało glinę, mazało się tylko, a nie pieniało.

Wielki wpływ na moje samopoczucie miały arogancja i bezczelność Niemców. Zniewalały mnie ich przemoc, hałaśliwy sposób bycia i ubierania. Ubierali się różnie, również pół-sportowo. Nosili długie buty, którymi dokopali niejednemu Polakowi. Ich czapki były skrojone na wzór wojskowy. Nosili też małe tyrolskie kapelusze. Najgorsze było jednak to, że w tym czasie zwyciężali jeszcze na wszystkich frontach, co działało na mnie deprymująco. Wydawało mi się – i tak było w rzeczywistości – że są bardzo mocni i pokonanie ich potrwa wiele lat. Nigdy jednak nie wątpiłem, że wojnę przegrają.

Latem pracowałem nawet po szesnaście godzin. Wstawałem o wpół do czwartej, a szedłem spać o dwudziestej drugiej. Ciągłe byłem niewyspany. Usypiałem, stojąc, idąc. Pewnego razu kosilem kosą żyto, które wylegało i nie można go było zebrać maszyną. W pewnym momencie poczułem dziwną słabość, nie miałem siły, by dociągnąć kosę do końca pokosu. Upadłem, co mnie bardzo przeraziło, ponieważ nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Gdy wstałem, nie miałem siły do dalszego koszenia. Oparłem się na kosisku i przysnąłem na stojąco. Wtedy ugięły się przede mną nogi w kolanach i znów upadłem. Powtórzyło się to ze trzy razy i wreszcie poczułem

się lepiej. Doszedłem do wniosku, że ta słabość wynikała z braku snu i powinienem chociaż kilka minut się przespać. Nie mogłem jednak nawet usiąść, ponieważ usnąłbym natychmiast kamiennym snem, za co Niemiec by mnie skatował. Idąc za pługiem również usypiałem, naciskałem wtedy na rączki pługa i pług wyskakiwał z ziemi, ale wtedy zawracałem konie i orałem dalej. Gorzej było w czasie bronowania – raz upadłem na bronę, innym razem wdepnąłem w nią nogą. Zdarzało się, że usypiałem w ubikacji. Kiedyś mój pobyt w ubikacji według Emila trwał zbyt długo, więc zaczął mnie nawoływać. A kiedy to nie pomogło, przybiegł i przywalil pięścią w drzwi ubikacji. Tak się złożyło, że miałem głowę opartą o te nieszczęsne drzwi. Kiedy Niemiec w nie uderzył, zagięte, ale wystające gwoździe skaleczyły mi czoło i zacząłem obficie krwawić. Niemiec kiedy to zobaczył, skomentował następująco: „– Mało tego, że tak długo s..., to jeszcze mu z głowy krew leci”. Powiedzenie było absurdalne, ale to mu się zdarzało. Innym razem powiedział, że mam kurzy charakter, bo jak jest praca, to mnie puchnie twarz (chodziłem jesienią boso za siewnikiem, przeziębilem się i spuchła mi twarz od zęba). A praca była zawsze.

UCIECZKA W WYOBRAŹNIĘ

Przed całkowitym otumanieniem niemczyzną broniłem się na różne sposoby, między innymi przez stworzenie „kącika historycznego”. Powstał przede wszystkim w mojej wyobraźni, a fizycznie znajdował się za stodołą od strony południowo-zachodniej. W niedzielę nie pracowaliśmy. Wtedy często wychodziłem za stodołę, gdzie grzało słońce i nie byłem na oczach Emila. Za stodołą była szopa poprzecznie obita deskami. Pod wpływem zmian atmosferycznych uwydatniły się na nich się słoje i sęki, które tworzyły przedziwną mozaikę kształtów i odcieni. Można się było w niej dopatrzeć wszystkiego. Wpatrywałem się w to godzinami. Widziałem tam zbroje, szyszaki rycerskie, skrzydła husarskie, miecze, tarcze, a nawet konie w galopie z jeźdźcami. Bywało, że w mojej wizji brakowało jakiegoś szczegółu, więc dorabiałem go, drapiąc gwoździem po desce. Kiedyś Emil zauważył te świeże „drapanki”. Przeraziłem się, że zgłębi moją tajemnicę.

Niektórzy chłopcy, pracujący u niemieckich gospodarzy, dostawali od nich rowery, żeby dojechać do rodziny i zawieść swoje brudne koszule. U Dewnera takiej możliwości nie było. Niemiec

niechętnym okiem patrzył na mój rower. Polak powinien być biedny, niczego nie posiadać i w każdym calu zależeć od Niemca.

Mój ślepek uległ zasadniczym zmianom. Kiedy w Sypniewie dostałem lanie od Niemczaków, którzy zdemolowali mi rower, zostało w nim zmienione tylne koło. Przeistoczył się w rower z torpedem (tak nazywa się mechanizm przekazujący napęd i hamowanie na tylne koło). Można teraz było hamować pedałami, wystarczyło naciskać na nie wstecz. Rozszyfrowanie i zrozumienie tego ciekawego mechanizmu sprawiło mi nieopisaną radość. Poznałem jeszcze jeden mechanizm rowerowy napędzający koło i hamujący je w razie potrzeby. W pierwszym siły hamujące działały odśrodkowo, w drugim bocznie – było to swego rodzaju sprzęgło tarczowe. Te ciekawe rozwiązania techniczne pobudziły moją wyobraźnię i fantazję. Często, gdy wykonywałem monotonną pracę niewymagającą zaangażowania umysłowego, zaczynałem imaginować. Nie były to abstrakcyjne urojenia, niezwiązane z rzeczywistością, lecz konstruowanie w wyobraźni urządzeń technicznych. Odrywało mnie to od ponurej rzeczywistości, sprawiało wielką przyjemność i satysfakcję. Można powiedzieć, że były to rozkoszne myśli. Płynęła z tego jeszcze jedna wielka korzyść – rozwój i kształcenie wyobraźni przestrzennej.

Najważniejszym zagadnieniem technicznym, nad którym rozmyślałem ze dwa lata, był samolot napędzany siłą mięśni ludzkich. Konstrukcja jego oparta była oczywiście na idei roweru i jego części. Pojazd ten permanentnie udoskonalałem i modyfikowałem. Zmian konstrukcyjnych dokonywałem w myślach, ponieważ w moich warunkach nie było mowy o jakimkolwiek fizycznym wykonawstwie. Właśnie brak możliwości wykonawczych zmusił mnie w końcu do zarzucenia tego tematu.

Moim dużym sukcesem technicznym było zrobienie kompasu – z kawałka cienkiej blachy wyciętej na kształt podwójnej symetrycznej wskazówki. Na środku miała wgniecenie (dzięki czemu nie spadała z igły i mogła się swobodnie obracać), a oba jej końce były wygięte nieco w dół. Bardzo blisko nad wgnieceniem wskazówki znajdował się kawałek płaskiego szkła, które zabezpieczało wskazówkę przed spadnięciem z igły przy zmianach położenia kompasu. Wskazówkę namagnesowałem magnesem pochodzącym z jakiegś rowerowej prądniczki. Obudowę kompasu zrobiłem z drewna.

Kącik historyczny, jak i te techniczne imaginacje, miały dla mnie ogromne znaczenie moralne. Miałem coś, czego Niemcy nie mogli

mnie pozbawić. To niewymierne „coś” dawało mi dużo satysfakcji, nadziei i było moją psychiczną ostoją. Choć nie pozwolono mi kontynuować zawodu technicznego (rzemiosła), w myślach stworzyłem sobie własny świat techniki.

ZWIERZĘTA

Niemiec miał trzy konie. Cała trójka dobrze ciągnęła i nigdy nie odmawiała pracy, nawet w ekstremalnych warunkach. Były to dobre robocze konie, bardzo posłuszne. Największa i najmocniejsza była kara kłacz – Mica. Drugim pod względem siły był gniady wałach. Ponieważ zapomniałem, jak się na niego mówiło, nazwijmy go – Średni. Trzeci był wałach kasztan – Hanc. Był najmniejszy i najsłabszy, ale w porównaniu z pozostałymi pracował najciężej. W czasie bronowania ciągnął taką samą bronę jak Mica. Konie były zaprzężone kaskadowo. Mica ciągnęła pierwszą bronę i miałem ją w lejcach. Drugą bronę ciągnął Średni i był za uzdę uwiązany do pierwszej brony. Hanc ciągnął trzecią bronę i był uwiązany za uzdę do drugiej brony, którą ciągnął Średni. Nie byłem zadowolony z takiego stanu rzeczy, ponieważ ślady bron zachodziły na siebie i musiałem więcej razy chodzić, co miało miejsce szczególnie podczas bronowania na okrągło, a przede wszystkim przy zawracaniu. Wtedy to odganiałem batem Hanca, żeby się oddalał, co umożliwiała zabieranie bronami szerszego pasa ziemi. To odganianie dla Hanca miało fatalne skutki – przy każdym śmignięciu batem, czy go uderzyłem czy też nie, podrzucił do góry łbem i łańcuch, którym był uwiązany do brony poprzednika, szarpał go za uzdę. Nie zdawałem sobie sprawy, że w takiej chwili wędzidło uzdy kaleczy mu dziąsła i być może język. W czasie wyprzęgania, kiedy miałem powiązać konie jeden do drugiego w tej kolejności, w jak ciągnęły brony, zauważyłem, że Hancowi cieknie z pyska czerwona ślina. Chciałem się do niego zbliżyć, żeby się temu przyjrzeć, a on uznał któryś mój ruch za wrogi gest. Podrzucił łbem i wtedy zorientował się, że jest wolny. Odskoczył i dał dyla do domu. Zorientowałem się, że nie jest dobrze i skoczyłem, żeby złapać za lejce Micy, ale już nie zdążyłem. Ruszyła za Hancem. Średni też nie czekał i ruszył jako trzeci. Zostałem bez koni. Szczęście mi jednak sprzyjało, ponieważ wszystkie trzy były już wyprężone z bron. Gdyby uciekły z bronami, mogłoby dojść do tragedii. Konie ruszyły galopem i nogami porwały uprząż. Biegłem za nimi i zbierałem pourywane części puszorków.

Niemca nie było w domu, a gospodyni nawet nie zauważyła, co się stało. W porze obiadowej uprząż pozbijałem gwoździami i powiązałem drutem, tak że po obiedzie wyjechałem w pole.

Po kilku dniach Niemiec zauważył, że tu i tam uprząż jest porwana i zaczął się wściekać. Skończyło się jednak na tym, że któregoś dnia, gdy padał deszcz, nie pojechałem w pole i pozszywałem porwaną uprząż. Szyłem na dwie igły dratwą. Niemiec miał ławę rymaryską, co było dużym udogodnieniem. Naprawę ułatwiały też kawałki surowej skóry. Szyć i robić dratew, zarabiając ją do igły, nauczył mnie ojciec.

Na tym jednak przygoda z Hancem się nie skończyła. Któregoś dnia niosłem naręcz siana. Kiedy przechodziłem z tyłu za nim, odpasował i kopnął mnie w brzuch zadnimi nogami (koń kopie zawsze obiema zadnimi nogami jednocześnie). Uratowało mnie siano, które niosłem przed sobą – ja przylgnąłem do ściany, a siano zamortyzowało kopnięcie.

Dostałem też kopniaka od krowy (krowy kopią jedną nogą). Miałem dużo szczęścia, bo dzięki temu, że przechodziłem z tyłu dostatecznie daleko od krowy, siła uderzenia nie była zbyt duża. Mimo to kopniaka czułem kilka dni. Mogło być jednak znacznie gorzej. Krowa zrewanżowała mi się za „łechtanie” widłami (w czasie słania słomy pod krowy przejeżdżałem je po brzuchu rogami widel, bały się tego jak ognia, bo je to bolało).

Podobną przygodę miał brat Ignac, gdy był oborowym u Niemca w Prusach Wschodnich. W oborze pod ścianą był uwiązany byk. Nad nim prowadziła kładka z szerokiej grubej deski, po której wchodziło się, żeby zrzucić siano dla bydła. Gdy Ignac przechodził nad bykiem, często łechał go z góry widłami. Zwierzę to zapamiętało. Pewnego razu, gdy Ignac zbliżył się do kładki, by po niej przejść, bydlak wpadł w szał. Z obawy, by na widok Ignaca byk nie zerwał się z łańcuchów, siano chodził zrzucić kto inny. Musiało upłynąć sporo czasu, nim bydlak zapomniał swoją krzywdę.

Ani z końskiego, ani z krowiego kopniaka nie wyciągnąłem odpowiednich wniosków. Nie kojarzyłem tych zdarzeń z tym, że ja wyrządzałem im krzywdę, a one to zapamiętały i w ten sposób się rewanżowały.

Któregoś dnia wracałem końmi z pola i już z daleka zauważyłem, że pod ścianą wozowni stoi owca z jagnięciem. Gdy podjechałem bliżej, zorientowałem się, że jagnię jest uwięzione – włożyło nóżkę

w oparte o ścianę brony, stojące na skos jedna na drugiej. Zwierzątko nie mogło się uwolnić. Wprowadziłem konie na podwórze i zająłem się owieczką. I matka, i jagnię błagającym wzrokiem spoglądały na mnie. W tym wzroku było coś zwykłego i niezwykłego. Ich spojrzenie uświadomiło mi, że są tylko zwierzętami i nie ponoszą winy za to, że ich właścicielem jest Niemiec. Po tym wydarzeniu całkowicie zmienił się mój stosunek do otoczenia i zwierząt. Poczułem się lepiej, jakbym pozyskał przyjaciół.

Przypomniało mi się też wydarzenie z Brzostowa. Po padłej owcy pozostało bardzo małe jagnię. Maleństwo było skazane na zagładę. Postanowiłem je ratować. Wstawałem w nocy (budziła mnie babka), grzałem mleko i poilem zwierzątko z butelki przez smoczek. W dzień nie było problemu, mógł to zrobić każdy. Jagnię wyrosło na potężnego barana, którego pożarli Niemcy. Pożarli nie tylko barana.

Była sobota, pogodny letni dzień chylił się ku końcowi. Pracowałem jeszcze w pocie czoła, ponieważ musiałem nakosić zielonego – wyki z jeszcze zielonym żytem – na dwa dni dla piętnastu sztuk bydła i tyluż owiec. Od kilku dni byłem sam, ponieważ Zygfryd Sz., ostatni „duży” parobek, został wcielony do Wehrmachtu. Nakosiłem zielonego pełen drabiniasty wóz, przywiozłem we dwa konie. W domu i na podwórzu panowało ożywienie, byli goście. Zjechała się rodzina – dwie córki z narzeczonymi i syn, który był gdzieś na praktykach rolniczych. Wśród gości panował doskonały nastrój, mimo że było już po wielkiej klęsce pod Stalingradem i Niemcy zaczęli dostawać baty. Wojna była jednak jeszcze daleko. Gdy wyprzęgłem konie, Niemiec kazał mi zdjąć puszorki i wszystkie trzy konie wypuścić na podwórze. Konie baraszkowały, ale tak naprawdę, to nie bardzo wiedziały, co ze sobą zrobić – były wolne, nie miały na sobie puszorków i nikt nimi nie komenderował. Niemiec zachęcał je do ruchu. Było to wspaniałe widowisko, ponieważ konie były dobrze utrzymane. W tym czasie wizytówką gospodarza i jego gospodarstwa były konie.

Ja zająłem się swoimi sprawami – nosiłem wodę dla koni i bydła, sieczkę, siano i zielone. W pewnym momencie wśród koni zapanało poruszenie. Cała czwórka ruszyła w kierunku wozu z zielonym. W powstałym zagęszczeniu żrebak został dociśnięty do wozu. Uderzył kolanem tylnej nogi w koło, w okucie barana, czyli w tę najmniejszą metalową obręcz drewnianego koła. Po uderzeniu jeszcze

przeciągnął pischczelą po tym żelazie. Stałem blisko, ale wypadkowi nie byłem w stanie zapobiec – trudno było przewidzieć bieg zdarzeń. Zdawałem sobie sprawę, że musi go to potwornie boleć. Byłem ciekawy, jak koń reaguje na taki wielki ból. Nie dawał jednak szczególnych oznak cierpienia, po prostu był mniej aktywny. Przestał biegać i jakby sposepniał.

Drugiego i trzeciego dnia żrebak słabo żarł. Wyprowadziłem go na podwórze i okazało się, że mocno kuleje. Być może był jeszcze czas, żeby wezwać weterynarza i zoperować i opatrzyć stłuczone miejsce. Niemiec jednak tego nie zrobił i leczył go domowym sposobem. W ranę wdało się zakażenie, które poszło po nodze do góry, aż do łopatki, noga spuchła. W niektórych miejscach opuchlizna była twarda, w innych miękka. Niemiec uznał, że w tych miękkich miejscach zbiera się ropa i należy to przeciąć. Przyniósł ostry nóż i kazał mi przecinać tam, gdzie pokaże palcem, bo on sam nie jest w stanie tego zrobić. Nie miałem pojęcia, czy ja będę w stanie to zrobić, chciałem jednak Niemcowi pokazać, że się nie poddam. Przeciąłem opuchliznę w dwóch albo trzech miejscach – coś tam ciekło czerwonego, co bardziej przypominało krew niż ropę, ale zgrubienia nie malały. Rżnięcie tej końskiej nogi zrobiło na mnie takie wrażenie, że ledwo się podniosłem z klęczek. Wydawało mi się, że mam zrosnięte pośladki. Po pewnym czasie, skóra na zwierzęciu sparszywiła i wdało się chyba jakieś robactwo. Stan żrebaka nie rokował już nadziei, przyjechał rakarz i zabrał go. Nie byłem przy tym obecny i nie dopytywałem się, jak go zabił. Myślałem, że śmierci tego konia można było uniknąć, gdyby w porę został oddany w ręce weterynarza. Strata była duża. Żrebak miał półtora roku i dobry rodowód. Nie mogłem zrozumieć postępowania Niemca, ponieważ na ogół w sprawach gospodarczych wykazywał dużo zdrowego rozsądku.

Dla mnie było to duże przeżycie. W mojej obecności doszło do wypadku i na moich oczach rozwijała się choroba. Spałem od poszkodowanego zwierzęcia na wyciągnięcie ręki i zżyłem się z nim. Niemiec utrzymywał, że do śmierci żrebaka przyczynił się odchodzący do Wehrmachtu Zygfryd Sz., że ukłuł go w nogę widłami – najpierw przeciągnął rogiem widel po pischczeli, a następnie wbił w kolano. Nie wyprowadzałem go z błędu, ponieważ nie miało to już żadnego znaczenia. W dodatku Niemiec mógł rzucić podejrzenia na mnie, że to ja wpędziłem biegające konie na wóz.

EMIL I JEGO RODZINA

Niemiec często jeździł końmi do Więcborka. W czasie jego nieobecności byłem w świątecznym nastroju. Nie dlatego, żebym nic nie robił – zawsze miałem wyznaczoną robotę i musiałem ją wykonać. Przeważnie rąbałem drzewo na opał. Czułem jednak pewien komfort psychiczny. Obecność Emila, a nawet sama świadomość, że jest obecny w pobliżu, wzbudzała we mnie jakieś dziwny niepokój, czułem się nieustannie zagrożony. Nie mogłem się uwolnić od tego dziwnego stanu psychicznego.

Niemiec wyjeżdżał również w świątecznym nastroju. Niemieccy rolnicy byli bardzo szanowani w urzędach i w innych instytucjach, gdzie coś załatwiali, do tego stopnia, że urzędnicy proponowali zdjęcie odzieży wierzchniej, a nawet przy tym pomagali. W Polsce przed wojną wręcz naśmiewano się z ludzi ze wsi. Mówiono z kpinką, że chłopu sieczka w kieszeniach brzęczy, słoma mu z butów wychodzi i że po prostu śmierdzi.

W czasie świąt Niemcy jeździli do kościoła. Byli ewangelikami. Na temat niemieckiej pobożności Polacy różnie się wyrażali. Było nawet takie powiedzenie „niemiecki Pan Jezus”. Początkowo nie wiedziałem, co to znaczy. Wreszcie zrozumiałem. W naszym pojęciu Pan Jezus jest uosobieniem dobra i cała filozofia katolicka jest oparta na jego naukach. Żołnierze Wehrmachtu mieli w pierwszym okresie wojny na sprzączkach pasa głównego wytłoczone: „– Bóg z nami”. W imię Boga podbijali i mordowali narody. Z tego względu wielu Polaków katolików uważało, że nie może to być ten sam Bóg, który jest czczony w Kościele katolickim. Musi tu być inny Bóg, inny Pan Jezus – niemiecki.

Ja także dość często jeździłem do Więcborka. Odwoziłem wózem córki gospodarzy, które pracowały i mieszkały w mieście, gdzie były jakimiś urzędniczkami. Woziłem także mleko do mleczarni, gdy przyszła kolej. Trzy razy jeździłem po karawan (był resorowany i jechałem nim jak powózką) dla Niemców, którzy polegli na wojnie. Niemcy odnosili się do tych spraw z wielkim szacunkiem. Jeżeli ktoś poległ zimą, kiedy były mrozy, to zwłoki sprowadzali nawet z głębi Rosji. Przyjeżdżało też sześciu żołnierzy, którzy oddawali trzy salwy nad grobem. Dla rodziny zabitego była żałoba, a dla mnie uciecha, że znowu o jednego mniej. Na czas wypożyczenia karawanu, wóz, którym jechałem w tamtą stronę, pozostawał u karawaniarza.

Moi gospodarze mieli czworo dzieci. Ponieważ Emil ożenił się z wdową, było jeszcze dwóch synów z pierwszego małżeństwa. Oni jednak nie mogli się pogodzić z ojczymem, przed laty odeszli z domu i nie utrzymywali z nim kontaktów. Dziewczyny były już pannami na wydaniu. Z kawalerów Emil nie był w pełni zadowolony. Jeden był chorowity, a drugi miał domieszkę polskiej krwi.

Najstarsza była Frida, potem Ela, następnie Zygfryd i najmłodszy Waldemar, na którego mówiono Waldi. Zygfryd gdzieś poza domem zgłębiał wiedzę rolniczą i chodził do szkoły. Był z mojego rocznika i był najsympatyczniejszy z rodziny, nawet Emil odnosił się do niego z pewnym szacunkiem. Wiedziałem, że w czasie pobytu w domu Zygfryda Emil nie będzie urządzał żadnych scen ze mną. Waldi był od Zygfryda dwa, albo trzy lata młodszy. Dorastał mu do ucha.

Zimą Zygfryd przyjechał na urlop i pomagał przy oczyszczaniu ziarna, czyli wianiu. Waldi kręcił wiejnie, ja sypałem do niej nieoczyszczone żyto, a Zygfryd napełniał i ważył worki z oczyszczonym ziarnem. Wymłóconego zboża było dużo, ale robota szła nam sprawnie, ponieważ zboże było stosunkowo czyste. Już od rana bracia darli ze sobą koty. Wreszcie Waldi wpadł na pomysł, żeby urządzić zapasy. Siłować się miałem ja z Zygfrydem. Nie chciałem się na to zgodzić z dwóch względów. Po pierwsze – nie lubiłem przegrywać, miałem już dosyć niepowodzeń i przegrywania, a po drugie – Niemiec mógł wpaść w szal i przyłożyć mi widłami, czy też czymkolwiek innym, mógł mnie nawet bezkarnie zabić. Wprawdzie nie podejrzewałem go o to ostatnie, ale wszystko należało brać pod uwagę. Wydawało mi się, że jestem bez szans, ponieważ Zygfryd był wyższy i wyglądał na silniejszego. „Mały”, bo tak nazywaliśmy Waldiego, chociaż dorównywał mi wzrostem, starał się doprowadzić do zwarcia – popychał brata na mnie i wyczyniał inne sztuczki. W końcu Zygfryd się rozochocił i złapał mnie za szyję. Uważałem, że jestem na straconej pozycji i nie pokonam go. Stałem w rozkroku, lekko się pochyliłem do przodu i czekałem na rozwój sytuacji. Tymczasem Zygfryd nie atakował, a jego uścisk wydawał mi się jakiś anemiczny i dziwnie słaby. „Mały” wył z radości, że doprowadził do zwarcia. Zachowanie przeciwnika zaczęło mnie przekonywać, że mogę go pokonać. Złapałem go w pól, mocno ścisnąłem, lekko podniosłem do góry i machnąłem w kupę nieoczyszczonego zboża. Nie wywołało to u niego szału wściekłości i chęci dołożenia mi czymkolwiek, a po prostu wolę dalszej walki. Uznał,

że pokonałem go przez przypadek. Sytuacja się powtórzyła, ale teraz dla odmiany rzuciłem go w kupę plew. „Mały” był zachwycony, że konfliktowy brat został pokonany. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że ciężka praca tak wpłynęła na moją kondycję. Zygfryd wyszedł ze stodoły i długo się otrząpywał. Żeby nie zaognić sytuacji, zapędziłem Waldiego do kręcenia wiejni i pracowaliśmy dalej. Zygfryd do końca urlopu nie miał lekkiego życia, bo Waldi mu dokuczał. Ja po przewianiu zboża zająłem się innymi sprawami.

WIEĆBORK

Pewną atrakcją było dla mnie wożenie mleka do mleczarni w Wiećborku. Przede wszystkim dlatego, że mogłem zamienić parę słów po polsku z Polakami, którzy pracowali u Niemców. Poza tym kilka godzin byłem w podróży. Do mleczarni można było jechać dwiema drogami. Jedna była nieco dłuższa – przez miasto, koło stacji kolejowej. Niemiec nie nakazywał mi, którą z tych dróg mam jeździć. Do mleczarni wybierałem tę krótszą. Jadąc koło stacji kolejowej, w drodze powrotnej często wstępowałem na stację na piwo. Nie dlatego, żebym przepadał za tym trunkiem. Chodziło przede wszystkim o to, by zetknąć się z ludźmi. Pociągami jeździło dużo Polaków. Przyciszonymi głosami rozmawiali po polsku.

Raz koło stacji byłem świadkiem awantury. Na trotuarze przed stacją Niemiec w mundurze Wehrmachtu bił biednie ubranego Polaka. Stanąłem w odległości około dwudziestu metrów i przyglądałem się rozwojowi sytuacji. Niemiec był znacznie słabszy od Polaka i nie był w stanie dolać mu tak, jakby sobie tego życzył. Polak miał mocne, żylaste, wypracowane i nieco dłuższe ręce. Cały czas się cofał, miał dobry refleks i skutecznie się zasłaniał. Bardzo umiejętnie się też chronił się przed kopniakami Niemca, przejmując je na swoje obuwie. Wyglądało to tak, jakby ktoś nauczył go obrony. Gdyby Polak mógł uderzyć Niemca, to rozniósłby go w krótkim czasie. Zapłaciłby za to życiem, bo taka była kara za uderzenie Niemca.

Polak, cofając się, nie zauważył, że chodnik się kończy i upadł. Niemiec wskoczył na niego i sytuacja stała się dramatyczna. Polak jednak bardzo szybko się pozbierał i wstał. Twarz Niemca wyraziła zawód i tak jakby stracił zapał do dalszej, mało skutecznej walki. Wtedy uznałem, że nadeszła moja kolej. Podjechałem dosyć szybko wozem i krzyknąłem: „– Wskakuj!”. Chłopak obejrzał się i bez namysłu wskoczył w biegu na mój wóz. Podciąłem konie batem

i w pośpiechu odjechalismy, nie oglądając się za siebie. Podczas jazdy o nic go nie pytałem, on mi też nic nie mówił, sprawa była jasna. Gdy przejechalismy około kilometra, podziękował, zszedł z wozu i nieco kulejąc, szybko skręcił w boczną drogę. Istniała przecież taka możliwość, że Niemiec zdobędzie jakiś pojazd, pomocników i będzie nas ścigać.

WYWÓZKA DRZEWA

Tej zimy jeździłem z Niemcem do lasu, który miał nazwę Chłopski Las. Wywoziliśmy budulec do Więcborka na tartak. Niemiec miał wyznaczone, ile drzewa ma wywieźć. Wywożenie budulca z lasu wymaga nie lada umiejętności, którymi Emil mógł się pochwalić. Jest to praca bardzo ciężka dla ludzi i zwierząt, szczególnie podczas wyciągania kłoców z poręby i załadunku na wóz. Podczas wyciągania drzewa trzeba mieć oczy wokół głowy, wszystko widzieć i bardzo uważać. Nawet mała nieuwaga może doprowadzić do kalectwa albo śmierci. Często kilka kłoców leży jeden na drugim i próba wyciągnięcia jednego powoduje lawinowy ruch innych.

Bardzo często zakładaliśmy konie do rozwory tylnej części wozu, czyli tej, która łączy się z przednią i kloc przywiązaliśmy na łańcuchu z tyłu. Drugi koniec kłoca był łańcuchem przywiązany do przedniej części wozu w ten sposób, że dyszel znajdował się z tyłu. Ja jechałem w konie tylną częścią wozu, do której był uwiązany sunący po ziemi kloc, natomiast Emil sterował za pomocą dyszla przednią częścią wozu, umocowaną z tyłu do tego kłoca. W ten sposób sterowaliśmy sunącym po ziemi kłocem za pomocą ciągnących koni, Emil mógł go nadciągnąć swoją częścią wozu w lewo bądź w prawo, nawet o kilka metrów. Omijaliśmy dzięki temu różne przeszkody, takie jak pieńki, leżące drzewa itp., a koniom było znacznie lżej.

Po wyciągnięciu z poręby na leśną drogę kłoce były odpowiednio wiązane ze sobą i skuwane łańcuchami w zależności od tego, ile ich było. Jeżeli były dwa, a jeden z nich krótszy, to ten był podwieszany na łańcuchach pod dłuższym, który spoczywał na przedniej i tylnej części wozu. W ten sposób stał się on między nimi łącznikiem. Jeżeli kłoca nie dało się podwiesić na dwóch łańcuchach, to jego przód był podwieszany, a tył spoczywał obok głównego kłoca na tylnej części wozu. Możliwe były też inne kombinacje, w zależności od tego, jakie to było drzewo, jakie były kłoce do przewiezienia

i ile jednocześnie ładowało się na wóz. Każdy kloc był identyfikowany, miał wybity na odziemku (czyli na płaskiej części powstałej przez przecięcie piłą) kolejny numer i wielkość w metrach kubicznych. Dzięki temu można było oszacować, ile mniej więcej waży kloc, a tym samym, ile ich można załadować na wóz.

Skute łańcuchami kłoce podnoszone były dwa razy. Raz podnoszony był przód, którym najczęściej był jeden i na ogół najgrubszy kloc. Był on kładziony na przedniej części wozu i przykuwany do niej dwoma krótkimi łańcuchami. Drugi raz podnoszone były kłoce w ich tylnej części. Tu było ich dwa lub trzy, co zależało od tego, ile ich było podwieszanych grubym końcem pod głównym klocem. Te kłoce były położone na tylnej części pomiędzy krótkimi wyjmowanymi kłonicami. Kolce starannie przykuwano do tylnej części wozu.

Któregoś razu wybieraliśmy się do lasu wczesnym rankiem, żeby wywozić budulec. Wóz był przygotowany. W nocy przyśniło mi się, że do pomieszczenia, w którym spałem, wszedł Emil z bardzo złym wyrazem twarzy. Bezceremonialnie odkrył mi nogi i podwinął pościel. Swoim zachowaniem dał mi do zrozumienia, że nie mam prawa protestować. Zza tylnego szczytu łóżka wyszły szczury o głowach Niemczyków, z którymi chodziłem do szkoły w Miasteczku. Weszły na mój brzuch i zaczęły mi wyżerać jelita. Jeden z nich wyciągnął mi jelito, stanął w tyle łóżka i powiedział: „– Teraz zdechniesz”. Gdy to mówił, jelito zostało uwolnione i wypadło mi do brucha, co wyraźnie poczułem. W tym momencie ocknąłem się i chciałem wyskoczyć z łóżka, oparłem się o taboret stojący przy łóżku. W rękę ugryzł mnie rzeczywisty szczur, który na tym taborecie siedział. Byłem oszalały ze strachu i bólu, półprzytomny – makabryczny sen mieszał się z rzeczywistością. Uciekłem do pomieszczenia, gdzie były konie, w ciemnościach przeskoczyłem przez koryto i złapałem Micę za szyję. Dopiero wtedy oprzytomniałem. Udzieliły mi się spokój i ciepło konia, wróciłem do równowagi. Już mogłem oddzielić sen od jawy.

Trzymając konia za szyję, postąłem przy nim trochę, w końcu usnąłem i osunąłem się między zwierzęta na gnój. Konie się trochę rozsunały i tak przespałem do rana, z nosem przy końskim kopycie. Obudziłem się, kiedy poszukiwał mnie Emil. Wywlokłem się od koni w koszuli od gnoju mokrej na łopatkę. Niemiec dopytywał się, czy mi się coś przyśniło. Nie miałem jednak chęci dzielić się z nim

nocnymi przeżyciami. Miałem większy problem. Było mi niesamowicie zimno. Okazało się, że nie mam swetra – pożarł go szczur, który siedział na taborecie i ugryzł mnie w rękę. Ściślej mówiąc, szczur pożarł niewyprawioną skórę króliczą, która, żeby mi było ciepłej, była przyszyta do swetra. Przy tej okazji wygryzł na plecach w swe trze taką dziurę, że nie nadawał się on już do noszenia. Przy kilkustopniowym mrozie pojechałem z Emilem do lasu bez swetra. Kurtki w ogóle nie miałem. Wciągnąłem na siebie dwie marynarki i dwie koszule, z których jedna była przemoczona gnojem. Na szczęście jedna z marynarek zapinała się pod szyję. Marzłem na całym ciele aż do bólu. Na tym nie koniec mojej udręki. Do wywózki budulca, jedzie się wozem rozebrany, więc z reguły siedzi się w poprzek na desce, ze spuszczonej nogami. Deska leży wzdłuż wozu i spoczywa jednym końcem na przedniej części wozu, a drugim na tylnej. Nie ma możliwości rozgrzania się, a przy tym człowiek jest owiewany powietrzem ze wszystkich stron.

Siedziałem więc na tej desce skostniały z zimna. W pewnym momencie Emil prawym tylnym kołem wjechał na jakiś pień. Wozem mocno podrzuciło. Wyrzucony w bok jak z procy, spadłem z deski. Przez nogi przejechało mi tylne lewe koło wozu. Miałem dużo szczęścia – dzięki temu, że wóz był pusty, koło nie połamało mi nóg (bolały mnie jeszcze kilka dni). Do poręby nie było daleko, na wóz już nie wsiadałem. Idąc, trochę się rozgrzałem. W lesie było mi zimno w nogi. Miałem na nich miejskie trzewiki, zapinane na klamry, z rozszerzonymi cholewkami, przez które sypał mi się do nich śnieg. Trzewiki te przysłał z Berlina kuzyn matki, a rodzice w zamian wysłali mu jakieś wiktuały zarobione u ludzi. Rozgrzałem się też podczas ładowania drzewa. Z lasu do Więcborka szedłem za wozem, żeby znów nie skostnieć z zimna. Niemiec jechał, siedząc na kłocu. Ubrany był w kozuch, a na nogach miał filcowe buty.

Po powrocie, po oprzątnięciu inwentarza znalazłem stary koc, którym były przykrywane konie i zabrałem się do „szycia”. Koc był częściowo przegniły. Powyrywałem z niego lepsze kawałki i przyczepiłem drutem do koszuli i jednej, trochę większej marynarki od starego munduru kolejarskiego, który pochodził również z Berlina. Następnego dnia było mi już znacznie ciepłej, choć trochę gryzł mnie koński pot. Emil udawał, że nie orientuje się w niczym i nic mi nie pomógł. Moim obowiązkiem było pracować, niezależnie od tego, czy mam się w co ubrać, czy też nie.

ZEMSTA

Ręka, w miejscu ugryzienia przez szczura, bardzo spuchła, ale po kilku dniach stęchła i nie było żadnych następstw.

Po tym wszystkim przyrzekłem szczurom zemstę. Na wiosnę, po wyrzuceniu gnoju ze stajni, napelnilem dwie beczki wodą, odsunąłem skrzynię na sieczkę, łóżko i przystąpiłem do akcji. Pomagała mi przy tym suka Bari, bardzo ostra na szczury. Łąłem w ich nory wodę, a one z nich wyskakiwały, nawet po dwa, trzy naraz. Pies je unieszkodliwiał w ułamkach sekundy – łapał pyskiem, potrząsał i już było po szczurze. Nie uciekł nam ani jeden. Zabiliśmy trzydzieści cztery, trzy złapałem żywe i obcęgami wsadziłem do drucianej klatki. Jeden był bardzo stary, a dwa warchlaki. Warchlaki zagryzły najpierw starego, zniechęconego osobnika. Właściwie nie zagryzły – poobgryzały mu nogi, ogon, uszy i w końcu zdechł. Warchlaki między sobą również żarły się niesamowicie i poobgryzały sobie to i tamto, aż krew przyskała na zewnątrz klatki. W końcu pozdychały, prawdopodobnie z upływu krwi. To pożeranie się i zdychanie trwało z godzinę, a może dłużej.

Szczurze labirynty pod skrzynią na sieczkę miały około metra głębokości. Po zalaniu wodą, zniszczyłem je kilofem i łopatą. Przy tej okazji poszukiwałem jeża, którego kiedyś znalazłem niedaleko zabudowań, choć nie liczyłem na to, że znajdę go żywego. Byłem do tego małego zwierzątka bardzo przyzwyczajony i brakowało mi go. Był to osobnik młody, jeszcze nie wyrosnięty. Gdy zwinął się w kulkę, nie było z nim kontaktu. Po zwinięciu się jeż nieco przypomina zamkniętą rękawicę bokerską – ściska brzuszek, tylne łapki zbliżają się do przednich, od zewnątrz cały jest osłonięty kolcami. Ryjek ma ustawiony prostopadłe i pomiędzy kolcami bacznie obserwuje otoczenie małymi oczkami. Przyniosłem mleka, ale nie bardzo wiedziałem, jak mu je podać. Kapnąłem trochę mleka na nossek. Zaczął je oblizywać i trochę się rozluźnił. Dałem mu jeszcze więcej mleka i jeż rozwinął się całkowicie. Wsadziłem go przednimi nóżkami w naczynie z mlekiem. Zaczęła się prawdziwa uczta. Nie pamiętam już, co mu dawałem oprócz mleka. Przyzwyczaił się do mnie bardzo. Na powitanie, kiedy wracałem z pola, trącał mnie noskiem w obuwie. Ja z kolei drapałem go pod główką i po brzuszku, gdzie nie miał kolców. Wydaje mi się, że nawet mu się podobało, gdy go głaskałem po kolecach. Zaprzyjaźniliśmy się, co mi sprawiło radość, bo ktoś na mnie czekał. Szczury się uspokoiły. Myślę jednak, że ich

nie tępił. Pewnego razu mój mały przyjaciel przepadł. Myślałem, że wszedł do szczurzej nory i nie mógł wyjść, stąd te poszukiwania. W końcu doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie nie upilnowałem go, pozostawiłem uchylone drzwi i moje przyjazne zwierzątko wybrało wolność, czego nie mogłem odżalować.

STUDIUM SZCZURÓW

U Dewnera, mimo woli przeprowadziłem studium nad szczurami, które – zależnie od warunków – żyją gromadnie lub w parach. Są to gryzonie bardzo nieprzyjazne człowiekowi. Niszczą jego otoczenie i to bardzo skutecznie, ponieważ są dosyć dużymi zwierzętami i bardzo płodnymi. Jeżeli nie wytępi się ich zaraz po pojawieniu się, to potem jest to prawie niemożliwe. Od stada odchodzą stare, zniedołężniałe czy też schorowane osobniki, grozi im bowiem pożarcie przez zgraję. Odchodzą też kotne szczurzyce, żeby z dala od stada założyć gniazdo i okocić się, inaczej małe zostałyby pożarte. Kiedyś wracałem wieczorem i po zapaleniu latarni zajrzałem do kojca po żrebaku. Ku mojemu zdziwieniu ujrzałem tam dwie stare szczurzyce z małymi. Małe były wielkości myszy. Złapałem czterorożne widły, bo widłami można najskuteczniej trafić stosunkowo szybkiego szczura. Obiegnęłem stojące konie i otworzyłem drzwi kojca – po szczurach nie było już śladu. Nie mogłem też znaleźć ich gniazd. Każda ze starych szczurzyce wyprowadziła po siedem, a może i więcej małych. Zdumienie budzi fakt, że to wszystko w tak krótkim czasie zdążyło się skutecznie ukryć.

Szczury, mimo ich przebiegłości i ostrożności, można wyłapać. Nauczyłem się tego dopiero po latach, kiedy nie było to już tak potrzebne. Pułapka do łapania szczurów na żywo musi być przelotowa. Zwierzę musi widzieć, co jest po drugiej stronie pułapki i musi móc przez nią przebiec, nie czując zagrożenia. Dopiero w pułapce zauważa przynętę, nabiera na nią apetytu i to go gubi. Każda pułapka tego typu ma dwie kłapy zatrzaskujące się jednocześnie, kiedy szczur jest w środku. Najlepiej takie pułapki stawiać na drodze ich wędrówek przy ścianach, skrzyniach i innych przedmiotach. Szczury mają krótkie nogi, więc rzadko przebiegają otwarte przestrzenie, gdzie dogoni je każdy pies i kot.

Pułapka sprężynowa, w której złapany szczur jest uśmiercany, powinna być niewidoczna. Należy ją przesłonić, przysypując jakimś próchnem, drobną słomą, plewami itp. Najlepiej tym, co znajduje

się w otoczeniu. Przynęta powinna być widoczna. Jeżeli to jest kawałek wędliny czy chleba, to dobrze jest je przypiec na ogniu, żeby wzmocnić ich woń, co skuteczniej nęci gryzonia.

SAMOTNOŚĆ

Beznadziejność życia, jakie wiodłem i ciężka praca fizyczna, do której byłem zmuszony, kształtowały moją świadomość i wyznaczały ramy rozumowania. Ciągłe wierzyłem w to, że w końcu stanę do walki zbrojnej, by pokonać znienawidzonego wroga. Nie bardzo wiedziałem, jakie to będą zbrojne formacje, kiedy to nastąpi i w jakich okolicznościach. Wierzyłem, że w lasach są partyzanci, należy tylko ich spotkać. Przejeżdżając przez las, wypatrywałem w przesiekach tych tajemniczych ludzi. (Moja nadzieja nie mogła się spełnić – w tych okolicach nie było żadnych partyzantów. Nie mogli tu być ze względu na dużą ilość Niemców i zbyt małe lasy).

W każdych okolicznościach doskonaliłem tężyznę fizyczną. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeżeli znajdę się w walce w polu czy gdziekolwiek indziej, to będą mi potrzebne siła i odporność fizyczna. Właściwie nie musiałem specjalnie o nie się starać, czułem jak tężeję i jak rośnie moja siła podczas pracy. Latem jeździłem do domu do Dorotowa na rowerze. Kontrolowałem czas każdego przejazdu i starałem się go poprawić. Kapałem się i pływałem do umęczenia wszędzie, gdzie tylko miałem okazję. Starałem się moje umiejętności pływackie doprowadzić do perfekcji. Nawet podczas wyrzucania gnoju sprawdzałem swoją sprawność fizyczną. Jednego dnia nałożyłem gnój na dwadzieścia jeden wozów na trzy konie. Był to nie lada wyczyn – rekord obory wynosił dwadzieścia wozów, ustanowił go jeden z poprzednich parobków – Florian Deja z Zakrzewka. (Florian uchodził za osiłka – pewnego razu wziął na ramię ciężki, trzykonny pług, wsiadł na rower i kierując jedną ręką jechał wąską ścieżką po nasypie wzdłuż toru kolejowego). Tym moim ostatnim sprawdzianem byłem usatysfakcjonowany, ponieważ upewnił mnie, że jestem w stanie sprostać wielu trudnościom. Nie wiem, jak to się działo, że w tym wszystkim nie przeszkadzała mi przepuklina i że nie pogarszał się mój stan zdrowia.

Moją zmorą była samotność. Nie mogłem znaleźć sobie kolegi, takiego od serca. Jedyłą moją ostoją był dom rodzinny. To, że mogłem go często odwiedzać, było wielkim szczęściem. Zimą jechałem tam wieczorem nawet na godzinę, bo tyle miałem czasu mie-

dzy przyjazdem a wyjazdem pociągu. W dalszym ciągu pożerała mnie nostalgia za utraconą ojczyzną i tęsknota za bliskimi. Tymczasem nic nie wskazywało na to, żeby Niemcy wojnę przegrywali. W domu były zawsze świeże wiadomości dotyczące sytuacji militarnej, bombardowań w Niemczech i innych spraw. Te rewelacje przekazywała mi przeważnie matka. Wiele z tych wiadomości trafnie opisywało rzeczywistość i były prawdziwe. Ze mną działo się jednak coś dziwnego – potęgowała się moja niewiara we wszystko, co słyszałem, ponieważ wszystkie to nie miało żadnego wpływu na moją sytuację. Prowadziło to do pewnego rodzaju otępienia.

Któregoś razu w domu dowiedziałem się, że mój serdeczny kolega – Berdnard Kośmider jest parobkiem u Niemca z Besarabii. Trafił bardo źle. Niemiec był tępym, skretyniałym bydlakiem, ale jednocześnie miał zdolności poliglota – przeklinał najwulgarniej, jak tylko można – po niemiecku, rosyjsku i po polsku.

Innym razem dowiedziałem się o śmierci mojego drugiego serdecznego kolegi – Józefa Zawistowskiego. Zakatowali go Niemcy w więzieniu w Bydgoszczy. W dniu jego śmierci był u niego ojciec. Zawiózł mu trochę ciasta, ale on nie mógł już jeść. Ojciec wkładał mu ciasto do ust, ale wszystko wylatywało. Spadał z krzesła. W pierwszej chwili, kiedy go Niemcy przyprowadzili, nie poznał ojca. Nie był w stanie rozmawiać. Zawistowski był zdruzgotany psychicznie. Wracając ze stacji kolejowej w Miasteczku, spotkał córkę Helenę. Wyszła mu naprzeciw. W ręku miała telegram o śmierci Józefa. Zmarł albo go zabili zaraz po rozstaniu z ojcem.

Po śmierci Józefa wpadłem w głęboką depresję. Miałem go przed oczami w dzień i w nocy. Śnił mi się w różnych sytuacjach. Miałem wyraźne sny o tym, jak dyskutowaliśmy o maszynie parowej i jak chodziliśmy na nasze długie wycieczki. Miałem też ponure sny o tym, jak siedział w więzieniu. Nie byłem jednak w stanie wyobrazić sobie jego przeżyć. Nie byłem również w stanie wyobrazić sobie jego katów, którzy go do tego doprowadzili. Z Józefem przeżywałem uczucia i stany wyższego rzędu. Nigdy już nie udało mi się osiągnąć chociażby namiastki takiego stanu duchowego. Został zamordowany zdolny człowiek, dobry, serdeczny kolega.

FELIKS OŹGA

W Dorotowie od rodziców dowiedziałem się również o tragedii rodziny Ożgów. Matka, jej siostra i Janek, zostali aresztowani

i wywiezieni do obozów karnych. Ocalał tylko Feliks, kleryk. Został ostrzeżony przez Niemca w Więcborku na stacji kolejowej, kiedy wracał z Potulic. Zaczął się ukrywać. Zdążył jeszcze o wszystkim zawiadomić rodzinę. Wiadomość przekazał przez Skowrońskiego, u którego się chwilowo ukrył. Skowroński został zamordowany przez Niemców pod Sępólnem Krajeńskim. Feliks zajmował się działalnością charytatywną na znaczną skalę – woził do obozu w Potulicach paczki z żywnością i odzieżą dla więźniów.

Kiedy obóz z przejściowego zamienił się w obóz pracy, przewieziono do niego siedemdziesięciu mężczyzn ze Stutthofu. Było wśród nich wielu marynarzy o różnych specjalnościach. Potulice potrzebowały fachowców – powstała tam filia fabryki samolotów w Pile. Przybyśze ze Stutthofu byli obdarci. W znacznym stopniu przyodział ich Feliks, który kwestował w Bydgoszczy. Niemcom działalność Ożgi jakoś nie przeszkadzała, miał wstęp na teren obozu. Przeszkadzała ona natomiast jednemu z sąsiadów na Wybudowaniu Sypniewskim, gdzie mieszkali państwo Ożgowie. Człowiek ten był Polakiem. Feliks został ostrzeżony przez jednego z Niemców, który wskazał denuncjatora. Nie zaprzestał jednak kwestowania i dowożenia paczek do obozu. Żeby w Sypniewie nie rzucić się Niemcom w oczy, wsiadał do pociągu jedną, a nawet dwie stacje wcześniej – w Dorotowie bądź w Kujaniu. Po wywiezieniu Ożgów do obozów, nadzorcą nad ich gospodarstwem został dotychczasowy donosiciel. Otrzymał też połowę ich ziemi. Cyniczne i nieludzkie postępowanie tego człowieka było wręcz niezrozumiałe. Penetrując zabudowania Ożgów, znalazł schowaną śmietanę do wyrobu masła, co oczywiście było przez Niemców surowo zakazane. Garnek ze śmietaną zaniósł na policję. Tym razem zdenerwował jednak Niemców, więc go wyrzucili i przy okazji omal nie dostał pałą. Niemcy poczuli się dotknięci, bo to oni powinni znaleźć ten feralny garnek w czasie przeprowadzanej rewizji. Feliks ukrywał się przed Niemcami we Wrzysku i w Równopolu pod Piłą.

Po wojnie Feliks Ożga skończył seminarium i został wyświęcony na księdza. Pragnął odprawić Mszę prymicyjną w Sypniewie Krajeńskim, jednak znaleźli się ludzie, którzy mu to uniemożliwili, a przyczynił się do tego denuncjator z lat okupacji, któremu nie udało się unicestwić kleryka. Udało mu się natomiast unicestwić pozostałych członków rodziny. Matka kleryka przeżyła wprawdzie obóz, ale zmarła natychmiast po wyzwoleniu, po pierwszym spo-

żyтым posiłku. Pozostali członkowie rodziny poumierali wcześniej w obozach. Wszystkie te informacje przekazał mi ojciec, ponieważ Feliks Oźga, już jako ksiądz, był u niego w Brzostowie.

WOJENNE PRZYGODY IGNACA

W Dorotowie dotarła również do mnie bardzo smutna wiadomość, że mój brat Ignac został osadzony w obozie potulickim. Drugi z braci, Stachu, pozostał na miejscu w Prusach Wschodnich. Ich gospodarz, Kurt Rentel, widocznie dobrze znał się na ludziach i ocenił, że Stachu bardziej niż Ignac jest przydatny do pracy w rolnictwie (istotnie tak było). Kiedy wpłynęło z Potulic zapotrzebowanie na ludzi, wybrał tych, którzy mniej serca wkładali w pracę na roli.

Ignac został osadzony w filii fabryki samolotów. Zrobili z niego elektryka. Był nawet z tego dumny. Nie przejawiał jednak większego zainteresowania swoim nowym zawodem. Nie miał do tego powołania. Robił to, co musiał. Najczęściej wybijał w ścianach otwory do przeprowadzenia instalacji elektrycznej i mocował do ścian przewody. Usuwał też drobne uszkodzenia w sprzęcie elektrycznym. Często był wysyłany do macierzystej fabryki w Pile, gdzie zakładano różnego rodzaju instalacje elektryczne w nowo budowanych obiektach fabrycznych.

Pewnego razu wypychali z hangaru nowo zbudowany samolot – myśliwiec, który miał być oblatywany. Oblatywacz już na niego czekał. Ignac był przy skrzydle samolotu i zaintrygowało go to, że lotki są wykonane z płótna. Tak długo naciskał na płótno palcami aż zrobił w nim dziurę. Sparaliżował go strach, znieruchomiał i zbladł jak ściana. Zauważył to brygadzysta i podszedł do niego. Ignac w pierwszej chwili nie umiał wyjaśnić sprawy. Brygadzysta był od niego znacznie starszy, objął go kordialnie i zaczął perswadować jak synowi, żeby powiedział, co się stało, bo dopóki samolot jest na ziemi można usunąć każdą usterkę. Ignac, ośmielony wielką życzliwością tego człowieka, powiedział mu o tej dziurze. Brygadzysta kazał odstawić na bok feralny samolot, a oblatywacz poleciał innym. Lotka została szybko naprawiona.

Było się czego bać. Przez uszkodzoną lotkę mogło dojść do wypadku, bo w czasie lotu mogło ją rozerwać powietrze. Szukano by winnego sabotażu. Brat doskonale wiedział, jakie są następstwa takiego śledztwa i niewątpliwie przyznałby się do popełnienia czynu, żeby kto inny nie poniósł kary. W takich sytuacjach

obowiązywała odpowiedzialność zbiorowa. W przypadku przyznania się do winy, karę poniósłby tylko on jeden. Kara za sabotaż była tylko jedna – śmierć. W Pile i Potulicach wykonywano ją bez rozgłosu – przyjeżdżał specjalny czarny samochód, wsadzano delikwenta do jego pudła, do którego były doprowadzane spaliny z silnika, i jechano prosto na cmentarz. W czasie jazdy człowiek był zagazowywany.

W miarę swoich możliwości rodzice dostarczali Ignacowi do obozu paczki żywnościowe. Woził je ojciec, bo umożliwiała to jego praca przy rżnięciu drzewa na okolicznych stacjach kolejowych, ułatwiał mu to także jego przełożony – pan Wiśniewski. Pewnego razu zawiózł paczkę do Potulic, ale okazało się, że Ignaca tam nie ma, że jest w Pile. Ojciec pojechał więc bezpośrednio z Nakła do Piły. Z portierni fabrycznej w Pile krewka Niemka w mundurze strażniczki wyrzuciła ojca, ponieważ nie znał niemieckiego. Na odchodne oświadczyła mu, że ma przyjść z kimś, kto zna niemiecki. Najlepiej z żołnierzem Wehrmachtu. Ojciec jednak tego nie zrozumiał. Stał przy portierni i czekał. Trafił się wreszcie Polak, który znał niemiecki. Po wyjaśnieniu sprawy ojciec znalazł takiego żołnierza, który był na urlopie i zgodził się pojechać do Piły. Ojciec dostarczył paczkę bezpośrednio Ignacowi, ale Niemka z wściekłości opluła go i wyzwała od polskiej świni. Takich upokorzeń „nadmudzie” nam nie szczędzili. Dobra była każda okazja.

Ignac w Potulicach przebywał w doborowej stawce. Mieszkał z ludźmi, którzy przybyli ze Stutthofu. Brat był wątlwy. Upodobał go sobie jeden z marynarzy, chłopisko o potężnej budowie ciała. W plecach był półtora raza szerszy od Ignaca. Nawiazała się między nimi prawdziwa męska przyjaźń. Kiedy tylko znaleźli wolną chwilę, prowadzili krzepiące rozmowy na aktualne tematy. Bardzo często rozmawiali o jedzeniu. Marzyli o chwili, kiedy będą mogli najeść się do syta. Głównym celem tych rozmów było wzajemne podtrzymywanie się na duchu, by nie wpaść w depresję. Marynarz pamiętał też o gimnastyce. Wyczyniał z Ignacem różne sztuczki, choć gimnastyka w tamtych warunkach była bardzo ograniczona, także dlatego, że obaj jej uczestnicy byli niedożywieni.

Marynarz dobrze znał Niemców i wiedział, że w Wigilię Bożego Narodzenia będą oni mniej czujni. Zaplanował na ten dzień wyprawę po ziemniaki, które były w piwnicy pod komendanturą obozu. Przedsięwzięcie można było zrealizować, bo Ignac był bardzo

szczupły i mógł przejść pomiędzy kratami w oknie piwnicy. Kierowano się również zasadą, że pod latarnią jest najciemniej.

Jak zaplanowali, tak też zrobili. Gdy wieczorem Niemcy sobie wypili i zaczęli nucić swoje kolędy, brat przecisnął się pomiędzy kratami i wszedł do piwnicy. Napęłnił worek ziemniakami, ale nie do pełna, żeby przeszedł pomiędzy kratami. Marynarz, który był w obstawie, odebrał worek, Ignac wyszedł z piwnicy i akcja zakończyła się szczęśliwie.

Ten marynarz znał Stanisława Radwana i jego wyczyny. A Radwan, to była ciekawa postać w Polskiej Marynarce Wojennej przed 1939 r. Człowiek ten obdarzony był wielką siłą w szczękach i niespotykaną twardością uzębienia oraz możliwością wywierania tymi zębami dużych nacisków. Na zewnątrz te niesamowite cechy nie zdradzały się niczym szczególnym, miał może nieco wydatniejszą dolną szczękę.

Przed wojną widziałem go na zdjęciach w „Gazecie Grudziądzkiej”. Trzymał w zębach listwę, stał w rozkroku na ugiętych nogach, a na tej listwie stał drugi marynarz. Ten niesamowity wyczyn imponował nam wszystkim, szczególnie młodszej generacji, tym bardziej, że też chcieliśmy być marynarzami.

Drugi raz z tą postacią zetknąłem się podczas czytania książki z serii „Tygrys”, wydawanej przez MON. W czasie wojny Radwan pływał na okręcie wojennym i znalazł się w jakimś afrykańskim porcie. Na ulicy zaczął dumnie kroczyć amerykańskich żołnierzy z policji wojskowej – powiedział im, że mają broń z bardzo słabymi lufami. Zaintrygowani, dali mu jeden pistolet na wypróbowanie. On wziął jego lufę do ust i zgniótł ją zębami. Nie namyślając się, dali mu drugi pistolet, by i temu zgniótł lufę zębami. Nie będę komentował przygód Radwana z lufami amerykańskich pistoletów, ponieważ przekracza to wszelkie moje wyobrażenia i wiedzę na temat uzębienia.

Mój brat Ignac nie miał tęgiego zdrowia i często chorował. Pewnego razu, gdy był na izbie chorych, kolega z sąsiedniej pryczy poprosił go, żeby przyszedł do niego, bo jest mu bardzo zimno – przykryją się dwoma kocami, przytulą do siebie plecami i będzie im cieplej. Tak też zrobili, zrobiło im się cieplej i zasnęli. W nocy Ignac się obudził, ponieważ z kolei jemu było bardzo zimno. Okazało się, że ziębi go ciało kolegi, który zmarł w czasie snu. Obaj mieli wtedy po siedemnaście, osiemnaście lat.

Niemcy, jako praktyczny i oszczędny naród, stosowali trumny wielokrotnego użytku, ich dna otwierały się w dół. Po umieszczeniu w takiej trumnie nieboszczyka, stawiano ją nad wykopanym grobem i dźwignią otwierano dno, ciało wpadało do dołu. Więźniowie nazywali ten niemiecki wynalazek „łapicą”.

POTULICE

Niedożywieni i zmuszani do ciężkich pracy ludzie umierali wszędzie. Duża śmiertelność panowała wśród dzieci i młodzieży. Niektórzy więźniowie zostali zakatowani, inni umierali z głodu i wycieńczenia, chorób, przemęczenia pracą i z zimna. Przez obóz przeszło trzydzieści tysięcy Polaków, a na cmentarzu są pochowane szczątki około tysiąca trzystu osób. Nie jest to pełen obraz śmiertelności ludzi w obozie. W pierwszym okresie swego istnienia był on obozem przejściowym. Ludzie przebywali w nim krótko, śmiertelność była nieduża. Rzeczywistą śmiertelność zaciera praktyka prowadzonej w obozie selekcji – chorych wysyłano grupami do zagazowania i spalania w innych obozach. Oczywiście jest, że wiele osób zmarło bezpośrednio po wyjściu z obozu. Największa śmiertelność była w roku 1943 i 1944. Ludzie marli w czasie snu, w pracy, w każdym miejscu na terenie obozu. Padali i już nie stawali na nogach. Z rodziny Binkowskich ze Starego Brzostowa zmarło tam troje dzieci. Po wyjściu z obozu zmarła również ich matka. Zrozpaczony ojciec ślubował, jeszcze w Potulicach, że jak wyjdzie z obozu, postawi figurę Matki Boskiej. Figurę postawił w swoim ogródku przy głównej drodze w Brzostowie. Stoi do dzisiaj.

Pozwolę sobie teraz wybiec wiele lat w przód. W programie TV Polonia, 15 lutego 2000 r., o godz. 20.45 został wyemitowany film dokumentalny *Casus Potulice*, przygotowany przez TV w Bydgoszczy.

Znam pokazany na filmie potulicki cmentarz, ponieważ byłem więźniem tego obozu. Przez obóz przeszła cała moja rodzina i wielu znajomych. Na tym cmentarzu spoczywają również moi znajomi – zarówno dorośli, jak i małe dzieci – zmarli w tym obozie podczas wojny. Niektórzy zostali zakatowani przez Niemców, inni zmarli z głodu, chorób, wycieńczenia, przemęczenia pracą i zimna.

Obóz był założony jako przejściowy w 1941 r., dla wysiedlanych z tych terenów rolników. Ludzi przewożono całymi rodzinami, które następnie rozłączano i poszczególnych jej członków wywożono

do pracy w różne rejony Polski i Niemiec. Z czasem przeistoczył się on w obóz stały, który przybrał formy obozu koncentracyjnego¹. Kontynuowano w nim produkcję dla potrzeb wojska. Zaczęła się gehenna przebywających tam ludzi.

Z filmu wynika, że prawdziwej kaźni dokonali w Potulicach dopiero Polacy po wojnie – kiedy w obozie siedzieli Niemcy, których miało tu zginąć ponad trzy tysiące, w tym dzieci i starców. Zostało to stwierdzone na podstawie ksiąg zgonów. (Same księgi zgonów nie stanowią, moim zdaniem dowodów, ponieważ mogły zostać sfalszowane).

W filmie nie pokazano cmentarza niemieckiego czy też masowych niemieckich grobów (gdyby były, trudno byłoby ich nie zauważyć). W Potulicach nie było krematoriów, więc ciał nie można było spalić. Pokazano zaledwie kilka tablic nagrobkowych z niemieckobrzmiącymi nazwiskami. Z daleka pokazywany był cmentarz polski, w kilku ujęciach, ale bez zbliżeń tabliczek nagrobnych. Ktoś niewtajemniczony mógł wziąć to za dalszy ciąg niemieckiej części cmentarza.

Telewizja w Bydgoszczy ma urzędowy i moralny obowiązek udokumentowania i wskazania, gdzie znajduje się cmentarz, na którym leży ponad trzy tysiące Niemców, którzy podobno po wojnie zmarli w obozie potulickim. Powinny zostać przedstawione dokumenty potwierdzające czas istnienia w Potulicach obozu dla Niemców, liczbę Niemców, którzy przez niego przeszli, z podziałem na grupy wiekowe (z filmu wynika, że ginęli tam również starcy i dzieci). Dokumenty takie powinny istnieć, jeżeli zachowały się księgi zmarłych.

Od wojny minęło już przeszło pięćdziesiąt lat i dotychczas o Potulicach nie pokazywano filmów w telewizji. Tymczasem w ostatnim okresie miało to miejsce już trzy razy. Dwa razy w programie ogólnopolskim, a raz w programie TV Polonia. Mowa tu oczywiście wciąż o filmie, z którego wynika, że w Potulicach po wojnie zmarło ponad trzy tysiące Niemców. Jeżeli tylu Niemców tam zmarło, to należy wskazać, gdzie zostali pochowani i, jeśli potrzeba, dokonać ekshumacji, nawet jeśli ich groby zarosły lasem. To jest zadanie dla Niemców. Tak zrobili Polacy w Katyniu.

¹ Patrz przypis 6 w części „Rodzinny kraj”, a także *Obóz w Potulicach – aspekt trudnego sąsiedztwa polsko-niemieckiego w okresie dwóch totalitaryzmów*, red. A. Paczoska, Bydgoszcz 2005.

Zdumiewające jest to, że znaleźli się ludzie, za których pieniądze nakręcono film, na którym w sposób papierkowy uśmiercono tysiące Niemców. Nie starczyło jednak pieniędzy, by nakręcić film o tym, jak w Potulicach umierali Polacy, jak cierpiały i umierały polskie dzieci (bywało, że po dwoje, troje z jednej rodziny)².

PRACOWNICY EMILA

Jesienią 1943 r. został Dewnerowi przydzielony robotnik do pracy na roli – Polak z Sypniewa Krajeńskiego. Miało to dla mnie ogromne znaczenie, bo mogłem się z nim nagadać po polsku. Był bardzo kontaktowy, rozmawialiśmy na wiele aktualnych tematów. Emil nie miał zastrzeżeń do niego i jego pracy. Spaliśmy razem w stajni.

Ponieważ brakowało zapalek, człowiek ten używał do zapalania papierosów bardzo pomysłowego krzesiwa. W okrągłym blaszanym pudełeczku, mającym około trzy-cztery centymetry średnicy i kilka centymetrów głębokości, trzymał kawałki zwęglonej szmaty. Miał także kawałek krzemienia i pilnik, zgięty w połowie w kształt litery V. Przystawiał krzemień do krawędzi pudełka od góry i przytrzymywał go palcem. Drugą ręką pilnikiem pocierał o krzemień, a wtedy jedno ramię kształtki pilnika wchodziło do pudełka ze zwęglonymi szmatami. Draśnięcie pilnikiem o krzemień powodowało zaiskrzenie – iskry padały na zwęglone szmaty, które zaczynały się

² Obóz Pracy w Potulicach (do kwietnia 1945 r.), następnie Centralny Obóz Pracy w Potulicach, czasami nazywany Przymusowym Obozem Pracy Potulice. Obóz istniał od przełomu stycznia i lutego 1945 r. do 1950 r. Powstał w ramach struktur Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, od czerwca 1945 r. podlegał oficjalnie Departamentowi Więziennictwa i Obozów MBP. Osadzono w nim Niemców, Polaków, Francuzów, folksdojczów, rajchsdójczów, jeńców, jeńców-folksdojczów (którzy przeszli przez obozy w Złotowie i Mielęcinie, zweryfikowani negatywnie), internowanych, więźniów śledczych i karnych. Liczną grupę osadzonych stanowiła ludność cywilna, zwłaszcza kobiety i dzieci. Osadzeni pracowali w obozowych i przyobozowych warsztatach (m.in. ślusarskim, stolarskim itp.). Najwięcej osób pracowało poza obozem: w gospodarstwach rolnych (państwowych i u gospodarzy indywidualnych), przy karczowaniu lasu, odgruzowywaniu Bydgoszczy. Obóz przekazywał Niemców do różnych prac na zasadzie umów ze starostami. Oficjalna pojemność obozu wynosiła 15 tys. osadzonych, jednak np. w maju 1947 r. w obozie przebywało 16 296 więźniów. Liczba zgonów w COP w Potulicach i poza nim (oboz przynależne do COP) w latach 1945–1949 wynosiła 4495. Więcej zob. B. Kopka, *Obozy pracy w Polsce 1944–1950. Przewodnik encyklopedyczny*, Warszawa 2002, s. 150–151; *Obóz w Potulicach – aspekt trudnego sąsiedztwa polsko-niemieckiego w okresie dwóch totalitaryzmów*, red. A. Paczoska, Bydgoszcz 2005.

tlić. Wystarczyło małe dmuchnięcie ustami, by od tłącej się szmaty można było zapalić papierosa.

Ten robotnik pracował u Emila około dwóch miesięcy. Kolejnym, przydzielonym Emilowi do pracy robotnikiem był sowiecki jeniec, Gruzin – Arkaki Ruchadze. Był ubrany w stary niemiecki mundur, tak zniszczony, że trudno była rozpoznać jego pierwotny wygląd. Arkaki był mało rozmowny z natury, nie tylko z powodu bariery językowej. A może po prostu bał się o niektórych sprawach mówić?

Po jakimś czasie nieźle się już dogadywaliśmy. Wydawało mi się, że poduczyłem się rosyjskiego. Tymczasem gdy przyszli Rosjanie, trudno mi się było z nimi porozumieć. Wynikało z tego, że nauczyłem się coś niecoś mówić po gruzińsku, a nie po rosyjsku. W pracy Arkaki był bardzo powolny i mógł wykonywać tylko proste prace. Wszystkiego należało go uczyć od podstaw. Pod koniec wojny został przekazany innemu Niemcowi.

KOBYŁA

Tego roku do siewu oraliśmy w cztery konie, w dwie pary. Jednego konia Emil wypożyczył od pewnej wdowy. (Nawet nie wiem, czy jej mąż zmarł śmiercią naturalną, czy też zginął na wojnie; niezależnie od tego, jak zszedł z tego świata, trzeba przyznać, że do koni miał rękę i znał się na nich. Miał dwa dobrze utrzymane konie półkrwi arabskiej. Mnie przypadło właśnie w jednego z nich orać). Była to klacz. Zwierzę odsadziło ogon i bez przerwy parło do przodu. Musiałem jego zapędy hamować lejcami. Drugim w parze był nasz średni, znacznie wolniejszy. Po całodzienniej orce bolały mnie ręce od przytrzymywania konia lejcami i czułem się bardzo zmęczony. Musiałem jednak odprowadzić kobyłę wdowie. Po wyprężeniu zwierzęcia pomyślałem, że odprowadzając takiego rumaka, nie powinienem iść obok niego, trzymając go za uzdę, ale po prostu na niego wsiąść. Wsiadłem na szkapę już na podwórzu. Od razu poszła ze mną ostro i już w furtce przytarła mi do krwi nogę o ścianę. Za bramą opuściła łeb i zaczęła wierzcąc zadnimi nogami, żeby mnie z siebie zrzucić. Utrzymałem się na niej dzięki temu, że chwyciłem się oburącz za kółka przez które przechodzą lejce, w poduszce na grzbiecie konia. Wreszcie poszła ze mną galopem i nie miałem sposobu, by ją powstrzymać – była bardzo „twarda w pysku” i słabo reagowała na wodze. Niosła mnie, jak chciała. Słyszałem tylko charakterystyczny furkot powietrza przy każdym jej galopowym

skoku. Pędziła tak ze mną na przelaj przez kartoflisko, aż do niedużego rowu – gdyby nie on, opanowałbym wreszcie konia. Przez rów nie przeskoczyła, lecz nagle skręciła w bok. Ja tymczasem poszybowałem prosto w powietrzu na drugą stronę rowu. Zapamiętałem tylko potężny huk w głowie. Dalszy bieg wypadków odtworzyłem sobie dopiero później. Zacząłem się dusić. Ocknąłem się. Nos i usta miałem pełne ziemi. Wyplułem i zacząłem oddychać. Leżałem na świeżo zaoranej ziemi, co mnie uratowało od skręcenia karku, bo upadłem głową do przodu w dół, w ziemię. Potwornie bolała mnie głowa i kręgi szyjne. Gdy oprzytomniałem, poszedłem w kierunku zabudowań wdowy. A ona wyszła za stodołę i już z daleka groziła mi kijem. Mogłem tym kijem oberwać, ale to oznaczało, że koń samodzielnie wrócił już do domu.

BIURO PISANIA PODAŃ

W pewnych posunięciach byłem bardzo naiwny. Wydawało mi się, że zdołam się wreszcie od Niemca uwolnić i pójść pracować do jakiegoś rzemieślnika. Była to jednak iluzja, o czym się niebawem przekonałem. Gdy jeździłem z mlekiem do Więcborka, chodziłem tam do biura pisania podań. Pisałem do Urzędu Pracy w Sępólnie Krajeńskim, prosząc o zmianę miejsca pracy. W biurze urzędowały dwie starsze Niemki, które dobrze mówiły po polsku. Były do mnie przychylnie nastawione, wspierały mnie moralnie. Napisałem ze trzy takie podania, ale nie dostałem odpowiedzi.

Któregoś dnia rznęliśmy sieczkę. W gospodarstwie Emila potrzeba jej było bardzo dużo. Wielką sieczkarnię obsługiwały chodzące w kieracie trzy konie, a i ja z Emilem musieliśmy się dobrze nauczyć. On kładł słomę do drewnianej rynny sieczkarni i dbał o to, żeby warstwa słomy była równa i pobierana przez walce maszyny. Ja przygotowałem słomę i odgarniałem sieczkę. Od czasu do czasu wybiegałem ze stodoły i wskakiwałem na platformę z desek umieszczoną nad kieratem, by trochę popędzić konie, które bez poganiacza chodziły coraz wolniej. Byłem zgrzany (choć nie była to praca tak ciężka, jak młócenie). Z platformy kieratu zauważyłem, że nadjeżdża do nas samochód osobowy. Przyszła służąca i wywołała Emila. Zatrzymaliśmy konie i maszynę. Ja w czasie jego nieobecności ułożyłem słomę i odgarnąłem sieczkę.

Emil wrócił i skoczył do mnie z pięściami. Nie uderzył mnie, był jednak bardzo wzburzony. Samochodem przyjechali urzędni-

cy z Urzędu Pracy z Sępólna i pokazali mu pisma, które do nich kierowałem. (Pisałem w nich, że śpię wśród szczurów, chodzę w wilgotnej, niewyschniętej odzieży i wykonuję pracę za ciężką na swój wiek). Urzędnicy nie zamienili ze mną nawet jednego słowa. W trakcie wizyty uznali, że wszystko jest w porządku, podobnie uznał Emil. Ale obiecał mi, że się ze mną rozprawi.

Tego samego dnia, Emil doskakiwał do mnie jeszcze kilka razy, ale do rękoczynu nie doszło. Obrzucał różnymi wyzwiskami mnie i Polaków w ogóle. Chwilami żałowałem, że wysyłałem te pisma, bo ta sprawa znacznie pogorszyła moją dotychczasową, i tak bardzo trudną sytuację.

Następnego dnia Emil obudził mnie pół godziny wcześniej niż zwykle i koncert rozpoczął się od nowa. Czyściłem Micę. Stała pierwsza z brzegu. W jednej ręce trzymałem zgrzebło, w drugiej szczotkę. Nie słyszałem, jak podszedł do mnie z tyłu. Krzyknął coś, a ja się przeląknęłam. Zawsze, gdy podchodził z tyłu, dawał mi kopniaki, bił pięścią w kark albo widłami w głowę. Coś we mnie pękło. Z rąk wypadło mi zgrzebło i szczotka. Opanował mnie jakiś szal. (Potem to wszystko opowiedziała mi Łuca). Krzyczałem bardzo głośno, po polsku i po niemiecku, nienaturalnym wysokim tonem. Emil wysunął się wąskim przejściem pomiędzy korytem i ścianą na ganek przed końskie koryto. Ja złapałem czterorożne widły, które stały przy ścianie, wbite w gnój – i wyskoczyłem za nim. Chciałem go tymi widłami przebić. Widły były ostre jak szpilki. Niemiec zbrał się do obrony. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Cofał się twarzą zwrócony do mnie, aż oparł się pośladkami o beczkę z wodą. Wymierzyłem cios widłami i z całej siły chciałem wbić mu je w brzuch. Jakaś siła w ostatniej chwili zatrzymała mnie. Moja zapalczywość zaczęła maleć. Kiedy ochłonąłem, Emil stał tyłem oparty o beczkę, a ja trzymałem widły przy jego brzuchu, rogami wciśnięte w spodnie. Ale spodni nie przebiłem. Mimo woli spojrzałem mu w twarz. Był przerażony. Oczy wychodziły mu z orbit. Gdy odjąłem widły od brzucha, wykonał zwrot w lewo i uciekł ze stajni do mieszkania.

MAŁE ZWYCIĘSTWO

Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, co się stało i co mnie czeka. Przypuszczałem, że Niemiec wyjdzie z domu drzwiami przez ogród, zadzwoni po policję, która przyjedzie i załatwi mnie tak, jak Skowrońskiego z Dorotowa.

Chciałem uciec na koniu. Odpiąłem od puszorka pasy do ciągnięcia. Ponieważ na koniu jeździłem słabo, poduszkę od puszorka mocno przepiąłem pasem pod brzuchem konia, żebym w razie potrzeby miał się czego przytrzymać. Okiełzałem konia zakładając mu uzdę z wodzami i chciałem go wyprowadzić ze stajni. Kiedy podszedłem do drzwi, by otworzyć z haka, poczułem jakąś dziwną niemoc w rękach. Coś mi mówiło, żebym nie uciekał. Trzy razy ponawiałem próbę wyjścia ze stajni i za każdym razem czułem to samo.

Straciłem rachubę czasu, ale przypuszczam, że ten stan wielkiego napięcia mógł trwać około czterdziestu minut. Wreszcie Emil wrócił i od razu zauważył, że Mica jest przygotowana do jazdy wierzchem. Zapytał, czy chcę gdzieś jechać. Nic nie odpowiedziałem. Zauważył moje spojrzenie skierowane na drzwi. Wyjątkowo łagodnym tonem powiedział, żebym się nie obawiał, nikt nie przyjdzie, bo on nikogo nie zawiadomił. Ponieważ wciąż spoglądałem na drzwi, on wciąż mnie uspakajał. I już do końca wojny nigdy nie podniósł na mnie głosu. Nawet przestał pierdzieć, jak stałem za nim czy byłem w pobliżu. Przedtem robił to bez żadnych ograniczeń, nawet przy stole, w czasie jedzenia. Powtarzał przy tym, że jest to bardzo zdrowo. Jedliśmy oddzielnie. Służba jadła w kuchni.

Potem długo myślałem nad tym, jak to się właściwie stało, że nie przebiłem Niemca widłami. I dlaczego nie mogłem wyprowadzić konia ze stajni. Czy było to działanie Opatrzności, czy instynkt samozachowawczy, który odzywał się w ekstremalnych warunkach?

Wbiecie Niemcowi w brzuch wideł, które wcześniej stały w gnojku, musiałyby się skończyć dla niego zakażeniem. A więc śmiercią, przecież nie było jeszcze penicyliny. Również śmiercią zakończyłoby się to dla mnie, a dla mojej rodziny jeśli nie śmiercią, to przynajmniej obozem. Podczas ucieczki Niemcy by mnie zastrzelili, albo złapali i zatłukli, bo nie miałem gdzie się ukryć.

Nie wiem, co spowodowało, że Niemiec zaczął się w stosunku do mnie zachowywać inaczej. Czy wdzięczność, że nie przebiłem go widłami, czy lęk przed przemocą i respekt wobec siły przeciwnika? Kiedy tłukł mnie na początku mojego pobytu u niego, to przyjechał do niego mój brat Ignac i spytał, dlaczego to robi. Wtedy Emil skoczył do niego z pięściami. Na miejscu osadziło go to, że Ignac złapał za widły. Zatrzymał się, przestał krzyczeć, przeszedł na ton pojednawczy i wszczął normalną rozmowę. Stąd wniosek, że respektował siłę, ręczne „argumenty” i agresywną postawę przeciwnika.

Nauczony doświadczeniem, nie wierzyłem, że zmiany, jakie w stosunku do mnie nastąpiły u Emila, są trwałe. Liczyłem się z tym, że wściekłość, nienawiść Niemca do mnie i do polskości po czasie wrócą ze zdwojoną mocą. Być może na zmianę jego zachowań wpłynęła sytuacja na frontach wojny – Niemcy w tym czasie dostawali już nieźle lanie. Wciąż nie rozwikłałem zagadki tej wielkiej niemocy, jakiej doznałem w czasie próby wyprowadzenia konia ze stajni. Męczyło mnie to wszystko i bałem się, że w razie potrzeby mogę być niezdolny do wypełnienia powierzonego zadania.

LUDWIK

W takim stanie psychicznym spotkałem się z Ludwikiem Janiszewskim. Widywaliśmy się bardzo rzadko, raz na kilka tygodni, a nawet miesięcy, to nie zależało od nas. Ludwik był moim dobrym kolegą. Intelktem przewyższał otoczenie i można było z nim poważnie dyskutować na wiele tematów. Opowiedziałem mu o incydencie z Emilem i o dziwnych stanach, które mnie powstrzymały od ucieczki. Był wstrząśnięty. Milczeliśmy chwilę. Nie zadawałem mu zbędnych pytań. Jego milczenie mówiło wystarczająco dużo. Zwierzyłem mu się z mojego stanu psychicznego. Opowiedziałem mu o swoich ucieczkach od ponurej rzeczywistości w strefę imaginations technicznych i o tym, ile mi to daje satysfakcji. Ludwik potraktował to poważnie i nawet zaczął gromadzić materiały, które miały służyć do budowy latającego wehikułu.

Ludwik był parobkiem u Niemca w Nowym Dworze pod Więcborkiem. Trafił lepiej niż ja. W tamtym dużym gospodarstwie bardziej przestrzegano godzin pracy. Ludzie nie byli eksploatowani ponad siły. Nikt go nie szykanował jako Polaka, o rękoczynach nie było mowy. Pracował z angielskimi jeńcami, którzy dostali się do niewoli pod Dunkierką. Ponieważ otrzymywali paczki z Czerwonego Krzyża, byli słabo pilnowani przez wartowników, którzy za kilka papierosów mniej rygorystycznie wypełniali swoje obowiązki. Słabiej pilnowani mieli większą swobodę i podczas pracy na polu mogli bez skrępowania rozmawiać z Ludwikiem, który nie tracił czasu i nieźle nauczył się mówić po angielsku. Pod koniec wojny został wysłany do kopania okopów. Przy niskich, nawet ujemnych temperaturach spał na barłogu pod jednym wytartym kocikiem w stodole. Tym sposobem znacznie nadwyreżył sobie zdrowie.

Po wojnie w trybie przyśpieszonym uzupełnił wykształcenie i podjął studia na uniwersytecie w Szczecinie. Tam, już po habilitacji, jako profesor był założycielem Instytutu Socjologii Morskiej. Został jego dyrektorem. Jednak zdrowie utracone w czasie wojny, ciągle dało znać o sobie. Mimo to pozostawił bogaty dorobek naukowy.

Jeżdżąc do Dorotowa, przyjeżdżałem przez Sypniewo. Była to duża wieś zamieszkała w znacznym stopniu przez Niemców. Przejazd przez nią nie należał do przyjemności, ponieważ wszędzie ich można było spotkać, a przed mundurowymi należało zdejmować czapkę. Najczęściej zdejmowałem czapkę, gdy wjeżdżałem do wsi i przejeżdżałem przez nią z gołą głową. To też było źle widziane, ponieważ „nadludzie” woleli, żeby „podczłowiek” na ich oczach wykonywał gest czapkowania.

OBÓZ DLA JEŃCÓW

Przy wjeździe do Sypniewa droga skręcała pod kątem prostym w lewo, a po niespełna stu metrach, przed parkiem należącym do właścicieli majątku, skręcała w prawo i dalej prosto prowadziła przez wieś. Po lewej stronie drogi przedłużającej ten krótki prosty odcinek drogi głównej, mieścił się obóz dla jeńców sowieckich. Po prawej stronie był park. Obóz był mały, jeden albo dwa baraki, ogrodzone wysokim płotem z drutu kolczastego. Z głównej drogi był dobrze widoczny. Jeńcy pracowali w majątku. Dziwne, przerażające i wręcz szokujące było to, jak ich traktowano. Cierpieli z powodu zimna, chorób i głodu.

Któregoś razu, gdy na rowerze przejeżdżałem przez Sypniewo, uszło mi powietrze z dętki, co zresztą często mi się przytrafiało, bo miałem marny klej i łąty po pewnym czasie po prostu się odklejały. Tym razem, pomógł mi przypadkowo spotkany człowiek, który miał dobry klej. Zakleiliśmy porządnie dziurę, mało tego, przykleiliśmy jeszcze dwie inne łąty, które w każdej chwili groziły odklejeniem. Przygodny znajomy powiedział mi, że prawdopodobnie wśród załogi obozu jest wartownik, który specjalnie prowadzi jeńców przez brukwiska i kapuściska, a jeżeli któryś schyli się po liść czy też korzeń po kapuście, zabija go strzałem. Zabitych przynoszą na plecach do obozu koledzy. Zwrócił mi uwagę na dwa świeże groby przy płocie za obozem. Starych grobów było więcej. Tak naprawdę korzenie kapusty nie są jadalne, bo są łykowate i twarde. Od tego czasu koło tego obozu z cmentarzykiem przy płocie prze-

jeźdźdzałem z pewnymi niepokojem, powagą i szacunkiem do tych nieznanych mi ludzi, którzy ginęli za to, że chciało się im jeść.

ZWIASTUNY ODMIANY

W domu jak zawsze była miła atmosfera. Było dużo dobrych wiadomości, nie wszystkie wydawały mi się prawdopodobne. W dalszym ciągu trwałem w głębokim sceptycyzmie. Któregoś razu siostra wraz ze swoją koleżanką Wandą Wiśniewską wybierały się pociągiem do Więcborka do dentysty. Czekalem na ten dzień z utęsknieniem, bo z okna wagonu pociągu machały do mnie rękami. Wydawało mi się, że pociąg w tym miejscu, gdzie one się znajdują, jest jaśniejszy, bo jest polski, ponieważ jadą nim jeszcze inni ludzie, którzy mówią po polsku.

Nadszedł rok 1944. Coraz częściej dochodziły wieści o klęskach militarnych Niemców na wschodzie. Pojawili się też wozami konnymi niemieccy uciekinierzy z krajów nadbałtyckich. Spotykano ich na szosie Więcbork – Złotów. W Zakrzewku wprowadzono nocne stróżowanie. Jeden Niemiec, przeważnie starszy człowiek i jeden Polak, najczęściej parobek, dyżurowali w nocy. Ich zadaniem było wypatrywanie pożaru, który mogły wzniecić przelatujące angielskie samoloty, coraz częściej pojawiające się na niebie w tych rejonach.

Ja stróżowałem ze starszym bezrolnym Niemcem o nazwisku Neugebauer. Podczas I wojny światowej wojował we Francji. To był dobry człowiek. Takiego Niemca spotkałem po raz pierwszy. Któregoś razu latem przyszedłem na stróżowanie bardzo zmęczony całodzienną, ciężką pracą. Z miejsca zaproponował mi, żebym się przespał, a on będzie stróżował. Dał mi nawet swoją kurtkę, żebym nie leżał na gołej ziemi. Zaznaczył przy tym, że jak przyjdzie kontrola, to on mnie obudzi. Obudził mnie, kiedy przyszedł burmistrz, ale zrobił to w ostatniej chwili i burmistrz orzekł, że spałem. Neugebauer temu zaprzeczył.

Stróżowanie odbywało się na najwyższym wzniesieniu w Zakrzewku. Na jego północnym stoku znajdował się cmentarz ewangelicki, gdzie między innymi chowano żołnierzy, których ciała sprowadzano ze wschodu. Widziałem jednego z nich w trumnie. Wyglądał potwornie, ponieważ po śmierci częściowo leżał w wodzie.

Pewnego razu, kiedy wracałem ze stróżowania i schodziłem wzdłuż żywopłotu okalającego cmentarz, myślałem właśnie o tym nieboszczyku. Nagle zobaczyłem wychodzącą z cmentarza białą

postać. Nogi wzrosły mi w ziemię, nie mogłem zrobić kroku. Miałem też wrażenie, jakby włosy stanęły mi na głowie. Dotknąłem lekko zjawę kijem. Była twarda. A więc kościotrup. Za chwilę odniosłem wrażenie, jakby zjawą cofnęła się nieco w stronę cmentarza. Strach mi trochę minął, zrobiłem kilka kroków w lewo i nie oglądając się za siebie, pognałem do domu, a raczej do stajni.

Nocna przygoda nie dawała mi spokoju i rano poszedłem na miejsce zdarzenia. Okazało się, że tym kościotrupem był potężny konar, odłamany od drzewa przez wiatr. Miejsce odszczepienia od pnia było jasne. Gdy schodziłem z góry, znalazł się on na mojej drodze, ale był zasłonięty wysokim zielskiem. Ostrzejszy powiew wiatru odchylił zielsko i konar ukazał się w całej okazałości. Rozmiarami przypominał postać ludzką. A opowiadania Grabowskich o strachach w Brzostowie również zrobiły swoje.

Kolejne dni miały bez większych sensacji. Emil odnosił się do mnie poprawnie, a w jego głosie pobrzmiewały delikatniejsze nuty. Przez to poprawiło się moje samopoczucie, poczułem się lepiej i pewniej. Ciągle jednak nurtowała mnie myśl, na ile ta zmiana jest trwała. Nadal pracowałem ciężko, ale miałem mniej do dźwigania worów ze zbożem. Trochę mnie oszczędzał. Przepuklina nie dawała znać o sobie. Zdarzało się, że Emil sam mi proponował, bym jechał do domu, a on mnie zastąpi w oporządzaniu inwentarza. Z Dorotowa przywoziłem dobre wieści – Niemcy przegrywali na wszystkich frontach i każdej nocy, a nawet w dzień, ich miasta i przemysł były bezlitośnie bombardowane.

Nie liczyłem jednak na szybkie zakończenie wojny. Przypuszczałem, że Niemcy są jeszcze wystarczająco mocni, by stawiać zacięty opór. A Polska stanie się wielkim pobojowiskiem. Nie znaleźmy aktualnej sytuacji na frontach. Brak nam było również wiedzy o potencjale militarnym i ekonomicznym walczących ze sobą stron. Nie wiedzieliśmy też o wielkiej pomocy, jaka płynie z Ameryki dla aliantów.

WIEŚCI Z POLSKI

Wreszcie Niemcy zaczęli kopać okopy. Zrozumiałem, że nadchodzi koniec wieloletniego koszmaru. Zacząłem wierzyć, że jest to początek końca. Będąc w Dorotowie, dowiedziałem się, że ma przyjść do nas człowiek z odległego o pięć kilometrów Kujania, który brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po upadku powstania został przywieziony do Kujania do pracy. Niebawem pojawił się zapowiadany

gość. Po obiedzie zaczęła się rozmowa. Właściwie wszystko, o czym opowiadał, było dla nas nowością. Mówił o konspiracji, przebiegu walk powstańczych, o okropnościach, które wyczyniali Niemcy, o masowych rozstrzeliwaniach ludności cywilnej, o przejściach kanałami. Padły nazwy ulic, dzielnic, daty i wiele innych szczegółów. Nie znaliśmy miasta i jego topografii i trudno nam było pewne rzeczy zrozumieć. Najtrudniej jednak było pojąć, dlaczego wojska sowieckie stojące po drugiej stronie Wisły, nie udzieliły powstańcom pomocy. Dlaczego wysiedlano ludzi z miasta i burzono domy już po zakończeniu walk? Okazało się, że my żyliśmy w izolacji, że o wielu istotnych dla Polaków sprawach nie mieliśmy pojęcia.

Okazało się również, że wojna niczego nie zmieniła – nadal mamy dwóch śmiertelnych wrogów, jednego na wschodzie, drugiego na zachodzie. Dowiedzieliśmy się o mordzie katyńskim i o masowych deportacjach ludności polskiej w głąb Rosji.

Po powrocie do Zakrzewka często wracałem myślami do opowieści warszawiaka. Wielu spraw nie rozumiałem, inne wprowadzały mnie w głęboką zadumę. Przeżywałem tragedię powstańców i gorycz przegranej, jak również tragedię mieszkańców Warszawy, którzy zostali wypędzeni, a ich domy wysadzono w powietrze. (Powstaniec z Warszawy jeszcze kilka razy spotykał się z ojcem, ale ja już go nie widziałem, bo jakoś mijaliśmy się z naszymi wizytami w Dorotowie).

Podczas następnego mojego pobytu w Dorotowie wyszliśmy z ojcem z domu, żeby mieć większą swobodę do gorzkiej rozmowy. Była to bezgranicznie przygnębiająca gorycz porażki kolejnego zrywu narodowego, jakim było Powstanie Warszawskie. Ojciec walczył z bolszewikami w 1920 r. i wyczuwałem, że w każdej chwili byłby skłonny chwycić za broń, gdyby zaistniała taka potrzeba i były możliwości. Ja zresztą również.

PRZYGOTOWANIA

Do kopania okopów Niemiec wysłał Arkakiego. Gruzin spotkał tam jakąś Rosjankę i wrócił późnym wieczorem bardzo szczęśliwy. Przekazał mi mnóstwo informacji o sytuacji wojennej. Do kopania okopów jeździł codziennie przez kilka kolejnych dni, dopóki nie zastał przekazany innemu Niemcowi.

Mnie nawet nie interesowało, gdzie przygotowywane są te okopy. Wraz z nadejściem zimy miałem mnóstwo pracy, dodatkowo

musiałem pookrywać kopce z ziemniakami i burakami. Niemiec mało zajmował się gospodarstwem, wyjeżdżał na rowerze na całe dni. Któregoś razu przyjechał z karabinem i od tej chwili już się z nim nie rozstawał. Niemcy prawdopodobnie brali pod uwagę możliwość dywersji lub zrzucenia desantu i przypuszczam, że więcej cywili zostało uzbrojonych. Atmosfera gęstniała, ale nie było paniki.

W styczniu 1945 r. Niemiec polecił mi, żebym przygotował najlepszy wóz do ucieczki. Trzeba było nasmarować osie, przedłużyć wóz rozworą oraz nałożyć drabiny, jak do wożenia siana. Drabiny częściowo od środka były wyłożone deskami – w ten sposób powstał wielki pojemny wóz, na który można było załadować co najmniej trzy albo i więcej razy tyle jak do wozu ze skrzynią z desek. W jego tylnej części znalazło się pożywienie dla koni. Nad część wozu naciągnięto plandekę.

Wreszcie nastąpił finał – wóz został wypchnięty ze stodoły i ustawiony przed domem. Ładowano na niego najniezbędniejszy dobytek. W sąsiedku stodoły została zakopana duża drewniana skrzynia ze sprzętem kuchennym i inną cenniejszą zastawą. Miejsce to przykryto snopkami słomy.

Dwa albo trzy dni przed ucieczką do Emila przyjechał „wuja” (tak na niego mówiono) z Bydgoszczy. Jakie były związki rodzinne tych ludzi, tego nie zgłębiłem. Unikałem jego spojrzenia, bo przejmowało mnie lękiem. Było w nim coś paraliżującego i obezwładniającego. Każde spotkanie z tym człowiekiem kojarzyło mi się ze śmiercią.

ODJAZD

Już w czasie ładowania wozu szykowano siedziska dla poszczególnych osób, a było ich sporo: Emil z żoną, obaj synowie, obie córki (ale tylko jeden narzeczony), no i „wuja”. Mężczyźni byli uzbrojeni. Emil miał karabin, starszy syn Zygfryd pistolet, który sprezentował mu „wuja” z Bydgoszczy, Waldemer miał karabinek małokalibrowy, a „wuja” parabellum. Gdy już wszyscy usadowili się na wozie, wyszła na próg domu babcia, matka żony, a więc teściowa Emila. Kobięcinka ta miała około dziewięćdziesiątki, była zniszczona reumatyzmem, miała powykręcane stawy, była przygarbiona i nienaturalnie mała, podpierała się dziwnym krzywym kosturem z wyraźnymi śladami sęków. Lubilem tę kobietę. Zawsze przy spotkaniu, już z pewnej odległości mówiła po polsku „dzień dobry” i zamieniała ze mną kilka zdań, również po polsku.

Stojąca na progu starowinka, dosyć głośno, jak na swoje możliwości powiedziała: „– A mnie nie zabierzecie?”. Była po domowemu, bez ciepłej odzieży: „– Ciebie pozostawimy na pożarcie Ruskom” – odparł Emil. Jego żona zerwała się z miejsca na wozie: „– O Boże, Emil, co ty mówisz!”. Emil zeskoczył z wozu, złapał babinkę wpół i jak snopek słomy wrzucił na wóz, po czym wsiadł, wziął lejce, śmignął batem i pojechał. Wóz oddalał się szybko, za nim unosiła się ledwo dostrzegalna mgiełka z mikroskopijnych drobinek śniegu, pary wodnej wydychanej przez konie i siedzących na wozie ludzi (było kilka stopni mrozu). Stałem w bramie podwórza, żegnałem ludzi, z którymi na dwa i pół roku los mnie połączył, wbrew mojej woli. Nawet nie powiedziano mi „do widzenia”.

Doznałem od nich bardzo dużo zła. Najdziwniejsze było jednak to, że nie życzyłem im źle. Doskonale wiedziałem, co znaczy podróżowanie na odkrytym wozie o tej porze roku – bez możliwości odpoczynku, umycia się w ciepłej wodzie i wyspania w pościeli. Wiedziałem też, co to znaczy pozostawić dorobek całego życia i odjechać w nieznane.

Emil przykazał mi wszystkiego pilnować, bo przecież oni niebawem wrócą. Mówił jednak to bez przekonania i ja również bez przekonania przyjąłem to do wiadomości. Przez wiele dni miałem w pamięci obraz lecącej w powietrzu starej kobiety, rzuconej przez Emila na naładowany wóz. Babinka nie wypuściła z ręki swojego koślawego kija. Wyglądała jak czarownica lecąca na sabat – rozłożyła ręce, rozpostarła się jej sukienka, rozwiały włosy. Takie obrazy widywałem w gazetach. Byłem przygnębiony tym wspomnieniem, tym bardziej, że był to przyjazny mi człowiek.

ZMIANY

Niemcy odjechali. Uciekali, bo mieli świadomość ogromu zła wyrządzonego Polakom i wiedzieli, że będą z tego rozliczeni. Wiedzieli też, że trzeba będzie zapłacić za to, co zrobili na wschodzie Europy. Obciążały ich bezprzykładne w cywilizowanym świecie indywidualne i masowe zbrodnie.

Przypomniła mi się nasza ucieczka. A jednak dla nas los był łaskawszy, bo była wówczas złota polska jesień i nie cierpieliśmy z powodu zimna, tylko noce były już chłodne. Wielkim minusem tej złotej aury było to, że lotnicy niemieccy mieli idealne warunki do niszczenia wszystkich swoich celów – bombardowali

bezbронnych uciekinierów na drogach, strzelali do bydła i chłopów na polu. Przy ucieczce Niemców sowieckie lotnictwo nie było czynne – nie pozwalała na to widoczność, chmury sięgały do ziemi. Niskie chmury i kilkustopniowy mróz powodowały, że wszystko obmarzało. Przewody linii telefonicznych wyglądały jak grube liny. Gęsto zawieszone sprawiały wrażenie, szczególnie w nocy, że się stykają ze sobą i tworzą jedną bryłę lodu. Gałęzie drzew ugięły się pod ciężarem lodu. Z nadejściem mroku ta niecodzienna sceneria i panująca cisza potęgowały nastrój grozy. Przestały jeździć pociągi, w całej okolicy przestały również czekać psy. Wyczuwałem, że dzieje się coś niezwykłego. Ta cisza była ogłuszająca. Późnym wieczorem widziałem pośpiesznie wycofujące się grupki żołnierzy niemieckich w białych osłonach na mundurach. Szli gęsiego na przelaj przez pola w głębokim, ponadtrzydziestocentymetrowym śniegu.

Nazajutrz oprzątnąłem inwentarz, porozglądałem się i poszedłem do wsi. Nadciągał front, od strony Więcborka słychać było wybuchy. Rosjanie ostrzelali szosę Więcbork – Złotów ogniem z jednego albo dwóch dział małego kalibru, prawdopodobnie 45 mm. Strzały były niezbyt głośne i trochę jakby piskliwe. Nie słychać było broni maszynowej.

Wieczorem wydoilem krowy i przekręciłem mleko przez wirowkę. Napilem się śmietany. Wypiłem jej sporo, ponieważ przez cały dzień mało jadłem. I potem rozboleł mnie brzuch, i to bardzo mocno. Nazajutrz znów poszedłem do wsi. Dowiedziałem się, że w nocy był sowiecki zwiad. Widziano uzbrojonego w mauzera żołnierza na koniu, który rozglądał się po wsi. Zorientował się, że w szkolnej piwnicy są ludzie. Kazał im wyjść, ponieważ nie są niczym zagrożeni.

CZERWONOARMISCI

Kręciliśmy się po wsi. Nic się nie działo. W pewnym momencie wydawało mi się, że za zrobionym z desek płotem ogrodu leci gawron. Jego lot był dziwnie równy, jak pod sznurek. Okazało się że nie był to gawron lecz czapka jadącego po drugiej stronie płotu żołnierza. Nagle spomiędzy płotów i zabudowań wyskoczyło ich na koniach ze trzydziestu. I jedno albo dwa działa kalibru 45 mm, prawdopodobnie to one wydawały te piskliwe dźwięki. Konie były bardzo małe, później dowiedziałem się, że są to konie syberyjskie. Wydaje mi się, że żołnierze też nie byli dużego wzrostu. Działa ciąg-

nęło pięć albo sześć koni, a ich uprzęż stanowiły parciane pasy na piersiach i długie, stosunkowo grube liny do ciągnięcia. Żołnierze do wsi podjechali polami po głębokim śniegu. Działa nie jechały na kołach, ale sunęły po śniegu. Był to bardzo zdyscyplinowany i szybki oddział, który przez wieś przeleciał jak burza. Tylko jeden z żołnierzy podjechał do mojego znajomego i zapytał o godzinę. Kiedy ten wyjął z kieszeni zegarek, żołnierz schylił się, złapał za łańcuszek, który był bardzo mocny, i wyszarpnął mu z ręki zegarek. Jednocześnie wyrwał kawał kieszeni. Człowiek rozplakał się – zegarek stanowił pamiątkę rodzinną. Podarował mu go ojciec.

Do wieczora od zachodniej strony słychać było kanonadę artyleryjską. Z niepokojem wsłuchiwałem się w te odgłosy, bo na zachód od Zakrzewka mieszkała moja rodzina. Wciąż jeszcze pobolevał mnie brzuch, jadłem bardzo mało. W piwnicy znalazłem dużą, oplecioną wikliną butlę, a w niej trochę wina domowej roboty. Wypiłem go może ze dwie szklanki i upiłem się. Brzuch przestał mnie boleć i usnąłem w mieszkaniu na łóżku. Wcześniej jednak zamknąłem drzwi na zasuwę. W nocy obudził mnie straszliwy łomot. Ktoś dobijał się do drzwi, walił również w okna. Otworzyłem drzwi. Wpadło dwóch sowieckich żołnierzy. Byli to oficerowie niskiego stopnia. Jeden przystawił mi rewolwer do piersi i krzyknął: „– Polak czy Niemiec?! – Polak”. A on na to, dlaczego tak długo nie otwierałem. Odpowiedziałem, że mocno spałem, ponieważ boli mnie brzuch i wypilem lekarstwo.

Oficerowie pobieżnie obszukali dom, powywalali szuflady z dokumentami. Zapytali, czy nie mam wódki. „– Wódki nie mam, ale jest wino”. Zaczęli się nim raczyć. Po kilku szklankach nieźle zaszumiało im w głowach. Prowadziliśmy banalną rozmowę. Pokazywali mi, że są tak ubrani, że mogą spać na śniegu. Nie byłem o tym przekonany, ale nie protestowałem. Jeden z nich miał europejskie rysy i był inteligentniejszy, natomiast drugi miał rysy mongolskie i był bardzo prymitywny. Odchodząc, zabrali resztę wina. „Europejczyk” uważał, że zostali po przyjacielsku ugoszczeni i nie wypada tego robić. „Mongol” jednak uznał, że wino należy się żołnierzom i dla nich je zabiera. Nie był w stanie nieść zdobyczy, więc kosz z butlą ciągnął za sobą po śniegu.

Na drugi dzień przyszła Łuca. Ugotowała coś do jedzenia. Poczuliem się lepiej. Zaproponowałem jej, żeby przez dzień, dwa zaopiekowała się inwentarzem, a ja pójdę do Dorotowa i zobaczę, co jest

z rodziną. Żeby nie brnąć przez głęboki śnieg, postanowiłem zorganizować konia i pojechać wierzchem. Poszedłem na Wybudowania Zakrzewskie, gdzie znalazłem konia wraz z siodłem. Właścicielem konia był Niemiec, który nie miał chęci go pożyczyć. Zналиśmy się z widzenia. W końcu go przekonałem i obiecałem, że następnego dnia konia oddam. Nie z mojej winy stało się inaczej.

NASI!

Pomysł odbycia tej podróży na koniu okazał się niemądry. Wokół był przecież front i jeździć na koniu mógł być łatwym celem zarówno dla Niemców, którzy byli jeszcze w lasach, jak i dla Rosjan. Póki co miałem konia. Jechałem bocznymi drogami i nie spotkałem ani rozbitków niemieckich, ani Rosjan, ani osób cywilnych. Ludzie bali się wychodzić z domów. Ja się nie bałem i jechałem z fasonem.

Dojeżdżałem już do szosy prowadzącej z Więcborka do Złotowa, pozostało mi jeszcze z pięćset metrów podrzędnej drogi. Z tego miejsca do Sypniewa jest jeszcze około dwóch kilometrów. Droga, którą jechałem, łączy się z szosą w miejscu, gdzie ma ona zakręt w lewo. W tym miejscu do szosy dochodzą również tory kolejowe, łączące Więcbork ze Złotowem i z prawej strony biegną równolegle wzdłuż niej aż do Sypniewa. Całą szerokością szosy szło wojsko. To była I Armia Ludowego Wojska Polskiego w marszu na Wał Pomorski i Kołobrzeg. Ze zdumienia i z zachwyty zatrzymałem się. Wyglądało to imponująco. Miałem dobry wzrok i rozróżniałem poszczególne żołnierzy. Ludzie szli bezładnie, wymieszani z wozami konnymi, stanowiącymi tabory. Kiedy podjechałem bliżej, od ogólnej masy wojska oderwało się kilku żołnierzy i zaczęli biec w moim kierunku. Pierwszy dobiegł do mnie wąsaty gość około czterdziestki i rzekł, że z nieba mu spadłem. To samo pomyślałem i ja. Zobaczyłem, że żołnierze mają polskie mundury i czapki rogatywki z orzełkami. Orzełki były nieco inne niż te sprzed wojny. Najważniejsze jednak, że zdobyły czapki polskich żołnierzy, którzy mieli w rękach karabiny. Bili znienawidzonego wroga. Spotkanie w tym miejscu polskich żołnierzy było dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Wąsaty żołnierz coś mówił, ale nic do mnie nie docierało. Ja z wrażenia oniemiałem, stanąłem w bezruchu jak zahipnotyzowany.

Wreszcie zrozumiałem, że wąsaty żołnierz chce zabrać mi konia, którego i tak odebraliby mi Rosjanie. Wielokrotnie mnie przeproszał, że musi go zabrać, ale te, które ma, nie mogą uciągnąć wozu

i żołnierze muszą im pomagać, pchając wóz za kłonicę. Inni żołnierze też chcieli zabrać konia. Wąsaty był jednak stanowczy i złapał konia za uzdę. Z prawdziwym zachwytem wsłuchiwałem się w rozmowy tych ludzi. Mówili piękną kresową polszczyzną, którą z miejsca pokochałem. Pokochałem również tych ludzi i gotów byłem całować ich po kolei i iść z nimi. Wyzwolili mnie z niemieckiej niewoli, pogardy i poniżenia.

Wąsaty doprowadził konia ze mną do szosy, do swojego wozu. Zsiadłem. Wciąż byłem oszołomiony. Wóz był średniej wielkości, a wyróżniał się tym, że był bardzo wyposażony sprzętem wojskowym. Ciągnęły go dwa konie, jeden pochodzenia europejskiego, drugi, znacznie mniejszy, azjatyckiego. Oba były bardzo zabiedzone.

ZAMIENIANKA

Wąsaty i jego żołnierze niezwłocznie wyprzęgli azjatę i zaprzęgli na jego miejsce mojego dobrze utrzymanego konia. Wąsaty się uśmiechnął i powiedział: „Teraz zajadę do Berlina, a pan niech sobie zabierze tego małego i odżywi go, będzie się nadawał na wiosnę do orki. Takie są prawa wojny”. Jeszcze raz mnie przeprosił i powtórzył, że konia i tak zabraliby Ruskie.

Straciłem konia, który nie należał do mnie. Pożyczyłem go i nie mogłem oddać jego właścicielowi. Nie ubolewałem z tego powodu. Niemcy nie tyle nam zabrali i nie takie wyrządzili krzywdy Polakom. A mojemu dziadkowi z Królikowa zabrali cztery konie – w pierwszą wojnę światową dwa i w drugą dwa. Ojcu w Brzostowie zabrali dwa dobre młode konie, nową uprzęż i również nowy wóz.

Za dobrze utrzymanego konia europejskiego dostałem małego konika azjatyckiego. Wziąłem za uzdę to „ćwierć konia” i ruszyłem na zachód. Za namową jednego z żołnierzy wsiałem na konia. Niedaleko jednak ujechałem wierzchem, bo w pewnej chwili któryś z żołnierzy krzyknął: „– Kawaleria naprzód!”. I uderzył mojego wierzchowca batogiem. Moje „ćwierć konia” skoczyło, a ja poczułem niesamowity ból w kroku. Myślałem, że koń przerznie mnie na pół swoim wychudzonym grzbietem. Natychmiast zeskoczyłem i od tej chwili prowadziłem mojego wierzchowca polem, idąc równolegle do szosy. Potem jeszcze raz spróbowałem na nim usiąść, tym razem bokiem, jak amazonka. Niedaleko jednak ujechałem, bo mój rumak potknął się na niewidocznej w głębokim śniegu nierówności i spadłem przez plecy na drugą stronę. Nie skręciłem karku, bo nie było wysoko

i leżał głęboki śnieg. Jeszcze raz próbowałem na niego wsiąść. Kiedy podskoczyłem i chciałem przełożyć nogę, moje zwierzę odwracało głowę i szczypało mnie w pośladki. Próbę ponawiałem trzy razy i za każdym razem szczypanie się powtarzało. Nie było to końskie mocne ugryzienie, ale uszczypnięcie jakby na żarty. W końcu zdenerwowałem się i przemówiłem do niego. Odchylił wargi i wydawało mi się, że się uśmiechnął. Może chciał powiedzieć: „Daj lepiej coś przegryźć”. Rozbroił mnie swoim zachowaniem. Już na niego nie wsiadałem, tylko bocznymi drogami doprowadziłem do Dorotowa. Zastanawiałem się, czy koń śmiał się ze mnie, czy do mnie. Niezależnie od tego, było to bardzo przyjazne zwierzę.

Na nasz widok ojciec wykrzyknął: „Zdzichu, coś ty przyprowadził?! Czy to koń, czy osioł?!”. Postawił wierzchowca u Józka Nagórnego w stajni, dał mu siana i wody. Co jakiś czas zaglądał do niego. Po kolejnych trzech godzinach konia już nie było. Ktoś go ukradł – stajnia była niezamknięta.

KWATERA

Wieczorem nasza izba się zaludniła. Przyszli żołnierze na kwaterę. Byli z Kresów Wschodnich i również z innych regionów Polski. Ja wsłuchiwałem się w rozmowy Kresowiaków. Bardzo mi się ich polszczyzna podobała. Ojciec palił w żelaznym piecyku, a oni zdejmowali buty i onuce i suszyli je. Jeden z nich zauważył, że przyglądam się jego karabinowi. Wprowadził nabój do lufy i podał mi karabin. „– Idź i strzel Panu Bogu w okno”. Z ochotą to zrobiłem, strzeliłem w powietrze. To był mój pierwszy strzał z karabinu. Żołnierze byli bardzo utrudzeni całodzienną wędrówką po ośnieżonej szosie. Poukładli się do snu na podłodze (a raczej glinianej posadzce), jeden obok drugiego. Chyba nie mieli koców, przykrywali się tylko płaszczami. Ojciec jeszcze długo czuwał i dokładał do piecyka drzewo, żeby tym zmęczonym ludziom było ciepło. Rano najedli się i poszli na swoje żołnierskie drogi. Nie wiadomo, jakie były ich dalsze losy.

Następnego dnia miałem wrócić do Zakrzewka, ale matka zatrzymała mnie na jeden dzień. Tego dnia pojawił się żołnierz, który pytał, czy może się u nas zatrzymać, bo jest chory. Zdjął buty, umył się i położył na sienniku. Był bardzo blady i źle wglądał. Na piętach i palcach stóp miał rany od odparzeń. Starał się trzymać stopy w powietrzu, bo nie było na nich tyle zdrowego miejsca, żeby je oprzeć

o siennik. Matka wyprała mu onuce i bieliznę. To wszystko szybko wyschło przy rozpalonym żelaznym piecyku.

Wieczorem znów izba była pełna żołnierzy, którzy przyszli na kwaterę. Znowu ojciec palił w piecyku i znowu ludzie suszyli sobie onuce i obuwie. Spali, a ojciec czuwał i dokładał do żelazniaka drewna. Mieliśmy go sporo, ponieważ ojciec otrzymywał odpady z przycinanych na wymiar kopalniaków. Rano znowu żołnierze zjedli śniadanie, popijając kawą ze swojej kuchni, jak również z kuchni matki i poszli dalej. Poszedł też ten chory, który przyszedł dzień wcześniej. Bał się, że może zostać posądzony o dezercję. Poszedłem i ja w drogę powrotną do Zakrzewka. Miałem do przebycia trzynaście kilometrów. Całą szerokość szosy zajmowało wojsko idące pieszo w przeciwnym kierunku, jechały również wozy konne. Na niektórych odcinkach zmuszony byłem zejść z drogi i w głębokim śniegu iść polem. Ta masa wojska napawała mnie dumą i nadzieją, że dobije znenawidzonego wroga. Każdy z żołnierzy mówił, że dojdzie do Berlina. Zszedłem z szosy na podrzędne drogi.

KONIEC ZAKRZEWKA

W Zakrzewku, gdy byłem jakieś dwieście metrów od podwórza, zaniepokoiła mnie zupełna, wręcz grobowa cisza. Nawet psy nie szczekały. Gdy wszedłem na podwórze, oniemiałem z wrażenia. Prawie wszystkie drzwi były pootwierane, nawet te u góry, przez które zrzucano siano „na oborę”. Otwarte były także wrota stodoły. (Wrót było dwoje, ponieważ były dwa klepiska). W budach leżały zastrzelone psy. Na środku podwórza leżały wnętrzności z zabitej krowy i świni. Świnię opalono słomą, której niedopalone resztki wałyły się wokół, a krowę najprawdopodobniej poćwiartowano ze skórą. Nie pozostawiono nawet racic ani krowich rogów. Spotkała mnie jeszcze jedna niemiła niespodzianka. Kiedy wszedłem do stajni, w której sypiałem, okazało się, że poginęły wszystkie moje osobiste rzeczy. Najboleśniej odczułem utratę brzytwy, którą otrzymałem od ojca. Wykopano z sąsiedku i zabrano skrzynię z domowymi naczyniami. Ze strychu obory zostało wywiezionych kilka wozów siana, zapas na całą zimę. Miałem pragnienie, chciałem się napić wody. Przy studni nie było wiadra, zostało urwane z łańcucha. Znalazłem je i drutem przypętałem do łańcucha. Po zaspokojeniu pragnienia uprzytomniłem sobie, że z tego wiadra popijono konie.

W mieszkaniu znalazłem trzy ręczne granaty, ale bez zapalników. Jak się później dowiedziałem, w domu stacjonowali żołnierze sowieccy. Zabrali część krów i owiec. Przypuszczam, że mieli współników, bo przecież oni nie wykopali skrzyni w stodole. Nie interesowały ich również maszyny rolnicze, a tych także brakowało. W dobrze prowadzonym gospodarstwie jest co kraść. Przypomniało mi się, jak Niemcy, po wyrzuceniu nas z Brzostowa, okradli nasze gospodarstwo. Wtedy stracił życie mój wierny przyjaciel Bobik. Teraz w budach leżały zabite Bari i Bello. Z Barim byłem bardzo zaprzyjaźniony, ponieważ pomagał mi tępić szczury, które były dla mnie prawdziwym utrapieniem. Bello wyróżniał się głównie szczekaniem. Szczekał głośno i dużo. Był to głupiutki piesek, który nie umiał ugryźć krowy w nogę ani zadusić szczura.

Pomyślałem sobie, że dobrze się stało, że poszedłem na te dwa dni do Dorotowa i nie stanowiłem żadnej przeszkody w rabowaniu niemieckiego dobytku. Mógłbym przecież podzielić los leżących w budach martwych psów. Zostały zastrzelone za to, że szczekały. Poszedłem do wsi, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, ale dowiedziałem się niewiele. Ktoś wymienił nazwisko człowieka, który odwiedzał gospodarstwo Dewnera, ale ten człowiek był nieuchwytny. Poszedłem do byłej służącej Łucy, lecz i ona była nieosiągalna. Po prostu schowała się przede mną.

Stałem na podwórzu. Przypominałem sobie, jak szliśmy z ojcem pierwszy raz do Dewnera – złowieszczy znak na płocie ogrodu, zjadłe szczekanie psów. (Niemiec na dźwięk polskiej mowy nie odezwał się i wszedł do mieszkania. Niemka nie poprosiła nas nawet do mieszkania, tylko wskazała ręką na drzwi stajni, informując przy tym łamaną polszczyzną, że tam jest miejsce dla parobka. Spędziłem w tej stajni dwa i pół roku). Zrobiło mi się zimno i tymi samymi drzwiami wszedłem do stajni. Nie było w niej koni i nie było tak ciepło jak wtedy.

Zamknąłem drzwi i usiadłem na łóżku. Wspominałem wszystkie najtrudniejsze i najboleśniejsze chwile ostatnich dwu i pół lat. Zastanawiałem się, czy inne narody są zdolne do tego, co zrobili Niemcy. Czy wśród innych narodów można znaleźć tyłu morderców. Już nie pierwszy raz doszedłem do wniosku, że aby osiągnąć taki efekt, pracowano wiele lat. Niemieccy ideolodzy wpajali społeczeństwu, że jest wyższą rasą i że jego byt może się poprawić, jeżeli wymorduje inne narody i zajmie ich ziemie. Niemcy nie byli zdolni do uczuć

wyższego rzędu. Widziałem, jak synowie odjeżdżali na front wschodni i żegnali się z matkami. Całe pożegnanie sprowadzało się do powiedzenia: „Matko bądź zdrowa” – i poklepania jej po ramieniu. A po dwóch czy trzech miesiącach przychodziło zawiadomienie, że syn poległ. Najdobitniej charakteryzowało ich stosunki rodzinne zachowanie Emila, który wziął teściową pod pachę i wrzucił na wóz jak snopek słomy. Nikt z rodziny wcześniej nie przygotował tej kobiety do wyjazdu. Wszyscy akceptowali po cichu nikczemną myśl Emila, że ma zostać na zagładę, bo jest nieużytecznym ciężarem.

Wreszcie pomyślałem, że nic tam po mnie, trzeba iść do domu. Nie ma tu już nic żyjącego oprócz szczurów, a te poradzą sobie beze mnie. Odchodziłem z ciężkim sercem. Nie przypadło mi w udziale nawet kurze jajko. Taki zbieg okoliczności. W dodatku zostałem okradziony z moich osobistych rzeczy. Być może, że przyczynił się do tego brak zapobiegliwości, a przede wszystkim brak doświadczenia życiowego.

ŻOŁNIERSKIE LOSY

W drodze powrotnej do szosy Więcbork – Złotów doszedłem w tym samym miejscu, w którym zabrał mi konia wąsaty żołnierz. Jak przed dwoma dniami szosą szli polscy żołnierze i sunęły konne tabory. Włączyłem się w tę ludzką rzekę i posuwałem się razem z nimi. Uwagę moją zwrócili niepełnoletni żołnierze. Nazywano ich synami pułku. Prawie wszyscy byli sierotami. Wyglądali jak żołnierze w miniaturze. Zadbali o to krawcy pułkowi, którzy poszyli im mundury na miarę. Szczególnie sympatycznie rozmawiało mi się z jednym czternastolatkiem, który twierdził, że jest dowódcą kompanii cekaemów. Spytałem go, gdzie są te karabiny maszynowe. Powiedział, że na wozach, pod innym sprzętem. Kiedy się z nim pożegnałem, przywołał mnie żołnierz z niedużymi wąsami i spytał, o czym rozmawialiśmy. Powtórzyłem mu naszą rozmowę. Zapytał, czy mu uwierzyłem. Odpowiedziałem, że nie wyraziłem głośno wątpliwości. Żołnierz był bardzo zadowolony. Powiedział mi, że chłopak często tak przechwala się przed obcymi. Niech fantazjuje. Miał bardzo ciężkie przeżycia – na jego oczach banderowcy zarabali siekierami oboje jego rodziców i kilkoro rodzeństwa. Widział to z ogrodowej piwnicy, gdzie się ukrył.

Dochodząc do Sypniewa, widziałem jak w kierunku Więcborka trzech żołnierzy sowieckich prowadziło osiemnastu niemieckich

jeńców. Jeńcy byli bez obuwia, nogi mieli poowijane szmatami. W głębokim śniegu szli po polu, bo na szosie nie było dla nich miejsca. Jednemu z Niemców odwinęła się taka szmata, więc szedł po śniegu boso. Zauważył to jeden z konwojentów. Zatrzymał jeńców, dwóm z nich kazał uklęknąć, oprzeć się rękami o śnieg. Ten z bosą nogą położył się na ich plecach, a konwojent własnoręcznie owinał jego nogę złodowaciałymi szmatami i obwiązał sznurkiem. Ten konwój nie stanowił wyjątku. Był to rewanz za to, jak Niemcy traktowali żołnierzy sowieckich, którzy poszli do ich niewoli. Z zimna, głodu i chorób umierało ich tysiące. Trudno sobie wyobrazić, by ci jeńcy zaszli daleko.

Żeby opóźnić marsz Sowietów i Polaków, Niemcy w Sypniewie zorganizowali punkt oporu. W oknach murowanych czworaków poukładali worki z piaskiem i zrobili z nich strzelnice. Było to skuteczne przeciw piechocie, ale nie stanowiło przeszkody dla czołgów. Jeżeli czołg z działa nie trafił w okno, tylko w jego obrzeże, to i tak ginęła załoga okiennej strzelnicy, a przynajmniej głuchła od wybuchu pocisku.

Opór Niemców został złamany. Poszczególni żołnierze zaczęli się wycofywać do sąsiednich lasów. Mieli do pokonania, bez żadnych osłon terenowych, co najmniej dwukilometrową odległość. Na otwartej przestrzeni czołgiści sowieccy wybili ich z armat jak kaczki. Był to błąd taktyczny Niemców. Nie mogąc wycofać się, obrońcy Sypniewa byli z góry skazani na zagładę.

Zginęła tam też nasza znajoma, pani Sokół z Wymysłowa. Przechodziła przez podwórze z domu do obory. Zauważyli to czołgiści, którzy z daleka wzięli ją za jednego z niemieckich żołnierzy i w jej kierunku oddali strzał z działa czołgowego. Zabiły ją odłamki granatu, który rozerwał się, trafiając w budynek.

Przyszędłem do domu wieczorem, było już zupełnie ciemno. Byłem bardzo głodny, przez cały dzień nic nie jadłem. W izbie gromadzili się żołnierze na kwaterę, ojciec palił w żelaźniaku, by mogli osuszyć onuce i obuwie. Rano, gdy żołnierze już poszli, ojciec opowiedział mi wydarzenie, którego był uczestnikiem. Matka znalazła jeszcze trochę pszennego śrutu i żytniej mąki, więc upiekła kilka bułeczek. Były chrupiące i bardzo smaczne. Ojciec wziął jedną bułeczkę i wyszedł na szosę, by poczęstować kogoś z żołnierzy. Właśnie jechał na koniu młody Rosjanin. Miał z fasonem wsuniętą na czoło czapkę uszanke, trochę na jedno oko. Taka była frontowa

moda. Chłopak był wesoły i robił dobre wrażenie. Ojciec kiwnął na niego. Żołnierz zeskoczył z konia, wziął bułeczkę, ale jej nie zjadł, lecz położył na kamieniu pod płotem. Zawołał kolegę, który wycełował w ojca karabin, a sam zaczął przeprowadzać rewizję. Porozpinał na ojcu ubranie (co robił z dużym rozmachem). W tym momencie nadeszło kilku polskich żołnierzy i spytali ojca, o co chodzi. Ojciec przedstawił sytuację. Najstarszy wiekiem żołnierz nakazał pozostałym wziąć Rosjan na muszki, a sam przemówił do nich soczystym wojskowym językiem. Główny sprawca zajścia powiedział, że ojciec jest szpiegiem, więc musiał go zrewidować, po czym obaj Rosjanie wskoczyli na konia i odjechali.

Zaczynało już ciemnieć i ojciec zaprosił Polaków na kwaterę. Najstarszy żołnierz długo rozmawiał z ojcem. Zwrócił mu uwagę, że ten Sowiet, który uznał go za szpiega, jechał na koniu na oklep, bez uzdy. Koń miał tylko naszyjnik i kawałek łańcucha. Wniosek z tego, że go komuś zabrał ze stajni. Powiedział, że na tych ludzi trzeba bardzo uważać i nie witać ich chlebem, a raczej kamieniem. Najlepiej zresztą niczym. Wielu spośród nich jest zwykłymi kryminalistami, którzy zostali zwolnieni z więzień, by iść na front. Znaczna część pochodziła z domów dziecka, w których stosowano ogłupiające metody wychowawcze. Podał przykład takiego „przedstawienia” – dzieci siedziały przed zasłoną z tkaniny. Gdy inspirowane przez dorosłych wołały: „Boże, daj cukierków!” – nic się nie działo. Ale gdy wołały: „Stalin, daj cukierków!” – ktoś ponad tkaniną przerzucał cukierki na ich stronę. Domów dziecka w Związku Sowieckim było dużo, ponieważ rodzice za byle co szli do obozów pracy czy też więzienia. Wielu spośród wychowanków komunizmu nie rozróżnia dobra od zła. Zabranie człowiekowi zegarka, roweru czy jakiegokolwiek innej rzeczy nie jest uważane za naganne, a raczej zalicza się do sukcesów. „Kapitalistą” i „burżujem” jest każdy, kto cokolwiek posiada, nawet rzeczy osobiste. Można zabić człowieka, żeby zabrać mu coś z ubrania. Sowieci zaznali swobody dopiero na froncie i korzystają z niej na swój sposób.

Rozmówca ojca był wywieziony z żoną i dziećmi do Kazachstanu. Samochodami zawieziono ich na ośnieżony step. Zamarzliby, gdyby nie pomoc Kazachów, którzy przyszli z łopatami, kilofami i pomogli im wykopać ziemianki. Z kołchozu, w którym później pracowali, otrzymali trochę materiałów na oszalowanie ziemianek. Bywało, że w nocy dobijały się do nich wilki. W tych warunkach

opowiadającemu żołnierzowi poumierały dzieci i żona. Żołnierz miał rozległą wiedzę, np. wiedział o mordzie katyńskim i o wielu innych sprawach. Ciekawiło go nasze życie podczas okupacji. Wypytywał też dosyć szczegółowo o Niemców. W ten sposób chciał ich chociaż trochę poznać.

Opowiedziałem ojcu o wydarzeniach w Zakrzewku. I o tym, że ostatnie dwa i pół roku mojego życia było jednym pasmem podłego traktowania, ciężkiej pracy i braku nadziei. A ojciec mi odpowiedział, że i tak miałem szczęście, bo przecież mogłem stracić zdrowie, a nawet życie.

CZEŚĆ III – MOJA POLSKA DROGA
LATA 1945–1955

POWROTY

Do Brzostowa przyjechałem na rowerze pod wieczór, było jeszcze jasno. Dokładnej daty przyjazdu nie pamiętam, mogło to być na początku lub w połowie lutego 1945 r. Kiedy wjechałem na podwórze i spojrzałem na tak dobrze mi znane zabudowania i zakamarki, miałem wrażenie, jakbym niedawno stąd wyjechał. Na podwórzu panował względny spokój, mimo że we wsi stacjonowało sowieckie wojsko. Był to nieduży oddział. W naszym domu mieścił się sztab i kwaterowało dwóch kapitanów, na podwórzu był okop dla samochodu. Pobyt wojska był prawdopodobnie związany z tym, że nieodległa Piła nie została zdobyta szturmem z marszu, lecz otoczona. Główne siły tego wojska poszły dalej na zachód.

Wszedłem do domu. W kuchni kucharz gotował dla wojska posiłek, dwie „wojskowe” kobiety oporządzały dwie zabite gęsi. Był też Rosjanin, którego jako młodego chłopaka Niemcy przywieźli do pracy. Chłopak czytał polską książkę i bardzo dobrze mówił po polsku. Nazywał się Wiktor Drebo. Pochodził z Orła. W obejściu była jeszcze dziewczyna – służąca pochodzącego z Besarabii Niemca, który przejął zabrane nam gospodarstwo. Dziewczyny jednak nie było w domu.

Wiktor poinformował mnie, że mój brat Ignac jest w oborze. Niezwłocznie skierowałem tam swoje kroki. Ignac poił bydło i podawał mu siano. Nie poznał mnie. Wpłynął na to zapewne panujący w oborze półmrok i dwuletnia rozłaka, która przypadła na czas, gdy chłopiec staje się młodzieńcem.

Powitanie z bratem było wyjątkowo czułe. W pierwszych chwilach prowadziliśmy chaotyczną, banalną rozmowę o wszystkim i o niczym. Mieszała się przeszłość z terażniejszością. Powoli nasze umysły się uspokoiły i przeszliśmy do rozmowy na aktualne tematy. Było o czym mówić. Brat dopytywał się o życie i zdrowie całej rodziny, i o szanse jej powrotu.

Ignac opowiedział mi swoje przygody z sowieckimi wojakami. Najwięcej problemów stwarzał kucharz. Miał na imię Siergiej,

prawie zawsze był pijany. Porąbał na opał stół, kilka krzeseł i inne rzeczy codziennego użytku, w każdej chwili mógł to uczynić z innymi meblami. Palił w piecu kuchennym tak, że płyta była czerwona. Nie mył talerzy i innych „skorup”, tylko tłukł je, wrzucając do wiadra, więc brat zwrócił mu uwagę. A on na to, że to jest niemieckie i on może robić z tym co chce. „– To nie jest niemieckie tylko moje”. Reakcja kucharza była natychmiastowa: „Twoje!? To ja ci pokażę, ty burżuju! Taka-a-taka twoja mać!”. Rzucił, co miał w rękach, skoczył do brata i złapał go w pól. Zaczęli się szamotać. Brat był słaby, ponieważ dopiero wyszedł z obozu w Potulicach, a kucharz był w dobrej kondycji, bo jedzenia miał pod dostatkiem. Przycisnął brata pośladkami do rozpalonych drzwiczek kuchennego pieca. Ignac poczuł piekielny ból, skoncentrował wszystkie siły; teraz on mocno chwycił kucharza w pól, podniósł i przycisnął do rozpalonych drzwiczek. Kucharz zawył z bólu.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł kapitan noszący takie samo imię jak kucharz – Siergiej. Kapitan wyciągnął nagan (rewolwer) i uderzył nim kucharza w głowę. Kucharz upadł. Kapitan kazał zanieść go do piwnicy, w której mieścił się „areszt”. Z nagrzonej kuchni – do zimnej piwnicy. Kucharz był ubrany tylko w spodnie i koszulę. „Areszt” był u sąsiadki Winieckiej. Piwnica została zamknięta i pilnował jej wartownik. Ignac powiedział kapitanowi, że ten człowiek się przeziębi, żeby go tam nie przetrzymywał: „Już oni go tam ubiorą! Gdybym postępował z podwładnymi mniej zdecydowanie, nie poradziłbym sobie”.

Kapitan Siergiej był wyjątkowym człowiekiem (imienia drugiego kapitana nie pamiętam). Obaj byli bardzo młodzi, z tym, że Siergiej był przyjaźnie ustosunkowany do Polaków, a w szczególności do mojego brata. Mówił na niego *chazjain*, co po rosyjsku znaczy gospodarz. Na mnie mówił „brat *chazjaina*”. Ignac i kapitan darzyli się wzajemną sympatią. Brat powiedział mu, że żołnierki zabiły dwie nasze gęsi. Kapitan najpierw dał im solidny „wytrask”, a następnie chciał jechać i gdzieś „zdobyć” gęsi. Ignac się na to nie zgodził.

Siergiej ogłosił, że z okazji mojego powrotu urządza przyjęcie. Nie mogłem tego pojąć, że ktoś może robić przyjęcie na cześć parobka, który jeszcze kilkanaście dni temu spał w stajni i w każdej chwili mógł dostać od Niemca dowolną ilość kopniaków. Intencja kapitana była jednak szczerą. Tak naprawdę, to chciał sobie przy tej okazji potańczyć. Ignac zaprosił dwie dziewczyny z sąsiedztwa.

Rosjanin zagwarantował, że włos im z głowy nie spadnie. Ubrał się w wyjściowy mundur i długie buty. Takich butów miał kapitan pełną walizkę – cztery albo pięć par w różnych kolorach. Dał do zrozumienia, że lubi elegancję. Jak na frontowca była to rzecz niezwykła. Niezwykły był to też człowiek.

Ignac grał na akordeonie, kapitanowie tańczyli. Jako poczęstunek były chleb, kapusta i spirytus. Piło się filiżankami, z których większość nie miała uszek. Piłem pierwszy raz w życiu. Po kilku małych łykach zrobiło mi się bardzo dobrze i wesoło. Dwoiło mi się i troiło w oczach. Z dwóch kapitanów zrobiło się czterech, a nawet więcej. Namnożyło się również dziewczyn. I wreszcie film mi się urwał. Spadłem pod własne krzesło. Ignac nie mógł się nadziwić, jak tego dokonałem. Zataszczył mnie na łóżko. Tak dla głównego bohatera zakończyła się uczta. Kapitan Siergiej dotrzymał słowa – odprowadził dziewczyny i ucałował ręce ich matek. Gdyby było inaczej, konsekwencje poniósłby brat, który gwarantował, że Rosjanin jest porządnym człowiekiem. Po tej libacji chorowałem kilka dni, a do pokoju, w którym się odbywała, nie mogłem wejść ze dwa tygodnie – ciągle czułem woń spirytusu. Na płycie stołu pozostały trwale ślady, bo porozlewany spirytus zniszczył politurę.

Rosjanie byli w Brzostowie jeszcze dzień lub dwa i wyjechali. Ich wyjazd miał dramatyczny przebieg. Na podwórku sąsiadki Winniekiej nie mogli uruchomić silnika samochodu. Przyszło im do głowy, żeby spróbować zapalić „na spirytus”. A gdy to się nie udało, wylali spirytus i wypili nie bacząc, że jest wymieszany z benzyną. Dwóch z nich straciło przytomność i ich ciała stały się całe czarne. Koledzy wrzucili ich na samochód i wyjechali. Kapitan Siergiej pożegnał się z nami bardzo serdecznie. Z Ignacem objęli się i ucałowali. Zastanawiałem się, co łączyło tych dwóch, że taką darzyli się sympatią. Jedną z przyczyn mogło być to, że Ignac dopiero co wyszedł z obozu. Przypuszczam, że obaj mieli dusze artystów, a Rosjanin był człowiekiem bardzo inteligentnym i kulturalnym.

Po odjeździe Rosjan zrobiliśmy bilans. Po Niemcach pozostały cztery krowy, około stukilogramowa świnia i dwie gęsi. I budynki, które ocalały w całości, co było wielkim szczęściem. W końcu pozostały tylko krowy, bo Rosjanki zabiły gęsi, a świnie ktoś nam w nocy ukradł. Przestraszyliśmy się, że to samo stanie się z krowami. Obo- ra była zamykana, ale to nie stanowiło dostatecznego zabezpieczenia, zamknięcie było słabe. W podwórzu nie było psa, co nie miało

większego znaczenia, ponieważ w kradzieży prawdopodobnie brała udział dziewczyna, która pozostała nam „w spadku” po Besarabie i pies by na nią nie szczekał. W obawie przed żołnierzami dziewczyna przebywała całymi dniami poza domem w jakimś szemranym towarzystwie. Prawdopodobnie to towarzystwo wmówiło jej, że świnia należy się jej jako ekwiwalent za pracę u Niemca.

Kradzież bardzo nas przynębiła. Nie z powodu materialnej wartości ukradzionego zwierzęcia (choć nie było to bez znaczenia), ale dlatego, że ktoś okradł nas z resztek tego, co pozostało – zabrał nam z chlewa ostatnią sztukę, która mogła stanowić początek nowej hodowli. Zaczęliśmy zastanawiać się nad mentalnością złodzieja, który kradnie ostatnią sztukę. Doszliśmy do wniosku, że dla niego jakiegokolwiek zasady etyczno-moralne nie mają znaczenia. Tacy ludzie, jeśli mają do tego okazję, zdolni są zamordować człowieka dla kilku złotych czy dla przedmiotu o niezbyt dużej wartości. Drugim zagadnieniem, które nas nurtowało, a było związane także z naszą sytuacją materialną – była wojna i kwestia odpowiedzialności za nią. W 1939 r. Niemcy napadli na Polskę bez wypowiedzenia wojny – kogo chcieli, zabili, wsadzili bez wyroku do więzienia, obozu, zagarnęli jego mienie, wywieźli do niewolniczej pracy – trudno wymienić wszystkie ich przewiny.

Do nas przyszli w maju 1941 r. w nocy i całej rodzinie kazali w pół godziny spakować się i wynosić. Gospodarstwo było w rozkwicie – obora pełna inwentarza żywego, mieliśmy dwa konie, było zboże wymłócone i jeszcze jedna trzecia zebranego żyta do młócenia, był również najróżniejszy sprzęt gospodarczy. Całą rodzinę Niemcy wywieźli do obozu w Potulicach koło Nakła nad Notecią. W interesie III Rzeszy zostaliśmy wyrzuceni, rozproszeni i zniewoleni.

Pierwszy po wojnie powrócił do domu w Brzostowie Ignac. Stało się to dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Ignac siedział w obozie w Potulicach, czterdzieści osiem kilometrów od Brzostowa. Obóz miał być ewakuowany w całości w głąb Niemiec. Szybkie ruchy wojsk sowieckich pokrzyżowały te plany. Kolumna ewakuacyjna rozsypała się, ponieważ konwojenci uciekli i ludzie indywidualnie powrócili do swoich domów.

Więźniowie, opuszczając obóz, ciągnęli za sobą po złodowaciłym śniegu – na desce, sklejce, czy też blasze – swój skromny dobytek. Był to dla tych wynędzniałych ludzi znaczny wysiłek. Brat wracał z trzema kolegami. Mieli jeszcze do przebycia dwanaście ki-

lometrów, opadli jednak z sił i postanowili przenocować po drodze, tym bardziej, że mieli do pokonania duże wzniesienie, tzw. Tomaszewską Górę. Upatrzyli sobie dom, który opuścili Niemcy uciekający przed wojskami sowieckimi. W obejściu znaleźli dwie kury, ugotowali je, zjedli i położyli się spać. Zanim usnęli, ktoś zaczął się do dobijając do drzwi. Było to czterech niemieckich żołnierzy wycofujących się przed Rosjanami. Byli hałaśliwi i postawili ich na nogi. Pierwsze ich pytanie – czy mają coś do żarcia? Odpowiedzieli, że nie. Niemcy dostrzegli jednak stojący na piecu w kuchni garnek z rosółem i znajdujące się w misce ogryzione kurze kości. Wypili ten rosół i jeszcze raz poogryzali kości, drobne pogryźli i zjedli. Widowisko było niepowtarzalne – panowie tego świata pożerali kurze kości, z których wcześniej mięso objedli więźniowie, ludzie skazani przez nich na zagładę. Może to tylko zrozumieć ten, kto był w życiu naprawdę głodny.

Jeden z kolegów brata wpadł na „genialny” pomysł – zabić Niemców i zawładnąć ich bronią. Brat kategorycznie się temu sprzeciwił. Rozmowę prowadzili szeptem, co nie uszło uwadze Niemców. Ich dowódca, Hans, dał do zrozumienia, że przy jakiegokolwiek niejasnej sytuacji użyją broni. Atmosfera nieco się rozładowała, kiedy najmłodszy z Niemców podszedł do Ignaca i poprosił o chleb. Brat zapytał go wtedy, czy nie jest on przypadkiem synem dentystki z Piły. Gdy usłyszał potwierdzenie, wyjął z kieszeni kawałek chleba, przełamał i połowę dał Niemcowi.

Niemcy położyli się spać w jednym pokoju, brat z kolegami w drugim. Niemcy prawdopodobnie zabarykadowali drzwi, słychać było przeciąganie mebli. W nocy dwóch kolegów brata rozboleły brzuchy. Zapalili kopciucha – lampę naftową bez cylindra. Rozpalili ogień w piecu i przykładali gorące fajerki do obolałych brzuchów. Nagle otworzyły się drzwi do pokoju, w którym spali Niemcy. W progu stanął Hans z pistoletem na piersi i granatami za pasem. „– Co się dzieje?”. Odpowiedzieli mu, że dwóch spośród nich ma bóle brzucha. Niemiec krzyknął do swoich kompanów, że mają dać „niebieskie tabletki z torby z czerwonym krzyżem”. Po pewnym czasie bóle ustąpiły. Mimo wielkiego zmęczenia i głodu, Hans czuwał.

Koledzy mieli pretensję do brata, że dał Niemcowi chleb. Ignac im opowiedział, jak siedział w obozie w Pile i pracował jako elektryk. Któregoś dnia rozboleł go ząb. Wartownik zaprowadził go do

dentystki w mieście. Powiedziała wartownikowi, żeby nie wchodził, aż go zawoła. Posadziła brata na fotelu i przyniosła mu kawał chleba z marmoladą, żeby nie zemdlął na krześle. Niemka niezbyt pochlebnie wypowiadała się o ówczesnej sytuacji. Na ścianie wisiał portret jej syna w wojskowym mundurze. Człowiek z portretu był do złudzenia podobny do żołnierza, który go prosił o chleb.

Powróciłem do Brzostowa jako drugi z rodziny. Byłem parobkiem u niemieckiego gospodarza w Zakrzewku, leżącego pięć kilometrów na zachód od Więcborka. Po wkroczeniu Rosjan znalazłem się u rodziny w Dorotowie, leżącym dwanaście kilometrów na zachód od Zakrzewka. Z Dorotowa do Brzostowa przyjechałem na rowerze. Odległość ta wynosi około czterdzieści kilometrów.

Z Ignacem całymi godzinami dyskutowaliśmy na różne tematy. Mieliliśmy sobie dużo do powiedzenia. I doszliśmy do wniosku, że wszelkie straty spowodowane przez Niemców powinno zrekompensować państwo niemieckie. Straty okazały się wręcz niewyobrażalnie wielkie. Nie byliśmy w stanie ich oszacować i nawet nie staraliśmy się tego uczynić. Przekraczało to nasze możliwości i wiedzę. Nikt w Polsce nie dostał odszkodowania od Niemców za utracone bliskie osoby, za zrabowane mienie, zrabowane dobra kultury, działania wojenne, ani za całkowicie zniszczoną Warszawę.

Mijały dni i tygodnie, a nasza rodzina była w dalszym ciągu zdekompletowana. Nadal w Brzostowie byłem tylko z Ignacem. Nie mieliśmy pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Ignac miał zadatki na intelektualistę, ja na rzemieślnika. Martwiło nas, co będzie na wiosnę. Gospodarstwo bez gospodarza i bez koni skazane jest na nędzną vegetację. Mieliliśmy jednak nadzieję, że do wiosny wrócą rodzice i brat Stach, który był urodzonym gospodarzem. W czasie okupacji pracował w majątku u Niemca pod Malborkiem.

Wreszcie nasze marzenia się ziściły – powrócili rodzice. Przyjechali wozem w dwa konie. Nie pamiętam, jak ojciec je zdobył. Graniczyło to w tym czasie z cudem, ponieważ konie pozabierało wojsko. Jak myślę, ojcu pomogło to, że zawsze utrzymywał z ludźmi bardzo dobre stosunki i pewnie po prostu ludzie mu pomogli z wdzięczności za jakąś jego przysługę. Konie były słabe. Przez całą podróż ojciec siedł koło wozu, a gdy było do pokonania jakieś wzniesienie, pomagał koniom, pchając wóz. Jak się okazało, takie poruszanie się obok wozu było niebezpieczne. Mijający ich jeden z sowieckich samochodów znalazł się tak blisko, że w ostatniej chwili, aby

uratować życie, ojciec wskoczył pod wóz. Samochód jednak zahaczył go za rękaw kurtki. Ojca uratowało to, że prawą ręką uchwycił się mocno wozu. Rękaw został jednak urwany.

W drugim incydencie również uczestniczył sowiecki żołnierz. Na wierzchu wozu, na innych rzeczach leżał rower. Jeden z czerwonoarmistów zapragnął wejść w jego posiadanie. Zatrzymał wóz i zaczął ściągać z niego rower. Obok roweru siedziała moja siostra. Amator jazdy rowerowej ciągnął pojazd do siebie, siostra się temu przeciwstawiła. W tym czasie ojciec ruszył wozem. Wojak nie zrezygnował z łupu, siedł obok wozu i ciągnął rower. Siostrę rozgrzała walka o swoją własność i dała mu ze dwa kopniaki w głowę. Żołnierz puścił rower, odskoczył w bok i wymierzył do niej z karabinu, krzycząc przy tym, że ją „zabije jak psa”. Nie strzelał jednak, a powrócił do poprzedniej metody i chwycił ponownie za rower. Dostał znowu kilka kopniaków. W tym czasie podjechały jakieś wojskowe samochody, w których obok kierowców siedzieli oficerowie. W tej sytuacji wojak zaniechał dalszej walki o rower.

Nie wszystkie przygody z Sowietami kończyły się szczęśliwie – bywało, że ludzie ginęli, broniąc swojej własności. Kobiety były gwałcone. Ale ginęli i oni – przyłapani na rabunkach, gwałtach i innych nieprawościach. Niektórzy ludzie mieli po przejściu frontu broń palną i używali jej w takich dramatycznych okolicznościach. Nie wszystkie więc wyczyny Sowietów uchodziły im bezkarnie.

Rodzice opowiedzieli nam również i o innych wydarzeniach, którymi byli wstrząśnięci. Przez jakiś czas byli u nich na kwaterze czterech oficerowie sowieccy. Ludzie ci pełnili jakieś misje przyfrontowe, mieli terenowy samochód – gazik, którym wyjeżdżali rano, nieraz bardzo wcześnie, a wracali wieczorem albo w nocy. Byli spokojni, taktowni i nie upijali się. Pewnego dnia przyjechał po pozostawione rzeczy tylko jeden z nich. Był ranny. Miał zabandażowaną głowę i rękę. Przez bandaż na głowie przesiąkała krew. Okazało się, że wpadli w zasadzkę, zostali ostrzelani z karabinu maszynowego przez Niemców. Dwóch z nich zginęło, a dwóch było rannych, jeden ciężko. Ten lżej ranny przyjechał jeszcze samochodem do Dorotowa. Samochód był podziurawiony przez kule, ale można było nim jeździć. Zasadzkę prawdopodobnie urządziły wojska niemieckie z Piły, które przerwały okrążenie i chciały się przedostać na północ, żeby połączyć się ze swoimi, którzy tam jeszcze walczyli. Rosjanie nie spodziewali się Niemców. Nie było frontowych jednostek,

do walki stanęli wszyscy – kto tylko znajdował się na zagrożonym terenie – za broń chwycili między innymi lekarze, sanitariusze, a nawet lżej ranni i kobiety.

RODZINNA ZIEMIA

Po powrocie rodziców w domu zapanowała nieopisana radość. Brakowało tylko najstarszego brata Stacha. Byliśmy jednak dobrej myśli, że i on wróci cały i zdrowy. Bacznie obserwowałem ojca i jego poczynania w tej trudnej sytuacji. Ciekawiło mnie, od czego zacznie i jak to uczyni. Obejrzał budynki, wyszedł do ogrodu, gdzie były kopce z ziemiopłodami. Nie było tego dużo, ale zawsze coś. Przyglądał się niektórym rzeczom, drzewom w sadzie. Znał przecież tutaj każdy kamień, słupek w płocie, a nawet sztachety, które własnoręcznie ciął z okraglaków piłą ramową i przybijał do poprzecznych drągów w płocie, tzw. żerdzi. Drugiego dnia obszedł pola, które nie były wystarczająco obsiane, a ziemia była bardzo zapuszczona, co było widać gołym okiem, nawet zimą. Nie wytrzymałem i zapytałem ojca, co o tym wszystkim sądzi. Ojciec powiedział, że nie jest dobrze, ale mogło być dużo gorzej. Niemcy wycofali się stąd pośpiesznie bez większych walk i nie doszło do zniszczenia budynków. Pola zostały czyste – bez min, pocisków artyleryjskich, wraków pojazdów, nieporyte okopami i ziemiankami.

Ucieszył mnie optymizm ojca – w jego spojrzeniu zobaczyłem wolę walki z przeciwnościami losu, a w tej sytuacji potrzeba było dużo zapału i cierpliwości. Ojciec wtedy nie miał jeszcze pięćdziesiątki, był przy tym bardzo pracowitym człowiekiem, odpornym psychicznie, z dużym doświadczeniem zdobytym w dotychczasowym, niełatwym życiu. Miał wiele znajomości i dobrze żył z ludźmi. Zaskarbił sobie przyjaźń i życzliwość wielu osób, co było mu teraz bardzo potrzebne, ponieważ był zmuszony pożyczać zboże – w tym również do siewu – i inne rzeczy, nawet słomę. Tak „wygospodarzył” Niemiec z Besarabii, który był na naszym gospodarstwie.

Ojciec wybierał się w pole i proponował mi, żebym z nim poszedł. Pole mieliśmy w dwóch kawałkach. Używało się określeń – pierwsze pole i drugie pole albo – to pole i tamto pole. Do pierwszego pola było około kilometra, do drugiego około półtora. Pola były równe, z niedużymi wzniesieniami i zagłębieniami. Była jeszcze łąka, też w dwóch kawałkach, dalsza leżała przy samej rzece Noteci i odległość do niej wynosiła około trzech i pół kilometra, dru-

ga znajdowała się o kilometr bliżej. Wszystkiego razem – pola i łąki – było dziewiętnaście hektarów.

Przez pierwsze pole postanowiliśmy przejść na przełaj, żeby mu się przyjrzeć. Gdźieniedzie tylko leżały resztki śniegu, można więc było z grubsza ocenić, jak była uprawiana ziemia. Orkę prowadzono na okrągło, począwszy od obrzeży oranego kawałka. Taką orkę chłopci prowadzili często w czasie tzw. płużkowania, które nazywano także podorywką. Podorywka była kontynuowana trzyskibowcem po żniwach, żeby zaorać rżysko (czy, jak kto woli, ściernisko), co zapobiegało wysychaniu ziemi. Orano trzema małymi płużkami, żeby tylko przykryć ściernisko, więc przemieszczanie ziemi nie było duże. Co innego, gdy się orze głęboko, np. pod żyto – wtedy ziemia jest przemieszczana o jedną skibę dalej. Jeśli się taką orkę powtarza co roku, to powoduje ona nagromadzenie ziemi na obwodzie oranego kawałka pola, a więc coś w rodzaju wału, a w środku tego pola powstaje rów. Wyraźnie było widać, że pole jest zachwaszczone. Na wierzchu znajdowały się kłacza perzu, a nawet całe kępy, które w czasie orki wysadzały pług z ziemi, czym jednak prowadzący orkę się nie przejmował. Wprowadzał pług do ziemi i „pyskał” (w ten sposób określano partacką orkę) dalej. Powstawały w ten sposób niezaorane wysepki. Sprawiało to wrażenie pastwienia się nad ziemią, a nie jej obrabiania.

Spojrzałem na ojca, który był z krwi i kości, z dziada pradziada rolnikiem i odniosłem wrażenie, że on to bardzo przeżywa. Przyszła mi do głowy taka myśl, że tę okaleczoną ziemię utożsamia z ranami na własnym ciele. Przypomniało mi się, jak orał ojciec i inni gospodarze z prawdziwego zdarzenia. Orkę rozpoczynano od bruzdy ostatniej orki, którą była wyraźnie widać na polu, mimo bronowania, czy innych wykonanych zabiegów. Bruzda była płytko rozorana na obie strony, żeby spulchnić ziemię wszędzie, a następnie z obu stron głęboko zaorana. W ten sposób pole było równe do tego stopnia, że trudno było się dopatrzeć, gdzie orkę rozpoczęto.

Jesienna orka pod zasiew żyta stanowiła pewnego rodzaju rytuał. Starano się, żeby bruzdy były proste, a ziemia ładnie ułożona. Skiby powinny być niezbyt szerokie, bez zapadlin, co świadczy o dokładnym przeoraniu całej ziemi. Oczami wyobraźni widziałem ojca lekko pochylonego, kroczącego za pługiem. Biczyczo bata, skierowane do tyłu trzymał prawą ręką razem z rączką pługa w ten sposób, że za nim włókł się po świeżej ziemi rzemień bata. Skóra

rzemienia pęczniała od wilgotnej ziemi i oblepiona nią stawiała się dwa razy grubsza. Ojciec był szczęśliwy i zadowolony ze swej pracy.

Na drugie pole już nie poszliśmy, wystarczyło nam wrażeń z pierwszego. Wracając do domu, nie rozmawialiśmy ze sobą. Myśleliśmy o zaniedbanej ziemi. Mnie było niewesoło, bo wiedziałem, że dopóki nie wróci do domu Stachu, nie będę się mógł zająć swoimi sprawami, będę musiał pomagać ojcu, bo to zrujnowane gospodarstwo stanowiło podstawę naszej egzystencji.

Po kilku dniach powrócił Stachu. W domu zapanowała wielka radość. Rodzina była w komplecie. Pytaniom i odpowiedziom nie było końca. Brat przyjechał wozem w dwa konie. Przypominam sobie z jego relacji, że Niemiec – właściciel majątku, w którym brat pracował – polecił zorganizować ucieczkę kilkoma wozami. Sam znajdował się w środku tej kolumny. Ucieczka się nie udała, ponieważ sowieckie czołgi odcięły kolumnie wozów drogę. Niemiec popełnił samobójstwo – zastrzelił się. Kolumna uległa rozproszeniu. Nie pamiętam, czy Stachu był w kolumnie z tym zaprzęgiem, którym przyjechał, czy organizował go w inny sposób. Konie, którymi przyjechał, należały do najcięższych, jakimi wtedy jeżdżono. Były to tzw. konie belgijskie. Chodziły jako tylna para w fornalkach, czyli zaprzęgu czterokonnym.

Spadł mi kamień z serca. Wiedziałem, że ojciec i Stachu dadzą sobie radę w gospodarstwie. Mimo że urodziłem się na wsi, nie lubiłem pracować na roli. Plany moje nie były skomplikowane, a ambicje wygórowane – zamierzałem uczyć się na ślusarza. Z rzemiosłem łączyłem swoje marzenia od dziecka, a w czasie wojny Niemcy uniemożliwili mi kontynuowanie nauki zawodu ślusarza czy jakiegokolwiek innego.

BYDGOSZCZ – DWORZEC

Wyraziłem chęć pojechania do Bydgoszczy, by szukać dla siebie zajęcia. Rodzina milcząco zaakceptowała moją decyzję, tylko ojciec dodał, że materialnie nie będzie mi mógł pomóc, ponieważ gospodarstwo jest zrujnowane. Matka dała mi bochenek chleba, pół kilograma masła i ruszyłem w nieznane. Było to na przełomie marca i kwietnia. Pociągi już jeździły, ale składy były towarowe, ponieważ Niemcy uciekając pozabierali wagony osobowe. Pociągi kursowały nieregularnie i nikt nie wiedział, kiedy nadjedzie ten oczekiwany. Czekano się na nie nieraz nawet kilka godzin. Pierwszeństwo miały transporty wojskowe. Trwała jeszcze wojna.

Na stacji kolejowej w Miasteczku Krajeńskim ze dwie godziny czekałem na pociąg. Dostałem się do tzw. wagonu bydłowego. Takie wagony mają dach i boczną obudowę, a z boku, po obu stronach, odsuwane ciężkie drzwi. Jechało mi się nieźle. Towarzystwo było różne, w tym kilku polskich wojaków. Żołnierze mieli czyste mundury. Z ich manier i rozmów, jakie prowadzili, można było wnioskować, że nie powąchaliby jeszcze prochu na polu walki. Prawdopodobnie byli to sztabowi dekownicy.

Przy wjeździe do Bydgoszczy pociąg zatrzymywał się kilkakrotnie, ale wreszcie dotarliśmy na peron. Był zatłoczony do granic możliwości. Tłok był w poczekalniach, w przejściach podziemnych, na schodach, w głównym holu i przed dworcem. Ta ludzka masa zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Przez ostatnie lata obcowałem przecież tylko z końmi i innymi zwierzętami, no i przebywałem na dużych, otwartych przestrzeniach, na polach. Teraz moje życie miało się zmienić.

Po pewnym czasie zorientowałem się, że ta ciżba ludzka to nie tylko Polacy – że są tu ludzie z całej Europy, że trwa wielka wędrówka narodów. Słychać było różne języki. Wracali ludzie z obozów, niewoli, więzień, przymusowych robót i trudno wymienić skąd jeszcze. Jechali we wszystkich kierunkach. Całym bogactwem większości tych ludzi było to, co mieli na sobie. Jak żyli, co jedli – nie jestem w stanie określić. Jedni wyglądali biednie, inni nędznie, a jeszcze inni bardzo nędznie. Byli też tacy, którzy wyglądali dostatnio i mieli nieźle wyglądające bagaże. Nie zastanawiałem się, do której kategorii zaliczyłby mnie postronny obserwator. Teraz przypuszczam, że do średniaków. Byłem zdrowy, nie miałem podartej odzieży, nie byłem wychudzony, no i miałem w mojej sfatygowanej walizce bochen chleba i pół kilograma masła.

Wyszedłem do miasta i rozmawiałem z kilkunastoma osobami. Pytałem, gdzie są jakieś warsztaty, które mogłyby mnie zatrudnić. Nie znalazłem odpowiedniego miejsca, najczęściej warsztaty były jeszcze nieczynne. Kilka osób wskazało mi warsztaty kolejowe. Poszedłem tam. Bez problemów przyjęto mnie na ucznia. Miałem zgłosić się następnego dnia. Byłem bardzo usatysfakcjonowany, że załatwiłem zasadniczą sprawę – pracę. Pozostało jeszcze znalezienie jakiegoś kąta do mieszkania. Tego dnia już nigdzie nie chodziłem, postanowiłem, że będę nocował na dworcu. Tym bardziej, że wejście do tunelu prowadzącego do warsztatów znajdowało się około stu metrów na wschód od dworca kolejowego. Byłem zmęczony

i przycupnąłem na chwilę przed budynkiem dworca, ponieważ w środku był tłok. Na dworzec przychodzili z pobliskiego szpitala lżej ranni żołnierze sowieccy. Zauważyłem, że są bardzo ruchliwi. W pewnym momencie jeden z nich wyrwał jakiemuś gościowi z ręki walizkę i co sił w nogach popędził w kierunku szpitala. Jego kompani zrobili sztuczny tłok wokół poszkodowanego, który nawet się wywrócił, gdyż jeden z żołnierzy podstawił mu nogę. Sprawca znacznie się oddalił, zanim tamten się pozbierał, więc nie miał szans, żeby dogonić złodzieja. Żołnierz był krępy, mocny i szybko biegał. Jedną rękę miał zabandażowaną, ale drugą i nogi miał sprawne. Zdystansował prawowitego właściciela walizki i zniknął w furtce szpitala. Poszkodowany, który wbiegł za nim, w chwilę później wyszedł ze szpitala z zakrwawioną głową. Okazało się, że za filarem furtki stał pomocnik złodzieja, który zdzielił go w głowę lachą, a na teren szpitala nie wpuścił go wartownik.

Przez jakiś czas obserwowałem szajkę składającą się z rannych żołnierzy. Zorientowałem się, że upatryli sobie następną ofiarę. Podeszedłem do tego człowieka i ostrzegłem go. Nie zdawałem sobie sprawy, że może mnie to kosztować nawet życie. Po chwili podeszedł do mnie jeden z żołnierzy i odwołał na bok. Odpiął ocieplacz, nieco go rozchylił i pokazał mi sztylet. „– Jeżeli nie chcesz mieć dziury w brzuchu, to nie wtrącaj się w nie swoje sprawy” – powiedział. To, co zobaczyłem i usłyszałem, wprowiło mnie w osłupienie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że Rosjanin już odszedł, a ja w dalszym ciągu tkwię w tym samym miejscu. To była niezła lekcja życia.

Pośpiesznie opuściłem feralne miejsce, żeby ukryć się wśród ludzi. Poszedłem do poczekalni dworcowej między trzecim i czwartym peronem. Z trudem znalazłem miejsce. Usiadłem na walizce. Musiałem przetrwać to, co przeżyłem przez ostatnie pół godziny. Przez cały czas przyglądał mi się siedzący obok mnie jegomość. Był znacznie starszy ode mnie. W końcu zapytał wprost, co się stało, bo wyglądał, jakby mnie ktoś ścigał. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Zauważył moje zmieszanie i powiedział, żebym się nie denerwował, bo on może mi tylko pomóc, w niczym mi nie zaszkodzi. Poczułem się jak dziecko przyłapane na tym, że za dużo cukru wyspało do szklanki. Wyczułem jednak, że jest to człowiek życiowy, życzliwy i bardzo sympatyczny. Opowiedziałem mu, po co przyjechałem do Bydgoszczy i swoją przygodę z Rosjanami. Przy okazji opowiedziałem mu kawał swojego życia. On mi się zre-

wanżował. Dowiedziałem się, że przed wojną był w wojsku i służył w Armii Pomorze. W czasie wojny w Borach Tucholskich dostał się do niemieckiej niewoli. Przez całą wojnę pracował u rolników niemieckich we wschodnich Niemczech. Teraz wraca do swojej rodziny. Ma żonę i dzieci, które na niego czekają.

Nasza rozmowa przeciągnęła się. Dostałem od niego kawałek tektury z jakiegoś kartonu z niemieckim nadrukiem. Uśmiechnął się przy tym i powiedział, żebym strzegł tego jak oka w głowie i kładł się na tym, a nie na gołym betonie. Ten człowiek udzielił mi kilku cennych wskazówek. Był bardzo subtelny, więc delikatnie dał mi do zrozumienia, że teraz będę obcował z ludźmi – to już nie stajnia i nie pole. A ludzie, jak to ludzie, są różni. Zdarzają się dobrzy i życzliwi, ale trafiają się też ludzie bezwzględni, źli – ludzkie kanalie. Jako przykład podał Rosjan. Na jednym biegunie znalazł się kapitan Siergiej (którego poznał z mojego opowiadania), a na drugim ci, z którymi zetknąłem się w Bydgoszczy – ludzie o złodziejsko-bandyckich inklinacjach, okradający biedaków, pozbawiają ich resztek najskromniejszego dobytku. Późnym wieczorem pożegnał mnie i odjechał.

Byłem bardzo zmęczony i niebawem zasnąłem. W nocy budziłem się kilka razy, ponieważ było mi zimno. Przed snem w miarę możliwości zabezpieczyłem się przed złodziejami. Udało mi się usadowić przy ścianie i w samym narożniku poczekalni położyć walizkę. Walizka była brzydka, poocierana ze wszystkich stron i wydawało mi się, że tym samym mało atrakcyjna dla złodziei, ale dla mnie bardzo cenna. Położyłem na niej głowę, resztę ciała ułożyłem na podarowanym kartonie.

Z powodu zimna obudziłem się wcześniej, niż zaplanowałem. Najadłem się chleba z masłem. Złożyłem karton tą ładniejszą stroną na zewnątrz i przywiązałem sznurkiem do walizki. Poszedłem na peron, gdzie był kran z wodą. Trochę się umyłem i napiłem. O gorącej herbacie można było tylko pomarzyć, nie było przecież barów. Gdyby nawet były, to i tak bym się nie napił, nie miałem pieniędzy. Miałem jeszcze około czterdziestu minut wolnego czasu. Wyszedłem na zewnątrz dworca i trochę pochodziłem szybkim krokiem. Zrobiło mi się ciepło.

WARSZTATY

Do warsztatów wchodziło się długim, szerokim tunelem pod wszystkimi torami kolejowymi biegnącymi przez Dworzec Główny.

W warsztatach, wśród zapachu rdzy i starych smarów poczułem się dobrze. Odszukałem szkołę i bez problemów zostałem zarejestrowany. Otoczenie, czyli moi koledzy, przyjęli mnie nijak. Nie dopytywali się, kim jestem i skąd przybywam – może dlatego, że właściwie wszyscy byli tu nowicjuszami. Na ogół pochodzili ze środowiska kolejarskiego – albo ojciec, albo ktoś z rodziny pracował na kolei lub w inny sposób był z nią związany. Warsztaty prowadziły głównie naprawy i remonty lokomotyw, a więc to nie była byle jaka specjalizacja.

Przydzielono mi pół stołu warsztatowego, imadło, szufladę w stole i dwa pilniki różnej wielkości. Należało wypilować określoną kształtkę. Najczęściej była to kostka. Chodziło o to, żeby kostka miała równoległe i prostopadłe płaszczyzny. Wbrew pozorom niełatwo taką kostkę wypilować, tym bardziej, że nasze pilniki były już bardzo zużyte i ślizgały się po metalu. Do pracy w nowym zawodzie przykładałem się solidnie, ale przy moim wyżywieniu byłem jednak słaby i zacząłem się pocić. Poza tym miałem pecha, ponieważ kostkę, którą otrzymałem, już ktoś przede mną pilował, z fatalnym zresztą skutkiem. Płaszczyzny miały mocno pozaokrągłane krawędzie, dalekie były również od wzajemnych równoległości i prostopadłości. A jednak był to wielki krok w moim życiu. Z parobka, który posługiwał się batem, kosą i widłami, w stosunkowo krótkim czasie stałem się początkującym ślusarzem. Przez wiele lat marzyłem o tym. Niemcy uniemożliwili mi spełnienie tych skromnych aspiracji.

Tak upłynął pierwszy dzień w nowym zawodzie. Wszystko stanowiło dla mnie nowość. Nie miałem nawet czasu pomyśleć o mojej sytuacji mieszkaniowej. Tak naprawdę uprzytomniłem sobie to dopiero w tunelu, po wyjściu z warsztatów. Gdy znalazłem się na ulicy, nie bardzo wiedziałem, co dalej. Moją uwagę zwróciła wielka, otwarta brama dworca towarowego. Coś mi podszeptnęło, by tam zajrzeć. Kilka kroków za bramą zatrzymał mnie kolejarz. Zapytał groźnie, po co tam idę. Powiedziałem, że śpię na dworcu i szukam czegoś do przykrycia, bo jest mi w nocy zimno. Kolejarz przeszedł na pojednawczy ton i zmienił swoją groźną minę. „– Czym chciałbyś się przykryć? – Nawet papierem”. Zastanowił się chwilę i powiedział, żebym poczekał. Wrócił z pakunkiem pod pachą. Były w nim dwa papierowe worki, które mi podarował, za co mu bardzo serdecznie podziękowałem.

Uszczęśliwiony udałem się w kierunku dworca. Przed dworcem rozejrzałem się, czy nie widać grasujących rannych żołnierzy.

Nie było ich, zauważyłem natomiast dwóch albo trzech milicjantów i patrol NKWD. To mi wystarczyło. Zrozumiałem, że został zaprowadzony porządek. Milicja chodziła wtedy po cywilnemu, z biało-czerwoną opaską na lewym rękawie i z bronią. Najadłem się porządnie, popiłem wodą z kranu na peronie i dobrze się poczułem. Przy kranie było sporo ludzi. Jedni się myli, inni pili wodę na miejscu i nabierali w różne pojemniki. Byli nawet tacy, którzy się golili. W dalszym ciągu wszędzie panował tłok, przewalały się różnojęzyczne tłumy.

Poszedłem w to miejsce, gdzie spędziłem ostatnią noc. Ku mojemu zaskoczeniu nie było tu wielkiego tłoku. W „moim” kącie ktoś siedział na jakimś pakunku. Poprosiłem, żeby mi ustąpił, ponieważ chcę się tu ulokować i przespać do rana. Wyjaśniłem, że ten kąt wydaje mi się najbezpieczniejszy i że spałem tu ostatniej nocy. Człowiek ustąpił mi miejsca, przesuając się nieco dalej. Niedługo miał odjeżdżać.

Usiadłem w kącie na walizce i oddałem się rozmyśleniom. Przed oczami przesuwały mi się, jak na filmie, obrazy z dwóch ostatnich dni. Natrętnie powracał widok żołnierzy rabujących ludzi na dworcu. Szczególnie zapamiętałem sztylet, który mi pokazał jeden z nich, uprzedzając, że mogę nim zarobić dziurę w brzuchu. Zastanawiałem się nad trwającą wędrówką narodów. Skąd są ci ludzie, gdzie byli i dokąd jadą? Gdzie żyją i jakie są ich obyczaje? Niektórzy byli bardzo dziwnie ubrani. Ludzie podchodzili do stojącego na peronie pociągu, pytali, dokąd jedzie i wsiadali do niego albo nie. Informacji ogólnej nie było, a pociąg na peronie stał godzinę, dwie, a nawet dłużej. Bywały mylne informacje albo kolej zmieniała plany i ludzie musieli wysiadać z pociągu. I tak dobrze, że o tych zmianach im mówiono, bo przecież mogli pojechać tam, dokąd nie zamierzali.

Poczułem wielką senność. Rozłożyłem karton, wsunąłem nogi do papierowego worka, który mi sięgał aż do pasa, drugi rozdarłem z boku i owinałem nim plecy. Bardzo szybko zasnąłem. Było mi znacznie cieplej niż poprzedniej nocy. Czasami budziłem się poprawiałem swoje okrycie i spałem dalej.

Rano wszystko było tak, jak poprzedniego dnia. Najadłem się chleba, który mi dała na drogę moja kochana matka, napiłem wody z kranu, trochę się umyłem i poszedłem do warsztatów. Mozolnie piłowałem swoją kostkę. Nasiąkałem już atmosferą warsztatu. Niektórzy chłopcy przynosili z domu zamki, kłódki i dorabiali klucze. Z dużą ciekawością przyglądałem się tym stosunkowo prostym

mechanizmom. Do naszej dyspozycji mieliśmy spawacza, który spawał gazem. Był to starszy człowiek, który spełniał prawie wszystkie nasze zachcianki.

Ten dzień minął bez większych sensacji, noc również. Następnego dnia, a był to już trzeci dzień mojej pracy, robota szła mi marnie, oba pilniki sfatygowały się i piłowanie było prawie niemożliwe. Ledwie wyprosiłem od instruktora trochę lepsze narzędzia. Mojej kostce nadawałem coraz poprawniejsze kształty. Instruktor widział moje starania, a może dopatrzył się jakichś postępów i już bez proszenia przyniósł mi jeszcze lepszy pilnik. Wszystko to jednak nie poprawiło mojego samopoczucia. Trafiła mnie sytuacja mieszkaniowa. Ile czasu można spać na dworcu kolejowym, przykrywając się papierowymi workami, które zresztą już zaczęły się drzeć. Dzień pracy dobiegł końca. Warsztaty opuszczałem w bardzo marnym nastroju. Tunel pod torami wydawał mi się niezmiernie długi. Wszystko widziałem w czarnych barwach. Dotychczas jakoś mi się układało, teraz popadłem w głęboki pesymizm.

STANCJA

Gdy odbierałem walizkę, portier zwrócił się do kogoś po imieniu i powiedział, że ma tutaj takiego dobrego chłopaka, który nie ma gdzie mieszkać. Mowa była o mnie. „– Może by zamieszkał u ciebie?”. Człowiek, do którego zwracał się portier, był w mundurze kolejarskim. Spojrzał na mnie i bez wahania odparł: „Może u mnie zamieszkać”. Trudno było mi uwierzyć, że sytuacja tak nagle się zmieniła. Przede mną stał człowiek oferujący mi miejsce do mieszkania. Ucieszyłem się niezmiernie, aż mi serce podskoczyło. Człowiek ten nazywał się Piątek, był emerytem kolejowym i mieszkał w Bydgoszczy na ulicy Szubińskiej. Przykrzyło mu się na emeryturze w domu i przychodził pod dawny zakład pracy, żeby spotkać się ze znajomymi, porozmawiać o tym i owym.

Poszliśmy prosto na Szubińską. Pan Piątek był bardzo sympatycznym i rozmownym człowiekiem. Całą drogę rozmawialiśmy przede wszystkim o mnie, chciał się dowiedzieć jak najwięcej. Mieszkał z żoną i córką. Córka była o rok młodsza ode mnie, uczyła się na fryzjerkę. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Państwo Piątkowie mieszkali w baraku „o podwyższonym standardzie”. Żona przyjęła mnie sympatycznie, choć – w przeciwieństwie do męża – z niewielkim zainteresowaniem. Trudno się dziwić, kobiety mają własny punkt

widzenia. Ubranie moje, delikatnie mówiąc, wyglądało niezbyt okazale, tym bardziej, że trzy noce w nim spałem. Z higieną też byłem na bakier, a pierwsze wrażenie, jakie robi jeden człowiek na drugim, jest często najważniejsze i nie zmieniają go w sposób istotny żadne tłumaczenia. A ja nie umiałem się tłumaczyć. Taki byłem, jak wyglądałem. Mój sposób bycia i wygląd ukształtowała okupacja.

Umyłem się porządnie mydłem, w ciepłej wodzie, co polepszyło moje samopoczucie. Nie mogłem się przebrać, bo nie miałem w co. Gospodyni poczęstowała mnie obiadem, który zjadłem z wilczym apetytem. W domu u państwa Piątków było bardzo czysto i panował wręcz wzorowy porządek, co mnie w pewnym stopniu onieśmielało. Zauważył to gospodarz i powiedział, żebym się niczym nie krępował i czuł się jak u siebie w domu. Rozmawialiśmy ze sobą otwarcie na różne tematy. Gospodarz był ślusarzem. Zajmował się z parowozami. I choć znajomość nasza była krótka, polubiliśmy się. Tego dnia nie poznałem ich córki, nie było jej w domu. Była w domu następnego dnia, gdy wróciłem z pracy. Przywitałem się z nią, ale nie zamieniliśmy ze sobą nawet jednego zdania. Obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem, z grymasem na twarzy i na tym się skończyło. Odbył się to w obecności matki, która przyjęła to nijak i ojca, któremu postawa panienki wyraźnie się nie spodobała. Aby złagodzić atmosferę, nawiązał ze mną rozmowę na jakiś interesujący nas obu temat. Fryzjerka była atrakcyjną, zgrabną dziewczyną średniego wzrostu, ciemną blondynką. Miała wyraźne i ładne rysy twarzy. Była zadbana i bardzo grzeczna w stosunku do rodziców.

Następnego dnia, w sobotę, pojechałem do rodziny w Brzostowie. Jechałem bezpośrednio z pracy. W drodze przeanalizowałem przebieg wydarzeń ostatniego tygodnia i uznałem, że – mimo różnych perturbacji – moją wyprawę do Bydgoszczy można uznać za udaną. Tak też przedstawiłem ją w domu.

Warto opisać samą podróż. Na pociąg w Bydgoszczy czekałem dwie godziny. Gdy już go podstawili i było pewne, że jedzie do Piły, czekaliśmy w nim kolejne dwie godziny. Wreszcie ruszył. Jechaliśmy węglarką. Wagon był brudny i ci, którzy stali przy ścianach, narzekali, że brudzą sobie ubrania. Mieli jednak ten luksus, że mogli się oprzeć. Ja stałem na środku wagonu, w tłoku. Wagon bujał nami i rzucał. Nie można było z niego wyrzeć, bo miał wysokie ściany. Przy każdym zatrzymaniu się pociągu podsadzano kogoś, żeby zobaczył, co się dzieje. Jeżeli to była stacja, odczytywał nazwę. Jeśli pasażer chciał wysiąść,

to wzywał kogoś z zewnątrz, żeby otworzył drzwi, bo nie można było tego zrobić od środka. Bywało, że młodzi ludzie przełazili nad ścianą węglarki, zeskakiwali na zewnątrz i otwierali drzwi.

W domu była wielka uciecha. Po latach niepowodzeń był to mój pierwszy, bądź co bądź, sukces. Domownicy wiedzieli, jak mi zależy na tym, żeby zająć się sprawami technicznymi, na początek choćby małymi. Gospodarka zaczynała już stawać na nogi – w chlewie były prosięta, pojawił się cielak, a na podwórzu pies, który robił dużo hałasu. Wszyscy cieszyliśmy się, że życie zaczyna się jakoś układać, że wszyscy przeżyli wojnę i szczęśliwie wrócili do domu.

W poniedziałek pojechałem do Bydgoszczy. Matka zaopatrzyła mnie trochę obficie niż poprzednio, co poprawiło humor gospodyni. Z gospodarzem w dalszym ciągu układało się dobrze, z córką natomiast bez zmian. W pracy było nieźle, zasłużyłem nawet na pozytywną ocenę. Instruktor dał mi nieco trudniejszy detal do pilowania i trochę nauczył korzystania z suwmiarki. Dni mijały bez większych wstrząsów.

KATASTROFA

Któregoś dnia, w drugiej połowie tygodnia, gdy wróciłem z pracy, gospodyni powiedziała, że mam wszy. Znalazła dwie w pościeli. Znieruchomiałem. Nie wiedziałem co powiedzieć. Byłem bezradny jak dziecko. Wreszcie otrząsnąłem się i pomyślałem, że ja sam na to nic nie poradzę, że może mnie wyratować z tej opresji tylko matka. Wybąkałem więc, że wyjeżdżam. Przed wyjazdem gospodyni dała mi jeszcze obiad. Zjadłem go na siłę.

W domu matka ściągnęła ze mnie ubranie. Wyprała, wygotowała, wypiekła wszystko, co miałem na sobie. Ja sam gotów byłem wejść do kotła z gorącą wodą, gdyby to coś pomogło. Wróciłem do Bydgoszczy w niedzielę, podobnie jak ostatnio, z prowiantem. Na nogach miałem długie buty, które tak bardzo lubiłem. W poniedziałek poszedłem do pracy, wszystko układało się dobrze. Po powrocie do domu gospodyni oświadczyła mi beznamietnie, że wszy są nadal i wyliczyła, ile ich znalazła w pościeli. Dodała przy tym, że będę musiał się od nich wyprowadzić. W moim domu muszą być wszy, a ona nie chce dopuścić do zawsznienia swojego domu. Bardzo mnie dotknęło stwierdzenie o wszach w naszym domu, byłem jednak bezsilny. Jakakolwiek dyskusja była bezcelowa, wszystko przemawiało na moją niekorzyść.

Podjąłem decyzję o natychmiastowym powrocie do domu. Gospodyni zaproponowała mi, żebym zabrał swój spożywczy ekwipunek. Nie wziąłem niczego, nie zjadłem nawet obiadu. Straciłem apetyt. Przed moim wyjściem przyszła fryzjerka. Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. Odniosłem wrażenie, że uwagę skupiła na moich długich butach, jakby sprawdzała, czy z ich cholew nie wychodzi robactwo. Buty te bardzo lubiłem, dawało mi satysfakcję to, że sam je uszyłem. Doszyłem cholewy do przyszew własnoręcznie wykonaną smołowaną dratwą. Szyłem na dwie igły. Takie buty liczyły się w czasie okupacji, bo Polacy na naszych terenach nie mieli możliwości nabycia nawet zwykłych trzewików. Skóra była ściśle reglamentowana. Gdy jechałem do Bydgoszczy, założyłem je, żeby dodać sobie animuszu. Nie wziąłem pod uwagę tego, że długie buty „odeszły” wraz z Niemcami i teraz ich nikt nie nosi. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy dostrzegłem badawcze spojrzenie fryzjerki. W swoim dramacie nie byłem osamotniony. Przy wyjściu podszedł do mnie pan Piątek i podał mi rękę. Pożegnaliśmy się w milczeniu. W oczach tego człowieka widziałem głęboki smutek. Zgnębiony poszedłem na dworzec kolejowy.

Na dworcu, jak zwykle, była masa ludzi. Kiedy chciałem wejść na peron, drogę zastąpił mi kolejarz. Powiedział, że skończyły się dobre czasy jazdy za darmo, teraz obowiązują bilety kolejowe. Stało przy nim dwóch uzbrojonych sokistów (ochrona kolei) i nie było mowy o tym, by pokonać tę zaporę. Nie pomogły żadne tłumaczenia – że jestem uczniem w warsztatach kolejowych, że nie mam pieniędzy. „– Jeżeli nie masz pieniędzy, to idź pieszo, a jeżeli jesteś uczniem, to przedstaw zaświadczenie”. Nie miałem oczywiście takiego zaświadczenia. Dla wielu ludzi ta decyzja kolei była zaskakująca i krzywdząca. Niektórzy nie widzieli jeszcze polskich pieniędzy – ja również. Podróżowali o głodzie i chłodzie w bardzo trudnych warunkach. Ci głodni ludzie nie mieli tu nic do powiedzenia. Tak niestety bywa w życiu najczęściej.

Po wyjściu z dworca skręciłem w prawo. Była tam pętla tramwajowa i jakieś remontowane torowiska, wokół pełno różnych rupieci. Zdecydowałem się przedostać na perony, forsując ogrodzenie. Był to wysoki mur. Wdrapałem się na niego po ściągniętych z okolicy rupiecach. Zastanawiałem się, czy przed zeskoczeniem nie spuścić na sznurku walizki. Powstrzymała mnie niepewność, czy drogi na perony nie zastąpi mi kolejny mur, na który nie będę miał po czym wejść.

Rozważania przerwałem, bo wydało mi się, że na dole za murem coś się poruszyło. Spojrzałem uważniej i zobaczyłem, że na dole stoi człowiek z karabinem w rękach. Czym prędzej zszedłem z muru. Jak się później okazało, był to mur okalający pocztę.

Przeszedłem na drugą stronę dworca, tam, gdzie był tunel prowadzący do warsztatów, a za nim brama wiodąca do dworca towarowego. Brama była otwarta i nikt jej nie pilnował. Pod wagonami towarowymi przedostałem się na perony pociągów osobowych. Gdy po pewnym czasie podstawiono pociąg do Piły, powstał niesamowity tumult. Jakoś dostałem się do wagonu. Była to węglarka, ale nie tak brudna jak ostatnio, bo ludzie już ją wytarli swoimi ubraniami. Wiedziałem, że pociąg odstoi swoje przed odjazdem. Miałem dobre miejsce, przy ścianie. Usiadłem na walizce.

Nagle usłyszeliśmy wybuchy. Ktoś krzyknął: „Nalot!”. Ludzie w panice pospiesznie wysiadali z wagonu, biegali we wszystkie strony. Właściwie nigdzie nie było bezpiecznie. Gdyby zbombardowano zabudowania, można było zginąć pod zwałami gruzu. Nie wiem dlaczego, ale wraz z kilkoma osobami pozostałem w wagonie. Odezwała się artyleria przeciwlotnicza. Niewtajemniczeni uznali to za bombardowanie. Stojący obok mnie starszy człowiek tłumaczył ludziom, że to Rosjanie stawiają ogień zaporowy, strzelając z dział dużego kalibru. Nagle nad stacją pojawił się wielki rozbłysk. Ktoś krzyknął: „Rzucili bomby zapalające!”. Ten sam starszy pan wyjaśniał, że to nie bomby, a niechlujstwo obsługi reflektora przeciwlotniczego, który stoi na wzniesieniu niedaleko dworca kolejowego i przez nieuwagę oświetlono nim dworzec, czego nie wolno robić. Należy przyznać, że reflektory przeciwlotnicze, omiatając niebo, tworzyły wspaniałe widowisko. Wyglądało to tak, jakby na gigantyczny drąg została zatknęta miotła, którą zmiatano niebo. Drąg stanowiła równoległa smuga światła reflektora, a miotła powstała w chwili, kiedy światło reflektora trafiło w chmury i w nich się rozpraszało.

Bydgoszcz była obstawiona gęsto bateriami dział przeciwlotniczych różnego kalibru i mnóstwem reflektorów przeciwlotniczych. Było czego pilnować. W mieście miały swe siedziby sztaby różnych jednostek, w tym prawdopodobnie sztab frontu. Niewątpliwie łakome kąski dla Niemców, choć przypuszczam, że nie byli oni już w stanie zbombardować sowieckich sztabów. Fama niosła, że te samoloty, które spowodowały alarm w Bydgoszczy, przyleciały z Gdańska i nie przebiły się przez zaporę ogniową, jaką postawi-

ła bydgoska obrona przeciwlotnicza. Niemieckie wojska na północy były okrążone, już dogorywały – Sowietci je dobijali. I było mało prawdopodobne, żeby to one organizowały wyprawy bombowe na Bydgoszcz. Może samoloty niemieckie, które przyleciały nad Bydgoszczą, miały jakąś inną misję do spełnienia?

Siedziałem w wagonie odrętwiały i wydawało mi się, że nie śpię, było jednak inaczej. Miałem jechać do Miasteczka Krajeńskiego, ale ocknąłem się za późno i wysiadałem już w biegu. Było to niebezpieczne – trzeba było zeskoczyć ze znacznej wysokości, z podłogi wagonu węglarki, a w dodatku po ciemku i z walizką w ręku.

ROBACTWO

Do Brzostowa dobiełem późno w nocy. Matka wstała i przygotowała mi coś do jedzenia. Zjadłem bardzo mało, choć nie jadłem wiele godzin, przeżycia z tego dnia zrobiły swoje. Opowiedziałem matce o wydarzeniach u państwa Piątków. Od razu dała mi świeżą bieliznę. Rano zmieniłem całą odzież. Wieczorem okazało się, że mam robactwo również w tej świeżej bieliźnie. Taka sytuacja powtarzała się jeszcze przez kilka dni. Matce opadły ręce. Chodziła jak struta. W tym czasie odwiedził nas Władek Lis, który pracował u ojca przed wojną. Władek wygłaszał specyficzne teorie, które w gruncie rzeczy nikomu nie szkodziły. Opowiadał, jak to podczas I wojny światowej we Francji „chłopy”, czyli żołnierze w okopach byli tak zawszeni, że robactwo wyżerało im dziury w ciele. Słuchałem tego ze zgrozą i niedowierzaniem. Władek ciągnął dalej, że niektórzy ludzie mają taką krew, że zalęgają się u nich wszy, nie wiadomo z czego.

Poszedłem na strych, żeby w odosobnieniu zastanowić się nad tym, co dalej. Na strychu był mały pokój, w którym stał stół. Leżały na nim różne narzędzia. Rozebrałem się, żeby obejrzeć swoje ciało. Zdjąłem pas na przepuklinę i położyłem na stole, na który właśnie padały przez okno promienie słoneczne. Pas był zniszczony i powiązany sznurkiem (nie było możliwości zdobycia nowego). Na pasie coś błysnęło. Spojrzałem uważnie – ogarnęło mnie przerażenie i obrzydzenie. Na sznurkach znajdowały się larwy wszy. Mnóstwo larw. Cała rodzina ucieszyła się tym odkryciem. Pas na przepuklinę, który stał się wylęgarnią robactwa i tym samym powodem moich kłopotów w Bydgoszczy, opasywał mnie przez wiele lat. Przepukliny nabawiłem się w 1942 r., kiedy byłem parobkiem u Niemca.

Prawdopodobnie wszy oblażył mnie w Bydgoszczy, kiedy spałem na dworcu. Trudno mi było uwierzyć, że ten koszmar mogę mieć za sobą. Pozostał jednak psychiczny uraz. Nie bardzo wiedziałem, co dalej robić. Nie byłem zdolny do dalszych poczynąń, dopatrywałem się w swoich niepowodzeniach przestrogi, że obrona przeze mnie droga nie jest dobra. Szybko jednak uznałem takie rozumowanie za niedorzeczne.

Doświadczyłem, jak łatwo wypaść za burtę bez własnej winy. Zastanawiałem się nad tym, jaki wpływ na życie ludzkie mają przypadki i czy można się przed nimi uchronić. Doszedłem do wniosku, że przypadków nie jest człowiek w stanie uniknąć. Należy jednak kierować się zdrowym rozsądkiem, żeby taka przypadkowość nie zaprowadziła człowieka na manowce, nie spowodowała nieszczęścia, czy wręcz unicestwienia. Te rozmyślenia były wynikiem moich życiowych doświadczeń, szczególnie tych z ostatnich tygodni. W domu robiłem to i tamto, ale myślami byłem gdzie indziej. Czulem się jak ptak z przetrąconym skrzydłem, który niby jest zdrowy, ale latać nie może. Byłem psychicznie zrujnowany.

OPOWIEŚĆ BERNARDA

Wreszcie nastąpił przełom. Zaczął się od tego, że mój serdeczny kolega, Bernard Kośmider, powrócił z niemieckiej ucieczki. Został zmuszony przez Niemca, u którego pracował w czasie wojny, do ucieczki przed Rosjanami z nim i jego rodziną. Z Bernardem nie widziałem się prawie cztery lata. W tym czasie bardzo się zmienił. Często się mówi, że ktoś się zmienił. W rzeczywistości zmiany następują zarówno u osoby obserwowanej, jak i obserwującej, co daje jakąś wypadkową. Z wesołego chłopaka Bernard stał się poważnym (z przeblyskami wesołości) dorastającym młodzieńcem. Jak się domyślałem, za tą powagą kryło się coś więcej, niż tylko naturalne procesy dorastania. Nie myliłem się. Chłopak miał za sobą ciężkie przeżycia, nie o wszystkich chciał mówić.

Rozmawialiśmy wiele godzin, opowiadał mi ze szczegółami o tej niemieckiej ucieczce przed Sowietami, w której uczestniczył wbrew własnej woli. Ucieczka Niemców w wielu przypadkach przypominała tę naszą przed nimi w 1939 r., były jednak też różnice i to niemałe. Nas na drogach bombardowały i ostrzeliwały z broni pokładowej niemieckie samoloty, oni nie byli nękani przez sowieckie lotnictwo. My w 1939 r. uciekaliśmy pod koniec lata – była ładna pogoda, moż-

na było przespać się byle gdzie, choć noce były już chłodne (minusem było to, że ładna pogoda sprzyjała niemieckim lotnikom). Niemcy przed Sowietami uciekali zimą i doznali wszystkich niewygód, jakie niesie ta pora roku. My uciekaliśmy przed agresorem, oni uciekali, ponieważ byli przestępcami i obawiali się odpowiedzialności karnej. Wielu z nich było mordercami i oprawcami winnymi pobicia i uwięzienia setek tysięcy Polaków. Mało który z Niemców nie należał do przestępczych organizacji hitlerowskich.

Bernard bardzo przeżywał to, że Polska jest wyzwalana, a on się od niej oddala, jadąc w nieznane w głąb Niemiec. Były momenty, że wpadał w rozpacz. Cały czas myślał jednak, żeby Niemcowi uciec. Nie było to proste – ze względu na kłopoty ze zdobyciem jedzenia i ciągłe kontrole dokumentów. Przy odpowiednim wietrze słychać już było kanonadę artyleryjską. Niemcy szaleli ze strachu, jechali dzień i noc, kolumna wozów posuwała się jednak wolno. Wreszcie Bernard opuścił Niemca. Udało mu się zabrać trochę chleba i dobrze się ubrać, była przecież zima. Ze względu na kontrole dokumentów nie ryzykował pieszej wędrówki. Postanowił gdzieś się zadekować i doczekać wyzwolenia. Upatrzył sobie stojącą nieco na uboczu stodołę i w niej się ukrył. Jeden sąsiek był pełen słomy, na klepisku leżała stara plandeka. Wziął ją i wszedł na słomę. Pod słomą znajdowały się rupiecie – resztki drewnianych konstrukcji i jakichś maszyn. Przy słupie wspierającym dach stodoły był zastrzał wspomagający ten słup i oparte o niego deski – w ten sposób przy układaniu słomy powstała powiększająca się ku dołowi dziura. Tamtędy uciekinier ze swoją plandeką wsunął się w dół i pod rupieciami urządził sobie legowisko. Nad nim było ponad trzy metry słomy. Owinął się plandeką i zasnął.

Rano, gdy było już jasno, obudziły go jakieś krzyki. Podsunął się do zrobionej z desek ściany stodoły i przez szpary zobaczył, jak dwaj żandarmi z żandarmerii polowej szarpią dwóch cywilnych chłopaków. Żandarmów łatwo było rozpoznać – byli w mundurach i na piersiach mieli wiszące na łańcuszkach blachy w kształcie rogali. Z rozmowy wynikało, że ci chłopcy są Polakami, podobnie jak Bernard, zbiegłymi niemieckim gospodarzom. Tłumaczyli się, że zeszli z wozów „za potrzebą”, w tym czasie wozy odjechały. Szukali ich, chcieli wrócić. Jeden z żandarmów chciał chłopaków puścić, pod warunkiem, że wrócą do swoich gospodarzy. Drugi utrzymywał, że są uciekinierami i do swoich gospodarzy nie wrócą. Za ucieczkę

będą zastrzeleni. Kazał im położyć się na ziemi. Ponieważ nie chcieli tego zrobić, strzelał do stojących. Kiedy strzelał do jednego, drugi błyskawicznie skoczył i złapał za pistolet. Wtedy oddał do niego serię z pistoletu drugi żandarm, ten, który chciał ich puścić wolno. Widząc to, Bernard omal nie krzyknął, co oznaczałoby również śmierć dla niego, zacisnął więc zęby. Niemcy poszwargotali i odeszli. Bernard, obezwładniony przez strach, przez jakiś czas nie mógł się ruszyć. Kryjówki nie opuszczał do zmroku. Za dnia pod stodołę podjeżdżało kilka wozów z uciekinierami. Jedni natychmiast odjeżdżali, gdy zobaczyli zamordowanych, inni brali słomę z drugiego sąsięka, gdzie było jej mniej i był łatwiejszy do niej dostęp. Bernard zapadał w płytkie sny, za każdym razem kończące się taką sceną, że strzelają do niego żandarmi. Ten dzień wydał mu się wiecznością. Wreszcie nadszedł upragniony zmrok. Wyszedł z kryjówki i postanowił uciekać razem z Niemcami. Doszedł do głównej drogi, którą sunął wóz za wozem.

Wypatrzył Niemkę, która sama jechała w dwa konie. Zatrzymał ją i zaproponował, że z nią pojedzie. Zgodziła się. Gdy wziął w ręce lejce i bat, poczuł się bezpiecznie. Powiedział, że zgubił swojego gospodarza, a chce jechać dalej. Kobieta miała dwoje małych dzieci (pięcio- i sześciolatek). Jechał z nimi kilka dni. Dzieci go polubiły i nawet zaczęły się do niego tulić. Kanonada dział była coraz wyraźniejsza, wydawało się, że strzelają ze wszystkich stron. Kolumna wozów posuwała się coraz wolniej, wreszcie stanęła. Gruchnęła wieść, że drogę ucieczki odcięły sowieckie czołgi. Niektórzy uciekinierzy w panice zaczęli zjeżdżać w boczne drogi. Grzmot dział dobiegał także z kierunku, w którym zdążali. Bernard zaproponował, by wjechać na podwórze niedużego gospodarstwa, którego właściciele uciekli wcześniej i przeczekać to zamieszanie. Dzieci płakały, trzeba było je uspokajać, jedno z nich gorączkowało. Kolumna wozów nadal stała i nic nie wskazywało na to, że ruszy. Namówił Niemkę, żeby w opuszczonym domu położyć dzieci do łóżek, zanim zajmie je ktoś inny. Sam przeniósł chore dziecko, narąbał drzewa. Potwierdziła się wieść, że są w okrążeniu. Sowietci odcięli im drogę ucieczki.

Bernard wyprzągł konie, wprowadził do stajni i dał im coś do jedzenia. Musiał uspokajać Niemkę, która trzęsła się ze strachu i nie mogła powiedzieć słowa. W tej sytuacji Bernard przejął inicjatywę. Rozpalił ogień pod kuchnią, zagotował wodę. Umyli się trochę. Niemka uspokoiła się i ugotowała zupę ziemniaczaną z kielbasą. Dzieci

wciąż spały. Na podwórze wjechało jeszcze kilka wozów, dom wypełnił się uciekinierami. Całą noc ludzie coś gotowali, prali i myli się. Palenie ognia w piecach zdradzał dym z komina, więc w czasie walk taki dom mógł zostać ostrzelany z dział czołgowych. Wreszcie ktoś rozsądny namówił ich, żeby przestali palić w piecu, czołgi sowieckie są coraz bliżej. Kanonada artyleryjska ustała, Niemcy nie stawiali tu oporu. Czołgi nadjechały rano. Wraz z nimi szła piechota. Po krótkim postoju wojska poszły dalej. Niemcy trochę się uspokoiли, już nie trzęśli się ze strachu, pokora ustąpiła niemieckiej bucie. Nieliczni mężczyźni spali w pomieszczeniach gospodarczych, kobiety w domu. Bernard spał na słomie w stajni pod kołdrą, którą dała mu Niemka. Ta kobieta w ogóle bardzo o niego dbała. Z zabranych na drogę zapasów domowych przygotowywała posiłki. On odwzajemniał się dbaniem o nią i o dzieci. Doszedł już do pełnej równowagi, ale nie rwał się do pozostawienia Niemki. Niemieckie kobiety były gwałcone przez żołnierzy sowieckich, ale wydawało się, że pogodziły się ze swym losem. Pogodzili się też mężczyźni – nie mieli innego wyjścia. W III Rzeszy wieszano Polaków za stosunek cielesny z Niemką. Teraz nikogo nie wieszano. Dumny naród niemiecki płacił za swoje czyny – na razie wszyscy byli jednak anonimowi i nie odpowiadali za swoje postęпки z przeszłości.

Tymczasem drogą, w odwrotnym kierunku niż niemieccy uciekinierzy, szło coraz więcej pieszych. Byli to przeważnie Polacy powracający z Niemiec z przymusowych robót na rzecz III Rzeszy. Bernard napomknął Niemce, że zamierza ją opuścić. Zmarkotniała – było jej z nim dobrze, dbał o nią i o dzieci. Takiego biegu spraw kolega się nie spodziewał. Rozkleił się całkowicie i on. Przypomnił sobie, jak znalazł schronienie na jej wozie, jak dopiero wtedy poczuł się bezpiecznie. Groziła mu śmierć z rąk żandarmów, gdyby odkryli, że uciekł swojemu gospodarzowi. Nie mógł na to wszystko machnąć ręką i odejść. Pozostał jeszcze półtora dnia. Pożegnanie było wzruszające – kobiecie płynęły łzy, płakały również jej dzieci. Bernard także dyskretnie ocierał oczy. Ta scena wzbudziła zainteresowanie otoczenia. Bardzo dziwne było to, że Niemka i jej dzieci płaczą za polskim parobkiem. Być może niektórzy podejrzewali jakieś intymne związki parobka z gospodynią.

Bernard wracał przez ponad dwa tygodnie. Niemka dobrze zapamiętała go na drogę. Po drodze napotkał Wojsko Polskie. Powitanie z wojakami było wzruszające i radosne, zapamiętał je na wiele

lat. Dostał od nich na drogę chleb. W życiu bywa jednak tak, że radość połączona jest ze smutkiem. Bernard trafił na pogrzeb polskich żołnierzy, który głęboko przeżył. Pomyślał o swojej matce, czekającej na niego w dzień i w nocy. Wszystko wskazywało na to, że w końcu się spotkają. Matki tych chłopaków już nigdy ich nie zobaczą. Chowani byli bez trumien, skawalona ziemia spadała na ich ciała, na twarze. Niektórzy mieli otwarte oczy, nie było przy nich bliskich, którzy na ogół świadczą tę ostatnią posługę – zamykają powieki. Ci chłopcy nieśli nam wolność i mieli na sobie polskie mundury, za których widokiem tęsknił przez całą okupację. Młodzi ludzie w polskich mundurach powinni walczyć, maszerować, cwałować na koniach, a nie leżeć w mogile pod zmarzniętą ziemią. To zrobiło na nim bardzo przynębiające wrażenie, często o tym wspominał.

ZNÓW W BYDGOSZCZY

Z Bernardem dyskutowaliśmy przez wiele godzin na różne tematy – poważne i nieco frywolniejsze, wspominaliśmy czasy sprzed wojny. Przyjemnie było powspominać te beztrudne, cielejące lata.

Opowiedziałem mu z detalami swoje przeżycia z Bydgoszczy. Nasze życiorysy były podobne. Doszliśmy do wniosku, że należy zdobyć zawód, niezależnie od napotkanych po drodze trudności. Staliśmy na progu nowego życia, trzeba było myśleć, co dalej. Bernard rozważał, czy nie wrócić do warsztatów kolejowych w Bydgoszczy. Na wspomnienie tego miasta ciarki chodziły mi po plecach, ale nie wykluczałem kategorycznie takiej ewentualności. Kolega uświadamiał mi, że główną przyczyną moich niepowodzeń w Bydgoszczy były zbiegi różnych niepomyślnych okoliczności – w tym zniszczony pas na przepuklinę, w którym załęgło się robactwo. Apelowaliśmy, żebym te złe wspomnienia wykreślił z pamięci, co nie było łatwe.

Bernard zdobył od kogoś adres miejsca w Bydgoszczy, gdzie można było zamieszkać. Ten argument ostatecznie mnie przekonał. Matki odpowiednio nas wyekwipowały i pojechaliśmy. Znalazło się nawet parę złotych. Nie dociekałem, skąd rodzina zdobyła te pieniądze.

Na kolei nic się nie zmieniło. Jechaliśmy węglarką. W Bydgoszczy bez przeszkód trafiliśmy do kilkupokojowego hoteliku z restauracją, mieszczącego się nad kanałem przy ulicy Nakielskiej. Właścicielem był pan o imieniu Marian. Mówiliśmy na niego „Maryś”. Bardzo się ucieszył, że będzie miał lokatorów, bo nocami hotelik był pusty,

staliśmy się niejako jego nocnymi stróżami. Od razu zaznaczył, że mieszkamy u niego bezpłatnie. Prosił, żebyśmy afiszowali się z naszą obecnością, żeby widzieli to ludzie. On sam mieszkał gdzie indziej. Następnego dnia załatwiliśmy sobie pracę w warsztatach. Ja przeprosiłem za swoją nieobecność, która wynikała z braku mieszkania. Bernarda przyjęto bez problemów. Otrzymaliśmy wspólny stół, narzędzia – po dwa pilniki – i piłowaliśmy kostki. Było to nudnawe, ale wiedzieliśmy, że musimy się tego nauczyć.

Mieszkało nam się dobrze. Mankamentem było to, że nie mieliśmy zegara. Bernard z łatwością odczytywał godzinę na zegarze miejskiej wieży, ja widziałem trochę gorzej. Któregoś dnia była mgła, nie można było odczytać godziny. Bardzo nam się dobrze spało, więc uznaliśmy, że na wstawanie jeszcze jest za wcześnie. W rezultacie spóźniliśmy się do firmy prawie trzy godziny. Odczuwaliśmy brak gotowanej strawy. Jedliśmy tylko chleb z masłem. Na terenie warsztatów w wagonie kolejowym prowadzony był ubój bydła. Zwróciliśmy uwagę na to, że zabijane krowy były niezmiernie chude i że ubój prowadzony jest w niehigienicznych warunkach. Nie przyszło nam jednak do głowy, że ubój prowadzony jest na potrzeby pracowników, że prawdopodobnie są jakieś stołówki. Nie znaliśmy takiej formy żywienia zbiorowego i nikt nam o tym nie powiedział. Ciągłe cierpieliśmy z powodu braku inwencji i dociekliwości. W dużym stopniu był to rezultat przeżyć z okresu okupacji, kiedy byliśmy parobkami i wykonywaliśmy tylko polecenia wydawane przez Niemców.

W naszej szkółce wprowadzono coś w rodzaju wychowania wojskowego. Było ono dla mnie i Bernarda bardzo uciążliwe, przy czym nie chodziło o ćwiczenia, które nie miały specjalnie wyszukanych form. Sprowadzały się do klasycznej musztry z bronią (karabinem), chodzenia i śpiewania. Już nam to wszystko nieźle szło. Uczestniczyliśmy nawet w pogrzebie sowieckiego pułkownika, który zginął podczas walk o Wrocław. Były przemówienia sowieckich wojskowych i miejscowych notabli cywilnych. Przykre było to, że choć wojna się kończy, giną jeszcze ludzie. Na pogrzebie były dwie siostry zmarłego pułkownika, również wojskowe. Rozpacz tych kobiet bardzo mnie przygnębiła. Głęboko im współczułem. Uciążliwość zajęć wojskowych wiązała się z osobą prowadzącego. Jeden z instruktorów chodził ciągle z kawałkiem węża gumowego w ręce. Takimi węzami przepływa w pociągach para wodna bądź powietrze

– są widoczne między wagonami. Instruktor wyczekiwał okazji, żeby użyć swego narzędzia. Na przykład w czasie zbiórek węzem dostawał ten, który pojawiał się ostatni.

„KAPO”

Choć nigdy ani Bernard, ani ja nie dostaliśmy tym węzem, już sama taka ewentualność nas denerwowała. Bernard opracował nawet pewną strategię postępowania, gdyby facet uderzył któregoś z nas. Mieliśmy go wspólnie stłuc, potem ukryć się na terenie warsztatów, wyjść razem ze wszystkimi i więcej tam nie wrócić. Widocznie niezbyt przyjaźnie na niego spoglądaliśmy, bo facet wyraźnie nas unikał, nawet naszych spojrzeń. Chłopcy nazywali go „oprawcą”, „kapo”, „esesmanem”, „hitlerowcem” itp.

Kiedyś szliśmy na zajęcia warsztatowe do pomieszczenia znajdującego się na piętrze. Wchodziło się do niego bezpośrednio z zewnątrz budynku, z dużej platformy wykonanej z ryflowanej płyty metalowej. Prowadziły na nią również ryflowane schody, umieszczone na zewnątrz budynku przy ścianie. Zarówno schody, jak i płyta platformy miały balustrady. W narożniku platformy – oparty o balustradę – stał nasz „kapo”, trzymał wąż w prawej ręce i uderzał nim o otwartą dłoń lewej ręki. Przechodząc obok niego, Bernard coś powiedział i zrobił się jakiś dziwnie mały, po prostu ugięły się pod nim kolana i na tych ugiętych kolanach zrobił kilka kroków. Pomogłem mu wrócić do normalnej postawy, ale nie zrozumiałem, co mówił (coś o wiadrze). Po kilku godzinach wydusiłem z niego, że jak przechodziliśmy koło instruktora, to wydawało mu się, że ten sięgnie po wiadro, które wisiało obok na desce pe-poż i uderzy go nim w głowę. Pokazał mi wielką półokrągłą bliznę z tyłu głowy i na szyi – była pozostałością rany od uderzenia dnem wiadra. Wypełnionym ziemniakami wiadrem rzucił kiedyś w niego Niemiec. Bernard wstydził się tego, że był bity przez Niemców i wołał o tym nie mówić. Przyrzekł sobie jednak, że jeśli ktokolwiek go uderzy, to odda mu w dwójnasób.

Nieoczekiwanie nadarzyła się okazja konfrontacji z instruktorem-oprawcą. Pod jego kierunkiem stawiany był maszt do flag. Był zrobiony z zespalanych rur i miał ponad dwadzieścia metrów wysokości. Im wyżej, tym rury były cieńsze. Na pewnym odcinku były wpuszczane jedna w drugą. Stojący maszt znajdował się między dwoma ceownikami, zabetonowanymi w podłożu. Przez ceowniki i rurę były przetknięte dwa sworznie. „Kapo” zawiązał do masztu dwie lin-

ki, które podnosiły maszt. W czasie podnoszenia maszt znajdował się pomiędzy ceownikami i był połączony z nimi jednym sworzniem. Instruktorowi zabrakło pomysłu, jak od stojącego masztu odwiązać linki. Zaproponował chłopakom, żeby któryś wszedł na maszt i zrobił to. Chętnych było wielu, ale żaden z chłopców nie umiał tak wysoko wejść. Wchodzili na trzy, cztery metry i zsuwali się po pomalowanej gładkiej rurze. Bernard gorąco mnie namawiał, żebym wszedł na maszt. Był święcie przekonany, że tego dokonam i wskazał na mnie. „Kapo” niechętnie, ale zgodził się, żebym spróbował. Zdjąłem trzewiki. Udało mi się wspiąć na maszt właśnie dlatego, że miałem bose nogi. Zemdlały mi przy tym ręce i nie mogłem odwiązać linek. Powiedziałem o tym. Bernard krzyknął z dołu, żebym odciął je nożem. Instruktor się temu sprzeciwił. Wyjąłem jednak z kieszeni scyzoryk, otworzyłem go zębami i resztkami sił odciąłem linki. Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem obserwowany z okien pobliskich biur. Wejście na maszt było swego rodzaju wyczynem. Maszt górował nad otaczającymi go zabudowaniami i był widoczny z czwartego peronu Dworca Głównego w Bydgoszczy. Kiedy się na niego wspiąłem, obserwujący mnie urzędnicy otworzyli okna i nagrodzili mnie oklaskami. Zsunąłem się na dół, byłem już tak zmęczony, że nie było mowy o metodycznym schodzeniu. Podczas zjazdu w dół stalowa linka, służąca do podciągania chorągwi, pościerała mi podbicia stóp. Otarcia zaniedbałem – jątrzyły się przez kilka tygodni, ponieważ nosiłem onuce wykonane z włókna drzewnego.

Gdy byłem na maszcie, nagle się przestraszyłem. Stało się to po tym, gdy Bernard mi przypomniał o nożu, a ja spojrzałem w dół. Linki były zawiązane na początku ostatniego segmentu masztu, rura w tym miejscu miała około pięciu centymetrów średnicy. Przeląknęłem się, że maszt może się pod moim ciężarem wygiąć. Pojawiła się jeszcze jedna nedorzeczna myśl – że mogę go puścić i odpaść od niego. Skoncentrowałem się na otworzeniu noża, odcięciu linek i zjechaniu z masztu. Byłem zmęczony fizycznie i psychicznie. Instruktor zaatakował mnie za obcięcie linek. Nasze stosunki stały się jeszcze chłodniejsze. Robił wrażenie, że nie dostrzega ani mnie, ani Bernarda.

PODRÓŻE

Niebawem znów jechaliśmy pociągiem do Bydgoszczy. Byliśmy w bardzo dobrych nastrojach. Podróżowaliśmy węglarką. Nie odpowiadało nam stanie na podłodze wagonu, bo chcieliśmy

widzieć, co dzieje się na zewnątrz pociągu. Wdrapaliśmy się więc na wierzch tylnej ściany i usiedliśmy tam na ceowniku (miał ze dwadzieścia centymetrów szerokości i w ścianę wagonu był wmontowany w ten sposób, że na jego płaskiej części, na tych dwudziestu centymetrach można było siedzieć; nie był to zwykły ceownik – jego krawędź, ta od środka wagonu była skierowana w dół, a ta od zewnątrz – ku górze). Siedziało się nam w miarę wygodnie. Oglądaliśmy piękne krajobrazy. Mieliśmy wrażenie, że świat się do nas uśmiecha. Po lewej stronie torów rozciągały się sady i pola uprawne, w niektórych miejscach ułożone w tarasy pnące się ku górze, z prawej strony ciągnęły się bezkresne nadnoteckie łąki. Wszystko to tonęło w wiosennej zieleni. To była wiosna 1945 r. Pierwszy raz dostrzegliśmy piękno tej okolicy. A na dodatek skończyła się okupacja, byliśmy zdrowi i wolni, czuliśmy, że mamy przed sobą perspektywy. Jak ma się siedemnaście lat, wszystko wydaje się proste, świat jest kolorowy, trudności życiowe łatwiejsze do pokonania. Na wszystko patrzy się z wielką dozą optymizmu. Siedzieliśmy na tylnej ścianie węglarki z nogami spuszczoneymi do środka wagonu, twarzami zwróconymi w kierunku jazdy, nie bacząc na wiatr powodowany pędem pociągu, ani na sadze z lokomotywy, które mogły nam wpaść do oczu. Byliśmy po prostu bardzo szczęśliwi.

Gdy zbliżaliśmy się do Nakła, maszynista zagwizdał kilka razy. Nie zwróciliśmy na to uwagi – sprawą maszynisty jest prowadzić pociąg i gwizdać. Nagle pociągiem szarpnęło, po chwili nastąpiło jeszcze mocniejsze szarpnięcie. Trzecie było tak mocne, że spadliśmy do środka wagonu. Dwa pierwsze szarpnięcia były spowodowane ostrym hamowaniem, trzecie – wypadnięciem lokomotywy z szyn. Wraz z innymi ludźmi leżeliśmy na podłodze wagonu. W pewnej chwili zaczął się on przechylać na lewą stronę, a jego podłoga wypiętrzała się i łamała. Słysząc przy tym potężne trzaski – deski podłogowe miały kilka centymetrów grubości. Grozę potęgowało to, że z podłogi zaczęły wyłaniać się koła wagonu. Im mocniej wagon przechylał się na lewą stronę, tym bardziej jego koła wychodziły z podłogi. Wreszcie wszystko się zatrzymało. Wagon przechylił się o blisko czterdzieści stopni. Wśród podróżnych przeważały kobiety powracające z szabru. Któraś z nich poprosiła, żebyśmy wyskoczyli z wagonu i otwarli drzwi. Gdy wróciliśmy, w wagonie nie było naszych bagaży. Jedna z szabrowniczek „zapiekowała” się nimi i już zdążyła oddalić się kilka metrów. Gdy-

śmy odbierali jej nasze bagaże, baba powiedziała, że chciała nam je tylko wynieść.

Razem z innymi szliśmy wzdłuż murowanego ogrodzenia. Bernard powiedział: „– Zobacz, jak mieliśmy blisko”. W pierwszej chwili nie rozumiałem, ale gdy spojrzałem przez framugę kratownicy w murze, sprawa się wyjaśniła. Szliśmy wzdłuż ogrodzenia cmentarnego. Rzeczywiście mieliśmy blisko. Wystarczyło, byśmy siedzieli na przedniej ścianie wagonu. Przy hamowaniu spadlibyśmy na zde-rzaki, no i na szyny. Katastrofa miała miejsce w Nakle, na pierwszym przejeździe kolejowym od strony Piły. Spowodowali ją żołnierze so-wieccy – wjechali na tory samochodem, który tam prawdopodobnie im się zepsuł. Nie zdążyli go usunąć przed nadjeżdżającym pocią-giem. Lokomotywa rozbiła samochód i wykoleiła się od uderzenia. Z szyn wypadły i częściowo zostały zgniecione również pierwsze wagony. Benzyna z rozbitego samochodu oblała pierwszy wagon, który się zapalił, ale ogień nie był duży. W pierwszych dwóch wago-nach jechali żołnierze sowieccy. Byli wśród nich zabici i ranni.

Ludzie z pociągu udali się na stację kolejową w Nakle, zapełniły się poczekalnie i korytarze. Tłok powiększył się jeszcze, gdy na stację zaczęli przychodzić sowieccy żołnierze z wojskowych transportów jadących z Bydgoszczy w kierunku Piły. Transporty musiały zatrzy-mać się z powodu zniszczonych torów pod Naklem. Na stację przy-chodzili przeważnie oficerowie i podoficerowie. Byli w mundurach wyjściowych i nieźle się prezentowali. Znalazł się też jakiś akordeo-nista (był po cywilnemu) i zaczęła się zabawa. Tańce odbywały się przed stacją kolejową, na niedużym placu wyłożonym płytami chod-nikowymi. Tańczyli wojacy z Polkami, było też kilka wojskowych Ro-sjanek. Tańczono popularne tańce europejskie, nie obyło się jednak bez kozaka. Trwała dobra zabawa w przyjaznym nastroju.

Wśród cywili wyróżniał się jegomość podróżujący z trzema do-rośłymi córkami. Byli dobrze ubrani, mieli też kilka eleganckich skórzanych waliz, które przyciągały wzrok i pewnie u niejednego budziły zazdrość. Trudno było zgadnąć, kim są ci ludzie, skąd wra-cają, a jeszcze trudniej, co zawierają ich walizy. Ewidentnie wy-różniali się na tle szarego pospólstwa. Tymi właśnie podróżny-mi zainteresowali się Sowieci. Byli bezceremonialni – dziewczyny obsypywali komplementami, z ojcem prowadzili ożywioną roz-mowę. Postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, że całe to towarzystwo doskonale się bawi. Nagle powstał tumult, hałas

i jakieś przytłumione krzyki. Zrobił się tłok, ojciec i córki zostali odepchnięci od waliz, które wyrzucono przez okno w kierunku peronów. Przez to okno wyskoczyli również wojacy. Zrozpaczony mężczyzna złapał się za głowę i zaczął wykonywać dziwne podskoki, powtarzając w kółko, że ukradli mu milion złotych. Wszystko to trwało kilkanaście sekund. W innym miejscu stacji w podobny sposób skradziono komuś dwie walizki. Poszkodowany zachowywał się dość spokojnie, kilka razy powtórzył tylko, że skradziono mu dorobek życia.

Do kolejnego incydentu doszło kilka kroków od nas. Jakaś panienka wdała się w rozmowę z żołnierzem, który ją zaczepił. Nie było w tym nic nagannego i nic nieprzyzwoitego. Gdy zaczęło się ściemniać, żołnierz poszedł na całego. Na oczach ludzi chciał ją zgwałcić. Dziewczyna podniosła krzyk, a kilku mężczyzn głośno wyraziło dezaprobatę. Wojak się uspokoił. Doprowadził odzież do porządku i wyciągnął z kieszeni spluwę. Stał w widocznym miejscu i głośno powiedział: „- Kto tu jest niezadowolony?”. Odstał chwilę, ale nikt się nie odezwał. Ostentacyjnie przeszedł przez salę z rewolwerem w rękę i przy wyjściu powiedział: „- Przeklęte Polaki”. Siedzieliśmy z Bernardem na swoich walizkach, kiedy wojak przechodził koło nas. Lufa jego rewolweru znajdowała się kilka centymetrów od naszych nosów. Na sali panowała śmiertelna cisza. Po wyjściu wojaka dostało się dziewczynie za jej lekkomyślność. Ktoś stanął w jej obronie, przecież nie mogła przewidzieć, że ten człowiek zachowa się jak zwierzę.

Ludzie uspokoiли się, znów oddali się zwykłym rozmowom. Pannienka wyszła. Bernard spytał mnie, czy widziałem jaki kolor ma środek lufy rewolwerowej? Gdy zastanawiałem się nad odpowiedzią, Bernard powiedział z uśmiechem: „- Czarny jak śmierć, którą niesie”. Nie byłem w nastroju, by dyskutować na ten temat, ale przecież śmierć najczęściej przedstawiana była jako postać w białym stroju, z kosą.

Dalsza część nocy była spokojna, wojacy już nas nie nachodzili. W dzień też panował spokój. Nikt jednak nie informował ludzi, jak przebiegają prace przy naprawie torów i kiedy ruszą pociągi. Bernard dowiedział się, że na stacji stoi pociąg służbowy do Bydgoszczy, który zabierze część oczekujących. Okazało się, że jest bardzo przepełniony i nie ma szans dostania się do niego. Pewien mężczyzna lokował się na dachu wagonu i wciągał tam swój bagaż – rower i coś tam jeszcze. Zauważył to sokista (milicjant kolejowy) i złapał za

nogę, kiedy tamten był już dość wysoko. Gość usiłował nogą wierząć, bo myślał, że o coś nią zahaczył. Kiedy w końcu spojrzął w dół, powiedział do sokisty: „– Odczep się, bo przyłożę ci cegłą”. Rozbawiła mnie jego groźba, skąd on tam na dachu wagonu weźmie cegłę? Zdecydowaliśmy się jechać na zderzakach wagonów. Było na czym stanąć i czego się uchwycić. Cali i zdrowi dojechaliśmy do Bydgoszczy. Nikomu jednak nie radzę jeździć na zderzakach.

KOSZALIN

W Bydgoszczy miejsca nie zagrzaliśmy. Byliśmy tam niecałe trzy miesiące. Powodów było kilka. Przede wszystkim byliśmy zawiedzeni przebiegiem nauki. Oprócz piłowania kostek marnymi pilnikami, prawie nic więcej nie robiliśmy. Nie było żadnych wykładów z przedmiotów ogólnych czy zawodowych. Zwiększono nam liczbę godzin ćwiczeń wojskowych i wyglądało na to (tak uważał Bernard), że one są głównym naszym zajęciem, sprawy zawodowe zeszły na daleki plan. „– Widocznie szykują nas jako mięso armatnie na trzecią wojnę światową” – perorował. Po szkole nadal „grasował” instruktor z węzłem gumowym. Choć trzymał się od nas z daleka, działał nam na nerwy. Znaczną dolegliwością była też monotonia odżywiania – wciąż jedliśmy chleb z masłem. Odczuwaliśmy to fizycznie i psychicznie. Po nocach śniła nam się gotowana strawa. Wreszcie opuściliśmy Bydgoszcz. Uczyniliśmy to dosłownie ze łzami w oczach. W gruzach legły nasze nadzieje na naukę zawodu. Powróciliśmy do Brzostowa bez żadnych planów. Po pewnym czasie Bernard wyjechał do Koszalina, gdzie miał jakąś propozycję pracy i nauki zawodu.

Jesienią 1945 r. przyjechał Bernard i zaproponował, żebym pojechał z nim do Koszalina – jest praca i możliwość uczenia się zawodu elektryka. Nigdy nie rozważałem tego, żeby zostać elektrykiem, choć brat Ignac mnie do tego mocno zachęcał (był elektrykiem w obozie w Potulicach). Twierdził przy tym, że elektryk to „król” zawodów, góruje nad innymi zawodami, ponieważ elektryka wszyscy potrzebują. Było w tym ziarno prawdy, choć w pierwszym okresie powojennym był to zawód mało popularny. Małe było zapotrzebowanie na takie usługi, co wynikało z niskiej elektryfikacji i niskiego poziomu technicznego.

Bernard naopowiadał mi wiele ciekawych, zachęcających rzeczy o nowych perspektywach technicznych i ciekawej pracy. Pracował już przy elektrykach kilka miesięcy, dużo się od nich nauczył. Było

to dwóch Niemców, dobrych fachowców. Wyjeżdżali oni jednak do Niemiec, powstała więc pilna potrzeba zatrudnienia nowych ludzi. Tyimi nowymi mieliśmy być my, Bernard i ja. I choć daleko nam było do ich fachowości, na bezrybiu i rak ryba. Lepszy tacy jak my, niż żadni. Zdecydowałem się na wyjazd. Pojechaliśmy.

Na kolei wiele się zmieniło. Pociągi jeździły już według rozkładów, składały się z wagonów pulmanowskich. Wprawdzie były one przystosowane dla potrzeb wojskowych i bardzo zniszczone – ale były. Było tłoczno, ale do wytrzymania. Staliśmy na korytarzu. Dobrze jest, jeżeli w podróży można się czymś zająć. Wtedy nie mieliśmy gazet ani książek. Naszą uwagę zwrócili konduktorzy. Było ich dwóch i byli bardzo aktywni. Kontrolowali nas kilka razy. Nam to nie przeszkadzało, ale były osoby, które narzekały na te konduktorskie przepychanki. Tym bardziej, że na piersiach mieli zawieszone lampy karbidowe, powszechnie używane na kolei już przed wojną. Lampy te były prostokątne, nieco wydłużone ku górze, a ich trzy płaskie szybki (dwie mniejsze umocowane z boku, a nieco większa z przodu) osadzone były w niklowanych blaszanych ramkach. Były to bardzo dekoracyjne cacka i nic też dziwnego, że konduktorzy prezentowali je za dnia, bo wieczorem ich piękno było mniej dostrzegalne. W czasie okupacji lampy karbidowe wykonywano domowym sposobem, były bardzo proste, choć wzorowane na oryginalnych. Te wręcz prymitywne lampki oświetlały wiele polskich izb w czasie ponurych lat okupacji niemieckiej, kiedy nafta była reglamentowana. Bernard podejrzewał, że kolejarze są „świeżo upieczeni”, na co wskazywała ich aktywność. W tym czasie ludzie pchali się do pracy na kolei, bo pamiętano, że przed wojną firma ta gwarantowała dobre warunki. Po wojnie na kolei ludzie zarabiali jednak słabo.

Do Koszalina dotarliśmy późnym wieczorem. Byliśmy zmęczeni podróżą i poszliśmy spać. Następnego dnia kolega zaznajamiał mnie z tamtejszym życiem codziennym. Mieszkaliśmy na ulicy Wjazdowej, która prowadziła od dworca kolejowego do centrum miasta. Ulica Dworcowa brała swój początek również przy dworcu i wiodła w prawo, wzdłuż torów kolejowych. Nasze lokum znajdowało się około trzystu metrów od dworca, na narożniku małej uliczki (nie pamiętam jej nazwy). Był to drewniany barak, w bardzo dobrym stanie. Od ulicy było pomieszczenie sklepowe, dalej mieszkaliśmy my z kolegą, a jeszcze dalej był magazyn i pomieszczenia gospodarcze. Tego dnia załatwialiśmy jakieś drobne sprawy.

W kolejnym dniu przystąpiliśmy już do pracy zasadniczej. Zakładaliśmy światło w jakichś pomieszczeniach gospodarczych. Ściany były ceglane, otynkowane, a sufit z desek, też otynkowany. Tynk na suficie trzymał się dzięki trzcinie, cienką warstwą umocowanej do desek. Wymarzone pomieszczenia do przeprowadzenia instalacji elektrycznych.

Instalacja była wykonywana na tynku w rurkach berkmanowskich. Była to najprostsza i najtańsza instalacja. Dysponowaliśmy dobrym materiałem i sprzętem, ale robota nam nie szła. Proste sprawy nastroczały trudności i wszystkiego musieliśmy się uczyć, często od podstaw, nawet tych oczywistych, jak wbijanie gwoździ w ścianę. Gwoździe były z hartowane, miały półokrągłe łebki i zastosowanie zbyt twardego młotka powodowało, że wyskakiwały spod niego. To wszystko było dla nas nowością, borykaliśmy się z takimi problemami co chwila. Musieliśmy nauczyć się nie tylko stosowania gwoździ właściwych do konkretnej twardości ściany, ale także dobierania do nich właściwego młotka.

Podobnie było z krępowaniem rurek. Kolanka wychodziły nam fatalnie. Zmarnowaliśmy kilka metrów rurki, zanim zaczęliśmy uzyskiwać lepsze wyniki. Ważną rolę spełniał szew rurki – należało znaleźć dla niego właściwe miejsce względem krzywizny kolanka. Trzeba było dobrać odpowiednią odległość jednego zgniotu giętkami od drugiego, jak również wielkość zgniotu, czyli siłę nacisku na rączki giętek. Rurki występowały w trzymetrowych odcinkach. Niełatwo nam było prosto trafić rurką w wyłącznik, rozetę, gniazdo kontaktowe, czy też do lampy. Bardzo często rurka była ucięta za krótko i nie chowała się w obudowie wyłącznika albo innego elementu. Przepisy mówiły, że przewody należy wciągać w rurki dopiero po umocowaniu rurek do ścian lub sufitu, żeby w razie potrzeby można je było wymienić. My jednak woleliśmy nie ryzykować i przewody wprowadzaliśmy do rurek przed ich gięciem.

Najwięcej trudności przysparzały nam połączenia, szczególnie instalacji podtynkowych w większych budynkach. Obwody elektryczne grupowe, zmienne, krzyżowe i automatów schodowych poznaliśmy z książek. Co innego jest jednak w książce, a co innego w ścianie, gdzie nie widać przebiegu przewodów. W dodatku niektóre obwody nakładały się na siebie. Grzebanie w tych rozetach nie było przyjemne, zwłaszcza kiedy musieliśmy usuwać zwarcia w przewodach. Należało wtedy odłączyć poszczególne obwody

i pod napięciem sprawdzać skuteczność tych poczynąń. Bardzo często doznawaliśmy wstrząsów elektrycznych, kiedy dotknęliśmy do niewłaściwych przewodów, które były pod napięciem (dwieście dwadzieścia woltów). Nie należało to do przyjemności. Moglibyśmy tego uniknąć, gdybyśmy mieli więcej doświadczenia. Błąd w sztuce polegał na tym, że czynności tego rodzaju należało wykonywać przy obniżonym do dwudziestu czterech woltów napięciu, którego człowiek nie odczuwa. Tego jednak nie praktykowano. Po kilku takich wstrząsach trzęsły się nam ręce i baliśmy się dotykać przewodów.

Zadziwiający był stosunek naszego szefa do wszystkich tych spraw. Unikał rozmów na konkretne techniczne tematy, choć często mieliśmy palącą potrzebę przedyskutowania pewnych zagadnień z osobą o większym doświadczeniu. Domyślaliśmy się, że prawdopodobnie nie dysponuje zbyt wielką wiedzą techniczną i dlatego unika dyskusji. Choć poziom jego wiedzy musiał być wyższy od naszego, my w tym zawodzie byliśmy przecież żółtodziobami.

Mocując się z problemami technicznymi, nie zwracaliśmy uwagi na naszą marną egzystencję, nie dostrzegaliśmy tego, co dzieje się wokół nas. A działo się dużo. Bieda była powszechna. Do Koszalina przyjeżdżało dużo ludzi. Jedni – żeby się osiedlić, inni – żeby się rozejrzeć, jeszcze inni – na szaber. W pierwszym okresie szaber polegał na tym, że chodzono po domach opuszczonych przez Niemców, plądrowano je i zabierano to, co było przydatne. Później pojawili się handlarze, skupowali za marne grosze, co się dało, i wywozili. Cwaniacy wywozili to nawet samochodami ciężarowymi.

SOWIECI

Największą grabież i spustoszenie na Ziemiach Zachodnich powodowali jednak Sowieci, wykorzystując do tego swoich żołnierzy. Rabowali z fabryk maszyny (często wyrwali je z fundamentów dźwigami, a nawet czołgami). Odcinali aparatami spawalniczymi konstrukcje pomocnicze od fundamentów, pakowali to wszystko na wagony kolejowe i wywozili. Tam, gdzie były podwójne tory kolejowe, a linia nie miała dla nich znaczenia strategicznego, likwidowali równoległe tory i wywozili szyny kolejowe. Kiedyś pracowaliśmy w sąsiedztwie wielkiego młyna, w którym Sowieci rabowali maszyny. Nagle usłyszeliśmy jakieś głośne krzyki. Okazało się, że jeden z żołnierzy próbował siekierą odciąć kabel elektryczny zasilający sil-

niki. Kabel był pod napięciem. Siekiera miała wilgotne toporzysto, ponieważ leżała w mokrej piwnicy, a silniki dużej mocy pracowały na podwyższonym napięciu. Żołnierz zginął na miejscu.

Gdy Sowieci rabowali linię kolejową, która miała trakcję elektryczną, stosowali „rewelacyjny” sposób. Po zdjęciu przewodów trakcji elektrycznej, puszczała równolegle po obu torach dwie lokomotywy parowe połączone ze sobą łańcuchem kotwicznym i w ten sposób wyrwali stalowe słupy stojące między torami, służące do podtrzymywania przewodów trakcji elektrycznej. Obijali ze słupów zaprawę cementową i metal zabierali.

Przez polskie tereny Sowieci pędzili stada wychudzonych krów z Ziemi Zachodnich. Pola były ogołocone z roślin i wydeptane przez głodne zwierzęta w pasie o szerokości sto do dwustu metrów po każdej stronie drogi, którą pędzili bydło.

Sowietów wszędzie było pełno. Wszystko im się należało i do wszystkiego mieli prawo. Kobiety powinny im ulegać, ponieważ oni wojowali. W Koszalinie stała polska kawaleria. Do rotmistrza tej jednostki przyjechała żona. Kobieta zaryzykowała w nocy pieszą wędrówkę do męża przez miasto. Sowieci ją złapali, wciągnęli do wypalonego hotelu, zgwałcili i zamordowali. Ten incydent spowodował, że polscy żołnierze odnosili się do nich z nienawiścią. Gdy nocą spotykały się krążące po mieście wieloosobowe polskie i sowieckie patrole, dochodziło do wymiany ognia. Rezultatów tych strzelanin nie znaleźmy. Którejś nocy usłyszeliśmy na ulicy serię z karabinu maszynowego. Wyskoczyliśmy z kolegą z łóżek. Przez okno nic nie było widać, słychać było tylko strzępy rozmowy polskich żołnierzy. Któryś krzyknął: „– Nie strzelać między budynkami!”. Padliśmy na podłogę, bo nasz baraczek kule karabinowe przeszyłyby na wylot.

Innym razem obserwowałem, jak doszło do zwady i bijatyki między polskim oficerem-kawalerzystą a dwoma sowieckimi marynarzami. Sowieci byli bardzo młodzi, niskiego wzrostu i drobnej postury, natomiast kawalerzysta był barczystym wysokim mężczyzną, na dodatek miał ze sobą pejcz. Sowieci doskakiwali do oficera, a on ich brutalnie odpychał i za każdym razem smagał pejczem po gołych szyjach. Mieli poprzecinaną skórę i krwawili. Jakby na ich życzenie nagle pojawił się patrol NKWD. Patrol zwinął zważnione towarzystwo i prowadził pod bronią. Marynarze jednak byli uprzywilejowani i co jakiś czas wymierzali oficerowi kopniaki. Za enkawudzistami posuwała się spora gromadka polskich cywilów.

Dyskutowali głośno – tak, żeby słyszał to konwojowany oficer – jak go uwolnić. Nagle ktoś tubalnym głosem krzyknął: „– Poruczniku, teraz!”. Sowietci zbaranieli. Rozbrojono ich bez jednego wystrzału. Z broni powyciągano zamki i rzucono w gruzy. W ruinach rozplynęli się również cywile i polski oficer.

Dworzec kolejowy w Koszalinie był wewnątrz wypalony, zostały tylko mury. Po usunięciu zalegającego między nimi gruzu koczowali w nich podróżni, było tam jednak trochę cieplej niż na otwartej przestrzeni. Któregoś dnia zaszliśmy tam z Bernardem. Ruch był dosyć duży. W pewnym momencie naszą uwagę zwróciły głośniejsze rozmowy w sąsiednim pomieszczeniu. Stało w nim mnóstwo różnych rzeczy, które wieźli ze sobą repatrianci – pudła, pudełka, klatki, pojemniki z dobytkiem. Był tam drób, króliki, świniaki, a nawet psy i koty w klatkach. Sowietcy żołnierze prowadzili ze sobą głośne rozmowy, o coś się między sobą handryczyli, a nawet się bili. Wszystko po to, by przyciągnąć uwagę otoczenia na czas, gdy inni okradali upatrzone osoby. Z boku na pudle siedział niepozornie wyglądający sowiecki marynarz i uciszał rozkrzyczanych żołnierzy. Nie odnosiło to skutku innego, niż kierowane pod jego adresem plugawe wyzwiska. Któryś z nich spytał, kim on jest, że ich ucisza. Odpowiedział spokojnie, że jest marynarzem Floty Czarnomorskiej. Wreszcie uznał, że żołnierze przekroczyli dozwoloną granicę i zaczął działać. Był to niepowtarzalny spektakl. Marynarz wstał, złapał dwóch żołnierzy za karki, stuknął ich głowami o siebie i pchnął między stojące klatki. To samo powtórzył z dwoma następnymi. Trzeciej pary już nie udało mu się skompletować. Jednemu jeszcze zdążył dać na drogę kopniaka. Po tym pogromie bez słowa usiadł na poprzednim miejscu. Poszkodowani pozbierali się i odeszli chwiejnym krokiem. To widowisko wpawiło nas w prawdziwe osłupienie. Coś takiego można było zobaczyć tylko na filmach. Bernard powiedział, że należy się przyjrzeć temu człowiekowi, bo być może takiego drugiego już nie spotkamy. Marynarz nie wyróżniał się niczym szczególnym. Człowiek ten był średniego wzrostu i nic w jego zewnętrznym wyglądzie nie zapowiadało takiej siły.

Pewnej nocy Sowietci spłodrowali sklepy przy głównej ulicy miasta. Wybili kilkanaście szyb w oknach wystawowych. Po tym wydarzeniu wszystkie okna wystawowe na noc były osłaniane deskami. Innym razem, również pod osłoną nocy, ukradli kobiecie krowę, którą ukryli w gruzach. Nie dali jej jednak nic do jedzenia ani pi-

cia. Bydlak zaczął porykiwać i tym sposobem został odnaleziony. W kolejną noc przygotowano w tym miejscu zasadzkę. Po krowę przyszło dwóch żołnierzy sowieckich. Zostali obezwładnieni i przekazano ich w ręce NKWD. Podobno następnego dnia żołnierze-żłodzieje zostali rozstrzelani na placu ćwiczeń.

Ta historia przypomina mi inne wydarzenie, również związane z kradzieżą krowy. Rzec miała miejsce po zakończeniu II wojny światowej, w Niemczech, w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Krowa została skradziona Niemcom przez ludzi z obozu przejściowego, w którym przebywali między innymi Polacy. Właśnie dlatego, że dotyczyło to Niemców, mieszkańcy obozu nie traktowali swojego czynu jako nagannego. Śledztwo w tej sprawie prowadziła amerykańska policja wojskowa MP. I choć ślady prowadziły prosto do obozu, na jego terenie krowy nie znaleziono. Zwiększono siły policyjne, ale i to nie pomogło. Wreszcie Amerykanie zmienili ton. Wiedzieli, że krowa musi być schowana na terenie obozu. Zapowiedzieli, że jeśli zostanie wskazane miejsce jej ukrycia, nie zostanie zabrana, a oni wręcz wynagrodzą złodziei. Gdy ustalono wysokość nagrody, wskazano im to miejsce. Był to strych jednego z budynków. Krowę wepchnięto tam po schodach. W schowku miała jedzenie, picie i nie wydawała żadnych odgłosów, miała się dobrze. Pomysłodawcami ukrycia krowy na strychu byli Polacy.

Kolejną historię o Sowietach opowiedział mi pewien polski żołnierz. Front był na wysokości Szczecina, a jednostka, w której służył ten żołnierz, została wycofana na odpoczynek. Przebywali w okolicach Szczecinka. Zatrzymali się w prawie opuszczonym domu. Mieszkała w nim tylko para starych Niemców z wnuczką. Żołnierz leżał na łóżku, myślał o rodzinie i o wojnie, która zmierzała ku końcowi. Zastanawiał się, co będzie robił, gdy wojna się skończy. Nagle w kuchni, gdzie przebywali Niemcy, rozległy się strzały. Żołnierz poderwał się i wpadł do kuchni. Ujrzał tam sowieckiego żołnierza, który zastrzelił dziadków i z rewolwerem w ręku uganiał się za wnuczką, która schowała się pod stół. Ją również zastrzelił. W otwartych drzwiach stali jacyś ludzie. Byli to Polacy wracający z robót przymusowych w III Rzeszy. Za pomoc w pochówku mieli sobie zabrać wszystko po Niemcach. Sowiec powiedział: „– Bierzcie, to wszystko jest wasze” – i wyszedł.

I jeszcze jedno wydarzenie z sowieckimi żołnierzami. Pewnego razu z bratem Ignacem jechaliśmy szosą rowerami. Na rozległym

wrzosowisku, poprzerastanym krzewami, pasły się dwa woły. Miały na sobie jarzma i były połączone uprzężą. Między nimi znajdował się dyszel, który jednym końcem włókł się po ziemi. Nie było widać żadnego wozu, ani ludzi. Ten intrygujący widok spowodował, że zatrzymaliśmy się. Tłumaczyliśmy sobie, że prawdopodobnie wołami tymi wracali ludzie z wywózki do pracy w III Rzeszy. Zwierzęta posilały się, a wóz i ludzie mogli być niewidoczni z miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Być może przydarzyło się im jakieś nieszczęście. Poszliśmy to sprawdzić. Gdy byliśmy około stu metrów od szosy, ktoś za naszymi plecami powiedział: „– Stój!”. Za nami stał żołnierz sowiecki z bronią. „– Dawaj maszynu!”. Ignac powiedział do mnie: „– Daj mu swój rower i zajdź go od tyłu”. W tym momencie żołnierz spojrzał w kierunku szosy. My również spojrzeliśmy w tym kierunku. Stał tam wóz z koniem w typowo rosyjskiej uprzęży, z półokrągłym pałąkiem nad końskim karkiem. Na wozie siedzieli sowieccy żołnierze, a w naszą stronę był wycelowany ręczny karabin maszynowy. Obaj z bratem zdaliśmy sobie sprawę, że nie mamy najmniejszego szans – możemy stracić życie. Oddaliśmy rowery.

POCZĄTKUJĄCY ELEKTRYCY

Nasza egzystencja była bardzo marna. Zimą, jeśli praca była na dworze lub w nieogrzewanym pomieszczeniu, często solidnie marzliśmy, ponieważ nie mieliśmy odpowiedniego przyodziewku. Tym jednak nasz szef się nie przejmował. Również wyżywienie, jakie nam serwowała szefowa, było słabe i niewystarczające. Nie mogliśmy sobie niczego dokupić, nawet suchego chleba, ponieważ za pracę nie otrzymywaliśmy żadnego wynagrodzenia, byliśmy tylko uczniami.

Nadeszła wiosna 1946 r. Cieszyliśmy się z niej, liczyliśmy na to, że nie tylko będzie nam cieplej, ale także, że poprawi się nasz byt. A tymczasem zostałem z dnia na dzień zwolniony z pracy, bez wypowiedzenia. Znalazłem się bez środków do życia i bez pieniędzy. Szczęście mi jednak sprzyjało. Naprawialiśmy światło u gościa, który był kawalerem i mieszkał w domu jednorodzinnym. Człowiek ten sam mi zaproponował zamieszkanie z nim. Nazywał się Ludwik Łabasz. Był od nas znacznie starszy, już w 1939 r. brał udział w wojnie. Był internowany i całą okupację przeżył na Węgrzech. Bernard nie mógł znieść sposobu, w jaki potraktował mnie nasz pracodawca, i po pewnym czasie również odszedł od niego. Zamieszkaliśmy razem z Ludwikiem. Bernard podjął pracę elektry-

ka w rozdzielni elektrowni, ja – również jako elektryk – pracowałem w roszarni lnu.

Praca kolegi, jak i moja, nie należały do ciekawych. Były to zajęcia typowo konserwatorskie, a nie o takich marzyliśmy. Choć prace te były bardzo niskopłatne, to jednak już zarabialiśmy. Uchodziliśmy za fachowców. Sami wiedzieliśmy, że wielu rzeczy jeszcze nie umiemy, więc godziliśmy się z naszą sytuacją. Pierwszy krok w zawodzie został zrobiony. Ja tygodniowo dostawałem dwa bochenki chleba, obiadu jadłem w zakładowej stołówce i coś mi tam jeszcze płacono. Ile ważyły chleby i ile dostawałem pieniędzy, tego nie pamiętam. W każdym razie Ludwik z mojego wkładu do wspólnej gospodarki był zadowolony. Na tle niskich zarobków doszło w roszarni do strajku, nie rozwiązał on jednak problemów, które nurtowały załogę. Dyrekcja ani jednostka nadrzędna nie miały z czego dołożyć. Doszło jednak do szczerzej i bardzo wnikliwej dyskusji, która wyjaśniła wiele spraw.

Bardzo dobrze mieszkaliśmy z Ludwikiem. Był dobrym kolegą i bardzo dobrym człowiekiem. Opiekował się nami jak młodszymi braćmi, a myśmy oczywiście rewanżowali się, jak umieliśmy. Kilka razy jeździłem do rybaków do Mielna, gdzie kupowałem ryby. Raz przywiozłem ich ponad dziesięć kilogramów.

Nie odpowiadała mi moja praca. Do moich obowiązków należało włączanie z rana dużych silników, które napędzały dmuchawy do wyciągania paździerzki spod maszyn. Duże silniki napędzały również dmuchawy wyciągające z hal zapyłone powietrze. W czasie dnia doglądałem prawidłowej pracy silników. Wszystkie duże silniki włączało się „na dwa razy”, ponieważ były łączone w gwiazdkę, a następnie w trójkąt. Właściwie całymi dniami siedziałem w rozdzielni i czekałem na awarię. Ta bezczynność mnie dobijała. Odczuwałem coraz większą potrzebę uczenia się. Nie mogłem się jednak przełamać, żeby pójść do szkoły. Bernard i ja mieliśmy wielkie zaległości w nauce. Całą wojnę nie chodziliśmy do szkoły. Nasze zamowienia brały się z obawy, że będziemy musieli uczyć się z dziećmi. Nie docierało do nas, że takich jak my są tysiące, co w przyszłości wymusiło konieczność utworzenia dla nich odpowiednich klas w szkołach wieczorowych. Tymczasem jednak nie funkcjonował jeszcze ten model nauki.

Pewnego razu doznaliśmy dużego upokorzenia związanego z brakami w naszym wykształceniu. Staraliśmy się o pracę w browarze. Mieliśmy dostarczyć podania i życiorysy. Ślęczeliśmy nad

nimi i mocowaliśmy się z pewnymi zwrotami i zdaniami. Szło nam jak po grudzie. Padła propozycja sformułowania „chcę pracować w roli elektryka”. Ludwik, który przysłuchiwał się naszym rozmowom, skomentował to: „W roli to dziad babę niewoli. Trzeba użyć innego sformułowania”. W końcu napisaliśmy, że „chcę pracować w charakterze...”. Uwaga Ludwika jednak bardzo nas zabolęła. Uświadomiliśmy sobie, jak wiele mamy jeszcze do zrobienia, jeśli chodzi o naukę. Przed wojną każdy z nas skończył pięć klas szkoły podstawowej.

Nie dostaliśmy się do pracy w browarze. Była to dla nas pewna porażka, bo praca była nieźle płatna i można się było dużo nauczyć. W browarze silniki pracowały na prąd stały, była tam więc duża wytwornica prądu stałego. Nie było nikogo, kto nauczyłby nas obsługiwania tych urządzeń, a może uznano, że nie warto, bo mamy za małe kwalifikacje.

Bezczynność, brak możliwości podwyższania kwalifikacji zawodowych, niskie zarobki i w związku z tym marna egzystencja, spowodowały, że odszedłem z pracy w roszarni lnu. Podjąłem pracę w Wojskowych Warsztatach Samochodowych. Trafiłem z deszczu pod rynną. Wprawdzie praca była ciekawsza, ale moja sytuacja materialna jeszcze się pogorszyła. Wyżywienie w stołówce było nędzne. Wojsko w tym czasie bardzo źle żywiło i równie źle płaciło za pracę.

W BRZOSTOWIE

Od chwili zakończenia wojny myślałem o konieczności poddania się operacji przepukliny. W końcu zdecydowałem się na to w Koszalinie jesienią 1946 r. Poszedłem do szpitala. Zrobiono mi niezbędne badania i przystąpiono do operacji. Była prowadzona z miejscowym znieczuleniem. Nie byłem jednak przygotowany na to, co mnie tam spotkało. Kim był lekarz i jakie miał przygotowanie zawodowe – tego nie wiedziałem i nie musiałem wiedzieć. Nie moją sprawą jest oceniać wiedzę medyczną lekarza i jego etykę zawodową, ale coś tu się nie zgadzało. Człowiek ten w czasie operacji zadawał mi potworny ból. Zapamiętałem z niej wszystkie szczegóły. Jeżeli szpital nie miał odpowiedniej ilości środków znieczulających, to człowiek ten miał obowiązek mnie o tym poinformować, a ja w takiej sytuacji operacji bym się nie poddał. Po zoperowaniu jednej strony lekarz zapytał, czy ma robić drugą stronę. Dodał, że jeśli nie, to za dwa tygodnie spotkamy się znowu. Ta perspektywa

mnie przeraziła. Nie wyobrażałem sobie życia przez dwa tygodnie z perspektywą kolejnej operacji i ponownych cierpień. Zdecydowałem się na operowanie drugiej strony i koszmar trwał dalej.

Po wyjściu ze szpitala o przebytej operacji zawiadomiłem rodzinę w Brzostowie. Przyjechała po mnie siostra Stasia i brat Ignac. Wybraliśmy się w drogę do domu pociągiem, innej możliwości nie było. W pociągu był wielki tłok. Dla mnie była to bardzo uciążliwa podróż. Powinienem podróżować leżąc, a o takim luksusie nie mogło być mowy. Część podróży przebyłem siedząc, część stojąc. Takie były realia tamtych czasów. Bolał mnie kręgosłup i brzuch w operowanym miejscu. Po przybyciu do domu zacząłem się obawiać, że przepuklina może mi się odnowić. Ale po kilku dniach, które w większości spędziłem w łóżku, wszystko się uspokoiło.

Atmosfera w domu była bardzo dobra. Byliśmy szczęśliwą rodziną, wszyscy byli zdrowi, panowały zgoda i miłość. W gospodarstwie przybywało inwentarza, a zaniedbana ziemia na polach powoli była przywracana do kultury. Wymagało to wielkiego wysiłku i każdy z członków rodziny bardzo ciężko pracował po wiele godzin dziennie. Wyjątkowo ciężko pracował brat Stachu. Praca pochłonęła go bez reszty. Jego ambicją było jak najszybsze doprowadzenie ziemi do stanu sprzed wojny, by rodzina jak dawniej.

Ignac poszedł do szkoły w Złotowie. Nauka odbywała się w przyspieszonym tempie. Jeden półroczny semestr obejmował całoroczny program nauki prowadzonej w normalnym trybie. Ignacowi nauka szła bardzo dobrze, co dawało mu wiele satysfakcji. Młodzież w tym czasie uczyła się z ogromnym zapałem. Pojawił się swego rodzaju etos nauki. Ten szczególny klimat pomagał uczniom opóźnionym w nauce odrabiać zaległości. Warto dodać, że z wielkim poświęceniem pracowali również pedagodzy. Wykazywali przy tym zrozumienie dla swoich uczniów i doskonale wyczuwali potrzebę chwili. Młodzież była im za to wdzięczna i odnosiła się do nich, jak i do ich pracy, z wielkim szacunkiem. To też składało się na ten szczególny klimat rozwoju oświaty.

W okresie rekonwalescencji zajmowałem się różnymi drobiazgami. Nie mogłem siedzieć beczynnie. Nie włączałem się jednak w prawdziwy nurt zajęć gospodarczych, ponieważ wybrałem już inny kierunek w swoim życiu. Miałem sporo czasu i wracałem myślami do różnych sytuacji zawodowych, które miały miejsce w Koszalinie. Jak się okazało, dojrzałem zawodowo, o czym się przekonałem,

iedy ponownie przystąpiłem do pracy zawodowej. Wyjaśniło mi się wiele spraw, a nawet stałem się sprawniejszy manualnie. Można powiedzieć, że czas pracował na moją korzyść.

W ŻŁOTOWIE

Ignac załatwił mi pracę w Żłotowie u pana Eustachego Barańskiego, który miał koncesjonowany zakład elektrotechniczny. Zostałem tam zatrudniony jako uczeń, ale z pewnym wynagrodzeniem. Nie były to duże pieniądze, jednak zawsze coś. Wpływało to dodatnio na moje samopoczucie. Zamieszkaliśmy z bratem na ulicy Królowej Jadwigi u pani Wilkowskiej, gdzie bardzo dobrze nam się mieszało.

Do Żłotowa przyjechałem pociągiem. Podobnie jak w Koszalinie, również w Żłotowie dworzec kolejowy w czasie działań wojennych został wypalony wewnątrz, pozostały tylko mury. Z dworca wychodziło się wprost na niedawno powstały cmentarz wojkowy. Chowano tu żołnierzy, ponieważ miejsce to nie było wybrukowane. Cmentarz nie był duży. Wydaje mi się, że było na nim nieco ponad dwieście grobów. Ten cmentarz zrobił na mnie wielkie wrażenie. Przez jakiś czas prawie codziennie tam przychodziłem i odczytywałem na tabliczkach nazwiska, wiek i stopnie pochowanych żołnierzy. Zapamiętałem dane z prawie wszystkich tabliczek, a ci pochowani ludzie wydawali mi się bardzo bliscy, chociaż nikogo z nich nie znałem. To oni wyzwolili nas z niemieckiej niewoli, od pogardy i poniżenia. Byliśmy skazani na zagładę. Niemcy ograbili nas z wszelkiego dobytku, byliśmy ubezwłasnowolnieni, bici i zabijani. Naszych wyzwolicieli, polskich żołnierzy miałem świeżo w pamięci, bo jak szli zimą w 1945 r. na Wał Pomorski, to codziennie nocowali u ojca w Dorotowie. Była ich zawsze pełna izba. Niezależnie od tego docierały do nas wieści, że dużo ich ginie, ponieważ atakują Niemców, nie dysponując ciężką bronią, która nie nadążała za piechotą. Ta sytuacja budziła w nas głębokie współczucie. Piechota szła szybko, żeby zająć jak największy teren, nienasycony jeszcze dostatecznie niemieckim wojskiem. Również Wał Pomorski nie był jeszcze odpowiednio obsadzony przez Niemców.

Wał Pomorski to były umocnienia zbudowane przez Niemców jeszcze przed wojną 1939 r., wzdłuż dawnej granicy polsko-niemieckiej. Stanowiły go potężne betonowe bunkry wkomponowa-

ne w naturalne przeszkody, w tym także jeziora, co razem tworzyło doskonale fortyfikacje. Oczywiście bunkrów nie dało się zdobyć bez ciężkiej broni. Można to było zrobić dopiero po podciągnięciu artylerii. O Wał Pomorski toczono zażarte boje.

Niemcy nigdy i nigdzie nie przestrzegali praw międzynarodowych. Tak było i w tym przypadku. Idące na zachód Wojsko Polskie spotykało się z wieloma tego dowodami. Na przykład gdzieś natknięto się na stodołę, w której zostali spaleni żywcem wzięci do niewoli przez Niemców polscy żołnierze. Przed śmiercią związano im ręce drutem kolczastym¹. W innym miejscu Niemcy przygotowali zasadzkę, która polegała na tym, że pierwsi z nich poddali się, a kiedy niczego niepodejrzewający nasi żołnierze chcieli ich przejąć, na dany sygnał Niemcy padli na ziemię. Za nimi były ukryte karabiny maszynowe, które wystrzelały polskich żołnierzy.

U pana Barańskiego większość prac prowadziliśmy w terenie, w okolicach Złotowa. Poruszaliśmy się na rowerach. Moim towarzyszem pracy był Aleksander Rebałko. Mówiliśmy na niego Aloś. Był starszy ode mnie o kilka lat. Był to wspaniały kolega, świetnie się z nim pracowało. Prace były łatwiejsze niż w Koszalinie, mniej też było skomplikowanych napraw. Poza tym okrzepłem już jako elektryk, procentowało zdobyte wcześniej doświadczenie. Robota szła nam składnie, była wykonywana poprawnie i estetycznie.

Złotów był w tym czasie kilkutysięcznym miasteczkiem. Mieszkało w nim dużo młodzieży szkolnej. Mieściły się tam szkoła ogólnokształcąca dzienna, „ogólniak” dla dorosłych, Liceum Pedagogiczne i Szkoła Rolnicza. Sztubacką atmosferę czuło się na ulicy. Uczniów można było spotkać wszędzie. Dyskutowali przeważnie o nauce, o literaturze, algebrze, geometrii, a starsi o *sinusach*, *cosinusach* i *logarytmach*. Dumni byli ze zdobytej wiedzy i obwieszczali ją światu, było to w dobrym tonie. Chętnie wszystkiego słuchałem, nasiąkałem atmosferą tych rozmów. Okazji ku temu miałem sporo, ponieważ do brata przychodzili jego koledzy i wspólnie się uczyli.

¹ Prawdopodobnie chodzi o wydarzenie w miasteczku Podgaje, umocnionym punkcie obronnym Wału Pomorskiego, gdzie 31 stycznia 1945 r. Niemcy przychwycili 35 żołnierzy LWP. Trzech z nich podjęło próbę ucieczki; dwóch zostało zastrzelonych, trzeciemu udało się zbiec. W odwecie, pozostali polscy żołnierze zostali związani drutem kolczastym, wrzuceni do stodoły i spaleni żywcem.

GLÓD WIEDZY

Praca wciągała mnie coraz mocniej. Pojawiły się przy okazji jej wykonywania pojęcia i terminy, których nie rozumiałem i nikt z mojego otoczenia, nawet poznani elektrycy, nie był w stanie mi ich wytłumaczyć. To były podstawowe sprawy – napięcie, prąd, *cosinus fi* i ich wzajemne relacje. Nie wiedzieli też, co to jest pojemność i indukcyjność. Mało kto rozumiał, dlaczego muszą być trzy fazy, kiedy najczęściej korzysta się z jednej, a silnik nie może pracować na dwóch. Dlaczego od transformatora prowadzone są cztery przewody? Jeden z moich znajomych twierdził, że jednym przewodem płynie napięcie, drugim prąd, trzeci to jest faza, a czwarty zero, czyli ziemia. Byli nawet tacy, którzy twierdzili, że do prądu można się przyzwyczaić, jeżeli dozna się wielu wstrząsów. Ktoś twierdził, że widział jak gość położył trzy palce na trzech fazach, zrobił tymi palcami zwarcie i zatrzymał silnik od pompy wodnej. Dodał jeszcze, że działo się to wszystko w piwnicy, a ta osoba stała boso w studzienice z wodą i była całkowicie łysa. Traktowałem te rewelacje jako nieprawdziwe i bzdurne. Byłem wielokrotnie wstrząsany prądem elektrycznym i moja wrażliwość na działanie prądu nie malała. Dotarło do mnie, że moje zawodowe otoczenie jest bardzo prymitywne i że będąc w tym środowisku, nie nauczę się już niczego nowego. Wcześniej niektórych z tworzących go ludzi uważałem za autorytety.

Od sztubaków usłyszałem słowa *cosinus α* , czy też *cosinus β* , a tu zetknąłem się z *cosinusem fi*. Doszedłem do wniosku, że moje problemy może rozwiązać tylko dalsze kształcenie się i że elektrotechnika nie sprowadza się tylko do łączenia przewodów elektrycznych, że jest to osobna dziedzina wiedzy, którą może dać mi szkoła.

Bardzo mi imponowały osoby, które chodziły do szkoły wieczorowej dla dorosłych. Ja po pracy siedziałem beczynn timer. Stopniowo dojrzewałem do tego, żeby dołączyć do tego grona, żeby pójść w ich ślady. Wreszcie podjąłem decyzję i zapisałem się do wieczorówki. Teraz już nie należałem do siebie, na wszystko brakowało mi czasu. Uczyłem się nawet podczas jazdy na rowerze. Pewnego razu w takich właśnie okolicznościach uczyłem się na pamięć imion greckich bogów. Spoglądałem w zeszyt, potem odsuwałem go i starałem się przeczytaną treść zapamiętać. Czas naglił, przydepnąłem mocniej pedały, spojrzałem w zeszyt i urwał mi się film. Jak przez sen usłyszałem głos kobiety mówiącej z mocno kresowym akcentem. Zrozumiałem

słowo „żyje” i ocknąłem się. Kobieta wycierała mi twarz swoją chusteczką. Okazało się, że wjechałem na drzewo i rozbiłem sobie głowę, a potem straciłem na chwilę przytomność. Zdarzyło się to w chwili, gdy wyprzedzałem furmankę. Rana na głowie obficie krwawiła i miałem zmaconą świadomość. Ludzie z furmanki (byli to repatrianci ze wschodu) zaproponowali, że mnie podwiozą. Mężczyzna już zamierzał włożyć rower na wóz, ale poprosiłem go o chwilę zwłoki. W tym czasie wróciłem do sił i zdecydowałem się dalej jechać rowerem. Rower był sprawny, miał trochę wygięty błotnik. Podziękowałem tym ludziom najlepiej, jak umiałem, wsadłem na rower. Kobieta na odjezdne poradziła mi, żebym jednak nie czytał podczas jazdy. Tego dnia nie poszedłem już do szkoły.

W szkole nie zagrzałem długo miejsca. Złożyły się na to pewne niesprzyjające okoliczności. Pewnego razu „pan profesor” B., nauczyciel języka polskiego, powiedział mi, że „jak się ma pretensje do inteligencji, to powinno się wiedzieć, że »żelazo« pisze się przez »ż«, a nie przez »erzet«”. Ja popełniłem taki błąd. Ale przecież przed wojną ukończyłem tylko pięć klas szkoły podstawowej, a potem miałem osiem lat przerwy w nauce. W takiej sytuacji różne błędy się zdarzają. Może dojść nawet do wtórnego analfabetyzmu. Po wyjściu ze szkoły przeanalizowałem swoją sytuację i doszedłem do wniosku, że nie mam w tej szkole szans. Między innymi z powodu nauczyciela języka polskiego. Był mężem pani, która prowadziła szkolny internat. Młodzież w internacie była źle żywiona i tą sprawą zajął się także mój brat, jako młodzieżowy mąż zaufania. W funkcjonowaniu internatu były pewne nieprawidłowości. Postępowanie brata nie podobało się kierownicze internatu i jej mężowi. Stąd ta wycieczka pod moim adresem i pomiar mojej inteligencji. „Pan profesor” B. był w szkole znaczącą osobą, pisał wówczas pracę doktorską na uniwersytecie w Toruniu.

Drugim powodem była konieczność czytania lektury obowiązkowej. Szkoła, do której zacząłem uczęszczać, była „ogólniakiem” i obowiązywała w jej programie obszerna literatura. Praca zawodowa uniemożliwiała mi czytanie książek. Po prostu nie miałem na to czasu.

W tym czasie spotkałem Henia Hofmana, który znalazł się podobnej sytuacji jak ja. Heniu również nie miał czasu na czytanie szkolnych lektur. Uczył się na fryzjera i musiał przebywać wiele godzin w zakładzie fryzjerskim. Zupełnie inne warunki miały wszelkiej maści urzędniczki chodzące do szkoły wieczorowej. Mogły trzymać

otwartą książkę w szufladzie i zaglądać do niej w przerwach między załatwianymi sprawami.

Heniu zdobył gdzieś adres Technikum Mechanicznego w Warszawie, w którym nauka odbywała się w trybie korespondencyjnym. Szkoła mieściła się przy ulicy Tyszkiewicza (albo Asfaltowej). Napisałem podanie i zostałem przyjęty. Zaczęto przysyłać mi skrypty. Tak uczyłem się trzy lata. Było to dla mnie idealne rozwiązanie. Skrypty były opracowane tak, że zawarta w nich wiedza była przystępna, można było się z nich dużo nauczyć. Uczyłem się z wielką pasją. Zdawałem sobie sprawę, że jest to jedyna, jaką dał mi los, szansa zdobycia wiedzy. Z czasem dostrzegłem pewien mankament skryptów – za mało w nich było przykładów, np. częściowo rozwiązanych zadań z matematyki, z fizyki. W szkole nie stawiano ocen niedostatecznych. Najłabszym stopniem było „trzy na szynach”, czyli trójka z dwoma minusami. Chodziło prawdopodobnie o to, żeby nie zniechęcić ucznia.

PRZYGODY MŁODEGO ELEKTRYKA

W pracy zawodowej w tym czasie nic się nie zmieniło. Jeździliśmy z Alokiem po wsiach i wykonywaliśmy instalacje elektryczne. W tych okolicach było bardzo wielu Polaków, którzy mieszkali tu przed 1939 r. Nazywano ich autochtonami (przed II wojną światową te tereny należały do III Rzeszy). Byli bardzo gościnni i uprzejmi wobec nas. Gdy przyjeżdżaliśmy rano, częstowali nas drugim śniadaniem, w odpowiednim czasie były obiad i podwieczorek. Ludziom tym dobrze się powodziło, więc to, co zjadaliśmy z Alokiem, na pewno nie obciążało ich domowych budżetów, choć mieliśmy wilcze apetyty, szczególnie jesienią. Zjadaliśmy wszystko, co było na stole. Ałós twierdził, że musimy zgromadzić na zimę trochę tłuszczu. Nie było go jednak na nas widać.

Kiedyś pracowaliśmy u pewnego rolnika w okresie wykopków ziemniaczanych. Zaproszono nas do stołu zastawionego na kilka osób. Zanim zgromadzili się przy nim pracujący przy wykopkach, my już zdążyliśmy go w znacznym stopniu opróżnić, zjedliśmy wszystkie pomidory, których była niemała miska.

Innym razem pracowaliśmy w budynku gminy pewnej miejscowości. Pani pełniąca obowiązki gospodyni zaprosiła nas do stołu, który był zastawiony na pięć czy sześć osób. Przy stole zjawiliśmy się niezwłocznie. Zanim przyszła reszta stołowników, opędzłowa-

liśmy prawie wszystko. Gdy zjawił się wójt, jego sekretarz i jeszcze ktoś, nie było już co wybierać. Zapanowała konsternacja. Sytuację uratowała gospodyni. Nasmażyła pełną misę jaj na wędzonce. I wtedy odezwał się Ałóś: „– Zdzisiu, jesteś młody, musisz dużo jeść, może byś jeszcze zjadł jajecznicy?”. Poczulem, że przeholował. Po obiedzie przeprosiłem panią domu za nasze zachowanie. W odpowiedzi usłyszałem, żebyśmy się nie krępowali. „– Jeżeli macie pany apetyty, to proszę jeść, ile trzeba”.

Nie pamiętam już, kiedy i w jakich okolicznościach Ałóś po prostu odszedł z pracy. Pracowałem jeszcze, kolejno, z dwiema osobami, ale nie była to już ta klasa.

Pewnego razu zostałem wezwany do miejskiej rzeźni. Miejscowi rzeźnicy prowadzili tam ubój na własny użytek. Z powodu zwarcia nie działało elektryczne urządzenie do ogluszania świń. Całe urządzenie było bardzo proste. Nad pomieszczeniem, w którym zabijano świnię, był przeprowadzony drut. Po nim na rolkach przesuwiał się w obudowie transformator, który transformował napięcie z dwustu dwudziestu woltów na siedemdziesiąt. Było ono wystarczające do porażenia zwierzęcia, a mało odczuwalne dla człowieka. Wymontowałem i zabrałem ze sobą transformator, natomiast chwytak podłączyłem bezpośrednio do sieci pod dwieście dwadzieścia woltów, bez żadnej separacji. Był to wielki błąd. W czasie uboju napięcie sieci poraziło rzeźnika. Zaprzeszono wobec tego tej metody ogluszania zwierząt i używano do tego siekier. Na drugi dzień (transformator nie został jeszcze naprawiony) w jakiejś innej sprawie poszedłem do rzeźni. Rzeźnicy wpuścili kilka świń do pomieszczenia. Kiedy jedną zabijano, inne ze strachu wspinały się na ściany i okalające ogrodzenie. Jedna z nich trafiła na klapę nad basenem z gorącą wodą, do którego wrzucano zabite już świnię, gdzie przed skrobaniem odparzał się ich naskórek ze szczecinią. Rzeźnicy w ostatniej chwili złapali świnię za tylne nogi i uchronili ją przed wpadnięciem do basenu z gorącą wodą, niemniej oparzyła sobie ona ryj i część głowy. Rzuciła się z bólu, a rzeźnik walił ją siekierą, gdzie trafił. Aż wreszcie udało mu się ją uśmiercić.

Byłem przerażony tym widowiskiem. Popędziłem do firmy, żeby jak najszybciej naprawić transformator, który nie miał istotnych uszkodzeń. Udało się go szybko naprawić i jeszcze tego samego dnia zaniósłem go do rzeźni. Wszystko wróciło do normy. Reklamacji nie było.

Dramatyczne chwile przeżyłem również w szpitalu w Złotowie. Zostałem tam wezwany, bo przestała świecić lampa bezcienionowa nad stołem operacyjnym. Lampa nie świeciła, bo była przerwa w obwodach elektrycznych. Zlokalizowałem uszkodzenie i postanowiłem zdjąć lampę, zamiast próbować naprawić ją w pozycji wiszącej. Po odłączeniu przewodów elektrycznych zsunąłem lampę z szyn, na których przesuwała się wzdłuż stołu. Nie zdawałem sobie sprawy z jej ciężaru. Stałem wysoko na rozstawionej drabinie. Kiedy lampa zeszła z szyn, szarpnęła mnie w bok, ponieważ trzymałem ją w jednej ręce. W ostatniej chwili chwyciłem drugą ręką za szynę, po której przesuwała się lampa, co mnie uratowało od upadku. Nogami uspokoiłem rozchwianą drabinę. Puściłem szynę i zacząłem powoli schodzić po drabinie, trzymając lampę w jednej ręce. Byłem cały zlany potem. Sale operacyjne w szpitalach są na ogół wysokie, moja drabina też była odpowiednio wysoka, więc łatwo było ją rozchwiać. Lampa ważyła znacznie ponad dziesięć kilogramów. Pod specjalną czaszą około metrowej średnicy znajdowało się kilka żarówek i mechanizm umożliwiający ustawienie czaszy lampy w każdej pozycji. Lampa miała zawieszenie teleskopowe, umożliwiające umieszczenie jej na żądanej wysokości. Po naprawieniu, bez niespodzianek zawiesiłem ją na szynach.

Któregoś razu zostałem wezwany do kościoła w Złotowie, ponieważ nie dzwonił poruszany elektrycznie dzwon. Usunąłem usterkę w instalacji i włączyłem dzwon. Silnik dzwonu był zasilany przez dławiki, na których przy dużym obciążeniu występował znaczący spadek napięcia. Miało to istotne znaczenie, kiedy dzwon osiągał maksymalne wychylenie. Wtedy też następowało wyłączenie zasilania i ponowne włączenie, z tym, że były zamieniane miejscami dwie fazy i silnik obracał się w drugą stronę, w drugą stronę poruszał się także dzwon. Nie zdawałem sobie sprawy, że dzwon emituje tak potężną energię. Gdy zaczął dzwonić, znajdowałem się w odległości około dwóch metrów od niego. Wszystko zaczęło we mnie drgać. Miałem wrażenie, że rozpadnę się na kawałki. Czułem ból w całym ciele.

INWALIDA WOJENNY

Ze Złotowa do Brzostowa było około trzydziestu sześciu kilometrów. Koleją, z przesiadką w Pile, było znacznie dalej. Raz w tygodniu jeździłem do domu po aprowizację. Latem jeździłem na rowerze,

zimą pociągiem. Któregoś razu, choć było lato, wybierałem się w sobotę do domu pociągiem. Wyszedłem wcześniej, żeby zająć na cmentarz wojskowy przy stacji kolejowej. Obszedłem go i na chwilę ukląknęłam, by się pomodlić. Zmęczony po całotygodniowej pracy (w tamtych czasach pracowało się również w sobotę, choć nieco krócej) – usnąłem. Obudziłem się. Ktoś do mnie mówił, żebym się nie bał, że on żyje, jest realny, nie wyszedł z grobu. Nade mną stał żołnierz o kulach. Zapytał, czy leży na tym cmentarzu ktoś z mojej rodziny albo ze znajomych. Był nieco zaskoczony, gdy dowiedział się, że nie. Żołnierz przyznał się, że obserwując mnie, przegapił porę odjazdu pociągu, ale tak naprawdę, to nigdzie się nie spieszy. Okazało się, że również mój pociąg już odjechał. Zaproponowałem mu, że prześpiemy się u mnie i pojedziemy następnego dnia. Dowiedziałem się, że pochodzi ze wschodu, a jego rodzina została wymordowana przez Niemców podczas pacyfikacji wsi. On ocalał, gdyż był w lesie, w partyzantce. Walczył na Wale Pomorskim i pod Kołobrzegiem stracił nogę – poderwało go na minie. Był przy tym przekonany, że wojnę przeżył dzięki różańcowi, który dała mu matka pewnej dziewczyny. Te kobiety – matka i córka – z rodziną mieszkały kilka, a może kilkanaście kilometrów na wschód od Więcborka, gdzie miały gospodarstwo rolne. Żołnierz wykonywał jakieś przyfrontowe czynności w tej okolicy i przez kilka dni był u tych ludzi na kwaterze. Zakochał się z wzajemnością w dziewczynie. Jej matka pobłogosławiła go, jak szedł na front i dała mu różaniec, który mi pokazał. Teraz miał problem z odnalezieniem dziewczyny. Już trzy razy szukał jej w tej okolicy, ale bez skutku. Z drugiej strony, tak naprawdę boi się ją odnaleźć, żeby nie przysnął czar wspomnień – bo co z niego za kandydat na męża z jedną nogą. Na wsi trzeba mieć dwie mocne nogi, żeby móc ciężko pracować. „– Za burtę wyrzuciła mnie wojna, a niemiecka mina przeciwpiechotna dokonała reszty”. Opowiedział mi, jak z podobnymi sobie chodzili po pociągach, grali, śpiewali i przy okazji okradali ludzi. Obrzydło mu takie życie. Nie chciał tak dłużej. Starałem się go jakoś pocieszyć, przekonywałem, że w Brzostowie był rolnik, który nie miał nogi powyżej kolana. „– Ty nie masz tylko stopy, więc jesteś w lepszej sytuacji. Ten rolnik miał rentę inwalidzką i stać go było na służącego, a nawet dwóch. W Nowym Brzostowie był kowal, który również nie miał nogi i kuźnia jakoś funkcjonowała. I ty sobie jakoś poradzisz”.

Z ciekawości spytałem się go, czy jak szukał tej dziewczyny, to był trzeźwy. Szczerze się mi przyznał, że nie. Poradziłem mu, że jeżeli naprawdę chce zmienić swoje życie, to musi kategorycznie zerwać z pijaństwem. Nie ma innej drogi. Słuchał mnie z uwagą. Wyjął z plecaka butelkę z resztką wódki, wyszedł na podwórze i rozbił ją o kamień. Przekonywałem go, że dziewczyna ani jej matka nie mogą go zobaczyć pijanego. I jeszcze mu mówiłem, że musi zmienić metodę szukania dziewczyny. Najlepiej iść od wschodu na zachód, tak jak szedł tamtej zimy. W napotkanych wioskach należy rozmawiać z ludźmi. Na wsi ludzie się znają i wiedzą jeden o drugim to i tamto.

Poprosiłem panią Wilkowską, żeby uprała jego rzeczy. Okazało się, że jest bardzo zabiedzony i ma robactwo. Dałem mu moją koszulę, a także trzewiki, z których jeden był bardziej sfatygowany, natomiast drugi był w lepszym stanie i pasował na jego ocalałą nogę. Pani Wilkowska jeszcze w niedzielę czyniła starania, by doprowadzić to wszystko do porządku, a on jej grał na akordeonie, który miał ze sobą. Grał niezłe i znał dużo melodii. Przrzekł nam, mnie i pani Wilkowskiej, że jak odnajdzie dziewczynę, to nas z nią odwiedzi. Nie wiem, co się z nim stało, nigdy go już nie spotkałem. Po kilku miesiącach wyjechałem ze Złotowa. Być może zjawił się, ale mnie już tam nie było.

Po wojnie wielu było zdemobilizowanych żołnierzy inwalidów. Niewielu z nich było przygotowanych do życia w cywilu. Niektórzy z tych ludzi kilka lat spędzili w partyzantce. Nie mieli okazji, żeby nauczyć się pracować. Byli bez zawodu. Bardzo często wpadali w nałóg pijaństwa. Byli rozbitkami życiowymi. A przecież wojsko jest doskonałą szkołą życia. Przeważająca większość zdemobilizowanych żołnierzy wtopiła się w społeczeństwo i znalazła w nim swoje miejsce. Chłopcy poszukali towarzyszek życia i doskonale sobie radzili w cywilu. Część z nich objęła gospodarstwa rolne na Ziemiach Zachodnich.

Kiedy po latach znalazłem się Złotowie, szczątki z cmentarza wojkowego, który znajdował się przy stacji kolejowej, zostały przeniesione do wspólnej mogiły na cmentarzu parafialnym. Te przenosiny pozbawiły żołnierzy ich tożsamości. Stali się bezimienni. Nie przypominam sobie, by na cmentarzu przy stacji był jakiś bezimienny grób. Tabliczki, które wielokrotnie czytałem, nie były trwałe i należało je zamienić na tabliczki odporne na wpływy atmosferyczne.

Tego jednak nie uczyniono. Poza tym od pewnego żołnierza dowiedziałem się, że spoczywali tu ci, którzy umarli w szpitalach w wyniku odniesionych ran. Więc to nie były i nie musiały być bezimiennymi groby. Można przecież było przywrócić tożsamość tych ludzi, korzystając z archiwum Wojska Polskiego. To niechlujstwo godziło w rodziny tych ludzi.

Znalazłem się pewnego razu, jako młody człowiek, w Oławie. Poszedłem na obiad do tamtejszej restauracji. Do mojego stolika przysiadł się jakiś jegomość. Były jeszcze wolne stoliki, ale on wybrał mój. Bardzo mnie za to przeproszał. Wyjaśnił, że on ciągnie do młodych ludzi, ponieważ wszyscy trzej jego synowie zginęli na wojnie. Najgorsze jest jednak to, że nie wie dokładnie, gdzie zginęli i – tym samym – gdzie są ich groby. Mój rozmówca miał duże gospodarstwo rolne, trzy konie, dobrą ziemię i dobre urodzaje, ale nic z tego go nie cieszyło, ponieważ nie miał następcy. Był na kilku wojсковych cmentarzach, ale nigdzie nie natrafił na żaden ślad. We Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny, gdy ludzie jeżdżą na groby swoich bliskich, on przeżywa prawdziwe katusze, nie wiedząc, gdzie są pochowani jego synowie.

I kiedy stałem przy wspólnej mogile żołnierzy na cmentarzu w Złotowie, pomyślałem o tym człowieku i o ludzkiej bezmyślności, która doprowadziła do zagubienia tożsamości żołnierzy ze złotowskiego cmentarza.

NA ROZDROŻU

Ostatnim akordem mojego pobytu w Złotowie było zdanie egzaminu czeladniczego. Jak się okazało, byłem do niego nieźle przygotowany, także teoretycznie. Kupiłem sobie w Pile około osiemdziesięciostronicową książeczkę, która zawierała podstawy elektrotechniki dla początkujących. Zrozumiałem prawie wszystkie opisane tam zagadnienia. Gdy byłem już po egzaminie i uzyskałem świadectwo czeladnicze, mój dotychczasowy szef nie zechciał mnie dalej zatrudniać. Wyjechałem ze Złotowa. Na razie do domu, żeby odpocząć. Był rok 1947.

Ziściły się moje marzenia o zdobyciu zawodu, jeszcze z lat okupacji, kiedy byłem niemieckim parobkiem. Zmuszano mnie wtedy do pracy ponad siły, niszczone psychicznie i fizycznie. Choć moja sytuacja zupełnie się odmieniła, nie umiałem się uwolnić od tamtych wspomnień.

Po kilku dniach pobytu w Brzostowie zacząłem rozglądać się za pracą. Okazało się, że jej znalezienie wcale nie jest proste. Pracy dla mnie w okolicy nie było. W jej poszukiwaniu postanowiłem zrobić dużą rundę na rowerze. Objechałem kilka miejscowości, gdzie były jakieś szanse zatrudnienia. Miejscowości te nie leżały obok siebie, więc w sumie zrobiłem około stu sześćdziesięciu kilometrów. Przejechanie jednego dnia tylu kilometrów na zwykłym turystycznym rowerze – bez odpowiedniego przygotowania – było wielkim wysiłkiem i doprowadziło mnie do skrajnego wyczerpania. Pracy jednak nie znalazłem. Po powrocie do domu tylko napiłem się wody i położyłem do łóżka. Ze zmęczenia nawet niecałkowicie się rozebrałem, ale długo nie mogłem zasnąć. W końcu spałem chyba piętnaście godzin, a może więcej. Na strychu domu mieliśmy mały pokój. Cisza i spokój, które tam panowały, sprzyjały takiemu wielogodzinnemu spaniu. Wreszcie przez resztki snu usłyszałem cichy głos matki. Pytała, jak się czuję i czy nie jestem głodny. W głosie tej kochanej kobiety, wyczułem autentyczną, wielką troskę. Martwiło ją, że nie mogę znaleźć pracy. Powiedziała mi, że jednak należy mi się odpoczynek, którego od kilku lat nie miałem. Po tym wypoczynku jakąś pracę znajdę. Było to logiczne, ale w pierwszej chwili słowa matki mnie nie przekonały.

Zbliżała się zima. Nie lubiłem tej pory roku. Wynikało to z tego, że każdej zimy solidnie marzłem. Moja przyszłość wyglądała bardzo niepewnie. Nie wiedziałem, co będę robił i gdzie rzucą mnie losy. Po kilku dniach matka zapytała, czy zastanowiłem się nad jej propozycją spędzenia zimy w domu. Byłem wzruszony, że wróciła do tego tematu i bez wahania odpowiedziałem: „– Zostanę w domu”. Zapachniały mi domowe pielesze.

Wbrew moim wcześniejszym przypuszczeniom czas w domu spędziłem bardzo pracowicie. Dużo uczyłem się i czytałem. Miałem idealny spokój i pełne zrozumienie domowników. Z Technikum Korespondencyjnego z Warszawy otrzymałem skrypty i pracy mi nie brakowało. W miarę zgłębiania tajników wiedzy zaczynały trapić mnie wątpliwości, czy wybrałem właściwą drogę. Wynikało to z tego, że im więcej się uczyłem, tym dotkliwiej odczuwałem brak wiedzy. Wątpliwości dotyczyły również tego, czy ucząc się tym sposobem, osiągnę swój cel, a przecież sposób zdobywania wiedzy narzucało mi życie. Regularne uczęszczanie do szkoły uniemożliwiała mi nauka zawodu. Przekonałem się o tym w Złotowie.

Tymczasem nie jest ważne, jak kto się uczy. Ważne jest, żeby się nauczył. W Brzostowie brak mi było jakiegoś punktu odniesienia, który ma uczeń uczęszczający do szkoły na lekcje. W szkole uczniowi daje się zadania, sprawdza je, ocenia i uczeń wie, czego się nauczył. Szkoła jest dla ucznia ostoją. Ja jej nie miałem, ponieważ mój kontakt z korespondencyjną szkołą nie był wystarczający, była daleko.

Niemniej w tej mojej nauce było coś niezwykłego. Nie ze względu na osiągnięcia – bo nie były i nie mogły być duże – ale ze względu na to, że ją kontynuowałem. Podświadomie czułem, że w ten sposób buduję swoją przyszłość, że z poszczególnych wycinków wiedzy tworzy się jakaś całość. A ja byłem wiedzy bardzo spragniony. Kiedy siadałem do stołu, na którym były rozłożone książki, skrypty i inne akcesoria, czułem jakąś wzniosłość, czułem, że z tym jest związane moje życie. Ten okres, kiedy tak intensywnie się uczyłem, pozostawił we mnie niezatarte, miłe wspomnienia. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie czekają mnie jeszcze trudności.

Zima upłynęła mi na wytężonej pracy. Każdego dnia uczyłem się i czytałem przez wiele godzin. Wczesną wiosną 1948 r. spotkałem się z Bernardem, który był zdania, że powinienem pracować w zawodzie i jednocześnie się uczyć. Zgodziłem się z nim. Zdecydowaliśmy, że pojedziemy do Bydgoszczy i jeszcze raz spróbujemy szczęścia w tym mieście.

WARSZTATY LOTNICZE

Pojechaliśmy. Mieliśmy już więcej doświadczenia zawodowego i życiowego. Nie przypominam sobie, w jaki sposób trafiliśmy do Wojskowych Lotniczych Warsztatów Remontowych, które mieściły się przy ulicy Szubińskiej obok lotniska. Chciano nas zatrudnić. Zapowiadała się ciekawa praca – przeprowadzono tam kapitalne remonty samolotów wojskowych. Pojawiło się jednak pewne „ale”. Już przy pierwszej rozmowie w kadrach zaproponowano nam wstąpienie do partii. Nie było to warunkiem uzyskania pracy, ale propozycja nosiła znamiona pewnego nacisku. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. Nie byliśmy na taką rozmowę przygotowani. Kuszono nas perspektywami świetlanej przyszłości, która czeka członków partii. Nie mieliśmy żadnych kontrargumentów. Byliśmy bezsilni. Nie mogliśmy przecież powiedzieć, że jesteśmy przeciwnikami tej partii, nie odpowiada nam sojusz ze Związkiem Sowieckim – byłoby to samobójstwo, nie mielibyśmy już tam czego

szukać. W końcu stanęło na tym, że mamy przynieść podania i życiorysy.

Przynieśliśmy żądane dokumenty i wtedy urzędnicy w kadrach (mężczyzna i kobieta) przypuścili na nas „atak koncentryczny”. Znowu nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć. W końcu usłyszeliśmy, że następnego dnia mamy się stawić do pracy. Po powrocie na kwaterę, gdzie się zatrzymaliśmy, Bernard kategorycznie zapowiedział, że on do lotniczych warsztatów remontowych więcej już nie pójdzie.

Następnego dnia również i ja nie poszedłem do warsztatów. Siedzieliliśmy w milczeniu ze dwie godziny, a może dłużej. Nie wiedziałem, jak to koledze przekazać, że ja jednak mam chęć tam pracować. Miałem moralnego kaca, że go zdradzam. Wreszcie Bernard przerwał milczenie. Powiedział, że przeprasza mnie za zawód, jaki mi sprawił, ale on tej presji namów do partii nie wytrzymuje nerwowo i już tam nie powróci. Jeśli ja wytrzymam to wszystko, powinienem bez skrupowania tę pracę podjąć. Przykra to była rozmowa, ale bardzo szczerą, bez cienia obłudy. Bernard wrócił do Koszalina.

Poszedłem do pracy i powiedziałem w kadrach, że kolega zrezygnował. Kadrowcy prawdopodobnie zrozumieli, że przeholowali – już nie było żadnych pytań, ani też nacisków na zapisanie się do partii. Załatwiłem wszystkie formalności, otrzymałem przepustkę i zostałem pracownikiem.

Zetknięcie się z samolotami było dla mnie wielkim przeżyciem. Zawsze wyobrażałem sobie, że samolot jest bardzo lekką konstrukcją, by mógł łatwo unosić się w powietrzu. Tymczasem to, co zobaczyłem, zaskoczyło mnie. A wręcz zaprzeczeniem moich wyobrażeń był Il-2 – szturmowy, bardzo groźny samolot, określany jako latający czołg. Cały jego silnik, i nie tylko silnik, był opancerzony stalową blachą kilkumilimetrowej grubości. Samolot ten zwalczał cele naziemne.

Bardzo miłym zaskoczeniem była serdeczność człowieka, z którym współpracowałem. Nie zaglądałem mu do metryki urodzenia, ale prawdopodobnie byliśmy równolatkami, a może ja byłem trochę starszy. Nazywał się Henryk Jach i z tego, co sobie przypominam, mieszkał w dzielnicy Jachcice. Wpadliśmy sobie w oko od pierwszej chwili. Zapoznawał mnie z samolotami i z instalacją elektryczną w nich. Był wobec mnie bardzo szczerzy, życzliwy, otwarty i chciał mnie wszystkiego nauczyć. Nie było w nim cienia hipokryzji. Na początek wykonywałem metalizację. Wszystkie części metalowe samo-

lotu były połączone ze sobą plecionką metalową, tworzącą koszulkę, która była przeznaczona do ekranowania przewodów elektrycznych. Bardzo istotna była metalizacja lotek i trymerów, bo te elementy miały bezpośredni kontakt z powietrzem i w czasie lotu bardzo się elektryzowały, gdyby nie linki metalizujące, iskrzyłyby na sworzniach, na których były osadzone. Takie iskrzenie powodowało zakłócenia w komunikacji radiowej, więc żeby je wyeliminować, wszystkie przewody elektryczne w samolocie były ekranowane plecionką.

W tamtym czasie lotnik miał słuchawki umocowane w czapce lotniczej, a mikrofon zastępowały dwa laryngofony. Wyglądały one jak grube guziki i były umocowane również w czapce w ten sposób, że po jej zapięciu pod brodą przylegały do szyi obok krtani. W czasie mówienia okolice krtani drgają i pobudzają do drgania laryngofony dzięki czemu mowa pilota była zamieniana na przebiegi elektryczne, które były przekazywane do nadajnika radiowego.

SAMOLOTY

Do czasu mojego przyjścia Heniu był w warsztatach jedynym elektrykiem – pracowitym i dobrym. Naprawiane przez niego instalacje elektryczne w samolotach dobrze działały, samoloty latały. Zanim samolot po remoncie oderwie się od płyty lotniska, kilkakrotnie w różny sposób wszystko jest w nim sprawdzane. Jest też przeszukiwany przez specjalistów, przede wszystkim dotyczy to licznych w samolocie „zakamarków”. Ludzie ci przedmuchują niedostępne miejsca sprężonym powietrzem w sobie znany sposób i znajdują śruby, nakrętki, klucze, śrubokręty i wiele innych rzeczy, które podczas prowadzonych prac remontowych dostały się do „zakamarków” i nie można ich było wydostać w prosty sposób.

W mojej pamięci utrwalił się pewien kapitan, który chodził w mundurze lotniczym. Znał się na samolotach i wszystkiego doglądał osobiście. A było czego doglądać – niektóre remontowane samoloty były bardzo postrzelane. Miały w kadłubach dziury takiej wielkości, że można było przez nie wsunąć się do środka. Zastanawiałem się, jak pilot zdołał sprowadzić je na ziemię. Musiały jednak mieć nieuszkodzone stery i linki sterownicze. Niektóre kadłuby były drewniane. Uszkodzenia w nich naprawiano tak – naklejano na siebie bardzo cienkie płyty drewna w ten sposób, że ich słoje się krzyżowały. Nadmiar sklejkę gładzono tak, że po położeniu lakieru nie było śladu po uszkodzeniu.

Imponująco na samolotach wyglądały białoczerwone szachownice. Przyglądałem się tym samolotom często, z podziwem i szacunkiem. Nie były najnowocześniejsze, ale z dobrym skutkiem stawały czoła niemieckiej technice. Zastanawiałem się również, jakie byłyby losy wojny w 1939 r., gdybyśmy mieli dostateczną liczbę takich samolotów. Na hali w remoncie było kilka maszyn IŁ-2, bardzo pokiereszowanych, ale stopniowo przywracano im dawny wygląd i sprawność bojową. Jeden samolot zrobił na mnie przygnębiające wrażenie, ponieważ znajdowały się w nim szczątki człowieka. Był to strzelec ogonowy. Siedział za pilotem, twarzą zwrócony w kierunku ogona i bronił samolotu przed atakami od tyłu. Obsługiwał karabin maszynowy, którym mógł manewrować, ponieważ karabin był umieszczony na rolkach toczących się po odpowiednio wymodelowanych listwach. Mógł strzelać do tyłu, na boki i na boki do góry. Karabin miał samoczynną blokadę, by nie odstrzelić własnemu samolotowi ogona i anteny radiowej zahaczonej na sterze ogonowym i kabinie – były to martwe strefy. Między pilotem i strzelcem znajdował się zbiornik z benzyną. Do blachy zbiornika była przyklejona porowata guma, która w razie postrzałów ograniczała wycieki paliwa. Zbiornik też był otoczony płytami stalowymi.

Samolot miał napęd dwudziestocylindrowego silnika typu V, nie pamiętam jego mocy. W każdym razie cylindry stanowiły solidne „garnki”. Silnik współpracował z trzema śmigłami, rozstawionymi w głowicy co sto dwadzieścia stopni. Płaty poszczególnych śmigieł mogły mieć około półtora metra długości, a ich kąt natarcia był regulowany.

Już w dzieciństwie przekonałem się, że śmigieł na jednym wirniku, w jednej płaszczyźnie nie może być zbyt dużo, ponieważ jedno drugiemu rozrzedza powietrze i skuteczność ciągnięcia maleje. Kiedy miałem podwójne śmigiełko symetryczne względem punktu obrotu i nadałem mu obroty za pomocą szpulki i sznurka, to wznosiło się na kilka metrów. Kiedy wziąłem krążek blachy, ponacinałem go promieniście od środka i odpowiednio powyginałem blachy, uzyskałem kilka śmigiełek na całym obwodzie krążka. Ku memu zdziwieniu, po nadaniu mu obrotów ten wielośmigłowy krążek uniósł się w górę najwyżej na pół metra.

Samolot IŁ-2 miał umieszczone w skrzydłach dwa szybkostrzelne działka kalibru 37 mm i dysponował kilkoma rakietami podwieszonymi pod skrzydłami. Miał też bomby. Działkami i rakietami ce-

lował pilot, naprowadzając cały samolot na cel. Na przedniej szybie miał celownik i pewne współrzędne ułatwiające mu naprowadzanie maszyny na linię strzału. Spusty działek i rakiet były w drążku sterowniczym. Za jednym przyciśnięciem mógł odpalić więcej rakiet. Kabina pilota z przodu miała szybę pancerną zrobioną z wielu cienkich warstw metapleksu (pleksiglasu) sklejonych w jedną całość. O jej skuteczność w ochronie pilota mogliśmy się przekonać naocznie, ponieważ w szybie jednego samolotu tkwił pocisk. Klej, którym klejono szyby, miał dużą przezroczystość, nakładany był bardzo grubymi warstwami i wydaje mi się, że po koagulacji nie miał zbyt twardej konsystencji.

Oprócz IŁ-ów remontowane były także „Jaki” i „Peszki”. Te pierwsze były samolotami myśliwskimi, więc robiono wszystko, by samolot był lekki. Część kadłuba osłonięta była płótnem. „Jak-1” uzbrojony był w działko kalibru 20 mm strzelające przez oś śmigła. Miał jeszcze dwa karabiny maszynowe kalibru 7,6 mm, które strzelały przez śmigło, więc żeby go nie odstrzelić, musiały mieć synchronizatory. W drążku sterowniczym były spusty działka i karabinków maszynowych – jeden pod kciukiem pilota, drugi pod jego palcem wskazującym. Podobnie jak w IŁ-ach, celowało się całym samolotem. Najnowszym samolotem, który remontowaliśmy, była „Peszka”, lekki bombowiec.

Heniu prowadził cichą wojnę z mechanikami. Bywało, że wychodząc z pomieszczenia warsztatowego, zostawiał szeroko otwarte drzwi, więc przechodzący ciekawscy mogli do niego zaglądać. Zdarzało się, że ginęło to i tamto, przeważnie drobne narzędzia. W rewanżu Heniu urządzał zasadzki. Latem, kiedy na piętrze było gorąco, rozkładał na stole różne rzeczy atrakcyjne dla złodzieja. Wśród nich znajdowała się cewka zapłonowa z wibratorem elektrycznym wyposażonym w styki, przez które była zasilana. W ten sposób po włączeniu wibratora powstawała ciągła iskra wysokiego napięcia. To wszystko Heniu kropił wodą (w upały również posadzka była polewana). Chował się za szafą, gdzie miał przycisk do włączania wibratora. Kiedy znalazł się amator cudzej własności leżącej na stole i wyciągnął po nią rękę, Heniu włączał swoją aparaturę i złodziejowi do palców przeskakiwały iskry wysokiego napięcia. Nie było to przyjemne uczucie. Bywali też tacy, którzy w pierwszej chwili myśleli, że się czymś ukłuli i niezniechęceni próbowali jeszcze raz. Nie było jednak przypadku, żeby w tych warunkach udało

się komuś coś ściągnąć ze stołu. Heniu ujawniał się lub pozostawał w ukryciu. Fama o tych jego praktykach rozniosła się po warsztatach i drzwi mogły być niezamykane.

W MATNI

Mimo że praca była ciekawa, ja najczęściej czułem się w niej źle, byłem zmęczony, niewyspany i niezainteresowany nią. Cierpiałem na „syndrom Brzostowa”. Podobnie jak poprzedniej zimy w Brzostowie, prześladowała mnie myśl, że za mało się uczę, za mało umiem i że w życiu nie osiągnę swojego celu, którego tak naprawdę na dodatek nie umiałem sprecyzować. Miałem jakieś poczucie winy, że czegoś nie spełniłem, nie dokonałem. Myślę, że wynikało to z tego, że przez wiele lat się nie nauczyłem, miałem we wszystkim zaległości i jedno na drugie się nakładało.

Po powrocie z pracy i zjedzeniu obiadu siadałem do nauki. Uczyłem się do późnych godzin. Nieraz do pierwszej, drugiej w nocy. Wstawałem o piątej, więc ciągle cierpiałem na brak snu. W pracy przyrzekałem sobie, że już tego dnia pójdę wcześniej spać, ale znowu uczyłem się do późna. Tak upływał dzień za dniem. Nauka działała na mnie jak narkotyk, nie mogłem się od niej uwolnić. W pracy wyglądałem żałośnie.

Heniu znał moją sytuację i wiedział, z czego wynika moja niemoc – jednego dnia mi współczuł, innego się na mnie złościł. Bywało, że mówił: „– Nie mogę już na ciebie patrzeć, idź do rupieciarni i prześpij się”. Zamykał mnie tam i po godzinie, dwóch czułem się lepiej. Wszystko to nie uchodziło uwadze kapitana. Robił różne aluzje, nieraz mnie poszukiwał. Wydaje mi się, że posadzał mnie o niemoralne prowadzenie się – że z tego powodu nie wysypiam się nocami.

Moje prawdziwe problemy w nauce zaczęły się, gdy doszedłem do równań kwadratowych. Nie mogłem pojąć pierwiastka matematycznego i że liczba może mieć wartość ujemną, że rozwiązanie może mieć dwa wyniki – dodatni i ujemny. Doszło do tego, że któregoś razu zaczęliśmy na ulicy licealistę (wtedy młodzież uczącą się można było rozpoznać po czapkach) i poprosiłem o pomoc. Spotkałem się z nim ze trzy razy u niego w domu i on mi to bardzo dobrze wytłumaczył. Spotkanie u mnie nie wchodziło w rachubę, bo po pierwsze – nie wypadało mi fatygować człowieka, ponieważ była to i tak pomoc bezinteresowna, a po drugie – mieszkalem bardzo nędznie, pod schodami, połowa sufitu była skośna. Było tam

za ciasno na dwie osoby, a przy tym nad głową było słyszeć stąpanie ludzi chodzących po schodach. Kąt, w którym mieszkałem, był oświetlony lampą naftową.

Pewnego razu zainteresowałem się ogłoszeniami mieszkaniowymi w gazecie. W oko mi wpadło takie ogłoszenie: „Dam pomieszczenie samotnemu na stanowisku”. Pomyślałem sobie – to w sam raz dla mnie. Jestem samotny, mam stanowisko, wobec tego nic nie stoi na przeszkodzie, żeby skorzystać z oferty. Poszedłem pod wskazany adres na ulicy Królowej Jadwigi. Mieszkanie znajdowało się na trzeciej kondygnacji. Zapukałem, ledwo usłyszałem zaproszenie. Wszedłem do kuchni, następnie do pokoju. W pokoju stały łóżka, a w jednym z nich leżała pani. Kiedy jej wyjawilem cel przybycia, zdecydowanie oświadczyła, że to pomyłka, ponieważ ona takiego ogłoszenia nie dawała. Kiedy opowiedziałem Bernardowi o przygodzie mieszkaniowej, wyjaśnił mi, na czym polegała moja naiwność: „Miałeś za chude uszy i zbyt wygniecione portki. Pani w łóżku czekała na okazałego i dobrze ubranego faceta, a nie na taką marnotę jak ty”.

Nie mogłem należycie zaangażować się w pracę. Rozmawiałem na ten temat z Heniem, nie miał do mnie o to nawet cienia pretensji. „– Wybrałeś taki kierunek w życiu, to musisz temu poddać. Obyś tylko nie przepłacił tego zdrowiem. Ja będę ci pomagał, jak mogę” – zapewnił. Miałem też skrupuły w stosunku do kapitana. Bolało mnie to, że podejrzewa mnie o niemoralne prowadzenie się. Nie powiedział mi tego wprost, wyczułem to intuicyjnie. Chciałem mu to wyjaśnić, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Liczyłem nawet na to, że jako człowiek doświadczony mógłby mi coś doradzić.

POWOŁANIE DO WOJSKA

Wreszcie problem rozwiązał się sam. Jesienią 1948 r. dostałem wezwanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Wiadomo było, że musiało to nastąpić, niemniej gdy stanąłem wobec takiej perspektywy, myśli kłębiły mi się w głowie. Służba wojskowa trwała wówczas dwa lata. To kawał czasu, w którym jakoś trzeba sobie ułożyć życie.

Na temat wojska zapisano tony papieru i wypisano beczki atramentu, nakręcono też wiele filmów. A jednak dla człowieka, który miał się w nim znaleźć, wojsko było wielką niewiadomą. Intuicja podpowiadała mi, że na nic wszelkie spekulacje, ponieważ tamta rzeczywistość rządzi się swoimi prawami, o których nie mam

pojęcia. Ogarnęła mnie rozpacz na myśl o tym, że będę musiał przerwąć naukę.

Gdybym był lepszym pracownikiem, to być może firma wyreklamowałaby mnie z wojska. W mojej sytuacji nie wchodziło to w rachubę. Heniu prawdopodobnie również o tym myślał, ale milczał. Powiedział tylko, że zdaje sobie sprawę, jak wielkim przeżyciem będzie dla mnie przerwanie nauki. Wojsko jest na drodze życiowej mężczyzny prawdziwym słupem milowym. Niektórzy nawet twierdzą, że dopiero po odbyciu służby wojskowej mężczyzna rozpoczyna prawdziwie dorosłe życie. Na pewno wojsko jest twardą, męską szkołą życia.

Wezwanie do wojska nadeszło na mój adres w Złotowie. W tym czasie człowiek podlegający służbie wojskowej miał obowiązek powiadamiania władz wojskowych o zmianie miejsca zamieszkania, a ja tego nie zrobiłem. Stawiłem się w wyznaczonym terminie. Na miejscu dowiedziałem się, że zostałem artylerzystą, przydzielono mnie do pułku artylerii lekkiej w Gdańsku Wrzeszczu. Ani mnie to ziębiło, ani też parzyło – było mi obojętne, gdzie będę służył i w jakim rodzaju broni. Porucznik, który nas konwojował podczas jazdy pociągami opowiadał, jakie to wielkie możliwości są w Gdańsku, a właściwie w całym Trójmieście, gdzie rozwija się przemysł stoczniowy i przemysł związany z morzem. Dla każdego będzie praca. I to była prawda.

Do koszar przyszliśmy nad ranem. Ulokowano nas na strychu nad działownikami. Miejsce było paskudne, hulał wiatr i było zimno. Również na dworze panował przejmujący ziąb. To był 13 października 1948 r. Rano przyszedł jakiś plutonowy. Trochę nas rozruszał i rozgrzał – kazał nam stanąć w szeregu i zaczął nas po prostu obrażać. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy „cywilnymi lumpami” i dużo trzeba będzie włożyć pracy, żeby zrobić z nas wojsko. Usłyszeliśmy jeszcze o sobie to i tamto. Wreszcie podsumował nas, mówiąc, że jesteśmy wyjątkowo złym materiałem na żołnierzy, ale on by umiał się do nas dobrać. Wreszcie pozwolił nam usiąść na podłodze (nie było tam żadnych sprzętów), ale nie było wolno się położyć. Zacząłem czytać książkę. Podeszedł do mnie i powiedział, że dla uczonych nie ma miejsca w wojsku. Ryknął przy tym, że mam wstać, jak do mnie mówi. Później dowiedzieliśmy się, że ten plutonowy jest sanitariuszem i nie będzie wdrażał swoich metod szkoleniowych, które miały z nas zrobić wojsko.

W ciągu dnia porozdzielano nas według jakiegoś klucza i zamieszkaliśmy w prawdziwych koszarach. Zostaliśmy dokładnie opisani. Pytano o ojca, matkę, kim są, co robią, jeżeli rolnicy, to ile mają hektarów i o masę innych szczegółów. W dalszym ciągu byliśmy w cywilnych ubraniach. Chodziliśmy w nich jeszcze kilka dni. Mówiono do nas przez „wy” i najczęściej nazywano „dziadami”. Wychodził taki z dwoma belkami i zwracał się do tego czy tamtego: „– Ee, dziadu, chodźcie no tu” – i wydawał polecenie.

W KOSZARACH

Zapędzili nas do łaźni, dali ręcznik, mydło i worki na cywilne ubrania. Do worków trzeba było włożyć kartkę z imieniem i nazwiskiem. Puszczono nam do mycia gorącą wodę, żebyśmy wyparzyli te „cywilne brudy”. Po myciu byliśmy goli, jak nas matki narodziły. I wtedy zaczęło się już wojsko. Szarża stała w dwóch rzędach, w pewnych odstępach od siebie, a między tymi rzędami przechodziliśmy my, nagusy. Oni podawali nam albo rzucali części umundurowania. Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie krzyków, ryków i dzikich śmiechów. Taki nagus dostawał całe umundurowanie w pojedynczych sztukach. Gubiąc to i tamto, odchodził gdzieś na bok, żeby nałożyć to na siebie. Wszystko odbywało się na utwardzonym podwórzu. Nie baczono na to, że brudzą się tak starannie umyte w gorącej wodzie nogi i otrzymane umundurowanie.

„Rozdając” umundurowanie, nie uwzględniano numeracji. Odzież była stara i sprana. Można sobie wyobrazić, jak wyglądaliśmy w „mundurach”, ubrani bez przymiarki. Na jednym szmaty wisiały, dla innego były przyciasne, a jeszcze inny nie mógł na siebie tego wciągnąć. Najniezbędniejszych zamian dokonano na miejscu – zainteresowani zamieniali się między sobą, a resztę dokończono w miejscu zakwaterowania.

Najśmieszniejsze było to, że ubrali nas w spodnie z owijaczami. Od trzewików do kolan nogi były owijane taśmą sukienną o szerokości około sześciu, siedmiu centymetrów, co podobno zapobiegało powstawaniu żyłaków. Chłopcy nazywali to transformatorami. Dobrze było, jeżeli ta taśma była sukienna, bo ona po owinięciu trzymała się jakoś na nodze. Jeżeli była gładka, bo i takie bywały, to często zsuwała się z nogi i rozwijała dalej. Bardzo często żołnierz idący z tyłu nie zauważył, że jego poprzednikowi rozwinął się owijacz i przydeptywał go. Na tym tle dochodziło między chłopakami

do nieporozumień. Raz doszło nawet do wymiany ciosów, kiedy ten z tyłu przydepnął tak niefortunnie, że ten z przodu się przewrócił.

Po powrocie z łaźni byliśmy już wojskiem. Należy tu dodać, że znalazłem się w szkole podoficerskiej. Pułk składał się z dwóch dywizjonów, trzeci stanowiła właśnie szkoła podoficerska.

Zaczęły się wrzaski, krzyki i ryki. Najczęściej było słychać: „W dwuszeregu na korytarzu zbiórka!”. Liczono do trzech i padała komenda: „Stój, nie ruszaj się!”. Liczono tak, żeby podkomendni nie zdążyli stanąć w tym dwuszeregu. Padała nowa komenda: „W tył, rozejść się!”. Przełożony znowu dawał rozkaz do zbiórki. Wojsko znowu nie zdążyło. Ceremonia ta powtarzała się wiele razy.

Przed snem mówiliśmy pacierz i śpiewaliśmy *Rotę* Marii Konopnickiej. Następnie padała komenda: „W tył, do spania rozejść się!”. Wszyscy pędzili na złamanie karku, żeby się rozebrać i położyć do łóżka. Nie było to tak banalnie proste. Należało złożyć w kostkę umundurowanie i właściwie ustawić trzewiki. Robiono to „na tempo”, ponieważ obywatel kaprał liczył. Najczęściej wojsko nie zdążyło rozebrać się, a jeśli zdążyło, to źle ustawiło trzewiki lub źle ułożyło kostki mundurowe. Wobec tego padała komenda: „Wstać ubrać się, na korytarzu zbiórka!”. Robiło się to wszystko w czasie liczenia przez obywatela kaprała do trzech. Obywatel kaprał liczył tak, że żołnierze z reguły nie zdążyli wykonać rozkazu. Padała ponownie komenda: „W tył, do spania rozejść się!”. I tak ten cyrk się powtarzał kilka razy.

Bywało, że obywatel kaprał wchodził na salę, kiedy już wszyscy leżeli w łóżkach. Czasami przychodził w towarzystwie kolegów i popisывał się przed nimi. Brał na przykład ze stojących par po jednym trzewiku i wyrzucał na korytarz, twierdząc, że są źle wyczyszczone albo brak w podeszwach gwoździ. Delikwenci – boso i w koszulach – szukali swoich trzewików, przynosili i czyścili, właściwie ustawiali i kładli się do łóżka. Kiedy już wszyscy leżeli, obywatel kaprał dawał komendę: „Nóżki do góry rzuć!”. Znaczyło to, że należy obnażyć stopy, podnieść je na kilkanaście centymetrów i pokazać obywatelowi kaprałowi. Obywatel kaprał twierdził, że są brudne, a jego goście dziwili się, że wojsko szło spać z takimi brudnymi nogami. Jeżeli żołnierz mówił, że pobrudził nogi o zaoliwioną podłogę, kiedy czyścił trzewiki, padały ostre słowa: „Nie gadajcie!”. Gdy delikwent w dalszym ciągu obstawał przy swoim, był zapisywany do szorowania korytarza i nazywany „asem”, co też miało negatywny wydźwięk.

Szorowanie korytarza polegało na tym, że polane wodą deski były drapane drapakami (zdartą miotłą z gałązek). Nie było przeszkodą to, że przy okazji ochlapywano ściany korytarza. Resztki rozlanej wody zbierano szmatami. Na końcu zmiatano z podłogi „wałki”, które powstawały w czasie zbierania wody, ponieważ używanych szmat nigdy nie suszono, leżały mokre w piwnicy i z gnijącego materiału robiły się te „wałki”.

Kolejna ulubiona zabawa kaprała polegała też na tym, że kazał nam się kłaść do łóżek i wyskakiwać z nich ileś tam razy. Powodem mógł być znaleziony przez kaprała jakiś brud, np. na wiszącej pod sufitem lampie. Kiedyś, podczas mojego dyżuru, takim brudem z lampy kaprał zrobił mi wasy i dopytywał się kolegów, czy mnie poznają. Nieraz z powodu znalezionego brudu kazano nam wchodzić po dwóch na szafki. Było to zabawne, ponieważ spaliliśmy tylko w koszulach. Pewnego razu zdarzyło się to w czasie, gdy ze znajdującego się po sąsiedzku kina właśnie wychodzili ludzie, którzy przyglądali się nam przez dobrze wyczyszczone szyby, a my na przemian stawaliśmy (ubrani w krótkie koszule i z podniesionymi rękami) na szafkach i nurkowaliśmy pod łóżka. Gapiów zebrało się tylu, że na ulicy Grunwaldzkiej w Gdańsku Wrzeszczu, przy której znajdowały się koszary, został wstrzymany ruch.

W okresie letnim, gdy wojsko było na poligonie, odnawiano koszary. Naszym zadaniem było posprzątanie po malarzach. Do pucowania jednej izby przydzielano nas trzech albo czterech. Wydrapaliśmy podłogę, wyczyszciliśmy piec, drzwi i okna. W wojsku wyjątkową wagę przywiązywano do czystości szyb w oknach. Czyszczono je długo i zawzięcie. Otwierało się okno, brało gazety bądź inny papier w obie dłonie i tymi gazetami tarło się szybę jednocześnie z obu stron ruchem rotacyjnym – tak długo, aż stała się ona nieskazitelnie czysta.

Po dwóch czy trzech dniach znów przyprowadzono nas pod drzwi tej samej izby. Ciekaw byłem, co też będziemy robić. Okazało się, że wymieniano w tej izbie parapety okienne. Przy tej okazji zadeptano podłogę – moja ciekawość została zaspokojona. Znowu wyczyszciliśmy okna, drapaliśmy podłogę, aby doprowadzić izbę do porządku. Historia powtórzyła się jeszcze dwa razy. Na końcu był przestawiany piec. Po czym nastąpiło generalne sprzątanie. Taka logika robienia porządków budziła we mnie sprzeciw, była niezgodna z moją filozofią życiową. Nigdy nie robiłem czegoś, co

byłoby zniszczone następnego dnia. Wartość człowieka w moim rodzinnym domu była oceniana przez pryzmat jego dokonań. Ojciec zaszczerpił mi przekonanie, że należy sumiennie pracować, by praca była pozytywnie oceniona. Tu, w wojsku, nikt nie oceniał wykonanej pracy, a jej rezultaty były niszczone. Ktoś może powiedzieć, że odbywało się to w koszarowym rozgardiaszu robienia porządków. To prawda, ale mimo wszystko jakieś wątpliwości pozostały.

REKRUCKI LOS

Któregoś dnia zostałem wezwany do dowódcy plutonu, który oświadczył mi, że jestem przeniesiony do innego pododdziału – do drugiego dywizjonu, drugiej baterii. Po okresie rekruckim będę przeniesiony do plutonu gospodarczego i będę elektrykiem w akumulatorni. Dowódcą moim będzie kpt. Popik, dowódca parku samochodowego.

W drugiej baterii panowały te same zwyczaje i w ten sam sposób zwracano się do nas. Byliśmy wciąż beznadziejną zgrają nieudaczników, którzy nie myją nóg, nie potrafią wyczyścić trzewików, stanąć na zbiorce, pościć łóżka, najeść się w odpowiednim czasie. W przeciwieństwie do obywateli kaprali, którzy wszystko wykonują nie-nagannie, więc muszą nas tego wszystkiego nauczyć. Stosując przy tym odpowiednią wykładnię, bo inaczej byśmy nic nie zrozumieli, ignorowali ich wysiłki i nie podciągali się.

Jeden z obywateli kaprali popisał się bardzo (jego zdaniem) inteligentnym kawałem. Kiedy staliśmy na zbiorce, zapytał: „Kto umie grać w szachy?”. Znalazło się dwóch – jeden, który, jak to określił, grał niezłe i drugi, który grał słabo. Obywatel kaprał kazał im wziąć wiadro, szmaty i umyć wykafelkowaną „w szachownicę” część korytarza. Kawał ten był oklepany, ale my go jeszcze nie znaleźmy.

Po porannej gimnastyce myliśmy się w umywalni, oczywiście „na tempo”. W pomieszczeniu było około dziesięciu kranów, na jeden przypadało średnio trzech, czterech chętnych. Kiedy jeden się mył, inni wyciągali ręce, żeby nabrać w dłoń wody i chociaż trochę zwilżyć twarz. Oczywiście było, że po takim myciu podłoga była zalana wodą. Ostatnia grupa myjących się stała już w wodzie. Obywatel kaprał wzywał do opuszczenia umywalni, po czym wpadał i krzyczał do tych ostatnich: „Na dupę siad!”. Któregoś razu i ja byłem wśród tych ostatnich. Po tym absurdalnym poleceniu przykucnęliśmy. On łapał za ramię i zmuszał do siadania w wodzie. Miałem

mokre spodnie i było mi zimno. Mielśmy zajęcia na placu ćwiczeń. Kaprał podszedł do mnie i wypalił: „Macie spodnie mokre na dupie, pewnie się zesraliście”. Stojącemu obok koledze kazał mnie obwachać, ale on powiedział, że nic nie czuje, że to jest prawdopodobnie woda. Wtedy obywatel kaprał oświadczył, że ma dobre serce. Żeby mi ta dupa wyschła i żebym się rozgrzał, kazał mi biegać wokół placu.

Na tego rodzaju ekscesy nikt się nie skarżył w obawie ściągnięcia na siebie jeszcze większej biedy. Nie było zresztą do kogo iść na skargę. Często oficerowie, przełożeni tych kaprałi, nie reprezentowali dużo wyższego poziomu intelektualnego, a ci, którzy byli sprawcami, uchodzili za dobrych szkoleniowców. Bardzo często taki dobry szkoleniowiec był w cywilu podłym człowiekiem, a w wojsku miał warunki, żeby stać się jeszcze podlejszym. W tym okresie w wojsku obowiązywała zasada „nie matura, lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera”.

Również szczególne porządki panowały podczas posiłków w stołówce. Podchodziliśmy w kolejce z menażkami – dostawało się porcję, z którą szło się do stołu. Pierwszą czwórkę stanowili żołnierze najwyższego wzrostu, na końcu byli ci najniżsi. Oni z reguły nie zdążyli zjeść. Kiedyś jeden z tych niskich kolegów pokazał mi, jak z dziaśel schodzi mu skóra od oparzeń jedzeniem. Ludzie w mojej generacji nie osiągaliby zbyt wysokiego wzrostu – metr osiemdziesiąt było rzadkością. Był to rezultat wojennej biedy i zbyt wczesnego przystąpienia do pracy, często bardzo ciężkiej.

Stopniowo poznawaliśmy się coraz lepiej, postępowała integracja zespołu. Pewnego razu na zajęciach politycznych, politruk (oficer od wychowania politycznego) użył zwrotu „niezwyciężona Armia Radziecka”. Jeden z kolegów zabrał głos i powiedział, że wykładowca się myli, bo Armia Radziecka poniosła pod Warszawą w 1920 r. klęskę, a jego ojciec był na tej wojnie. Po zajęciach politycznych kolegę wywołano, nie poszedł z nami na dalsze zajęcia. Po naszym powrocie z zajęć już go nie było w pułku. Fama niosła, że wysłano go do kopalni uranu, choć tak naprawdę nikt nie wiedział, co z nim zrobili. Na następnych zajęciach politruk powiedział, że przeniesiono go do innej jednostki.

W pododdziale zapanowała ponura atmosfera. Rozmowy ograniczały się do niezbędnego minimum. Zaczęto wzajemnie podejrzewać się o donosicielstwo. Po pewnym czasie dowiedziałem się,

że i mnie o to podejrzewano, ponieważ zostałem przeniesiony z innego pododdziału. Na zajęciach politycznych odbywały się bardzo prymitywne rozmowy. Politruk pytał: „Dzięki czemu wygraliśmy wojnę?”. Odpowiedź brzmiała: „Dzięki niezwyciężonej Armii Radzieckiej i jej niezawodnej broni”. Za taką odpowiedź była ocena bardzo dobra. Nasz politruk reprezentował wyjątkowo niski poziom inteligencji, a przy tym był wyjątkowo podłym człowiekiem.

Okazało się, że moje dotychczasowe, powojenne życie wiodłem trochę w oderwaniu od rzeczywistości. Wiedziałem, że Polska jest sowietyzowana, że niszczy się ludzi, morduje w więzieniach, stosuje prowokacje. Nigdy jednak nie dotknęło mnie to bezpośrednio, więc siłą rzeczy te sprawy zajmowały dalsze miejsce w mojej świadomości. Nauka zawładnęła mną do obłędu. Wszystko inne zależnie do mnie docierało. Nie było mnie stać na nic więcej. Chłonność mojego umysłu i zdolność segregowania informacji były po prostu takie, a nie inne.

W wojsku dotarły do mnie realia świata zewnętrznego. Każdy musiał mówić, co mu kazali, twierdząc przy okazji, że jest wolność słowa i „świadoma dyscyplina”. Groźba więzienia wisiała nad każdym. Na potwierdzenie tego co jakiś czas przychodził ktoś z prokuratury i uświadamiał, ile lat za co się dostaje. Najbardziej uderzające w tym wszystkim było wszechobecne kłamstwo. Było ono narzędziem i powszechnym atrybutem naszego życia. Często zastanawiałem się nad tym, jak to możliwe, że kłamstwo – w istocie swej odrzucane i pogardzane przez ludzi – zyskało aprobatę, święci triumfy, mało tego, stało się wręcz niezbędne. Bez kłamstwa i przymusu machina tamtego systemu nie mogłaby funkcjonować.

Trudno sobie wyobrazić, jak wielkie spustoszenie w umysłach ludzkich czyniło kłamstwo. Człowiek kłamiący i zmuszany do kłamstwa mógł stracić kontakt z rzeczywistością i mieć trudności z funkcjonowaniem w życiu, bo kłamstwo daje wypaczony obraz świata i skutkuje podejmowaniem niewłaściwych decyzji. Totalne kłamstwo rodzi nieprawość i demoralizację.

KOLEDZY

W moim otoczeniu, tak zresztą jak w całej Polsce, ta indoktrynacja prowadzona przy pomocy kłamstwa dawała mierne rezultaty. Chłopcy zamknęli się w sobie i zdawało się, że nie ma do nich dostępu. Któregoś dnia, gdy robiłem coś w świetlicy, przechodzą-

cy obok jeden z kolegów nachylił się nade mną i powiedział: „– No, i co Zdzichu, słuchasz jak uczą chłopów nakręcać zegarki?”. Właśnie z kołchoźnika (głośnik radiowęzła) nadawano audycję dla wsi, z której wynikało, że gdy polska wieś zostanie skolektywizowana, zapanuje powszechny dobrobyt. Nie słuchałem tego, bo napawało mnie to obrzydzeniem. Ten kolega wyglądał niepozornie, nie spodziewałem się, że usłyszę od niego takie słowa. Odebrałem je jako gest zaufania, co było dla mnie bardzo krzepiące, prawie tak samo jak *Rota*. (Muszę tutaj wyznać, że jak dziecko każdego dnia czekałem na chwilę, kiedy pod wieczór zaśpiewamy tę pieśń. I za każdym razem podczas jej śpiewania przechodziły mnie ciarki, czułem dreszcze na plecach. Podobnie jak podczas okupacji, gdy śpiewaliśmy ją w konspiracji. Ta pieśń ma wielką, krzepiącą moc).

Któregoś dnia, gdy staliśmy w dwuszeregu na korytarzu, niespodziewanie pojawił się dowódca plutonu. Zapytał, do kogo należy druga szafka po prawej stronie. Należała do mnie i do Jasia Cz., obaj podnieśliśmy ręce. „– A do kogo należy *Krótki kurs WKP(b)*?”. Jasiu powiedział, że do niego. Dowódca powiedział, że to jest bardzo wartościowa książka i że takie należy czytać. Ja czytałem *Annę Kareninę* Tolstoja, ale o niej dowódca nie wspomniał.

Zaprzyjaźniliśmy się z Jasiem. O pogłębienie przyjaźni wyraźnie starał się kolega. Wreszcie mi wyznał, że od tego wydarzenia z książkami ma moralnego kaca, bo on nigdy nie czytał i nie zamierza czytać „takich” książek. Przyniósł ją dla zamydlenia oczu. „– Jeżeli oni nas okłamują, trzeba i ich okłamywać”. Opowiedział mi też, jak jeździł w lubelskie, gdzie dostawał od partyzantów krowy, odebrane przez nich Sowiетom. Dostawał odpowiednie dokumenty i jako repatriant przywoził to bydło z powrotem na Ziemię Zachodnie, skąd były zabrane.

Któregoś dnia wróciliśmy po zajęciach i zastaliśmy obywatela kaprała, jak usiłował przewrócić nasze łóżka. Podobno nie były zasłane jak należy. Zwykle w takich przypadkach demolował tylko posłanie na łózkach. Tym razem było jednak inaczej. Przewrócił już dwa albo trzy i mocował się z łóżkiem Jasia. Wbrew pozorom przewrócić łóżko nie było tak łatwo, bo przeszkadzały szafki stojące między nimi. Kolega skwapliwie podbiegł do obywatela kaprała, chcąc pomóc w przewróceniu swojego łóżka. Obywatel kaprał spytał Jasia, jak się nazywa i czyje to jest łóżko. Kiedy się dowiedział, że jego, warknął: „– Co, macie mnie za idiotę?” – i odszedł.

Od tego czasu ten obywatel kaprał przestał robić takie numery i zachowywał się w miarę normalnie. Trzy razy spotkało mnie to, że za „burdel w szafce” zostałem ukarany jej przewróceniem. Za „burdel” uznawano znalezienie w niej jakichś nieregulaminowych rzeczy. Regulaminowe były tylko: zeszyt do wychowania politycznego, szczotka i pasta do butów, szczoteczka do zębów i przybory do golenia. Wszystko inne, np. skrypty do nauki, prywatne książki, było nieregulaminowe, więc szafka mogła zostać przewrócona.

W okresie rekruckim zaprzyjaźniłem się z jeszcze jednym kolegą. Był nim Kaziu Górny z Gniezna. Spaliśmy obok siebie na piętrowych łóżkach. Zauważył, że budzę się przed pobudką. Był chłopakiem inteligentnym i zorientował się, że przyczyną była moja nerwowość. Powodowały ją wybryki naszych przełożonych po pobudce. Często raniły one naszą godność.

Kaziu wygłosił do mnie mniej więcej takie przemówienie: „Z tego, co wiem, zamierzasz się uczyć i potrzebne ci jest zdrowie, przede wszystkim psychiczne. I nie możesz go tu stracić, denerwując się na tych oprychów. Śmieję się człowieku z tego i z tych drani. Oni tu mają władzę, ale jeszcze może im to wyjść bokiem. Ożeni się taki i będzie dręczył żonę i dzieci, ponieważ będą mu potrzebni podkomendni. Może też być odwrotnie, że żona przyłoży mu garem i zrobi z niego małego kapralika do domowych usług. Jeden z nich ma podpisać kontrakt i zostać podoficerem zawodowym w wojsku. Będzie zupakiem, ponieważ przepije swoje skromne uposażenie, a ci ze służby czynnej będą mu przynosić zupę ze stołówki żołnierskiej”. Takie były wyobrażenia Kazia Górnego, dobrego kolegi z okresu rekruckiego, z którym dzieliliśmy dole i niedole, leżąc na sąsiednich pryczach.

KURS SZOFERSKI

Wreszcie dobrnęliśmy do przysięgi. Nie trafiłem po niej do akumulatorni, ponieważ zostałem wysłany na kurs szoferski. Założono, że będąc w akumulatorni, będę miał styczność z samochodami, więc powinienem umieć nimi jeździć i mieć o nich jakieś pojęcie. Powinienem także mieć wojskowe prawo jazdy. Na kurs zostałem wysłany z chłopakami, którzy mieli zostać kierowcami pułkowymi. Wszyscy oni byli kierowcami i mieli cywilne prawa jazdy. Byłem wśród nich wyjątkiem, osobnikiem, który nigdy dotąd nie siedział za kierownicą.

Dowiedzieliśmy się, że wysyłają nas na kurs po to, by doskonalić umiejętność prowadzenia wojskowych pojazdów. Chodziło też o to, że jeśli któryś z kierowców mających wojskowe prawo jazdy spowoduje wypadek, to można będzie go ukarać. W przypadku posiadania tylko cywilnego prawa jazdy, takiej możliwości podobno nie było. Mówiono nam również, że za spowodowanie wypadku grozi trzy lata więzienia.

Na kurs zostaliśmy wysłani do sąsiedniego pułku piechoty. Wyraźnie dawało się odczuć, że panuje tu zupełnie inny rygor. Nasz kurs szoferski stanowił swego rodzaju enklawę, która rządziła się samodzielnie. Stołówkę mieliśmy w baraku, wspólną z piechocińcami. Było to marne pomieszczenie. Charakteryzowało się tym, że jak na dworze było sucho, to i tu było sucho. W deszczowe dni w stołówce było mokro – pomieszczenie było wysypane drzewnymi trocinami, z którymi mieszało się wnoszone na trzewikach błoto. Rozmieszczone wzdłuż całego baraku stoły wykonano z kiepskich desek, miały mało podpór i ugiwały się, wyglądały przy tym jakoś niechlujnie. Środek pomieszczenia był wolny. Jedzenie roznoszono w kotłach i podawano bezpośrednio na stoły, każdy otrzymywał porcję do aluminiowej miski. Po zjedzeniu pierwszego dania otrzymywał drugie. Łyżkę każdy miał własną. Bardzo oryginalnie „rozdawano” śledzie. Roznoszący rzucali każdemu jego śledzia z odległości dwóch metrów bezpośrednio na stół, który nie był zbyt czysty. Trzeba było uważać, żeby swojego śledzia złapać na stole, w przeciwnym razie śledź zsuwał się ze stołu w trociny, więc brało się kawałek gazety, wycierało go i zjadało. Śledzie były prosto z beczki, bardzo słone.

Dni wypełniały zajęcia teoretyczne i praktyczne, czyli jazdy, także nocne. Zajęcia teoretyczne były na wysokim poziomie. Dokładnie tłumaczono nam – posługując się planszami – konstrukcję pojazdu, silnika, obwody elektryczne, zapłon i inne „ciekawostki” samochodowe. Bardzo dużo czasu poświęcono zagadnieniom usuwania uszkodzeń, w tym w obwodach elektrycznych, a w szczególności zapłonu. Mankamentem było to, że nie demonstrowano nam tego praktycznie. Nie było na czym.

Dla mnie prawdziwą zmurą była jazda. Odbывała się ona w ten sposób, że kilku z nas wchodziło do skrzyni samochodu, a z niej, po kolei, do szoferki. W czasie jazdy w skrzyni bujaliśmy się, ponieważ nie było siedzeń. Instruktorzy traktowali nas obcesowo. Byli

wobec nas ordynarni. Przepuściłem kilka razy swoją kolejkę do jazdy, ale w końcu musiałem usiąść za kierownicą i jechać. Znajdowaliśmy się w mieście na ruchliwej ulicy. Usiadłem i tłumaczę instruktorowi, że nigdy w życiu nie prowadziłem samochodu. On w ogóle nie słuchał moich wywodów. „– Jedź!”. No, i ruszyłem. Ale jak to początkujący, patrzy gdzie jedzie, jak rusza, a później szuka sprzęgła i biegów. Wreszcie instruktor złapał za hamulec i zatrzymał samochód. Spojrzałem przed pojazd i ze zdziwieniem zauważyłem żołnierzy. Okazało się, że jechałem wprost na kolumnę wojska. Instruktor posłał mi najbardziej wulgarną wiązanke, jaką znał i wysłał do skrzyni. Różne przygody mi się jeszcze zdarzyły i nasłuchiwałem się różnych wulgaryzmów o sobie i o matce, ale w końcu opanowałem to szoferskie rzemiosło.

Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że pełniliśmy w tym czasie także jakieś służby, ponieważ pewnego razu znalazłem się na wartowni. I tam byłem świadkiem, jak porucznik, który pełnił służbę inspekcyjną, „zapoznawał dziewczynę”. Zobaczył ją przez okno z wartowni, wpadła mu w oko. Krzyknął do podoficera służbowego, że ma pędzić i umówić go do kina „z tą czerwoną”. Tamten ruszył w pogoń za dziewczyną, która była ubrana w czerwoną sukienkę. Po pewnym czasie podoficer wrócił i powiedział, że to twarda sztuka – taka owaka. Nie chciała się umówić, ale w końcu uległa. Uzgodnili godzinę, dzień i miejsce spotkania.

Służba w piechocie, szczególnie w tej jednostce, w której się znajdowaliśmy, była nieporównywalnie gorsza od służby w artylerii. Niezależnie od tego, ile było stopni Celsjusza i obojętnie, co leciało z nieba, po apelu porannym piechurzy szli w teren. Biegali tam do upadłego, rozwijając tyraliery w lewo i w prawo. Mieli też swoją „łakę płaczu”. Był to kawałek podmokłej łąki. Gdy obywatel kapral miał takie fanaberie (a często je miewał), to pędził tam piechurów i kazał im się czołgać. Byli potem kompletnie przemoczeni i te mokre rzeczy wysychały na nich. Nietrudno sobie wyobrazić, jak wpływało to na zdrowie. Ziębiło ich również żelazo cekaemów i moździerzy, które nosili ze sobą.

Kiedyś jeden z pododdziałów odmówił czołgania się po łące. Była to odmowa wykonania rozkazu przez oddział żołnierzy, czyli jedno z największych przestępstw w wojsku. Obywatel kapral doniósł o tym swojemu przełożonemu. Żołnierze na tę okoliczność zostali przesłuchani. Pierwsze pytanie dotyczyło tego, dlaczego

nie wykonali rozkazu kaprała „padnij!”. Najczęściej odpowiadali: „Bo była woda”. Przesłuchujący pytali dalej: „– Ile tej wody było?”. I podpowiadali: „– Do kolan, do pasa, czy do szyi?”. Na ogół żołnierze w takiej sytuacji plątali się w odpowiedziach. Byli jednak tacy, którzy precyzowali: „– Dla leżącego człowieka woda była po szyję”. Było to bardzo niewygodna odpowiedź dla przesłuchujących. W końcu z wielkiej chmury był mały deszcz. Sprawa ucichła i podobno obywatele kaprale dostali rozkaz, czy też zalecenie, by nie prowadzić wojska na tę podmokłą łąkę.

W artylerii dużo zajęć odbywało się w salach wykładowych. „Działoczyzny” (obsługa dział) odbywały się najczęściej na placu ćwiczeń na terenie koszar, co było luksusem w stosunku do czołgania się na „łące placu”.

AKUMULATORNIA

Skończył się kurs szoferski. Egzamin z jazdy mieliśmy w nocy. Wszyscy zdali, można powiedzieć, że była to zwykła formalność. Z egzaminami teoretycznymi też nikt nie miał problemów. Otrzymaliśmy wojskowe prawa jazdy i powróciliśmy do macierzystej jednostki. Chłopców przypdzielano do poszczególnych baterii, natomiast kierowcy sztabowi i warsztatowcy (do których i ja należałem) zostali wcieleni do plutonu gospodarczego. Jego dowódcą był starszy ogniomistrz Pazio, wspaniały człowiek, o bardzo dobrym usposobieniu. Nie miał z nami lekkiego życia. Groził nam przy różnych okazjach. Najczęściej mawiał: „Trzy dni mogę, trzy dni dam”. Chodziło o areszt – z racji swojego stanowiska, mógł każdemu z nas wlepić trzy dni paki. Ale ja nie przypominam sobie, by ogniomistrz Pazio kogoś wsadził do pudła, nawet na godzinę.

Zakwaterowano nas na piętrze nad puszkarnią (rusznikarnią) i akumulatornią. Tu spotkaliśmy się ze „starym wojskiem”, również kierowcami. Niektórzy z nich zachowali się normalnie, inni szokowali swoim zachowaniem. Między sobą nazywali nas „rekinami”, czyli rekrutami. Od nich dowiedzieliśmy się, że rekrutami będziemy dotąd, aż przyjdzie następny rocznik. Ta niezbyt przyjemna wiadomość nie zrobiła na nas większego wrażenia, co z kolei nie bardzo się spodobało naszym starszym kolegom. Uznali, że darzymy ich zbyt małym szacunkiem. Nie było jednak jakichś napastliwych zachowań czy aluzji pod naszym adresem, po kilku dniach wszystko się unormowało.

„Po linii zawodowej” podlegałem kpt. Popikowi. Był to bardzo dobry, pracowity człowiek, który sumiennie wykonywał swoje obowiązki i dbał o powierzone mu mienie. Jemu podlegał również warsztat samochodowy. Dobrał sobie chłopaków, dobrych fachowców, którzy robili skomplikowane naprawy, dzięki którym samochody były na chodzie. Samochody, które służyły jako ciągniki, stały w garażach „na kołkach”, używano ich, gdy w ruch szły działa. W tych samochodach dokonywano jedynie napraw doraźnych. Pułk miał na wyposażeniu działa haubice 122 mm i działa przeciwpancerne 76 mm.

Mnie interesowała akumulatornia i stan techniczny akumulatorów (o których przed przyjściem do jednostki nie wiedziałem zupełnie nic) całej jednostki. Wszystkie wiedza, jaką zdobyłem, pochodziła od mojego poprzednika. I choć mogłem już samodzielnie funkcjonować, oceniałem jednak poziom swojej wiedzy krytycznie i zdawałem sobie sprawę z tego, że w tej dziedzinie nie jestem jeszcze fachowcem. Odczuwałem dotkliwie brak literatury, przede wszystkim tej warsztatowej. Życie sprawiło, że musiałem się szybko uczyć – często na błędach – i poznawać akumulatorowe tajemnice.

Stan techniczny akumulatorów jednostki był fatalny. Wiele z nich powinno się zastąpić nowymi, ale nowych nie było. Były to sześciowoltowe akumulatory, bo takie były instalacje elektryczne w samochodach. Każdy taki akumulator miał trzy cele, najczęściej jedna z nich słabła, jej stan techniczny stopniowo pogarszał się i akumulator z czasem stawał się bezużyteczny. Zanim jednak to nastąpiło, wystarczyło go trochę podładować i można było zapalić silnik samochodu. Jeśli ceka w akumulatorze była na tyle słaba, że silnik samochodu nie zaskoczył, to drugi samochód brał go na hol i silnik zapalał. Najczęściej stopień naładowania akumulatora oceniano „na iskrę”. Polegało to na tym, że robiło się krótkotrwałe zwarcie, ocierając dwa przewody o siebie. Nie było to wskazane. Kiedyś podczas takiej próby mogłem stracić wzrok. Ładowałem kilka akumulatorów połączonych w szereg połową prądniczką (nie przypominam sobie wartości napięcia). Po skończeniu ładowania, z nawyku chciałem sprawdzić „na iskrę” stopień naładowania tych akumulatorów. Nie wziąłem pod uwagę, że to nie jest jeden akumulator, lecz kilka połączonych w szereg, więc panuje na nich wyższe napięcie. Podczas zwarcia powstał potężny łuk elektryczny, od którego stopił się zacisk akumulatora, a mnie opalił brwi, rzęsy i włosy

z przodu głowy. Miałem szczęście, że dostatecznie szybko zamknąłem oczy. Przez dłuższą chwilę jednak nic nie widziałem. Koledzy z warsztatu zrobili mi specjalny kokil, umożliwiający odlanie roztopionego zacisku akumulatora.

Gdy pracowałem w akumulatorni, nikt nie kontrolował, ile czasu i kiedy w niej przebywam. Dłuższe przebywanie w tym miejscu było niewskazane ze względów zdrowotnych. Ja byłem zdrowy i nie zastanawiałem się nad sprawą szkodliwości. Udało mi się przy tym w sposób zadawalający wywiązywać z powierzonych obowiązków. Pewnego razu mieszałem kwas siarkowy (którego w odpowiednim stężeniu używa się do akumulatorów) z wodą destylowaną. Zasada jest taka, że kwas leje się cienkim strumieniem do wody. Kwas jest ciężki i osadza się na dnie i tam łączy z wodą, przy czym wydziela się ciepło, więc nie można jednorazowo wlać go zbyt dużo. Ja tej zasady nie przestrzegałem, wlałem jednorazowo za dużo kwasu, dno szklanego pojemnika nagrzało się i naczynie pękło. W wyniku burzliwej reakcji chemicznej powstały żrące opary. Nie byłem na taką ewentualność przygotowany. Nie miałem też dostatecznej ilości wody, żeby wylać ją na podłogę i tym sposobem rozcieńczyć rozlany kwas. Zacząłem wycierać podłogę szmatami, ale one, przeżerane kwasem rozpadały mi się w rękach. Nie miałem przy tym rękawic ochronnych i poparzyłem sobie ręce, które potem długo się goiły, szczególnie przy paznokciach. Kwas powązerał się w deski podłogi, zwłaszcza na ich łączeniach. Zdrapałem przeżartą warstwę, ale smród nie ustąpił. Na placu przy płocie rosły topole, miały krzewiaste odrosty przy ziemi, z mnóstwem liści. Te gałęzie nikomu nie były potrzebne. Obciąłem je i rozesłałem na zniszczonej podłodze. Liście bardzo skutecznie wchłaniały smród.

Wiosną 1949 r. zacząłem się uczyć na całego. Wieczorami przebywałem w akumulatorni. Bardzo mi w tym pomagali koledzy, tłumacząc moją nieobecność w izbie żołnierskiej, gdy zaistniała taka potrzeba. W tym czasie zostaliśmy przekwaterowani.

W pododdziale służyli ludzie z całej Polski. Nie było jednak żadnych „utarczek dzielnicowych”. O Lwowiakach kursował taki żarcik: „Józku, daj wątróbki. – Nie mogę, sama kość”. Zych i Stefan Kłosowski pochodzili gdzieś spod Lipna. Z Wrocławia był Heniu Kawula, kierowca dowódcy pułku, bardzo sympatyczny chłopak. Z Wrocławia był również pełen uroku Stasiu Pich, który urodził się we Lwowie, nie miał jednak lwowskiego czy kresowego akcentu.

Ze Stasiem Pichem łączyła mnie szczególna nić sympatii. Często się zastanawiałem, czym było to spowodowane. Nie mieliśmy wspólnych zainteresowań, czy upodobań. Szczególną sympatią darzyłem ludzi ze wschodnich rubieży Polski, bo to między innymi oni wyzwolili mnie z niemieckiej niewoli. Mówili z akcentem, piękną kresową polszczyzną. Nie tylko to ich cechowało. Był w nich pewien szczególny rodzaj serdeczności, który intuicyjnie wyczuwałem.

NA ROZMINOWYWANIU

Stasiu był kierowcą i jeździł na rozminowywanie. Role tam były podzielone. Nasza jednostka dawała samochód z kierowcą i kilku ludzi do pomocy, natomiast dowódcą ekipy był oficer-saper, który miał do pomocy podoficera, również sapersa. Ekipa nie zdejmowała min z pola minowego, robiły to oddziały saperskie. Saperzy również rozbrajali miny, pociski artyleryjskie, granaty itp., a niewypały zbierała ta jeżdżąca ekipa. Wywozili groźny ładunek w ustronne miejsce i detonowali. Mówiło się, że „robili wybuchy”. Prawidłowo wykonany wybuch polegał na tym, że kopano dół około trzymetrowej głębokości, w którym składano bomby, miny, granaty i inne materiały wybuchowe przeznaczone do zniszczenia. Zakładano kilka kostek trotylu z detonatorem i wyprowadzano lont prochowy na zewnątrz. To wszystko zasypywano ziemią i podpalano lont, który pali się w ziemi i wodzie. Wybuch następował w momencie, gdy płomień dochodził do detonatora. Wybuchowało wszystko, co było przeznaczone do zniszczenia. Niewypały, jako materiał kruszący, wybuchają jednocześnie i eksplodują jeden od drugiego. Bardzo rzadko bywa, że coś nie wybuchnie.

Ekipa Stasia prawidłowo przygotowała wybuch, samochód odjechał na bezpieczną odległość. Wartownicy poszli do lasu i nawoływali, by go opuścić, bo będzie wybuch. Po wybuchu ekipa powróciła na jego miejsce. Kilkanaście metrów dalej leżał ranny człowiek, który w czasie wybuchu odniósł ciężkie rany szyi. Żołnierze opatrzyli go, wzięli na wóz i trzymając na rękach, wieźli do szpitala. Próbowali zatamować krew, ale istniała obawa, że mogą go zadusić. Człowiek zmarł, gdy ujechali kilka kilometrów.

Po powrocie do pułku Stasiu pierwsze kroki skierował do mnie, do akumulatorni. Zaczął bełładnie mówić, że zabił człowieka. Rozplakał się. Oparł się na moim ramieniu i łkał spazmatycznie jak małe

dziecko. Nie był w stanie nic powiedzieć, nic wyjaśnić. Nie wiedziałem, co robić. Wreszcie trochę się uspokoił i zaczął opowiadać.

W czasie przygotowań do wybuchu w lesie był człowiek, który zajmował się robieniem mioteł. Był głuchy, więc nie słyszał ostrzeżeń wartowników. Kiedy wyszedł z lasu, zobaczył rozkopaną ziemię, co go zaintrygowało. W chwili eksplozji był w tak niewielkiej odległości od centrum wybuchu, że ziemia i odłamki poszły nad nim. Niestety nie wszystkie. Skrzynia samochodu i żołnierze trzymający na rękach umierającego człowieka byli zboczeni krwią.

Gdy wreszcie Stasiu się uspokoił, zadałem mu pytanie, czym przyczynił się do śmierci tego człowieka. Znowu zaczął lkać, ale już nie z takim nasileniem. Obwinił się za to, że nie mógł od razu zapalić silnika samochodu. I za to, że za szybko jechał i tym samym przyspieszył wypływanie krwi z ran. Zacząłem mu perswadować, że to nie jego wina, że ma taki marny akumulator w wozie. Gdyby wolniej jechał, podróż trwałaby dłużej i ranny jeszcze bardziej by się wykrwawił. Moje argumenty znacznie go uspokoiły. Dodałem jeszcze, że ja również mógłbym poczuwać się do winy, bo nic nie poradziłem na to, że on miał taki słaby akumulator. Miałem nadzieję, że argumentem o akumulatorze jakoś mu pomogę.

W akumulatorni poniewierały się luzem nowe płyty akumulatorowe, zarówno dodatnie, jak i ujemne. Były też przekładki izolacyjne. Postanowiłem zrobić nowe płyty do zniszczonej celi akumulatora Stasia. W przypadku niepowodzenia miałem całą odpowiedzialność wziąć na siebie, bo byłbym winny rozbebeszenia akumulatora. W wojsku wszystko robi się na rozkaz. Nikogo by nie obchodziło, że akumulator był ruiną. Był jednak cały i można go było ewentualnie wymienić, a w to, że nie było gdzie tego zrobić, też by nikt nie wnikał. Gdy się do niego dotknąłem, w miejscu zniszczonej celi powstała dziura.

Powiedziałem Stasiowi, że będę się starał z tym akumulatorem coś zrobić. Przekazał to dowódcy ekipy i o dzień wcześniej wrócili z rozminowywania. Skompletowałem płytki, przekładki i zabrałem się do roboty. Odciąłem mostek łączący z sąsiednią celą i chciałem wyjąć płytki tej zniszczonej celi. Była tak zużyta, że gdy ją ruszyłem, wszystkie płytki się rozsypały. Zrobiłem potrzebne oprzyrządowanie i zabrałem się do lutowania, co nie było w tym przypadku proste – ołów nie chciał się topić, miałem za małą lutownicę. Gdy udało mi się coś już nadtopić, to bardzo szybko się utleniało i trudno

było połączyć ten element z drugą częścią. Nie miałem odpowiedniego odtleniacza. Byłem w rozpaczliwej sytuacji. Na szczęście miałem bardzo dobrą cynę i spróbowałem tą cyną zlutować ołów. To akurat wychodziło bardzo dobrze. Cyną przylutowałem płytki do mostków. Nie miałem jednak pojęcia, jak będzie się ona zachowywała w elektrolicie – czy go nie zatruje, czy nie będzie się w nim rozpuszczać czy w ogóle akumulator będzie funkcjonował z cyną.

Po włożeniu tych zlutowanych płyt naprzemiennie z izolacyjnymi przekładkami okazało się, że wyszło to nierówno. Zlutowane płyty bardziej wystawały od innych. Nie była to jednak istotna wada – celę udało się uszczelnić smołą i połączyć z sąsiednią zewnętrznym mostkiem, znów lutując ołów cyną. Teraz pozostało tylko zalać celę kwasem, naładować i sprawdzić rezultat. Wszystko to wykonałem, podłączyłem akumulator do prostownika i z duszą na ramieniu czekałem na rezultat. Był nadzwyczajny. Akumulator działał jak nowy. Pozostało tylko sprawdzić, na jak długo starczy. Nie było jednak czasu na zastanawianie się i snucie przypuszczeń.

Stasiu pojechał na dwa tygodnie ze swoją ekipą. Po powrocie znów swoje kroki skierował do akumulatorni. Bez słowa mnie uścił i ucałował, tak po lwowsku. Wyznał mi, że jest najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Po raz pierwszy nie musiał prosić tych swoich „byków”, żeby popchnęli samochód, kiedy silnik nie chciał zapalić. Mówił oczywiście o żołnierzach z jego ekipy. Chcąc zapalić silnik samochodu ze słabym akumulatorem, należało go popchnąć, pociągnąć koniem albo drugim samochodem. W lasach, na bezdrożach pozostawali do pomocy koledzy z ekipy rozminowywania, o których Stasiu tak negatywnie się wyrażał. Stasiu pozbył się też poczucia winy za śmierć głuchego miotlarza. „– Twoje słowa analizowałem wiele razy i wreszcie nabrałem przekonania, że jednak nie przyczyniłem się do śmierci tego człowieka. W końcu doszedłem do wniosku, że nawet słowa księdza nie przekonałyby mnie tak o mojej niewinności, jak twoje”. Stasiu był pewien, że akumulator działa niezawodnie, ja natomiast nabrałem tej pewności dopiero po kilku miesiącach.

Ze Stasiem łączyło mnie coś więcej niż zwykła, bo żołnierska przyjaźń. Nasza przyjaźń została scementowana tragicznymi okolicznościami, które w jakimś stopniu dotknęły nas obu. Byłem szczęśliwy i czułem satysfakcję, że wyszedłem obronną ręką z zawodowej opresji, ale najważniejsze było to, że pomogłem moralnie Stasiowi. Przyjaźń wojskowa ma szczególnie wymiar.

WYJŚCIA

W pierwszym roku służby chodziliśmy do kościoła całą jednostką. Odbywało się to bardzo uroczyście, bo nasz wymarsz był zsynchronizowany z wymarszem pułku piechoty, który miał orkiestrę. Oni z orkiestrą na czele szli ulicą Słowackiego i skręcali w prawo, w ulicę Grunwaldzką. Tam orkiestra zatrzymywała się, grając na poboczu ulicy. Po przejściu ich jednostki szliśmy my, dołączaliśmy do nich, orkiestra grała cały czas. Należy tu dodać, że nie szliśmy sami, bo obok nas chodnikiem szły dziewczyny, które lubiły wojsko. Niektóre z nich pchały przed sobą wózki dziecięce. Chłopcy się podśmiewali, że wózki z dziećmiakami są wypożyczane od starszych siostr, szwagierek lub sąsiadek i służą jako pretekst do spaceru w porze, gdy ulicą idzie wojsko.

W drugim roku służby już nie chodziliśmy do kościoła zbiorowo. Chodziło się grupowo, kto chciał. Przestaliśmy też śpiewać *Rotę* Marii Konopnickiej na pożegnanie dnia. Śpiewu tej pieśni było mi bardzo brak. W tamtych czasach w wojsku dużo chodziło się pieszko, więc także dużo śpiewano. Nigdy nie śpiewałem w żadnym chórze. Nie obraziłbym się też, gdyby ktoś powiedział na mnie „drewniany dzwon”. W wojsku jednak śpiewałem, i to głośno. Śpiewał każdy, razem nam jakoś wychodziło.

Piosenki były różne, powstawały w różnych miejscach i różnym czasie. Jedne mówiły o tęsknocie, patriotyzmie, miłości do ojczyzny, do ziemi ojczystej. Inne były o śmierci, przesycone smutkiem – śpiewało się o kulach, bólu, grobach i krzyżach. Jeszcze inne były frywolne, jak *Kasia Jasia lubiła*. Dużo by o tym pisać. Wspomnę o sposobie śpiewania piosenek marszowych i tym, co z tego wynika. Uważam, że piosenka powinna być tak skomponowana i tak śpiewana, by nie męczyła żołnierza. Dlatego też w czasie śpiewu podczas marszu, dla złapania oddechu robiliśmy krótkie pauzy, mierzone krokami (trzy, cztery kroki) i śpiewaliśmy dalej. Niektóre słowa piosenki przed pauzą były niekończone. Są piosenki, które śpiewa się z pewnym wysiłkiem, inne śpiewa się lekko, niektóre „same się śpiewają”, jak to określił kolega Galan, z którym chodziłem w jednej czwórce. Miał potężny, tubalny głos. Musieliśmy go uciszać, bo jak się szło obok niego, gdy śpiewał, to wierciło w uszach. Z tych piosenek, które „same się śpiewały”, zapamiętałem tylko dwie. Jedna była o żołnierzach z cytadeli, którzy przygotowywali się do boju: *Czemuż, ach czemuż na cytadeli ruch jest*

tak wielki... Druga – *Artylerzyści, kraj nam rozkaz dał...* – była tłumaczona z rosyjskiego.

Gdy byłem w wojsku umarła moja babka. Zostałem o tym zawiadomiony telegramem i zwróciłem się do przełożonego o urlop, żebym mógł pojechać na pogrzeb. Odpowiedź była negatywna. Komentarz był taki – babka, to nie rodzina. Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że żołnierz w Związku Radzieckim służy pięć lat i na żadne urlopy nie jeździ, nie wychodzi nawet na przepustki (Związek Radziecki przytaczano nam jako wzór przy każdej okazji). To samo powtórzył na zajęciach politruk i na wszelki wypadek zanotował sobie nazwisko jednego z aktywnych dyskutantów, który popełnił ten błąd, że powołał się na Wojsko Polskie przed 1939 r., w którym żołnierze łatwiej mogli korzystać z urlopów i przepustek. Taki przykład nie był wskazany. Teraz należało się wzorować na ZSRS.

Brak przepustek powodował, że wychodziliśmy samowolnie. Nie było na to sposobu. Co prawda byli „łapacze” z Komendy Miasta wyłapujący takich delikwentów bez przepustek, ale i z tym można było sobie poradzić. Jeżeli z daleka zauważyło się trzech żołnierzy idących wolnym krokiem, to było wiadomo, że są to „łapacze”. Należało zrobić w tył zwrot albo zakamarkami, które żołnierze znali, przejść na sąsiednią ulicę.

Kiedyś jechaliśmy na wartę garnizonową do fortów w Gdańsku Głównym, gdy „łapacze” w tym samym tramwaju osaczyli czterech żołnierzy bez przepustek i na najbliższym przystanku chcieli z nimi wysiąść. Porozumieliśmy się z nimi wzrokiem i otworzyliśmy z zaczepek przednie lewe drzwi w tramwaju. W chwili, gdy tramwaj zaczął hamować, drzwi otworzyły się siłą bezwładności i przyłapani chłopcy uciekli. Zrobiliśmy przy tym sztuczny tłok. Dodatkowo sprzyjającą okolicznością było to, że między torami tramwajowymi był niezbyt wysoki żywoplot. „Łapacze” zbaranieli. Krzyczeli: „Stój!” – ale to nie pomogło.

W okresie mojej dwuletniej służby funkcjonowały dwa „lewe” wyjścia przez uszkodzony mur. Były w bardzo ustronnych miejscach, ale wiedział o nich każdy, kto chciał wiedzieć. Na rękę szli nam motorniczowie tramwajów – żołnierz, który wyszedł bez przepustki „lewym” wyjściem, powinien z tego miejsca jak najszybciej zniknąć. Na ogół, gdy kiwnięciem ręki dało się znak motorniczemu, zwalniał i można było wskoczyć w bieżący. Wskakiwaliśmy do drugiego wozu, na ostatni pomost. Pewnego razu, choć tramwaj nie

jechał szybko, tramwajarz, kiedy go poprosiłem gestem, nie przyhamował, wręcz przeciwnie, zaczął przyspieszać. Nie było zatem czasu na czekanie na ostatni pomost. Spróbowałem wskoczyć do drugiego wozu na przedni pomost i tu popełniłem fatalny błąd. Kiedy chwyciłem za klamkę, drzwi zwolnione z zaczepu zaczęły się zamykać. Nie miałem więc na czym stać i wisiałem na jednej ręce. W końcu odpadłem na jezdnię. Na bruku pokancerowałem sobie kolana, dłonie i łokcie. Miałem i tak dużo szczęścia, ponieważ ochroniłem twarz i głowę.

MIĘDZY CYWILAMI

Na ogół w tamtym czasie i w tamtym terenie ludzie odnosili się do wojaków nawet z sympatią. Bywały jednak osoby, które przejawiały wobec nas nieskrywaną wrogość. Kiedyś byłem na wykładzie z rysunku technicznego w Gdańskich Technicznych Zakładach Naukowych. Kiedy wszedł wykładowca, od razu mnie zauważył, byłem w mundurze: „– A ty skąd się tu wziąłeś?!”. Wykonywaliśmy rysunek pogładowy. Należało narysować bez pomocy liniału optyczną zbieżność szyn toru kolejowego. Położyłem głowę na ławce i wykropkowywałem przebieg jednej i drugiej szyny. Takie patrzenie nisko nad kartką papieru umożliwia ułożenie kropek w prostą linię. Po zebraniu kartek wykładowca zwrócił uwagę na mój rysunek i orzekł, że używałem liniału. Siedzący obok mnie zaprzeczyli temu, nieprzekonany wykładowca nazwał mnie jednak oszustem. Jeden z kolegów zaproponował, żebym narysował coś na tablicy. Wykładowca polecił mi narysowanie perspektywy ulicy z jezdnią, chodnikami i budynkami. Cała klasa zamilkła, wszyscy czekali w napięciu. Skupiłem się, uruchomiłem wyobraźnię przestrzenną i zacząłem rysować. Po zrobieniu kilku zasadniczych linii, które wyszły mi nadzwyczaj prosto, przy czym zachowałem proporcje, zaczęła wyłaniać się perspektywa tej ulicy. Klasa odetchnęła z ulgą, a wykładowca wyszedł bez słowa. Blandziński, jeden z kolegów, powiedział mi do ucha, że wykładowca był widocznie w Wafen SS i z tego okresu razi go widok polskiego munduru.

Blandziński był wysokim blondynem i miał nieco niższego od siebie kolegę o ciemnej karnacji. Obaj mieszkali w Nowym Porcie, gdzie dojeżdżali tramwajem „trójką”. Z reguły do tramwaju wsiadali w biegu na zakręcie, popisując się szybkością i zręcznością. Z Blandzińskim bardzo się zaprzyjaźniłem. Pewnego razu na lekcji języka

rosyjskiego nauczycielka dopatrzyła się w dzienniku mojego nazwiska, które znalazło się tam przez przypadek (na wykłady chodziłem jako wolny słuchacz) i spytała, kto to taki ten Urbaniak. Blandziński odpowiedział, że to jest generał. Pani odpowiedziała: „– Czort z gienierałom”, ale po jakimś czasie, kiedy już zapomniała o generale, wywołała mnie do odpowiedzi. Była to starsza pani, która miała bardzo słaby wzrok. Widziała na dwa, trzy metry i ze słuchem też nie było najlepiej. Blandziński wpadł na niecny pomysł, żeby założyć mój mundur i iść za mną do odpowiedzi. Zanim się zorientowałem, o co chodzi, Blandziński odpiął mi pas i ściągnął ze mnie mundur. Wciągnął go na siebie, założył pas i był podobny do żołnierza, choć mundur był na niego za krótki. Pani spojrzała na niego: „– Sołdat?”. Kolega potwierdził. Zadała mu kilka pytań i dostałem piątkę. Wszyscy byli ubawieni, tylko ja czułem się nieswojo, ponieważ zakpiłiśmy sobie ze starszej osoby. Wypadało mi jednak grać ze wszystkimi.

Kiedyś wojacy jechali samochodem i w chłodnicy zagotowała im się woda. Tak się złożyło, że przejeżdżał chłop z beczką wody na wozie. Poprosili go o wiadro wody. „– Nyma dla was woda”. Chłopcy sami sobie wzięli wiadro wody, resztę z beczki wylali, żeby pokazać, ile jej było.

Innym razem chłopcy z rozminowania poszli do gospodarza na kwaterę. Mieli apetyt na coś gotowanego, bo już ponad dziesięć dni nie mieli gotowanej stawy w ustach. Poprosili gospodynię, żeby im coś ugotowała. Pani na to, że nie jest służącą i nie będzie dla wojaka gotować. Chłopcy zdjęli z samochodu przeciwpancerną minę talerzową i ukryli w krzakach koło domu. Zameldowali dowódcy ekipy, że w czasie przeszukiwania obiektów mieszkalnych stwierdzili, że dom jest zaminowany i będzie go trzeba wysadzić w powietrze, ponieważ miny się nie da rozbroić. Meldunek złożony był tak, by słyszeli go domownicy. Atmosfera nagle się zmieniła. Pani domu nagotowała zupy z „wkładem mięsnym”. Nawet córki gospodarza przestały udawać hrabianki, zaczęły się do żołnierzy uśmiechać i częstować ich mlekiem. Rano któryś z nich wziął minę za uchwyt, wrzucił na samochód i pojechali dalej.

Można się zastanawiać, czyja nikczemność była większa, gospodyni czy żołnierzy. Żołnierze postąpili podle, strasząc gospodarzy, że wysadzą im dom w powietrze. Byli jednak spragnieni gotowanej stawy, choćby ciepłej lury ugotowanej na kościach czy mlecznej zupiny. Przekroczyli jednak granice przyzwoitości, o ile można tu-

taj o czymś takim mówić. Posłużyli się swoją bronią, ponieważ na co dzień parali się wysadzaniem w powietrze niewypałów. Bardzo łatwo im było przekroczyć granice zdrowego rozsądku, chociaż nikomu z nich nie przyszło do głowy, żeby naprawdę wysadzać komuś dom za to, że nie chciał ugotować im zupy.

Nie wiadomo, jakimi pobudkami kierowała się gospodyni, być może czuła większy sentyment do mundurów znaczonych swastyką hitlerowską, ale noszący je żołnierze już bezpowrotnie odeszli. A żołnierze z orzełkami piastowskimi na czapkach, którzy przyszli na kwaterę, zwiastowali lepsze, spokojniejsze jutro. Oczyszczali ich pola i zabudowania z groźnych niewypałów, a ona tym ludziom skąpiła mleka i jakichś innych produktów, których miała pod dostatkiem. Rolnikom na tych terenach wiodło się w tym czasie bardzo dobrze. Mieli zamożne gospodarstwa, ziemia była urodzajna.

ARESZT

Stosunki z przełożonymi układały mi się dobrze. Któregoś dnia wystąpił jednak w nich poważny zgrzyt. Na terenie parku samochodowego była jakaś kontrola, o czym nie wiedziałem. Kontrolerzy zajrzeli również do akumulatorni, gdzie na ogół było wszystko w porządku, ale w szafce, do której zajrzał pan pułkownik, był bałagan. Były tam szmaty do wycierania brudów (których nie miałem gdzie trzymać) i jeszcze coś nieregulaminowego. Mój przełożony, kpt. Popik, dostał za to niezłą reprimendę. Kiedy zjawiłem się w akumulatorni, przełożony całą swoją złość wylał na mnie. Należało położyć uszy po sobie, wysłuchać wszystkiego i byłoby w porządku. Tymczasem ja zacząłem się mądrzyć. Wyraziłem zdziwienie, że pułkownik szukał czegoś w szafce, a raczej powinien zainteresować się jakością akumulatorów. Powiedziałem to trochę niewłaściwym tonem, co bardzo poirytowało mojego przełożonego. Kapitan postawił mi zarzut, że nie pomalowałem bakelitowych skrzynek starych, zużytych akumulatorów. Ja na to powiedziałem, że te akumulatory są bezużyteczne i nie powinny być malowane. To go zdenerwowało jeszcze bardziej. Nie chodziło o techniczną ocenę tych akumulatorów, ale o to, że miały być po prostu pomalowane.

Kapitan uznał, że za moje mędrkowanie powinienem iść do paki. Dostałem trzy dni zwykłego aresztu. W nocy spałem w areszcie, a w dzień wyciągano mnie z tej paki do akumulatorni, ponieważ byłem tam potrzebny.

Na ogół jednak wszystko układało się nieźle. Dużo się uczyłem, przesiadując w akumulatorni. Znowu zaczął mnie prześladować „syndrom Brzostowa”. Wydawało mi się, że za mało się uczę i za mało umiem, niemniej ze wszystkim sobie jakoś radziłem. Nic nie zwiastowało katastrofy, która niebawem nastąpiła.

W plutonie gospodarczym, w którym się znajdowałem, nie było możliwości zebrania wszystkich żołnierzy i zaprowadzenia do łaźni, ponieważ każdy miał jakąś funkcję, nie wszyscy w tym samym czasie byli na miejscu. Otrzymywaliśmy czystą bieliznę i każdy szedł do łaźni indywidualnie. W praktyce wyglądało to tak, że dołączaliśmy do jakiegoś pododdziału, który szedł do łaźni, znajdującej się na zewnątrz jednostki. Po rozebraniu się znów dołączaliśmy do jakiegoś pododdziału i szliśmy pod prysznic. To się nie spodobało kapralowi, z którego pododdziałem chciałem wejść pod prysznic. Kiedy byłem na pół rozebrany, podszedł do mnie i w arogancki sposób powiedział, że mam się wynosić, bo jeszcze co ukradnę. Ja na to, że nie jestem złodziejem, chcę się tylko umyć. Wywiązała się „dyskusja”. Facet bezceremonialnie złapał mnie oburącz z przodu za koszulę i z fasonem, na oczach swoich elewów, chciał mnie wyrzucić. Był to pododdział szkolny. Pech chciał, że obsunęła mu się ręka i (co prawda niechcący) mocno uderzył mnie w szczękę. Uznałem, że zrobił to celowo. Dotychczas panowałem nad sobą. Spytałem go, czy w wojsku wolno bić. On mi bez zastanowienia odpowiedział: „– Takiego szczura jak ty wolno”. Zawrzała we mnie krew, przez moment wydawało mi się, że to on jest wielkim szczurem. Miałem też okropne wspomnienia z okresu okupacji (gdy byłem niemieckim parobkiem i mieszkalem w stajni, pogryzł mnie szczur). „– Jeżeli tobie wolno bić, to i mnie też wolno!”. I przyłożyłem mu z lewej i prawej. Poleciała mu obficie krew z nosa, usmarkał się, koszula zafarbowwała mu się do pasa. Wyglądał żałośnie. Po raz pierwszy od kilku miesięcy bydlę przestało ryć: „– Na korytarzu zbiórka i w tył rozejść się!”.

Zostałem wyluskany z pododdziału, z którym wracałem. Nie było to trudne, znajdowałem się w ostatniej czwórce. Wsadzili mnie do paki i czekałem na dowódcę pułku. W tym czasie przyszedł do mnie przełożony poszkodowanego kaprała, kpt. S. i powiedział, że jeżeli ja nie wyląduję w kryminale, to on nie zostanie w tej jednostce. W tamtych czasach panowała (na wzór sowiecki) moda, że za byle co wsadzano do więzienia. Uderzenie starszego stopniem nie było „byle czym”, więc liczyłem się z najgorszym.

Był 31 grudnia 1949 r. Dowódca pułku, ppłk Rutkowski, przyjechał o dziewiątej wieczorem. Zostałem niezwłocznie zaprowadzony do sztabu. Zrobili ze mnie wielkiego przestępcę. Prowadziło mnie dwóch wartowników „na ostro”, po sowiecku.

Dowódca pułku spytał mnie, jak to było. Przedstawiłem mu swoją wersję wydarzeń, dodając, że bardzo mnie dotknęło, gdy nazwał mnie złodziejem, szczurem i niechcący mnie uderzył. Nikomu w życiu nic nie ukradłem, a na dodatek ze szczurami łączą się moje ciężkie wspomnienia. Nie opanowałem się i uderzyłem go. Pułkownik zapytał potem tego kaprała, jak to było i czy potwierdza to, co ja powiedziałem. Zaczął kręcić, ale w ogólnym zarysie potwierdził, że tak było. Dowódca następnie zapytał go, czy pamięta, w jakich okolicznościach się już spotkali. Z trudem przypominał sobie, że w sytuacji, gdy podbierał elewom słoninę. Dowódca powiedział: „– Tak, okradaliście ich kaprała”.

Werdykt dowódcy był dla mnie bardzo korzystny. Dostałem siedem dni aresztu ścisłego, natomiast kaprał pięć dni aresztu zwykłego. Kpt. S., dowódca szkoły, nie zaprotestował i nie odszedł z jednostki.

Odsiadka była bardzo uciążliwa ze względu na warunki, w jakich ją odbywałem. Przede wszystkim było zimno. Piec, zgodnie z przepisami, był obciążony blachą, ale niezależnie od tego, ile się w nim paliło, był tylko lekko ciepły. Stawiał go jakiś żołnierz, który nie porobił w nim odpowiednich kanałów, nie miał pojęcia o piecach. Niezależnie od tego, pomieszczenie, w którym odbywałem karę, po prostu śmierdziało. W podłodze przy ścianach były dziury i kanały powyżerane przez szczury, a jeden z aresztantów podobno w ten sposób demonstrował swoją niewinność, że załatwiał się w te dziury, stąd smród. I choć pomieszczenie było niedogrzone, ze względu na ten smród należało je jeszcze wietrzyć.

Koledzy na noc przynosili mi kupę szmat, które wciągałem na siebie, żeby się nie przeziębć i nie nabawić jakiejs choroby. Rano przychodził oficer pracujący w sztabie, w stopniu kapitana i rozbierał mnie, a szmaty przyniesione na noc odsyłał do pododdziału. Mawiał przy tym, kalecząc polski język: „Chotcie no tu, co wy taki gruby”. Zostawiał mnie tylko w wytartych: kalesonach, spodniach, koszuli i równie wytartym mundurku (w tamtym czasie żołnierze swetrów nie nosili, znaleziony sweter był publicznie na apelu oblewany benzyną i palony, mieliśmy się hartować).

Kapitan ze sztabu nie miał rozkazu mnie rozbierać. Robił to z własnej inicjatywy, żeby się przypodobać przełożonym. Nikt mu też nie kazał kaleczyć języka polskiego. Robiło tak więcej oficerów. Uważali, że w ten sposób będą szybciej awansować, bo kaleczenie języka było naśladowaniem służących w polskiej armii Sowietów, właściwie nieznających polskiego.

PLUTON DOWODZENIA

Po wyjściu z pułdu akumulatornię przekazałem żołnierzowi z młodszego rocznika. Ja natomiast zostałem przeniesiony do plutonu dowodzenia. Dowódcą plutonu dowodzenia był kpt. Wieczorek – wyjątkowy, bardzo pracowity i dobry człowiek i bardzo dobry oficer. Znał się na ludziach i wiedział, czego od kogo można wymagać.

Pluton dowodzenia stanowił mózg pułku. Ale prawdziwym mózgiem był w nim właśnie kpt. Wieczorek. W plutonie była łączność kablowa, radiowa, zwiad ze swoimi lornetami nożycowymi i peryskopami oraz topograf. Zastanawiałem się, gdzie i jak kapitan znalazł topografa, który podczas strzelania pracował na stoliku artyleryjskim. Stolikiem była deska, taka jak kreślarska, obciążona z jednej strony specjalnym mocnym brystolem, przed założeniem na deskę moczoną w wodzie, by można go było dobrze naciągnąć i by dobrze przylegał do deski. Topograf nanosił na brystol bardzo twardym ołówkiem (typu H, zatemperowany na szpilkę) współrzędne w odpowiedniej skali. Tworzyły one na brystolu kratownicę. Fenomen topografa polegał na tym, że był to człowiek bardzo dokładny i precyzyjny w pracy. Wyniki strzelania zależały właśnie od jego dokładności.

Na stoliku były naniesione stanowiska ogniowe i dwa punkty obserwacyjne, które dysponowały lornetami nożycowymi. Lornety nożycowe miały podziałki katowe. Oba punkty obserwacyjne były na stoliku połączone linią prostą, a w terenie musiały się „widzieć”, ponieważ w ten sposób były ustalane kąty zerowe.

Kiedy ze stanowiska ogniowego został wystrzelony pocisk, to każda lorneta nożycowa widziała jego wybuch pod innym kątem i odczyty tych kątów były podawane na stolik topografowi. Topograf robił pod tymi kątami wcięcia, czyli prowadził linie proste z punktu każdej lornety. W punkcie, w którym przecinały się te dwie proste, znajdowało się miejsce wybuchu wystrzelonego po-

cisku. Dalsza czynność topografa polegała na tym, że stawiał kątomierz w punkcie stanowiska ogniowego i mierzył kąt, pod jakim, względem kierunku zasadniczego, został wystrzelony pocisk. W ten sposób, mierząc kąty i dokonując wcięć, czyli prowadząc linie proste pod odpowiednimi kątami, można korygować ogień. Należało jeszcze uwzględnić odległość, czyli skorygować celownik.

Kątomierz artyleryjski ma na całym obwodzie 6000 podziałek. Ta jedna podziałka nazywa się tysięczną. Jedna tysięczna jest to kąt, pod jakim widzi się jeden metr jakiegoś obiektu w terenie z odległości jednego kilometra. Wynika to z zależności w okręgu koła $2\pi R$. Jeżeli R wynosi jeden kilometr, to obwód koła wynosi w przybliżeniu 6000 metrów (R – promień koła, π – stała liczba 3,14). To, co napisałem, obrazuje, jaką pracę musiał wykonać kpt. Wieczorek, żeby nauczyć tego swoich żołnierzy, a w szczególności topografa pracującego na stoliku. W tamtych czasach, kilka lat po wojnie, przychodzili do wojska ludzie, którzy nie mieli pojęcia, jakie są zależności w kole. I co to są kąty.

W plutonie dowodzenia czułem się bardzo dobrze. Nikt nie robił aluzji do mojej przeszłości. Był to pododdział liniowy z prawdziwego zdarzenia. Odbywaliśmy ćwiczenia według programu, chodziliśmy na wartę, pełniliśmy służby, dużo godzin spędzaliśmy na salach wykładowych. Nikt nie był traktowany źle, nie było kaprałskich wygłupów. Całą atmosferę tworzył dowódca plutonu. Człowiek ten miał uśmiech na twarzy. Często używał powiedzenia „skurwel bosy”, które nie zawierało żadnych złośliwych podtekstów. Nigdy też nie słyszałem, żeby robił żołnierzom jakieś niesłuszne, złośliwe uwagi. Jeżeli musiał zrobić jakąś krytyczną uwagę, czynił to z uśmiechem. Za to wszystko był przez żołnierzy lubiany.

Rząd ogłosił akcję „O”, czyli oszczędzanie. W tym czasie jednostka przygotowywała się do defilady pierwszomajowej. Przygotowanie polegało między innymi na tym, że nad ranem wyjeżdżały ciągniki z działami i przejeżdżały trasę przemarszu defilady, by ustalić tempo przejazdu i przeciwiczyć jazdę parami.

W plutonie na zajęciach politycznych doszło do dyskusji o tym, że w okresie akcji „O” powinno się ograniczyć liczbę próbnych defilad ze względu na zużycie benzyny. Na ten temat wypowiedział się jeden z podoficerów, inny go poparł. Oficer polityczny uznał to za dywersję polityczną i pod tym kątem zaczął sprawę nagłaśniać. Użył przy tym takiego argumentu: „– Wasi ojcowie krew przelewali,

a wy dla uczczenia tego wielkiego święta żałujecie paru litrów benzyny?”. Zawiadomił sztab pułku i w tej sprawie przyszło do plutonu chyba trzech oficerów i jacyś podoficerowie (między innymi przyszedł ten kapitan, który mnie tak gorliwie rozbierał, kiedy siedziałem zimą w areszcie) i szef sztabu pułku w stopniu majora, bardzo upolityczniony. Nie sądziłem, że z takiego głupstwa można zrobić problem wielkiej wagi.

INFORMACJA I NKWD

Zacząłem jednak dostrzegać realne niebezpieczeństwo, które zawisło nad chłopakami i chciałem ich bronić. Poprosiłem o głos. Zacząłem od tego, że to są chłopaki ze wsi, gdzie często ambicja bierze górę nad zdrowym rozsądkiem, a później fałszywy honor nie pozwala się wycofać. Linia obrony, jaką przyjąłem, okazała się niezła. Major, szef sztabu pułku, zastanowił się chwilę i zadał chłopakom pytanie, czy jest tak, jak mówi Urbaniak. Obaj odpowiedzieli, że nie, że jest tak, jak oni mówią. Jeżeli jest akcja „O”, to wszystkich obowiązuje oszczędzanie, wojsko również.

Gdyby powiedzieli, że się pomylili i teraz dostrzegli swoje błędy, nie musieliby nawet specjalnie się korzyć. Dodaliby do tego jeszcze kilka socjalistycznych sloganów i wszystko rozeszłoby się po kościach. Takie były czasy, należało ratować się nawet kłamstwami. Przeciwnik tego wymagał, był zakłamany i obłudny, a przy tym podstępny. Należało walczyć jego bronią.

Zadzwoniono do Informacji Wojskowej, przyjechał samochód i w ciągu godziny chłopaków w pułku już nie było. Jeden nazywał się Jacoszek, nazwiska drugiego nie zapamiętałem. Zostali przewiezieni do prokuratury w Elblągu; jeden dostał cztery lata odsiadki, drugi cztery i pół. Na ich proces jeździło z jednostki w charakterze ławników dwóch zetempowców. Mówili tam to, co im kazano. W wojsku i całej Polsce w przyspieszonym tempie rozwijał się terror stalinowski. Nikt nie był pewien dnia ani godziny.

Po kilku miesiącach zadzwonili ze sztabu pułku, że nasz pluton ma przysłać dwóch zdecydowanych, dobrze strzelających żołnierzy. Jeden ma mieć pistolet maszynowy (pepeszę) z odpowiednim zapasem amunicji, drugi – karabin, także z amunicją zapasową. W sztabie było już dwóch oficerów z krótką bronią, również z zapasem amunicji. Z tymi czterema uzbrojonymi ludźmi miał odprawę dowódca pułku. Oświadczył, że będą sanitarką konwojować do elbląskiej pro-

kuratury dwóch przestępców. W razie próby ucieczki mają użyć broni. Nie wolno im rozmawiać z przestępcami, są to oficerowie.

Okazało się, że jeden z konwojowanych jest oficerem politycznym, który przyczynił się do wsadzenia do więzienia naszych kolegów z plutonu, Jacoszka i tego drugiego. Z monologu, który wygłaszał ten konwojowany oficer, wynikało, że ma on wyrzuty sumienia. Był przekonany, że gdyby nie było tamtej sprawy, to on by w tej chwili nie siedział w sanitarce. „– Ukarał mnie los”. Z jego dalszych wywodów wynikało, że tamci dwaj byli niewinni. Przyczynił się do ich uwięzienia, ponieważ chciał się wybić. Złapano go wraz z kompanem po tym, jak w mieście po pijanemu zrobili awanturę, użyli broni, rozbili duże okno wystawowe. Byli świadkowie całego zajścia.

Nigdy się nie dowiedziałem, ile odsiadki dostali ci dwaj. Gdyby dowódca pułku nie podjął decyzji o dostarczeniu ich do prokuratury, tylko by zawiadomił Informację Wojskową, to niewątpliwie jedne drzwi by za nimi zamknęli, a drugie przed nimi otworzyli. Poznaliśmy się nawzajem po zapachu.

Mam wątpliwości, czy oni mieli kiedykolwiek proces. Byli po prostu władzy potrzebni, takich ludzi należało nagradzać, a nie karać. Jeden miał zasługi – przecież za jego sprawą poszło na kilka lat do więzienia dwóch „dywersantów politycznych”. Obaj byli oficerami politycznymi, a więc stanowili kręgosłup armii, ich zadaniem było wpajać żołnierzom, żeby na czarne mówili białe, i na odwrót. Pewnie żyli w ciągłym stresie, pilnując, żeby z ich ust nie padły słowa prawdy, bo to zwichnęłoby ich karierę. Przy „dobrej woli” łatwo można było ich wybronić. Zrozumiałe, że tak zapracowanym ludziom należała się jakaś rozrywka. Zrobili sobie pieriestrielkę, wzorem oficerów „bratniej armii”, co przecież nie było niczym zdrożnym. A że przy tej okazji wybili okno wystawowe, to mógł być zwykły przypadek. Być może szyba była już wcześniej pęknięta i wyleciała sama. W tamtej rzeczywistości należało takich oficerów raczej awansować albo przynajmniej nagrodzić i wysłać do innej jednostki. Ci herosi socjalizmu byli potrzebni wszędzie. Wszędzie była „dywersja ideologiczna”. Wszędzie czaił się „wróg klasowy”, którego należało dekonspirować i wsadzać do więzienia.

W jednostce był oficer informacyjny. Nie dysponuję i nigdy nie dysponowałem jakimikolwiek informacjami na temat tej służby. Myślę, że nawet w archiwach wojskowych na ten temat jest niewiele (podobno te służby podlegały bezpośrednio Sowietom i NKWD).

Nic mi też nie wiadomo o losach ludzi, którzy wpadli w ręce tych służb. NKWD inwigilowało kadrę oficerską.

W naszej jednostce oficerowie informacyjni byli w stopniu podporucznika. W czasie mojej dwuletniej służby funkcję tę pełniło po kolei dwóch ludzi, chyba często ich zmieniano. Prawie nic nie było wiadomo o tych indywidualiach.

O jednym z tych oficerów miałem na poligonie trochę informacji od jego „fajfusa”, który był w moim plutonie. „Fajfusem” określaliśmy niemianowanego ordynansa, oficjalnie ich w LWP nie było. Był nim chłopak pochodzący z Łodzi, swego rodzaju oryginał. Mówiono o nim, że jest to „sofer, bokser, ksiądz amator”. Na dodatek, nieźle grał na akordeonie. Takiego właśnie człowieka potrzebował oficer informacyjny.

Bardzo lubiłem tego chłopaka. Miał w sobie coś takiego, że jego urokowi nie można było się oprzeć. Beztraska, z jaką podchodził do życia, była rozbrajająca. Przy tym był trochę łobuzowaty. W Łodzi grywał na zabawach. Kiedy nad ranem wraz z kompanami wracał z takiej zabawy i ludzie jeszcze byli pogrążeni w głębokim śnie, to cisza ulicy prowokowała, żeby ją przerwać. Wyciągał akordeon i przy jego akompaniamencie intonowali: „jaaa... dla cukier z cukierniczki, z cukierniczki...”. Oczywiście natychmiast otwierały się okna, ludzie posyłali pod ich adresem przekleństwa i rzucali w nich kawałami węgla. Oni „zwijali się”, by nie dostać lania i szli dalej.

Oficer informacyjny również był oryginałem, o czym przede wszystkim świadczył jego sposób bycia. Kiedy szedł przez teren obozu, czapkę wciskał głęboko na głowę i spod daszka obserwował otoczenie. Honor oddawali mu nawet starsi stopniem oficerowie. On natomiast odpowiadał im „z łaski”, ociężałe podnosząc rękę do daszka. Było to pożałowania godne widowisko. Ten człowiek z jedną gwiazdką mógł zwichnąć karierę każdego z nich.

Nie podlegał dowódcy pułku. Jeżeli chciał, brał jego samochód i jechał, gdzie tylko potrzebował. Najczęściej na panienki. Przed takim wypadem jego „fajfus” pobierał z magazynu spirytus, rozcieńczyli go, robili z niego wódkę i jechali. Pomocnik brał oczywiście ze sobą akordeon i przygrywał swojemu mocodawcy. Po nocnej libacji chłopak wysypiał się, ile chciał. Nikt nie odważył się mu w tym przeszkadzać, bo wiadomo było, komu służył.

Ktoregoś dnia zwrócił się do mnie pewien oficer w stopniu kapitana i polecił, żebym poszedł do niego do domu i poprawił kontakt elek-

tryczny, narąbał drzewa na opał i wykonał jeszcze „jakąś” czynność na polecenie żony. Oficer ten nie był moim bezpośrednim przełożonym, ale łączyła nas pewna zależność służbowa. Dostałem karteczkę z adresem mieszkania, zawiadomiłem dowódcę plutonu i poszedłem.

Otworzyła mi pani średniego wzrostu, po trzydziestce, bardzo ciemnej karnacji. Już na progu mieszkania niezbyt sympatycznie mnie przyjęła. Bez żadnych wstępów przystąpiłem do rzeczy i zapytałem, gdzie jest obluźowany kontakt, siekiera i drzewo do rąbania. Pani spojrzała na mnie z pewną złością i powiedziała, żebym nie udawał głupca, który nie wie, o co chodzi. Kazała mi wziąć ze stołu pokazny słoć, pieniądze i iść do sklepu po kapustę. Zatkąło mnie, stanąłem w miejscu bez ruchu. Pani odczekała chwilę i powtórzyła swoje polecenie ostrzejszym tonem. Wreszcie zbliżyła się do mnie tak blisko, że nasze twarze znalazły się od siebie nie dalej niż piętnaście centymetrów i podniesionym głosem zapytała: „– Idziesz po kapustę, czy nie?!”. Czekałem, kiedy mnie uderzy. Nie zrobiła tego, choć byłem na tę ewentualność przygotowany. Teraz moja wściekłość doszła do zenitu. Damie oświadczyłem kategorycznie, że nawet gdyby mnie razem z mężem mieli porąbać na kawałki, to po tę cholerną kapustę nie pójdę. Na „fajfusa” się nie nadawałem. Dama złapała za słuchawkę telefonu i zadzwoniła do męża. „– Kogoś ty mi przysłał?! Nie chce iść po kapustę!”. Przejąłem od niej słuchawkę. Kapitan powiedział, że mam wrócić do koszar. Po powrocie spotkałem go niedaleko wartowni. Powiedział mi krótko: „– Będziesz tego żałował!”. A jednak ta historia nie miała dalszych reperkusji.

W koszarach trochę ochłonałem. Przypomniałem sobie, że w domu kapitana była trójka małych dzieci, z których jedno siedziało na nocniku, a drugie robiło kupę na gazetę. Zapach panujący w tym mieszkaniu nie należał do przyjemnych. Koło stołu leżała sterta pieluch, która swoją wysokością sięgała blatu stołu. Przypuszczam, że po przyniesieniu kapusty zostałem zagoniony do prania tych pieluch. Niemniej pani kapitanowa swoim zachowaniem przypominała najlepszy wzór dziewczyny spod koszar.

W JELITKOWIE

W plutonie panowała dobra atmosfera. Starąłem się sumiennie wywiązywać ze swoich obowiązków. Na poligonie byłem w drużynie, która brała udział w zawodach polegających na tym, że rozwinęliśmy jednokablową linię telefoniczną na odległość dwudziestu

siedmiu kilometrów. Były dwie drużyny, chodziło o to, która pierwsza rozwinie linię i nawiąże łączność. Trasy rozwijania linii były oczywiście różne. My rozwinęliśmy ją pierwsi, ale nie nawiązaliśmy łączności, ponieważ mieliśmy wadliwy telefon (używaliśmy starych aparatów, które przeszły front).

Czasami odwiedzał mnie Stasiu Pich. Akumulator jego samochodu funkcjonował w dalszym ciągu znakomicie. Któregoś razu wspominaliśmy, jak pojechałem z nimi na wykonanie wybuchu. Można powiedzieć, że było to nietypowe zlecenie, należało je wykonać na miejscu, między wyjazdami w teren. Była sobota, piękny letni dzień, a my pojechaliliśmy do Gdańska w kilka miejsc i uzbieraliśmy pełen samochód niewypałów. Dzisiaj może to szokować, ale w tamtych czasach żołnierze siedzieli w skrzyni wozu na tych niewypałach, między którymi było kilka bomb lotniczych. Zabraliśmy też jakieś niewypały z piwnicy kościoła mieszczącego się naprzeciw Dworca Głównego w Gdańsku. Ksiądz w podzięcie zafundował nam – żołnierzom – po piwie. Zawsze, gdy jestem przed dworcem w Gdańsku, patrzę na ten kościół i przypominają mi się tamte piękne, letnie dni.

Niewypały zawieźliśmy do Jelitkowa, na plażę, gdzie częściowo w wodzie, a częściowo na lądzie leżał wrak jakiegoś statku. Chłopa-ki zataszczyli te niewypały do wody za dziób wraku. Było tego sporo, według prowizorycznych obliczeń około tony. Plaża była pełna ludzi. Wzdłuż brzegu poszli wartownicy i zawiadamiali, że należy opuszczać plażę, bo będzie wybuch. Część ludzi zaczęła schodzić z plaży, ale część leżała dalej. Zaczęli ją gwałtownie opuszczać dopiero po tym, kiedy saper zrobił ostrzegawczy wybuch z kilku kostek trotylu, które rzucił na wrak statku. Huk wybuchu spotęgowały blachy wraku. Przez wiele tygodni miałem przed oczami widok młodej kobiety, która uciekała z plaży z dwójką małych dzieci – mniejsze ciągnęła po ziemi na kocu, starsze trzymała za rączkę. Tak przerażone oczy, jakie miała ta kobieta, widziałem w życiu tylko raz, właśnie wtedy.

Odjechaliśmy samochodem około półtora kilometra i przez szkła obserwowaliśmy miejsce wybuchu. W górę poszedł gejzer, który wyglądał jak smukła topola, co charakteryzuje wybuchy robione w płytkiej wodzie. Na moment ta czarna fontanna zatrzymała się i zaczęła opadać. Rozrzut odłamków był chyba mały – gejzer poszedł pionowo, a wybuch był wykonany za wrakiem statku. Przez lornetkę obserwowałem kilku chłopców, którzy schowali się w niedalekim schronie, żeby widzieć wszystko z bliska. Gdy nastąpił wybuch i zakołysała

się ziemia, przerażeni wyskoczyli ze swego ukrycia i zaczęli uciekać. Można by mieć pretensje do wojaków za bezmyślność i wykonanie wybuchu w tym miejscu. Było to jednak ustronne miejsce na dzikiej plaży, trudno było w tym rejonie znaleźć dogodniejsze. Pech chciał, że była piękna pogoda i plaża się zaludniła.

(Kilka lat temu, chyba w roku 2000 pojechałem z żoną do Gdańska. Żona źle się poczuła, zatrzymaliśmy się w niedozwolonym miejscu przed Dworcem Głównym, dosłownie na kilka minut. Żona się nagle oddaliła i poszła do apteki, ja odszedłem na chwilkę od samochodu, ale to wystarczyło, by przy samochodzie zjawili się dwóch młodych policjantów. Gdy powiedziałem, że jestem jego właścicielem, usłyszałem listę wykroczeń, za którą grozi mi odebranie prawa jazdy. Nie miałem właściwie nic na swoją obronę. Coś tłumaczyłem i nagle wzrok mój padł na tak dobrze mi znany kościół stojący w oddali, naprzeciw dworca. Przypomniałem sobie wybuch, uciekającą kobietę i strach w jej oczach. Urwałem w pół zdania, nie mogłem uporać się z tymi wspomnieniami. Zaniepokojony policjant zapytał, co się stało. W pierwszej chwili miałem mu powiedzieć, ale jednak tego nie zrobiłem. Nie miałem ochoty przywoływać tamtych czasów, kiedy już po wojnie ginęło tylu ludzi od niewypałów i na polach minowych, które pozarastały już trawą. Policjanci odstąpili od swoich czynności. Wróciła żona i pojechaliliśmy dalej. Pogoda była tak piękna, jak wtedy w Jelitkowie).

Z materiałami wybuchowymi byliśmy oswojeni, wtedy nie budziły one w nas przesadnie wielkiej ostrożności. Któregoś razu byłem na warcie i stałem przy działowniach. Akurat przyjechała z rozminowywania, po dwóch tygodniach pobytu w terenie, ekipa Stasia Picha. Ucieszyliśmy się ze spotkania. Chłopcy przywieźli proch w laskach, co było pewną nowością. Wyglądały jak trzcina rosnąca nad jeziorami, pocięta na trzydziestocentymetrowe kawałki, o grubości około sześciu milimetrów, z otworem w środku. Laski paliły się jak słoma. Chłopcy zapalali je z jednego końca, wkładali w piach i przydeptywali nogą, a wówczas zapalona laska zachowywała się tak, jakby miała napęd odrzutowy. Do wdepniętej w piach laski powietrze z zewnątrz miało dostęp tylko przez ten otwór. Ciąg był bardzo mocny i kiedy ją uwalniano spod nogi, laska zaczynała się poruszać, wykonując najróżniejsze, nieprzewidziane, kilkumetrowe skoki. Zabawa skończyła się, gdy chłopcy zapalili kolejną laskę, która po którymś skoku „wskoczyła” uchylonymi drzwiczkami na górę nad

działownię. Ogarnęło mnie przerażenie, że może spowodować pożar. Należało dostać się do tego pomieszczenia. Pod ścianą działowni leżała dosyć długa deska. Postawiłem ją z i wielkim wysiłkiem dostałem się po niej na górę. Karabin zostawiłem kolegom. Nie dostrzegłem jednak śladu ognia – proch się spalił bez żadnych następstw. Pozostał tylko ostry zapach. Byłem na warcie, wartownikowi nie wolno było wdawać się w dyskusje z osobami postronnymi. Trudno sobie wyobrazić, jakie by były następstwa, gdyby doszło do pożaru. Wkrótce cała wesoła gromadka się rozplynęła.

Proch chłopcy pozyskiwali z naboju artyleryjskich. W artylerii lufowej stosowany był proch wolnego i szybkiego spalania, zależnie od tego, czy dział miało krótką, czy też długą lufę. Najwolniej spala się laska prochu, która nie ma w środku otworu, najszybciej spala się proch w laskach parocentymetrowej długości z kilkoma czy kilkunastoma bardzo małymi otworkami. Dzięki nim powierzchnia spalania jest duża i powiększa się. Jest to tzw. spalanie ekstensywne. Ten proch stosowany jest w działach krótkolufowych.

OFICEROWIE

Zawód oficera w wojsku, a w szczególności w artylerii, jest specyficzny. Nie każdy może być dobrym oficerem. Jest prawdą, że oficerem trzeba się urodzić. Oprócz posiadania cech dowódczych trzeba być pedagogiem, żeby sobie wyszkolić ludzi i mieć przy tym dużo cierpliwości i wyrozumiałości względem podwładnych. Ludzi należy traktować poważnie, ale z pewną dozą humoru, jak to robił kpt. Wieczorek, który cieszył się wielkim autorytetem wśród podwładnych, a przy tym nienagannie wykonywał swoje obowiązki.

Wśród oficerów wyróżniał się także osobowością ppłk Rutkowski, dowódca pułku. Człowieka tego poznałem bliżej w koszarach i na punktach obserwacyjnych w czasie ostrych strzelań artyleryjskich na poligonie drawskim. Były tam dwa telefony i każdy telefonista miał obowiązek przez cały czas trzymać słuchawkę przy uchu, ponieważ nie wolno było używać dzwonek. Jedno połączenie było z komendą poligonu, drugie ze stanowiskami ogniowymi. Siedziałem więc w okopie w miejscu przeznaczonym dla telefonisty, ze słuchawką przy uchu i mimo woli słuchałem rozmów między oficerami, w tym również rozmów ppłk. Rutkowskiego.

Dowódca pułku zawsze na punkcie obserwacyjnym był dużo wcześniej niż wynikało to z potrzeby. Jego uwagi dotyczące pew-

nych nieprawidłowości na punkcie były wręcz dyskretne. Również rozmowy, jakie prowadził przed strzelaniem, nie miały tonu oficjalnego, choć każdy rozmówca był traktowany poważnie, niezależnie od tematu rozmowy. Dowódca wyrażał się ściśle i precyzyjnie.

Tak się złożyło, że poznałem również rodzinę dowódcy pułku, gdy na poligonie zostałem wysłany do drewnianego domku, w którym mieszkał dowódca, żeby wykonać jakąś pracę. Przyjęła mnie bardzo kulturalna pani i wyjaśniła, że chodzi o wykonanie dodatkowego punktu świetlnego. Wskazała miejsce, w którym miałyby się ten punkt znaleźć. Wyjaśniła, że mąż nieraz wraca późno w nocy, a ona na niego czeka i chciałaby mieć możliwość czytania książki. W tym momencie zauważyłem solidny regał z książkami. Bardzo sympatycznie rozmawiało mi się z żoną dowódcy, między innymi na temat książek. Uderzające było to, że mówiąc do mnie, używała formy „pan”. Było to prawie niespotykane, żeby żona oficera zwracała się tak do szeregowca. Tak samo zwracał się do mnie ich synek. Mógł mieć cztery i pół roku. Na ogół dzieci oficerów w tym czasie zwracały się do żołnierzy w najlepszym wypadku przez „ty”, albo jeszcze inaczej: „– Ty synu, taki owaki”.

Daleki jestem od tego, by wydawać opinie o oficerach tamtego czasu. Piszę o tym, z czym się zetknąłem, nie uogólniam. Byłoby nietaktem i nieporozumieniem, żeby dzielić oficerów na tych, którzy mieli wykształcenie i tych bez matury. W czasie wojny takich z maturami było bardzo niewiele, a oficerowie musieli być i byli. Wielu oficerów bez matur przewyższało tych z maturą pod względem umiejętności bojowych i waleczności.

Do wojska przychodzą ludzie o bardzo różnym poziomie intelektualnym. Minęły już czasy, kiedy rekruci pierwszy raz w życiu jechali pociągiem i pierwszy raz w życiu wkładali na nogi buty. Byli też tacy, którzy nie wiedzieli, która ręka jest lewa, a która prawa, ale po wyszkoleniu stawali się bardzo dobrymi żołnierzami, o czym mówią kroniki wojenne z 1939 r. Bywa, że od jednego człowieka zależy bardzo wiele – przytomność umysłu może ocalić załogę samolotu, czołgu, czy okrętu, a pomyłka też może kosztować bardzo drogo. Na poligonie drawskim był przypadek, że pewien oficer, bardzo dobry ogniowiec, posłał pocisk w jezioro, które leżało dosyć daleko od kierunku zasadniczego strzelania. Mogę przytoczyć także własne doświadczenie z ostrego strzelania artyleryjskiego.

Byłem telefonistą na punkcie obserwacyjnym. Prowadziliśmy ogień przy pomocy dwubocznej obserwacji. Topograf pracował na stoliku, wyniki przekazywał prowadzącemu strzelanie oficerowi, on telefoniście, czyli mnie, a ja przekazywałem te dane na stanowisko ogniowe. W tej sytuacji słyszałem zarówno to, co przekazywał topograf ze stolika prowadzącemu strzelanie, jak i to, co przekazywano mnie. W pewnej chwili nastąpiło jakieś akustyczne zakłócenie i prowadzący strzelanie popełnił pomyłkę. Nie bardzo wiedziałem, co zrobić w tej sytuacji, wstrzymałem się jednak z przekazaniem mylnych danych na stanowiska ogniowe. Prowadzący strzelanie spojrzał w moim kierunku, bo zauważył, że nie przekazuję komendy dalej. Ja spokojnym głosem poprosiłem o powtórzenie danych. Prowadzący strzelanie poprosił topografa o powtórzenie, potem podał je mnie, a ja na stanowisko ogniowe. Wszystko wypadło dobrze.

Gdyby pomyłka była mała, nikt by się nie dowiedział, że wystąpiła. Gdyby jednak była duża i miała wpływ na przebieg strzelania, konsekwencje z tego powodu poniósłbym osobiście ja, bo prowadziłem zapis każdorazowego przekazywania danych. Zapis taki prowadził także topograf i stanowisko ogniowe. Pomyłkę popełniła osoba, która nie prowadziła zapisu, w rezultacie wystąpiłby różnicę w zapisie moim i topografa. Zapis topografa nie podlegał dyskusji, popełnienie pomyłki przypisano by mnie. Nikomu nie przyszło by do głowy, że błędne dane przekazał mi prowadzący strzelanie.

POWRÓT DO NAUKI

Na poligonie drawskim spotkała mnie miła niespodzianka, zawiadomiono mnie o terminie egzaminu na Dwuletnie Uniwersyteckie Studium Przygotowawcze w Gdańsku Oliwie, na ulicy Polanki. Było to urzeczywistnienie moich skrytych marzeń. Wprawdzie samo wezwanie na egzamin jeszcze nic nie przesądzało, ale łączyłem z tym wielkie nadzieje i wierzyłem, że mi się powiedzie. Ubiegałem się o przyjęcie na drugi rok i takiemu egzaminowi miałem być poddany.

Nie przypominam sobie okoliczności zapisania się do tej dziwnej, socjalistycznej szkoły. Ponieważ zostałem powiadomiony o egzaminie, oznaczało to, że jestem do niej kandydatem. O czekającym mnie egzaminie zawiadomiłem dowódcę plutonu i uzyskałem zapewnienie, że będę mógł na niego pojechać. Gdyby mi się po-

wiodło, mógłbym za rok zostać studentem politechniki. Odpierałem te natrętne myśli, żeby nie zapeszyć sprawy. Wciąż zastanawiałem się, czy postąpiłem słusznie, ubiegając się o przyjęcie od razu na drugi rok DUSP. Taką decyzję podjąłem pod wpływem gnębiącego mnie „syndromu Brzostowa”. Tej pamiętnej zimy, kiedy uczyłem się w domu, zaczęło mi się wydawać, że jestem na straconej pozycji, bardzo opóźniony w nauce i że przez to w życiu niczego nie zdołam osiągnąć. Te upiorne myśli pchały mnie jak taran do przodu i często pomagały mi pokonywać największe trudności. Na poligonie przez kilka dni narastał we mnie niepokój, czy tym razem aby nie przeholowałem – tego muru mogę nie pokonać. Mimo codziennego, żołnierskiego zmęczenia nie mogłem tego wieczora usnąć. Wreszcie zasnąłem kamiennym snem. Przyśnił mi się rodzinny dom, a w nim ojciec i matka. W domu było bardzo miło, panował spokój i ciepła rodzinna atmosfera. Rodzice twierdzili, że nie powinienem upadać na duchu, ponieważ szczęście jeszcze mi sprzyja. Ten optymizm i spokój rodziców z mojego snu spowodowały, że wstałem pełen nadziei, która nie opuściła mnie aż do egzaminu.

Uniwersyteckie Studium Przygotowawcze miało za zadanie w ciągu dwóch lat przygotować do studiów. I przygotowywało. Kierowana była do niego przez zakłady pracy młodzież robotnicza po szkole podstawowej. W praktyce wyglądało to tak, że jedni mieli tę szkołę podstawową, inni nie, jeszcze inni zatajali, że chodzili do jakiejś szkoły i byli nieźle przygotowani. Korzystali z tego, że po ukończeniu DUSP dostawali się automatycznie na studia, co w tamtym okresie – tzw. walki klasowej – było bardzo istotne. Można powiedzieć, że była to szkoła dla uprzywilejowanych. Samo pochodzenie społeczne jeszcze nie przesądzało o przyjęciu, należało jednak coś umieć. W praktyce dostawał się do tej szkoły co trzeci kandydat i nie wszyscy przyjęci kończyli ją. Moją przepustką do tej szkoły była służba wojskowa.

Studium było dla mnie wygranym losem na loterii. Z dostania się do niego odnosiłem podwójną korzyść. Po pierwsze – wreszcie mogłem ukończyć jakąś regularną szkołę, a po drugie – automatycznie dostawałem się na uczelnię. To ostatnie w moim przypadku miało fundamentalne znaczenie, ponieważ byłem „klasowo obcy”, byłem synem kułaka. Po odbyciu służby wojskowej odgrywało to już nieco mniejszą rolę, tym bardziej, że przed odświeżeniem wojska pracowałem na własny rachunek – czyli moje związki z kułactwem

były już nieco słabsze. Mój brat Ignac trzy razy pod rząd zdał egzamin na medycynę w Poznaniu i nie został przyjęty. Właśnie dlatego, że był synem kułaka i należał do Armii Krajowej, a więc był „wrogiem ludu”.

Tak się złożyło, że dwa dni przed egzaminem, który miał się odbyć w Gdańsku Oliwie, byliśmy jeszcze na ostrym strzelaniu artylerijskim na poligonie. Po powrocie wystawiono mi „rozkaz wyjazdu”. Dostałem się jakoś na stację kolejową w Drawsku Pomorskim i pojechałem. Do koszar w Gdańsku Wrzeszczu dobiełem w nocy. Udałem się do plutonu gospodarczego, bo mój pododdział był nadal na poligonie. Koledzy w plutonie przyjęli mnie bardzo serdecznie, musiałem odpowiedzieć na wiele pytań. Ja marzyłem tylko o jednym, żeby jak najprędzej położyć się do łóżka. Odczuwałem deficyt snu, ponieważ dwie ostatnie noce bardzo mało spałem. Jedną noc spędziłem w polu na punkcie obserwacyjnym, drugą – stojąc w pociągu. Jak na egzamin, to kondycję miałem nietęgą. Wreszcie się nagadaliśmy i mogłem pójść spać, jeszcze tylko ustaliliśmy, o której koledzy mają mnie obudzić. Gdybym miał trudności ze wstaniem, mieli na mnie wylać wiadro wody.

Wstałem bez wody, na egzamin jednak się spóźniłem. Niedużo, jakieś minuty. Kiedy wszedłem na teren szkoły, panowała już cisza egzaminacyjna. Na drzwiach był duży drukowany napis EGZAMIN. Wiedziałem, że muszę tam wejść i wszedłem. Powiedziałem „dzień dobry”, ale nie słyszałem odpowiedzi. Zacząłem się rozglądać za nauczycielem, ponieważ za stołem przy tablicy go nie było. Ławki były pozajmowane i wszyscy skrzętnie coś pisali. Wreszcie ktoś siedzący w ławce spytał, czego sobie życzę (była to młoda osoba i nie utożsamiałem jej z „ciałem pedagogicznym”). Kobieta była pedagogiem i prowadziła egzamin z matematyki). Powiedziałem, że przyszedłem na egzamin. Pani oschle stwierdziła, że się spóźniłem. Przepraszałem, jak umiałem, że poligon, że podróż, że koszary... W końcu pani zaczęła ze mną rozmawiać łaskawszym tonem. Otrzymałem do rozwiązania zadania z matematyki. Rozwiązałem je wszystkie i to w dosyć przyzwoitym czasie. Były jeszcze jakieś pytania z fizyki i z chemii. Ze wszystkim jakoś się uporałem. Następnego dnia dowiedziałem się, że zostałem przyjęty na drugi rok tej szkoły. Był rok 1950.

W pierwszej chwili oniemiałem z wrażenia. Czułem, że do mnie mówią, ale nie słyszałem co. Tam na miejscu nie miałem się z kim podzielić swoją radością, ponieważ nikogo nie znałem. Podstemplo-

wałem „rozkaz wyjazdu” i wróciłem do koszar. Już w tramwaju upajałem się swoim sukcesem. Stałem na pomoście, oparłem się o tę wygiętą w kształcie odwróconego „U” rurkę, która służy jako uchwyt przy wsiadaniu do tramwaju i wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą, wiedzą, co mnie spotkało i cieszą się razem ze mną. Z tego, co sobie przypominam, była to największa radość w moim życiu. Takiej radości nie sprawił mi nawet dyplom ukończenia studiów.

W koszarach zapanowała euforia. Musiałem kolegom opowiedzieć wszystko z detalami. Zjawił się też Stasiu Pich, który powrócił „z terenu”, z rozminowania. Była to autentyczna radość z sukcesu odniesionego przez jednego z nich – szczerą, spontaniczną, płynącą z serc prostych, młodych ludzi. Cieszyli się jak małe dzieci. Sukces był tym większy, że miał swój rodowód i został odniesiony tutaj, w surowej scenerii koszarowej. Radość i duma rozpierała piersi chłopaków – i nie było w tym cienia zazdrości i przesady. Życzyli mi dobrze. Stasiu Pich wyznał, że on przewidział ten mój sukces i wierzy w dalsze, bo jestem dobrym człowiekiem, dobrze życzę i czynię ludziom. Bardzo mnie to zaskoczyło.

W drogę powrotną wybrałem się późnym wieczorem pociągiem. Siedziałem na korytarzu. Ciągłe upajałem się sukcesem, który odniosłem w Oliwie, więc nie mogłem zasnąć. Wreszcie się trochę uspokoiłem i pomyślałem o poligonie. Przypomniało mi się tegoroczne otwarcie sezonu szkoleniowego, które nastąpiło z tygodniowym albo dwutygodniowym opóźnieniem. Nie miało to jednak istotnego znaczenia.

DEFILADA

Przewidziana ceremonia musiała się odbyć i odbyła się. Z atmosfery, jaka panowała podczas przygotowań do tego wydarzenia, należało wnioskować, że jest ono ważne. Żołnierze musieli być starannie ogoleni, mieć przyszyte świeże kołnierzyki. Zabierali ze sobą pełny ekwipunek, łącznie z zapasowymi onucami. Na placu ustawiła się cała dywizja, jeden pułk obok drugiego, a w każdym pułku stały obok siebie poszczególne pododdziały. Od frontu było tego kilkadziesiąt metrów. Staliśmy tak jakiś czas w oczekiwaniu na dowódcę dywizji, którym był Rosjanin. Wreszcie przyjechał. Nie interesowało go, ile który żołnierz ma onuc. Wszedł na trybunę i z niej widział, że wszystko jest źle przygotowane. Orkiestra przestała grać marsza powitalnego. Nastąpiła chwila ciszy. To go zdenerwowało i krzyknął

(oczywiście po rosyjsku): „– Dlaczego orkiestra nie gra?! Orkiestra do mnie!”. Orkiestra zaczęła zmierzać w jego kierunku. „– Biegiem!”. Żołnierze biegli po kostki w piachu, dla dowódcy jednak biegli zbyt wolno. „– Z powrotem!”. Tak przepędził tę orkiestrę ze trzy albo cztery razy. W orkiestrze nie grali młodzieniaszkowie, jej członkowie nie byli przyzwyczajeni do takich biegów. Ledwo trzymali się na nogach. „– Dowódcy pułków, do mnie!”. Ich również przepędził biegiem kilka razy w tę i z powrotem, oczywiście na oczach żołnierzy. Również dowódcy nie byli pierwszej młodości, więc padali ze zmęczenia, szczególnie ci, którzy stali dalej. W końcu przyjął od nich meldunki.

Rosjanin przeszedł ze sto metrów przed pododdziałami i wrócił na trybunę. Żołnierzami się nie interesował. Od trybuny zarządził defiladę, przed którą pokazał, jak ma wyglądać krok defiladowy. Muszę przyznać, że nigdy w życiu nie widziałem tak wzorowego kroku. Miał pełną świadomość swoich umiejętności i dlatego się nimi popisywał, w końcu nie musiał tego robić.

Defiladę całej dywizji odbierał on i dowódcy pułków. Defilowały poszczególne pododdziały kolejnych pułków. Nie było widać, jak kto szedł, ponieważ nad wojskiem unosiły się tumany kurzu. Zauważyłem, że zachowanie Rosjanina wzbudziło wśród żołnierzy niesmak. Tak, jak traktował naszych dowódców, tak też traktował nas wszystkich i wszystkich Polaków.

Do Drawskiego Pomorskiego dojechałem rano. Tam były jakieś samochody i jeden z nich „po drodze” podwiózł mnie do obozu. Koledzy powitali mnie bardzo ciepło, bardzo byli ciekawi, jak mi poszło. Podobnie jak w koszarach, tak i tu spotkałem się z dużą życzliwością.

ŁOWCY GŁÓW

Egzamin zdany w Gdańsku Oliwie całkowicie zmienił moje życie. Oczywiście, zmiany te dotyczyły tylko sfery duchowej. W dalszym ciągu byłem przecież żołnierzem i podlegałem wszystkim rygorom wojskowym. Nie podlegały im jednak moje myśli. Moja głowa była pełna wyobrażeń dalszego życia, upragnionej szkoły. Z własnego doświadczenia wiedziałem, że takie wyobrażanie sobie przyszłości jest absurdem i czyni tylko zamęt w głowie, ale nie mogłem się z tego wyzwolić.

Do jednostki zaczęli przyjeżdżać tzw. kupcy, którzy werbowali do pracy żołnierzy odchodzących do cywila. Oferowano pracę

w Milicji Obywatelskiej, Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego i więziennictwie. Werbownicy mieli trudne zadanie, bo te instytucje miały w tym czasie bardzo złą renomę. Ludzie dobrze wiedzieli, co dzieje się za ich murami. Kolejno wzywano nas na rozmowy. Każdy z „kupców” roztaczał przed nami świetlaną przyszłość. Człowiek, który werbował strażników więziennych, przekonywał, że bardzo dobrze jest być strażnikiem. Ja natomiast widziałem siebie jako jego pomocnika, który założy akowcowi, czy też innemu człowiekowi z podziemia pętlę na szyję, a on kopnie tylko w stołek, na którym tamten będzie stał. W tym czasie w Polsce tracono wielu ludzi, nawet w powiatowych więzieniach.

W milicji też były same „rozkosze”. Według mojej wiedzy i wyobraźni, potrzeba im było coraz więcej ludzi, ponieważ w kraju nasilał się terror. Milicja w tamtym czasie, oprócz spraw ogólnoporządkowych, zajmowała się represjonowaniem ludzi. W asyście milicji po wiejskich gospodarstwach chodziły „trójki” i zabierały chłopom zboże, „rozkułaczano bogaczy”. Jeżeli ktoś nie mógł się wywiązać z obowiązkowych dostaw ze względu na to, że zboże mu nie urosło, czy uległo zniszczeniu przez gradobicie, zabierano wszystko, co miał. Nie zostawiano nawet ziarna do siewu, a gdy nie było co zabrać, wsadzano gospodarza do więzienia, także i takiego, który dobiegał osiemdziesiątki. Jeżeli ktoś na wsi nie chciał zgodzić się na kolektywizację, nekano go karami.

Niezatarte wspomnienie pozostawiła jednak w mojej pamięci rozmowa z przedstawicielem Urzędu Bezpieczeństwa. Człowiek ten siedział na jednym końcu długiego stołu, na drugim końcu posadzono mnie. Wszystko to, co mówiłem, notował na kartce umieszczonej w szufladzie, gdzie miał także wszystkie dokumenty. Znał nieźle mój życiorys. Padło zasadnicze pytanie, czy chcę pracować w UB. „– Nie. – Dlaczego?”. Odpowiedziałem, że po wyjściu z wojska chcę się uczyć, zostałem już przyjęty do szkoły w Gdańsku Oliwie. To go nie speszżyło. Przekonywał, że mogę tę szkołę skończyć i iść na studia, a oni mi dadzą stypendium. Odpowiedziałem mu, że nie chcę się tak dalece uzależniać. W końcu wypalił, że u nich w powiatówkach jest wszystko na miejscu, żyją jak jedna rodzina, są na miejscu nawet dziewczyny. Udałem, że nie wiem, o co chodzi z tymi dziewczynami. Wszystko mi wyjaśnił z detalami i zaznaczył, że te dziewczyny nie są kurwami, a wręcz przeciwnie – są porządnymi osobami. Pracują w kuchni, biurze i pełnią różne istotne funkcje.

Po usłyszeniu tych rewelacji zrobiłem niezbyt mądrą minę i gość się zorientował, że strzelił gafę. Dalej rozmowa się już nie kleiła. Wyciągnął jednak ode mnie informację, że utrzymuję z domem bardzo luźne stosunki. Tak było mi wygodnie przedstawić stosunki rodzinne, ponieważ byłem synem kułaka. Kułacy i członkowie ich rodzin byli w tym czasie prześladowani. Uwagę o stosunkach rodzinnych skrętnie zanotował. Potem sprawdzano ją na miejscu, u rodziny. Ojciec moje słowa potwierdził, ponieważ był o nich uprzedzony.

Po opowieści o dziewczynach ubek jakby stracił rezon. Ja zaś przypominałem sobie opowieści o „zgodnej rodzinie”, zasłyszane od tych, którzy przeżyli piekło w UB, gdzie wymuszano na nich zeznania. Byli torturowani fizycznie i psychicznie. Potwornie ich bito, wieszano za ręce bądź nogi. Mężczyznom do genitaliów podłączano induktory elektryczne i stosowano elektrowstrząsy. Wybijano zęby, łamano kości, okaleczano ciało i skrytobójczo mordowano. Mordowani byli najczęściej ludzie zasłużeni dla Polski, a niewygodni dla reżimu.

ŻOŁNIERZ I UCZEŃ

Czas na poligonie upływał szybko, może dlatego, że myślałem o szkole, do której zostałem przyjęty. Wizja przyszłości, którą żyłem dotychczas, stawała się rzeczywistością. Wiedziałem, że będę musiał pokonać wielkie trudności w nauce i obiecywałem sobie, że za wszelką cenę tego dokonam. Można powiedzieć, że przygotowywałem się do tego duchowo. Los zesłał mi jedyną okazję w życiu i nie mogłem jej zaprzepaścić. Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę z tego, że nauka to jest bardzo ciężka praca i wymaga dużych wyrzeczeń, byłem jednak gotowy na wszystko.

Wróciliśmy do koszar, gdzie życie toczyło się w swym normalnym rytmie. Najgorsze było to, że w Oliwie, w mojej upragnionej szkole, nauka już się zaczęła. Tymczasem gruchnęła wieść, że ze względu na wojnę w Korei przedłużą nam służbę w wojsku. Był to poważny problem, ponieważ zbyt późne rozpoczęcie nauki w szkole mogłoby uniemożliwić mi nadrobienie zaległości. Szczęście jednak dalej mi sprzyjało (zgodnie z obietnicami moich rodziców we wspomnianym śnie). Gdy naprawiałem w działowniach uszkodzoną przez malarzy instalację elektryczną, przyszedł dowódca pułku. Błysnęła mi nagle myśl, żeby zwrócić się do niego o przepustkę na wychodzenie do szkoły. Nie zastanawiałem się ani chwili. Zszedłem z drabiny, zameldowałem dowódcy i wyłuszczyłem problem.

Dowódca nawet nie mrugnął okiem i z miejsca powiedział, o której mam przyjść do sztabu po odbiór przepustki, która będzie u „służbowego”. Oniemiałem z wrażenia, ponieważ stało się to nie nagle, a wręcz błyskawicznie.

O wyznaczonej godzinie odebrałem przepustkę. Wynikało z niej, że mogę wychodzić z koszar do szkoły bez żadnych ograniczeń godzinowych. Umożliwiło mi to wychodzenie rano i przebywanie poza koszarami aż do końca lekcji. Przepustkę przedstawiłem dowódcy plutonu – kapitanowi Wieczorkowi – i przeprosiłem go za to, że pomiąłem drogę służbową. Na swoje usprawiedliwienie miałem to, że nadarzyła się wyjątkowa okazja, z której skorzystałem. Dowódca plutonu nie wszczynał dyskusji, sprawa była załatwiona. Wiedział, że jestem trochę nietypowym żołnierzem i widocznie uznał, że pod koniec służby nie ma co z tego powodu kruszyć kopii. Był to człowiek inteligentny, życiowy i bardzo życzliwy. Pozostało jeszcze przyjęcie odpowiedniej strategii przy wychodzeniu rano, ponieważ w tym czasie przychodzili do pułku oficerowie. Każdego z nich mogło zainteresować dokąd idę, a wyjaśnienia mogłyby trochę potrwać. Mogło ich też irytować, że zwykły żołnierz wychodzi z koszar do szkoły. Szczególnie obawiałem się tego kapitana, który mnie tak skwapliwie rozbierał, kiedy zimą siedziałem w pace.

Następnego dnia byłem już w szkole. Wzbudziłem pewną sensację, pojawiając się w niej w mundurze. Wprawdzie w szkole było kilka osób, które już wcześniej odbyły służbę wojskową, jednak w mundurze pojawiłem się pierwszy. Na wykładach skrzętnie notowałem, bo zdawałem sobie sprawę, że będę się uczył z notatek, ponieważ na ten temat nie było książek. Szkoła zafundowała mi obiady. Wieczorem w koszarach jadłem na zimno drugi obiad, który koledzy przynosili mi w menażce. Co drugą noc miałem służbę. Stałem od wieczora do drugiej w nocy, przez resztę nocy i w dzień stał mój zmiennik. Czuję się trochę niewyspany, ale miało to też plusy, ponieważ w czasie służby się uczyłem. Coś za coś.

Pewnego razu, gdy stałem w kolejce po obiad, ktoś z tyłu dotknął mnie delikatnie w ramię. Obejrzałem się, za mną stał Zdzych Warchoń, kolega z grupy. Bez żadnych wstępów zadał mi pytanie: „– Koleś, skąd jesteś?”. Odpowiedziałem, że z Gdańska Wrzeszcza, z tych czerwonych koszar. „– Ale gdzie się uczyłeś? – Korespondencyjnie”. Zdzisiu chwilę pomyślał i orzekł, że w tej szkole sobie nie poradzę i powinienem się ulotnić, „spłynąć” po angielsku. Nie

będzie kompromitacji i nikt nie będzie mnie poszukiwał. Dodał jeszcze, że „nie takie kozaki odchodzili stąd z kwitkiem”.

Prorocstwo Zdzicha przeraziło mnie i podcięło mi skrzydła. Moje nadzieje zawisły nad przepaścią. Straciłem apetyt, obiad jadłem z przymusem. Nawet w koszarach na służbie nauka mi nie szła. Jakby na potwierdzenie słów kolegi, na drugi dzień z klasówki z fizyki dostałem dwóję. Był to groźny pomruk rzeczywistości. Klasówka była z elektrostatyki. Wcześniej wydawało mi się, że znam ten materiał.

Po tej dwójki wstąpił we mnie nowy duch walki. Następnego wieczora i na kolejnej służbie uczyłem się bez opamiętania. Efekt był piorunujący. Z kolejnej klasówki z fizyki dostałem piątkę. Odzyskałem pewność siebie. Poprawiło to też moją reputację w oczach wykładowcy. Ta dwójka uprzytomniła mi, że trzeba się tak uczyć, żeby się nauczyć i mieć pewność, że się umie. Przy nauce nie może się wydawać, że się umie. Trzeba po prostu umieć. Szczególnie w mojej sytuacji nie mogłem sobie pozwolić na żadne ulgi.

Czas płynął i jakoś sobie radziłem, poznałem też otoczenie. Nie było w szkole młodzieniaszków. Byli to przeważnie ludzie, którzy już pracowali i zostali skierowani do szkoły przez zakłady pracy. Było kilka osób około trzydziestki, a nawet starszych. Nikt nie kierował uszczypliwych uwag pod adresem moim i mojego munduru. Również przez wykładowców byłem traktowany tak, jak inni. Czułem się coraz lepiej i coraz pewniej, szkoła zaczęła być moim domem. Łączyłem z nią całą swoją przyszłość.

W szkole obowiązywała dyscyplina. Codziennie był apel wieczorny, w czasie którego podawano ważniejsze informacje z życia szkoły. Każdy był zobowiązany uczestniczyć w nim. Ten apel przypominał, że jesteśmy szkołą socjalistyczną o obostrzonym regulaminie. Dopóki byłem żołnierzem, apel mnie nie obowiązywał.

Bramy szkoły nie były zamknięte. Obowiązkowe było uczestnictwo w wykładach, natomiast po zajęciach można było wyjść i załatwić to i tamto. Nie przypominam sobie, żeby ktoś z powodów dyscyplinarnych został ze szkoły zwolniony. Byliśmy podzieleni na grupy, w których przygotowywano nas na studia politechniczne, uniwersyteckie i inne. Byłem w grupie politechnicznej.

DO CYWILA!

Wreszcie przyszedł do jednostki rozkaz o zwolnieniu nas do cywila. Zaplanowała ogólna radość. Niektórzy chłopcy cieszyli się

jak małe dzieci. Każdy snuł jakieś plany. Cieszyłem się na równi ze wszystkimi. Miałem wcześniej wytyczony cel i swoje plany już konsekwentnie realizowałem w szkole w Oliwie, „na Polankach”. Niemniej dzień wyjścia z wojska jest przełomowy i wielu mężczyzn od tego dnia zaczyna nowy rozdział w swoim życiu. Był to rok 1950.

Wreszcie nadszedł „dzień zero”. Otrzymaliśmy worki z naszymi cywilnymi ubraniami, które po dwu latach leżenia w nich wyglądały fatalnie. Nie mieliśmy żelazek, żeby przywrócić im jaki taki wygląd, ale nikt się tego nie wstydził.

W miarę, jak przeistaczaliśmy się w cywilów, rosła góra wojskowych „sortów”, czyli wojskowej odzieży, której należało pilnować, ponieważ koledzy miewali różne braki i starali się uzupełnić je kosztem innych. Nie nazywano tego złodziejstwem. Było to coś w rodzaju zaradności. Mnie nie brakowało nic. Niemniej pilnie strzegłem swoich „sortów”. Po zdaniu wszystkiego otrzymaliśmy bilety na przejazd i byliśmy wolni. Ja pojechałem do domu do Brzostowa, żeby się trochę ubrać, bo w tym ubraniu z worka nie wypadło chodzić.

Dzień przed opuszczeniem koszar podszedł do mnie Jasiu C. i powiedział, że ma coś dla mnie. To jest papier, przekaże mi go jeżeli przyrzeknę, że go nie podrę. Przyrzekłem. Było to zaświadczenie o tym, że przez cały okres pobytu w wojsku byłem w ZMP (Związku Młodzieży Polskiej). Z dokumentu wynikało, że byłem dobrym żołnierzem, dobrym kolegą itp. Dokument został wystawiony na prośbę Jasia C., bez mojej wiedzy. Jasiu mi wyjaśnił: „– Obaj wiemy, że to nieprawda. Żyjemy jednak w czasach kłamstwa i przemocy. Najlepszą obroną jest również kłamstwo. Schowaj ten dokument, bo niebawem będzie ci potrzebny”. Jasiu był dobrym, serdecznym kolegą, chociaż w czasie służby się z tym nie obnosił.

Z Brzostowa już jako cywil udałem się do szkoły. Otrzymałem miejsce w internacie i stypendium. Zamieszkałem z pierwszym rokiem, na ogólnej sali. Było nas ze trzydzieści osób i nie było warunków do nauki. Uczyliśmy się z Heniem Skwierawskim w sali wykładowej. Heniu również mieszkał na sali ogólnej. Inni drugoroczniacy mieszkali w pokojach trzy- i czteroosobowych. I Heniu, i ja pałaliśmy wielką chęcią do nauki. Mieliśmy podobne poglądy na życie i zbliżony poziom intelektualny. Łączyła nas również wielka pracowitość. Heniu pochodził z Chojnic na Pomorzu.

ADAMOWICZ

Chcę opisać wydarzenie, które miało miejsce już po moim odejściu do cywila. Jest bardzo charakterystyczne dla tych czasów, gdy byłem w wojsku. Ekipa Stasia Picha, uzupełniona przez młodych żołnierzy, nadal jeździła na rozminowania. Brali suchy prowiant i wyjeżdżali na dwa tygodnie. Niedaleko miejscowości, w której byli na kwaterze, odbywała się zabawa taneczna. Poszli więc na tę zabawę. Oczywiście z bronią, bo nie mieli jej gdzie zostawić. Nie oni pierwsi byli na zabawie tanecznej z bronią. Zwykle w takich sytuacjach jeden z kolegów siedział i pilnował broni, a inni tańczyli. Tak było i tym razem.

Chłopcy bawili się dobrze. Szczególnym powodzeniem cieszył się Adamowicz. Jego partnerka zakochała się w nim na zabój. Była skłonna dla niego zrobić wszystko. Wreszcie żołnierze się nатаńczyli i wracali na kwaterę. Pozostał tylko zakochany Adamowicz.

Po pewnym czasie od chwili, kiedy koledzy opuścili Adamowicza, jego partnerka gdzieś przepadła. Adamowicz zrozumiał, że został wystawiony do wiatru, więc postanowił wrócić na kwaterę. Miał przed sobą kilka kilometrów drogi, a noc była bezksiężycowa. Nie przerażało to jednak niefortunnego amanta. Wziął na ramię swoją gwintówkę, którą wcześniej naładował, i w drogę. Uszedł kilometr, a może więcej, gdy przy przydrożnych krzakach zauważył ludzi. Szedł jednak dalej. Był to wielki mocny chłop, o trochę pochyłej sylwetce, który nie bał się niczego. Sam na samochód ładował stukilogramowe bomby lotnicze. Gdy zbliżył się do krzaków, ludzie, których widział wcześniej „rozpłynęli się” w ciemnościach. Ktoś krzyknął: „– Ręce do góry!”. Adamowicz polecenia nie usłuchał, zaczął do niego strzelać z pistoletu. Wprowadził nabój do lufy swojego karabinu i odpowiedział ogniem w kierunku pojawiających się błysków wystrzałów pistoletowych. Po oddaniu kilku strzałów pistolet umilkł. Adamowicz zdecydował, że czas najwyższy uciec z zagrożonego miejsca.

Całą drogę do kwatery pokonał biegiem. Koledzy obudzili porucznika, dowódcę ekipy i opowiedzieli o zdarzeniu. Oficer powiadomił rodzimą jednostkę. Po pewnym czasie okolica została nasyciona wojskiem. Na miejsce został również przywieziony pies tropiący. Miejsce, z którego strzelał napastnik, było mocno zboczzone krwią, a trawa na pewnej przestrzeni wygnieciona. Znaczyło to, że Adamowicz celnie strzelał. Również napastnik nieźle strzelał, ale miał mniej

szczęścia. Na miejscu znaleziono obstrzelony pas główny Adamowicza. Pies tropiący doprowadził do Nogatu i tam ślad się urwał.

Tego dnia nic więcej nie ustalono. Okoliczne szpitale miały obowiązek powiadomienia wojska, gdyby zjawił się ktoś z ranami postrzałowymi. Po pewnym czasie do jednego ze szpitali przyszedł człowiek z ropiejącą raną postrzałową. Całą sprawę udało się rozwikłać. Napastników było trzech albo czterech. Jednego Adamowicz zastrzelił na miejscu, drugiego dosyć ciężko zranił. Z miejsca strzelaniny złoczyńcy oddalili się do Nogatu, gdzie mieli ukrytą łódź i odpłynęli. Zabitego obciążyli czymś i wrzucili do wody. Celem napastników było zdobycie broni. Stanowili załóżek niemieckiej partyzantki o nazwie Werwolf. Wcześniej w istnienie tej partyzantki nie wierzyliśmy, ponieważ nie było oznak jej działalności, choć w jednostce mówiono nam, że taki twór jest i nawet gdzieś na poligonie jej członkowie wymordowali żołnierzy na wartowni. Opisana historia pokazuje, że Niemcy byli mało skuteczni, jeżeli przy usiłowaniu zdobycia karabinu jeden z nich zginął, a drugi został ciężko ranny. Nie mieli talentu do wojaczki partyzanckiej.

Należy przypuszczać, że Niemcy nie mieli czasu na zorganizowanie partyzantki z prawdziwego zdarzenia, chociaż mieli mnóstwo przykładów tego, jak to robili Polacy i Sowieci – przecież ich zwalczali. Byli bici przez Sowieców i szybko się wycofywali z tych terenów. Klimat, jaki sami stworzyli, nie sprzyjał tworzeniu partyzantki – w III Rzeszy za powiedzenie, że Niemcy przegrają wojnę, groziła kara śmierci. Przy takiej propagandzie trudno było tworzyć partyzantkę. Gdy okazało się, że wojnę przegrywają, było już za późno, by tworzyć ruch oporu. Ich mentalność – mentalność narodu panów – nie sprzyjała temu, by być dobrymi partyzantami. Gdyby pomyśleli wcześniej o partyzancie, nie musieliby zdobywać broni na pojedynczych żołnierzach. Mieli jej przecież dostatecznie dużo w ostatniej fazie walk z Sowiecami.

Wyczyn Adamowicza został odpowiednio uhonorowany. Wymieniano go w rozkazach. Przywoływano go jako wzór odważnego żołnierza. Dostał miesiąc urlopu i obstrzelony przez napastnika pas główny na pamiątkę.

Minęło trochę czasu i Adamowicz ponownie zapragnął być bohaterem. Pełniąc obowiązki wartownika przy magazynie amunicji w forcie gdańskim, upozorował z jeszcze jednym wartownikiem napad na ten magazyn. Według Adamowicza, napastnicy zamierzali

magazyn amunicji wysadzić w powietrze. Wzięty przez śledczych w ogień pytań, bardzo szybko przyznał się do sfingowanego napadu. Ile tym razem „dostał” Adamowicz, nie wiem. Po tym upozorowanym napadzie pozostała pamiątka. Wybudowano betonowy schron na dachu budynku, w którym mieścił się magazyn amunicji. Dotychczas na tym dachu znajdowała się warstwa ziemi i rosła trawa. Ziemi nie usunięto, wkomponowano w nią schron. Jego luki strzelnicze znajdowały się mniej więcej na wysokości trzeciego piętra i nie bardzo było wiadomo do czego, czy też do kogo miał stamtąd strzelać wartownik.

Dotychczas wartę przy magazynie pełniło dwóch ludzi. Jeden stał na dole rozległego i głębokiego wykopu, w którym znajdował się budynek magazynu, drugi na wysokim wzniesieniu, które powstało z ziemi z wykopu. Przedpole było rzęsiście oświetlone lampami elektrycznymi, a wokół znajdowały się zasieki z drutu kolczastego.

Z własnego doświadczenia wiem, że pełnienie warty na tym posterunku nie należało do przyjemnych. Na wzgórzu, które było najwyższym wzniesieniem w okolicy, przeważnie hulał wiatr, który wygrywał swoje melodie na odcigiach masztu niedalekiej radiostacji. Stojący na górze wartownik był widoczny na tle nieba, natomiast sam niewiele widział z tego, co dzieje się niżej. Ta sceneria i warunki niekorzystnie wpływały na nerwy niektórych wartowników. Zdarzyło się, że jeden z wartowników zastrzelił w zasiekach krowę. Innym razem w tych drutach zaplątał się więzień, który zbiegł z pobliskiego więzienia. Wartownika nikt nie pyta, czy mu posterunek odpowiada, czy też nie. Niezależnie od tego, gdzie się znajduje – na rozstajach dróg czy na cmentarzu, bądź w grobowcu – wszędzie musi się wywiązywać z powierzonych obowiązków.

W SZKOLE

Dostanie się na DUSP w Gdańsku Oliwie w pełni mnie usatysfakcjonowało i byłem bardzo szczęśliwy. Lata poniewierki i skrytych marzeń zaczęły się przekładać na wymarzoną rzeczywistość. Nic lepszego nie mogło mnie spotkać. Okazało się również, że nawet nieźle idzie mi nauka. Nie byłem w czołówce grupy, ale byłem średniakiem. Przerabiany materiał był bardzo obszerny. Większość czasu poświęcał mi matematyce. Nie miałem problemów ze zrozumieniem zagadnień, ich kojarzeniem, natomiast moją „piętą Achillesową” były pomyłki w obliczeniach, które obniżały mi oceny. Często liczyliśmy

powierzchnię albo objętość określonej bryły geometrycznej ściętej pod kątem płaszczyzną. Zadanie nie było łatwe, a obliczenia długie i skomplikowane. I w nich właśnie się myliłem.

Prawdziwą zmurą były dla mnie braki podstawowej wiedzy z każdego w zasadzie przedmiotu, szczególnie jednak z języka polskiego. Widmo popełnienia jakiegoś „grubego” błędu wisiało nade mną bez przerwy. Pamiętałem profesora B. ze Złotowa, który powiedział mi swego czasu, że jeżeli się ma pretensje do bycia „inteligencją”, to się powinno wiedzieć, że żelazo nie pisze się przez „erzet”.

Braki w edukacji odczuwałem na każdym kroku. Często bywało, że część merytoryczna zagadnienia schodziła na drugi plan, ponieważ przy pisaniu zastanawiałem się nad poprawnością pisowni. Dawało się też odczuć to, że na DUSP wstąpiłem od razu na drugi rok, więc nie miałem czasu na uzupełnienie podstawowych braków.

Mieliśmy bardzo dobrych nauczycieli, którzy nie tylko nas uczyli, ale także troskliwie się nami opiekowali. Pewnego razu wpadły mi w ręce zadania szkolnej olimpiady matematycznej. Rozwiązałem dwa, z trzecim nie mogłem sobie poradzić, więc poszedłem do wykładowcy. Dał mi wytyczne, które umożliwiły jego rozwiązanie, i zaczął interesować się moimi postępami w nauce.

Szalejące w tym czasie sowietyzacja i indoktrynacja narodu polskiego nie ominęły i naszej szkoły. Wmawiano nam, że Polacy powinni być bezgranicznie i dozgonnie wdzięczni Związkowi Sowieckiemu za wyzwolenie spod okupacji niemieckiej i za to, że wprowadził w Polsce ustrój sprawiedliwości społecznej – socjalizm. Można powiedzieć, że nas dotyczyło to w szczególności, ponieważ byliśmy szkołą powstałą z bardzo „socjalistycznych inspiracji”. W dobrym stylu było opluwanie i obciążanie za wszystko zło kapitalistów. Ci „krwio pijcy” byli winni wszystkiemu. Kapitalistą był każdy człowiek, który cokolwiek posiadał – nawet kilka hektarów ziemi czy jakikolwiek warsztat rzemieślniczy zatrudniający chociaż jednego pracownika. Nie trzeba było niczego udowadniać i wyjaśniać, wystarczyło powiedzieć, że to podli ludzie, wykorzystujący klasę robotniczą. Tak działała propaganda i wszechobecne kłamstwo zbierało swoje żniwo.

Jeden z kolegów ze szkoły opowiadał, jak pracował u kapitalisty, który go nieludzko wyzyskiwał. Jedzenie było niedużo lepsze od tego, które dostawały świnię. Psy natomiast dostawały mięso, więc on zakradał się w nocy do tych psów i podbierał im mięso. Ten

człowiek po skończeniu studiów podjął pracę i w ciągu trzech lat napisał i obronił pracę doktorską. Mówił i pisał to, co należało w tym czasie mówić i pisać. Nikt nie sprawdzał, czy w jego wypowiedziach była prawda, nikt nawet nie ośmielił się tego zaproponować.

Słyszałem też, jak jedna z nauczycielek twierdziła, że w komunizmie będzie raj – ludzie będą mieli wszystkiego pod dostatkiem i nie będą brali więcej niż potrzebują, ponieważ nie pozwoli im na to moralność komunistyczna. By brzmiało to wiarygodniej, pani powiedziała, że złotem w komunizmie będą wykładane nawet toalety, ponieważ do tego czasu zostaną opracowane metody jego sztucznego wytwarzania. Kobieta wyglądała inteligentnie i wiadomo było, że nie mówi tego z przekonaniem. Robiła to dla kariery, taka była potrzeba chwili.

Opowieści tego rodzaju traktowałem jako niedorzeczne bzdury. Trzymałem jednak język za zębami, bo wiedziałem, że tylko ta szkoła umożliwi mi skończenie studiów. Za kilka słów prawdy mogłem zostać z niej wyrzucony. Już w wojsku nasłuchiwałem się podobnych bzdur i wiedziałem, że słuchając ich, należy milczeć. Nawet z Heniem nie dyskutowałem na te tematy. Wychodziłem z założenia, że ściany mają uszy.

Pewnego dnia, to było w 1951 r., zostałem wezwany do dyrekcji, gdzie usłyszałem, że ponieważ mój ojciec ma osiemnastohektarowe gospodarstwo, zostanie mi zabrane stypendium. Przeżyłem szok. Czekałem, kiedy zostanę ponownie wezwany i dowiem się, że ponieważ ojciec mój jest „kułakiem”, wylatuję ze szkoły. Jednak pozwolono mi dalej się uczyć. Przez dłuższy czas żyłem w niepewności i czekałem, kiedy mnie to spotka. Moja obawa wynikała również z tego, że od wielu lat przykre albo bardzo przykre sprawy spadały na mnie wówczas, gdy najmniej się ich spodziewałem.

Teraz dobrze mi się wiodło – intensywnie się uczyłem, byłem najedzony i było mi ciepło. Z nadejściem chłódów palono w piecach kaflowych. Siadaliśmy z Heniem w sali wykładowej przy takim piecu i uczyliśmy się do późna. Po raz pierwszy od lat nie marzyłem i nie mokłem na dworze. Nieraz przechodziły mnie dreszcze na samo wspomnienie przebywania na mrozie w nędznym ubraniu.

Nauki było bardzo dużo. Byliśmy nią wręcz przytłoczeni. Często nam z tego powodu „odbijało”. Heniu przeistaczał się w artystę i śpiewał arie ze *Straszego Dworu* albo *Eugeniusza Oniegina* (byliśmy na tych operach całą szkołą). Opowiadał też często o swojej

ciotce z Chojnic, która była osobą bardzo energiczną i nie bała się dosłownie nikogo i niczego. Miała w Chojnicach dwa domy. W jednym z nich w 1945 r. kwaterowały sowieckie wojska. W czasie mrozów zamrzły instalacje sanitarne i wojacy załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne do wanny w łazience. Nazbierało się tego sporo. Wreszcie któregoś dnia ciocia „wtargnęła” do tego domu. Kiedy zobaczyła zawartość wanny, ogarnęła ją furia. Zażądała pojawienia się dowódcy. Był nim oficer w stopniu majora. Ciocia, nie bacząc na stopień oficera, krzyknęła z wściekłością: „– Wy świnię, coście tutaj zrobili?!”. I posypały się pod ich adresem dalsze inwektywy. Major zaniemówił. Kiedy ciocia skończyła, wydał rozkaz, żeby wannę opróżnić. Pogoda była sprzyjająca. Wojacy zrobili sobie z gałązek miotły i sukcesywnie opróżniali wannę wymiatając jej zawartość, a następnie przez kuchnię i schody pędzili „to” na podwórze. Po wszystkim zjawiła się ponownie ciocia. Kiedy biedaczka zobaczyła co się stało – zemdląła. Podłoga w kuchni i schody były myte i drapane. Nie pomagała zimna, ani gorąca woda. Smród nie ustępował przez wiele miesięcy. Zastanawiano się nawet, czy nie wyrąbać schodów, były drewniane.

Z Heniem się bardzo zaprzyjaźniłem. Raz w miesiącu oddawał krew. Potem kupował butelkę wina i w sali sypialnej ogłaszał, że zamienił krew na wino i prosi kolegów ze szklankami. Chętnych było wielu, a zawartość butelki ograniczona. Ten gest robił jednak wrażenie.

Mimo ciągłego przebywania razem w grupie znaliśmy się mało. Nie było szczerych koleżeńskich dyskusji, nie sprzyjała temu atmosfera. Sowietyzacja i indoktrynacja robiły swoje. Ideologiczne wypowiedzi niektórych kolegów tworzyły klimat fałszu i obłudy. Zrodziła się atmosfera wzajemnych podejrzeń o donosicielstwo. Do tego wszystkiego byłem przyzwyczajony – to samo działo się w wojsku, więc nie było to dla mnie nowością. Starąłem się żyć trochę na ubożu. Nie było to jednak łatwe. Od chwili, gdy zabrano mi stypendium, stałem się klasowo obcy, byłem synem „kułaka”. Słowo „kułak” było wówczas często używane w różnych okolicznościach, ale mnie jednak oficjalnie z nim nie utożsamiano i dawano mi spokój.

W maju spadł śnieg. I to nie mało, ponieważ pod jego ciężarem ugięły się gałęzie drzew. Wyglądało to dosyć dziwnie, bo gałęzie miały liście. Śnieg nie topił się od razu, a przy dotknięciu odnosiło się wrażenie, że jest ciepły. Było to oczywiście tylko złudzenie.

Na przerwie zapanowała radość, towarzystwo obrzucało się śnieżkami. Jeden drugiemu mył twarz, wyciągano z klasy tych, którzy jeszcze nie bawili się śniegiem. Jeden z kolegów chciał wyciągnąć Zdzicha Warchoła, który uczył się w klasie. Zdzichu uczył się podczas każdej przerwy. Uczył się również w domu, nawet do późna w nocy, czego nie ukrywał. By nie zasnąć, trzymał nogi w miednicy z zimną wodą.

Zdzichu nie dał się wyciągnąć z klasy na zewnątrz. Przyjął postawę zapaśnika, a kiedy zbliżył się do niego rozbawiony kolega, zastosował jakiś dziwny chwyt i nie wiadomo kiedy napastnik znalazł się w powietrzu. Poszybował z półtora metra i spadł głową do przodu w narożnik, między ścianą i podłogą. Karku nie skręcił, ale był oszołomiony i półprzytomny, zatoczył koło pomiędzy ławkami i umknął na zewnątrz. Był z niego kawał chłopca, a Zdzichu był krępym średniakiem.

OPOWIEŚCI ZDZICHA

Ta zapaśnicza przygoda skupiła na Zdzichu większe zainteresowanie. Był marynarzem, służył trzy lata na okręcie, niejedno słyszał i niejedno widział. Służył na trałowcu – poławiaczu min. Był człowiekiem silnym, wysportowanym i odważnym. Niechętnie mówił o swoich przygodach, ale można się było od niego tego i owego dowiedzieć. Warto wspomnieć niektóre jego opowieści.

Trałowanie, czyli wyławianie morskich min, polegało na tym, że dwa połączone stalową liną okręty (trałowce) płynęły równolegle do siebie w takiej odległości, na jaką pozwalała długość liny, na której były zamontowane nożyce specjalnej konstrukcji. Gdy ciągnięta lina natrafiła na linkę kotwiczną miny, nożyce przecinały ją i mina, jako lżejsza od wody, wypływała na jej powierzchnię. Zakotwiczone miny pływają pod jej powierzchnią. Są kuliste i na całej swojej powierzchni mają zapalniki uderzeniowe. Jeżeli w któryś z tych zapalników uderzy pływający przedmiot, następuje wybuch.

Gdy mina po odcięciu linki wyskakiwała na powierzchnię wody, należało ją zdetonować. Przeważnie strzelano do niej ze sprzężonych działek. Gdy Zdzichu o tym opowiadał, mimo woli stawał w rozkroku i przyjmował taką pozycję, jak przy tym sprzężonym działku. Do znalezionej w pobliżu brzegu miny podpływano łodzią, brano ją na hol i detonowanie odbywało się dalej od brzegu. Była to czynność bardzo niebezpieczna, ponieważ morze ciągle falowało i istniało niebezpieczeństwo uderzenia w któryś zapalnik.

W tym czasie w gdańskiej gazowni często odbywały się zabawy taneczne. Bawili się na nich przeważnie wojacy – ci z „łądówki” i ci z „morza”. Było też sporo cywili. Wybór dziewczyn był duży. Działali tutaj też „wolontariusze”. Podchodził taki do wojaka i pytał go, czy ma chęć na kielicha. Żołnierz przeważnie taką chęć miał. W czasie wypitki żołnierz dowiadywał się, że dama, z którą tańczy, trudni się najstarszą profesją świata i o ile chce iść zdrowy do cywila, to lepiej byłoby zmienić partnerkę.

Zdzichu na zabawie w gazowni był świadkiem pewnego zdarzenia, nie zdając sobie sprawy z tego, że ono, w pewnym sensie dotyczy także jego. Tańczył marynarz z dziewczyną, a trzech innych marynarzy przyczepiło się do niego, że ma im tę dziewczynę odstąpić, ponieważ jest to partnerka jednego z nich. Trójka była taka natarczywa, że przeszkadzała tej parze w tańcu, popychając ją i robiąc inne sztuczki. Tańczący marynarz, potężny chłop, kilka razy przepraszał swoją partnerkę, a zawadiakom tłumaczył, że jest tam wiele dziewczyn i żeby się od niego odczepili. Wreszcie któryś z agresorów uderzył go i miarka się przebrała. Marynarz przeprosił dziewczynę, podszedł do awanturników i „zahaczył” najbardziej agresywnego potężnym „sierpem”. Cios był tak silny, że chłopak uderzył głową w ścianę, upadł i stracił przytomność.

Marynarz powrócił do tańca. Koledzy wynieśli poszkodowanego na świeże powietrze, gdzie odzyskał przytomność. Na tym się jednak nie skończyło. Kiedy Zdzichu wracał z zabawy wąską ścieżką między gruzami domów, drogę zastąpiła mu ta znana z zabawy marynarska trójka. „– Jesteś z Gdyni, czy z Gdańska? – O co chodzi? – Odpowiadaj!”. Powiedział, że z Gdyni, bo tam stał jego okręt. Zawadiacy krzyknęli chórem: „– Łać go!”. I zaczęli okładać go metalowymi rurkami. Zdzichu szczerze przyznał, że go to zabolalo. Odskoczył w gruzy, odpiął od nogi nóż, nabrał rozpędu i z furią uderzył na napastników. Wykorzystał przy tym swoje umiejętności zapaśnicze i obronne. Skutek był taki, że dwóm napastnikom odebrał rurki, a wówczas wszyscy trzej uznali, że to nie przelewki, że przeciwnik jest groźny i dali drapakę z pola walki. Zdzicha bardzo bolały miejsca po uderzeniach rurkami. Tym razem to on zapragnął wziąć odwet na napastnikach. Wiedział, gdzie w dokach stoją ich okręty. Postanowił ich odszukać, by stanęli z nim do walki. Miały to być pojedynki na pięści, a więc walka honorowa. Byli mocni z rurkami, niech pokażą, jakie mają mocne pięści i odporność na ciosy.

Odszukał okręt, ale wartownik nie chciał go wpuścić. Przedstawił sytuację i powiedział, że jeżeli go nie wpuści, to zrobi doniesienie do prokuratora, że jego załoga szerzy rozbój i napada na ludzi. Wartownik go wpuścił, ale winowajców na tym okręcie nie było, znalazł ich na innym. Wyciągnął z legowiska jednego, który był poobklejany plastrami, rozpoznał go i zaproponował mu pojedynek. Ani on, ani dwaj pozostali nie stanęli do honorowej walki. Udawali, że śpią, nawet kiedy ich postawił na nogi. Bali się lania. Wobec tego zapowiedział, żełoży doniesienie. I tak zrobił. Zostało wszczęte śledztwo, w trakcie którego wyszło na jaw, że ta trójka rzeczywiście trudniła się rozbójem.

W tych czasach załogi trałowców bardzo ciężko pracowały przy trałowaniu min. Ludzie przebywali na morzu po kilka tygodni, a nawet miesięcy. Wracali, uzupełniali, co trzeba, i znowu wychodzili w morze. W czasie postoju w porcie marynarze dostawali całodobowe przepustki. Warchoł dobrał sobie kumpla, na którego mówił „Mały”, i poszli „w miasto”. Los zrządził, że w nocy znaleźli się na ulicy w Nowym Porcie. W ciszy nocnej usłyszeli czyjeś szybkie kroki. Nagle zza rogu pojawiła się biegnąca w ich kierunku dziewczyna. Sukienkę, by jej nie przeszkadzała, podniosła powyżej kolan, trzymając ją w obu rękach. Kilka czy też kilkanaście kroków za nią biegł mężczyzna. Dziewczyna zatrzymała się za nimi, prosząc o obronę, „bo Szwed chce ją zabić”. Biegnący za nią mężczyzna, kawał chłopca, był w granatowym mundurze i trzymał w ręku nóż. Stanął ze trzy kroki przed nimi. Zdżichu przyznał, że na ten widok nogi pod nim się ugięły, ale wiedział, że musi być zdecydowany bo inaczej przegra sprawę. Podeszedł do Szweda, złapał za guzik, dosyć energicznie nim potrząsnął i głośno zapytał, wskazując na nóż: „- Co to ma znaczyć?”. Szwed nóż opuścił. „- Wygrałem” – pomyślał Zdżichu. Jednak wygrana była dopiero pierwsza potyczka. Dziewczyna powiedziała, że Szwedów jest więcej. Jak ich złapią na ulicy, to nie ujdą z życiem. Należy się gdzieś ukryć. Wpadli z „Małym” do jakiejś knajpy. Zajęli miejsce w dalekim kącie, przy oknie wychodzącym na podwórze i zamówili skrzynkę piwa, czemu się tutaj nikt nie dziwił. Zdżichu powiedział, że kiedy miał już tę skrzynkę pełną „granatów”, poczuł się lepiej. Dziewczyna gdzieś się ulotniła, a oni mieli nadstawiać za nią karku.

Długo nie czekali. Otworzyły się drzwi i pierwszy wszedł „znajomy” Szwed, a za nim kilku czy też kilkunastu kolegów. Szwed ro-

zejrzał się i ruszył w ich stronę. Był wściekły i nieostrożnie podciął krzesło siedzącemu gościowi, który spadł na podłogę, ale szybko się pozbierał i od tyłu mocno uderzył Szweda w ucho. Szwed upadł na sąsiedni stolik. Zaczęła się bijatyka. Bili się Szwedzi z Turkami, bo ten, który spadł z krzesła, był Turkiem. W powietrzu fruwały butelki, karafki, popielniczki, krzesła i co tam jeszcze było. Zdzichu z „Małym” wykorzystali zamieszanie, przez okno wyskoczyli na podwórze i „ulotnili się” bez najmniejszych obrażeń.

W czasie Świąta Morza Warchoł z dwoma kolegami popisywali się, skacząc do wody z masztów „Daru Pomorza”. Skoki odbywały się z dużych wysokości. By nie znaleźć się zbyt głęboko w wodzie, należało się nieco przegiąć, co umożliwiało szybsze wypłynięcie na powierzchnię. Zdzichu przegiął się zbyt mocno. Zabolął go kręgosłup i nie był już w stanie wyjść z wody o własnych siłach.

Gdy byli na morzu, często okrętowi towarzyszyły duże ryby. Byli przygotowani na taką okoliczność, mieli w kabinie zaciskającą się pętlę z miękkiego drutu. Któregoś razu zrównał się z nimi węgorz dużych rozmiarów. Zdzichu pobiegł do kabiny po pętlę, ale w tym czasie węgorz już się znacznie oddalił. Zdzichu z kolegą złapali się za ręce, on ze swoją pętlą wychylił się za burtę okrętu, co umożliwiała mu odpowiednie jej ustawienie i zaciśnięcie jej na rybie. „– Był to największy węgorz, jakiego widziałem i jakiego udało mi się złowić”. Po pewnym czasie pojawiły się refleksje, bo kilka godzin przed złowieniem tego okazałego węgorza w Gdyni zostały wydobyte resztki wielkiego niemieckiego okrętu. Był wypełniony cementem i zatopiony przez Niemców przy wejściu do portu w Gdyni. Właśnie był cięty przez nurków aparatami tlenowymi i wydobywany w kawałach na powierzchnię wody.

Teraz Zdzichu wielkość złowionego węgorza łączył z tym, że siedział on gdzieś w zatopionym okręcie i żywił się „czymś treściwym”, być może szczątkami ludzkimi. Zdzichowi zrobiło się niedobrze, było już jednak za późno, ponieważ z węgorza już nic nie pozostało.

STUDENT

W szkole oficjalnie zwracano się do nas per „student”. W takiej formie wzywano nas przez radiowęzeł i w innych okolicznościach. Byliśmy z tego dumni. Czuliśmy się prawie studentami, gdy chodziliśmy na popularne odczyty z fizyki na Politechnikę Gdańską,

wygaszane przez prof. Arkadiusza Piekare. W przystępny sposób mówił o bardzo ciekawych zagadnieniach. Słuchaliśmy tego z wielkim zainteresowaniem.

Stopniowo ten bardzo pracowity rok szkolny zbliżał się ku końcowi. Rosła nerwowość związana z egzaminami końcowymi i z wyborem kierunku studiów. Egzaminy końcowe nie były ulgowe. Obecni na nich byli przedstawiciele gdańskich uczelni. Na egzaminie z matematyki w naszej grupie był przedstawiciel Politechniki Gdańskiej. Nie dla wszystkich z grupy egzaminy zakończyły się pomyślnie. Trzy osoby zostały skierowane na nietechniczny kierunek studiów.

Duże zamieszanie powstało, kiedy wywieszono listę uczelni, na które mieliśmy prawo wstępu bez egzaminów. Była na niej także Politechnika Warszawska i miejsca na radiotechnice. Słowo „radiotechnika” miało dla nas w tym czasie wręcz magiczne znaczenie, choć dla mnie radio nie było czymś zupełnie egzotycznym. Nie kojarzyłem go tylko z ebonitową skrzynką, oświetloną skalą i gałkami do pokręcania. Pan Barański w Złotowie naprawiał radioodbiorniki, więc miałem już pewne pojęcie o radiu i zasadzie jego działania. Zdawałem sobie sprawę, że nie chodzi o to, co jest zawarte w ebonitowej skrzynce, ale o całą wielką naukę opartą na tej technice – w tym czasie do przemysłu wkraczała już elektronika.

Na radiotechnikę do Warszawy zapisała się z naszej szkoły liczna grupa. Przed zajęciami na uczelni zrobiono nam powtórkę z matematyki, więc przyjechaliśmy do Warszawy dwa tygodnie wcześniej, u schyłku lata 1951 r. Zajęcia odbywały się w pomieszczeniach warszawskiego USP. Dla nas te wcześniejsze zajęcia miały dwa aspekty. Po pierwsze – powtórzyliśmy materiał, po drugie – duże znaczenie miało to, że zajęcia były prowadzone już w formie zbliżonej do akademickiej, co dało nam pewne wyobrażenie o nauce na uczelni.

Wydział, na który trafiliśmy, nazywał się „Łączność”. Pryśły mrzonki o radiotechnice, choć niezupełnie, bo ten kierunek, na naszym wydziale był przewidziany w ramach specjalizacji, po pewnym przygotowaniu z podstaw elektrotechniki. Oprócz radiotechniki były też specjalizacje z zakresu: teletechniki, automatyki przemysłowej, radiolokacji, budowy lamp elektronowych, telewizji i elektromedycyny.

Do Warszawy jechałem z wielkimi nadziejami. Byłem szczęśliwy, że udało mi się skończyć USP w Oliwie i że otwarły się przede mną drzwi uczelni wyższej. Nigdy wcześniej o tym nawet nie marzyłem. Zdawałem sobie sprawę, że los mi sprzyja i w skrytości liczyłem na

to, że tak będzie dalej. Wiedziałem jednak, że losowi należy pomóc, co oznaczało, że czeka mnie bezwzględna, ciężka praca.

Z doświadczenia zdobytego w Oliwie wiedziałem, że nie wolno mi opuszczać żadnych zajęć i że muszę skrzętnie wszystko notować, ponieważ nie umiem się uczyć z cudzych notatek. Jeżeli nawet czegoś nie zrozumiem na wykładach, to będę to mógł odtworzyć z notatek. Zdawałem sobie przy tym również sprawę z tego, że mam małe przygotowanie do studiów i muszę sukcesywnie nadrabiać braki. Nie miałem przecież średniego wykształcenia. Mało tego, przez USP przeszedłem na skróty, ponieważ wstąpiłem od razu na drugi rok

Byłem ciekaw stolicy. Z miastem tym łączyły mnie różne wspomnienia z dzieciństwa, w szczególności z okresu wojny i czasów po jej zakończeniu. Wiedziałem, że w Warszawie są duże zniszczenia, ale to, co zobaczyłem, przeszło wszelkie moje oczekiwania, nie jestem w stanie tego odpowiednio opisać. Oczami wyobraźni widziałem, jak żołdacy w mundurach feldgrau, znaczeni czarnymi krzyżami (sylwetki ich dobrze pamiętałem) niszczą miasto, rabują majątek Polski, mordują masowo ludność cywilną. I jakby tego było mało – palą i wysadzają zabytki i domy mieszkalne. Ci Hunowie dwudziestego wieku mieli szczególne zdolności i predyspozycje niszczycielskie, jak również skłonności mordercze. Nie mieli sobie równych w cechującym ich bestialstwie. Porażające przy tym było to, że drugi śmiertelny wróg polskiego narodu – spod znaku sierpa i młota – stał za Wisłą bezczynnie i czekał aż Niemcy dokonają swego i Powstanie Warszawskie wygaśnie. W dodatku tych drugich musieliśmy nazywać przyjaciółmi.

Zamieszkaliśmy w akademiku przy pl. Narutowicza w czteroosobowym pokoju. Koledzy, z którymi dzieliłem pokój, wywodzili się z gdańskiego USP. Otrzymałem stypendium, co miało dla mnie bardzo istotne znaczenie. Moje „kułackie” pochodzenie nie stanowiło w tym przeszkody. Tak naprawdę kwalifikacja na „kułaka” było uznaniowa, nikt nie wiedział, od ilu hektarów chłop się nim staje.

Wszystkich nas na pierwszym roku było około stu osiemdziesięciu. Zostaliśmy podzieleni na sześć grup. Stosunkowo szybko wdrożyliśmy się do zajęć. Na początku były to wykłady z podstawowych przedmiotów.

Od początku narzuciłem sobie rygor prowadzenia jak najdokładniejszych notatek z wykładów. Prowadziłem je na luźnych kartkach, które w akademiku wpinałem do skoroszytów. Ostatnie,

niezapisane do końca kartki z danego przedmiotu miałem zawsze przy sobie, w ten sposób nie musiałem kontrolować, jakie tego dnia są wykłady. Nie obciążałem się również już wcześniej sporządzonymi notatkami.

W grupach i na roku zawiązały się najrozmaitsze sympatie i przyjaźnie. Ja podchodziłem do tego ostrożnie. Liczyłem się z możliwością szpiclowania, co w tym czasie było bardzo powszechne. Przyjąłem zasadę – słuchaj i obserwuj. Tym bardziej, że zaczęto nas mocno upolityczniać. Ujawnili się też wśród kolegów aktywiści, których było mniej niż dziesięć procent, a także sympatycy tej rzeczywistości, którzy starali się być niezbyt widoczni, ale można było ich wyczuć.

W tym czasie Polska była poddawana intensywnej sowietyzacji. W najróżniejszy sposób prowadzono indoktrynację społeczeństwa. Przy każdej okazji, albo i bez niej, Związek Sowiecki przywoływano jako wzór do naśladowania. Tam wszystko było najdoskonalsze, najlepsze, jednym słowem bez skazy. Każdy, oczywiście jeśli chciał, mógł się przekonać, że jest to wielkie kłamstwo. Każdy mógł się też dowiedzieć, na czym polega osławiona przyjaźń polsko-radziecka i pomoc, jakiej nam udzielają. Nie było tajemnicą, ile ta pomoc nas kosztuje. Wszystko to już poznałem w wojsku i na USP. Doskonale też wiedziałem, że jeżeli chce się dotrwać do końca studiów, to obowiązuje ta sama co dotąd zasada – trzymać język za zębami, nie rozmawiać na te tematy, nie pokazywać, że się wie, jaka jest prawda.

Znów wpadłem w kompleksy. Wydawało mi się, że nic nie umiem, że ciągle mogę być zagrożony. Wpływało to negatywnie na samopoczucie, ale miało też i dobre strony, bo dodatkowo mnie mobilizowało. W akademiku panował duży zapał do nauki. Cała nasza czwórka uczyła się na maksymalnych obrotach.

STALINIZM

W kraju toczyła się „walka klasowa”. Trwała nagonka na wielu ludzi. Główne uderzenie skierowano przeciw inteligencji i chłopom. Winą za całe zło w kraju obarczono ludzi o takich właśnie rodowodach. Odpowiedzialność przenoszono z ojca na syna. Mówiło się przy tym, że władzę sprawuje dyktatura robotniczo-chłopska. W rzeczywistości rządziła partia i ludzie przez nią wyznaczeni. Rządzono oczywiście pod dyktando sowieckiego.

Więzienia zapełniły się ludźmi. Wsadzano za byle co. Funkcjonowało zasada – pokażcie człowieka, a dowody obciążające znaj-

dziemy. Inaczej mówiąc, sfabrykujemy. Oskarżali „prokuratorzy” przygotowywani do pełnienia tej funkcji na kilkutygodniowych kursach.

Sądzono i tracono ludzi podziemia. Sądzono również ludzi wracających z tułaczki wojennej, którzy służyli w wojsku na zachodzie. Na karę śmierci został skazany między innymi bohater narodowy, pilot Stanisław Skalski. Człowiek ten zestrzelił pierwszy niemiecki samolot. Miało to miejsce pod Toruniem, wcześniej rano pierwszego września w 1939 r. Zestrzelił ich jeszcze siedemnaście, gdy latał w Anglii. Na szczęście wyroku nie wykonano.

Za opór wobec władzy masowo zamykano chłopów. Opór polegał na tym, że ludzie ci często nie mogli się wywiązać z przymusowych dostaw zboża, nazywanych obowiązkowymi. W Brzostowie zamknęli naszego sąsiada Jana Zawistowskiego, człowieka w podeszłym wieku, bo nie wywiązał się z dostawy, gdy grad zbił mu zboże. W naszym domu „trójka” zabierała zboże przeznaczone do siewu. Siostra tłumaczyła, chciała temu zapobiec, bez skutku. W końcu zepchnęli ją ze strychu po schodach, a była w ciąży, na szczęście nie poroniła. Takie przymusowe rekwizycje nazywano „rozkułaczaniem chłopów”.

Przekonywano chłopów, że mogą tych represji uniknąć, jeżeli przystąpią do kolektywnego gospodarowania, bo indywidualne gospodarstwa są mało wydajne. To było wielkie kłamstwo. W rzeczywistości było odwrotnie, czego świadectwo stanowiły ich „kolektywne” pola. Jeżeli nawet zboże skoszono, to nie zdążyli wszystkiego sprzątnąć i część gniła w snopkach na polu. Te kolektywne gospodarstwa nazywano z rosyjska „kołchozami”. Podobnie gospodarzono w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Ludzie z miasta, z zakładów pracy jeździli jesienią w soboty na wieś, żeby pomagać jednym i drugim zbierać ziemniaki i buraki. Ale i tak niezebrana część tych płodów zamarzała na polach. Podobnie gospodarzyli za wschodnią granicą. Tam tzw. subotniki były obowiązkowe. To stamtąd czerpałszy wzory. Polskie chłopstwo odmówiło uczestnictwa w gospodarstwach kolektywnych. Powstały nieliczne kołchozy w miejscach, gdzie ludzi skłoniono do takiej decyzji podstępem albo obietnicami, nigdy zresztą niespełnionymi. Byli tacy, którzy twierdzili, że gdyby kolektywizacja przyszła z zachodu, to byłoby więcej chętnych.

Pojawiły się silne tarcia społeczne – jedne grupy społeczne szczuto przeciw innym. W to wszystko wciągnięto nas, studentów.

Studenty aktywiści jeździli na wieś namawiać chłopów do wstępowania do kołchozów. Mówiło się, że jeżdżą uświadamiać chłopów. Powstawały śmieszne sytuacje, kiedy na tematy wiejskie wypowiadały się mieszcuchy, które nie miały pojęcia o problemach wsi. Używano np. takich „koronnych argumentów” jak ten, że jak się zaorze między polami, to myszy stracą miejsce do wylęgu.

Chcąc kolektywizować wieś, należało zacząć od jej zmechanizowania. Maszyny powinny wyręczać ludzi w ciężkiej pracy. Indywidualni gospodarze i ich rodziny pracowali wiele godzin dziennie i zdążali posprzątać swoje plony. W kołchozie jeden pracował, inny pił wódkę, ale przy podziale dochodu wszyscy byli równi, nie było więc bodźców do wyteżonej pracy. Stąd kłopoty ze zbiorami i niezbędna pomoc ludzi z miasta, która jednak nie rozwiązywała zasadniczych problemów, nie było takich możliwości. Marny to rolnik, który bazuje na bezpłatnej pomocy mieszcuchów.

Na temat kolektywizacji dyskutowano wszędzie. Dyskutowaliśmy i my w naszych pokojach w akademiku. Przez różnice w poglądach czteroosobowa społeczność naszego pokoju została podzielona. Jurek i Mietek byli zwolennikami kolektywizacji, natomiast Jasiu i ja uważaliśmy, że polską wieś można zmienić przez jej zmechanizowanie i produkcję nawozów sztucznych. Praktyka pokazała, że sowiecki model gospodarowania jest przyczyną samych bied. Uważaliśmy, że Sowietów powinni najpierw u siebie gospodarkę rolną ustawić na poziomie i zlikwidować biedę, a dopiero później ją eksportować. Do szczerzej i rzeczowej dyskusji w pokoju nie dochodziło, ponieważ dzieliła nas zbyt duża różnica poglądów. Jurek, Mietek i Jasiu mieli pochodzenie robotnicze, ja chłopskie.

Byłem związany z wsią emocjonalnie i miałem chłopską mentalność. Wiedziałem, jak ciężko na wsi trzeba pracować, żeby sobie zapewnić jako taką egzystencję. Ta ciężka praca dawała jednak pewność jutra i tym samym przywiązywała chłopów do ziemi. Tymczasem teraz kazano mu jednym podpisem rzec się tej ziemi i zdać na łaskę i niełaskę nieznanym ludzi, często kryminalistów lub zdeklarowanych alkoholików. Pracując na swoim, chłop wiedział, co ma i na co może liczyć. W kołchozie mogło być tylko gorzej.

Cała sprawa z kolektywizacją miała jednak wymiar polityczny. Chłop, pracując na swoim, był zniewolony ciężką pracą, ale nie był zależny od czyjegoś widzimisie, a to, co osiągnął, miał dla siebie. Niezależność chłopska nie była na rękę państwu totalnemu. Total-

ne państwo chciało mieć wszystkich w garści. Wiedzieć, co kto robi i co kto myśli. W praktyce wyglądało to tak, że w zbiorowym miejscu pracy było mnóstwo „wtyczek” i donosicieli różnej maści. Był to jeden ze sposobów zniewalania i pozbawiania niezależności narodu polskiego. O wszystkim musiał wiedzieć sekretarz partii. Złośliwi mówili, że miały być nawet wspólne żony.

„AKTYWIŚCI”

Był rok 1953. „Aktywiści” na roku i w grupach wychodzili z siebie, żeby nas upolitycznić. Wyglądało to tak – podczas przerwy w wykładach wyskakiwał taki przed audytorium, prosił by pozostać na miejscach i „wciskał” swoje mądrości. Najczęściej szukano chętnych do wyjazdu w teren, by uświadamiać chłopów. W ten sposób łowiono chętnych, którzy nie umieli im odmówić. Mówiło się o nich, że „jeżdżą uczyć chłopów nakręcać zegarki”. Takie wyjazdy odbywały się samochodami z zakładów pracy.

Byłem na roku w szóstej grupie, która nie miała dobrej opinii. Któregoś razu wyznaczono na określoną godzinę zebranie ZMP. Przynależność do tej organizacji nie była obowiązkowa, ale „lepiej” było należeć, więc należeli prawie wszyscy. Jak się okazało, zebranie było ważne, miało na celu ideologiczne „prostowanie” naszych kręgosłupów. W tym celu zaproszono nawet gości z zewnątrz, zetempowców ze starszych lat. Na początek przewodniczący naszego koła wypalił „z grubej rury”, oświadczając, że w grupie dzieje się źle, a poszczególni jej członkowie lekceważą swoje obowiązki organizacyjne i nie przychodzą na zebrania. Obserwował nas od dłuższego czasu i przedstawił listę nieobecności poszczególnych kolegów. Raz z powodu dużej absencji zebranie w ogóle się nie odbyło. Były to bardzo istotne zarzuty i należało się bronić. Doświadczenie życiowe mnie nauczyło, że najlepszą obroną jest atak.

Poprosiłem o głos. W pierwszej chwili przeprosiłem w imieniu wszystkich delikwentów, którzy dopuścili się absencji na zebraniach i wyraziłem podziw przewodniczącemu koła za jego pracowitość i aktywność organizacyjną. Rozpromieniło to jego oblicze. Z dalszej części moich wywodów przewodniczący już nie był tak zadowolony. Zarzuciłem mu, że zbyt późno zareagował na naszą pasywność organizacyjną. Należało to zrobić wcześniej i zwrócić nam uwagę, a nie czekać aż dobrniemy do skraju przepaści, w którą możemy się stoczyć. Porównałem to nawet do wbijania noża w plecy

człowiekowi, który popełnił błędy i znalazł się w ślepych zaułku. W grupie obwinionych było kilku kolegów z USP. Powiedziałem też, że przewodniczący ma dobre wyniki w nauce i nie musi się tak dużo uczyć jak my, absolwenci USP. Na naukę wykorzystujemy każdą dogodną chwilę, jaka się nadarzy, stąd nasza nieobecność na zebraniach. Nie były to ideologiczne argumenty, ani szczerza prawda – ale poskutkowało. Po mnie nie zabierał głosu już nikt z kolegów, ani przewodniczący koła, ani nikt z zaproszonych gości. Zebranie zakończyło się nijak.

Podobny incydent miał miejsce na ogólnym zebraniu całego roku. Jeden z kolegów miał wielki „pociąg” do wojska. Kiedy na zajęciach ze Studium Wojskowego brał do ręki karabin, na twarzy jego malowała się pełnia szczęścia. Na zebraniu poprosił o głos i zaatakował tych, którzy nie entuzjazmują się wojskiem i mają o nim inne zdanie niż on. Swoje uwagi kierował pod adresem tych, co wojsko odslużyli (było takich na roku około dziesięciu), a w szczególności do mnie. Znowu poczułem obowiązek zabrania głosu i wyjaśnienie całej sprawy. Wyjaśniłem, że „entuzjasta wojska” przez pewien czas mieszkał ze mną w akademiku. Dyskutowaliśmy na różne tematy, również o służbie wojskowej. Mówiłem o tym, że żołnierz w wojsku nie jest obsypywany różami, że przeżywa też trudne chwile. Mój oponent widział jednak służbę wojskową przez „różowe okulary”, więc uznał, że ja o wojsku mówię nieprawdę, co mi publicznie zarzucił. Podkreślił, że taka postawa jest szkodliwa, demobilizuje studentów i negatywnie nastawia ich do wojska. Zarzut był poważny.

Wyjaśniłem więc, że żaden z nas, którzyśmy odslużyli wojsko, nie miał problemów z dyscypliną. Miał je natomiast ów wielki entuzjasta wojska. Na obozie wojskowym kaprał dał mu polecenie umycia nóg. Nie wykonał polecenia i chciał z brudnymi nogami iść spać. Po interwencji kaprała koledzy zawinęli go w koc i zanieśli do łazienki, gdzie nogi umył. Po tej opowieści sala zagrzemiała śmiechem. Śmiało się około stu osiemdziesięciu osób. Stasiu (tak miał na imię „entuzjasta”) nie wytrzymał tego nerwowo i schował się pod ławkę.

To, że szósta grupa nie „błyszczala” na tle innych, potwierdziło się jeszcze raz podczas zdawania egzaminu z marksizmu i leninizmu. Kilka osób pod rząd dostało dwóje. W końcu cała grupa została z egzaminu wyrzucona. Nie przypominam sobie, by ktoś z tego powodu ubolewał, choć zapewniano nas, że to jest bardzo ważny egzamin

Jaki był ważny na studiach marksizm i leninizm, przekonałem się na potańcówce w Szkole Służby Zagranicznej i Handlu Zagranicznego. O ile sobie przypominam, było to przy ulicy Wawelskiej w Warszawie. Zaprosił nas kolega z gdańskiego USP, który tam studiował. Szokujące było to, że w czasie zabawy kolejne osoby wchodziły na podium, podnosiły rękę i wtedy – orkiestra przestawała grać, a osoba na podium wygłaszała jakieś cytaty z przemówień Lenina na zjeździe partii. Wszyscy się zatrzymywali i zwracali się ku mówiącemu twarzami. Kiedy skończył, orkiestra ponownie zaczęła grać. Ten wiernopoddany cyrk powtarzał się co kilka minut. Jedyna różnica polegała na zmianie cytowanych autorów i okoliczności ich wystąpień – raz był Lenin, drugi raz Stalin, czy też inne bożyszcze. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom i uszom.

NAGONKA

To bałwochwalstwo wzbudziło we mnie głęboki wstręt. Wydawało mi się nawet, że studentki tych szkółek oceniają naszą wartość przez pryzmat ideologiczny. Wiadomo, kto z kim przystaje, takim się staje. One mierzyły wysoko. Marzyły o wyjeździe na placówkę za granicę, a taki bezideowy głąb z politechniki, mógłby w tym przeszkodzić. Ja z kolei pomyślałem sobie – jak ludzie o takiej służalczej mentalności mogą reprezentować kraj? Nie mógłbym tam studiować, nawet gdyby mnie ozłocili. Nie zniósłbym tej obłudnej i służalczej atmosfery. Podobno studentów politechniki można było rozpoznać po ich sposobie bycia, ale mylili by się ten, kto pomyślałby, że na naszym wydziale królowała bezideowość.

Przyszliśmy kiedyś na wykład z fizyki, który miał się odbyć w starej kreslarni w dawnej szkole Rotwanda i Wawelberga na ulicy Narbutta. Zajęliśmy miejsca i czekaliśmy na wykładowcę, prof. Franciszka Zienkowskiego. Profesor zjawił się o określonej godzinie. Niósł kilka książek i jakieś puste baloniki – wykład miał dotyczyć gazów. Kiedy wszedł na salę, z pierwszego rzędu wyskoczyli dwaj osobnicy i zastąpili mu drogę. Jeden był jego asystentem, drugi był naszym kolegą z roku. Asystent wygłosił krótkie oświadczenie, z którego wynikało, że studenci nie życzą sobie, by profesor wykladał. Było to ewidentne kłamstwo, studenci nie składali takiego oświadczenia. Wszyscy oniemieli. Zapanowała cisza. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Profesor zatrzymał się. Z pokrętnych wyjaśnień asystenta wynikało, że profesor jest „przeciwny obecnej rzeczywistości” i my

studenci nie będziemy słuchać wykładów „takiego człowieka”. Profesor skierował się do wyjścia. Asystent usiłował go zatrzymać, by „wysłuchał głosu młodzieży”. Profesor oświadczył, że nie ma obowiązku uczestniczyć „w wiecu szczeniaków” i wyszedł z pomieszczenia. Do wspomnianej dwójki dołączył jeszcze trzeci z naszych kolegów.

Zaczęła się dyskusja. Trójka krzykaczy przekonywała nas, że profesor z jego poglądami nie może uczyć, ponieważ ma to zły wpływ na młodzież. Nie przypominam sobie ani jednego rzeczowego argumentu na niekorzyść profesora – był to zwykły partyjny bełkot. Opluwano niewinnego człowieka, żeby mu przypisać nieistniejące winy. Czyniono to tak szybko i chaotycznie, że na dobrą sprawę nie było wiadomo, o co właściwie chodzi. „– Kto jest za usunięciem profesora z uczelni, niech podniesie rękę”. Nastąpiła chwila konsternacji. W pierwszej chwili nikt ręki nie podniósł. Krzykacze uciekli się do pogroźek, tworząc atmosferę niepewności i przymusu. Ja poczułem się jak osaczone zwierzę. Przeszło mi przez myśl, że w tej chwili mogę stracić wszystko, na co ciężko pracowałem przez ostatnich kilka lat. Najgorsze było jednak to, że mój upór na nic się nie zda, ponieważ oni i tak zrobią to, co będą chcieli. Za drugim wezwaniem do głosowania podniosło się już sporo rąk. W miarę upływu czasu i kolejnych wezwań, podniesionych rąk przybywało. Było widoczne, że ta trójka dopnie swego. Studenci nie patrzyli na siebie, wlepili wzrok w białe stoły, ale ukradkiem obserwowali sąsiadów. Z wielkim zażenowaniem i wstydem zacząłem podnosić rękę. Tamci tryumfowali. Krzyczeli już tylko: „– Wyżej ręce koledzy, wyżej!”. Po głosowaniu nie mogłem dojść do siebie. Zdradziłem życiowe ideały. Doskwierało mi to przez kilka lat.

Od głosowania wstrzymały się trzy osoby. Dwie koleżanki i jeden kolega. Krzykacze rzucili się na tę trójkę i kazali im uzasadnić swoje stanowisko. Czynili to z taką wściekłością, że dziewczyny zaczęły płakać i nie były w stanie w pełni uzasadnić własnych decyzji, a oni uznali to za swój triumf. Jedna z koleżanek nazywała się Kułakowska, drugiej nazwiska nie pamiętam. Kolega nazywa się Ryszard Miąc. Wytrwał do końca, wściekła nagonka nie rzuciła go na kolana, spokojnie uzasadnił swoje stanowisko. Obie dziewczyny po pewnym czasie przeniosły się na Uniwersytet Warszawski. Ja osobiście uznałem tę trójkę za bohaterów.

Profesor był człowiekiem bardzo wymagającym. By zdać u niego egzamin, trzeba było dobrze się przygotować. Podobno jacyś

„działacze” mieli problemy ze zdaniem u niego egzaminów, uznali zatem, że szczególnie trudności profesor stwarza takim ludziom jak oni. Uznali również, że dzieje się im krzywda i lepiej będzie go usunąć. Profesor był bardzo przyzwoitym i dobrym człowiekiem. Oddany nauce i młodzieży wkładał bardzo dużo wysiłku w pracę dydaktyczną. Choć był już staruszkciem, własnoręcznie kuł ściany i uczestniczył w urządzaniu laboratorium z fizyki, gdzie odbywaliśmy ćwiczenia.

Usuując profesora z uczelni, wyrządzono wielką krzywdę nie tylko jemu, ale również młodzieży. Fizyka jest podstawą wiedzy inżynierskiej. Następca profesora był również profesorem, był nawet ministrem, ale o fizyce młodzież od niego niewiele się dowiedziała. Finał tej sprawy był bardzo smutny – po wydarzeniach 1956 r. profesor został zrehabilitowany. Aby go o tym powiadomić, wybrała się do niego delegacja studentów. Jego serce nie wytrzymało tych napięć i profesor zmarł następnego dnia.

To doświadczenie „wykańczania” zasłużonego profesora, zupełnie nieoczekiwane, miało dla mnie pewien pozytywny wymiar. W czasie tego ponurego spektaklu, którym było „głosowanie”, przekonałem się, że wszyscy mocno przeżywają swoją bezradność i właściwie wszyscy są w podobnej sytuacji – zmuszającej nas do postępowania wbrew własnej woli. Doszedłem do wniosku, że moje uprzedzenia i nieufność w stosunku do ludzi (a tej nabrałem w wojsku i na USP), nie potwierdziły się w tej historii. Moje studenckie otoczenie miało zdrowe kręgosłupy i było przesycone zdrowymi ideami.

STUDIUM WOJSKOWE

Jako student nie byłem orłem w nauce, ale udawało mi się wszystko zaliczać. Robiłem to jednak z dużym wysiłkiem. Przygotowując się do egzaminu z matematyki, postanowiłem sobie trochę pofolgować i nie poszedłem na egzamin ze Studium Wojskowego, który był dwa dni przed tym z matematyki. Następstwa były fatalne. Usiłowałem zdać zaległy egzamin w terminie poprawkowym, ale mi się nie udało. Parę razy wchodziłem do pokoju studium, by ustalić termin egzaminu. Zawsze było tam kilka osób. Wydawało mi się, że nie ma potrzeby meldowania się, ponieważ w ogólnym hałasie i tak to nie dotrze do urzędującego tam podporucznika. Myliłem się jednak. Wojak zapamiętywał tych, co wchodząc do jego pokoju, nie meldowali się. Kiedy przyszła moja kolej, wojak spojrzał na mnie

badawczo: „– Wyjdźcie za drzwi i zameldujcie się”. Jak usłyszałem to „wy”, wróciły wspomnienia i przeżycia z czynnej służby i nie byłem już w stanie powrócić i się zameldować.

Zostałem wezwany na komisję dyscyplinarną, która odbywała się w dziekanacie. Budziłem pewną ciekawość – za co można stać na komisję ze Studium Wojskowego? Opowiadałem każdemu po kolei z przybywających członków komisji, jak to „wy” odbierało mi siłę, żeby ponownie wejść do pokoju studium i ustalić termin egzaminu. W końcu, zdenerwowany, przestałem odpowiadać na pytania. Wreszcie zebrała się komisja. Studium Wojskowe reprezentował jego dowódca na politechnice mjr F. Wygłosił stosunkowo długie przemówienie, z którego wynikało, że jestem podłym człowiekiem, bo w dobie poważnych zagrożeń wynikających z sytuacji międzynarodowej, lekceważę wyszkolenie wojskowe. Zakończył obraźliwie, że zachowuję się tak, jakbym nie był Polakiem. To sformułowanie tak mnie dotknęło, że wstałem z miejsca i chciałem powiedzieć coś „o rodowodzie” majora. Przewodniczący komisji poprosił, żebym usiadł. Major zaproponował cofnięcie mnie o rok w studiach. Po usłyszeniu tego werdyktu wstałem i powiedziałem, że rezygnuję ze studiów. Oświadczyłem również, że wypowiedzi majora o mojej narodowości są dla mnie obraźliwe. Po tych słowach wyszedłem. Nie było to zbyt mądre posunięcie, ale w praktyce okazało się bardzo skuteczne.

Wsiadłem do tramwaju i pojechałem do akademika. Położyłem się na łóżku, by odzyskać równowagę. Mniej więcej po pół godziny przyszedł do mnie gość. Rozpoznałem w nim członka komisji dyscyplinarnej, którą niedawno opuściłem. Był to sekretarz partii Wydziału Łączności, student trzeciego roku, człowiek bardzo komunikatywny. Powiedział, że nikt z komisji, poza majorem, mnie nie potępił i nie jest do mnie negatywnie ustosunkowany. Komisja następnego dnia ma odwołać się w tej sprawie do rektora uczelni. Prosił mnie przy tym, żebym do tego czasu nie czynił żadnych posunięć, które mogłyby jeszcze bardziej skomplikować sprawę.

Następnego dnia poszedłem na zajęcia. Około godziny jedenastej przyszedł ktoś z dziekanatu i powiedział, że mam o wyznaczonej godzinie stawić się u rektora. Było nas dwóch wezwanych. Sekretarka posadziła nas w klubowych fotelach obok szerokiego stołu. Po kilku minutach wszedł rektor, przywitał się z nami, podając rękę, i zapytał o moje nazwisko. Od tej chwili całą uwagę skupił na mojej osobie. Ze słów rektora wynikało, że zna bardzo dobrze

moją sprawę. Powiedział, że w życiu człowieka bywa różnie – raz dobrze, raz źle, a innym razem bardzo źle. Napotkałem pewne trudności i muszę je pokonać, a on mi w tym pomoże. Radzi, bym poszedł do Studium Wojskowego, uzgodnił termin i przystąpił do egzaminu komisyjnego, a także, bym wyzbył się wszelkich uprzedzeń, nie zwracał uwagi na „wy” i inne formy. Powiedział też, że studenci używają określenia „Politechnika przy Studium Wojskowym”. „– To nie jest tak. Jak długo będę rektorem, tak długo będzie to Studium Wojskowe przy politechnice”. W końcu rektor zapytał wprost, czy będę ten egzamin zdawać i czy chcę dalej studiować. Oświadczyłem uroczyście, że tak. Rektor uznał naszą rozmowę za skończoną i dodał, że gdybym nie dotrzymał słowa, to gdybyśmy się spotkali po latach, byłoby nam nieprzyjemnie. Poszedłem do Studium Wojskowego, tym razem zameldowałem się głośno i wyraźnie, uzgodniłem termin egzaminu komisyjnego.

Na egzaminie zameldowałem się regulaminowo. Zdziwiłem się, że nie widzę członków komisji, jedynie podporucznika. Jakiś czas stałem bezradnie przy balustradzie i wreszcie podporucznik zapytał: „– Co to są widły boczne?”. Nie wiedziałem: „Co to jest stosunek zamiany?”. Nie wiedziałem. To co wy umiecie? Odpowiedziałem, że tego nas nie uczyli. „– Po którym wy jesteście roku? – Po pierwszym. – To trzeba było tak od razu mówić”. Kazał mi wziąć ze stojaka karabin, postawił na baczność. Sam wstał, przyjął postawę zasadniczą i wydał kilka komend. Poćwiczyłem trochę tym karabinem. Wreszcie przepędził mnie, dał komendę: „Padnij, powstań!”. Potem kazał odstawić karabin. „– Możecie odejść”. Spytałem go, czy zdałem egzamin. „– Nie gadajcie!”.

Przyszedłem na egzamin komisyjny, ale nie było komisji. Przepytywał mnie gość jednoosobowo, nawet nie wiedział, po którym jestem roku. Wyglądało to bardzo niepoważnie, wręcz groteskowo. I po co było w to wszystko angażować rektora? Po kilku dniach dowiedziałem się, że wojsko mam zaliczone. Należy przyznać, że wojsko, nie pierwszy zresztą raz, dali mi niezłe przeszkolenie.

BAL

Którejś soboty, po całonocnej harówce zebrała się koło akademika grupa studentów. Ktoś powiedział, że w SGPiS na ul. Rakowieckiej jest zabawa. Postanowiliśmy tam pojechać. Zabawa była, ale za zamkniętymi drzwiami. Bawili się budowniczowie Pałacu Kultury. Koledzy spenetrowali teren i okazało się, że do budynku można

wejść – w związku z remontem, dla wjazdu taczkami ułożono skośny podest przez okno do ubikacji. Taką właśnie drogą paru kolegów weszło na tę elitarną zabawę, a kilku z nas pozostało na zewnątrz.

Zabawa trwała w najlepsze, gdy nagle dały się słyszeć jakieś krzyki, przechodzące w ryki, orkiestra przestała grać. Po jakimś czasie wyszli nasi zabawowicze. Wyszli tak, jak weszli, po tym skośnym podeście, ale jednak w znacznym pośpiechu. Opowiadali, że od kiedy znaleźli się na sali, zabawa znacznie się ożywiła, ponieważ dotychczas było za mało mężczyzn. Rosjanki tańczyły z nimi chętnie. Można powiedzieć, że nawet bardzo chętnie, ponieważ tańczyli inaczej. Wreszcie stróże „moralności socjalistycznej” dopatrzili się, że oni tańczą zakazane amerykańskie tańce. Stąd te krzyki. Jeden z nich ryczał tubalnym głosem, że „nam tutaj nie są potrzebne amerykańskie ugi-bugi”. Zwolennicy amerykańskich tańców zostali zidentyfikowani i wylegitymowali. Okazało się, że wszyscy są studentami politechniki. „Stróż” zapowiedzieli, że zwrócą się do rektora politechniki o ich usunięcie z uczelni. Pocieszałem zmartwionych kolegów. Opowiedziałem o mojej wizycie u rektora w sprawie wojska. Mówiłem, że jest to wspaniały, „życiowy” człowiek i na głowie ma ważniejsze problemy niż to, że jego studenci obrazili tańcem socjalistyczną moralność budowniczych Pałacu Kultury. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że ta „zadyma” nie spowodowała żadnych negatywnych następstw.

PROFESOROWIE

Można powiedzieć, że stosunek rektora do mnie i do mojej sprawy był opiekuńczy, wręcz ojcowski. Rektorem w tym czasie był prof. Edward Warchołowski. Podobnie odnosili się do nas inni profesorowie. Na egzamin z podstaw elektrotechniki u prof. Pawła Nowackiego czekałem w kolejce ze cztery godziny. To czekanie mnie nerwowo wyczerpało, co widoczne było nawet na mojej twarzy. „– Panie, w takim stanie pan przychodzi na egzamin?”. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. Profesor wyjaśnił mi, że wyglądam na skrajnie wyczerpanego człowieka. Odpowiedziałem, że jest to skutek długiego czekania i „giędy” przedegzaminacyjnej. Profesor rzekł: „– Jest w tym i moja wina, ponieważ powinienem brać na przemian, jedną osobę z początku listy, a drugą z końca. W ten sposób nie byłby pan ostatni, jak teraz. – Skąd pan pochodzi? – Jestem Wielkopolaninem. – A Chodzież pan zna?”. Odpowiedziałem, że tak. Wprawdzie byłem tam tylko ze trzy razy.

„– A jezioro chodzieskie pan zna?”. Odpowiedź była również twierdząca. Była to prawda, ale nie do końca. Widziałem, że jest to kawał wody. Ale to nie wystarczy, żeby stwierdzić, że się zna jezioro. Profesor ciągnął dalej: „– W tym jeziorze wygrałem zakład. Założyłem się, że przepłynę przez to jezioro ileś tam razy. Dokonałem tego, ale po tym zwycięstwie nie mogłem wyjść z wody o własnych siłach, przewracałem się. Po kilkugodzinnym pływaniu przestawił mi się błędnik”. Porozmawialiśmy jeszcze dla odprężenia o tym i o tamtym. Wreszcie wróciliśmy do egzaminu. „– Egzaminujący – rzekł profesor – zastanawia się, jakie dać pytanie, żeby student dał dobrą odpowiedź”. Myślę, że powiedział to, żeby zmniejszyć napięcie. Postawił mi trzy pytania i egzamin zdałem. Pytania nie były trudne.

Któregoś razu prof. Paweł Nowacki prowadził wykład w dużej sali, ale nie amfiteatralnej, lecz o płaskiej podłodze. Były w niej za to dwie tablice. Pisał i rysował na obu tablicach bardzo sprawnie lewą i prawą ręką. Z notowaniem jakoś sobie radziliśmy. Wreszcie jedna z koleżanek poprosiła go, by robił to trochę wolniej, bo ona nie może nadążyć rysować. Począł chwilę i ruszył dalej. Po pewnym czasie historia się powtórzyła, znowu była chwila przerwy. Za trzecim razem przerwy nie było. „– To jest wykład na politechnice, a nie na kursie krawieckim. Proszę wybaczyć, ale ja mam swój program i muszę go realizować”. Na zakończenie profesor przeprosił za porównanie.

Pewne okoliczności spowodowały, że musiałem się udać do prof. Janusza Groszkowskiego, który wykładał lampy elektronowe. Kiedy stanąłem pod jego drzwiami i zapukałem, usłyszałem głośno: „Proszę!” (nasi wykładowcy zwykle mówili bardzo głośno, nie było przecież urządzeń nagłaśniających). Wszedłem do obszernego pokoju i zatrzymałem się przy drzwiach. Profesor siedział za biurkiem. Poprosił mnie, żebym podszedł bliżej, a sam wyszedł zza biurka, tym sposobem spotkaliśmy się na środku pokoju. Podał mi rękę, wskazał krzesło i usiadł obok. Byłem zaskoczony sposobem bycia tego człowieka. Był to człowiek wielkiego formatu, o nieprzeciętnej osobowości. Załatwiłem moją niewielką sprawę i wyszedłem w pełni usatysfakcjonowany.

PROWOKACJE

Niektórzy nazywają rodzinne strony małą ojczyzną. Z większości ludzkich doświadczeń można wnioskować, że rodzinne strony na ogół kojarzą się z czymś lepszym niż „dalsza” rzeczywistość.

Wynika to z tego, że pamięć ludzka jest selektywna i łatwiej zapamiętuje przyjemniejsze epizody z życia. Na wszystko to nakłada się dzieciństwo i młodość, no i oczywiście doznania z nimi związane, kiedy życie wydaje się prostsze, łatwiejsze i przyjemniejsze. To wszystko tworzy wizerunek rodzinnych stron, do którego chętnie wracamy.

Jako student z wielką przyjemnością jeździłem do Brzostowa. Wyjazdy były po części bytową koniecznością, ale nie tylko. Wszystkie wakacje, a później urlopy, spędzałem również u rodziny, pracując z przyjemnością w gospodarstwie, chociaż nieraz było mi ciężko. Ta praca dobrze wpływała na moją kondycję fizyczną, regenerowała również siły psychiczne, nadszarpnięte nauką. W Brzostowie czułem się całkowicie odpężony i wolny od jakichkolwiek zagrożeń. Niebawem się okazało, jak bardzo iluzoryczne było to poczucie bezpieczeństwa.

Wracaliśmy we trzech – ja i moi bracia Stach i Ignac – z zabawy tanecznej w Miasteczku. Było lato, wczesny poranek, ale było już widno. Z jakiejś bramy wyszedł ormowiec² i zaczął najstarszego brata – Stacha. Chodziło o to, że brat miał komuś coś na jego temat powiedzieć. Stach powiedział, że od dłuższego czasu nie widział tego człowieka. Ormowiec był agresywny, zachodził bratu drogę i stał przed nim dosłownie w centymetrowej odległości. Brat go omijał, ale tamten ciągle powtarzał swój manewr. Za którymś razem brat odsunął go ręką na bok i poszliśmy do domu. Ormowiec nie ponowił zaczepki. Przed południem zaczęło huczeć w Miasteczku i okolicy, że trzech braci Urbaniaków pobilo ciężko ormowca. W pierwszej chwili uznaliśmy, że ktoś puścił plotkę, przecież znaliśmy przebieg zajścia. Miny nam zrzedły, kiedy dowiedzieliśmy się, że ormowiec ma obdukcję lekarską na okoliczność ciężkiego pobicia. Ormowiec pochodził z Wołska. Tego rzezimieszka ściągnięto do Miasteczka specjalnie do brudnej roboty. Jak się okazało, z zadania wywiązywał się dobrze.

² Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej (ORMO) – organizacja paramilitarna utworzona na podstawie uchwały Rady Ministrów z 21 II 1946 r. Była instrumentem pomagającym komunistom ściślej podporządkować sobie społeczeństwo. W latach 1946–1948 wykorzystywana jako formacja pomocnicza podczas walk ze zbrojnym podziemiem niepodległościowym, w okresie stalinowskim uczestniczyła m.in. w akcji kolektywizacji wsi. W 1980 r. liczyła ok. 480 tys. członków zwanych potocznie „ormowcami”. Rozwiązana 23 XI 1989 r. Z. Zblewski, *Abecadło PeeRelu*, Kraków 2008, s. 103.

Nie trzeba było długo czekać, by sprawa pobicia ormowca przez braci Urbaniaków trafiła na wokandę Sądu Powiatowego w Wyrzysku. Rozprawa nie trwała długo, wszystko było jasne. Był pobity. Była obdukcja lekarska i byli winowajcy. Najstarszy brat Stach został skazany na dwa lata więzienia. Brat Ignac i ja zostaliśmy uniewinnieni. Od wyroku odwołaliśmy się do Sądu Wojewódzkiego w Bydgoszczy. Sąd Wojewódzki umorzył odsiadkę bratu. Ta sprawa stanowiła preludium starannie przygotowanego planu. Władze w Miasteczku starały się różnymi sposobami zniszczyć moją rodzinę w Brzostowie. Całe przedsięwzięcie miało tło polityczne.

Zaczął się od zebrania w świetlicy w Brzostowie, którego celem było przeforsowanie kolektywizacji gospodarstw rolnych. Naganiacz, który organizował zebranie, był bardzo natarczywy. Atakował poszczególne osoby indywidualnie. Posługiwał się przy tym takimi argumentami, że odmowa podpisu jest oznaką wrogości wobec państwa. Zastraszył i ogłupił chłopów do tego stopnia, że zaczęli się po kolei podpisywać. Kiedy doszło do mojego ojca – odmówił podpisu. Wtedy do akcji wkroczył naganiacz – naskoczył agresywnie na ojca. Dlaczego odmawia podpisu?! Ojciec na to, że musi spytać żonę. I przytoczył bardzo rzeczowy argument – przed wojną podpisał bez wiedzy żony weksle Banku Rolnego w Miasteczku, a kiedy bank upadł, zabrano mu kilka tuczników. Naganiacz w pierwszej chwili chciał ośmieszyć ojca – co z niego za mężczyzna, że idzie po radę do żony? Kiedy nagabywał o podpisy następne osoby, one również odpowiadały, że muszą się spytać żony.

Do kolektywizacji Brzostowa Starego nie doszło. Winę za to przypisano mojemu ojcu. Postanowiono go zniszczyć. Ataki władzy poszły w dwóch kierunkach. Wykonawcą była milicja, która nakładała na ojca bardzo wysokie mandaty pieniężne. Przy byle okazji bito też Stacha, by zniszczyć go fizycznie i psychicznie, ponieważ on był filarem gospodarstwa. Wydawało im się, że jak zniszczą mojego brata, to nasze gospodarstwo padnie i uda się przeprowadzić kolektywizację.

Dreńczenie mandatami trwało ciągle. Przychodził do ojca milicjant: „– Płacicie mandat za kamienie na kompoście. – Co kogo obchodzi kamienie na moim kompoście? – Kompost wywieziecie na łąkę i popsujecie kosiarkę do trawy. – Kosiarka jest moja i jak się popsuje, to ją naprawię. – Kosiarka jest wasza na razie, ale już niedługo” (miał prawdopodobnie na myśli to, że wcześniej,

czy później dojdzie do kolektywizacji). Ojciec dalej cierpliwie kontynuował, że te kamienie na kompoście są państwowe, ponieważ państwo za przymusowo odstawione zboże daje chłopom węgiel z kamieniami. „– Zresztą – dodał ojciec – te kamienie nie są trwałe, ponieważ są przepalone i po jakimś czasie rozpadną się. – Uważajcie, żebyście nie trafili tam, gdzie jeszcze nie byliście. Płacicie trzysta złotych, w przeciwnym razie sprawę skierujemy do sądu i będą dodatkowe koszty. W sądzie, jak dobrze wiecie, nie macie najmniejszych szans”.

Innym razem milicjant stwierdził, że leżąca na naszym podwórzu słoma grozi pożarem. „– Płacicie mandat trzysta złotych”. Nic nie pomogło wyjaśnienie, że słoma leży, ponieważ przed dwiema godzinami została skończona młocka zboża, niebawem zostanie uprzętnięta. „– Każdy może tak powiedzieć, a w tej chwili słoma leży i stanowi zagrożenie pożarowe, nikt temu nie zaprzeczy. Płacicie mandat czy nie?”. Ojciec mandat zapłacił.

Mocodawcy rozzuchwalili milicjanta do tego stopnia, że któregoś razu przyszedł do naszego domu i nie powiedziawszy nawet „dzień dobry”, skierował swoje kroki na strych, przechodząc samowolnie przez kuchnię i sypialnię. Po pewnym czasie zszedł ze strychu. Ojciec akurat golił się w kuchni przy stole i widział go w lusterku. Milicjant milczał. Ojciec spytał, czy na strychu wszystko w porządku. „– Bezpieczniki macie w porządku, ale na strychu jest siano i grozi pożarem. – Jakie siano? – Wejdźcie i zobaczcie sami, siano jest porozwieszane po całym strychu”. Chodziło o zioła, których kilka wiązek babka powiesiła, żeby wyschły. „– Płacicie trzysta złotych”. Ojciec zapłacił, nie widział innego wyjścia.

Innym razem ojciec przejeżdżał z sianem przez Miasteczko. Usłyszał głośne „prrr”, konie zatrzymały się. Ojciec wychylił się z góry i zobaczył stojącego przy koniu milicjanta. W czasie jazdy, z fury siana woźnica nie widzi tego miejsca, tylko przód koni i koniec dyszla. „– Płacicie trzysta złotych mandatu, bo nie macie tabliczki. – Przecież tabliczka jest przypięta do puszorka. – Jest, ale nieczytelna. – Widocznie ją ktoś odwrócił. – Nie myślcie chyba, że ja to zrobiłem” (a wszystko wskazywało na to, że to właśnie on podjechał po cichu na rowerze i tabliczkę odwrócił). Ojciec mandat zapłacił. Ten i jeszcze kilka. Były wysokie i rujnowały gospodarstwo (tysiąc złotych wynosiło wtedy miesięczne uposażenie pracownicze). Ojciec był już u kresu wytrzymałości psychicznej. To był rok 1952.

HISTORIA STACHA

Jednak znacznie gorsza od mandatów była nagonka na Stacha. Brat pracował na roli i na ogół „nie wychylał się” poza gospodarstwo, żeby nie dawać pretekstu do zaczepki. Kiedyś jednak poszedł do Miasteczka na zabawę taneczną. Został na niej pobity. Uznał to za zwykły zbieg okoliczności. Po paru miesiącach odważył się i poszedł znowu do Miasteczka na zabawę. Historia się powtórzyła, został pobity. Sporo czasu upłynęło, zanim wybrał się na kolejną zabawę. Nie przypuszczał, że te „incydenty” są planowane, myślał, że są dziełem przypadku. Tym razem pobito go tak dotkliwie, że cztery tygodnie leżał w łóżku. Zajście na zabawie miało następujący przebieg – kiedy w tańcu brat znalazł się koło szerokich otwartych drzwi, zrobiono sztuczny tłok i wypchnięto go na podwórze. Tam oprawcy dokonali swego. Ojciec chciał, by poszedł do szpitala, ale on kategorycznie odmówił. Tym razem podejrzewał (i miał do tego podstawy), że istnieje przeciw niemu zмова i w szpitalu mogą pozbawić go życia. Przywoływał fałszywą obdukcję lekarską przed rozprawą w Wyrzysku. Zapamiętał, że bił go młody milicjant ze współnikami. Bili go czymś twardym po głowie i plecach.

Była to ostatnia zabawa w jego życiu. Ojciec wspominał, że wtedy gorąco prosił brata, żeby na tę zabawę nie szedł. „– Tato, nie mogę przecież tak żyć, muszę mieć jakieś kontakty z ludźmi, gdzie mogę poznać jakąś dziewczynę. Przecież jestem młodym człowiekiem”. Kiedy pojawił się na zabawie, podszedł do niego jeden z prowokatorów i zaczął z nim rozmowę, oczywiście o kolektywizacji. Prowokator był podchmielony i obiecywał bratu złote góry. Brat miał zostać przewodniczącym kołchozu i mógł liczyć na różne inne przywileje. Stach mu odpowiedział: „– Ja będę pracował, a ty będziesz pił wódkę”. Tym krótkim zdaniem wydał na siebie wyrok. Po tym kolejnym pobiciu brat już nigdy nie doszedł do siebie. Nie odzyskał sprawności fizycznej ani równowagi psychicznej. Stał się otepiały i apatyczny. Przestało go interesować otoczenie. Na nic nie narzekał. Przypuszczam, że bolała go głowa. Po kilku miesiącach zaczęły się pojawiać symptomy choroby psychicznej. Za bratem zamknęły się drzwi szpitali psychiatrycznych w Świeciu i Górnej Grupie na około trzydzieści lat – właściwie na całe dorosłe życie. Zmarł w 1984 r. w Międzyrzeczu. Komuchy mogą powiedzieć, że brat mógł również zachorować, gdyby nie był represjonowany. Oczywiście. Bezwzględna prawda jest jednak fakt, że zachorował po ciężkim pobiciu

w Miasteczku przez milicjanta i jego pomocników. Miał mocno potłuczoną głowę. Do choroby brata przyczyniła się również robiona przez władze nagonka na niego. Czuł się osaczony i uważał, że nie ma z tej sytuacji wyjścia. Nie wytrzymał tego nerwowo.

Można powiedzieć, że komuchy dopięli swego. Niszczyli gospodarstwo mandatami i wyeliminowali z niego człowieka, który był jego filarem. Ojciec był u kresu wytrzymałości psychicznej. Miejsce brata zajął szwagier, który dotychczas pracował w Warsztatach Kolejowych w Pile. Nic mi w domu nie mówiono, ale przypuszczam, że szwagier starał się unikać miejsc, gdzie można by go „unieszkodliwić”.

Kiedyś rozmawiałem na te tematy z człowiekiem z centralnej Polski, gdzie było podziemie antykomunistyczne. Był zdziwiony moją opowieścią. Na jego terenie nie istniał problem kolektywizacji. Gdyby ktoś postąpił tak, jak lekarz z Miasteczka, który wystawił fałszywe świadectwo obdukcji, czego skutkiem było wysłanie niewinnego człowieka do więzienia, to gorzko by tego żałował. W nocy przyszliby do niego ludzie podziemia z „siódmej wsi” i pan doktor dostałby taki „łomot”, że do końca życia zaniechałby takiej praktyki. Nadgorliwego milicjanta także dałoby się „utemperować”.

U nas ludzie nie mieli żadnej obrony. Komuchy pozwalali sobie również na prowokacje. Pewnego razu wśród mężczyzn w określonym wieku rozpuszczono informację, że na Marianowie, w lesie, zaufany człowiek będzie zapisywał do organizacji „Wolność i Niezawisłość”. Istotnie, w określonym miejscu, przy składanym stoliku siedział człowiek i prowadził zapisy. Starszy kolega, który mi o tym opowiadał, z daleka wyczuł prowokatora. Upewnił go w tym ubiór tego człowieka – długie buty, bryczesy i angielska bluza wojskowa. Konspiratorzy tak się nie nosili. Podszedł do niego, ale podał fałszywe dane. Po miesiącach dowiedział się, że ludzie, którzy dali się nabrać i zapisali się do WiN u tego człowieka, mieli później duże problemy. Na Pomorzu komórka WiN została zdekonspirowana, następnie podszył się pod nią Urząd Bezpieczeństwa.

Urzednicy w Miasteczku mieli się dobrze. Wprawdzie na razie nie udało im się skolektywizować Brzostowa, ale byli przekonani, że niebawem to nastąpi. Plan realizowano. Największy przeciwnik kolektywizacji Brzostowa, kułak Urbaniak ledwo zipie i na każde kiwnięcie palcem płaci trzysta złotych. Jego syn Stach co prawda wywinął się od więzienia, ale został unieszkodliwiony w inny sposób. Teraz czas pracował na ich korzyść.

Urzędnicy w Miasteczku mieli swoje potrzeby estetyczne. Znalazł się artysta, który je zaspokoił – narysował kułaka Urbaniaka chomikującego zboże, zamiast oddać je państwu. Artysta wyraził to w ten sposób – kułak siedzi na kupie worków wypełnionych zbożem. O tym, że zboże było stare i zleżałe, świadczyły robaki, wołki zbożowe wyłazące z worków. Napis głosił NIE ODDAM ZBOŻA PAŃSTWU. Rysunek umieszczono w Domu Kultury w Miasteczku. Urzędnicy mieli władzę, zaspokojone potrzeby estetyczne, brakowało im jedynie bogactwa. To było również w zasięgu ich ręki, znajdowało się jednak dosyć wysoko.

W Brzostowie Starym był kościół ewangelicki. Na szczycie jego wieży znajdował się krzyż, a pod nim kula. Przed zachodem słońca, kiedy padały na nie skosem promienie słoneczne, krzyż lub kula bardzo mocno błyszczały. Nigdy nie błyszczały razem. Mówiono (choć nie zawsze się to potwierdzało), że krzyż świeci na pogodę, a kula na deszcz. Mówiono również, że krzyż i kula są zrobione ze złota. Byli też tacy, którzy twierdzili, że w kuli ukryto jakieś skarby. Nic prostszego, jak po nie sięgnąć. Zapadła decyzja o rozbiórce kościoła. Nie było jednak odważnego, który by tę rozbiórkę rozpoczął. Upito traktorzystę, zahaczono linę za kościelną wieżę. Traktorzysta ruszył. Udało mu się urwać kawałek wieży. Na widok uszkodzonej wieży tłum wydał okrzyk radości i rzucił się do rozbiórki. Traktorzysta był tak pijany, że spadł z jadącego traktora i omal nie został przez niego przejechany. Kula i krzyż podobno zaginęły podczas tego rozbiórkowego zamieszania. Historia milczy o tym, czy były one ze złota i czy w kuli był ukryty jakiś skarb. „Przy okazji” rozbiórki kościoła, rozebrano także wolnostojące naziemne grobowce dziedziców.

Żaden cywilizowany naród nie niszczy obiektów sakralnych, niezależnie od tego, do kogo należą. Czynili tak komuniści. Byli nienasyчени, wszystko się im należało.

Kościół ewangelicki w Brzostowie nie miał dobrej sławy. Przed 1939 r. spotykała się w nim i organizowała mniejszość niemiecka (należy tu dodać, że praktyką stosowaną na terenie całej Polski było wykorzystywanie niemieckich kościołów i grobowców do magazynowania broni i amunicji). Przez ludzi związanych z tym kościołem zginął gospodarz z Brzostowa – Winiecki. Pewnego dnia kościelny dzwonił kilkanaście razy. Winiecki poszedł zwrócić mu uwagę, że ludzie we wsi nie wytrzymują już tego dzwonięcia. Kościelny

dzwonić nie przestał, a Winieckiego aresztowali Niemcy na początku wojny, był straszliwie bity i zginął w obozie.

PRALKA

Podczas studenckich wakacji w Brzostowie przeżywałem również weselsze chwile. Zbudowałem pralkę akustyczną do prania bielizny. Pomysł nie był mój. Zacerpnałem go z czasopisma „Radioamator”. Od pierwszej chwili uznałem, że jestem w stanie zrealizować to przedsięwzięcie. Pranie odbywało się stosunkowo prosto – do naczynia z wodą, w której znajdowała się bielizna, należało wprowadzić dostatecznie duży drgający lejek, który miał powodować powstawanie fali bieżącej. Fala odbijała się od brzegów naczynia i interferowała z falą pierwotną. W ten sposób powstawała fala stojąca, która przy dostatecznie dużej amplitudzie powodowała wypłukiwanie brudu z bielizny. Prototyp pralki został wykonany, ale zbudowane urządzenie miało za małą moc, żeby skutecznie prać. Według mojej oceny, moc zaaplikowana w wodę powinna wynosić przynajmniej dziesięciokrotnie więcej niż w prototypie. Moje poczynania i uzyskiwane rezultaty bacznie obserwowała matka. Łączyła z urządzeniem duże nadzieje. Kiedy usłyszała, że moc powinna być zwiększona dziesięciokrotnie, włączyła się do dyskusji. Powiedziała, że to urządzenie już nadmiernie hałasuje, po zwiększeniu jego mocy nikt tego hałasu nie wytrzyma. I to była prawda, to byłby potworny ryk. Niemniej byłem w stanie zbudować takie urządzenie. Po tych wstępnych pracach odstąpiłem od realizacji.

Po kilku latach, gdy znów byłem w Brzostowie, przyjrzałem się, jak moja matka ręcznie pierze bieliznę na tarze. Ogarnął mnie wstyd, że dopiero teraz dostrzegłem, jak ciężka jest ta praca. Wykonywały ją kobiety. Dziwne, ale nigdy nie narzekały. Wtedy postanowiłem, że ponownie zajmę się budową pralki. Miałem już pewne doświadczenie. Ogólna zasada prania jest taka, że wokół pranej rzeczy musi być ruch wody. Metoda, jaką się ten ruch spowoduje, jest dowolna, począwszy od prania kijankami nad rzeką. Kijanki, czyli płaskie kije, którymi uderzano mokrą rzecz, powodowały nagłe przemieszczanie się wody zabierającej ze sobą brud z pranej sztuکی. W planie miałem powrót do idei pralki akustycznej z zastosowaniem większej mocy. Miałem zamiar zasilić elektromagnes wibratora z sieci przez jednokierunkowy prostownik, co by spowodowało spadek częstotliwości o połowę i bez porównania większą amplitu-

dę fali stojącej. Miałem też inne pomysły, gdyby nie udało mi się wy-ciszyć urządzenia.

Okazało się jednak, że nie musiałem realizować swoich po-mysłów, bo na krajowym rynku ukazała się bardzo skuteczna, jak na tamte czasy, pralka. Miała płaski wirniczek w dnie pojemnika, w którym odbywa się pranie. Wirniczek z kolei miał małe wypu-kiłości, wystarczające, by wprowadzić w ruch wirujący wodę z bie-lizną. Pralkę nazwano „Frania”.

O WOJSKU, ŚPIEWIE I BITWACH

Po przygodzie ze Studium Wojskowym nie miałem już na uczel-ni większych problemów. Okrzepłem na dobre jako student. Egza-miny zaliczałem na bieżąco. W dalszym ciągu skrupulatnie prowa-dziłem notatki. Uczyłem się dużo i uchodziłem za pracusia. To mi jednak nie przeszkadzało. Realizowałem swój dalekosiężny plan, wytyczony w Oliwie.

Po pierwszym roku studiów wyjechaliśmy na obóz wojskowy do Szlagi w województwie olsztyńskim. Mieszkaliśmy w lesie, w kosza-rach zbudowanych przez Niemców. Traktowano nas bardzo ulgo-wo. Obóz nie przypominał prawdziwego szkolenia wojskowego. Zacząłem sobie wyobrażać, jak szkolili się tutaj wojska niemieckie przed napaścią na Polskę w 1939 r. W ich wojsku obowiązywała pruska dyscyplina. Żołnierze byli traktowani gorzej niż zwierzęta. Niemieckie koszary do tego stopnia pobudziły moją wyobraźnię, że przypomniałem sobie nawet niemieckie piosenki wojskowe. Na-uczyłem się ich mimowolnie podczas okupacji, gdy byłem parob-kiem u Niemca. W tym czasie Niemcy święcili tryumfy i byli bar-dzo szczęśliwi. Wojskowe (i nie tylko wojskowe) piosenki śpiewali wszyscy i wszędzie – również „małolaty” płci żeńskiej, które były przedwcześnie rozbudzone seksualnie i wszędzie ich było pełno. Opisywał to niemiecki wierszyk „koła obracają się dla zwycięstwa, a wózek dziecięcy dla następnej wojny”. Te niemieckie piosenki przenikały do mojej świadomości jak trucizna. Byłem bezbronny i musiałem ich słuchać. Pogłębiało to upokorzenie, w którym żyli-smy, tęsknotę za utraconą ojczyzną i za polskimi piosenkami. Odczu-wałem to tym silniej, że Niemiec, u którego pracowałem, zabronił mi mówić po polsku. Przypominałem sobie polskie piosenki woj-skowe, pieśni patriotyczne i religijne. Nucilem je po cichu, chodząc za pługiem i podczas innych prac. Stanowiły dla mnie antidotum

na wszechpanującą niemczyznę. Bardzo często wracałem do wielkiego, krzepiącego hymnu, jakim jest *Rota* Marii Konopnickiej. Analizowałem poszczególne słowa, zwroty i odszukiwałem ich aktualny sens. Ta pieśń ma wielką siłę oddziaływania.

Polskich piosenek nauczyłem się w domu podczas tzw. pierzaków. „Pierzak” – to było spotkanie towarzyskie dorosłej młodzieży obojga płci, do którego pretekstem było darcie pierza. Grube pióra nie nadają się do pościeli. Użyteczne są tylko ich boczne części zwane chorągiewkami. Twardą część środkową, czyli dutkę, wyrzucono jako odpad. W czasie takiego spotkania dużo śpiewano. Śpiewali wszyscy. Bywało, że wojskowe piosenki śpiewali mężczyźni i jedna albo dwie dziewczyny. Bardzo mi się to podobało. Przy okazji robiono sobie różne psoty, które nie wyrządzały nikomu szkody, a ożywiały atmosferę. Odbywały się także wieczorne śpiewy na ulicy. W Brzostowie było sporo dorosłej młodzieży męskiej. Byli również młodzieńcy, którzy odsłużyli wojsko. To towarzystwo gromadziło się na ulicy w pogodne wieczory i śpiewało. Te śpiewy podobały się ludziom. Do wojska i do poszczególnych żołnierzy, również do zde-mobilizowanych, odnoszono się z szacunkiem – to oni obronili Polskę przed bolszewikami w 1920 r. Pamiętano również o Powstańcach Śląskich i Wielkopolskich. Odzyskaną wolność ceniono bardzo wysoko. Polaków cechował wówczas wielki patriotyzm.

Ktoregoś dnia jechaliśmy ze znajomym do Gdańska. Zrobiliśmy przerwę w podróży pod Mławą, przy pomniku walczącego żołnierza polskiego. Weszliśmy na wzniesienie za pomnikiem, gdzie są pamiątki po działaniach wojennych z 1939 r. Po obejrzeniu wszystkiego mój znajomy powiedział: „– Czy my musimy zawsze przegrywać? – Przegrywaliśmy bardzo wiele razy, ale nie zawsze”. Obiecałem mu, że jeszcze tego dnia zawiozę go w miejsce, gdzie polski oręż święcił wielki tryumf. Paliła go ciekawość, ale nie zdradziłem mu, o jakie miejsce chodzi. Wreszcie dojechaliliśmy do kierunkowskazu na Grunwald i tajemnica się wyjaśniła.

Oba te miejsca działają na mnie w sposób szczególny. Kiedy zobaczyłem pierwszy raz drogowskaz do Grunwaldu, natychmiast opadły mnie różne myśli, obrazy i wyobrażenia. Zatrzymałem się, bo byłem tak rozkojarzony, że niezbyt bezpiecznie było w takim stanie jechać dalej. Musiałem chociaż trochę uporządkować myśli.

Zastanawiałem się, jak ta masa ludzka, biorąca udział w wyprawie, poruszała się, czym się kierowano, wybierając marszrutę. I z czego

wynikło to, że wrogie armie spotkały się akurat w tym miejscu. Źródła historyczne podają, że – wraz z taborami i sojusznikami – armia polsko-litewska liczyła około 40 tys. ludzi. Należy zatem przypuszczać, że posuwali się kilkoma szlakami, po bezdrożach. Ciekawie musiał wyglądać transport kołowy. Jak wyglądały te ciężko obciążone wozy? Jakie miały osie i koła, które wytrzymały taką jazdę? W tym czasie na ogół zwierzęciem pociągowym był wół. Jak wyglądały zaprzęgi? Jak podróżowali ludzie, którzy walczyli w zbroi? W czasie długich marszów prawdopodobnie nie mieli na sobie zbroi. Jako zaopatrzenie pędzono stada rzeźnego bydła, należało przecież nakarmić rzesze ludzi. Jaka była organizacja takiego marszu i obozowisk? A skąd brano niezbędną w ogromnych ilościach dla zwierząt i ludzi wodę? Nie znałem odpowiedzi na mnóstwo pytań.

Lapidarne encyklopedyczne informacje o bitwie pod Grunwaldem mówią, że była to jedna z największych bitew średniowiecza. Stanęli przeciw sobie dowodzeni przez Wielkiego Mistrza Krzyżacy (ok. 14 tysięcy jazdy, kilka tys. piechoty i artylerii) i dowodzone przez Władysława Jagiełłę wojska polsko-litewskie, wspomagane przez oddziały ruskie, czeskie i tatarskie (ok. 24 tys. jazdy i kilka tysięcy piechoty). Armia krzyżacka uległa doszczętnemu rozbiciu, padł Ulrich von Jungingen. Do zwycięstwa przyczyniło się dowodzenie Władysława Jagiełły, który do końca kierował bezpośrednio walką ze wzgórza. Maria Konopnicka napisała „rozpadła się w proch i pył krzyżacka zawierucha”.

Nieustannie podziwiam geniusz i wielką pracowitość polskiego monarchy. Król dobrze znał Krzyżaków i zdawał sobie sprawę z ich potęgi. Wiedział, że aby ich pokonać, musi mieć większe siły niż oni. Podobno trzy lata nie schodził z konia, jeździł do swoich sprzymierzeńców i czynił kolejne ustalenia, przygotowujące rozstrzygającą bitwę. Był dobrym politykiem, dzięki czemu zjednał sobie sojuszników. Był także dobrym strategiem i taktikiem.

Jeżdżąc do Gdańska z Warszawy, wielokrotnie robiłem przerwę w podróży przy pomniku Walczącego Żołnierza pod Mławą. To miejsce skłania do głębokich refleksji. W okolicy miała miejsce krwawa bitwa w 1939 r. Wojsko Polskie stawiało czoła kilkakrotnie większym siłom wroga. Strona polska poniosła bardzo duże straty w ludziach. Po bitwie jeden z niemieckich oficerów sztabowych przekroczył linię okopów. Zatrzymał samochód i chciał rozmawiać z polskim oficerem. Przywołano jakiegoś podoficera. Niemiec

powtórzył, że chce mówić z oficerem. „– To niemożliwe, wszyscy polscy oficerowie polegli”. Niemiec zasalutował i pojechał dalej.

Pomnik przedstawia samotnie walczącego żołnierza z karabinem i granatem. Tak było w rzeczywistości – tylko karabinów i granatów mieliśmy pod dostatkiem. To jednak nie wystarczyło, żeby przeciwstawić się nowoczesnej armii niemieckiej. Zabrakło nam kilku lat, by polska armia stała się silna i nowoczesna. Pomnik symbolizuje samotność Polski w tej wojnie. Tak bardzo reklamowani sojusznicy przedwojennej Polski – Anglicy i Francuzi – nie mieli zamiaru Polakom pomóc, i nie pomogli. Zresztą i jedni, i drudzy po kilku miesiącach sami tej pomocy rozpaczliwie potrzebowali. I jedni, i drudzy byli bezradni wobec niemieckich zagonów pancernych i lotnictwa. Ich wojska nie były w stanie stawić Niemcom czoła. Nie były po prostu do takiej walki przygotowane.

W CZERWONYM BORZE

W 1953 r., po drugim roku studiów, zostaliśmy wysłani na obóz wojskowy do Czerwonego Boru. Mieszkaliśmy w namiotach. Miałem tam możliwość porównania wyszkolonego wojska z poboru z tym studenckim wojskiem, wśród którego się znalazłem. Trzech żołnierzy z poboru jeździło haubicą 122 mm po placu ćwiczeń – jeden „wieszał się” na lufie, dwóch podnosiło „ogony” działa wysoko, by środek ciężkości przeniósł się na koła. Na obozie w Czerwonym Borze dwudziestu studentów nie mogło przetoczyć działa z jednego miejsca na drugie. Usprawiedliwieniem dla nich może być to, że podłoże placu nie było twarde.

W namiocie sienniki leżały jeden obok drugiego, nie było między nimi przerwy. Ślanie tych legowisk polegało na tym, że się je wyrównywało i przykrywało kocami. Robiło się to z tego końca, gdzie w czasie snu były nogi, bo tam też znajdowała się deska biegnąca wzdłuż wszystkich sienników. W czasie takiego ślania wszystko przeszkadzało, nawet własny ręcznik. Cudzy również, przekładano je zatem na siennik sąsiada (należy dodać, że na tę czynność było mało czasu i każdy się spieszył). Kiedyś tym sposobem trafiło do mnie sześć ręczników. Schowałem je do plecaka. Po śniadaniu zobaczyłem grupkę zakłopotanych kolegów, więc spytałem, czy przypadkiem czegoś im nie brak. Ucieszyli się, bo choć ręcznik nie jest niczym nadzwyczajnym, jest potrzebny. Doradziłem im, żeby chować go w czasie ślania legowiska do kieszeni albo plecaka. Na

drugi dzień już żaden ręcznik do mnie nie trafił. Trzeba przyznać, że mężczyzna po odbyciu służby wojskowej jest w życiu codziennym znacznie zaradniejszy. Łatwiej się z nim żyje i współpracuje. Dodam jeszcze, że w życiu dużo łatwiej współpracowało mi się z ludźmi z mniej zasobnych domów.

Na poligonie w Czerwonym Borze miałem miłe spotkanie. W czasie przerwy w zajęciach usłyszałem znajomy głos. Od razu poznałem, że jest to głos płk. Rutkowskiego, dowódcy jednostki, w której służyłem w Gdańsku Wrzeszczu. Pan pułkownik siedział na trawie pod krzakami wraz z moimi kolegami i o czymś rozprawiali. Człowieka tego darzyłem szacunkiem. Dużo mu zawdzięczałem. W chwili spotkania pułkownik był szefem artylerii Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

ZADANIE ZAKOŃCZONE!

Mój żywot jako studenta ustabilizował się. W ramach specjalizacji przydzielono mnie do sekcji urządzeń nadawczych. Dla mnie było to świetne rozwiązanie. Odpowiadało też moim predyspozycjom – urządzenia nadawcze w tym czasie miały znaczne rozmiary, nie pociągała mnie miniaturyzacja.

Jako pracę dyplomową projektowałem wzmacniacz końcowy nadajnika radiowego dużej mocy. Musiałem dokonać wyboru lampy wzmacniacza, wyliczeń podstawowych parametrów i narysować schemat stopnia końcowego nadajnika, łącznie z instalacjami pomocniczymi. Prowadzącym pracę był inżynier „z przemysłu”. Bez większych trudności zdałem egzamin końcowy i uzyskałem dyplom inżyniera.

Udało mi się to osiągnąć. Miałem w życiu dużo szczęścia i wspomagałem je własną pracą, często z wielką determinacją.



Pierwszy z prawej mój ojciec Ignacy





Moi rodzice i rodzeństwo (ja – pierwszy z prawej)



Kuzyn mojej mamy Stanisław Wróblewski



W środku moja babcia Józefa Michalak



Zwózka zboża w 1939 r.; na wozie – mój ojciec, przy koniach nasz pracownik – Władek Lis



Na łyżwach na stawie w Brzostowie; z lewej – ja, Edziu Pyda, moja siostra Stasia, Józef Zawistowski, mój brat Ignac i pies Bobik



Stach, Ignac i ja (1953 r.)